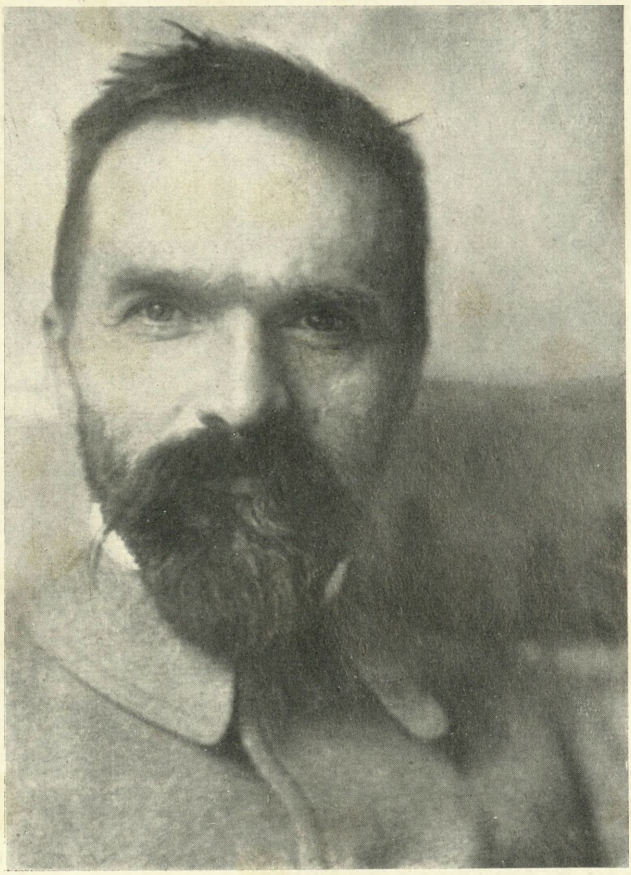

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

PISMA ZBIOROWE



JÓZEF PIŁSUDSKI
w 1913 r.

Dot. Nr. 1573.

JÓZEF PIŁSUDSKI

PISMA ZBIOROWE

WYDANIE PRAC DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM III

WARSZAWA 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
352 19/2
im. F. Dzierżyńskiego

TOM NINIEJSZY ZREDAGOWAŁ,
WSTĘPEM I PRZYPISAMI ZAOPATRZYŁ
WACŁAW LIPIŃSKI

BIBLIOTEKA NARODOWA

WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

1956 D 765c

WSTĘP

Akcja bojowa pod Bezdanami przeprowadzona przez Józefa Piłsudskiego we wrześniu 1908 r. stanowi ostateczne zakończenie okresu rewolucyjnego oraz form walki z najazdem zastosowanych w latach 1905—1907. Celem materialnym akcji bezdańskiej było zdobycie środków pieniężnych, niezbędnych na rozpoczęcie pracy ściśle organizacyjno-wojskowej, której realnym wyrazem staje się Związek Walki Czynnej, założony we Lwowie w połowie r. 1908 przez Kazimierza Sosnkowskiego.

Piłsudski, jakkolwiek oficjalnie nie staje na czele Z. W. C. sprawuje faktyczne jego kierownictwo. Nie mając dostatecznego jeszcze poparcia dla idei budowy kadry wojskowej ani wśród bliskich sobie towarzyszy partyjnych z P. P. S. ani tym bardziej wśród szerszych kół społeczeństwa, postanawia przez stopniowo rozwijaną pracę, przez argumentację i przekonywanie, jednać sobie najpierw bliższych współpracowników później szersze koła młodzieży. W związku z tym Piłsudski rozwija po r. 1908 niezmiernie ożywioną czynność, jakkolwiek wtedy właśnie zdrowie jego bardzo znacznie się pogarsza. Wiosną 1909 r. wyjeżdża na kilkutygodniowy pobyt do Abazji, lecząc się na niedomogę serca. Prowadząc po powrocie wykłady z dziedziny przygotowań do przyszłej walki zbrojnej w Szkołach Bojowych P. P. S. w Krakowie i Lwowie, koniec r. 1909 spędza w Kijowie, przygotowując niedoszłą akcję bojową na Polesiu. Jednocześnie, kierując coraz wydatniej Związkiem Walki Czynnej, odrywa się powoli od związku z jedną tylko partią, przechodząc do rozszerzenia podstaw na których ma się oprzeć praca budowy kadr wojskowych.

Przez cztery lata od 1908 do 1912 r., w związku z coraz silniej zarysowującym się kryzysem międzynarodowym, sygnalizowanym w 1908 r. przez aneksję Bośni i Hercegowiny, oraz w r. 1912 przez wojnę bałkańską — Piłsudski przeprowadza wytężoną pracę, mającą na celu zjednanie możliwie znacznej

ilości ludzi i stronnictw dla idei budowy siły wojskowej, przygotowywanej do wzięcia czynnego udziału w zbliżającej się wojnie światowej. W latach tych rozszerza i pogłębia studia wojskowe, rozpoczęte już w r. 1901, studiując zagadnienia organizacji powstania przeciw Rosji, historię powstania styczniowego, wojnę burską oraz rosyjsko-japońską, a w końcu tego okresu wojnę bałkańską. Owocem tych studiów staje się wygłoszenie wielkiej ilości odczytów, prelekcyj, wykładów oraz szereg prac pisarskich, jak: «Geografia militarna Królestwa Polskiego», «Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim», «Historia Organizacji Bojowej P. P. S.», «O rewolucji 1905 r.», «Reformy armii rosyjskiej», «Kryzysy bojów», «Zarys historii militarnej powstania styczniowego», «Mobilizacja powstania», i wiele innych, drobniejszych. We wszystkich tych pracach Piłsudski poddaje głębokiej analizie podstawy materialne i organizacyjne przyszłej walki, zwracając szczególnie zwłaszcza uwagę na moralne podstawy wojny i walki oraz na zagadnienia dowodzenia. Jednocześnie rozwija coraz bardziej wzrastającą czynność organizacyjną, której rezultatem staje się wzrost i pogłębienie ruchu wojskowego w Polsce oraz rozszerzenie jego podstaw politycznych.

W 1910 zostaje założony we Lwowie Związek Strzelecki, a w Krakowie — Strzelec, na czele których stają Wydziały. W czerwcu 1912 zostaje utworzona Komenda Główna. Komendantem Głównym zostaje Józef Piłsudski, szefem sztabu Kazimierz Sosnkowski. W tym samym czasie Piłsudski rozszerza platformę polityczną, na której opiera wzrost ruchu wojskowego przez doprowadzenie do zorganizowania 25 sierpnia 1912 r. w Zakopanem Polskiego Skarbu Wojskowego oraz 10 listopada w Wiedniu — Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Przeprowadzając zasadnicze koncepcje organizacyjne, utrwalające i wzmacniające ruch wojskowo-polityczny, zwrócony swym ostrzem przeciwko Rosji — w tych samych latach Piłsudski nieustannie występuje jako niestrudzony propagator naczelnej swej idei, którą realizuje z uporem mimo stale nadwątlonego zdrowia.

W r. 1911 ponownie wyjeżdża na południe do Włoch (Nervi), a w kraju czas swój dzieli między Lwów, Kraków i Zakopane. Od stycznia 1912 do maja tegoż r. Piłsudski przeprowadza cykl wykładów z historii militarnej powstania styczniowego w krakowskiej Szkole Nauk Społeczno-Politycznych.

Lato spędza w Zakopanem. Nawiązując kontakt w sprawie uzyskania możliwości rozszerzenia ruchu wojskowego, powoduje wysłanie w tym czasie do kancelarii wojskowej arcyksięcia Ferdynanda memoriału, napisanego przez Mariana Kukiela pt.: «Bedeutung des Russisch-Polen vom Standpunkt der Militärischen Interessen Oesterreichs». W październiku jest w Wiedniu, gdzie wygłasza przemówienie na zjeździe Socjal-Demokracji Austriackiej. 1 grudnia t. r. wyznaczony zostaje przez Komisję Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych na Komendanta sił wojskowych przy Kom. Tymcz., w związku z czym 15 grudnia poddają się pod rozkazy Piłsudskiego Polskie Drużyny Strzeleckie. Jednakowoż już w następnym roku, 8 maja 1913, została zniesiona na wniosek J. Piłsudskiego wspólna komenda wojskowa nad obiema organizacjami. Na miejsce jej dla zarządu sprawami wspólnymi obu organizacyj ustanowiono Wydział Wojskowy przy Kom. Tymcz., w skład którego weszli obaj komendanci, ich zastępcy i sekretarze.

Przeprowadzając rozległą pracę polityczno-wojskową, kierując wyszkoleniem podległych sobie organizacyj, przeprowadzając inspekcje zarówno w kraju jak i za granicą (Szwajcaria, Francja, Belgia), nie porzuca jednocześnie pracy pisarskiej, choć siłą rzeczy przedstawia się ona skromniej, niż w latach poprzednich. Tak więc wydaje drukiem już przed samą wojną światową książkę p. t. «22 stycznia 1863», oraz zamieszcza szereg artykułów p. t. «Z wojny bałkańskiej» w czasopiśmie wojskowym «Strzelec». Sprawując funkcję Komendanta Głównego związków strzeleckich, kierując wyszkoleniem podległych sobie organizacyj strzeleckich, występuje teraz jako rozkazodawca. W marcu 1913 r. prowadzi ćwiczenia polowe pod Lwowem (Stawczany-Basiówka), w sierpniu — letnią szkołę instruktorską w Stróży (Galicja zachodnia, pow. limanowski), skąd na kilka dni wyjeżdża do Rapperswylu w sprawach Polskiego Skarbu Wojskowego. W lutym 1914 wyjeżdża na inspekcję związków strzeleckich do Szwajcarii i Francji, w maju kieruje ćwiczeniami polowymi pod Lwowem w Dawidowie, po czym wyjeżdża na inspekcję do Belgii.

W sierpniu 1914 r. na podstawie przeprowadzonej uprzednio umowy z wojskowymi władzami austriackimi oraz na podstawie wydanych i przygotowanych w poprzednich latach rozkazów mobilizacyjnych, przeprowadza mobilizację oddzia-

łów strzeleckich i oddziałów Polskich Drużyn Strzeleckich, na ich czele przekraczając granicę i rozpoczynając działania wojenne przeciwko Rosji.

* * *

W tomie III «Pism Zbiorowych» zamieszczone zostały wszystkie te prace Piłsudskiego jakie znajdowały się w t. III «Pism - Mów - Rozkazów». Ponadto włączone zostały «Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim» oraz «Geografia militarna Królestwa Polskiego», które znajdowały się w t. II «Pism-Mów-Rozkazów». Oprócz tego weszły do niniejszego tomu prace, zamieszczone w Tomie Dodatkowym «Pism-Mów-Rozkazów» a chronologicznie związane z okresem, który obejmuje tom niniejszy. Z prac niezamieszczonych w «Pismach-Mowach-Rozkazach», dodane zostały: dwa listy Piłsudskiego do Stanisława Witkiewicza oraz odczyt «W przeddzień rewolucji 1905».

Przy opracowywaniu uwzględnione zostały częściowo przypisy, zamieszczone w «Pismach-Mowach-Rozkazach», przy czym poddano je ponownej kontroli, która usunęła pewne sprzeczności i niedokładności. Ponadto do całego szeregu kwestyj dodano nowe przypisy.

Wacław Lipiński.

ZADANIA PRAKTYCZNE REWOLUCJI W ZABORZE ROSYJSKIM

Pod koniec r. 1910 «Bibljoteczka Popularna Życia» wydała jako tomik czternasty broszurę Z. Mieczysławskiego p. t. «Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim». Z. Mieczysławski — to pseudonim Józefa Piłsudskiego, który w Szkołach Bojowych P. P. S. w latach po upadku rewolucji 1905—1907 prowadził wykłady z dziedziny przygotowań do przyszłej walki zbrojnej. Wykłady, z których powstała praca niniejsza, zapisywał Leon Wasilewski. Czasu, w których powstały, ustalić się nie udało, najprawdopodobniej jednak były one wygłaszane w ciągu r. 1909. Pierwsza redakcja, po przejrzeniu przez Piłsudskiego, drukowana była w «Robotniku» w nrach od marca do września 1910 r. (nr 243, 244, 245, 246 i 247) pod ogólnym tytułem «Nasze zadania rewolucyjne», po czym, z zastosowaniem niewielkich zmian stylistycznych, wydana została w Krakowie jako osobna broszura przez «Bibljoteczkę Popularną Życia». Wobec konfiskaty, zarządzonej przez prokuratorię krakowską, w parlamencie wiedeńskim wniesiona została przez posła dra Ryszarda Kunickiego i towarzyszy interpelacja, która wydrukowana na okładce broszury, spowodowała jej nietykalność.

«Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim» stanowią podstawowy klucz, umożliwiający zrozumienie koncepcyj organizacyjnych, wprowadzonych przez Piłsudskiego jako zasadnicze elementy walki rewolucyjnej.

I

Jesteśmy partią rewolucyjną. Wiemy, że cele, jakie sobie stawia P. P. S., nie mogą być osiągnięte w drodze pokojowej. Rozumiemy, że ani niepodległości kraju naszego, ani takich warunków, w których walka nasza z wyzyskiem mogłaby się odbywać na sposób zachodnio-europejski, nikt nam nie podaruje, ani nikt za nas nie wywalczy. Rozumiemy wszyscy, że o nasze cele, tak polityczne, jak i społeczne, musimy walczyć. I to nie na języki, nie za pomocą bibuły zadrukowanej, lecz z bronią w ręku. Musimy przeciwstawić zorganizowanej sile najazdu, opierającej się na bagnetach żołdactwa, siłę zbrojną mas ludu polskiego. Rewolucja, do której się przygotowujemy, to walka orężna armii ludowej z armią caratu, broniącą u nas

jego panowania. Taka walka jest naszym celem, bo tylko taka walka może nam dać zwycięstwo.

Ale nie dosyć jest rozumieć, że tylko w drodze walki zbrojnej osiągniemy zwycięstwo. Nie dosyć jest wierzyć w konieczność tej walki, nie dosyć jest marzyć o jej przeprowadzeniu. Trzeba zdawać sobie dokładnie sprawę z jej charakteru, trzeba wiedzieć, jakimi środkami nasza rewolucja będzie rozporządzać, trzeba poznać silne i słabe strony tak naszego nieprzyjaciela, jak i nasze własne, trzeba wreszcie mieć plan rewolucji.

Rewolucja, której dokonać chcemy, jest to wojna dwóch armij — naszej, rewolucyjnej, ludowej, z armią rządową, najezdniczą. Gotując się do takiej wojny, musimy brać przykład z tego, co czynią wszystkie armie, gotujące się do walki.

Nie należy przypuszczać, że armia regularna jakiegokolwiek państwa tylko wówczas gotuje się do walki, kiedy wojna już-już ma wybuchnąć. Przeciwnie, wojsko przygotowuje się do wojny ciągle, chociażby wojny nie spodziewano się wcześniej, jak za lat kilkanaście. A istnieją w armii i takie instytucje, które stale, bez przerwy zajmują się wojną, tocząc ją teoretycznie, na papierze. Są to sztaby wojskowe, które ustawicznie zajmują się planami przyszłych wojen, przystosowując coraz to nowe dane i środki walki do zadań wojennych, i skutkiem tego żadna niespodzianka nie może ich zaskoczyć.

Sztaby wojskowe opracowują plany wojny nie tylko przeciwko tym państwom, co do których nie ma wątpliwości, że są nieprzyjaciółmi, ale i przeciwko własnym sojusznikom. Tak np. sztab niemiecki, opracowuje plan wojny z Austrią, a sztab austriacki — plan wojny z Niemcami, choć państwa te są od wielu lat w ścisłym sojuszu. W ten sposób ciała kierownicze armij regularnych wyzyskują czasy pokoju dla przyszłych celów wojennych.

I my znajdujemy się obecnie w tym położeniu, w jakim jest armia podczas pokoju. To też musimy wyzyskać ten czas dla wszechstronnego przygotowania się do przyszłej rewolucji. Musimy przeprowadzić takąż samą pracę, jaką przeprowadza armia w dobie pokojowej. Musimy wykonać te zadania, jakie spadają na sztaby armij, musimy nie tylko przygotować się sami i przygotować szerokie masy ludności pracującej do rewolucji, ale i wypracować plan tej ostatniej.

Nasze zadanie w tym kierunku o tyle jest ułatwione, że terenem, na którym rozegra się walka polskiej armii ludowej z militarną siłą najazdu, jest nasz kraj własny, ta ziemia, z którą zrośliśmy się, której warunki są nam dokładnie znane. Sztab

armii regularnej, opracowując plan kampanii, która ma się odbyć na ziemi nieprzyjacielskiej, znajduje się w tym położeniu, że tylko z wielkim trudem może zdobyć potrzebne mu wiadomości. Tymczasem my, żyjący na terenie przyszłej walki, możemy zdobyć potrzebne nam wiadomości prawie bez trudu. Bylebyśmy chcieli je zdobywać, bylebyśmy rozumieli, jak one są dla celów rewolucji ważne, bylebyśmy stale myśleli o przyszłych naszych zadaniach rewolucyjnych.

Niezmiernie słusznym jest powiedzenie, że armia podczas wojny robi tylko to, czego jej nauczono w czasie pokoju. W czasie pokoju musimy się nauczyć różnych rzeczy, dotyczących rewolucji, aby móc je wykonać wówczas, kiedy nastąpi czas walki orężnej. Niestety, umiejętność przewidywania u nas nie stała nigdy na należytej wysokości, ani przed r. 1863, ani tym bardziej podczas ubiegłej rewolucji. Nie myślano nigdy o realnych przygotowania, to też skutki takiego zaniedbania były po prostu fatalne. Korzystajmyż ze smutnych doświadczeń przeszłości, ażeby zapobiec klęskom na przyszłość!

II

Czym jest rewolucja, do której mamy się przygotowywać? Jest to walka o władzę, przeprowadzona środkami gwałtownymi w stosunkowo krótkim czasie. Rewolucję wywołują głęboko tkwiące przyczyny charakteru społecznego i politycznego, które oddziaływują nieraz w ciągu bardzo długiego czasu, zanim nastąpi wybuch. Przyczyny ogólne rewolucji mogą istnieć od bardzo dawna, tym czasem do rewolucji nie dochodzi, jeśli ludzie nie posiadają wiary w możliwość usunięcia zła istniejącego i w zastąpienie go przez nowy, lepszy układ stosunków. Bez tej wiary niemożliwa jest rewolucja. Samego niezadowolenia z istniejących stosunków, samej chęci zmiany nie wystarcza jeszcze do przeprowadzenia rewolucji. Tylko wiara w możliwość zwycięstwa może tę chęć doprowadzić do takiej potęgi, że rewolucja stanie się koniecznością.

Weźmy nasze stosunki. Czy jest u nas jakaś klasa, jakaś warstwa, nieco poważniejsza, któraby była zadowolona z istniejących warunków? Pomijamy już cały proletariat, tak uświadomiony, jak i ciemny jeszcze, który najdotkliwiej odczuwa ciężar stosunków panujących. Ale i inne warstwy nie mają żadnych powodów do zadowolenia z rządów najazdu u nas. Chłopi, gnębieni przez urzędników carskich, prześladowani za narodowość i religię, pędzeni do wojska na kraj

świata, pozbawieni możności oświecania się i podnoszenia kultury gospodarczej z pewnością zadowoleni nie są. Drobnomieszczaństwo znów ma swoje bolączki, wypływające z ogólnego upośledzenia i ucisku kraju przez system rządowy. Inteligencja cierpi wskutek rusyfikacji, nie dopuszczającej Polaków do posad urzędowych, i wskutek krępowania wszelkiej działalności kulturalnej. Nawet szlagoneria i burżuazja, odsunięta od udziału w rządzeniu kraju, musząca opłacać się grubo wszelkim łapownikom carskim, zagrożona konkurencją rolnictwa i przemysłu rosyjskiego, nie czuje się zupełnie dobrze. Jednym słowem, ludzi zadowolonych z panujących u nas stosunków i w dzień ze świeczką byś nie znalazł. Skutkiem panowania rządu obcego, nie wyłonionego z polskiego społeczeństwa, rządu najezdniczego, niezadowolenie ogólne jest u nas bez porównania żywsze i głębsze, aniżeli gdziekolwiekbądź w krajach, rozwijających się normalnie. A jednak, pomimo to, rewolucja u nas nie wybucha.

Tłumaczy się to tym, że szerokiemu i zakorzenionemu niezadowoleniu ogółu ludności nie odpowiada siła chęci zmienienia haniebnych warunków. Chęć zaś zrzucenia najazdu jest słaba dlatego, że brak społeczeństwu wiary w możliwość zwycięstwa. Ten brak wiary spowodowany jest obliczaniem wszystkiego, co podkreśla, uwypukla naszą słabość wobec Rosji.

A więc każdy wie, że kraj nasz w porównaniu z Rosją jest stosunkowo mały, że ludność polska w zestawieniu z ludnością całego państwa jest nieliczna, że najazd u nas opiera się na olbrzymiej armii, która posiada wielką przewagę techniczną nad ludnością, że rozporządza on sprężystą administracją, policją, żandarmerią itd. Wszystkie te obliczenia odbierają ludziom wiarę w możliwość obalenia władzy caratu w Polsce. I to tym bardziej, że słabe strony organizacji najazdu są ukryte, gdy silne występują jawnie, są dla każdego widoczne.

Z takiego położenia rzeczy wypływa pogląd, że bez oddziaływania jakichś czynników zewnętrznych, od nas bezpośrednio niezależnych, niemożliwa jest walka zwycięska z caratem. Panuje słuszne przekonanie, że sami, w stosunkach normalnych, nie damy sobie rady z najazdem i że tylko czynniki zewnętrzne, osłabiające rząd, a więc stawiające nas w korzystniejszych warunkach, mogą nam dać te szanse zwycięstwa, jakich dziś nie posiadamy. Wojna, w którą się Rosja uwikła, jakieś rozruchy wewnętrzne, osłabiające państwo, komplikacje finansowej natury, zmuszające rząd do ujawnie-

nia słabości — wszystko to musi potęgować wiarę społeczeństwa w możliwość zwycięstwa nad wrogiem, a więc i przyczyniać się do ułatwienia wybuchu rewolucyjnego. I na tym czynniku musimy opierać swe obliczenia, szykując się do walki zbrojnej.

III

Rząd, uwikłany czy to w wojnę zewnętrzną, czy też w jakieś trudności wewnętrzne, nie czuje się już tak pewnym, jak w stanie bezwzględnego spokoju. Skutkiem tego objawia pewną skłonność do ustępstw niezadowolonym, daje reformy lub je bodaj obiecuje. Ujawniając w ten sposób swe osłabienie, wzbudza u ogółu przekonanie, że walka z nim nie jest już tak trudna. Następuje okres wrzenia przedrewolucyjnego, kiedy rząd wstępuje na drogę szczerych lub tylko udanych, obłudnych reform, a ludność stopniowo nabiera śmiałości i wiary w skuteczność walki. W umysłach i sercach ludzi gnębionych zachodzą zmiany, wstępuje w nie otucha, wobec ujawniającej się słabości rządu rewolucja przestaje być czymś nieziszczalnym, jakąś mrzonką fantastyczną. Dążności rewolucyjne ogarniają coraz szersze masy, do stronnictw rewolucyjnych napływają całe tłumy, uprzednio stojące zdaleka od ruchu, obojętne.

Ten napływ nowych, niezorganizowanych sił z jednej strony wzmacnia olbrzymio partię rewolucyjną, lecz z drugiej pociąga za sobą groźne dla niej niebezpieczeństwo. Przypływ żywiołów świeżych (kilkakrotnie zwykle przewyższających liczebnie dawną organizację) utrudnia ogromnie ich opanowanie, tak organizacyjne, jak i ideowe. Świeże żywioły, które nie przeżyły wspólnie z partią wszelkich jej przeobrażeń wewnętrznych, nie wdrożyły się w jej sposoby myślenia i postępowania, przynoszą ze sobą mnóstwo kwestyj, zapytań, wątpliwości itd. I biada partii, która nie potrafi kategorycznie wszystkich tych kwestyj rozstrzygnąć, mieć gotowe odpowiedzi na te zapytania, umieć rozproszyć te wątpliwości. Z taką partią stanie się to, co się stało z naszą «lewicą» podczas okresu wrzenia rewolucyjnego w r. 1905 [1]): przekształci się ona na okręt, pozbawiony rudla, miotany na

[1]) «Lewica» Polskiej Partii Socjalistycznej reprezentowała kierunek «młodych», stojących na gruncie solidarności z rewolucją rosyjską i stawiającą na pierwszym miejscu zasadę międzynarodowości socja-

wszystkie strony przez bałwany rozhukanych żywiołów, oddany na los wypadków.

Otóż zadaniem naszym jest przygotowanie się do przezwyciężenia trudności, jakie będą piętrzyły się przed partią skutkiem napływu do niej mnóstwa nowych żywiołów w okresie wrzenia przedrewolucyjnego. Kierownicy partii powinni sobie zawczasu uświadomić swoje zadania, przygotować kategoryczne odpowiedzi — «tak» lub «nie» — na wszystkie wyłaniające się kwestie, rządzić się nie gorączką elementów niewyrobionych, lecz chłodną rozwagą, ścisłymi obliczeniami, nie iść za porywami żywiołowymi, lecz działać na podstawie obliczeń, według planu, poprzednio opracowanego. I w takiej właśnie chwili plan, od dawna przygotowywany, odda nieocenione usługi. W takiej bowiem chwili wszystkie władze partyjne — od Centralnego Komitetu Robotniczego aż do najdrobniejszego komiteciku fabrycznego czy wiejskiego — powinny wiedzieć, co mają czynić, jakie hasła i rozkazy wydawać, aby zapewnić rewolucji możliwie najwięcej szans powodzenia. A do tego potrzebna jest jak najszerzej rozpowszechniona świadomość co do zadań partii podczas rewolucji i co do sposobów walki rewolucyjnej.

Tu należy powiedzieć słów parę o samym charakterze planu powstania. Ludziom, nie znającym się na sprawach wojskowych, wydaje się, że możliwym jest plan ścisły, dokładny, opracowany w szczegółach. Tym czasem tak wcale nie jest. Sztaby państw w planach wojennych opracowują zwykle z całą dokładnością tylko sposób koncentracji wojsk oraz ogólny kierunek posuwania się wojska na początku kampanii. Napoleon, Moltke [1]) i inni znakomici strategicy i najlepsi znawcy spraw wojskowych twierdzą jednozgodnie, że można opracować tylko początek kampanii, ponieważ dalszy jej bieg i rozwój zależy przede wszystkim od postępowania i zachowywania się nieprzyjaciela. Nawet plany bitew sprowadzają się do opracowania szczegółowego ich początku, gdyż dalsza ich kolej zależy od okoliczności zmiennych.

To samo dotyczy i planu rewolucji — i to w jeszcze większym stopniu, bo tu się ma do czynienia z większą ilością nie-

---

lizmu, podczas gdy «prawica» z Piłsudskim na czele, tzw. «starzy» — reprezentowała ideę samodzielności polskiego ruchu rewolucyjnego oraz ideę niepodległości politycznej Polaków.

[1]) Helmuth Moltke (1800—1891), pruski gen.-feldmarszałek, długoletni szef sztabu armii pruskiej, twórca zwycięsko przeprowadzonych planów wojennych przeciw Danii (1864), przeciw Austrii (1866) i przeciwko Francji (1870—1871).

wiadomych i z przewagą nieprzyjaciela na tym terenie, na którym mamy działać. Pomimo to wszystko, o zasadniczych rysach planu możemy myśleć — i te mogą i powinny być opracowane.

IV

Zadania rewolucji rozpadają się na poszczególne działy, które rozpatrzymy po kolei, poczynając od organizacji p o l i t y c z n e j.

Do przeprowadzenia rewolucji nie wystarczają organizacje partyjne. Musi być utworzony r z ą d, któryby określił swój stosunek do wszystkich czynników, istniejących na opanowanym przezeń terenie. Podczas, kiedy stronnictwo, partia polityczna, nie jest obowiązana opanowywać całokształtu życia na danym terenie i może uwzględniać tylko pewne objawy życia, rząd musi wyraźnie zaznaczyć swe stanowisko względem wszystkich ludzi i stosunków i wyciągać z tego praktyczne konsekwencje. W czasach rewolucyjnych stronnictwo, które chwyta w swe ręce kierownictwo polityczne, musi odpowiedzieć na mnóstwo kwestyj, dotyczących życia bieżącego. Ruch uliczny i drogowy, sprawa otwierania i zamykania sklepów, sprawa pracy fabrycznej, pracy w polu, bezpieczeństwa publicznego itd. — wszystko to musi uregulować rząd rewolucyjny, wydając odpowiednie nakazy i instrukcje. Gdyby się nie podjął regulowania tych objawów życia z własnej podniety, to się do niego zwrócą zainteresowani — i brak z jego strony odpowiedzi zmniejszy jego powagę. A to utrudni mu ogromnie jego stanowisko i zmniejszy szanse powodzenia jego planów. Musi więc on rozstrzygnąć wszystkie wysuwające się na porządek dzienny sprawy — czy to swym wpływem moralnym, czy też siłą.

Przykład wielkiej nieudolności pod tym względem daje nam tzw. «republika sosnowiecka» podczas ostatniej rewolucji. Nie określiła ona swego stosunku do całych grup ludności, jak wojsko, policja itd. Żaden rozkaz w stosunku do tych czynników nie został wydany, co oczywiście musiało się odbić fatalnie na istnieniu «republiki», w której żadne zmiany nie dotknęły głównych sił wroga. Daleko rozsądniej postępowali ludzie, kierujący tzw. «republiką ostrowiecką». Weszli oni we wszystkie stosunki i starali się regulować całe życie na terenie «republiki», która upadła właśnie w chwili,

kiedy była zajęta regulowaniem sprawy niezmiernie ważnej: stosunków wzajemnych parobków a obywateli ziemskich [1]).

Umiejętne reagowanie na kwestie życia praktycznego zwłaszcza ważnym jest tam, gdzie — jak u nas — powaga rządu rewolucyjnego opiera się przede wszystkim na sile moralnej i gdzie ten rząd dopiero po zupełnym obaleniu panowania obcego uzyskuje faktyczną władzę całkowitą.

Pierwszym obowiązkiem po utworzeniu rządu jest o g ł o s z e n i e, że rząd istnieje, po czym należy wyznaczyć ajentów lokalnych, reprezentujących władzę, otrzymaną od rządu. Tymi ajentami, kierownikami lokalnymi, powinni być ludzie, orientujący się w sytuacji, ludzie tacy, którzyby, odpowiadając na zagadnienia życia codziennego, nie narażali na szwank powagi władzy rządowej, lecz, przeciwnie, wzmacniali ją i utrwalali. Lokalni ajenci rządu rewolucyjnego nie powinni popełniać błędów, dyskredytujących ich mocodawcę, a razem z nim i sprawę rewolucji. Przykłady nieodpowiedniego postępowania kierowników lokalnych są bardzo liczne w życiu ostatniej rewolucji. Taki fakt uspołecznienia produkcji węgla na «Saturnie», wobec zupełnej nieudolności kierowników ruchu i nieliczenia się ich z całokształtem stosunków ekonomicznych, już po trzech dniach doprowadził do reakcji antysocjalistycznej i do zniechęcenia robotników. Drugim podobnym faktem było załatwianie przez socjalistów w Łodzi spraw, najzupełniej nie nadających się do załatwiania przez władze rewolucyjne (stosunki między dziećmi a rodzicami, mężami a żonami podczas tzw. «konstytucji fabrycznej»). Natomiast idealnych przykładów z dziedziny organizowania władz lokalnych dostarcza r. 1863. Wówczas ajentów rządu słuchali nie tylko przeciwnicy powstania, ale nawet wrogowie Polski. Obywatele ziemscy, Rosjanie, opłacali podatek na rzecz rządu rewolucyjnego. We wszystkich miastach i miasteczkach byli czynni reprezentanci władzy rządu rewolucyjnego, który w ten sposób pokrył kraj cały siecią swej organizacji.

Koniecznym jest p u b l i c z n e o g ł o s z e n i e w o j n y, co daje rozpęd ruchowi i zapewnia poparcie mas niezorganizowanych. Ogłoszenie wojny może być dokonane i «po japońsku» (po pierwszych krokach zaczepnych), i przed rozpoczęciem walki, co zależy w zupełności od panujących w danej chwili warun-

[1]) Mowa o opanowaniu władzy lokalnej w Ostrowcu i Sosnowcu przez P. P. S. i utworzeniu «republik» w końcu grudnia 1905 r. Głośna była zwłaszcza «republika ostrowiecka» z prezydentem Ignacym Boernerem, trwająca kilkanaście dni.

ków politycznych. Manifest, ogłaszający wojnę, musi zawierać w sobie zasadnicze postulaty polityczne i społeczne rządu rewolucyjnego, żądania, w imię których wszczyna się walka. Samo się przez się rozumie, że postulaty społeczne muszą iść bardzo daleko, nie powinny one jednak przekraczać granic urzeczywistnialności, nie być niedorzecznymi (jak owo uspołecznienie «Saturna»). Stąd płynie obowiązek oględności w ich sformułowaniu.

Głównym zadaniem rządu rewolucyjnego, pierwszym jego obowiązkiem jest zapewnienie rewolucji powodzenia. Na plan pierwszy więc wysuwają się interesy walki zbrojnej, interesy wojny — i poparcie tych interesów przede wszystkim spada na barki rządu rewolucyjnego. Rząd więc musi używać wszelkich środków, aby pomagać armii rewolucyjnej, następnie zorganizować wyżywienie tak armii, jak i ludności, co wobec niszczenia przez rewolucję prawidłowego biegu życia codziennego jest bardzo ważnym, wreszcie dostarczać wojnie środków koniecznych. Tu system konfiskat na rzecz ogółu musi być uprawiany na bardzo szeroką skalę, zwłaszcza wobec wrogiego stosunku albo tchórzostwa znacznej części klas posiadających. Rząd rewolucyjny np., o ile opanował Zagłębie Dąbrowskie, musi zorganizować wydobywanie i rozsyłanie węgli, czynić rekwizycje żywnościowe czy to za gotówkę, otrzymaną z konfiskat lub podatku rewolucyjnego, czy też za kwitkami.

Jak my w czasach pokojowych mamy się przygotowywać do wszystkich tych zadań? Otóż przede wszystkim musimy się wyrabiać na kierowników, bo na nich będzie spoczywał cały ciężar pracy organizacyjnej. Od dobrego kierownika wymaga się różnostronności i zrozumienia, że każda rzecz ma swoje złe i dobre strony i że należy wybrać tę drogę, która zapewni maksimum dobrego przy minimum złego. Waga tych cech u ludzi rządzących jest olbrzymia. Ażeby wyrabiać się na przyszłych kierowników, należy stawiać sobie pytania — cobym robił w tej a tej pozycji, w tych a tych warunkach, gdybym musiał regulować te a te stosunki? Jak np. postąpiłbym w sporach fabrycznych? Jak zaprowiantowałbym Zagłębie, Częstochowę itd.? Jak eksploatowałbym kolej? Jak unieszkodliwiłbym władze miejscowe? Jak zorganizowałbym opodatkowanie? Jak przeprowadziłbym konfiskaty? Samo rozmyślanie nad tymi sprawami, omawianie ich z towarzyszami, wypracowywanie odpowiednich planów, ocenianie ich dobrych i złych stron itd. może już dać dużo. I tego nigdy nie należy w naszym położeniu zaniedbywać.

BIBLIOTEKA NARODOWA

V

Do przeprowadzenia walki rewolucyjnej są nieodbicie potrzebne dwie rzeczy: armia i broń. To też zadaniem rządu rewolucyjnego jest stworzenie armii rewolucyjnej i zaopatrzenie jej w dostateczną ilość broni. I jedno, i drugie nie jest łatwym, ale bez rozwiązania tych zadań nie może być mowy o prowadzeniu wojny z najazdem.

Zanim przejdziemy do omówienia bardziej szczegółowego, jak się rząd rewolucyjny ma do tych zadań zabierać, musimy zastanowić się nad pewną zasadą, o której zawsze musimy pamiętać. Zasada ta głosi, że walka fizyczna musi opierać się na obliczalności.

Z walką fizyczną, z wojną, jest zupełnie tak samo, jak w rzemiośle czy w fabryce. Ażeby przystąpić do wyrobienia jakiegoś towaru, należy mieć pod ręką zupełnie określoną ilość materiału, znać jego właściwości, jakość itd. Tak samo i przystępując do walki zbrojnej, można budować na tych tylko siłach, które się rzeczywiście posiada. Walka zbrojna — to nie manifestacja albo strajk manifestacyjny. Organizując manifestację, liczymy nie tylko na siły zorganizowane, ale i na tłum, który z tych czy innych powodów może wziąć w manifestacji udział. Od tego udziału tłumu uzależnia się powodzenie lub niepowodzenie manifestacji, a więc odgrywa tu rolę wybitną nie pewność, że takimi a takimi, ściśle określonymi, siłami będziemy rozporządzali, lecz nadzieja, że tłum prawdopodobnie weźmie w manifestacji udział.

Otóż w walce zbrojnej musimy mieć zawczasu przybliżone obliczenie sił, którymi będziemy na pewno rozporządzali. W chwili rozpoczęcia wyraźnych wystąpień siłą rozporządzalną w naszym ręku jest tylko organizacja. Tylko na niej możemy z pewnością polegać, tylko na niej możemy opierać wszelkie nasze rachuby. Czasami z tego składu organizacji należy część odrzucić, czasami wypadnie coś dodać, ale w każdym razie wahania te są nieznaczne i organizacja pozostaje tym fundamentem, na którym coś można budować. Dlatego też należy stale prowadzić obliczenia rozporządzalności sił organizacji. I chodzi tu nie tylko o ilość zorganizowanych, ale i o ich jakość. Jakość bowiem w wielu wypadkach ma większą wartość od ilości.

Dla celów walki największą wartość posiadają ci ludzie, którzy są do niej w ten czy w inny sposób przygotowani. Otóż powszechna służba wojskowa daje ludzi z armii, którzy z powrotem wchodzą do mas. Przede wszystkim tedy należy zwró-

cić uwagę na rezerwistów, jako na bardzo cenny żywioł rewolucyjny. Mowa tu o byłych szeregowcach, których wśród robotników i chłopów jest najwięcej. Jeszcze cenniejszym żywiołem rewolucyjnym są, naturalnie, podoficerowie i oficerowie. Po rezerwistach idą towarzysze, którzy brali udział w akcjach bojowych. Następne miejsce zajmują jednostki z temperamentem, obdarzone specjalnymi chęciami i zdolnościami bojowymi.

Partia, gotująca się do walki zbrojnej, musi zdawać sobie zupełnie dokładnie sprawę, w jakim stopniu takimi żywiołami rozporządza, bo właśnie na nich rząd rewolucyjny będzie musiał oprzeć pracę stworzenia armii ludowej, zbudowanie organizacji dla armii.

VI

Trudność stworzenia armii rewolucyjnej polega głównie na tym, że jej organizowanie musi być przedsiębrane w kraju, zajętym przez wroga, wprost pod kulami nieprzyjacielskimi. Mało tego, praca ta będzie się odbywała nie w wielkich skupieniach fabrycznych, gdzie posiadamy najliczniej zorganizowane siły. Te centra trzeba będzie dopiero zdobywać, opanowywać, już posiadając znaczną siłę zbrojną. Organizowanie armii ludowej będzie się odbywało tam, gdzie przewaga wojskowa rządu jest najsłabsza. Drugą trudnością dla rządu rewolucyjnego jest to, że musi organizować armię z niczego. Nie posiadamy bowiem ani stałego wojska naszego, ani stałych kadrów, któreby przez wcielanie do nich świeżych elementów można było rozwinąć w armię bez wielkich trudności.

Nasz rząd rewolucyjny będzie rozporządzał obliczalną zupełnie organizacją partyjną, za pomocą której będzie musiał stworzyć armię z tłumu niezorganizowanego. A trzeba wiedzieć, że tłum, dopóki nie jest ujęty w karby organizacji i dyscypliny wojskowej, dla walki nie ma żadnej wartości. Tłumem można manifestować, tłumem można coś zburzyć, ale nic niepodobna wywalczyć, zdobyć. Tłum zawsze będzie zmiażdżony przez siłę zorganizowaną. Trzeba tedy tłum zorganizować i dać mu się wyrobić w walce.

Jak zorganizować tłum? — Pierwsza zasada polega na podziale tłumu wedle jakości: należy przede wszystkim wydzielić z niego wszystkich tych, którzy coś umieją, a więc rezerwistów i bojowców, następnie wszystkich w ogóle zorganizowanych, bo ci posiadają cechę bardzo ważną — poczucie

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

odpowiedzialności. Właśnie na członkach trzech tych grup trzeba będzie oprzeć organizację armii ludowej, bo ufność do nich reszty stworzy możliwość manewrowania całością. Drugą zasadą organizowania jest bezwzględne posłuszeństwo. Jakiekolwiek chwianie się grozi wszystkim zgubą i dlatego musi być tłumione jak najbezwzględniej. W armii walczącej nie może być żadnych wyborów, żadnego stosowania zasady demokratycznej. Wszystko tu polega na mianowaniu i rozkazie.

Rysem charakterystycznym tłumu jest, że ogląda się on na jednostki. Wobec tego tłum należy rozdrobnić i każdemu odłamkowi dać komendanta. Im więcej ich będzie, tym lepiej. Im bogatszym jest państwo, tym więcej ma oficerów. Np. Anglia ma w kompanii pięciu oficerów, gdy Rosja trzech, przy czym kompania angielska jest dwa razy mniejsza od rosyjskiej. W ten sposób więc w armii angielskiej jest w odpowiednich jednostkach wojska trzy razy więcej oficerów, niż w Rosji. My możemy iść w tym kierunku jeszcze dalej: nad każdymi trzema stawiać komendanta, nad trzema czwórkami znowu komendanta itd.

Konieczną zasadą organizacji jest niedawanie do jednego oddziału ludzi, rozmaicie uzbrojonych, z chwilą, kiedy organizacja opiera się na oddziałach. Należy też dążyć do jednakowej liczebności oddziałów. Liczby czterech jednostek nie przekraczać, bo komendą trudno jest objąć więcej niż cztery oddziały. Nie należy zmieniać składu oddziału, aby oddział, jako jednostka, trwał jak najdłużej w tym samym składzie, aby jego członkowie zżyli się ze sobą, nabrali wzajemnego zaufania, co daje oddziałowi spoistość, siłę oporu i śmiałość w napadzie. Stąd właśnie pochodzi zasada armii terytorialnej, stosowana we wszystkich państwach z wyjątkiem Rosji, która, przeciwnie, miesza w poszczególnych jednostkach armii ludzi z rozmaitych stron państwa i każe im służyć daleko od miejsca urodzenia i stałego pobytu. Wskazanym jest korzystanie z doświadczenia Japonii, która dodała żołnierzom oddziały pomocnicze, robocze, spełniające obowiązki pozabojowe, wykonywujące prace fizyczne, które nużą i męczą żołnierzy, a mogą być wykonane przez ludzi nie walczących.

Zanim przejdziemy do sposobów prowadzenia wojny ludowej, musimy powiedzieć słów parę w sprawie dostarczenia armii rewolucyjnej broni. I tu od razu należy rozproszyć przesadne pojęcie o niesłychanych trudnościach, graniczących niemal z niemożliwością otrzymania broni przez rewolucję ludową.

Otóż broń jest towarem, stanowiącym takiż sam przed-

miot handlu, jak wszelki inny towar. Handel ten jest wprawdzie obstawiony najrozmaitszymi trudnościami, jednakże nie takimi, którychby fabrykant nie przełamywał, szukając drogi do odbiorców. Broń zawsze zostanie dostarczona, chociażby jej potrzebowali jakie dzikusy afrykańskie czy amerykańskie. Burowie, walczący z Anglią, otrzymywali broń przez kupców angielskich. Powstanie 1863 r. rozpoczęło się w styczniu z 600 strzelbami myśliwskimi, a już w sierpniu, tj. po pół roku trwania ruchu, Rząd narodowy rozporządzał 75.000 sztucerów belgijskich. 100—200 sztucerami rzucano w różne strony Galicji dla dalszego transportu do zaboru rosyjskiego tak samo, jak się to u nas robiło z kilkunastu brauningami. Podczas rewolucji 1905 r. P. P. S., rządzona przez «lewicę», przystąpiła do kupowania broni ostatnia, kiedy już wszystkie inne narody i grupy rewolucyjne państwa rosyjskiego opanowały były źródła broni. Pomimo to broń mieliśmy. Zakupienie broni nie będzie nastręczało zbyt poważnych trudności tak samo, jak i jej dostarczenie. Ciekawym jest, że właśnie tam, gdzie istnieją największe przeszkody, tj. w Prusach, tam przeszło najwięcej broni przez granicę.

VII

Wszystkie wojny ludowe można podzielić na dwa rodzaje, podciągnąć pod dwie kategorie, między którymi zresztą niepodobna przeprowadzić zupełnie ścisłej granicy. Są to albo manifestacje zbrojne, albo zbrojne rewolucje. Zbrojna manifestacja może przy pewnym zbiegu okoliczności przekształcić się na zbrojną rewolucję; ta ostatnia często staje się tylko zbrojną manifestacją. Różnica między tymi dwoma rodzajami walki ludowej polega na celu, jaki sobie każdy z nich stawia. Najbardziej znamienną cechą, wyróżniającą manifestacje zbrojne, jest to, że nie chodzi tu przeważnie o zwycięstwo, lecz o wywołanie pewnego wrażenia, o zwrócenie uwagi na nieznośne położenie danego kraju czy ludu. My dążymy do zwycięstwa, do ostatecznego rozprawienia się z najazdem i caratem i do położenia trwałych podwalin pod rozwój normalny naszego kraju w interesie masy pracującej. To też manifestacje zbrojne nie są naszym celem. Nie możemy się ich jednak zupełnie wyrzekać, bo niekiedy manifestacje zbrojne, specjalnie u nas, są konieczne wobec braku sił i braku wiary w siebie, zakorzenionego w społeczeństwie. Takimi ma-

nifestacjami zbrojnymi były i niektóre z ubiegłych walk naszych. Powstanie r. 1863 zaczęło się jako rewolucja, mająca zniszczyć siły caratu i znieść jego panowanie, ale w dalszym swym rozwoju przekształciło się ono na manifestację zbrojną. Rozumiano, że samo zwyciężyć nie może, ale starano się ruch przeciągnąć i zrobić zeń środek agitacyjny. Liczono na to, że przeciągnięcie się ruchu wywoła interwencję mocarstw zagranicznych, wmieszanie się ich w zatarg polsko-rosyjski.

Manifestacyj zbrojnych używają nie tylko ludy, usiłujące znieść jarzmo ucisku, ale i państwa. Formą manifestacyj zbrojnych jest mobilizacja, stanowiąca bardzo skuteczny środek oddziaływania na wroga.

Sposoby przeprowadzenia manifestacyj zbrojnych są rozmaite — w zależności od każdorazowego stanu kraju i stosunków, w nim panujących. Nie będziemy więc nad tym zatrzymywali się i przejdziemy od razu do omówienia zbrojnej rewolucji.

Początek zbrojnej rewolucji (mówimy początek, bo o dalszych stadiach jej rozwoju trudno mówić) rozpada się na cztery grupy czynności: 1) opanowanie terenu; 2) napady demonstracyjne; 3) roboty demolacyjne, niszczące; 4) prace organizatorskie. Właściwym zadaniem rewolucji jest pierwsza i czwarta grupa czynności; one też są zarazem jej właściwym środkiem.

Opanowanie terenu może być przeprowadzone albo po walce, po wyparciu z niego wroga, albo też bez walki — tam, gdzie wroga nie ma w poważniejszej liczbie. Rewolucja musi cały kraj opanować, wobec czego należy dążyć koniecznie do tego, aby objąć pod swe panowanie teren możliwie najbardziej szeroki. Zasklepianie się w zadaniach czysto lokalnych jest szkodliwe dla całości ruchu. Obejmowanie możliwie szerokiego terenu ma największe znaczenie w pierwszych, początkowych stadiach ruchu. A to z tego powodu, że na początku ruchu najłatwiej jest wyzyskać element niespodzianki, który daje przewagę słabemu nad silnym i który nawet podczas wielkich wojen dwóch armij państw militarnych odgrywa bardzo znaczną rolę. Oto podczas wojny rosyjsko-japońskiej, w bitwie pod Mukdenem [1]), kiedy obydwa wojska już w ciągu trzech miesięcy obserwowały się wzajemnie, niespodziane

[1]) Bitwa pod Mukdenem w czasie wojny ros.-japońskiej 1904—1905 rozegrała się w dniach od 19. II. do 10. III. 1905 r. i zakończona została zwycięstwem Japończyków.

obejście nieprzyjaciela lewym, a nie prawym skrzydłem niemal rozstrzygnęło losy boju na niekorzyść Rosji. W powstaniu r. 1863 nagłe napady styczniowe na garnizony rosyjskie udały się powstańcom dzięki niespodziewaniu się tych akcyj przez Rosjan.

Aby czynnik niespodzianki spotęgować i skorzystać z niego w całej pełni, należy wyzyskać noc, nie robić alarmu (jak to było w 1863 r., kiedy niepotrzebnie bito w dzwony podczas napadów), nie palić ogni itd.

Aby się opanowanie terenu udało, należy zawczasu przeprowadzić prace przygotowawcze. Należy ustalić dokładnie punkty koncentracyjne akcji i gdzie ma być zgromadzona broń. Należy obmyśleć drogi podejścia wroga, jak również cofania się na wypadek przegranej. Tylko bowiem umiejętne przewidywanie wszystkich ewentualności może dać gwarancję udania się planu lub zmniejszyć do minimum skutki nieudania się.

Opanowanie terenu nie zawsze się może udać, zwłaszcza w wielkich miastach, gdzie pogotowie policyjno-wojskowe jest bardziej sprawne. Nieudanie się przedsięwzięcia w jednym punkcie powoduje niepowodzenie całej akcji. Ale to nie może skłaniać kierowników rewolucji do zaniechania napadów.

Napady demonstracyjne należy przeprowadzić dla powstrzymania w danym punkcie lub ściągnięcia do niego możliwie większej siły wroga, przez co ułatwia się towarzyszom tak opanowanie terenu, jak i zgromadzenie większych sił rewolucji w innych miejscach. Zasadą przy przeprowadzaniu napadu demonstracyjnego jest dążność do wywołania jak najsilniejszego wrażenia. Chodzi o to, aby wróg musiał możliwie jak najwięcej sił skupić w danym punkcie. Taka «krwawa środa» [1]), w której brało udział stu kilkunastu ludzi, i to w mieście, posiadającym 30.000 wojska i policji, spowodowała ściągnięcie do Warszawy sił zbrojnych rządu z innych punktów kraju. Łódź swymi wystąpieniami zmusiła rząd do zdwojenia garnizonu.

Aby wywołać wrażenie siły i wzbudzić strach, należy używać materiałów wybuchowych, zastępujących ludzi. Jest to jeden z najlepszych u nas środków wywołania pożądanego efektu. Napady na osoby, kierujące administracją, zwiększają ich uwagę na bliskie niebezpieczeństwo i odwracają od dalszych. Napady na instytucje, specjalnie cenione (kasy, składy

[1]) Mowa o akcji Organizacji Bojowej P. P. S., zorganizowanej w środę 15. VIII. 1906 r. W rezultacie jednoczesnej akcji zbrojnej padło w tym dniu kilkudziesięciu policjantów i szpiegów rosyjskich.

broni, nabojów, prochownie) wzbudzają strach i wywołują ogromne zaniepokojenie rządu. Codzienne nękanie wroga demonstracyjnymi napadami w danym punkcie umożliwia prowadzenie walki w reszcie kraju. Barykady, fortyfikowanie domów, nawet przy pozornej chęci ich bronienia, wywołują wrażenie potrzebne.

Roboty demolacyjne posiadają u nas wyjątkowe znaczenie, albowiem wróg posiada olbrzymią przewagę techniczną, rozporządzając kolejami, telegrafem, telefonami, z czego my tylko w wyjątkowych wypadkach możemy korzystać. Należy się trzymać zasady, że każdy słup telegraficzny, każda szyna kolejowa jest raczej wrogiem naszym, niż przyjacielem. Telefon i telegraf odgrywają ogromną rolę w wojsku i odebranie mu tego stwarza dlań położenie bardzo trudne. Rząd, ceniąc ogromnie te urządzenia, będzie je niechybnie ochraniał. W czasie wojny francusko-pruskiej [1]) czwarta część armii użyta była do ochrony tyłów. W wojnie angielsko-burskiej [2]) ćwierć wojska angielskiego użyto do ochrony kolei i telegrafu. Podczas wojny japońskiej główną troską Rosji była ochrona kolei. Za rewolucji 1905 r. kilka napadów naszej bojówki na stacje wywołało obsadzenie wszystkich stacyj przez wojsko. W Królestwie Polskim przy energicznym nacisku połowa armii musiałaby bronić słupów telegraficznych i pilnować kolei.

Rzeczą bardzo ważną są składy wojskowe, specjalnie zaś składy nabojów, parki artyleryjskie, prochownie itd. Nie należy się łudzić, że uda się nam zniszczyć składy główne, znajdujące się w portach i twierdzach, ale nawet zniszczywszy tylko składy lokalne, przy przeciętej komunikacji, zmusimy wroga do wycofania się z danych punktów.

O pracy organizatorskiej mówiliśmy już obszernie w poprzednim rozdziale. Tu dodać tylko należy, że kiedy się wróg już usunął, trzeba natychmiast zapobiec rozprzężeniu się organizacji sił zbrojnych. Wszelkie bowiem organizacje niestałe narażone są na to niebezpieczeństwo. Tak, np., w zwycięskiej bitwie pod Grochowiskami [3]) (w r. 1863), stoczonej przed nocą, oddział powstańców rozproszył się po wygranej — i to zakończyło okres dyktatury Langiewicza [4]).

[1]) Mowa o wojnie francusko-pruskiej w 1870—1871 r.

[2]) Wojna angielsko-burska w 1899—1902 r.

[3]) Bitwa pod Grochowiskami (wojew. kieleckie) stoczona została 18. III. 1863 r.

[4]) Marian Langiewicz (1827—1887), gen. i dyktator polski w powstaniu styczniowym 1863 r.

VIII

W poprzednich rozdziałach rozpatrzyliśmy obowiązki partii rewolucyjnej w czasie pokoju, omówiliśmy zadania organizacji politycznej, mającej kierować rewolucją, zastanawialiśmy się nad kwestią stworzenia armii rewolucyjnej i zaopatrzenia jej w broń, wreszcie daliśmy przegląd samych sposobów prowadzenia wojny ludowej. Na zakończenie musimy powiedzieć słów kilka o zasadach, na których musi być oparty plan naszej walki zbrojnej z caratem.

Plan taki powinien się opierać na rzeczach niezmiennych — tak dotyczących sił wroga, jak i naszej organizacji. Otóż pewne rysy planu wypływają z dokładnego rozpatrzenia, z dokładnej analizy silnych i słabych stron wroga i naszych.

Najazd rosyjski silnym jest skutkiem posiadania organizacji wojskowej, wielkich zasobów broni i wszelkiego rodzaju urządzeń technicznych. Słabą natomiast stroną Rosji u nas jest duch jej wojska, otoczonego zewsząd przez wroga, następnie możność zmniejszenia siły moralnej najazdu wskutek przenikania rewolucji do jego własnych szeregów. Przypatrując się bacznie po kolei czynnikom siły i słabości armii rosyjskiej u nas, możemy wysnuć pewne, bardzo dla nas ważne, wnioski.

A więc pierwszym i najważniejszym czynnikiem siły jest organizacja wojskowa najazdu rosyjskiego. Ale siła to niejednolita, posiada ona bowiem swoje słabe punkty. Tymi ostatnimi są sztaby armii, jej dowódcy — jednym słowem, wszystko, co rządzi armią, co wydaje jej rozkazy, co wreszcie utrzymuje w niej porządek. Pozostawienie armii na pewien, chociażby krótki czas bez zleceń z góry — wytwarza stan niepewności i zamieszania, a więc zmniejsza jej siłę.

Broń stanowi czynnik ogromnej przewagi armii carskiej nad zrewolucjonizowanym ludem. Ale i broń ma swoją słabą stronę, którą są naboje. Karabin bowiem bez nabojów posiada wartość niedużo większą od zwykłego kija. Amunicja więc jest słabą stroną tego, tak ważnego czynnika siły.

Twierdze, szosy, koleje, sieć telegraficzna i telefoniczna — cały zespół techniczny, ogromnie wzmacniający siły wroga, posiada i słabe strony. Wszystko w tym zespole, co się daje stosunkowo łatwo zepsuć (koleje, telegrafy, telefony) stanowi słabą stronę czynnika siły.

Czynnikiem słabości wroga jest jego strategiczne położenie. Ze wszystkich stron otaczają go nieprzyjaciele, co pozbawia go pewności, osłabiając w nim ducha. Następnie ma

on bardzo dużo rzeczy do pilnowania — punkty administracyjne, składy pieniężne, środki komunikacji i wszelkiego rodzaju urządzenia techniczne. Obowiązek pilnowania tego wszystkiego rozprasza i osłabia jego siły. Przenikanie rewolucji do szeregów armii najezdniczej w postaci propagandy antyrządowej wśród żołnierzy, wrzenie wśród tych ostatnich, wreszcie najmniejszy bunt szeregowców ogromnie zmniejszają siłę i sprężystość ruchów armii.

Otóż przy opracowaniu planu należy skierowywać atak na słabe strony armii, aby tą drogą zmniejszyć wagę silnych. Zniszczenie sieci komunikacji telefonicznej i telegraficznej, zepsucie linii kolejowej, wysadzenie mostów, uniemożliwienie dowozu żywności i ładunków, rozdrobnienie siły wojskowej za pomocą napadów na liczne punkty i instytucje, które muszą być strzeżone, zamachy na przedstawicieli władz i kierowników oddziałów wojskowych, demoralizowanie armii za pomocą propagandy antyrządowej — wszystko to są środki, osłabiające siły rządu i dające nam możność uzyskania przewagi.

Nasze położenie w porównaniu z położeniem wroga jest wręcz odmienne. Strategicznie jesteśmy silni, natomiast nie posiadamy ani broni, ani urządzeń technicznych, nam służących. To też nasza rewolucja będzie się musiała oprzeć na ludziach, niosących swe życie w ofierze i płacących życiem za niedostateczne przygotowanie. Najsilniejszą stroną rewolucji są ludzie i ich zapał do walki. Chodzi o to, aby u tych ludzi górowało wszystko, co jest rozsądnym, świadomym i kierowniczym, aby zdawali sobie sprawę z silnych i słabych stron tak przeciwnika, jak i własnych, aby element zorganizowany opanował żywioły tłumu, na których nic budować niepodobna. Należy więc działać w kierunku wzmacniania wszystkiego tego, co stanowi najsłabszą stronę rewolucji, mianowicie jej organizacji.

HISTORIA ORGANIZACJI BOJOWEJ P. P. S.

WYKŁADY W SZKOLE CENTRALNEJ POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

«Historia organizacji bojowej P. P. S.» stanowi streszczenie wykładów, wygłoszonych przez Piłsudskiego w lipcu 1910 r. w Szkole Centralnej P. P. S. w Krakowie. Ogłoszona bezimiennie pod postacią maszynopisu p. t. «Historia Bojowa P. P. S .Wykłady w Szkole Centralnej Polskiej Partii Socjalistycznej» (1910) i w «Przedświcie» (kwiecień 1914) p. t. «Szkic rozwoju historycznego Organizacji Bojowej P. P. S.» powstała z notatek uczestników szkoły. Jakkolwiek sam Piłsudski korekty notatek tych, przed ich wydrukowaniem, nie dokonał, niemniej «Historia Organizacji Bojowej P. P. S.» nosi wyraźne piętno jego twórczości i stanowi niezmiernie doniosłe źródło, wyjaśniające ewolucję tej organizacji oraz główne koncepcje organizacyjne Piłsudskiego.

Tekst niniejszy przedrukowany został według tekstu pierwotnego z r. 1910.

I

Bojówka jest pierwszą próbą socjalistów polskich wprowadzania do działalności i taktyki czynnika siły fizycznej. Historia bojówki układała się na tle ogólnego stanu tak społeczeństwa, jak i samej organizacji P. P. S., to też dla dokładnego zrozumienia jej cech charakterystycznych należy na wstępie przyjrzeć się owemu tłu.

Społeczeństwo polskie w ostatnich kilkudziesięciu latach było wychowywane w atmosferze pokojowej. Od r. 1870 — to jest od wojny francusko-pruskiej — Europa znajdowała się w stanie równowagi, w stanie spokoju, którego nie zamącały wojny takie, jak rosyjsko-turecka [1]), albo wojny kolonialne, ponieważ odbywały się zbyt daleko od centrów życia europejskiego. W Europie panował militaryzm pokojowy, polegający na ustawicznym zbrojeniu się. Ale poza kołami ściśle wojskowymi, reprezentującymi funkcje siły, myśl o zmianach i przewrotach, spowodowanych wystąpieniami militarnymi, zanikła.

W Polsce, która nie posiadała własnej armii, tendencje pokojowe ogarnęły społeczeństwo jeszcze wszechstronniej, niż na Zachodzie. O wojnie nie myślano wcale, wyobrażano ją sobie powszechnie w postaci reminiscencji. U części socjalistów występowała ona w postaci niejasnych pragnień, mgli-

[1]) Mowa o wojnie rosyjsko-tureckiej rozpoczętej 24. IV. 1877 r. i zakończonej 3. III. 1878 traktatem pokojowym w San-Stefano, zwycięskim dla Rosji.

stego poczucia, że dla socjalistów polskich nie ma innego wyjścia poza walką zbrojną.

Nastrój antywojenny wzmacniały u nas jeszcze tradycje klęski powstania 1863 r., które pokryły olbrzymim cieniem całą ziemię polską i wszystkie umysły. Z tymi tradycjami, rodzącymi sceptycyzm w stosunku do walki z armią, z siłą wojskową, — mamy do czynienia do dziś nawet. I w P. P. S. powszechny ten nastrój panował. Pierwszymi próbami w kierunku wskrzeszenia idei walki fizycznej były artykuły w «Przedświcie» (1900—1901) o walce zbrojnej, między innymi artykuły Mazura [1]), który w sposób być może nieudolny udowadniał konieczność walki powstańczej i dawał pewne rady praktyczne. Z artykułów tych zrobiono materiał do ośmieszania «starej» P. P. S. i kierowników «Przedświtu». Tak śmiesznym wydawało się ogółowi socjalistycznemu mówienie o armatach, karabinach, że ludzi, myślących o walce czynnej, wydrwiwano jako «romantyków», «niedobitków tradycyj powstańczych» itd. Broniono wobec ich «herezyj» czystości zasad partyjnych.

Zupełnie wyjątkowymi wypadkami stosowania siły fizycznej były fakty zabicia szpiegów w Warszawie, Częstochowie i Zagłębiu (1900). Wypadki te wypłynęły jednak nie ze świadomej dążności partii. Były one wynikiem chwilowego wzrostu sił organizacji, napływu do partii większej liczby robotników, posiadających znaczniejsze napięcie temperamentu. Świadomość konieczności używania siły fizycznej nie grała tu żadnej roli. Nie było też żadnej broni specjalnej, — posługiwano się nożem, jako narzędziem, powszechnie używanym.

Teror wydawał się ogółowi jedynym dającym się pomyśleć systemem walki fizycznej z wrogiem, — widoczny był tu wpływ Rosji. Rozumiano wprawdzie, że nie da on zwycięstwa, ale nie umiano sobie wyobrazić żadnej innej formy walki.

Co do samej organizacji, to najbardziej charakterystyczną jej cechą była luźność. System organizacji był przystosowany do agitowania — stąd sama nazwa znamienna «organizacja agitacyjna» — nie «propagandystyczna», nie «organizująca». Piętno agitacji leżało na całej partii. Agitacja wymaga jak najszerszego zetknięcia się z masami, bo tylko wówczas daje pożądane wyniki. Zetknięcie się to było luźne, na peryfe-

[1]) Mazur — pseud. St. Grabskiego, podówczas członka P. P. S., który w szeregu artykułów, napisanych do «Przedświtu», nawoływał do zorganizowania walki zbrojnej z caratem. Poza nim pisywali w tym samym duchu do «Przedświtu» Wł. Wójtowicz (pseud. W. Piotrowski) i Witold Jodko (pseud. Al. Wroński).

riach organizacji zatracało się w szerokich masach. Ułatwiało to ogromnie szerzenie w masach pism i myśli, rzucanych przez partię. Nie dawało natomiast żadnej rozporządzalności sił, która wymaga ścisłości organizacyjnej. Luźność ułatwia agitację, ale utrudnia wywoływanie bezpośredniego czynu. Drugą cechą organizacji był brak sił wyrobionych, zdolnych do kierowania sobą. Wobec tego organizacja stanowiła budowę na piasku.

Dopiero po wojnie [1]) mieliśmy dość ludzi do kierowania organizacją. Przed rewolucją siły te były bardzo nieliczne i pochłaniała je agitacja. Próby stworzenia organizacyj ściślejszych rozpoczęto przed samą prawie wojną. Partia posiadała olbrzymią siłę moralną, obok zupełnego braku siły materialnej, co odbiło się na tej roli, jaką P. P. S. miała odegrać w nadchodzących wypadkach.

Całe społeczeństwo, wychowane w tradycjach pokojowych i padające plackiem wobec siły techniczno-wojskowej wroga, spotkało wojnę rosyjsko-japońską jako zupełną niespodziankę. W społeczeństwie panowały teoryjki o niemożliwości wojny ze względów finansowych i wprost technicznych. Zdawało się, że państwa, toczące wojnę, nie wytrzymają jej finansowo. Z drugiej znowuż strony wydawało się, że skutkiem wynalazków i udoskonaleń technicznych dwie armie zniszczą się wzajemnie (na wzór owych przysłowiowych kotów, po których tylko ogony pozostały) zanim dojdzie do spotkania. Wbrew tym przypuszczeniom wojna wybuchła i państwa, ją toczące, choć z wielkim trudem, wytrzymały ją finansowo.

Wobec wojny społeczeństwo stawia wielkie wymagania P. P. S., która, niestety, nie rozporządza żadną siłą fizyczną, choć liczba jej stronników gwałtownie wzrasta. Ci ostatni domagają się od P. P. S. wskazówek co do sposobów przeprowadzenia koniecznych zmian politycznych. Stąd zjawiają się pierwsze próby nakazywania członkom partii wystąpień ulicznych. Warszawski Komitet Robotniczy wydaje rozkaz oczyszczenia ulic od szpiegów, ajentów policji, wystających na rogach. Wydano odpowiednie odezwy. W rezultacie — fiasko, bo przede wszystkim ludzie nie byli przyzwyczajeni nawet do stawiania się o wyznaczonej porze w danym miejscu, więc niepodobna było nimi rozporządzać. Następnie sama robota budziła niepewności i wywoływała szereg znaków zapytania.

W takich warunkach zjawia się pierwsza «bojówka», zupełnie niepodobna do następnych. Byli to ludzie, wybrani

[1]) Mowa o wojnie rosyjsko-japońskiej, rozpoczętej 8. II. 1904 i zakończonej 29. VIII. 1905 r. pokojem w Portsmouth w St. Zjedn. A. P.

z dzielnic i organizacyj fabrycznych, pozostający w rozporządzeniu partii. Zasada rozporządzalności została tu podniesiona na wyższy stopień. Za uzbrojenie służyły — laski. Na «bojowców» włożono obowiązek stawiania się w pewnym punkcie na żądanie organizacji. Odbywały się drobne manifestacje. Po fajerancie kupka ludzi wyskakiwała na ulicę, rozwijała czerwony sztandarek i, zanim zjawiła się policja, po 4—5 minutach rozpraszała się. Drobne te manifestacje (1904) dopomogły partii do opanowania nastroju tłumu ulicznego Warszawy.

Pierwszą fazę rozwoju bojówki cechuje spotęgowanie zasady rozporządzalności i ścisły związek z resztą organizacji. Ale o stosowaniu siły fizycznej jeszcze nie ma mowy.

Tym czasem wypadki się rozwijały. Otoczenie partii domagało się wzmocnienia temperamentu i spotęgowania wystąpień na zewnątrz. To parcie z boków i z dołu wywołało u kierowników partii dążność — z musu — do bardziej ostrych środków walki.

Padły pierwsze strzały podczas mobilizacji, dokonanej w Królestwie wbrew powszechnym nadziejom. Ogół sądził, że rząd nie odważy się przeprowadzić u nas mobilizacji. Tymczasem stało się inaczej. Mobilizacja została dokonana na południu Królestwa oraz po części w Płockim. Wysłano wojsko z Królestwa na plac boju. Był to policzek moralny dla rewolucyjnie usposobionej części społeczeństwa. Odpowiedzią na mobilizację były manifestacje zbrojne w Warszawie, Radomiu i Częstochowie. Były one nieudolne, reprezentowały mało elementu siły, ale dużo naiwności, bardziej liczyły na zapał i poświęcenie, niż na siłę. Grzybów (13 listopada 1904) był punktem zwrotnym [1]).

Po nim następuje szybkie wprowadzanie środków rewolucyjnych do taktyki P. P. S. Organizuje się druga bojówka o celach terorystycznych (z jej łona wyszedł Okrzeja) [2]). Sposób organizowania był oryginalny i nieodpowiedni. Składała się bowiem z luźnych grupek ludzi. Zasada rozporządzalności

---

[1]) W dniu 13. XI. 1904 r. w czasie toczącej się wojny z Japonią, w związku z zarządzoną przez Rosję mobilizacją w Królestwie Polskim — P. P. S. zorganizowała manifestację na placu Grzybowskim, w czasie której po raz pierwszy przeprowadzone zostało zbrojne wystąpienie przeciw policji i wojsku. (Por. «Wspomnienie o Grzybowie» w t. IX).

[2]) Okrzeja Stefan, jeden z najwybitniejszych członków Organizacji Bojowej P. P. S. Urodzony 3. IV. 1886, w czasie zamachu na cyrkuł na Pradze 26. III. 1905 został ranny i schwytany; stracony w Warszawie 21. VII. 1905 r.

została utrzymana. Jednocześnie zaszło rozluźnienie stosunku do reszty partii. Bojówka ta używana była do wykonywania zadań praktycznych.

Tym czasem wybucha strajk powszechny (styczeń, 1905), który wynosi P. P. S. na szczyty, niedostępne nawet marzeniu. P. P. S. otrzymuje dyktaturę moralną nad całym społeczeństwem. Ludzi uderzył fakt poruszenia się na rozkaz partii olbrzymich tłumów dla zamanifestowania solidarności z wystąpieniami partii. Skutkiem tego nawet grupy Narodowej Demokracji udawały się do P. P. S. po wskazówki i komendę. Tej olbrzymiej sile moralnej, jaką rozporządzała P. P. S., nie odpowiadała jej możność zachowania siły moralnej wobec tłumu. Możność ta była nader nikła.

Rada partyjna (czerwiec, 1905) [1]) była nowym punktem zwrotnym tak w historii partii, jak i w dziejach bojówki. Na Radzie tej bowiem zarysowały się poglądy, które z czasem miały doprowadzić do rozłamu. Poglądy te na wszystkich następnych Zjazdach i Radach rodziły powody do starć.

Według jednego poglądu bojówka powinna być narzędziem walki natychmiastowej, narzędziem, przyczepionym do istniejących organizacyj lokalnych i załatwiającym ich potrzeby, a nie scentralizowaną siłą w rozporządzeniu partii, jej organów centralnych. Pogląd ten wyznawała «lewica». Według niej bojówka powinna była stać się natychmiast armią, z siłami, jakie ma obecnie; powinna była przestać myśleć o scentralizowanej sile fizycznej, rzuconej na szalę wypadków w chwili decydującej: powinna była zużytkowywać swe siły na drobne rzeczy bieżące.

Drugi kierunek chciał z organizacji bojowej uczynić kadry stałe, w które możnaby wciągnąć lud zrewolucjonizowany podczas wybuchu walki.

Zwyciężył kierunek «lewicowy». Dzięki stanowisku pojednawczemu niektórych zwolenników drugiego kierunku, którzy poddali się uchwale większości, nie zrzekając się przeprowadzenia własnych poglądów (Mirecki) [2]), jedność partyjna nie rozprysła się. Zapanowała zgoda pozorna, ale faktycznie kierownicy bojówki zabrali się do tworzenia grup bojowych,

---

[1]) Mowa o I Radzie P. P. S. odbytej 15—18. VI. w Józefowie pod Warszawą.

[2]) Mirecki Józef (Montwiłł), członek Wydziału Bojowego P. P. S. Urodzony 27. II. 1879 r., jeden z najwybitniejszych kierowników Organizacji Bojowej, zasłynął z zuchwale przeprowadzonej akcji bojowej na pociąg pod Rogowem. Aresztowany w Warszawie we wrześniu 1907, stracony został na stokach cytadeli 9. X. 1908 r.

musztrowanych, szkolonych, choć nie na całym terenie kraju, co wytworzyło pewną niejednolitość.

Owocami tej roboty były (sierpień, 1905) pierwsze napady na kasy rządowe w Lubartowie, Węgrowie i (udany, pod kierownictwem Mireckiego) w Opatowie [1]).

Ogólno-partyjne życie z jego sporami o zasadę niepodległości, o koordynację itd. oddziaływało i na Organizację Bojową. I na niej odbiło się piętno ruchu masowego, braku myśli o robocie na przyszłość, wobec czego panowało niezdawanie sobie sprawy z tego, jak prowadzić Organizację Bojową. Aresztowania (w sierpniu, wrześniu, 1905) rozbijają organizację Organizacji Bojowej, po której, jako po organizacji, nie pozostaje prawie śladu. Pozostają tylko ludzie oddzielni. I taki stan panował w czasach najkrytyczniejszych, podczas powstania moskiewskiego, kiedy lewicowy Centralny Komitet Robotniczy ogłosił i u nas powstanie (grudzień, 1906). To ostatnie z braku sił wyraziło się w drobnych utarczkach. Jedynym poważniejszym objawem ruchu była «Rzeczpospolita ostrowiecka». Nastąpiło rozczarowanie i sceptyczny stosunek do roli Organizacji Bojowej.

Wówczas nastał okres krytyki przeszłości Organizacji Bojowej, która znalazła się w tym położeniu, że nie posiadała szerszych zadań, a więc ulegała wypadkom bez możności reagowania na nie. Brak jednolitego programu kształcenia i przygotowania do walki ciążył na bojowcach, którzy różnili się od innych członków partii tylko nazwą («bojowcy»), nie zaś wyszkoleniem i przygotowaniem. W rezultacie pociągało to za sobą zrażenia się i demoralizację ludzi.

Powstaje chęć oddalenia się od organizacji, wyodrębnienia się ze sfery obojętnej, nierozumiejącej zadań walki fizycznej. Organizacja Bojowa staje na rozdrożu. Mogła ona skutkiem panującego w niej chaosu pójść tak samo w kierunku «lewicowym», jak i w przeciwnym, albo wybrać kierunek pośredni. Działały na nią bowiem dwa prądy. Jeden — «lewicowy» — żądał działalności natychmiastowej, bez względu na stan sił, bez organizacji centralnej dla rewolucjonizowania umysłów i serc. Drugi twierdził, że serca i umysły są już zrewolucjonizowane, że trzeba tylko wytworzyć siłę fizyczną dla zdobycia swoją krwią celu, że trzeba wytworzyć kadry dla wlania w nie ludu zrewolucjonizowanego, aby przeprowadzić szerokie zadania rewolucji zbrojnej.

[1]) Zostały one wykonane równocześnie w nocy z 5 na 6 sierpnia 1905 r. Akcją w Lubartowie kierowali Bobrowski i Śledziński, w Węgrowie Harasymowicz i Rouba. Akcja opatowska przyniosła ponad 12 tys. rubli.

Poznaliśmy więc dotychczas dwa okresy rozwoju bojówki. W pierwszym wzmacnia się stan rozporządzalności przy ścisłym związaniu z resztą organizacji. W drugim występuje proces oddzielania się, wyodrębniania się Organizacji Bojowej z reszty organizacji.

II

Dzięki nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności wypadkowych, które przyczyniły się do osłabienia kierunku «lewicowego» w Organizacji Bojowej, i dzięki zupełnej nieudolności i bezradności przedstawicieli kierunku «lewicowego», którzy nie potrafili stworzyć nawet takiej armii, jakiej potrzebowali,— dzięki temu kierownictwo Organizacji Bojowej przeszło do rąk ich przeciwników. Ci wobec niemożności tworzenia silnych liczebnie kadrów bojowych, któreby następnie asymilowały szersze masy, wchłaniając je, dążyli do stworzenia kadrów, silnych spoistością wewnętrzną, solidarnością.

Chodziło o to, aby wobec niechętnego stanowiska «lewicowego» kierownictwa partyjnego powoli stworzyć organizację, silną wewnętrznie, przeniknięta jednym duchem, — organizację, któraby mogła wytrzymać przylew nowych sił, nie ulegając ich parciu. To był cel zasadniczy kierowników. Dla osiągnięcia tego celu postawiono wytworzyć jednolitą metodę kształcenia bojowców na przestrzeni całego kraju. Ta jednolitość miała być przeciwstawiona poprzedniej przypadkowości. Tymi względami kierowali się organizatorowie pierwszych szkół bojowych.

Pomimo braku doświadczenia u samych kierowników, który odbijał się na powodzeniu pierwszych szkół bojowych, te ostatnie pod jednym względem dokonały wprost cudu. W szkołach wyrobiła się ogromna karność i umiejętność narzucania sobie nakazów, wyrobił się mus panowania nad sobą i hart woli. Bojowcy dzięki szkole przeobrażali się gruntownie i, pozbywając się szkodliwych narowów i kaprysów, stawali się wprost innymi ludźmi.

W planie kierowników leżało opanowywanie za pomocą Organizacji Bojowej prowincji, poczynając od niedużych miast, gdzie organizacje partyjne były słabe i gdzie skutkiem tego «lewicowcy» nie mogliby rozbić rozpoczętej pracy. Rozumowano w taki sposób: kiedy Organizacja Bojowa stanie na nogi, z wyrobionymi już na prowincji siłami pójdzie do «stolic» ruchu, gdzie stworzy odpowiednie kadry bojowe.

A więc miano na celu trzy zadania: 1) stworzenie kadrów nielicznych, ale silnych spoistością wewnętrzną; 2) przeprowadzenie bojowców przez ujednostajnione wyszkolenie i 3) rozmieszczenie bojowców na całej przestrzeni kraju, poczynając od tych punktów, gdzie organizacja ogólno-partyjna była zbyt słaba, – dla uniknięcia skutków wrogiego nastroju «lewicy».

Pierwsi uczniowie szkoły bojowej zostali rozesłani po kraju z zupełnie ścisłymi instrukcjami tworzenia nie więcej jak jednej piątki — i to nawet w takich dużych centrach, jak Częstochowa. Po dokładnym poznaniu i skontrolowaniu tej pierwszej piątki miano przystąpić do tworzenia drugiej, trzeciej itd. Taki był plan. Życie sprawiło, że nie został on przeprowadzony do końca. Spokojna, systematyczna, powolna praca organizatorska stanęła w sprzeczności z rozwojem wypadków i stanem umysłów w kraju. Z dołu szedł pęd do organizowania się, któremu niepodobna było się oprzeć. W krótkim czasie liczba zorganizowanych parokrotnie przenosiła liczbę pierwotnie projektowaną, choć w większości punktów kraju robota nie została jeszcze nawet zapoczątkowana. Północ była jeszcze nietknięta: w Płockim, Kutnowskim, Włocławskim, Łomżyńskim nie było ani jednej piątki. W Warszawie — toż samo. Jednocześnie w ciągu kilku miesięcy zarząd Organizacji Bojowej przygotował wszystkie materiały pomocnicze — (broń, naboje itd.) na daleko większą liczbę, niż to było przewidziane w planie.

Stan umysłów pchał do natychmiastowych przejawów walki. W Organizacji Bojowej panowało ostre niezadowolenie z Wydziału za niedopuszczanie do wystąpień bojówki na zewnątrz. Wydział rozumiał, że niemożliwym jest robienie rewolucji z 500—600 zorganizowanych bojowców, do których przyłączyłoby się jeszcze parę tysięcy ludzi. I tylko wybiegami dyplomatycznymi Wydział odwlekał sprawę wystąpień, do których parła i sama Organizacja Bojowa, i cała partia.

To stanowisko ułatwiła Wydziałowi Rada partyjna (czerwiec, 1905), która zażądała od Organizacji Bojowej zniesienia jej centralizacji i oddania poszczególnych organizacyj bojowych pod komendę organizacyj lokalnych partii — w celu utworzenia armii, rozpuszczonej w otoczeniu niebojowym. Żądanie to zostało w zasadzie przyjęte. Wydział protestował przeciwko niemu tylko z powodów formalnych, gdyż nie pytano ogółu bojowców, czy się na tę propozycję zgodzą. Wydział wypowiedział się za nią, bo sądził, że wpuszczenie do ogólno-partyjnej organizacji — luźnej, o niezdecydowanych poglądach, wobec zrewolucjonizowania ludności — wpuszczenie ludzi z temperamentem, żądających szerszej rewolucji

da pożądane rezultaty. Mianowicie przyczyni się do budowania armii z dołu, kiedy nie udało się uczynić tego z góry.

Sprawę tę poddano pod obrady Konferencji bojowej (czerwiec, 1905), która odrzuciła obydwie drogi — tak Rady, jak i Wydziału. Wybrała natomiast pośrednią — drogę tworzenia armii scentralizowanej, nie rozpływającej się w organizacjach lokalnych, ale zaraz idącej do boju bez względu na ilość sił, aby pociągnąć lud przykładem i pchnąć go do rewolucji.

To wypowiedzenie wojny rządowi przez Organizację Bojową nie miało politycznego znaczenia, gdyż nie było właściwego powołania do wojny mas (takiego chociażby, jakie było wówczas, gdy Centralny Komitet Robotniczy proklamował w nrze 68 «Robotnika» powstanie). Odebrało to akcji rozpęd, jakiby jej nadało ogłoszenie wojny przez władze polityczne partii. Skutkiem tego zabrakło bojowcom szerokiego poparcia mas. Armia bojowa z kilkuset ludzi, których liczba wzrosła do 1½—2 tysięcy, a wraz z ogółem biorących udział w walce do 5½ tysięcy, była zbyt słaba. Brak politycznego ogłoszenia i brak poparcia ogółu spowodował nierównoczesność wystąpień, częściowe porażki i zwycięstwa.

Porównanie tego ruchu z ruchem r. 1863 wypadnie tylko częściowo na korzyść pierwszego. Wówczas nie było takiej szerokiej masy ludowej w ruchu. Jej udział był zaledwie marzeniem demokratów i to był wielki plus dla nas. Natomiast brak elementu politycznego w ruchu naszych bojowców był wielkim minusem w porównaniu z sytuacją powstania 1863 r. i odbierał temu pierwszemu znaczną część siły. Ogólne tło walki też było dla nas bardziej niekorzystne od sytuacji z r. 1863. Pokojowe wychowanie społeczeństwa, brak wiary we własne siły (wiary, istniejącej w r. 1863), brak śmiałości do podejmowania szerokich zadań politycznych — wszystko to skierowywało uwagę na drobne cele, kazało w nich widzieć zadanie walki. Zabicie szpiega, stójkowego urastało do rozmiarów poważnej akcji rewolucyjnej. Co do warunków walki, to wróg w r. 1906 znajdował się w stanie większego bezładu, niż w r. 1863, ale natomiast posiadał bez porównania większą przewagę techniczną.

W walce, rozpoczętej przez Organizację Bojową, ściśle był stosowany system grupowy. Organizacja składała się z grup (piątki, potem szóstki) stałych, nierozwiązujących się, występujących zawsze w tym samym składzie. Nawet do przedsięwzięć mniejszych, gdzie potrzeba było 1—2 ludzi, szła zawsze grupa. Ta wojna grupowa mogła się utrzymać tylko przez

kilka miesięcy. Już od listopada 1906 musiała przybrać inne formy. Okres walki grupowej dał dwie bitwy największe — «Krwawą Środę» w Warszawie i na prowincji oraz Rogów [1]) W obydwóch tych akcjach brała udział największa liczba bojowców — w «Krwawej Środzie» kilkudziesięciu, pod Rogowem — 36.

Okres walki grupowej dał absolutne zwycięstwo nad policją i żandarmerią, które musiały usunąć się zupełnie, ustępując pełnienie swych funkcyj wojsku. Policja i żandarmeria zachowały tylko kierownictwo. Wojsko zostało rozsypane po całym kraju, po miasteczkach, wsiach i fabrykach. Pociągnęło to za sobą dwa skutki. Wojsko, przeciążone pracą policyjną, zdemoralizowało się i traciło sprawność militarną oraz pewność siebie. Z drugiej strony zbliżyło się ono z ludnością, weszło w jej życie; przestało być dla ludności czymś tajemniczym, mitycznym, strasznym, jak Jowisz, siedzący gdzieś za chmurami i miotający znienacka pioruny, spowszedniało i nie wywoływało już strachu, jak dawniej.

W dużych miastach pod osłoną grupowej walki Organizacji Bojowej zapanowała «konstytucja fabryczna», gdy poza fabrykami rozszerzyło się panowanie żołdactwa. W małych natomiast (również w Zagłębiu) konstytucja była zupełna. Tu policja, trzymana na wodzy strachem wobec bojowców, oddawała honory członkom komitetów partyjnych, bojąc się ich ruszać i świadomie zamykając oczy na działalność rewolucyjną. Sytuacji tej partia nie umiała wyzyskać dla pracy organizacyjno-bojowej, wyzyskując ją jedynie dla agitacji i organizacji politycznej. Posiadając najzupełniejszą przewagę nad policją, Organizacja Bojowa wobec wojska była bezsilna.

Kulminacyjnym punktem rozwoju Organizacji Bojowej były — «Krwawa Środa» i Rogów. Były to ostatnie przebłyski na wpół planowej walki. Potem następuje okres walki dorywczej, przypadkowej, okres cofania się. Pogrom w Siedlcach [2]) stanowiący odpowiedź na «Krwawą Środę», pozostał bez odpowiedzi ze strony Organizacji Bojowej. Była to moralna przegrana Organizacji Bojowej, po czym przyszła i materialna.

Pogrom siedlecki wywołał popłoch w całej organizacji partyjnej, bo zrozumiano, że rząd może wszędzie, w każdym punkcie Królestwa, zorganizować z pomocą wojska takiż sam

[1]) Mowa o akcji Organizacji Bojowej na pociąg pod Rogowem przeprowadzonej pod dowództwem Montwiłła-Mireckiego w dniu 8. XI. 1906 r.

[2]) Mowa o pogromie, przeprowadzonym przez wojsko rosyjskie w Siedlcach w dniach 8—11. IX. 1906 r., w czasie którego zabito kilkudziesięciu, a raniono ponad 300 mieszkańców Siedlec.

pogrom. Organizacja Bojowa nie zdobyła się na żadne środki przeciwdziałania i rząd, zrozumiawszy jej bezsilność wobec przewagi żołdactwa, zabrał się energicznie do likwidacji ruchu rewolucyjnego, do stopniowego oczyszczania kraju od elementów niepożądanych, poczynając od większych miast, gdzie się najbardziej czuł na siłach.

Świadomość przegranej wywołała w partii chęć zamknięcia tego okresu walki politycznej. Na tym tle powstaje rozłam w P. P. S.[1]). Skutkiem tego, że w Organizacji Bojowej skupiały się żywioły polityczne «opozycyjne», z Organizacją Bojową były związane i spory polityczne. Do rozłamu szła świadomie «lewica», my — mniej. Po rozłamie Organizacja Bojowa musiała dać mnóstwo sił do roboty politycznej, co osłabiło ogromnie samą Organizację Bojową, ale przyczyniło się do uratowania wszystkiego, czym jest prawdziwa P. P. S., do triumfu jej zasad i kierunku.

Od listopada 1906 rozpoczyna się okres taktyki indywidualnej Organizacji Bojowej. Od wystąpień grupowych przechodzi ona do systemu dobierania towarzyszy dla wykonania tego i czy innego przedsięwzięcia. Koniec r. 1906 i początek 1907 schodzi na borykaniu się wewnętrznym z niemożliwością utrzymania organizacyj grupowych. Organizacja Bojowa, chcąc uratować ideę trwania kadrów bojowych, przy czym stale się kurcząc, przystępuje do organizowania m i l i c j i. Za punkt operacji obrano na początek Łódź. Może wybór ten nie był odpowiedni, ale próba nie udała się zupełnie. Organizacja milicyjna, nie przeszedłszy koniecznego wykształcenia i wyszkolenia, postanowiła przekształcić się na bojówkę i przejść do akcyj bojowych. W rezultacie: demoralizacja, bandytyzm i inne smutne objawy, które zniewoliły partię do rozwiązania organizacji łódzkiej.

Tym czasem trwała dalej drobna wojna utarczkowa, oswajając ogół ludności z bojem, z używaniem broni. Wobec zmieniających się ustawicznie na naszą niekorzyść warunków, wobec straty sił, pochłanianych przez próby powrotu do dawnego systemu, coraz bardziej zapanowywała taktyka indywidualna. Od końca 1907 do połowy 1908 mamy okres przejściowy, w którym taktyka indywidualna bierze w końcu górę. W miarę tego, jak rząd stopniowo pozbawiał Organizację Bojową punktów oparcia, taktyka grupowa stawała się zupełnie niemożliwą.

---

[1]) Mowa o rozłamie w P. P. S., przeprowadzonym w listopadzie 1906 na zjeździe wiedeńskim. Porówn. wstęp do t. II, str. 4.

Taktyka indywidualna ogromnie wyrabiała bojowców, robiła z nich artystów, zdolnych do mistrzowskiego wykonywania czynów, które przy taktyce grupowej wymagały daleko większych sił. Uwydatnia się to przy porównaniu akcji rogowskiej z bezdańską [1]), akcyj analogicznych co do celów i zakresu roboty, choć dokonywanych w odmiennych warunkach.

Rogów był robiony przez bojówkę łódzką, która miała do przebycia zaledwie 30 kilka wiorst, co mogła uskutecznić jednej nocy. A więc warunki koncentracji i odwrotu były ułatwione. Całkiem inaczej było z Bezdanami. Tu koncentracja, jako dokonywana na obcym dla uczestników terenie, musiała być bardzo skomplikowana. Tu nie było naturalnego punktu oparcia (przy Rogowie — Łódź). Cofanie się odbywało i przez wszystkie trzy zabory w warunkach niezmiernie trudnych. I, pomimo to wszystko, akcja bezdańska została przeprowadzona przez 16 bojowców, gdy pod Rogowem ich było 36. Pod Bezdanami uczestnicy akcji musieli ujawnić olbrzymią sumę sprytu, orientacji i panowania nad sobą. Obecnie Organizacja Bojowa znalazła się w warunkach, uniemożliwiających taktykę grupową, i musi stosować taktykę indywidualną.

Charakterystyczną cechą całej historii Organizacji Bojowej jest to, że jej przełomowe momenty wiążą się ze specjalną kwestią organizacyjną. Sprawa niepodległości albo podległości organizacjom lokalnym jest tą kwestią, która decyduje o dalszym kierunku rozwoju Organizacji Bojowej. Na Radzie czerwcowej (w 1905 r.) ona to stanowiła o jej upadku czy powolnym zaniku. W r. 1906 ona to stanowiła o wystąpieniu Organizacji Bojowej na szerszą arenę. Należy zastanowić się, dlaczego ta właśnie kwestia była najpoważniejszą kwestią w życiu bojówki? U wszystkich grup walczących góruje jedna ogólna zasada: w czasie wojny interesy wojny przeważają nad wszystkimi innymi, rozstrzygają. Taką jest psychologia walki. Bez niej walka istnieć nie może. Armia, idąca do boju, nie może uznawać interesów i czynników, zmniejszających interesy boju. Zasada ta jest często nie rozumiana przez ludzi, nie biorących bezpośredniego udziału w boju, którzy pragną rozwiązać kwestię podległości Organizacji Bojowej partii w sposób czysto teoretyczny. Otóż Organizacja Bojowa, uznając potrzebę organizacyjnej i ideowej zależności od partii, zawsze występowała przeciwko mieszaniu się partii do wewnętrznych, technicznych

[1]) Mowa o słynnej akcji Organizacji Bojowej na pociąg pod Bezdanami, przeprowadzonej pod kierunkiem Piłsudskiego w dniu 26. IX. 1908 r.

spraw Organizacji Bojowej — mieszaniu się, stojącemu w sprzeczności z interesami wojny jako takiej.

Fatalnym dla Organizacji Bojowej było to, że wystąpiła ona w społeczeństwie, najzupełniej nieprzygotowanym do tych wielkich zadań, jakie wysuwały się na porządek dzienny. Każdy krok Organizacji Bojowej naprzód był skutkiem tego spóźniony i nie odpowiadał rozwojowi nastroju rewolucyjnego społeczeństwa. Nastrój podnosił się, Organizacja Bojowa upadała. Tak było w r. 1905, tak było pod koniec r. 1905, kiedy w całym państwie napięcie rewolucyjne doszło do najwyższego rozwoju (powstanie moskiewskie) [1]). Główną tragedię Organizacji Bojowej stanowił jej spóźniony rozwój, tłumaczący się brakiem uprzednich przygotowań i tem, że musiała się rozwijać w atmosferze sporów, walki, niechęci, nienawiści i niezrozumienia. Poszła do boju jako armia, licząca maximum 5—5½ tysięcy, a więc posiadając siły, które nie mogły marzyć o zwycięstwie nawet nad zdemoralizowanymi siłami rządu. Zrobiła to, na co ją stać było: pozbawiła znaczenia policję, wywalczyła sui generis konstytucję. Dużo zrobiło się w kraju pod ochroną wystrzałów beckich. Główną zasługą Organizacji Bojowej — uratowanie idei zbrojnego ruchu, która byłaby zabita, zniszczona zupełnie bez walki Organizacji Bojowej. W społeczeństwie zapanowałoby niepodzielnie przekonanie o zupełnej niemożliwości walki zbrojnej, gdyby nie powstała ona nawet w chwili tak odpowiedniej — w chwili zupełnego osłabienia i dezorganizacji caratu. Organizacja Bojowa przygotowała ludność do walk zbrojnych, wszczepiła jej przekonanie o możliwości boju orężnego. Organizacja Bojowa ostrzelała pole, dała liczne przykłady walki zbrojnej, oswoiła z nią ogół. Poza tym w Organizacji Bojowej skupiła się myśl niepodległościowa — i po rozłamie na Organizacji Bojowej oparły się żywioły niepodległościowe.

Główną wadą Organizacji Bojowej było to, że przeważał u niej temperament, niemiarkowany rozsądkiem, że taktyka przeważała w niej nad szerszymi poglądami na sprawę. Najbardziej charakterystycznymi rysami taktyki Organizacji Bojowej w ściśle bojowym znaczeniu są:

1. Wyzyskanie elementu niespodzianki. Przy braku tego elementu akcje bojowe są niemożliwe wobec przewagi wroga. Niespodziewaność jest główną podstawą akcji, jedyną szansą, zapewniającą zwycięstwo. Wszystko, co prowadzi do niespodzianki (sekret, tajemniczość, konspiracja), musi być stoso-

[1]) Mowa o rewolcie socialistycznej w Moskwie, w grudniu 1905 r., krwawo zduszonej przez rząd.

wane. Stąd trudność koncentracji i przygotowań przedwstępnych.

2. Szybkie opanowanie i steroryzowanie terenu, ponieważ ma się do czynienia z przeważającymi siłami, wrogiem lub obojętnym otoczeniem. Do tego celu służą najskuteczniej materiały wybuchowe, ich huk wywołuje strach i bezwładność elementów wrogich.

3. Brak rezerwy, spowodowany koniecznością konspiracji i trudnością wycofania się. Brak rezerwy wymaga szczegółowego opracowania planu, przewidywania najrozmaitszych drobiazgów, mogących zaszkodzić akcji, ścisłego podziału ról uczestników.

Ta słaba strona akcyj bojowych do pewnego stopnia rekompensuje się sprawnością ludzi, którzy potrafili samodzielnie przystosować się do zmienionych warunków.

4. Brak długich bitew. Akcje trwają krótko. Albo opanowanie, albo porażka i szybkie wycofanie się. Wszelki opór nieprzyjaciela najczęściej niweczy powodzenie akcji.

5. Sprawność ludzi jest gwarancją powodzenia. Akcja na Wspólnej ulicy (1907) [1]) jest szczytem sprawności bojowej: w ciągu kilku minut została stoczona bitwa z żołnierzami i funkcjonariuszami poczty i dokonana konfiskata pieniędzy pod samym cyrkułem w pobliżu wojska, po czym uczestnicy (w tym trzech rannych) wycofali się i znikli bez śladu. Bezdany są też przykładem nadzwyczajnej sprawności.

6. Rola kierowników przy braku rezerwy zmniejsza się. Jest ona widoczna głównie przy koncentracji i cofaniu się. W samej akcji sprowadza się do zera, posiada moralne, nie zaś materialne znaczenie.

7. Cofanie się jest częścią bardzo ważną akcji, wymaga osobnego kunsztu. Cała sztuka polega na możliwie szybkim rozpłynięciu się w otoczeniu. Wiele akcyj nie mogło być dokonanych jedynie z braku warunków do odwrotu.

Obecny stan Organizacji Bojowej jest taki, że odbudowanie jej na dawnych podstawach jest niemożliwe. Warunki polityczno-konspiracyjne uniemożliwiają roboty grupowe. Organizacja Bojowa w swym stanie obecnym stanowi drobną armię partyjną do natychmiastowego boju. Ale to nie wyczerpuje jej zadań. Syntezą jest natychmiastowość, połączona z przygotowaniem i siebie, i terenu do walk szerszych. W tem tkwi przyszłość Organizacji Bojowej.

[1]) Mowa o akcji bojowej na urząd pocztowy przy ulicy Wspólnej w Warszawie w dniu 22 lutego 1907 r., przeprowadzonej pod dowództwem Tomasza Arciszewskiego.

GEOGRAFIA MILITARNA KRÓLESTWA POLSKIEGO

«Geografia militarna» powstała z wykładów w Szkole Centralnej P. P. S. w Krakowie w 1910 r. Wydana została drukiem pod pseudonimem Z. Mieczysławskiego w tym samym roku przez «Biblioteczkę Popularną Życia». Cztery ostatnie stronice broszury zawierały, zestawione przez Leona Wasilewskiego «Najbardziej elementarne wiadomości ze statystyki Królestwa Polskiego», które w niniejszym przedruku zamieszczone nie zostały.

Geografia militarna — jest to nauka, mająca do czynienia ze zjawiskami na ziemi, dotyczącymi wojny. Geografia militarna dostarcza kierownictwu danych, które ułatwiają kierowanie, administrowanie, jednym słowem, operowanie na danym terenie. Są to stosunki handlowe, żywnościowe, komunikacyjne, transportowe. Geografia militarna zajmuje się fizycznymi warunkami ziemi, przeszkadzającymi czynnościom militarnym albo je ułatwiającymi itd.

Normalnie geografia militarna uwzględnia warunki działania olbrzymich nowoczesnych armij — obejmujących pół miliona lub milion ludzi. Stąd dla nas, rewolucjonistów, zawiera bardzo mało stosunkowo danych. Te ostatnie dla naszego użytku musimy wyciągać z innych elementów, aniżeli te, na których opiera się geografia militarna państw współczesnych.

Kardynalną różnicą między armią regularną a naszą jest brak terenu, znajdującego się pod naszym wyłącznym zarządem. Cały teren znajduje się we władzy i pod kontrolą wroga. Wobec tego musimy przede wszystkim zdawać sobie sprawę z tego, jak ten wróg jest na naszej ziemi urządzony? Jakie są jego siły militarne (bo siły administracyjno-policyjne, jak pokazały wypadki 1905 r., łatwo dają się usunąć).

Zasadą urządzenia się u nas wroga jest to, że liczy się on nie z ludnością i jej przypuszczalnym ruchem rewolucyjnym, lecz z wojną zewnętrzną. Urządzenie się jego zależy nie od ludności miejscowej, lecz od interesów obrony granic państwa wobec wroga zewnętrznego. Pod tym względem Królestwo Polskie schodzi jako część państwa do ogólnego systemu urządzeń militarnych całej Rosji.

Wszystkie państwa — z wyjątkiem Rosji — posiadają system terytorialny organizacji armii. To znaczy, że dana jednostka bojowa — dywizja czy korpus — jest stale w jednym miejscu.

Według systemu terytorialnego całe państwo jest podzielone na obszary, z których dane jednostki bojowe czerpią

materiał ludzki dla dopełnienia się zarówno w czasie pokoju, jakoteż i w czasie wojny.

W Austrii, np. korpus I (Kraków) ma swój «Ergänzungsterrain» [1]) w części zachodniej Galicji i na Śląsku — stąd więc czerpie rekruta i rezerwistów w czasie mobilizacji.

Wchodzi tu w grę czynnik moralny: ludzie, pochodzący z jednego obszaru, posługują się jednym językiem, są bliżej ze sobą związani, stąd większa spoistość i solidarność wewnętrzna danej jednostki bojowej. Obok tego mobilizacja przed wojną odbywa się znacznie szybciej, jest mniej skomplikowaną i wojsko staje gotowym do wojny i prędzej, i w lepszym stanie. Tylko Rosja nie przyjęła tego systemu. Stąd pochodzą liczne braki jej armii, jak powolna mobilizacja, brak wewnętrznej spoistości itd. Stanowisko odporne Rosji względem systemu terytorialnego wypływa z wielkiej nieufności względem ludności miejscowej, następnie z braku środków technicznych (kolei, telegrafów, dobrej administracji), usprawiedliwiających system terytorialny, i z konieczności trzymania armii w stanie nierównomiernego rozsypania w rozmaitych częściach państwa — tu na stopie pokojowej, tam znowu na stopie na pół wojennej.

Największe niebezpieczeństwo grozi Rosji z zachodu — od granicy niemiecko-austriackiej, gdy granice od Turcji, Persji itd. znajdują się w daleko mniejszym niebezpieczeństwie. Stąd przechylenie się ciężaru wojennego Rosji na zachód. Stąd okręg wojenny warszawski stoi pod względem militarnym najsilniej. Tu wojsko znajduje się na stopie półwojennej, aby mobilizacja jego mogła być dokonana możliwie szybko. Np., kompania piechoty w warszawskim okręgu wojennym składa się ze 150—160 ludzi, gdy w okręgu wileńskim ze 120, a w Rosji dalszej z 70—90. Tu istnieje specjalny system fortec, tu istnieją specjalne przygotowania strategiczne.

Ponieważ Rosja nie rozporządza szybkością techniczną dla mobilizacji, więc w pierwszych tygodniach sąsiedzi mogą zalać przewagą liczebną najbardziej wysunięte tereny Rosji. Wobec tego nie należy narażać wojsk rosyjskich na niechybną zagładę, ale zbliżyć je jak najbardziej do posiłków, mogących nadchodzić z tyłu. Stąd wypływał plan, aby stawić opór stanowczy dopiero na lini Dniepru i Dźwiny, pozostawiając całą Litwę i Ruś nieprzyjacielowi.

Wymagałoby to ze strony najeźdźcy pozostawienia mniej-

---

[1]) Ergänzungsterrain — obszar uzupełnień.

szych i większych załóg w zajętych miastach, pilnowania objętych w posiadanie dla użytkowania z nich kolei, zabezpieczenia sobie tyłów, co ogromnie odbiłoby się musiało na liczebności armii, występującej bezpośrednio do boju.

W r. 1870 ćwierć armii niemieckiej pilnowała tyłów, w wojnie burskiej nieledwie pół armii angielskiej musiało pilnować kolei. W Rosji liczono na to, że przewaga nieprzyjacielska będzie topnieć w miarę opanowywania tego terenu. Takim był plan przed Hurką. Od jego czasów plan ten zmieniono. Uwierzono w potęgę fortec, jako punktów oparcia dla armii, która, opierając się o nie, zdoła wytrzymać nawałę nieprzyjaciela, dopóki z tyłu nie nadejdą posiłki. W tym celu zalano wojskiem część Królestwa Polskiego i Litwy. Tam ma zebrać się armia, a zadaniem okręgu warszawskiego i części wileńskiego jest wytrzymać nawałę nieprzyjacielską.

Przy tym planie musiano się rachować z zasadniczą rzeczą, jaką jest podział Królestwa Polskiego przez Wisłę na dwie nierówne części. Wisła jest rzeką o tyle dużą, że stanowi przeszkodę dla wszelkich działań wojennych. Dość powiedzieć, że korpus armii nie ma tyle materiałów mostowych, aby przekroczyć Wisłę. Do tego trzeba dwóch korpusów. Obrona na lewym brzegu byłaby bardzo trudna, bo miałoby się za plecami dużą rzekę, co każdą porażkę w klęskę zamienić może. Przy ofensywie lewy brzeg również posiada wielkie niedogodności, gdyż, przy znacznie szybszej mobilizacji u przeciwnika, zbierające się na lewym brzegu dla ofensywy siły łatwo mogą ulec zmajoryzowaniu i rozbiciu przed nadejściem posiłków z głębi Rosji. Wobec tego faktu podział Królestwa Polskiego przez Wisłę na dwie części — wschodnia została opracowaną pod względem wojennym, zachodnia zaś pozostała nieprzygotowaną do wojny. Prawy brzeg stał się podstawą akcji wojennej, lewy uznano za kłopotliwy dodatek. Wisła ma jeszcze tę złą stronę dla Rosji, że nie cała do niej należy. Północny bieg znajduje się w Prusach, południowy — w Austrii. Wojska obydwóch tych państw mogą przejść tedy Wisłę u siebie w domu. Stąd konieczność osłonięcia siebie od Prus z północy i Austrii z południa również i na wschodnim brzegu Wisły. W tym celu istnieje szereg ufortyfikowań na linii Narwi, a południe lubelskiej gubernii, i tak z powodu górzystości i lesistości terenu trudnej dla poruszeń większych armij, zostawione jest w możliwie niekulturalnym stanie pod względem dróg i komunikacji. Schematyczna mapka urządzenia warszawskiego okręgu wojennego przedstawia się w następujący sposób: *(Patrz szkic — strona 41).*

Żadna forteca nie znajduje się po lewej stronie Wisły (Warszawa i Modlin posiadają tam fortyfikacje dla osłonięcia się). W fortecach tych nagromadzone są olbrzymie zapasy, nadszarpnięte wprawdzie podczas wojny japońskiej, ale teraz doprowadzone do porządku. W fortecach tych poczyniono przygotowania na wypadek potrzeby zaprowiantowania wojska.

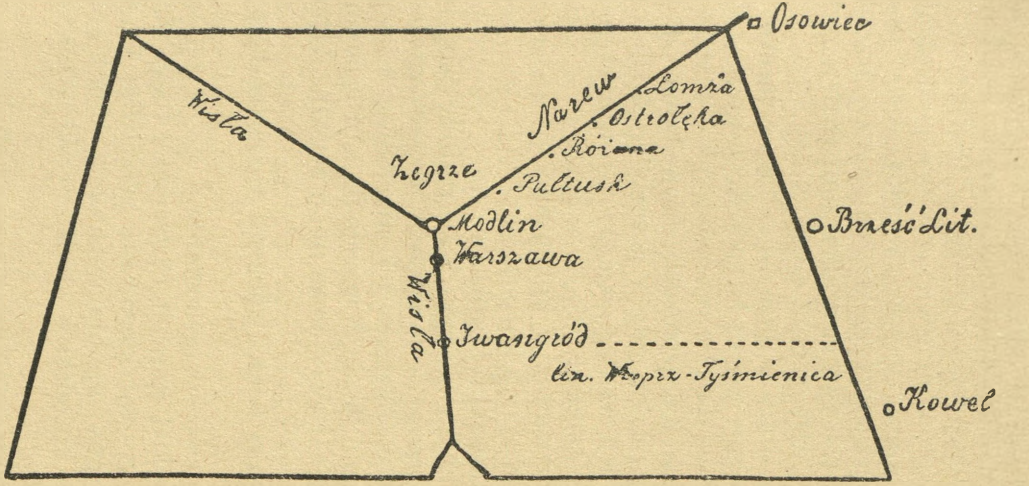
Stan kolei na prawym i na lewym brzegu Wisły ilustruje wymownie plan strategiczny Rosji oparcia się na prawym brzegu. Kolei na lewym brzegu jest mniej, niż na prawym. Są tam tylko takie, które zostały wywołane koniecznością handlową. Od r. 1876 powstała tam tylko jedna kolej nowa — kaliska, stanowiąca ochłap, zdobyty przez politykę Imeretyńskiego dla ugodowców. Wszystkie koleje, z wyjątkiem kaliskiej i iwangrodzko-dąbrowskiej — są to dawne koleje, z przed powstania planu Hurki. Natomiast na prawym brzegu koleje budowane są ustawicznie — i to koleje, nie posiadające znaczenia handlowego, czysto strategiczne, stanowiące dla ludności miejscowej luksus.

Strategiczną podstawę kolejową Rosji w Królestwie stanowi linia Grajewo—Kowel z punktami ufortyfikowanymi: Osowiec, Brześć, Kowel. Za tą linią znajdują się tyły okręgu warszawskiego.

Na prawym brzegu powstał szereg kolei, służących do szybkiego zmobilizowania sił na każdym danym punkcie. Linie: Tłuszcz—Ostrołęka, Łapy—Ostrołęka, Małkinia—Ostrołęka, Małkinia—Siedlce i Brześć—Chełm (dwutorowe dla wielkiego ruchu), Lublin—Łuków, Łuków—Iwangród [1]), obok linij głównych warszawsko-petersburskiej, warszawsko-brzeskiej i warszawsko-kowelskiej, obsługują ten teren. Linij, które łączą okręg warszawski z resztą państwa, jest mało. Dawniej istniała zasada, że każdy korpus powinien mieć własną linię kolejową, jednakże w wojnie japońskiej pokazało się, że jedna linia syberyjska względnie nieźle obsługiwała wszystkie potrzeby wielkiej, liczącej dziesiątek korpusów, armii.

Pomimo tego jednak dla ogromnej armii na wypadek wojny jest tych linij stanowczo za mało i tym większym i trudniejszym jest zadanie warszawskiego okręgu wojennego. Takich linij mamy sześć, stanowiących trzy pary — północną, środkową i południową. Warszawsko-petersburska oraz Siedlce—Bołogoje (zbudowana na żądanie i za pieniądze francu-

[1]) Dziś Dęblin.


Osowiec
Narew
Łomża
Ostrołęka
Różana
Pułtusk
Wisła
Węgrze
Modlin
Warszawa
Brześć Lit.
Wieprz
Iwangród
lin. Wieprz-Tyśmienica
Kowel

skie) stanowią parę północną. Parę środkową stanowią linie Brześć—Moskwa i Brześć—Brańsk. Parę południową — Kowel—Odesa i Kowel—Kijów.

Co do wojska, to poza Syberią, Kaukazem i Turkiestanem — wymagającymi specjalnego wojska, posiadającego znaczenie lokalne i nie wchodzącego nawet w numerację ogólną — Rosja europejska posiada 24 korpusy (22 liniowe, 1 gwardii i 1 grenadierów), na które podzielona jest armia. Do tego dochodzą jeszcze wojska rezerwowe, forteczne i strzelcy. Rezerwowe brygady znajdują się przeważnie w głębi Rosji — dla wystawienia drugiej linii (pierwsza linia posiada kadry wysokie, druga linia — szczupłe).

Pierwsza linia składa się z 24 korpusów, do których trzeba dodać rezerwy na terenie Królestwa — 1 korpus forteczny i 1 korpus pułków rezerwowych — razem więc 26 korpusów. Z nich na granicach zachodnich skoncentrowano 15 + 2 = 17 korpusów, gdy w pozostałej Rosji — 9 korpusów.

Rozkład ich według okręgów wojennych przedstawia się w następujący sposób:

okręg warszawski 7 korpusów;
» wileński 5 korpusów;
» kijowski 5 korpusów.

Jeden z nich — korpus V — rozlokowany jest na lewym brzegu Wisły (wraz z dodatkiem wojska rezerwowego na linii Skierniewice—Warszawa i strzelców), 6 korpusów — na prawym brzegu Wisły i w rejonie fortecznym Warszawy, związanym właściwie z prawym brzegiem. Z pomiędzy tych sześciu korpusów:

VI zajmuje część gubernii Grodzieńskiej i wschodnią Łomżyńskiej;

XV — prawie cały znajduje się w Łomżyńskiej, częściowo w Płockiej (powiat Przasnysz i Ciechanów).

Te korpusy są skierowane przeciwko Prusom.

XIX korpus zajmuje wschodnią część gubernii Lubelskiej, powiaty kowelski i włodzimierski Wołyńskiej i trochę w Grodzieńskiej;

XIV korpus znajduje się w Lublinie, na zachodzie gubernii lubelskiej i południu Siedleckiej.

Dwa korpusy — rezerwowy i forteczny — zajmują fortece i gubernię Siedlecką.

Kawaleria, która w Rosji jest bardziej liczebna, niż w jakimkolwiek innym państwie, skoncentrowała się w większej części (przeszło połowa) na granicy zachodniej. Kawaleria — to oczy i macki, skierowane ku wrogowi. Do kawalerii zali-

cza się i straż pograniczną. W ciągu jednego dnia po ogłoszeniu wojny kawaleria musi być gotowa do wymarszu, skutkiem tego zawsze jest na stopie wojennej. Ona musi parować szybkość mobilizacyjną przeciwnika, aby reszta armii mogła zyskać czas na mobilizację i koncentrację sił. Specjalne zgęszczenie kawalerii istnieje w gubernii Płockiej i południu Lubelskiej. W gubernii Kaliskiej kawaleria jest jedynym wojskiem (piechota nieobecna).

Cyfrowo stan wojska w okręgu wojennym warszawskim wynosi 260.000 (wraz z gubernią Suwalską, należącą do okręgu wileńskiego). Na Wołyniu i w gubernii Grodzieńskiej stoi z tego 44.000, a więc w Królestwie jest 216.000 (bez służby szpitalnej, intendentury, rzemieślników wojskowych itd., z którymi razem jest do 250.000). Z tych 216.000 na prawym brzegu jest 170.000, na lewym — 46.000.

Według poszczególnych gubernij cyfry te rozkładają się, jak niżej podajemy.

W następujących tabliczkach należy uwzględnić zmiany w porównaniu z podziałem administracyjnym Królestwa, zmiany, spowodowane istnieniem części gubernii Warszawskiej na prawym brzegu Wisły, całkiem inną rolę strategiczną odgrywającej, niż część tej gubernii, znajdującą się na lewym. Wobec tego powiat płoński w tabliczce uwzględniony został przy gubernii Płockiej, powiat pułtuski przy Łomżyńskiej, powiat nowomiński przy Siedleckiej. Obok tego z powodu specjalnego znaczenia Warszawy, Modlina i Zegrza, połączonych w jeden system forteczny i stanowiących właściwą bazę panowania Rosji nad Wisłą (trójkąt Napoleona), część ta została wydzielona w osobną jednostkę — Warszawa forteczna.

Warszawa forteczna *)	52.000
gubernia Łomżyńska	37.000
» Lubelska	27.000
» Siedlecka	21.000
» Suwalska	19.000
» Piotrkowska	15.000
» Płocka	14.000
» Warszawska na lewym brzegu .	12.000
» Radomska	10.000
» Kielecka	5.000
» Kaliska	4.000

*) Z powiatu radzyńskiego, części płońskiego i Warszawy tworzymy osobną jednostkę terytorialną.

W porównaniu z ludnością, zdolną do boju, (przyjmujemy 1/10, niższą od francuskiej — 14% — wyższą jednakże od tej, jaką się przyjmuje dla Rosji i Austrii), stosunek wzajemny wojska i ludności będzie następujący:

Na jednego żołnierza rosyjskiego przypada ludzi, zdolnych do walki, w

prawy brzeg	Warszawie fortecznej . . .	1,77	W całym Królestwie Polskim 5,40
	gubernii Łomżyńskiej . . .	2,14	
	» Suwalskiej . . .	3,30	
	» Płockiej	4,84	
	» Siedleckiej . . .	4,95	
	» Lubelskiej	5,35	
	przeciętnie . .	3,23	
lewy brzeg	gubernii Warszawskiej . .	10,80	
	» Radomskiej . . .	10,48	
	» Piotrkowskiej . .	11,97	
	» Kieleckiej	19,12	
	» Kaliskiej	28,99	
	przeciętnie . .	13,42	

Z powyższego widać, że cała potęga militarna wraz ze wszystkimi urządzeniami pomocniczymi (fortyfikacje, koleje) skoncentrowana jest na prawym brzegu. Tam jest gniazdo potęgi militarnej Rosji. Lewy brzeg jest dla niej terenem niepewnym i, zmuszona do przeniesienia tam operacyj wojennych, musi się ona czuć słabą.

Poza danymi, dotyczącymi wojsk i ich urządzeń, komunikacji itd., wielkie znaczenie mają dla planów walki dane o warunkach przyrodzonych kraju. Okolice górzyste znajdują się na południu (gubernia Kielecka, Radomska i Lubelska). Północ Królestwa Polskiego jest równinna. Ważnym jest zalesienie kraju. Gubernia Płocka jest bezleśna, najbardziej zalesione są gubernia Radomska, Kielecka i Lubelska; najbardziej zalesione powiaty: konecki i włoszczowski. Błota skupione są nad Narwią i w północnej części gubernii Kaliskiej oraz sąsiednich okolicach gubernii Warszawskiej (około Łęczycy, Łowicza itd.) — tam, gdzie Warta swym biegiem zbliża się do Wisły. Ważną rzeką jest Pilica z lewej strony o mocno zalesionym górnym biegu, stanowiącym dogodny teren dla walk partyzanckich. Drogi na prawym brzegu, z wyjątkiem północy Łomżyńskiego i południa Lubelskiego, są daleko lepsze, niż na lewym, gdzie znajdują się w złym stanie.

Przechodząc do rozmieszczenia sił naszych i tych rzeczy, które mogą być dla nas pomocne, spostrzegamy, że i tu podział kraju przez Wisłę na dwie części stanowi bardzo charakterystyczny czynnik. Na prawym brzegu ludność jest rzadsza, gdy na lewym gęstość zaludnienia (w guberniach Warszawskiej, Piotrkowskiej) jest taka, jak w Anglii, Belgii i innych najbardziej przemysłowych krajach Europy zachodniej. Na prawym brzegu przeważa ludność wiejska i brak jest wielkich miast przemysłowych, osad fabrycznych i handlowych, które są skoncentrowane na lewym. Ludność prawego brzegu — wiejska — jest mniej impulsywna, mniej żywa i ruchliwa i nigdy nie odegra roli zapoczątkowującej w ruchu rewolucyjnym. Ludność wiejska może podtrzymywać ruch lub go nie podtrzymywać, ale odgrywa rolę wyczekującą i dopiero po pewnym czasie wystawia większą liczbę do boju. Jednocześnie na prawym brzegu istnieje największa przewaga czynnika militarnego, zmniejszającego wiarę w powodzenie ruchu, wobec czego prawy brzeg może odegrać na początku ruchu rewolucyjnego tylko rolę pomocniczą. Ludność wielkich miast przedstawia materiał ogromnie pobudliwy, czyn następuje bezpośrednio po myśli. Tłum działa na ludzi sugestywnie. Wielkie miasta mogą wystawić znaczne masy, ale właśnie w wielkich miastach istnieje największa przewaga sprężystości władz administracyjnych, ogromnie niezależnych od otoczenia. W małych miastach i po wsiach władza tonie w obcym środowisku i stale obserwowana jest zbliska we wszystkich swych przejawach siły i słabości przez ludność. W wielkich tego nie ma. Wielkie miasta, specjalnie zaś Warszawa, to środowisko kultury, myśli polskiej, centrum kierownictwa rozmaitych dziedzin życia, przemysłu, administracji. Z miast wychodzą hasła kierownicze. U nas dwa wielkie skupienia miejskie — Warszawa i Łódź — posiadają jednocześnie największą liczbę administracji, która tu jest najsprawniejsza. Warszawa zaś organizuje kierownictwo życia kraju. W 1863 r. Warszawa pierwsza podała hasło do walki, ale też pierwsza wycofała się z walki. To samo było i w ostatniej rewolucji.

W porównaniu ze wsią miasta mają jeszcze wielkie trudności w organizowaniu szerokiego tłumu i zakonspirowaniu roboty organizacyjnej wobec sprawnej administracji, bo tu absolutnie niepodobna zachować sekretu.

Ludność w drobnych miastach i osadach fabrycznych stanowi element przejściowy od wsi do wielkich miast (Zagłębie zaliczamy do tej kategorii ze względu na charakter ży-

cia ludności). Posiada ona cechy wielkomiejskie, zwiększoną impulsywność, pobudliwość, ruchliwość tłumu. Z drugiej strony władze, tu mniej liczne, czują swoją bezsilność w jeszcze większym stopniu, niż po wsiach. Łatwość przenikania wpływów ludności do szeregów tej władzy, demoralizowanie jej jest tu większe. Stąd drobne miasta i osady fabryczne stanowią najlepszy teren dla robót organizatorskich, wymagających tajemnicy spisku, dają zaś one większą liczbę ludzi i większą łatwość poruszania nimi w porównaniu z wsią. Podczas ostatniej rewolucji wszystkie te punkty znacznie dłużej korzystały z «konstytucji», niż miasta i wsie.

Jeśli przejdziemy teraz do charakterystyki rozmieszczenia terytorialnego rozmaitych kategoryj ludności, to stwierdzimy co następuje. Prawy brzeg: gubernie Suwalska, Łomżyńska i większa część Siedleckiej są najmniej rozwinięte pod względem przemysłowym; Lubelska już znacznie więcej; Płocka zajmuje miejsce odrębne dzięki wysokiemu poziomowi kulturalnemu. Lewy brzeg: na północy (gubernia Warszawska i północ gubernii Piotrkowskiej) wielka przewaga dużych miast; na południu charakter miasteczkowo-osadowy o bardzo licznym elemencie ludności, stanowiącym przejście od miejskiej do wiejskiej. To rozmieszczenie terytorialne różnych kategoryj ludności odegrało takąż samą rolę w r. 1863, jak i w 1905. Północ prawie nie brała udziału, centrum zostało szybko zgniecione, południe utrzymało się najdłużej. (Podczas ostatniej rewolucji Zagłębie było ostatnim punktem, gdzie jeszcze ruch trwał po zgnieceniu go wszędzie).

Wielkie znaczenie posiadają stosunki graniczne. Ponieważ ludność polska Królestwa stanowi tylko część terytorium polskiego, które przekracza granice Królestwa Polskiego, przeto wszystko to, co się odbywa w życiu ludności polskiej na terenie Królestwa, znajduje oddźwięk w krajach sąsiednich. Na wschodzie — Litwa i Ruś — ludność polska jest reprezentowana głównie przez elementy kulturalne, inteligenckie, polskie masy ludowe istnieją tam sporadycznie (3 powiaty gubernii Grodzieńskiej, okolice Wilna itd., miasta i osady fabryczne). Rzecz jasna, że na Litwę i Ruś można liczyć jeszcze mniej, niż na prawy brzeg Wisły, o ile chodzi o element liczby. Nieliczne, rozsypane po wielkim obszarze grupy mogą odgrywać tam tylko pomocniczą rolę. Z zachodu i południa mamy granicę pruską i austriacką. Bardzo długa co do przestrzeni granica pruska posiada charakter rozmaity. Na północy opiera się o kraj mało przemysłowy o żywiole polskim nieświadomym (Mazurzy wschodnio-pruscy). Stąd

żadnej pomocy spodziewać się nie możemy. Część granicy, przylegająca do Poznańskiego, ma inny charakter. Opiera się wprawdzie o kraj mało przemysłowy, ale poza tą granicą ludność polska, historycznie najbardziej związana z resztą Polski, silniej odczuwa to, co się w Królestwie dzieje. Stąd można oczekiwać pewnej, znikomej, pomocy w ludziach. Granica śląska, przytykająca do kraju o bardzo rozwiniętym przemyśle i handlu, daje możność liczenia na dopływ stamtąd rozmaitych materiałów pomocniczych — broni itd. Granica pruska posiada jedną dobrą stronę — jest sucha. Granica południowa gwarantuje bez porównania większe szanse pomocy. Tu — w Galicji — ludność polska panuje, oddziałując na całe państwo, tu żywiej są odczuwane wszystkie poruszenia ludności polskiej w dwóch innych zaborach. Tu walczący w zaborze rosyjskim znajdą oparcie, pomoc i miejsce odpoczynku. Już w r. 1863 Galicja odegrała rolę bazy operacyjnej, była tym dla powstania, czym Rosja europejska dla caratu w wojnie japońskiej. I w przyszłości można na to liczyć. Zachodnia część granicy galicyjskiej opiera się na ludności polskiej, wschodnia — na mniej przychylnej, rusińskiej. Wielką wadą granicy galicyjskiej jest to, że znaczna jej część jest wodna. Tylko w okolicach Krakowa mamy granicę suchą, dalej granicą jest Wisła. Wschodnia część granicy jest sucha, zalesiona, stanowiąca teren doskonały do operacyj wojennych.

Nadmienić tu należy o poszczególnych wyjątkach z ogólnego charakteru Królestwa. Dla gubernii Suwalskiej jest charakterystyczną nie linia Wisły, lecz linia Niemna z fortyfikacjami — Grodno, Olita, Kowno (okręg wojenny wileński). Wyjątek stanowi gubernia Kielecka wśród lewobrzeżnych, jako mało przemysłowa. Wyjątkiem jest i centrum, słabo uprzemysłowione i zaludnione i mniej kulturalne (północ gubernii Radomskiej).

Już wrzenie rewolucyjne, poprzedzające rewolucję, musi wpływać na postępowanie i rozlokowanie wojsk nieprzyjacielskich. W stanie normalnym wojska rosyjskie, jak wiemy, są rozlokowane nie tam, gdzie są głównie nasze siły. W okresie wrzenia rewolucyjnego musi to ulec zmianie. Niestety, podczas ostatniej rewolucji nikt u nas nie dokonywał szczegółowych obliczeń tych zmian, skutkiem czego rozporządzamy bardzo niezupełnymi i niedokładnymi danymi. Pierwszą cechą tych zmian było rozsypanie sił armii po całym kraju, w miarę tego, jak w poszczególnych punktach rząd odczuwał niedogodności swego położenia skutkiem rozwijającego się ruchu. Po napadach Organizacji Bojowej w końcu r. 1905 na kasy

rządowe (Opatów, Węgrów, Lubartów) wojsko rozsypano po wszystkich miastach powiatowych, biorąc je z załogi miejscowej gubernii. Czyniono to nawet tam, gdzie wojska było najmniej (jak w gubernii Kaliskiej i Kieleckiej). Z rozwojem rewolucji tego wojska miejscowego okazało się za mało i trzeba było przenosić część wojska z prawego brzegu na lewy. Zagłębie i Łódź ściągały dużo wojska z gubernij Łomżyńskiej i Grodzieńskiej (z XV i VI korpusu). Załogi w gubernii Piotrkowskiej zdwojono, tak, że stosunek ludności, zdolnej do boju, względem wojska przekształcił się z 11 na 5,5. W Warszawie, pomimo jej olbrzymiej załogi, wojska było za mało, zwłaszcza, kiedy trzeba było strzec stójkowych, monopolów, najrozmaitszych instytucyj, patrolować nieustannie. Ściągano więc do Warszawy wojsko z najbliższych jego składów — fortec Modlina, Iwangrodu, potem z gubernij Łomżyńskiej i Grodzieńskiej, jako zupełnie spokojnych.

Pewną komplikację wywoływała wojna, ale z Królestwa wysłano najmniej wojska na wschód: tylko strzelców i w najostatniejszych czasach XIX korpus. Zamiast wojska wysłanego rozwinięto korpus rezerwowy i zastąpiono nim ubytki. Z powodu wojny zabrano z Królestwa najwyżej 16 batalionów.

Miasta, które nie miały załóg piechoty, otrzymały drobne oddziałki — po pół roty — i w ten sposób rozrzucono parę pułków po gubernii Kaliskiej, biorąc je z Łomżyńskiej i Grodzieńskiej. Największym zmianom uległa dyslokacja kawalerii — tej właśnie części armii, która odznacza się szybkością i wskutek tego jest najbardziej potrzebna, zwłaszcza przy poruszeniach wiejskich. Kawalerię ściągnięto od granic w głąb kraju i rozproszono niewielkimi oddziałami — szwadronami — dragonów i kozaków.

Drugi atak Organizacji Bojowej — na linie kolejowe, na stacje — doprowadził do obsadzenia wojskiem stacyj. Spowodowało to jeszcze większe rozproszenie, co do którego nie posiadamy jednak szczegółowych danych. Najmniej zmian mamy w Lubelskim i Siedleckim. Tylko z południa Lubelskiego wysłano część kozaków do Zagłębia, Zawiercia, w Radomskie. Gubernia Płocka uległa bardzo niewielkim zmianom — skutkiem wyjścia strzelców. Największa zmiana zaszła w gubernii Łomżyńskiej. Stamtąd przeszło połowa wojska została przeniesiona do Warszawy i na lewy brzeg Wisły. Załogę z gubernii Łomżyńskiej można było spotkać w całym kraju niemal. W gubernii Piotrkowskiej wojsko zdwojono, w gubernii Kaliskiej obsadzono nim nowe punkty.

Oprócz wojny japońskiej i rewolucji naszej znaczne

zmiany w dyslokacji wojsk wywołała rewolucja rosyjska. W miarę, jak w Rosji potrzebne było wojsko, rząd sięgał do swych głównych składów — do okręgów wileńskiego i warszawskiego. Pod tym względem największe znaczenie miały wypadki w kraju Nadbałtyckim, ruchy łotewskie. Te ostatnie ściągnęły wojsko z gubernii Suwalskiej i całą dywizję piechoty z okręgu warszawskiego, po jednej brygadzie z gubernii Łomżyńskiej i Siedleckiej. Powstanie moskiewskie ściągnęło część wojska z gubernii Łomżyńskiej. Ruchy agrarne w głębi Rosji spowodowały powołanie pod broń kozaków 3 linij, a więc całą męską ludność kozacką. Gdy jednak kozacy zaczęli okazywać niezadowolenie, puszczono ich do domu, a z Królestwa Polskiego zabrano 12 pułków kawalerii (6 dragońskich i 6 kozackich), z których część dotąd nie wróciła.

Skutki rozproszenia wojska po całym kraju są rozmaite. Złym skutkiem jest gęstość rozmieszczenia i większy nacisk wojska na ludność. Dobrym — to, że wojsko ulega rozluźnieniu dyscypliny, demoralizuje się, wpływy rewolucyjne znajdują doń łatwiejszy dostęp; drobne oddziały oswajają ludność z wojskiem, obniżają w jej oczach potęgę wojska, powstaje pokusa prób rozbrojenia wojska itd.

Zasadniczym rysem zmian w dyslokacji był kierunek ruchu wojska z prawego brzegu na lewy. Na lewym szanse wojska są gorsze, bo tu teren jest nieprzygotowany, nie ma obozów, składów amunicji. Wojsko tu jest mniej zdatne do boju.

Streszczając wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, możemy stwierdzić następujące rysy zasadnicze położenia wroga i naszego.

Główna potęga wroga, wraz ze wszystkimi urządzeniami, skoncentrowana jest na prawym brzegu, nasze siły, przynajmniej w początku ruchu — na lewym. Wschód jest ufortyfikowany, zachód — nie. Wschód posiada koleje strategiczne, na zachodzie kolei jest mniej i nie posiadają one tego znaczenia strategicznego. Północ ma miasta największe i bardziej skoncentrowaną ludność, południe — bardziej rozsypaną po osadach.

Przy planowaniu walki w warunkach wyżej scharakteryzowanych należy uwzględnić następujące działy: 1) walka decyzywna w celu opanowania kraju lub, gdy to jest niemożliwe, ściąganie wielkiej ilości wojska do pewnych punktów; 2) organizowanie własnych sił; 3) bazowanie się na granicach pruskiej i austriackiej przy rozmaitych kombinacjach wojny ludowej. Przystępując do planowania walki na takim obszarze, jak Królestwo Polskie, i w czasach rewolucyjnych, należy pamiętać o dwóch ogólnych zasadach tego planowania. Przede

wszystkim w naszym planowaniu nie ma mowy o skoncentrowanej armii, co charakteryzuje wszelkie plany wojenne państw. Dla rewolucji armią jest cały kraj, rolę oddziałów zaś spełniają poszczególne jego terytoria. Następnie wszystko, co może walczyć, musi bezwzględnie iść do walki, czy jest przygotowane, czy nie. Każdy punkt musi spełnić to, na co go stać — milczeć nie może.

NOWA KSIĄŻKA POLSKA Z DZIEDZINY WOJSKOWOŚCI

W związku z rozwijającym się ruchem wojskowym wśród młodzieży polskiej i przenikającą coraz silniej z roku na rok potrzebą wojskowego kształcenia — ukazał się w r. 1910 «Regulamin musztry», opracowany przez Karola Burzyńskiego. Książkę tę Piłsudski zrecenzował w «Przedświcie» (październik 1910), poddając ją bardzo surowej ocenie za zlekceważenie przez autora całego szeregu najbardziej istotnych elementów wyszkolenia bojowego.

Dotąd stronnictwo nasze było jedynym w Polsce we wszystkich sprawach, mających styczność z czynną walką z najazdem. W czasie rewolucji było jedynym, wystawiającym siły, na jakie go stać było, do boju z przemocą wroga, po rewolucji zainicjowało kształcenie się wojskowe, jako przygotowanie do nowych bojów w przyszłości. Tym przyjemniej jest powitać wydawnictwo wojskowe, wychodzące poza nami i świadczące o rozszerzeniu się myśli o walce zbrojnej w społeczeństwie. Jako jedno z pierwszych wydawnictw wojskowych, zasługuje, byśmy się mu bacznie przyjrzeli, tym bardziej, że, jak zapowiada autor we wstępie, książeczka odpowiada «szeroko odczuwanej potrzebie».

Książeczka, według słów autora, «oparta jest na «Exercierreglement für Fusstruppen» austriackim oraz częściowo na regulaminie musztry sokolej i dawnych podręcznikach wojskowych polskich z lat 1830—1863». Jest to nieścisłe, właściwie tytuł powinien być następujący — «Skrócony regulamin musztry piechoty austriackiej» — albowiem książeczka jest niczym innym, jak spolszczeniem owego regulaminu. Jeżeli pominiemy język techniczny i komendy, wpływ musztry sokolej ograniczy się punktem 53 pierwszego rozdziału — znaną

niewinną komendą sokolą «Czapka w lot», nic z wojną nie mającą do czynienia, reszta zaś jest, jak zaznaczyliśmy, polską kopią austriackiego regulaminu z pewnymi skrótami.

Nie mamy tu zamiaru rozpatrywać wartości regulaminu austriackiego, tym bardziej, że pogląd swój o «szeroko odczuwanej potrzebie» regulaminów wypowiemy potem, lecz zastanowimy się nad jedyną oryginalną pracą, którą włożył autor w książeczkę, — nad wartością owych skrótów.

Niektóre z nich są zupełnie racjonalne, jak opuszczenie całych rozdziałów o terminach nauki poborowych, o muzyce wojskowej, chorągwiach, strzałach salutowych itd. Szkoda, że autor nie skrócił również rozdziału o «oddaniu czci» wraz z «czapkami w lot», zmniejszając w ten sposób formalistyczną część książki.

Mniej natomiast racjonalnymi są inne skrócenia, tym bardziej, że układają się one jakby w pewien system, obniżający, zdaniem naszym, wartość książeczki. I gdybyśmy chcieli być zjadliwymi, tubyśmy szukali wpływu musztry rodzimych sokołów — tej «Parade-Armee» polskiej.

Skróty autora poszły w dwóch kierunkach. Jeden z nich to częste opuszczanie w tłumaczeniu tych ustępów oryginału, które dają opis czy wyjaśnienie boju piechoty, oraz określenie tych zalet psychiki żołnierza, jakie dla tego boju są potrzebne. Głównie ucierpiał na tym rozdział o tyralierce — tej istocie nowoczesnego boju piechoty. Skróty doprowadziły go do tego rozmiaru, że rozdział «o oddaniu czci» stał się trochę większym od niego, a sama tyralierka wygląda w książeczce, jak jeszcze jeden pomiędzy innymi rodzaj zwrotów i szyków wojska. Dlatego też prawdopodobnie opuszczony został w początkach książeczki punkt 68 regulaminu austriackiego, głoszący: «należy przy nauce możliwie prędko przystąpić do nauczania tyralierki».

Dla przykładu tego właśnie systemu skracania przytoczę punkt 144 regulaminu austriackiego o ładowaniu i strzelaniu oraz odpowiedni skrócony punkt p. Burzyńskiego. Regulamin austriacki mówi: «Żołnierz powinien umieć mechanicznie wypełniać wszystkie ruchy dla ładowania i strzelania we wszystkich położeniach ciała i wśród wszelkich warunków, nawet i w nocy; da mu to możność w boju zwracać swą uwagę na przeciwnika, na komendy i tym wygrać czas dla spokojnego składania się, celowania i spuszczania cyngla». U p. Burzyńskiego punkt ten wygląda inaczej — «żołnierz powinien umieć d o b r z e s t r z e l a ć we wszystkich położeniach ciała i wśród wszelkich warunków, nawet i w nocy». Postępując w ten spo-

sób, można byłoby regulamin skrócić jeszcze bardziej — po formalnym wytłumaczeniu szyków i komend dodać jeden jedyny paragraf: «w ogóle zaś żołnierz w boju powinien być dobrym żołnierzem» — i basta! Zawarte w tym byłoby wszystko: dobre strzelanie, i umiejętne przystosowanie się do terenu, i odwaga w ataku ostatecznym itd. Podobnych zmian tłumaczonego regulaminu austriackiego, zmian, zmniejszających znacznie wartość jego, znajdziemy w omawianej książeczce sporo!

Znaleźć, co prawda, może usprawiedliwienie w niechęci mieszania z regulaminem kwestyj, należących właściwie do nauki taktyki. Tak właśnie np. rozumieli swe zadanie generałowie rosyjscy, układający po wojnie nowy regulamin dla piechoty. I oni jednak wobec nadzwyczajnego znaczenia, jakie ma w boju tyralierka, z rozdziałem tym obeszli się nie tak po macoszemu, jak p. Burzyński. Naszym zaś zdaniem, wobec ogromnego ubóstwa naszej literatury wojskowej, opuszczenia p. Burzyńskiego nie dają się usprawiedliwić, tym bardziej, że w przedmowie autor chce widzieć wyższość swego regulaminu, w porównaniu z niezupełnym Wydziału Bojowego P. P. S. w tym, że opiera go właśnie na austriackim regulaminie, gdy P. P. S. oparła go na rosyjskim.

To samo da się powiedzieć o opuszczaniu nie zdań lub całych paragrafów, ale nawet słów, jak «możliwie», «należy się starać» itd. Przy opuszczeniu ich forma regulaminu nabiera cech bezwzględnego nakazu, którego wypełnienie przy działaniach w boju, zależnego od okoliczności i warunków, staje się często wprost niemożliwym. Jako przykład przytoczę punkt 39 na stronie 98 książeczki p. Burzyńskiego. «Zadaniem jego (komendanta) jest tak prowadzić rezerwę, by nie była narażona na ogień nieprzyjacielski lub oskrzydlenia, a jednak w każdej chwili mogła wstąpić do linii bojowej». Ależ to zadanie poza nadzwyczaj wyjątkowymi wypadkami zupełnie niemożliwe do wykonania! W oryginale odpowiedni punkt 503 jest znacznie ostrożniej zredagowany. Mianowicie «dass sie (Batalionsreserve) durch das feindliche Feuer t u n l i c h s t w e n i g l e i d e t» — «możliwie mało», nie «wcale nie» narażona na ogień, jak chce p. Burzyński.

Drugi kierunek zmian i opuszczeń w porównaniu z oryginałem jest jeszcze gorszy i niczym się nie daje usprawiedliwić, stoi bowiem w zupełnej sprzeczności z podstawami i zasadami nowoczesnego boju piechoty. Jest nim usuwanie z regulaminu wielu ustępów — słów i całych punktów — mówiących o samodzielności i inicjatywie, które muszą przenikać

całe wojsko od góry do dołu, jeśli się chce zwyciężać. Już w początkach regulaminu, gdy mowa jest o rozkazach i zachowaniu się komendantów (str. 8—10 i 11—12), tendencja ta jest uwidoczniona. Brak punktu 13 austriackiego regulaminu, który mówi o możliwości wyznaczenia tylko celów, z pozostawieniem samodzielności i inicjatywie podwładnych wyboru środków, doń prowadzących. Punkty 27 i 28 cesarsko-królewskiego regulaminu, które dla swego znaczenia są drukowane rozstawionymi czcionkami, twierdzą, że komendanci nie powinni się mieszać w sferę działań swych podwładnych i krępować ich drobnostkowymi rozporządzeniami; regulamin słusznie wyjaśnia, że «nie powinni oni zapominać, iż na wojnie będzie to dla nich możliwym tylko w nader rzadkich wypadkach, a wskutek tego w chwilach niebezpieczeństwa mogą stracić panowanie nad wojskiem, jeżeli w czasie pokoju nie przyzwyczają wojska do samodzielności». P. Burzyński streszcza te punkty w krótkim, zmieniającym sens oryginału zdaniu — «komendanci nie powinni się mieszać w osobiste (?) sprawy żołnierzy», i potem w innych miejscach opuszcza stale powtarzający się refren cesarsko-królewskiego regulaminu, apelujący do samodzielności i inicjatywy żołnierzy i niższych komendantów.

Więcej nawet, — w tyralierce, gdzie wszystkie regulaminy nowoczesne wymagają zupełnego braku krępowania żołnierza co do jego postawy i żądają od niego samodzielnego wykorzystywania terenu, p. Burzyński w punkcie 59 chce, by tyralier, przygotowując się do strzału, «zachował możliwie odpowiednią postawę»! Czy nie «zasadną» może?

Brak zaufania do samodzielnych rozporządzeń i rozkazów niższych komendantów u p. Burzyńskiego doprowadzony jest do naczelników kompanij. Nakazuje on mianowicie komendantom batalionów wskazywać «położenie celownika (wizerka)», nie mogąc tej czynności zaufać ludziom, dowodzącym 200—250 żołnierzami (str. 99, punkt 42) i tylko na średnią lub małą odległość naczelnicy kompanij mają być wolni pod tym względem od opieki swego dowódcy. Jak mało zrozumienia nowoczesnej metody walki zawarto w regulaminie p. Burzyńskiego, sądzić można z przeróbki 501 punktu regulaminu austriackiego. Brzmi on: «Komendanci kompanij, wyznaczonych do linij bojowych, prowadzą je w myśl otrzymanych rozkazów według własnego uznania, możliwie stosując się do kompanii dyrekcyjnej. Powinni się starać: wyzyskiwać za własną inicjatywą («Initiativ auszunützen»), sprzyjające okoliczności, we wszystkich warunkach wzajem-

nie się podtrzymywać, mając stale na oku zadanie, postawione batalionowi...». P. Burzyński podaje ten punkt w innej formie. U niego «komendanci wyznaczonych do walki kompanij postępują w myśl otrzymanych rozkazów, możliwie w łączności z całością, stosując się do kompanji dyrekcyjnej. Jednak w pewnych razach mogą działać według własnego planu, gdy nadarza się sposobność jakiegoś korzystnego posunięcia (?). Poszczególne kompanie powinny wzajemnie się wspierać». O stałym obowiązku inicjatywy nie ma już ani słowa, są «pewne razy», gdy nagle naczelnik kompanii zmienić może plan dowódcy batalionu dla «korzystnych posunięć».

Opuszczenia i skróty p. Burzyńskiego wyrządziły wielką szkodę cesarsko-królewskiemu regulaminowi. Uczyniły go zbyt suchym i formalistycznym, a w przedstawieniu walki piechoty i nakazach dla niej wypaczyły go, robiąc go w jednych wypadkach zbyt kategorycznym, w innych niesłusznym i w ogóle nieodpowiednim do korzystania z tej jego części.

Wdzięcznym natomiast trzeba być za ogrom pracy, włożony w spolszczenie wojskowych komend i terminologii wojennej. Pod tym względem czeka jeszcze każdego, pracującego w tym kierunku, dużo przeszkód i pracy. Niektórych jednak prób nie moglibyśmy nazwać udatnymi. «Znać artykuły wojenne» (str. 14), «frontuje się» (str. 76), «ćwiczy się to samo w linii bojowej» (str. 43), *Tête* i *Queue* *) [1]) i niektóre inne.

Wreszcie słów parę co do owej «szeroko odczuwanej potrzeby» regulaminów», o czym p. Burzyński mówi we wstępie. Regulaminy są istotną potrzebą każdej zorganizowanej siły zbrojnej, a musztra stanowi nieodłączną część wykształcenia wojskowego, od najniższych stopni do najwyższych. Lecz my — a mówiąc my, mówię o wszystkich, przekonanych o konieczności walki zbrojnej, — my zorganizowanej siły zbrojnej nie posiadamy i wielkim błędem politycznym byłoby przypuszczać, że ją wybudujemy w czasach pokoju i zacisza rewolucyjnego, albowiem wtedy brak materiału ludzkiego do takiej budowy. Tylko w warunkach rewolucyjnych, w czasach, gdy dzięki tym czy innym powodom i przyczynom większa masa ludzi walki takiej chce i żąda, tylko wtedy zorganizowana siła zbrojna stać się może faktem. Ale wtedy liczyć się trzeba

*) Pisownia zarówno cesarsko-królewskiego regulaminu, jak i p. Burzyńskiego, u ostatniego, niestety, *Tête* pisze się małą literą, niekiedy wielką.

[1]) Czoło i tył kolumny wojska.

z tym, iż naturalnymi nauczycielami będą ci, co sługiwali w wojsku rosyjskim, austriackim, w mniejszej liczbie w pruskim. Dla nich zaś, tych żołnierzy rezerwowych, podoficerów — kwestia regulaminu będzie rozstrzygnięta, wbito go w nich punkt po punkcie i bodaj już pewną trudnością będzie przyzwyczajenie się ich do polskich komend, zamiast obcych — rosyjskiej i niemieckiej. Teraz więc, gdy się ma do czynienia z nielicznymi jeszcze, niestety, grupami ludzi, o tyle wierzących w przyszłą walkę zbrojną, że się do niej osobiście przygotowują, nie sądzimy, by akurat regulamin jakikolwiek musiał być tą najbardziej przez nich odczuwaną potrzebą. Co do regulaminów bowiem rzecz musi być dla nich jasną — trzeba znać zarówno regulamin rosyjski, jak i austriacki, trzeba zdawać sobie jasno sprawę z różnic, jakie pomiędzy nimi zachodzą, trzeba wreszcie pomyśleć, czy te różnice nie dałyby się do pewnego stopnia zetrzeć. I ta ostatnia praca — poza spolszczeniem komend — jest bodaj jedyną twórczą, jaką w regulaminy warto wkładać.

J. P.

REFORMY ARMII ROSYJSKIEJ

Artykuł «Reformy armii rosyjskiej» wydrukowany w grudniu 1910 r. w «Przedświcie» jest rezultatem studiów, przeprowadzanych w tym czasie przez Piłsudskiego nad wojskiem rosyjskim, którego organizację i wyszkolenie Piłsudski bada na podstawie źródeł rosyjskich, niemieckich i angielskich.

«Wsio obstoit błagopołuczno!» [1]) — oto maksyma, którą się rządziła bizantyńsko-chińska biurokracja w państwie rosyjskim przez cały szereg lat od krachu po kampanii krymskiej [2]) do krachu mandżurskiego. Zasada ta, powtarzana zawsze i wszędzie, we wszystkich okolicznościach wpajana swoim i obcym, wywarła wpływ nawet wśród najzajadlejszych wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. Nawet bowiem u nich przy najsurowszej krytyce urządzeń carskich gdzieś na dnie duszy tkwiło przekonanie o sile i trwałości znienawidzonej budowy. Była to hipnoza, której ulegli wszyscy, zaczynając od tych, którzy ją wygłaszali i wpajali innym, kończąc, jak wska-

[1]) Wszystko dzieje się pomyślnie.

[2]) Mowa o przegranej wojnie, jaką na półwyspie krymskim toczyła Rosja w r. 1854—56 przeciwko Anglii, Francji, Turcji i Sardynii.

zaliśmy, na tych nawet, którym uczucia wrogie mogłyby zabarwić ocenę zjawisk kolorem bardziej ciemnym, pesymistycznym.

Zasada ta ostać się nie mogła wobec klęsk mandżurskich, klęsk, których rozmiar i jakość przeszły najśmielsze marzenia wrogów Rosji. Na ciemnym tle klęsk i porażek znaleźć nie można ani jednej, drobnej chociażby, jaśniejszej plamy, mogącej cieszyć wzrok sympatyzującego z Rosją obserwatora, a bezlitosna krytyka wojskowa z dokumentami w ręku odbiera wszelkie podstawy usprawiedliwiania się. I broń rosyjska była lepsza, i przewaga liczebna zawsze była po stronie Rosji, i żołnierz był dobrze nakarmiony i odziany, miano na swe usługi i balony, i telefony, i telegrafy — słowem, wszystko, czego świat wojenny potrzebuje, a jednak... w rezultacie na Rosję spadły tylko klęska i pogrom, wstyd i hańba.

Jeżeli idzie o ilustrację tej hańby i klęski, dosyć wspomnieć flotę rosyjską, która, nie zadawszy nieprzyjacielowi żadnej prawie straty, zginęła bez sławy w Porcie Artura [1]) i pod Cuszimą [2]), tak, jak gdyby była to flota łódek ludożerców z wysepki podzwrotnikowej, staczająca boje z nowoczesną flotą pancerną państwa kulturalnego. Armia lądowa miała też swą Cuszimę. W bitwie pod Sandepu [3]) druga armia rosyjska, złożona z 117 batalionów, 78 szwadronów i 416 dział, zaatakowała skrajne lewe skrzydło japońskie, złożone z 6 batalionów, 14 szwadronów i 6 dział. Cały dzień garstka Japończyków powstrzymywała ogromną nawałę wroga, ustępując zaledwie niewielkie części zajmowanego terenu. Po dwóch zaś następnych dniach, gdy Japończycy wprowadzili do boju 30 batalionów, liczbę cztery razy mniejszą od napastującej, armia rosyjska uznała sprawę za przegraną i cofnęła się ku pierwotnemu stanowisku, straciwszy około 20 tysięcy ludzi. Czyż ten stosunek sił walczących nie przypomina bojów w koloniach, gdzie dziesiątki Europejczyków biją na głowę tysiące półnagich dzikusów.

Fakty były zbyt jaskrawe, klęska zbyt wstrząsająca, aby w głowach ludzkich mogło się utrzymać przekonanie o war-

[1]) Flota rosyjska, zablokowana w Porcie-Artura została w dniu 7. XII. 1904 zatopiona przez ogień lądowej artylerii japońskiej, usadowionej na dominującym stanowisku nad portem.

[2]) Koło brzegów wyspy Cuszimy w czasie wojny ros.-jap. flota japońska pod dowództwem adm. Togo odniosła 27. V. 1905 r. miażdżące zwycięstwo nad flotą rosyjską, dowodzoną przez adm. Rożdienstwienskiego.

[3]) Bitwa pod Sandepu została stoczona w drugiej połowie stycznia 1905 r.

tości tego stanu rzeczy, jaki istniał *). I oto w *pendant* do rozrostu krytycyzmu w stosunku do oficjalnej Rosji, rozwija się krytyka, nieraz bardzo ostra i w stosunku do armii. Wielu młodszych oficerów, nie mogąc spokojnie znieść hańby klęsk mandżurskich i korzystając ze swobody krytyki w czasie wiosennych dni Rosji konstytucyjnej, rozpoczęło ostrą, bezwzględną kampanię przeciwko zaśniedziałym, cuchnącym łapówkami, protekcjami itp. swoiście czynowniczym zarządom armii rosyjskiej. Na razie jednak głos ich ginął w ogólnym zamęcie, jaki opanował państwo cara. Armia, pobita przez Japończyków, zdobywała laury w walce z ruchem rewolucyjnym i prała swą hańbę we krwi własnych poddanych cara. Mowy być nie może o reformach, gdy się toczy wojnę. Wszystko wówczas poświęca się interesom wojny. Tak się też stało i w wojnie z rewolucją, wojnie swoistej, w której bardziej niż w innej dbać trzeba o duch żołnierza.

W tym też kierunku poszły pierwsze reformy po wojnie. Usunięto przede wszystkim z armii całe mnóstwo oficerów, nieraz zdolnych, lecz zarażonych przez prądy opozycyjne. Odwrotnie zaś, drogę do kariery otwierały wszelkie słowa i czyny, świadczące o bojowym nastroju w stosunku do rewolucji. Najpewniejszą drogą do awansu był zamach istotnych czy rzekomych rewolucjonistów na daną osobę. Drugą reformą było ożywienie wszelkich tradycyj, wiążących armię z domem panującym. Nadawanie różnym książętom tytułu szefów pułkowych, odwiedzanie przez nich armii, uformowanie specjalnych pułków z żołnierzy, ściągniętych z całej armii, a wyznaczonych do pełnienia służby w pałacu carskim itd. Wreszcie do tegoż rodzaju reform należy i reforma mundurowa kawalerii, tej najbardziej konserwatywnej części armii. Odnawiając tradycję dawnych zwycięskich wojen, przywrócono różnym pułkom

*) Naturalnie, są i ślepi, dla których żaden fakt nie istnieje. Baron Tettau, attaché pruski przy armii rosyjskiej, opowiada, że przed samym końcem wojny był zaproszony na obiad do głównodowodzącego Liniewicza [1]). Przy obiedzie Liniewicz spytał go, które państwo ma najlepszych żołnierzy? Gdy zaś zakłopotany Tettau wykręcał się, szukając grzecznej odpowiedzi, Liniewicz oświadczył, że najlepszym żołnierzem jest żołnierz rosyjski, na dowód zaś przytoczył jakąś anegdotę żołnierską. Było to już po wszystkich Laojanach, Sandepu, Mukdenach! Co prawda, o Liniewiczu w armii rosyjskiej mówiono, że gdzie nie pomaga doktór (Kuropatkin) [2]), wzywają znachora.

[1]) Mikołaj Liniewicz (1839—1908), gen. rosyjski, głównodowodzący armią mandżurską w końcowym okresie wojny ros.-japońskiej.

[2]) Aleksy Kuropatkin (1848—1925), gen., głównodowodzący armii rosyjskiej w czasie wojny ros.-japońskiej. Po klęsce mukdeńskiej Kuropatkin został pozbawiony dowództwa, które objął gen. Liniewicz.

huzarów i ułanów, które przy unifikacji kawalerii i uzbrojeniu jej w broń palną otrzymały wszystkie nazwę dragonów, dawną nazwę i dawne błyskotliwe, bajecznie kolorowe mundury *).

Jednakże obok tych reform, niewinnych pod względem wojennym albo nawet zgoła szkodliwych, przeprowadzono inne. Żołnierzom ulepszono wikt i utrzymanie, postarano się o usunięcie przynajmniej najbardziej znanych złodziei grosza publicznego. Wreszcie, co najważniejsze, ułożono na podstawie doświadczeń wojny nowe regulaminy dla wszystkich rodzajów broni, — regulaminy, bardziej odpowiadające wymogom nowoczesnej wojny, i nie stawiano przeszkód szerokiej dyskusji fachowej w prasie i literaturze książkowej.

Dyskusja wykryła główne rany armii rosyjskiej, przede wszystkim w jej organizacji i w brakach korpusu oficerskiego, z czym wiązano braki w wykształceniu żołnierza. Obok tego krytyka ostro napadła na dyslokatę armii, skoncentrowanej w ogromnym stopniu na zachodzie państwa i związanej z systemem fortyfikacyjnym Wisły i Niemna. Krytyka rzadko uderzała w podstawowe braki państwowego i obywatelskiego życia Rosji i wobec tego nie była dostateczna dla wyjaśnienia złego, a że w państwie cara powoli następowało uspokojenie i zwycięska kontrrewolucja święciła tryumfy, więc prawdopodobnie wszystkie reformy i zmiany odłożonoby ad calendas graecas, wciągając się powoli do dawnego «wsio obstoit błagopołuczno!» Lecz przyszło zaostrzenie stosunków europejskich z powodu wypadków na Bałkanach i Rosja zawahała się poprzeć swoją politykę mieczem. Kampania dyplomatyczna została przegrana i wobec tego przystąpiono do reorganizacji armii i usunięcia największych jej bolączek.

Nie będziemy się tu zatrzymywali na próbach ulepszenia korpusu oficerów i podoficerów, na zmianach w generalicji i odmłodzeniu jej składu. Są to sprawy zbyt specjalne, a zara-

*) Niektórzy chcą widzieć w tej reformie kawalerii myśl głębszą, mianowicie powiększenie ilości lekkiej kawalerii (do której zaliczano dawniej huzarów i ułanów) w porównaniu z ciężką (kirasjerów i dragonów). Jest to całkiem mylne: podział ten, znany w armiach zachodnich — szczególniej francuskiej, w Rosji nie istnieje wcale. Huzarzy i ułani, tak samo, jak i dragoni, są jednakowo wyekwipowani, mają jednakowe konie i różnią się tylko mundurem i nazwą. Kozacy — czwarty pułk w każdej dywizji — chociaż można ich nazwać lekka kawaleria, są gorzej wyekwipowani i mają znacznie gorsze konie. Nieudolność zaś tego rodzaju «lekkiej» kawalerii została dostatecznie udowodniona w ostatniej wojnie, gdzie «ciężcy» jakoby dragoni korzystnie się wyróżniali od «lekkich» kozaków. «Ciężka» kawaleria ze specjalnym doborem koni i ludzi istnieje w Rosji jedynie jako przeżytek w «Parade-Armee» — w konnej gwardii.

zem mają wpływ chwilowy, gdyż ulepszenia w tym rodzaju stać się mogą trwałymi jedynie wówczas, gdy istnieje stała praca w pożądanym kierunku, praca, trwająca długi szereg lat. Czy zarząd wojskowy w Rosji potrafi to uczynić, czy znajdzie dostateczną ilość zdolnych wykonawców w państwie, gdzie cały ustrój zabija samodzielność człowieka i jego inicjatywę, są to pytania, na które twierdzącej odpowiedzi dać niesposób. A bez tej ciągłej i stałej pracy, zmieniającej powoli wewnętrzny skład armii i zapewniającej jej stały rozwój, wszystkie reformy tego rodzaju są paliatywami.

Ważniejszymi wobec tego są mechaniczne zmiany ustroju armii rosyjskiej, które zachowują swą wartość ujemną czy dodatnią niezależnie od tego, czy na tę armię złożą się mniej lub bardziej zdolni i wykształceni żołnierze. Do tego gatunku zmian należą w armii uzbrojenie, organizacja, wreszcie dyslokata.

W uzbrojeniu zaszły przez ten czas zmiany niewielkie. Zgodnie z doświadczeniem wojny pomnożono liczbę karabinów maszynowych, przy czym kawalerii dano typ lżejszy, bardziej portatywny. Artylerii dodano przede wszystkim granaty, których brak dotkliwie dawał się odczuć w czasie wojny, i w każdym korpusie wojska wprowadzono jedną baterię ciężkiej artylerii — baterię haubic.

Znacznie większe zmiany zaszły w organizacji armii. Dotychczas armia rosyjska posiadała organizację najbardziej skomplikowaną w Europie; konkurować z nią pod tym względem mogła chyba Anglia ze swą organizacją, przystosowaną do specjalnych potrzeb kolonialnych, a wynikającą ze swoistego, opartego na najmie kompletowania armii. Była to dotąd budowa, która obok fundamentalnych podstaw posiadała całe mnóstwo dobudówek, porobionych w różnym czasie, dla różnych celów, mało z całością związanych i w ogóle czyniących wrażenie dziwacznej, a skomplikowanej pstrokacizny.

Przede wszystkim w dotychczasowej armii carskiej raził brak współżycia w czasie pokoju różnych rodzajów broni. Każdy z nich, mając w górze przy dworze głównych dowódców, uniezależniał siebie od innych w stosunku prostym do wpływów i znaczenia swego protektora w Petersburgu. I wtedy, gdy nowoczesny sposób prowadzenia wojny bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, wymaga kooperacji możliwie ścisłej, — artylerii, piechoty, kawalerii i inżynierii, w Rosji, zgodnie z czynowniczym charakterem zarządów armii, poszczególne jej części w ciągu pokoju raczej odzwyczajały się od współżycia z innymi rodzajami broni, niż oswajały się ze

wspólną pracą bojową, bardziej strzegły swych przywilejów odosobnienia, niż dbały o zespół i harmonię. Tak więc inżynieria wojskowa — saperzy, pontonierzy, telegrafiści — nie stali w żadnym związku z resztą armii, tworząc osobne brygady inżynieryjne, zależne jedynie od zarządu okręgu wojennego i Petersburga, mając sobie tylko teoretycznie wyznaczone korpusy wojska, z którymi ten czy inny batalion miał iść na wojnę. Kawaleria w pewnej części była zupełnie odosobniona, tworząc własne organizacje korpusów kawalerii i łączyła się z innymi rodzajami broni jedynie w najwyższych jednostkach taktycznych — w korpusach. Z artylerią było to samo, z parkami artylerii i amunicyjnymi — również.

Brak ten zespolenia różnych rodzajów broni był tak silny i tak nie miał znaczenia w życiu armii w czasie pokoju, że ministerium i sztab główny nie wahały się wcale wysyłać na wojnę korpusów armii, ułożonych w ten sposób, że piechota, artyleria, kawaleria i inżynieria pochodziły z różnych okręgów wojskowych i spotykały się z sobą po raz pierwszy nieledwie na placu boju. Nic dziwnego, że wszyscy rosyjscy krytycy wojskowi, zarówno jak i obcy, przede wszystkim zwracali uwagę na brak spójności w działaniach różnych rodzajów broni w czasie wojny. Kuropatkin w swej książce [1]) o wojnie japońskiej wskazuje np., że niektóre korpusy armii przyszły na plac boju, nie odbywszy ani jednego ćwiczenia wspólnego dla artylerii i piechoty, nie mówiąc już o kawalerii i saperach.

W samej zaś organizacji poszczególnych broni panował chaos, trudny do zrozumienia, jeszcze trudniejszy do administrowania i do zarządzania. Zasadą w tym wypadku było imponowanie liczbą — zgodnie z samochwalczym hasłem nacjonalizmu rosyjskiego — «szapkami zakidajem!» [2]) To też rozwój armii rosyjskiej szedł, wyprzedzając pod tym względem znacznie armie europejskie, w kierunku wytwarzania coraz to nowych jednostek taktycznych różnego gatunku. A że nie zawsze były odpowiednie pieniądze i odpowiednie siły kierownicze, więc powoli wytworzono nadzwyczajną mieszaninę, wyglądającą jako tako na papierze, lecz bardzo mało zdatną do porządnego działania. W piechocie jednostki taktyczne składały się z jednego, dwóch, trzech lub czterech batalionów. Bataliony niekiedy z pięciu kompanij, obok normalnych czte-

[1]) Gen. Kuropatkin po wojnie rosyjsko-japońskiej wydał w r. 1906 czterotomowe dzieło poświęcone tej wojnie p. t. «Otczot generała adjutanta Kuropatkina».

[2]) Czapkami zarzucimy.

rech. Brygady artylerii miewały niekiedy 6, niekiedy 8, a nawet 9 bateryj bez względu na ilość piechoty, z którą miały pracować w boju. Saperzy tworzyli jednostki taktyczne — brygady, skazane zawczasu — na wypadek wojny — na zagładę.

I oto papierowe stworzenia — czynownicy — powoli wytworzyły papierową organizację armii, niesłychanie liczebnej, lecz niezdatnej do użytku w tej formie, jaką wytworzono. Na dowód dosyć przytoczyć parę faktów z ubiegłej wojny, świadczących o zupełnej nieżyciowości organizacji armii rosyjskiej.

Natychmiast po wybuchu wojny postanowiono dwubatalionowe pułki strzeleckie w Syberii przetworzyć w trzybatalionowe i brygady strzeleckie, składające się z 8 batalionów, w dywizje 12-batalionowe. W tym celu z całej armii za pomocą losowania wybrano po jednej kompanii z każdej brygady piechoty, potem po pół kompanii z każdej dywizji — złączono to wszystko w bataliony i wysłano do będących już na placu boju pułków strzeleckich w Syberii; niektóre z nich trafiły do swych pułków prawie w przeddzień bitwy przy rzece Jalu [1]). Dla zmobilizowania korpusów sybirskich, oprócz rezerwistów z samej Syberii, wyznaczono po kilkunastu ludzi z każdej kompanii armii europejskiej. Następnie, osłabione w ten sposób korpusy europejskie mobilizowano, pociągając rezerwistów miejscowych i łącząc, jak to wspomnieliśmy wyżej, piechotę z artylerią i kawalerią, pochodzącą z innych okręgów wojskowych. Piechota np. była z Petersburga, artyleria z Wilna lub Warszawy, kawaleria z tego czy innego okręgu kozackiego. Bodaj, że jedynie X i XVII korpusy miały na wojnie ten sam skład, co i w czasie pokoju, zawdzięczając to okoliczności, iż niektóre części ich były wyprawione do Mandżurii jeszcze przed wojną.

Hipnoza liczbowa była jednak przy tym tak wielka, że postanowiono w Europie utrzymywać wciąż tę samą ilość jednostek taktycznych, tak samo upajać siebie i straszyć innych olbrzymią armią, sławnym «szapkami zakidajem!» Zgodnie więc z tym zamiarem w zamian korpusów, wyprawianych na plac boju, rozwijano brygady rezerwowe w korpusy i stawiano je w miastach, gdzie garnizonowały tamte. Liczba korpusów, dywizyj, szwadronów, bateryj i batalionów nie malała. Prawdopodobnie ministerium wojny i sztab były zachwycone —

[1]) Bitwa nad Jalu odbyła się w czasie wojny ros.-jap. w dniu 1. V. 1904 r.

drżyjcie wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni! Walczymy z wrogiem hen, gdzieś na dalekim Wschodzie, wysyłamy tam półmilionową armię, a gotowi jesteśmy walczyć, choćby zaraz, z każdym innym!

Niedługo jednak trwał zachwyt. Przede wszystkim zabrakło artylerii — broni najdroższej, wymagającej najbardziej wyćwiczonej obsługi. Pomimo, że wyciągnięto wszystkie stare graty, jakie pozostawały po dawnym uzbrojeniu, zabrakło i tych, zabrakło oficerów i już prawie na początku wojny ograniczono się imponowaniem jedynie piechotą. Naturalnie, pomijam wyciągnięte w sekrecie, w sekrecie bodaj nawet przed sojuszniczką — Francją, armaty forteczne Warszawy, Modlina, Kowna wraz z olbrzymimi zapasami nabojów, złożonymi w tych fortecach. Wkrótce potem jednak zabrakło i najtańszego materiału wojennego — piechoty. Nie żołnierzy, bo tych w istocie Rosja ma dosyć dla swej olbrzymiej armii na papierze — lecz oficerów, podoficerów i administracji. Nie chcąc doprowadzać do zupełnej dezorganizacji i ruiny wojska, zostającego jeszcze w Europie, musiano skwitować z dumnego planu niezmniejszania ilości jednostek bojowych na Zachodzie pomimo wojny na Wschodzie. Ostatnie więc korpusy, wyprawiane do Mandżurii, nie otrzymały w Europie zastępstwa. I nie dziwota — przecie w Królestwie, tym oczku we łbie wojennym caratu, liczba żołnierzy w kompanii zmalała do połowy, a chorążowie rezerwy, którzy zdążyli szczęśliwie zapomnieć, że mieli coś wspólnego z wojskiem, bywali nieraz jedynymi oficerami, a więc i komendantami całych dwóch kompanij.

Papierowa organizacja armii nie wytrzymała próby wojennej. Wszelkie jednostki, zorganizowane w czasie pokoju, okazały się niezdatnymi dla wojny, musiano bowiem na poczekaniu improwizować nowe. Zdawało się to rzeczą łatwą, gdyż w czasie pokoju zajmowano się stale improwizacją. Z resztek materiału wojennego, obrzynków, wytwarzano jednostki, dla których obmyślano te czy inne, sensowne czy bezsensowne, wyjaśnienia i cele, w rodzaju ruchomej obrony fortec, tworzenia rezerwowej armii, osłony tej czy innej połaci kraju itd. I w czasie wojny więc krajano, łatano, dokrawano i doszywano, nim się przekonano, że praca łatacza zawsze się rozpełza nieledwie na drugi dzień po włożeniu ubrania.

Obecna reforma organizacji wojskowej stara się zapobiec temu na przyszłość, wprowadzając bardziej jednolite i uporządkowane stosunki w armii. Przede wszystkim pożegnano się z systemem obrzynków, systemem dodatków do zasadniczej budowy. Armia dzieli się na korpusy, więc wszyst-

kie jednostki bojowe muszą być w organizację korpusową włączone. Upraszcza to ogromnie administrację, ułatwia przejście od stanu pokojowego do wojennego, wreszcie uniemożliwia wyodrębnianie się różnych drobnych i większych cząstek armii w osobną niezależną całość. W tym celu skasowano dużą ilość jednostek pozakorpusowych, jak brygady rezerwowe, pułki i bataliony piechoty fortecznej, zwiększono natomiast liczbę dywizyj polowych, z których sformowano nowe korpusy. Liczba papierowa batalionów, co prawda, zmniejszyła się, lecz to, co jest, jest bardziej zdatnym do wojny, jako organizacja stała, niezmienna dla czasów pokoju, zarówno jak dla wojny.

Przy tej reformie nie szczędzono nawet wojsk uprzywilejowanych, jak gwardii, grenadierów, brygad strzeleckich w Europie. Tak 3-cią dywizję gwardii (w Warszawie) odłączono do XIX korpusu, 3-cią grenadierską do XXV, brygady strzeleckie w Królestwie do XXIII. Liczba dywizyj liniowej piechoty z (papierowej) 80, na jaką liczono armię rosyjską na wypadek wojny, spadła do 52, liczba zaś korpusów wzrosła z 31 (1 gwardii, 1 grenadierów, 22 europejskie, 2 kaukaskie, 2 turkiestańskie i 3 sybirskie) do 37 (1 gwardii, 1 grenadierów, 25 europejskich, 3 kaukaskie, 2 turkiestańskie, 5 sybirskich).

Równie bezlitośnie zerwano z tradycyjnym odosobnieniem poszczególnych rodzajów broni. Saperom odebrano ich specjalnie pokojową organizację — brygady saperskie — i rozrzucono je batalionami do poszczególnych korpusów. Kawalerię przydzielono do korpusów, nie wyłączając brygady warszawskiej, parki artyleryjskie straciły swą samodzielność i zostały oddane odpowiednim brygadom artylerii, te ostatnie oddano pod komendę naczelników dywizyjnych piechoty. Nawet bataliony taborowe, parki oblężnicze, kompanie balonowe, kompanie dla telegrafu bez drutu włączono do korpusów już nierównomiernie, ale zależnie od miejsca kwaterunku. Obecnie zaś poza artylerią forteczną, związaną ściśle z działami fortec, strażą pograniczną, oddziałami konwojowymi i żandarmerią nie ma jednostek taktycznych wojska, niewłączonych do ramek ogólnej organizacji korpusowej.

Nieco gorzej przedstawia się w nowej organizacji jednolitość jej wewnątrz korpusów. Pozostawiono przede wszystkim różnicę w organizacji pułków piechoty i pułków strzeleckich, pomimo, że różnica w treści wojennej jest w Rosji pod tym względem zupełnie nominalna — batalion strzelecki niczym co do wyekwipowania, uzbrojenia itd. nie różni się od batalionu zwykłej piechoty. A jednak pułki piechoty liczą

4 bataliony, strzeleckie w Syberii 3, w Europie, na Kaukazie i w Azji środkowej 2. Jedne są złączone w dywizje, drugie w brygady.

Kawaleria nierównomiernie została rozrzucona do korpusów. I jeżeli da się wytłumaczyć, że korpusy nadgraniczne posiadają większą ilość tej broni w porównaniu z korpusami w głębi kraju, to jednak usunięcie zupełne kawalerii z organizacji niektórych z nich przeczy zasadzie stałego współżycia i współćwiczeń wszystkich broni. Bez kawalerii mimo to pozostały korpusy I (Petersburg), IV (Mińsk Litewski), XVII (Moskwa), XVIII (Petersburg), XXI (Kijów), XXV (Moskwa), IV Sybirski (Władywostok) i V Sybirski (Chabarowsk).

Artyleria natomiast została, że się tak wyrażę, zniwelowana. Każda piesza dywizja ma na swe usługi brygadę artylerii, złożoną z dwóch dywizjonów, każda brygada strzelecka jeden dywizjon. Obok tego każdy korpus posiada jeden dywizjon haubic. Jedyną dysproporcją jest przydzielenie do 5 korpusów dodatkowo jeszcze dywizjonów ciężkiej oblężniczej artylerii (XIX — Warszawa, XX — Ryga, XVII — Moskwa, XIII — Smoleńsk i XXI — Kijów).

Wreszcie wojska pomocnicze, jak bataliony taborowe i pontonierów, oddziały balonowe i dla telegrafu bez drutu, parki oblężnicze itd., przyczepiono po prostu do korpusów, zależnie od punktu garnizonowego, jedynie dla zasady, aby całe wojsko było włączone do korpusów. Trudno bowiem było przypuścić, by np. XII korpus w Winnicy, mający w swym składzie 2 bataliony taborowe i kompanię balonową, miał pod tym względem większe potrzeby na wojnie, niż sąsiedni XI korpus (Równe), który nie ma ani taborów, ani balonów; albo też, by III korpus wileński miał koniecznie przechodzić większe rzeki (posiada czwarty batalion pontonowy) i musiał korzystać z wynalazku Marconiego[1]) (ma drugą kompanię «iskrową»), a jego sąsiad — IV korpus miński — tego wszystkiego nie potrzebował, natomiast woził ze sobą zwiększone tabory (ma trzeci batalion taborowy).

Pomimo tych usterek trzeba przyznać, że nowa organizacja armii rosyjskiej zwiększy znacznie jej gotowość do boju. Usunęła ona różne przeżytki i balasty organizacyjne, stworzyła zaś ramy, zespalające różne rodzaje broni w jedną całość i ułatwiające przejście tak trudnego okresu, jakim jest dla wszystkich armij w ogóle, dla rosyjskiej zaś w szczegól-

[1]) Marconi — włoski wynalazca telegrafu iskrowego.

ności, okres mobilizacji i przetworzenia stanu pokojowego na stan wojenny.

W tym samym kierunku idą i reformy armii pod względem jej dyslokacji. Wobec tego, że w tym wypadku są one ściśle związane z naszą ojczyzną i z urządzeniem się najazdu u nas, poświęcimy temu specjalny artykuł.

J. P.

BUNT WIĘZIENNY W IRKUCKU

ZE WSPOMNIEŃ

Artykuł o buncie więziennym w Irkucku stanowi jedyne wspomnienie Piłsudskiego z czasów jego syberyjskiego zesłania i z tego powodu jest niezwykle cennym źródłem biograficznym. Zamieszczony został w «Kalendarzu Robotniczym» na rok 1911, redagowanym przez Zygmunta Klemensiewicza (Kraków 1911), a napisany prawdopodobnie w końcu r. 1910.

Niewielka grupka wygnańców, złożona z dwudziestu kilku ludzi, za którymi w końcu września 1887 r.[1]) zamknęła się brama więzienia irkuckiego, nie cieszyła się dobrą opinią u władzy. «Buntujuszczaja partija»[2]) — tak mówiono o niej z powodu ogona protokółów, który wlókł się za nami w nudnej, trzymiesięcznej podróży po etapach sybirskich. Protokóły były skutkiem różnych starć z oficerami — komendantami etapów i władzą więzienną w paru miejscach. Jeden z oficerów, gdzieś w gubernii Jenisiejskiej, po awanturze z nami napisał na nas donos[3]), żeśmy wyłamali w etapie dach w celu ucieczki, co było wierutnym kłamstwem. Wyższa władza, przestraszona tą rzekomą próbą ucieczki oraz oburzona na naszą bezczelność w stosunku do owego oficera, dała depeszę do wszystkich oficerów, z którymi w drodze mieliśmy się spotkać, depeszę, nakazującą w obejściu z nami być «grzecznym, ale srogim», a w razie jakiegokolwiek oporu zakuwać nas wszystkich w łańcuchy ręczne i nożne. Ten dziwaczny okólnik stawiał prawie

---

[1]) Józef Piłsudski w drodze na zesłanie syberyjskie przybył do Irkucka około 4 października. Podana przezeń data «koniec września» jest datą st. stylu, według którego Piłsudski oblicza wszystkie daty, związane z pobytem na Syberii.

[2]) Buntująca się partia.

[3]) Raport, doniesienie.

każdego oficera, napotkanego w drodze, na stopie wojennej względem nas — oto główny powód protokółów o różnych zajściach pomiędzy nami a oficerami etapowymi.

Muszę się jednak przyznać, że w wielu wypadkach my sami byliśmy winni przy tym lub owym zajściu. Wymagaliśmy nieraz od oficerów lub władzy więziennej rzeczy nielegalnych, takich, które stoją w sprzeczności wyraźnej z ustawą więzienną. Wymagania nasze, przed którymi niejeden z oficerów ustępował dobrowolnie, bez żadnego nacisku, wywoływały nieraz awantury, gdy się miało do czynienia z oficerem, który za nić przewodnią w stosunku z nami obrał sobie nie pierwszą, lecz drugą połowę nakazu wyższej władzy i postanowił być nie tyle «grzecznym», co «srogim». Wszystkie jednak awantury kończyły się zwykle protokółem, spisanym z powodu zajścia w asystencji władz miejscowych.

Tak dowlekliśmy się wreszcie do Irkucka, skąd połowa naszej grupy miała się rozjechać, a raczej być rozwiezioną pojedynczo do pobliższych punktów, wyznaczonych im jako miejsce wygnania. Reszta musiała czekać na ustalenie się drogi zimowej na rzece Lenie, po której droga prowadzi w dalsze, północne strony Syberii. Ja należałem do tej reszty, byłem bowiem naznaczony przez gubernatora irkuckiego do Kireńska, miasteczka powiatowego, leżącego o 1000 wiorst od Irkucka na północ.

Po tygodniu niewoli irkuckiej zostało nas trzynastu, przeznaczonych na Lenę. Czekać mieliśmy dosyć długo, bo droga w południowej części Leny ustanawia się na stałe dopiero w l i s t o p a d z i e i władza chciała doczekać następnych transportów wygnańców, by eksportować na Lenę od razu większą ilość ludzi. W oczekiwaniu wyjazdu rozgościliśmy się w więzieniu. Ośmiu z nas mieszkało w «sekretnym korytarzu» — w sześciu celach. Reszta — pięciu, i ja pomiędzy nimi — w osobnej, dużej celi na parterze więzienia. Cela ta była naszym klubem i jadalnym pokojem, konstytucja bowiem więzienna pozwalała nam na włóczęgę po więzieniu w przeciągu dnia całego bez przeszkody. Zamykano nas w celach tylko na noc — od szóstej wieczorem do szóstej rano.

Oprócz nas — trzynastu mężczyzn, w skrzydle więziennym, przeznaczonym dla kobiet, były trzy towarzyszki, mające również w przyszłości jechać z nami na Lenę. Miały one w swym rozporządzeniu aż sześć cel w «sekretnym» korytarzu oddziału kobiecego.

Czas spływał na rozhoworach o przeszłości, o warunkach wygnania, na szachach, czytaniu książek. Od czasu do

czasu wpadało do więzienia wyższe jakie «naczalstwo»[1]) — pułkownik żandarmerii, prokurator, policmajster, nawet sam jenerał-gubernator Wschodniej Syberii, hrabia Ignatjew. Każda nieledwie z tych wizyt była dla nas przykrością, każdy bowiem z tych panów uważał nasze położenie za zbyt dobre i zwracał uwagę dyrektorowi więzienia — poczciwemu, lecz słabemu człowiekowi — na konieczność rygoru więziennego. Nie brakło też i pretensyj z naszej strony.

Tak więc prokurator oberwał od nas za zatrzymywanie naszych listów przez czas dłuższy. Spostrzegliśmy, że listy od naszych krewnych i bliźnich, listy, których z takim upragnieniem oczekiwał każdy z nas, leżały u p. prokuratora tygodniami całymi, dopóki wreszcie raczono je przejrzeć i odesłać do więzienia. Oburzeni posłaliśmy wszyscy jednobrzmiące, nieco obraźliwe komunikaty swoje do prokuratora, zwracając mu uwagę na niestosowność takiego postępowania. Prokurator okropnie się obraził na nas i zaczął nastawać, by zmniejszono nasze przywileje więzienne.

Zdarzył się jednak wkrótce wypadek, który przyśpieszył katastrofę, wiszącą i tak nad głową «buntowników». Jeden z naszych kolegów, niejaki Cejtlik, miał jako narzeczonę jedną z towarzyszek. Pozwolono im widywać się co dzień w kancelarii więziennej w przeciągu godziny. Otóż razu pewnego, w czasie takiego widzenia, wszedł do biura więziennego p. policmajster. Kolega C. nie zauważył go i nie powitał go ani ukłonem, ani słowem. Policmajster wpadł na niego, wymyślając mu po grubiańsku. Kolega C. nie został mu dłużnym w odpowiedziach. Policmajster rozwścieklony kazał go wsadzić na trzy dni do karceru, lecz nim wyrok został wykonany C. wyskoczył z biura i wpadł do naszej celi, opowiadając nam o tym, co zaszło.

W jednej chwili byliśmy już zebrani w naszej celi i postanowiliśmy nie pozwolić na wykonanie wyroku. Wnet przyszedł pomocnik zawiadowcy więzienia, wołając C. do karceru. Oświadczyliśmy, że nic z tego nie będzie, że nie pozwolimy na tę krzywdę. Pomocnik zawiadowcy odszedł, po chwili jednak wrócił w asystencji oficera, dowodzącego strażą wojskową w więzieniu, i piętnastu żołnierzami. Raz jeszcze zaproponowano nam wydać C. władzy więziennej i po odmowie przypuszczono szturm do nas. Oficer, dowodzący żołnierzami, widocznie jakiś porządny człowiek, nie pozwolił tym

[1]) przedstawiciel władzy.

razem na użycie zwykłej w takich wypadkach broni — okutej żelazem kolby karabinowej — i raz po raz krzyczał:

— Ostrożnie, chłopcy, karabinami nie ruszać, brać rękami!

Po chwili, jak oficer, tak pomocnik zawiadowcy, którym najwidoczniej się chciało uniknąć grubszej awantury, zaprzestali ataku i jeszcze raz spisano wobec nas protokół o niegrzecznym naszym zachowaniu się. Po spisaniu protokółu oficer ukłonił się nam i wyszedł razem z żołnierzami z celi. Usunął się też i pomocnik zawiadowcy.

Dzień ten skończył się bez żadnych przygód. Widocznie i policmajster nie odważał się robić większej awantury bez wyraźnego pozwolenia na to wyższej władzy. Prawdopodobnie więc tego wieczoru udał się po pełnomocnictwa i wskazówki do Ignatjewa.

Nazajutrz rano — było to 20 października starego stylu [1]) — według zwyczaju otworzono nam drzwi we wszystkich celach, przez nas zajmowanych. O tej rannej porze spaliśmy wszyscy, z wyjątkiem jednego tylko kolegi w naszej dużej celi, Daniłowa, człowieka starszego od nas, młokosów, który zwykł był stawać o szóstej rano. Nie minęło jednak godziny, gdy przyszedł od policmajstra rozkaz zastosowania względem nas całej surowości ustawy więziennej, która wymaga, by więźniowie cały czas byli zamknięci w celach i wypuszczani jedynie na określony, zwykle półgodzinny, spacer.

Zgodnie z rozkazem policmajstra, dozorca więzienny zamknął wszystkie cele w korytarzu «sekretnym». W naszej jednak dużej celi przeszkodził mu w tym kolega Daniłow, któremu zresztą dozorca nie stawiał oporu, bo sam nie rozumiał powodu tej nagłej zmiany i przypuszczał, że zaszła jakaś omyłka. Wszystko było w porządku, nim nareszcie nie obudzili się koledzy w «sekretnym» korytarzu, o których my w dużej celi nie wiedzieliśmy. Krzyki kolegów z «sekretnego» korytarza wywołały nas na podwórze.

— Zamknięto nas! — krzyczeli nam przez okno — wołamy na dozorcę, by otworzył, nie chce!

Zaczęła się narada. Ogólne mniemanie było takie, że prawdopodobnie w ten sposób chciano nas rozdzielić, by łatwiej można było wykonać wyrok karceru na Cejtlinie.

Teraz, gdy sobie uprzytamniam ową chwilę, gdy doświadczenie i wiek wytworzyły w mych żyłach sporą dozę chłodnej krwi, rozumiem, że przede wszystkim należało poro-

[1]) 1 listopada.

zumieć się z zawiadowcą więzienia, z którym paktowanie było możliwe i prawdopodobnie doprowadziłoby do jakiegoś kompromisu. Lecz wówczas nie chcieliśmy rozumować. Rozzuchwaleni tylu utarczkami z władzą, postanowiliśmy wyłamać drzwi w celach naszych kolegów i oswobodzić ich z zamknięcia siłą.

Uzbrojeni w drągi i pałki, wpadliśmy na korytarz «sekretny». Dozorca z pałaszem i rewolwerem flegmatycznie przechadzał się po korytarzu, paląc fajkę.

— Otwórz! — zawołaliśmy na niego, — bo będziemy łamać drzwi!

— Kazano — odparł — zamknąłem. A mnie co, drzwi — rzecz skarbowa, nie moja. Łamcie, sami za to odpowiecie.

I najspokojniej w świecie kontynuował przechadzkę po korytarzu, uśmiechając się ironicznie na naszą pracę koło pierwszych z brzegu drzwi «sekretnych». Jednak praca nasza trwała dosyć krótko. Zamek, wiszący u drzwi i utrzymujący żelazną sztabę, stanowiący główną zaporę, nie wytrzymał nacisku pięciu par silnych rąk, pękł i drzwi się otworzyły. Następne cztery cele zostały w jednej chwili otwarte tym samym sposobem. Zatrzymaliśmy się dopiero przy szóstej celi, która miała zamek wewnętrzny — wszystkie nasze usiłowania były nadaremne: drzwi nie poddawały się naszemu naciskowi.

Otoczyliśmy znowu dozorcę, wymagając, by drzwi otworzył. Wahał się, lecz, gdy zagroziliśmy mu, że przemocą odbierzemy od niego klucze, ustąpił i ostatnie drzwi nie zostały uszkodzone. Zabawny był to widok. Przedstawiciel władzy, dozorca z fajką w gębie, oglądał zakłopotany niezwykłe spustoszenie: wygięte sztaby, złamane zamki. My staliśmy spoceni, triumfujący, rozradowani i rozśmieszeni zarazem tak łatwym i tak oryginalnym zwycięstwem. Wreszcie nie było tu co robić, wyszliśmy na podwórze w podskokach, gwarni i weseli.

Dzień cały minął i nikt nas nie zaczepił. Zdawaćby się mogło, że o nas zapomniano. Władza więzienna do nas się nie zgłaszała wcale, a gdy przyszła szósta godzina wieczorem, nikt nas do cel nie zapędzał. Zostawiono nas w spokoju. To nas zastanowiło — czy nie jest to cisza przed burzą? Zebraliśmy się wszyscy w naszej dużej celi — w naszym klubie na naradę. Ogólne zdanie było takie, że władza będzie zmuszona coś przedsięwziąć, że zaś nic dobrego wróżyć nie można było z dotychczasowej bezczynności władzy więziennej, postanowiliśmy na wszelki wypadek nie rozchodzić się do cel i czekać tu w kupie dalszego losu. Gdyśmy obradowali, usłyszeliśmy za

sobą trzask zamykanych drzwi: któryś z dozorców podkradł się i zamknął nas w klubie.

Niepokój nasz zaczął wzrastać. Przez zakratowane okno nic nie było widać. Słyszeliśmy tylko jakieś szybkie, lecz ciężkie kroki na podwórzu. Po pewnym czasie do uszu naszych doleciał krzyk niewieści. Poznaliśmy głos jednej z naszych towarzyszek. Co ona krzyczała, o czym zawiadamiała nas, nie mogliśmy zrozumieć. Widocznym jednak było, że nasze koleżanki gdzieś były przenoszone, gdyż krzyk i odgłos kroków wskazywał na kierunek ruchu — od skrzydła kobiecego do bramy więziennej.

Rzuciliśmy się wszyscy do drzwi, chcąc je wyłamać, lecz usłyszeliśmy liczne kroki, zbliżające się do naszej celi. Drzwi z trzaskiem się otworzyły. Na progu błysły bagnety i lufy karabinów. Na środek pokoju pędem wpadło z dziesięciu żołnierzy z nastawionymi w naszym kierunku bagnetami. Za nimi wszedł policmajster w otoczeniu oficera, dowodzącego żołnierzami, i władzy więziennej.

— Panowie, — zwrócił się do nas policmajster — musicie państwo być przeniesieni do innej części więzienia; ta cela nam jest potrzebna.

— Zgoda! — odpowiedział na to nasz starosta, wybierany zwykle w partiach wygnańców dla prowadzenia wspólnej gospodarki i pertraktacyj z władzami, — zgoda. Nam jest wszystko jedno, tu czy gdzie indziej. Żądamy tylko, by pan nam przyrzekł, że nasze warunki życiowe nie będą pogorszone, że będziemy korzystali z tych samych swobód, jakieśmy mieli dotąd.

— Nie mogę wchodzić w żadne umowy z panami, — odparł policmajster, podnosząc głos, — jesteście więźniami, my jesteśmy władzą. Waszą rzeczą jest słuchać i być posłusznym rozkazom władzy.

Rozpoczęła się krótka kłótnia. Żądaliśmy stanowczo określenia warunków naszej przyszłej niewoli. Policmajster widocznie się wściekał.

— Nie chcecie panowie mnie słuchać, — zawołał — posłuchacie czego innego. P. poruczniku, — zwrócił się do oficera — rób pan, co panu kazano!

Porucznik wyjął pałasz i huknął na żołnierzy:

— *Biej ich, rebiata! Cztob dołgo pomnili!* [1]).

Żołnierze, jak wściekłe wilki, rzucili się ku nam z pod-

[1]) Bijcie ich, chłopcy, by długo pamiętali.

niesionymi karabinami. Byliśmy skupieni w kącie między piecem i ścianą, ja stałem w pierwszych szeregach. Podniosłem oczy, nade mną była kolba karabinowa. Odsunąłem ją ręką, kolba ześlizgnęła się po czole, lecz w tej chwili otrzymałem kolejne uderzenie kolbą po drugiej stronie głowy, potem drugie, trzecie... Krew zalała mi oczy, zachwiałem się na nogach, w głowie mi się zakręciło... Upadłem. W chwili, gdym się przewracał, żołnierze odskoczyli od nas — był to efekt rzuconej z tylnych naszych szeregów poduszki, która upadła tuż przy mnie. Po chwili zemdlałem, słysząc jeszcze na razie jakiś jęk, nie wiem już, czy z moich, czy innego kolegi ust wydarty.

Co dalej było, nie widziałem. Jak mi opowiadał potem jeden z kolegów, z pomiędzy nas trzynastu trzech tylko pozostało na nogach do końca, reszta pomdlała pod uderzeniami kolb żołdackich. Wyciągano nas po kolei z celi na podwórze. Co do mnie, ocknąłem się w objęciach dwóch żołnierzy, którzy już na podwórzu próbowali stawiać mię na nogi. Przyszedłem do przytomności, lecz nie bardzo rozumiałem, co wokoło mnie się dzieje. Instynktownym ruchem wyrwałem się z rąk żołnierzy i pobiegłem przed siebie. Wpadłem pod bramę więzienną, gdzie ujrzałem cały szereg żołnierzy z karabinami w ręku. Podoficer, który stał przed szeregiem, otworzył ramiona i chwycił mnie. Nogi pode mną się uginały i osunąłem się na ręce tęgiego chłopa, który mnie złapał. W tej chwili dopadł do mnie jeden z żołnierzy, od których przed chwilą się wyrwałem, i uderzył mię kolbą w twarz. Krew z nosa i ust buchnęła mi na twarz i odzienie. Oburzyło to widocznie podoficera.

— Durak! — usłyszałem nad sobą — nie widzisz, że chłopiec na nogach nie stoi?!

Żołnierz widocznie się zażenował. Szorstkim rękawem szynelu[1]) starał się otrzeć mi twarz, naturalnie, rozmazując krew jeszcze bardziej. Wreszcie na rozkaz podoficera wziął mię pod ramię i poprowadził za innymi. Prowadzono nas na kobiecy oddział, skąd świeżo wywieziono nasze koleżanki. W głowie mi huczało, szedłem krokiem niepewnym, na pół omdlały; dusiła mię bezsilna złość, a gorycz grubiańsko zdeptanej godności osobistej dławiła mi gardło. Słyszałem wokoło brutalne słowa żołdaków, podpędzających mych kolegów, słyszałem głuche dźwięki uderzeń. Mój żołnierz po naganie podoficera zachowywał się grzecznie. Silnym ramieniem podtrzymywał moje niepewne kroki i raz po raz powtarzał:

[1]) Szynel — płaszcz.

— *Nu, warnaczok*) idź! Wisz! Nie buntuj! Osłab, biednyj!* [1]).

Wepchnięto mnie wreszcie do celi, gdzie już zastałem kolegę, leżącego na podłodze. Drzwi za mną zamknęły się natychmiast. Byłem ostatnim, wprowadzonym do kobiecego oddziału, i zaraz po zamknięciu drzwi zaległa w naszym korytarzu cisza. Kroki oddalających się żołnierzy milkły w podwórzu.

W celi było ciemno, słyszałem tylko ciężki oddech leżącego na podłodze kolegi.

— Który to z was? — zapytałem.

— Ach! To wy, pan, — z jękiem odpowiedział mi kolega, który mię poznał po głosie i tytułował zwykłym dla Polaków przezwiskiem «pan». Jeden z tych diabłów na pożegnanie poczęstował mię w bok kolbą, ledwie dyszę. A z wami co? Widziałem, że upadliście przy początku awantury.

— Gnatów mi nie połamali — mówiłem, — ale okrwawili, jak nieboskie stworzenie; dotąd mi z gęby krew cieknie. Musimy ładnie wyglądać! Cholera! — zacząłem już łajać po polsku — żebyć to choć siekiera lub bodaj porządna pałka w garści była. A to poduszka!

Po chwili przyszedł drżący, jak liść osinowy, zawiadowca i doktór. Przyszli obejrzeć, czy nie ma poważniejszych uszkodzeń, wymagających opatrunku.

— Co panu? — zawołał doktor, świecąc mi latarką w oczy — pan cały we krwi!

— Idźcie do diabła! — zawołał nagle kolega, wyprostowując się groźnie — a był to potężny mężczyzna — jeszcze patrzeć przyszli, czy dobrze swe barbarzyństwo wykonali!

— Precz, precz! — zawołałem i ja, zaciskając kułaki.

Doktór wyszedł, słyszeliśmy, że obchodził resztę kolegów, — dochodziły nas podniesione, zirytowane ich głosy. I znowu cisza. A nagle krzyk:

— Panowie! Czy wszyscy są tutaj?! — rozległo się z którejś celi.

Obliczyliśmy, że wszystkie sześć cel są zajęte, lecz jest nas tylko dziesięciu — trzech brakowało. Nie było Daniłowa, nie było Cejtlina i jeszcze jednego. Gdzie oni być mogą? Może ich zatłukli, może wsadzono ich zbitych do karceru. Minęła noc na naradach, co wobec tego robić wypada. Postanowi-

*) Ludność sybirska dla zesłańców wszelkiej kategorii ma nazwę pogardliwą «warnák». Natomiast przybysze zowią Sybiraków — czałdonami.

[1]) No, warnaczku, idź! Widzisz! Nie buntuj się! Osłabłeś biedaku!

liśmy ogłosić bunt głodowy, dopóki nam nie przyprowadzą kolegów.

Gdy nazajutrz rano przyniesiono nam rzeczy z dawnych cel. Gdy nas wypuszczono na korytarz i mogliśmy się obejrzeć wzajemnie, spostrzegliśmy, jak strasznie byliśmy zmaltretowani. Okrwawieni, opuchnięci, potłuczeni, z palącymi się od gorączki oczami wyglądaliśmy, jak świeżo przytransportowani z placu boju żołnierze. Wszyscy drżeliśmy z oburzenia i zaciskaliśmy zęby z wściekłości, co nas dusiła, lecz nade wszystkim górowała kwestia, gdzie są ci, których pomiędzy nami nie było?

Zażądaliśmy zaraz papieru i atramentu. Napisaliśmy do władzy komunikat, ogłaszający, że od dzisiaj rozpoczynamy się głodzić i nie będziemy przyjmowali pokarmu dopóty, dopóki nam nie przyprowadzą naszych kolegów lub nie przyniosą własnoręcznie przez nich napisanych listów do nas. Pomocnik zawiadowcy biegał od jednego do drugiego, upraszając nas, byśmy tego nie robili. Mówił nam, że owych trzech kolegów zaprowadzili do cyrkułów policyjnych, że im się nic złego nie stało. Byliśmy niewzruszeni.

Pamiętnym mi jest to głodzenie się. Pierwszego dnia kurczyło w żołądku okropnie i głód pod wieczór doskwierał nieznośnie. Nazajutrz jednak i trzeciego dnia żołądek przypominał o swych prawach jedynie w porach, gdy przy normalnym biegu rzeczy otrzymywał należną mu daninę. Zresztą opanowała mię na trzeci dzień słabość i pewne znieczulenie, byłem ciągle drzemiącym. Pod wieczór tego trzeciego dnia przyprowadzono nam dwóch kolegów, którzy zarazem przynieśli nam wiadomość, że trzeciego, mianowicie Daniłowa, widzieli na własne oczy i że wywieziono go na miejsce wygnania. Ogłosiliśmy więc, że przestajemy głodzić się, i poczciwy zawiadowca wbrew ustawie więziennej pozwolił nam po szóstej wieczorem zgotować sobie obiad i herbatę. A nazajutrz, gdyśmy już wpadli w doskonały humor i z apetytem zajadali obiad, przyniesiono nam papier od p. prokuratora, który nam groził sztucznym karmieniem, gdybyśmy się ośmielili nadal wyrażać swój protest głodzeniem się.

Tak się zakończył nasz bunt irkucki. Po tym buncie mieliśmy święte życie. Żadne «naczalstwo» nam nie dokuczało — bało się zaglądać na nasze podwórko. Natomiast mieliśmy swobodę zupełną na naszym terytorium, w dawnym kobiecym skrzydle więzienia. Nie zamykano nas nawet na noc. A gdy przyszły świeże partie wygnańców, pomieszczono je w dawnych naszych kwaterach — rozbitych przez nas celach «sekretnych». Lecz nie przeszkadzano nam odgrywać rolę gościn-

nych gospodarzy i zapraszać nowych kolegów na obiady i kolacje «buntowników».

Swoją drogą, za awanturę 20 października [1]) pociągnięto nas do odpowiedzialności sądowej. Prokurator oskarżał nas nie mniej nie więcej, jak o «zbrojny opór władzy więziennej» — to jest o przestępstwo, za które prawo wysyła ludzi na katorgę.

Nie wiem, jak prokurator udowadniał na sądzie «zbrojność» naszego oporu, bośmy wszyscy stanowczo odmówili udziału w komedii sądowej i zrzekli się wszelkiej obrony. Sąd jednak nie zgodził się z żądaniem prokuratora i zastosował do nas możliwie łagodną karę: skazał wszystkich na pół roku, a mnie i dwóch jeszcze kolegów, jako niepełnoletnich, na trzy miesiące więzienia. Prokurator, niezadowolony z wyroku, apelował do senatu.

W tydzień po sądzie — 1 grudnia [2]) — wyruszyliśmy na Lenę i dopiero w rok potem otrzymałem wyrok senatu, który w swej łaskawości podwoił nam karę, skazując mnie na półroczne więzienie. Odbyłem je w Kireńsku, na miejscu mego wygnania.

Ten bunt irkucki, o którym teraz wspominam, jako o drobnostce, długo był mi pamiętnym. Przez pewien czas nie mogłem obojętnie patrzeć na żołnierza, na mundur, — czułem, że mi się pięści zaciskają, a nieraz, gdym zamykał oczy, widziałem przed sobą pełen grozy obraz dzikiego ataku uzbrojonego tłumu żołdaków na bezbronną garstkę ludzi, skupioną w kąciku.

LIST DO STANISŁAWA WITKIEWICZA

W styczniu r. 1911 Józef Piłsudski wyjechał na kilkutygodniowy pobyt do Włoch, do miejscowości Nervi, skąd przez Szwajcarię wrócił do kraju w pierwszej połowie marca. Zamieszczony poniżej list, pisany do Stanisława Witkiewicza, znakomitego pisarza i malarza, skuzynowanego z Piłsudskim (stąd zwrot: wujaszku), wydrukowany został po raz pierwszy w książce Marii Witkiewiczówny, wydanej w r 1936 p. t. «Wspomnienia o Stanisławie Witkiewiczu» (Warszawa 1936).

Nervi, 3. 3. 1911 r.

Kochany, drogi Wujaszku!

Nie wiem doprawdy jak dziękować drogiemu Wujaszkowi za łaskawą pamięć o mnie, tym bardziej żem przez swe

---

[1]) 1 listopada (nowego stylu).

[2]) 13 grudnia (nowego stylu).

Nervi 3/III 911.

Kochany i drogi Wujaszku.

Nie wiem dotychczas jak dziękować drogiemu Wujaszkowi za Tajemnicę pana o mnie, lecz bardziej ciężkie jeszcze bezsilne do pisania listów zadowolenie na nią nie zasłużyło. Niech mi jednak Kochany Pan wierzy, że bardziej winą z tem jest ręka niż umysł i serce. Tutaj nieraz porównywałem zalety i złe strony Nervi i Abbazii - do tych zalicealijny brak zgwiazdek Lovrany i miłego a serdecznego towarzystwa, którejmy znajdowali w Villi Centrale. Z wielką przyjemnością wyczytałem o liście Wujaszka, że niedługo się zdarza iż Wujaszek wychodzi na spacer, przy mnie tego nie było i ten powód zdrowia mocno mię uniepokoił. Co-

Facsimile listu do St. Witkiewicza z 3 III 1911 r.
Fotografia strony 1-szej

lenistwo do pisania listów całkowicie na nią nie zasłużył. Niech mi jednak Kochany Pan wierzy, że bardzo winną jest w tym ręka, niż umysł i serce. Tutaj nieraz porównywując zalety i złe strony Nervi i Abbazji [1]) — do złych zaliczaliśmy brak sąsiedztwa Lovrany i miłego towarzystwa, któreśmy znajdowali w willi Centrale.

Z wielką przyjemnością wyczytałem w liście Wujaszka, że niekiedy się zdarza, iż Wujaszek wychodzi na spacer, przy mnie tego nie było i ten dowód zdrowia mocno mnie ucieszył. Co do mnie, tom się tutaj trochę naprawił, urlop mój już się kończy i w tych dniach wyjeżdżam przez Szwajcarię do Krakowa z powrotem. Ciepło tu mamy prawie letnie, z wyjątkiem kilku dni zimnych, cały ten miesiąc był ładny. O borach [2]) wściekłych tu nie mieliśmy wyobrażenia wcale, a na słońcu prawie zawsze nie mniej niż 20 stopni ciepła. Teraz słówko o interesie, który mam do Wujaszka od dawna, alem go odkładał przez lenistwo i przez niechęć do namawiania Pana do jakiejkolwiek pracy, gdy ona może szkodzić. Mianowicie ośmielę się Wujaszkowi przypomnieć rozmowy nasze o konieczności podsumowania doświadczeń i wrażeń z ubiegłej rewolucji, konieczności tem większej, że ludzie jak ludzie równie łatwo przychodzą do gwałtownego optymizmu jak do wielkiego pesymizmu w stosunku do sił własnych i do możliwości zmienienia swego losu własnymi siłami. O! i do pesymizmu dochodzą łatwiej — znacznie łatwiej niż do optymizmu, szczególnie my Polacy. Co do mnie w swoich fachowych dociekaniach staram się zrobić co mogę, robię to za pomocą odczytów i wykładów, ale zawsze gdy to robię, przypominam sobie mnóstwo uwag i porównań, które z taką łatwością i tak pięknie wychodziły z ust Wujaszka przy rozmowach, a które są tym cenniejsze, że nie są zabarwione partyjną lub klikową oceną rzeczy, jak to z konieczności u wielu z działaczy tzw. bywa. Pod wrażeniem tych rozmów: — rozmawiałem o nich z naszymi wydawcami (dyrektorami «Książki» [3]) — gdzie obecnie wydają swe dzieła Żeromski, Sieroszewski i wielu innych). Prosili mię oni zwrócić się do Wujaszka z prośbą o napisanie czegokolwiek dla nich. Jabym ogromnie Wujaszka zachęcał do tego i prosił o to. Doprawdy szkoda byłaby, gdyby te wszystkie myśli i uwagi czło-

[1]) Mowa o pobycie Piłsudskiego wiosną 1909 r. w Abbazji, skąd odwiedzał leczącego się w Lovranie Stanisława Witkiewicza.

[2]) Bora — silny wiatr północny.

[3]) Mowa o spółce wydawniczej «Książka», założonej w Krakowie przez P. P. S. i kierowanej przez Baja-Jędrzejowskiego.

wieka tak wybitnego jak Wujaszek o tak poważnej dziejowej chwili jak r. 1905—6 nie zostały uwiecznione w druku. Co Pan o tem myśli? Jeśli Pan będzie tak łaskaw i względny że zechce o tej mojej propozycji pomyśleć, będzie mnie nadzwyczaj przyjemnie otrzymać od Wujaszka o tem liścik, ale już do Krakowa (Szlak 25). Przepraszam najmocniej jeżeli wszystko co piszę, nie pasuje pod jakimkolwiek względem Panu kochanemu, który może być obecnie zajętym zupełnie czemś innym, jeżeli w ten sposób wymuszę na Wujaszku konieczność odpisywania w ten sposób jak się nie chce. W stosunku z kochanym Panem nic więcej nie cenię nad jego spokój, niech w takim razie, moje słowa będą uważane za niebyłe i nie wymagające odpowiedzi. Brończyk [1]) jest obecnie w Krakowie. Przyjechał akurat nazajutrz po naszym wyjeździe, więcem z nim nic nie mówił. Otrzymałem od niego parę długich listów — bo on nie taki do listów leniwy jak ja. Z nich wnioskuję, że zamierza na stałe już osiąść w Galicji. Cieszę się z tego bardzo, bo jak mi się zdaje najlepiej byłoby dla niego — nie mówię już o sobie samym — i dla jego talentów towarzyskich, gdyby postarał się zużytkować siebie w kraju. Zaraz po powrocie do Krakowa, wyślę Panu drogiemu skrót moich wykładów o rewolucji [2]) (konspekt zrobiony przez paru moich słuchaczów, którzy znając mój piórowstręt zrobili z nich notatki). Nie mogłem tego zrobić wcześniej, bo prokuratura krakowska część tego skonfiskowała i dopiero po otwarciu parlamentu przed samym moim wyjazdem zimmunizowano broszurkę. Nie wszystko co myślę o tem mogłem tam wypowiedzieć, bo musiałem się stosować do swych słuchaczów a byłem też ograniczony czasem, więc wiele z moich doświadczeń musiałem wyrzucić za nawias w tym wypadku. No i naturalnie ma to charakter trochę militarny, bo takim już jestem z usposobienia i trochę z fachu — trochę tylko niestety! Spotkałem tutaj rzeczywistego fachowca Polaka z armii rosyjskiej, który przetrwał kampanię mandżurską, obecnie jest generałem armii rosyjskiej i pomimo to takim sobie poczciwym i sympatycznym Litwinem, niejakim p. Korsakiem; żałuję mocno, że tylko krótko miałem możność z nim rozmawiać. Ma on co prawda trochę inne pojęcie o faktach z wojny japońskiej niż te, które wyrobiłem sobie z moich studiów — trudno mu przecie uznać, że ze strony rosyjskiej walczył i n n y człowiek niż ze strony japońskiej i tym zwy-

[1]) Brończyk — Bronisław Piłsudski, brat Józefa.

[2]) Mowa o broszurze «Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim».

ciężył — ale ciekawe są jego opowiadania, jego jako naocznego świadka. Wczoraj wyjechał dalej na południe korzystać z urlopu.

Kończę list swój, który nad moje spodziewanie rozrósł się do niezwykłych jak dla mnie rozmiarów. Proszę przyjąć drogi Panie serdeczne uściśnienie od szczerze przywiązanego

Ziuka.

P. Dembowskiej [1]) całuję rączki i za pamięć serdecznie dziękuję.

KRYZYSY BOJÓW

W dniu 13 maja 1911 r. Piłsudski wygłosił we Lwowie odczyt p. t. «Kryzysy bojów», zorganizowany staraniem Związku Strzeleckiego. Tekst odczytu wydrukowany został w dniu 20 maja w tygodniku lwowskim «Życie», w zeszycie XXI.

Odczyt powyższy powstał ze studiów, jakie Piłsudski przeprowadza w tym czasie nad wojną angielsko-burską i rosyjsko-japońską i wywarł na słuchaczach bardzo głębokie wrażenie przez oryginalność i nowość ujęcia.

Zwycięstwo w boju doby dzisiejszej jest wynikiem wielkich wysiłków, trwających bardzo długo, wysiłków, w czasie których waha się szala powodzenia. Po długim zmaganiu się następuje wreszcie w boju kryzys, po którym jedna strona ulega drugiej. Jest to ów kryzysowy moment ulegania, przyznawania się do słabości, uznania przewagi zwycięzcy nad sobą, moment, który można też obserwować choćby w walce, prowadzonej przez atletów. W boju doby dzisiejszej, trwającym długo, psychiczne objawy kryzysu posiadają wielkie, ogromne znaczenie.

W starożytności walczono w ten sposób, że plemiona wyrzynały się wzajemnie. Walka wówczas nie trwała długo, kryzys przechodził szybko. Im dalej od tych czasów do nowoczesnego sposobu boju, tym czas wahania się zwycięstwa przedłuża się oraz wzmaga się znaczenie elementu psychicznego. Broń palna oddaliła ludzi od siebie, bój, kończący się powaleniem przeciwnika, przedłużyła. Za czasów napoleońskich już boje trwają dobę, w ciągu dnia sprawa się rozstrzyga. Dziś trwa bój tygodniami. Gdybyśmy z zwierzeń starożytnych wie-

[1]) Dembowska Maria, osoba stojąca blisko St. Witkiewicza.

ków zaczerpnąć chcieli przenośni do określenia tej niepewności wyników dzisiejszego boju, powiedzielibyśmy, że Zeus, który dzierży szale powodzenia w swych rękach, obecnie długo waży i znacznie subtelniejszych używa wymiarów... Francuzi bardzo trafnie nazwali pierwszy okres walki bojem zużywania — «combat d'usure».

Bo też, jak w żarnach, przemiela się siła człowieka, siła ludzkiego charakteru. Bój w pierwszym okresie nawet prowadzony jest w tym celu, by przeciwnika doprowadzić do kryzysu w stanie zupełnego zwiotczenia. Bojem nerwów nazywa to zmaganie się współczesny pisarz wojskowy. W kryzysach więc boju zwycięstwo dokonywa się w tajnikach duszy ludzkiej. Szala zwycięstwa rozstrzyga się w sercu, woli, charakterze i w umiejętności trwania u człowieka. W kryzysie technika ustępuje miejsca charakterowi.

O ile bowiem chodzi o techniczną stronę dzisiejszego boju i jego rezultaty w stratach, ponoszonych przez strony walczące, okazuje się, że wojny dzisiejsze są mniej krwawe od dawniejszych. Napoleon płacił za swe zwycięstwa ofiarami 40—50% swych ludzi. Dziś pada 20—30% ludzi. Dziś zdarzają się zjawiska, że mordercze narzędzia zdolne są jeszcze do długiej służby, zaś ludzie się zużywają, ustępują.

Kilka przykładów, z ostatnich wojen zaczerpniętych, zilustruje należycie nastrój dzisiejszych bojów.

Weźmy np. epizod jeden z walki o oswobodzenie Ladysmithu, w czasie wojny angielsko-burskiej [1]).

Burowie zajęli pod Ladysmith korzystne pozycje, umożliwiające im odparcie usiłowań odsieczy oblężonej twierdzy.

Mimo to generał angielski Buller dokonuje szeregu prób odsieczy.

Jednym z końcowych epizodów takiej próby była bitwa o górę Spionskopp. Buller Burów przełamać nie może. Cztery dni zużywania się sił ludzkich. I oto generał Buller decyduje nocny atak na Spionskopp. Rusza półtrzecia batalionu do ataku i spycha z pozycji Burów. Trzykrotne h u r r a! zwiastuje w dole stojącej armii angielskiej zwycięstwo.

U Burów ogromne przygnębienie, wszyscy pewni klęski. Lecz znalazł się człowiek, był nim generał burski Botha [2]),

[1]) Ladysmith — miasto, leżące w Natalu (płd. Afryka) w czasie wojny angielsko-burskiej (1899—1902) oblegane było bezskutecznie przez wojska Burów od 30. X. 1899 do 28. II. 1900. Miasto oswobodziła odsiecz oddziałów angielskich, którymi dowodził gen. sir Redwers Buller.

[2]) Botha Ludwik (1862—1919), gen. i głównodowodzący, po śmierci Jouberta, armią burską w czasie wojny angielsko-burskiej. Rozpoczął

który, korzystając z błędów angielskich, zwołał kilkuset ludzi i z artylerią rzucił się do kontrataku. Rozpoczęła się walka, trwająca cały dzień. Zwycięstwo wahało się. Upał, pragnienie, niemożność wyniesienia trupów i rannych, niewygodne pozycje zużywały siłę i wolę stron obu.

Zapada noc. Komendant Anglików, pułkownik Thornecroft, nakazuje odwrót. Zabrakło mu siły wytrwania.

Burowie też opuszczają swe stanowisko. Górę walki opuściły obie strony, że zaś zwycięstwo zostało po stronie Burów, znowuż to zasługa generała Bothy, który, prosząc i nalegając, zdołał zebrać 40 ludzi i zająć na nowo opuszczoną pozycję. Po stronie Burów znalazł się człowiek, którego siły nie zwiotczały, który wytrwał, — i zwyciężyli.

A materialne straty? Bez porównania mniejsze, niż w dawnych czasach: 30% zabitych i rannych, $^2/_3$ wojska zostało nietknięte. Po boju przegranym zostały dwie trzecie «rycerzy żywych».

Przykład inny z wojny rosyjsko-japońskiej. Pod Liaolianem [1]) siedm dni walczono i oto po siedmiu dniach na jednej górze (Mandżujama) zogniskowały się nadzieje obu walczących armij. Góra owa zajęta była przez XV brygadę japońską generała Okasaki. Atakowali pozycję owej brygady Rosjanie w liczbie 60 batalionów przez 48 godzin. Japończycy bronili pozycji wśród trupów poległych towarzyszy, przy huku 152 armat, grających im marsz pogrzebowy. Szturmy rosyjskie szły jeden po drugim. Brygada wytrwała.

Można krytykować te czy inne zarządzenia wodzów rosyjskich, nie zmniejsza to wyjątkowości wypadku, że 6 batalionów przez 48 godzin wytrwało na stanowisku i odparło pięciokrotny szturm 60 batalionów przeciwnika. Gdy brygada owa wyszła z okopów, ludzie podobni byli do cieni. Musiano wyznaczyć osobne kompanie wojska, które im jeść gotowały, bo do tego już nie byli zdolni ci, co przeszli kryzys boju.

Straty i w tym wypadku, w porównaniu do przejść moralnych, nieznaczne, — obejmowały około $^1/_3$.

Też same momenty kryzysu przechodzi w boju każda jednostka, każdy człowiek. Z relacyj pamiętnikarskich pewnego

---

wojnę jako młodszy oficer i dzięki niezwykłej odwadze i talentom operacyjnym doszedł do stanowiska głównodowodzącego.

[1]) Laojan (nie Liaolian), miasto w Mandżurii, odległe o 60 klm. od Mukdenu. Bitwa pod Laojanem, w której Japończycy zmusili armię rosyjską gen. Kuropatkina do odwrotu, trwała od 25. VIII. do 3. IX. 1904 r.

kapitana rosyjskiego zaczerpnąć można przykład takiego jednostkowego przeżycia kryzysu boju.

Kapitan ów otrzymał rozkaz zajęcia ze swą kompanią pewnej pozycji. Po jej zajęciu zasypał kompanię grad pocisków. Sytuacja stała się groźną, rozpaczliwą. Nie mogąc powziąć samodzielnej decyzji, kapitan ów, chcąc zmniejszyć odpowiedzialność, postanawia posłać gońca do komendanta z zapytaniem, co ma począć.

Lecz wobec rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazła jego kompania, wobec czyhającej zewsząd śmierci i przerażenia, nie miał on serca wydać wprost rozkazu któremuś z żołnierzy, by poszedł. Wzywa więc żołnierzy na ochotnika. Milczenie w szeregach odpowiedziało na wezwanie kapitana. Żołnierze stoją drżący, bladzi, nieporuszenie. Kapitan więc poczyna prosić, błagać wreszcie, by ktoś pójść z raportem odważył się, gdyż jemu, jako komendantowi, pod najsurowszą odpowiedzialnością opuszczać swego stanowiska nie wolno. Po długich błaganiach wreszcie zgłasza się ochotnik. Kapitan opowiada, że mimo grozy sytuacji śmiać mu się chciało na widok owego bohatera. Ochotnik drżał na całym ciele, był jakby bliski zemdlenia. A jednak on przeszedł wysiłek woli, wyszedł z kryzysu zwycięsko.

Od ciężkich chwil kryzysów nie są też wolni wodzowie. Ciężkie chwile przeżywał Kuropatkin [1]) pod Liaolianem. Początkowo wszystko składało się dlań na zwycięstwo, aż oto jedna wieść tragiczniejsza od drugiej poczęły się ścigać. Najpewniejsze korpusy zawodzą.

Kuropatkin waży losy boju. Dni siedm strasznej walki nań działało. Uznać się za pobitego czy nie? I rozstrzygnął na przegraną.

Oto jeszcze dla kontrastu zachowanie się generała Kurokiego [2]) w bitwie nad Sza-he [3]). Kuroki zewsząd otoczony. Dowozy żywności, owa arteria, utrzymująca życie armii, przecięta. Kuroki trwa i wysyła, jak sokoły, części swej armii na wroga atakującego.

Poszła już gwardia i została odparta. Tenże los spotkał

---

[1]) Na stanowisku głównodowodzącego armią rosyjską gen. Kuropatkin okazał się dobrym administratorem, natomiast chwiejnym i szybko tracącym wiarę dowódcą.

[2]) Kuroki — baron Tamemoto, gen. japoński. Jako dowódca 1 armii jap., odnosi słynne zwycięstwo nad Rosjanami pod Jalu i walnie przyczynia się do zwycięstwa pod Laojanem i Mukdenem.

[3]) Bitwa nad Sza-he stoczona została w dniach 6—11. X. 1904 r.

oddział generała Mazumagi. W ręku Kurokiego została ostatnia stawka — brygada generała Okasaki, — «brygada orłów», — która potem zadecydowała zwycięstwo japońskie pod Liaolianem. Kuroki wreszcie tę ostatnią brygadę pchnął w bój. Ciężka chwila niepewności. Brygada staje. Okasaki nie może iść naprzód. Nie. On czeka, aż pod jego ogniem stopi się hart wroga. Czyha na chwilę słabości. Wybrał ją — brygada się zrywa i zwycięża.

ZARYS HISTORII MILITARNEJ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

«Zarys historii militarnej powstania styczniowego» stanowi cykl wykładów, wygłoszonych przez Piłsudskiego w krakowskiej Szkole Nauk Społeczno-Politycznych w czasie od 13. III. do 17. V. 1912 r. Wykłady te zostały po raz pierwszy ogłoszone w nrze 1 «Przeglądu Historyczno-Wojskowego» z r. 1929, w opracowaniu gen. Juliana Stachiewicza i kpt. Stefana Pomarańskiego, którzy zaopatrzyli je następującym wstępem od redakcji:

«Wykłady, które ogłaszamy z upoważnienia autora, wygłosił Józef Piłsudski w r. 1912 w serii wykładów Szkoły Nauk Społeczno-Politycznych w Krakowie. Znakomitą większość słuchaczy stanowili uczniowie kursów oficerskich «Strzelca» krakowskiego. Stenografował je ówczesny uczeń wyższego kursu oficerskiego, Julian Stachiewicz.

Stenogram był przepisany współcześnie i doręczony Komendantowi Piłsudskiemu; miał on go przed oczyma, pisząc swą książkę, wydaną w r. 1914 u Rzepeckiego w Poznaniu, p. t. «22 stycznia 1863». Książka ta nie objęła całości tematu, poruszonego w wykładach. Poza tym, obliczona na szerokie warstwy czytelników, nieprzygotowanych do analizy zjawisk wojennych, była utrzymana w tonie bardzo popularnym, w przeciwieństwie do wykładów, wygłoszonych wobec grona ludzi, studiujących nauki wojskowe.

Stenograf ówczesny przepisał te wykłady z oryginalnego stenogramu, zachowanego w jego prywatnych zbiorach. Okazało się przy tym, że w skrótowych notatkach było wiele niedokładności i luk w miejscach, gdzie prelegent odczytywał ustępy z książek, skrótów, dziś już, po latach sześnastu, niemożliwych do odczytania. To też manuskrypt musiał być zrewidowany i w miarę możności uzupełniony. Pracy tej dokonali gen. brygady Julian Stachiewicz i kpt. Stefan Pomarański; postawili oni sobie za cel unikać jakichkolwiek przeróbek, ażeby nie oddalać pracy od realnie wypowiedzianych prelekcyj. Zachowano tedy styl i formę, charakterystyczną dla wykładu, nie wahając się pozostawić je nawet w tych ustępach, które w pracy pisanej niewątpliwie powinnyby być przerobione. Nie poprawiano również ani uzupełniano tych rzeczy, które przy obecnym stanie wiedzy o 1863 r. mogłyby być traktowane jako nieścisłości.

Oryginał stenogramu jest przechowywany w Archiwum Instytutu dla Badań Najnowszej Historii Polski».

Przedrukowany obecnie tekst, wraz z przypisami opracowanymi przez Juliana Stachiewicza i Stefana Pomarańskiego, oparty został na pierwodruku, tj. na «Przeglądzie Historyczno-Wojskowym» i uzupełniony szeregiem przypisów, wyjaśniających kwestie objęte wykładami Piłsudskiego.

WYKŁAD PIERWSZY
13 lutego 1912 r.

Wykłady swoje muszę poprzedzić paroma uwagami.

Pierwsza będzie się tyczyła treści. Zatytułowane one zostały «Historią militarną powstań polskich». Jest to przedmiot tak obszerny, że objąć go nie byłbym w stanie. To z konieczności zmusiło mnie ograniczyć wykłady do pewnej tylko epoki. Wybrałem r. 1863. Zatrzymałem się na nim, gdyż zbliża się jego pięćdziesięciolecie i chciałbym przyczynić się do uczczenia tej rocznicy. Prócz tego do wszystkich innych powstań mamy wiele prac cennych, które ujmują stronę militarną w sposób wyczerpujący, podczas gdy tu pracy takiej właściwie nie ma. Przedmiot zatem nęcił mnie i chciałem w ten sposób zapełnić lukę, jaka istnieje w historii tego powstania.

Po tym roku bowiem panował pogląd, którego dewizą stały się słowa Aleksandra II: «Żadnych marzeń!». Pod sugestią tego poglądu rozwijało się po powstaniu społeczeństwo polskie. W myśl tego hasła wszystko, co było związane z walką zbrojną, zostało przez społeczeństwo odrzucone. Skutkiem tego stosunku i w historii 1863 r. strona militarna w zupełności jest zaniechana.

Kiedy zastanawiałem się nad ogromem pracy, przyszedłem do przekonania, że ujęcie w całości dziejów powstania styczniowego ze strony militarnej jest rzeczą niemożliwą ze względu na czas i na pewne braki w źródłach, o których będę jeszcze mówił. Wobec tego zatrzymałem się na przedstawieniu ewolucji wojennej, jaka zaznaczyła się u bojowników 1863 r., oraz na jej rozwoju pod wpływem tych czy innych okoliczności. Krytykę swoją chcę mieć możliwie objektywną, staram się stanąć w położeniu tych, którzy wtedy działali. Nie spotkacie się u mnie z napaściami czy z krytyką postanowień co do powstania. Biorę je jako fakt. Wszyscy ci, którzy by oczekiwali innego ujęcia, zawiodą się zatem.

Druga uwaga tyczy się źródeł, którymi rozporządzamy dla danego przedmiotu. Każda historia opierać się musi na źródłach i krytyka ich stanowi podstawę opracowania historycz-

nego. Niestety, dla tej strony, która ma stanowić przedmiot moich wykładów, źródeł jest nadzwyczaj mało. Każdy, pracujący nad historią 1863 r. w ogóle, musi narzekać na dotkliwy brak materiałów, a specjalnie dla strony militarnej jest on przerażający. Zwykłych, bezpośrednich źródeł brak prawie zupełnie. Są to zawsze rozkazy, raporty, słowem, cała kancelaria wojenna. Te źródła właściwie nie istnieją dla polskiej strony z powodów zrozumiałych, dla rosyjskiej zaś są zamknięte dla każdego badacza nieurzędowego [1]). Zatem przedstawienie ich czy krytyka jest niemożliwa.

Przechodząc do tych źródeł, jakie mamy w ręku, dzielę je na rosyjskie i polskie. Skutkiem specjalnych cech tej wojny rosyjskie władze i drobni naczelnicy fałszowali historię w straszny sposób. Opisywali bitwy, których nie było, czasem napaści na zupełnie bezbronnych ludzi przedstawiali, jako walki ze zbrojnymi bandami, ukrywali swoje straty, przeceniając straty nieprzyjaciela.

Ze źródeł tych wymienię dzieła: 1) Sergiusza Gesketa [2]), będące najprzyzwoitszym opracowaniem początków powstania, oraz — 2) Mikołaja Berga [3]) i Mikołaja Pawliszczewa [4]). Te dwa ostatnie, które również weszły jako podstawa dla ujmowania historii 1863 r. przez wielu polskich pisarzy, opierają się przeważnie na zeznaniach zdrajców, złożonych w komisjach śledczych. Zdumiewać się trzeba, jak można ze strony polskiej korzystać z takich źródeł; tłumaczy to tylko ogólny ich brak.

Berg opiera się na zeznaniach 1) Oskara Awejdy i 2) Karola Majewskiego [5]). Obaj ci panowie najbezczelniej sypali. A na tomach ich zeznań opiera się również jeden z polskich historyków, mianowicie Przyborowski. Wiemy dobrze, że na-

[1]) Dziś akta te i materiały są dostępne; znajdują się one w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie oraz w Archiwum Wojskowym.

[2]) S.(ergiusz) Gesket, «Wojennyja diejstwja w Carstwie Polskom w 1863 godu. Naczało wozstanja, janwar, fiewral i pierwaja połowina marta sostawił... pod riedakcjej gienierał-lejtienanta Puzyriewskago». Warszawa 1894, oraz tegoż «Galicyjskija i poznanskija bandy w wozstanji 1863 g. w Carstwie Polskom» w «Wojennom Sbornikie» 1899 r., nr 11 i 12.

[3]) Mikołaj Berg, «Polskoje wozstanje 1863—1864 gg.», w «Russkoj Starinie» 1870 r., t. XXIV—XXVI, toż w «Russkom Archiwie» r. 1873—4; przekład polski Karola Jaskłowskiego w 3 tomach, Kraków 1898—1900.

[4]) Mikołaj Pawliszczew, «Siedmicy polskago matieza 1861—4». Petersburg 1887, 2 tomy.

[5]) Wyszły one następnie w rosyjskim przekładzie nakładem Sztabu Warszawskiego Wojennego Okręgu. Stanowią wielką rzadkość bibliograficzną, drukowano je bowiem w kilkudziesięciu egzemplarzach i tylko na użytek służbowy.

wet ludzie, którzy sypią, w swoich zeznaniach kłamią. I czyż na kłamstwach można opierać swe sądy?

Jeżeli przejdę do materiałów polskich, to przede wszystkim należy stwierdzić, że one strony militarnej prawie nie ujmują. Z opracowań wymienię historię Bolesława Limanowskiego [1]), która, choć stronie militarnej mało poświęca uwagi, jest ważna dla ogólnej znajomości tej epoki [2]), oraz dzieło Walerego Przyborowskiego, które znacznie więcej stroną militarną się zajmuje. Ponieważ to ostatnie jest najszerszą pracą, poświęconą dziejom tego powstania, stanowi konieczne oparcie, z którym każdy musi mieć do czynienia. Ma ono wszakże dwie wady: opiera się na zeznaniach zdrajców i z tych bierze podstawę do ujmowania najróżniejszych zjawisk. Co się tyczy strony militarnej, to Przyborowski opracował ją przeważnie na podstawie prac rosyjskich oraz pamiętników polskich. Drugą ogromną wadą tej pracy jest polityczna jej strona, która stawia r. 1863 w stan oskarżenia przed społeczeństwem polskim. Jest to odbicie tej opini publicznej, która ten rok starała się wymazać z pamięci i serc polskich. Dlatego wiele jego twierdzeń, opisów i sądów należy przyjmować z wielkim krytycyzmem. Trzecia wada polega na tem, że autor tej książki, mając szczęście służyć w powstaniu pod dowództwem Langiewicza [3]), ze specjalnym zamiłowaniem traktuje tego wodza, zupełnie niesprawiedliwie sądząc o działaniu innych ludzi, aby tym piękniej przedstawić swego ulubieńca [4]).

Osobną kategorią źródeł są bardzo liczne pamiętniki. Ale odznaczają się one z jednej strony bardzo często wielką chełpliwością i przesadą, tak, że mimowoli wywołuje to pewien niesmak; z drugiej strony bardzo często ulegają opinii, tak, jakby pisane były nie dla prawdy historycznej, lecz dla usprawiedliwienia błędów i grzechów młodości. Wobec tego również wiele z tych pamiętników traktować należy z dużą ostrożnością [5]).

[1]) Bolesław Limanowski (1835—1935), działacz socjalistyczny i historyk-socjolog, autor «Historii Powstania Narodu Polskiego 1862 i 1863 r.». Wyd. II, przerobione. Lwów 1909.

[2]) Z. L. S. (Walery Przyborowski) «Dzieje 1863 roku» przez autora «Historji dwóch lat», tomów 4. Kraków 1897—1905. (Tom V wyszedł dopiero w 1919 r.).

[3]) Marian Langiewicz (1827—1887), dyktator w powstaniu 1863 r. Po bitwie pod Grochowiskami schronił się na terytorium austriackie.

[4]) Trzeba pamiętać, że — jak zaznaczono na wstępie — wykłady te powstały w 1912 r., zatem autor nie mógł poddać analizie rzeczy późniejszych, jak np. «Pamiętników» sekretarza Rządu Narodowego Józefa Kajetana Janowskiego, będących właściwie również historią powstania.

[5]) Odnośnie do pamiętników patrz: Janusz Gąsiorowski «Bibljografja druków, dotyczących powstania styczniowego 1863—1865». Warszawa

Wreszcie jeszcze jednym źródłem, specjalnie ważnym dla mnie, jest doświadczenie niedawno ubiegłego okresu rewolucyjnego. Gdybym tej rewolucji nie przeżył, nie miałbym klucza do bardzo wielu zagadnień z 1863 r. Ponieważ wszelkie rewolucje są do siebie podobne, kto rewolucji nie przeżył, ten rewolucjonistów nie jest w stanie należycie ocenić. Kiedy brałem różne książki o 1863 r. przed rewolucją, bardzo wiele rzeczy było dla mnie niezrozumiałych; nie mogłem sobie wyobrazić, jak takie czy inne fakty dziać się mogły. I w tym należy szukać przyczyn, dlaczego krytycy nieraz stronniczo rozumieją różne zjawiska tej epoki: gdyż sądzą oni o czasach rewolucyjnych z punktu widzenia czasów pokojowych, z drugiej strony sądzą wojnę nieregularną z punktu widzenia armij regularnych.

Jako trzeci punkt podkreślić należy dane, tyczące się geografii historycznej i statystyki. Przede wszystkim ważny jest podział kraju ze strony wroga i ze strony rewolucji. Rewolucja dzieliła Królestwo na województwa; było ich ośm. Cztery z nich najzupełniej odpowiadały podziałowi na gubernie. Województwo: 1) sandomierskie — gubernii Radomskiej, 2) lubelskie — gubernii Lubelskiej, 3) podlaskie — gubernii Siedleckiej, 4) mazowieckie — prawie zupełnie odpowiada gubernii Warszawskiej. Inne cztery województwa niezupełnie temu podziałowi odpowiadają. Znika gubernia Łomżyńska i Piotrkowska; 5) województwo krakowskie — odpowiada gubernii Kieleckiej i południowej części Piotrkowskiej; 6) do kaliskiego włączona była gubernia Kaliska i pozostałe części Piotrkowskiej. Z województw północnych: 7) Augustowskie obejmowało późniejszą gubernię Suwalską i część Łomżyńskiej, zaś 8) Płockie — drugą część Łomżyńskiej oraz gubernię Płocką.

Ludność Królestwa wynosiła wtedy 4 i pół miliona, zatem na tej samej przestrzeni było jej ponad dwa razy mniej, niż obecnie. Warszawa liczyła 170 tysięcy mieszkańców, zatem tyle, co dziś wielki Kraków.

Typ ludności był nieco odmienny, niż teraz. Przeważała ludność rolnicza, typ życia mieszkańców był także rolniczy. Fabryczny przemysł znajdował się zaledwie w początkach rozwoju; przeważały cukrownie, zakłady żelazne, w niektórych miejscowościach tkactwo. Warszawa była wówczas największym centrum przemysłowym.

1923, oraz Edward Maliszewski, «Bibljografja pamiętników polskich i Polski dotyczących». Warszawa 1928.

Ważną jest również we wszystkich wojnach sieć komunikacyjna. Była ona niepodobna do dzisiejszej. Koleje znajdowały się w początkowym rozwoju i nie odgrywały wybitniejszej roli. Istniały wtedy trzy linie następujące: warszawsko-wiedeńska, warszawsko-bydgoska i warszawsko-petersburska. W tym wypadku szosy mają tym większe znaczenie. Zbiegają się one do Warszawy. Główne: na lewym brzegu Wisły krakowska przez Radom i Kielce i dwie szosy w stronę Berlina; na prawym — lubelska na Garwolin, petersburska przez województwo płockie i augustowskie, wreszcie szosa do Brześcia. Poza tym należy brać pod uwagę drobniejszą sieć gościńców, rozchodzących się z głównych miast w Królestwie: z Lublina, Radomia, Kalisza, Płocka itd. Wzdłuż nich biegły wszędzie linie telegraficzne.

Trochę historii.

Przed powstaniem, w czasie krymskiej kampanii 1855 r., zaszedł ważny wypadek: śmierć Mikołaja I. Syn jego, Aleksander II, w początkach panowania odznaczał się tzw. liberalizmem i zaczął wprowadzać duże reformy. Wywołało to w Rosji ogromny ruch liberalny i rewolucyjny. Był on na tyle silny, że wdzierał się do wszelkich zakamarków urzędowego życia państwa rosyjskiego. Żadna kancelaria nie była zabezpieczona od pewnych wpływów i udziału liberałów. Zwracam na to uwagę dlatego, że stan ten we wszystkich kombinacjach w 1863 r. odgrywał niesłychanie wielką rolę. Wiara i nadzieja, że rosyjskie sfery urzędowe, a specjalnie wojskowe, mogą wziąć udział w rewolucji nie tylko polskiej, ale i rosyjskiej, stanowiły w początku powstania przez dłuższy czas podstawę dla różnych planów militarnych.

Wybuch powstania w Polsce poprzedziło pewne wrzenie w formie patriotycznych demonstracyj. Rząd ustawicznie chwiał się w swych decyzjach, tak, że sprawiał wrażenie rządu słabego, co wywoływało u ludzi pewność siebie, która nader sprzyjała wytworzeniu się partii ruchu rewolucyjnego. Na czele tej partii stanął tzw. Centralny Komitet Narodowy, ostatecznie ukonstytuowany w połowie 1862 r.

Jak dalece przedtem społeczeństwo nie myślało o zbrojnym powstaniu, można sądzić stąd, że kiedy w marcu 1861 r. z powodu manifestacyj rząd w Warszawie oddał pewne atrybuty władzy tzw. delegacji miejskiej, — delegacja ta, wraz ze swymi funkcjonariuszami, zwanymi konstablami, którymi przeważnie byli akademicy, zajmowała się głównie szukaniem i odbieraniem od ludności broni, jako że to miało być prowokacją rządu. Myśl bojowa zatem w społeczeństwie polskim

wtedy nie istniała. O przygotowaniu więc militarnym możemy mówić dopiero od połowy 1862 r., kiedy spośród «czerwonych» wyłonił się wspomniany Komitet Centralny z siedmiu osób, który wziął na siebie kierownictwo ruchu. W skład Komitetu weszli również oficerowie organizacji rewolucyjnej na poły rosyjskiej i polskiej, która powstawała wśród korpusu oficerskiego w armii. Najwybitniejszymi z pomiędzy nich byli Jarosław Dąbrowski [1]), który zginął w czasie komuny paryskiej, oraz Zygmunt Padlewski [2]), stracony następnie w czasie powstania, — obaj członkowie Komitetu. Byli to jedyni wojskowi z zawodu w Komitecie Centralnym i jedyne prawdziwe autorytety, na których odpowiedzialności spoczywało przygotowanie i plan powstania 1863 r. [3]).

W celu przygotowania sił przystąpiono wówczas do zorganizowania sprzysiężenia. Było ono oparte na systemie dziesiątkowym. Z dziesiątek tworzyły się setki. Na czele organizacji w każdym województwie stali komisarze Centralnego Komitetu.

Spisek ten rozszerzał się bardzo szybko i przed wybuchem powstania, w styczniu 1863 r., doszedł do rozmiarów, które swymi cyframi wzbudzają podziw dla energii i dla wielkiej konspiracji, jaką włożono do tej pracy. Podawane w tym zakresie cyfry wydają się nieco podejrzane, gdyż pochodzą z zeznań Awejdy. Nieco przed powstaniem jako podstawę obliczenia przyjmowano: w Płockim — 5.000 ludzi, Lubelskim — 5.000, w Mazowieckim — 4.000, w Podlaskim — 4.000, w Kaliskim — 2.000, w Sandomierskim — 2.000, w Krakowskim — 1.000, w Augustowskim — 700.

Inny członek ówczesnego Komitetu, Bronisław Szwarce, człowiek, który nie zdradzał, który długie lata spędził w katordze, do tych cyfr wprowadza pewne zmiany bardzo wiarogodne, które odpowiadają zupełnie temu wrażeniu, jakie ja odniosłem przy studiowaniu tego zagadnienia [4]). Ze względów

---

[1]) Jarosław Dąbrowski (1836—1871), jeden z najwybitniejszych przywódców ruchu rewolucyjnego, później paryskiej Komuny.

[2]) Zygmunt Padlewski (1833—1863), jeden z najwybitniejszych przywódców powstańczych.

[3]) Dzieje owego spisku oficerskiego, jak i późniejszego sprzysiężenia Komitetu Centralnego por.: Eugeniusz Przybyszewski, «Jarosław Dąbrowski i jego rola w organizacji narodowej 1861—2 r.» w «Sprawozdaniach z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego Wydziału II». Rok XX, 1927, Warszawa 1928.

[4]) Bronisław Szwarce (1834—1904), członek Centralnego Komitetu Narodowego z 1862 r., długoletni więzień stanu (w Szlüsselburgu i na

konspiracyjnych nie można było sprawdzać szeregowców, a trzeba było poprzestać na dowództwie, tak, że same «dziesiątki» musiały zostać w wyobraźni. Tak pisze człowiek, który został aresztowany miesiąc przed powstaniem. Dla mnie cyfry powyższe wydają się mocno przesadzone. Rzeczywiście — prawdopodobnie, że te dziesiątki istniały tylko w wyobraźni. Faktem, który utwierdza w tym mniemaniu, jest, że w samej nocy styczniowej liczba powstańców jest znacznie mniejsza, dalej, że w ciągu całego powstania nigdy nie było więcej na placu boju, jak 30.000 ludzi.

Kółka spiskowe, sformowane przed wybuchem powstania, zajmowały się przede wszystkim rozszerzaniem się, tj. propagandą i dalszym zorganizowaniem spisku. Mnóstwo prac agitacyjnych pochłaniało w ogromnej większości siły tych ludzi.

To również absorbowało czas i kierownictwu organizacyjnemu. Musiało ono być z konieczności zawalone kłopotami organizatorskimi i wystąpieniami w rodzaju manifestacyj i różnych psikusów, tak, że na przygotowanie wojenne bardzo mało zwracano uwagi. Zaledwie w niektórych miejscowościach uczono się pewnych zaczątków musztry, prowadzono pewne przygotowania wojenne.

Drugą rzeczą, konieczną dla powstania, jest broń; — broń, której Królestwo nie miało, albowiem od czasu stanu wojennego w 1861 r. kilka razy je rozbrajano, odbierając od ludności wszelkie uzbrojenie. Broni więc było bardzo mało. Było zatem koniecznością broń tę przygotować. Jakoż Komitet Centralny zaczął o niej myśleć. W tym celu wysłano za granicę delegatów[1]), którzy mieli czynić zakupy i następnie dostarczyć ją do kraju. W Paryżu jednak aresztowano naszych agentów i nawet papiery, przy nich znalezione, oddano władzom rosyjskim. Stało się to w grudniu 1862 r., tak, że niemal w przeddzień wybuchu władze rosyjskie były powiadomione o przygotowaniach. Mimo tego kupowano rozmaitą broń — głównie w Leodium i w Londynie i układano drogi, którymi miała ona dojść do kraju. Poza tym starano się w samym kraju ściągnąć, jakie się tylko dało, uzbrojenie, lecz rezultaty pod tym względem były bardzo nikłe. Do nocy styczniowej

---

Syberii). J. Piłsudski ma tu na myśli artykuł Szwarcego pt.: «Założenie Komitetu Centralnego w r. 1862» w książce zbiorowej «W 40-ą rocznicę powstania styczniowego». Lwów 1903 r., str. 441⁵449, oraz uwagi tegoż w t. IV «Wydawnictwa materjałów do historji powstania 1863—1864». Lwów 1894.

[1]) J. Ćwierciakiewicz, Godlewski i Milowicz.

ściągnięto, według współczesnych relacyj, zaledwie 600 strzelb myśliwskich w różnych częściach kraju. Do tego doliczyć trzeba trochę pistoletów oraz rewolwerów i wreszcie pewną ilość broni białej, mianowicie kos.

Tyle zrobiono pod względem uzbrojenia do wybuchu powstania.

Wreszcie zastanówmy się nad naczelnikami, których przygotowywano do objęcia kierowniczych stanowisk powstańczych.

Takim naczelnikiem głównym był Zygmunt Padlewski, oficer względnie wykształcony, odznaczający się jedną cechą, którą wykazał w całej działalności, mianowicie brakiem uporczywości. Człowiek ten zrażał się bardzo szybko i łatwo ulegał wpływom. Drugą indywidualnością, wysuwającą się na czoło wypadków, był Jarosław Dąbrowski, człowiek znacznie energiczniejszy, bardziej śmiały i przedsiębiorczy. Niestety, aresztowany przed powstaniem [1]), siedział w czasie całego powstania w cytadeli.

Poza tym sprowadzono naczelników na prowincję. Wyznaczono ich kilku. Jednym był na województwo sandomierskie Langiewicz, który wyjechał z Warszawy 12 stycznia na teren obcy, z którym nigdy przedtem żadnych stosunków nie miał. Na Podlasie wysłany został Walery Lewandowski [2]), który wyjechał tam w początkach stycznia. W szczęśliwszym położeniu był dowódca wojenny województwa krakowskiego, Apolinary Kurowski, który był obywatelem miejscowym.

Jeżeli weźmiemy innych dowódców niższych, którzy udawali się na stanowiska, to wszyscy wyjeżdżali dopiero w styczniu. Np. Antoni Jeziorański wyjechał do rawskiego powiatu 16 stycznia, Józef Oxiński w Kaliskie w tym samym dniu. Jeden Roman Rogiński w Podlaskim pracował nieco dawniej.

Taki był w najogólniejszych zarysach stan przygotowań ze strony polskiej przed wybuchem powstania.

WYKŁAD DRUGI
14 lutego 1912 r.

Żeby zakończyć z przygotowaniami do powstania, muszę wspomnieć o dwóch instytucjach, które w wielkim stopniu przyczyniły się do lepszego prowadzenia i stanowiły pewną dumę powstania. Pierwsza z nich — to szkoła w Genui, potem

[1]) 14 sierpnia 1862 r.

[2]) Walery Lewandowski (1822—1907) wzięty do niewoli w 1863 r., zesłany został na Sybir.

w Cuneo [1]), przeniesiona tam z powodu specjalnych warunków politycznych. Założona ona była przez koło emigrantów wojskowych i młodzież z Paryża. Szkoła owa istniała cały rok i została zamknięta przez rząd włoski we wrześniu 1862 r. Wychowała ona około 200 ludzi, dając im wyszkolenie niższego oficera. Przy braku wykształcenia wojskowego szkoła ta w wielkim stopniu przyczyniła się do polepszenia sytuacji w Polsce. Była ona również pewnym centrum życia wychowawczego pod względem politycznym. To też z tej szkoły wyszło bardzo dużo działaczy powstańczych, z których prawie wszyscy spłacili swój dług krwią własną na polach bitew lub niewolą na Syberii. Bardzo nieliczni ludzie z tej szkoły nie zostali upamiętnieni w historii powstania.

Drugą specjalną zasługą Centralnego Komitetu jest organizacja cywilna późniejszego Rządu Narodowego, wybudowana przezeń przed powstaniem. Organizacja ta odznaczała się pewnymi cechami, które bodaj że w żadnym innym kraju w czasach rewolucyjnych spotkać się nie dają. Była to organizacja o tyle sprężysta i silna, sięgająca do najdalszych zakątków, że gdyby szło o wzór dla organizacji rewolucyjnej, to ją można jako taki postawić. Dla celów wojennych ważną była organizacja komunikacji, która, specjalnie opracowana, przez cały czas powstania niesłychane oddawała usługi sprawie wojennej. Cywilna ta organizacja musiała jednak pochłaniać całe mnóstwo sił ludzkich, które trzeba było czerpać z tego samego zapasu spiskowych. Zmniejszało to znacznie materiał ludzki do walki orężnej na polu bitwy na rzecz organizacji cywilnej, która działała w czasie całego powstania [2]).

Oto w ogólnych zarysach stan przygotowań, jakie osiągnęła organizacja ruchu pod przewodem Centralnego Komitetu dla powstania ze strony militarnej. I czas jest, abym dał wam pewną krytykę postępowania ówczesnych działaczy, krytykę — jak powtarzam — możliwie obiektywną, wychodzącą z założenia, że staje się w położeniu tych, którzy wówczas pracowali.

Przede wszystkim zwraca uwagę niedostateczne przygotowanie materiału ludzkiego, którym powstanie rozporządzało. Materiał ten składał się głównie z mieszczuchów, robotników, dość licznej inteligencji, wreszcie z wiejskiego ele-

[1]) Cuneo — miasto w Piemoncie (Włochy pln.), siedziba polskiej szkoły wojskowej w 1861—2 r.

[2]) Zarys dziejów cywilnej i wojskowej organizacji powstańczej opracował Edward Maliszewski «Organizacja powstania styczniowego» Warszawa (1921 r.).

mentu, z oficjalistów prywatnych przy dworach czy zakładach fabrycznych. Główną podstawą było mieszczaństwo, w którym wtedy przeważał element rzemieślniczy. Jeżeli wziąć spiskowych, to główną ich cyfrę stanowili mieszkańcy miast i miasteczek Królestwa. Element ten cały pod względem wojennym nie był do jakiejkolwiek wojny przygotowany, albowiem wówczas przygotowanie wojenne państw było formowane inaczej, niż obecnie. Armie ówczesne nie tworzyły się na zasadzie powszechnej służby wojskowej, lecz przez rekrutację, przy tym rekrut w Królestwie szedł do wojska na dziesięć lat. Jego doświadczenie wojskowe najzupełniej nie dawało się przez społeczeństwo zużytkować. Dlatego też mamy tu do czynienia z elementem, do wojny nieprzygotowanym.

Obok tego dłuższy czas względnego zacisza z jednej strony, z drugiej stałe rozbrajanie Polski sprawiły, że ludność z bronią oswojona nie była. Broń, zwłaszcza dla mieszczaństwa, nawet najprymitywniejsza, jaką była kosa, stanowiły zupełną nowość.

I oto nie spostrzegam w pamiętnikach żadnych działań ze strony głównych kierowników, aby tę ludność do nadchodzącej wojny przygotować. Jeżeli niektórzy wspominają o pewnych próbach musztry, to jednak widocznie było to tak rzadkie, że przeważnie pamiętnikarze opuszczają ten dział roboty. We wspomnieniach wybitnych członków Centralnego Komitetu nie znajdziemy nawet myśli, że należy ludzi do wojny przygotować. Zajęci oni byli pracą koło dalszego zorganizowania spisku, naprawianiem szczerb organizacji, zdarzeniami wewnętrznymi w rodzaju manifestacyj, zajęci byli sprawami cywilnymi, zorganizowaniem konspiracji cywilnej, wreszcie byli pochłonięci wypadkami, idącymi w tak żywym tempie — ale o tych rzeczach technicznych, związanych z wojną, prawie nie myślano. Powiadam «prawie» jedynie przez sumienność, gdyż bodaj tylko u jednego pamiętnikarza jest o tym wzmianka.

Tym przykrzej mnie to uderza, że, czytając pamiętniki, opisujące powstanie, napotkałem we wspomnieniu Beliny [1]) z powiatu łęczyckiego na wiadomość, że gdy w maju czy czerwcu 1863 r., a więc po rozpoczęciu powstania, przyjechał nowy naczelnik, to pierwszym krokiem jego było założenie szkoły podoficerskiej. Czyż nie czas było te szkoły zakładać poprzednio? Czyż nie należało zawczasu głowy zaprzątać tym, co następnie pod strzałami robić musiano? Jeżeli można było

[1]) Stanisław Belina (Wiktor Jaworski), «Notatki o powstaniu w Łęczyckiem» w Agatona Gillera «Polska w walce» t. I. Paryż 1868.

urządzić tak świetnie służbę cywilną, komunikacyjną etc., to zdawałoby się, tym łatwiejszym jest zwrócenie uwagi na przygotowania, konieczne do wojny.

Niechybnie każda organizacja konspiracyjna, istniejąca i rozwijająca się w warunkach zaboru rosyjskiego, a więc pod stałym naciskiem prześladowczym rządu, przede wszystkim dbać musi o własne bezpieczeństwo. Zmiana takiej organizacji na jawną nie jest łatwą i wymaga czasu, aby ją przeprowadzić. Ale ten czas potem byłby wygrany, gdyby poprzednio zostały zrobione przygotowania w celu wychowania wojennego ludzi. Obok tego praca nad przygotowaniem wojennym tego elementu niechybnie by się przyczyniła nawet do uzdrowienia stosunków wojskowych. Dałaby pewne zajęcie ludziom, któreby ich powstrzymało czasem od różnych wystąpień, jakie wówczas nieraz miały miejsce. Ludzie by wtedy bardziej się liczyli z trudnościami technicznymi, które mogłyby niechybnie się przyczynić do zmniejszenia lekkomyślności, z jaką wojnę wydano. Powołam się tutaj na opinię człowieka, któremu w tym wypadku najwięcej wierzyć można, na słowa Szwarcego, który nie kłamał dla polityki, czy też dlatego, aby przed żandarmami się wykręcić. Otóż twierdzi on, że niemożliwym jest wszechstronne przygotowanie w takich warunkach. Nic dziwnego, że organizacja ta poważnie chromać musiała.

Drugą sprawą nie mniejszej doniosłości jest kwestia uzbrojenia. Znane i słuszne są napaści na brak broni i przygotowania pod tym względem. Lecz spójrzmy, skąd się ją bierze? Kupuje się w Londynie, Paryżu, Belgii i Włoszech, a więc w krajach, nie sąsiadujących z Królestwem, narażając się na najrozmaitsze trudności i przeszkody przy jej przewozie. Na kraje najbliższe nie zwrócono uwagi, a przecież one przede wszystkim powinny być powołane do tego, aby stać się dostarczycielem broni. Stamtąd nie trzeba było transportować broni przez rozliczne granice. Wynik to bardzo świeżej tradycji świętego przymierza[1]) trzech państw zaborczych; wynik to niepewności, jaką spiskowcy odczuwali na gruncie Austrii i Prus; wynik to był wreszcie tego stanu rzeczy, że rewolucja ówczesna miała podstawę w Kongresówce i w emigracji. W Galicji czy w Prusach element polski był znacznie bardziej skrępowany, niż na Zachodzie. Również nieobojętnym był

[1]) Mowa o traktacie zawartym dn. 26. IX. 1815 r. między Aleksandrem I, Franciszkiem I i Fryderykiem Wilhelmem III, zwanym «Świętym przymierzem». W traktacie tym wymienieni monarchowie zobowiązali się do wzajemnej pomocy i solidarności przy tłumieniu wszelkich ruchów rewolucyjnych.

wpływ pewnego sprzymierzenia się naszej irredenty [1]) z ruchem wolnościowym w całym świecie, który był silnym na Zachodzie, a słabym w Niemczech i Austrii.

Obok tego zwrócić musi uwagę centralizowanie dostarczania broni, które znajduje się w rękach jedynie Centralnego Komitetu. Władze lokalne i wojewódzkie od tego są zupełnie usunięte. Zgadza się to z polityką Centralnego Komitetu niedolewania oliwy do ognia. Bardzo możliwe, że daleko posunięta ostrożność kierowała Komitetem, kiedy centralizował dostawę broni. Jednak przyznać trzeba, że ten sposób przy szerokich przygotowaniach musi dać w warunkach konspiracyjnych ujemne rezultaty, przede wszystkim z powodu znacznego ryzyka, jakie pociąga za sobą każde centralizowanie. Uniknęłoby się może zbytniego narażenia przygotowań na najrozmaitsze nieprzewidziane okoliczności, które doprowadzają do takich katastrof, jak wspomniana z grudnia 1862 r. Lokalne siły wojewódzkie w swoim zakresie, licząc się z miejscowymi warunkami, mogłyby znacznie lepiej i znacznie pewniej przygotować i zebrać tę broń z najbliższych okolic z Prus i Austrii, choćby ona była mniej liczna. Niektórzy z tych lokalnych przedstawicieli władzy wyłamywali się spod silnej ręki Centralnego Komitetu, niektórzy dowódcy o tę broń niezależnie podjęli starania, co — jak się okazało — było tylko z korzyścią dla sprawy.

Przypuszczam jednak, że postawić pod tym względem Centralnego Komitetu w stan oskarżenia nie można. Ta jego ostrożna polityka była w istniejących warunkach wskazana. Komitet Centralny, zdaniem moim, popełnił błąd, że nie stworzył sobie odpowiednich organizacyj wojennych na prowincji. Wszędzie potworzył tam organizacje cywilne, ale organów wojennych nie miał. Lecz nie dziwię się wcale, że Centralny Komitet wahał się poruczyć broń organizacjom cywilnym.

To samo, co z bronią, było ze wszystkim absolutnie, co dotyczyło uzbrojenia żołnierza. Nie było przygotowane kompletnie nic. Nie myślano o tym wcale. I jeden z wybitnych mężów tych czasów, Langiewicz, słusznie powiada, po obejrzeniu wyznaczonego mu województwa sandomierskiego, że wydawało mu się, jakoby powstanie miało być kilkugodzinnym polowaniem [2]). Takie były przygotowania.

[1]) Irredenta — sprzysiężenie polityczne. Nazwa pochodząca z Włoch, gdzie irredentyści postawili sobie za cel połączenie z Włochami wszystkich ziem, mających ludność włoską.

[2]) Marian Langiewicz, «Relacja o kampanji własnej w r. 1863». Wydał Bertold Merwin «Kwartalnik Historyczny», Lwów 1905, str. 255.

Podnoszę to jako niezaprzeczoną winę Centralnego Komitetu. Był to brak organizacji wojennej i mężów zaufania w tej dziedzinie — komendantów wojennych na prowincji. Naczelnicy ci wyjechali z Warszawy dopiero w styczniu, na parę tygodni, czasem kilka dni przed wybuchem. Przeważnie nie znają oni terenu. Każdy gubi się na miejscu w milionie szczegółów; każdy potrzebuje czasu, aby się oswoić z nowym położeniem. Tego czasu mu nie dają. Brak owych naczelników wojennych na miejscu jest jednym z najcięższych grzechów, jakie Komitet Centralny w stosunku do sprawy wojennej popełnił. Gdyby ci naczelnicy byli na miejscu choć parę miesięcy, to niechybnie inne byłyby skutki ich pracy.

Każdy plan, powstały w tej czy innej głowie, wymaga wykonawców. Żaden plan objąć wszystkich szczegółów nie jest w stanie. I te szczegóły, które decydują o powodzeniu planu, ktoś musi przygotować i opracować. To było obowiązkiem wojewódzkich komendantów. Obowiązkiem ich było obmyślenie na miejscu, jak ten materiał wykorzystać, jak ten czy inny plan Centralnego Komitetu przeprowadzić. Niechybnie ludzie, którzyby nad tym pracowali na miejscu i od dłuższego czasu, bardzo wiele mogliby przygotować pod względem wojennym; prace ich wywołałyby narady i poprawki Centralnego Komitetu, zbliżając plany bardziej do realnych warunków.

Kiedy występuję z tym oskarżeniem, że oni o wojnie zgoła nie myśleli, że, wojnę wypowiadając, do wojny się nie przygotowali, muszę, rozpatrując tę sprawę i znając psychikę rewolucji, powiedzieć sobie, że z wielu win da się ich rozgrzeszyć, jako rewolucjonistów. Potęgę rewolucji przed rewolucją stanowi technika, czy co innego? Nie! Siłę rewolucji stanowi to, co się dzieje w głowach ludzkich: wzrost namiętności ludzkich; one stanowią bazę, bez której żadna rewolucja istnieć nie może. W podobnych zjawiskach dziejowych dajcie najwspanialszą technikę, a niech namiętności nie będzie — nie będzie rewolucji; dajcie gorszą technikę, ale przy silnej namiętności — a rewolucja będzie. W tym jest siła, w tym jest podstawa rewolucji. I oto w owym zapale, w chęci budowania siły, kiedy się widzi, że siła namiętności wywołuje przewrót we wszystkim, co istnieje, nie dziwcie się, że jest chęć wzmocnienia tej podstawy, że tu idą główne wysiłki przywódców.

Zastanowić się warto, kto tą rewolucją kieruje? Student, oficerek, urzędniczek, ludzie normalnie bez wpływu, których głos nic nie znaczy. I oto tych ludzi cały kraj słucha. Ta bajeczna kariera, ten bajeczny rozwój roli, jaką ludzie ci odgrywają, ta bajeczna metamorfoza, która z ludzi, nic nie znacząc-

cych, robi potęgę, ta metamorfoza musi zawrócić ludziom głowy. Ludzie w siłę wierzą. Powolne narastanie techniki obok tej żywiołowej namiętności sprawia wrażenie, że tam jest siła, robi wrażenie, że tu głównie na sile namiętności oprzeć się trzeba. Albowiem cechą znamienną wszystkich czasów przedrewolucyjnych jest, że rządy przed rewolucją się cofają. Ludzie to widzą, są przekonani, że dzieje się to pod wpływem tych bajecznych sił.

I oto psychiczne warunki rewolucji wytwarzają daltonizm, dający przesadną wiarę w te siły, jakie mamy. Stąd wynika pewnego rodzaju zaślepienie, które daje jeszcze większe usunięcie na plan drugi tego, co potem będzie potrzebne i niezbędne, gdy bój zawrze. Jeżeli rozważymy warunki, w których jakakolwiek rewolucja zwycięża, to powiedzieć musimy, że żadna zwyciężyćby nie mogła, gdyby na technice oparła swe rachuby.

WYKŁAD TRZECI
15 lutego 1912 r.

W zeszłym wykładzie starałem się wytłumaczyć, dlaczego kierownictwo zamierzonej rewolucji w Królestwie niedostatecznie pomyślało o technicznych przygotowaniach. Starałem się wytłumaczyć, że bazą wojenną każdej rewolucji są namiętności ludzkie. Byłoby błędem ze strony kierownictwa rewolucji, gdyby ono na tę podstawę i na jej opracowanie nie zwróciło uwagi, tym bardziej, że stan podniecenia i zrewolucjonizowania daje widoczny rezultat w okresie przedrewolucyjnym w postaci cofania się rządu. Zwycięstwa już odniesione upoważniają do sądzenia o sile i potędze ruchu. Powstanie 1863 r. pod tym względem było podobne do bardzo wielu rewolucyj, a raczej do wszystkich rewolucyj, jakie kiedykolwiek istniały na świecie. W czasach spokojnych ludzie w rewolucję nie wierzą i dlatego się nie przygotowują. Kiedy zaś przychodzi okres rewolucyjny, czasu już na to nie ma.

Nie usprawiedliwia zaniedbania tego również fakt, że powstanie miało wybuchnąć później, gdyż Centralny Komitet odkładał je na kilka zaledwie miesięcy. Nie upoważniała więc owa zwłoka do tego niedbalstwa w dziedzinie prac technicznych. Pod tym względem osobiście podzielam zdanie wojennego przedstawiciela obcego państwa, który się zjawił w Polsce w czasie wojny 1863 r. jako obserwator, coś w rodzaju attaché przy wojsku polskim. Był nim major sztabu generalnego Erlach, Szwajcar, który zostawił książeczkę, opisującą

swoje z tego czasu wrażenia [1]). Różne jego bardzo pochlebne zdania cytowane są często w opracowaniach dziejów powstania. Natomiast z wielką siłą przekonania podkreśla on w konkluzji, że powstanie nie było przygotowane, i twierdzi, iż dla Szwajcarii płynie stąd nauka, że im wojna ludowa lepiej i dłużej jest przygotowana, tym pomyślniejszą bywa w skutkach.

Przechodząc teraz do planu Komitetu Centralnego dla powstania, zastanowić się wypada nad pytaniem, co właściwie podlega planowaniu? W wojnach regularnych nie planuje się wojny od początku do końca. Podlega planom zaledwie jej początek: mobilizacja i koncentracja strategiczna. Dalsze sprawy, sam przebieg wojny już planowanym być nie może, gdyż zależy w wielkim stopniu od przeciwnika. Zatem wojna planowana jest tylko dla swego początku. Na dalszy okres istnieją tylko główne myśli wytyczne. Bieg wypadków ginie we mgle niepewności. Tylko sam początek sztaby przed wojną planować są w stanie.

Jeżeli jednak zwrócimy się do warunków rewolucyjnych, tam, gdzie istnieje wrogi rząd, który nad całym terytorium panuje i na nim gospodaruje, to od razu spostrzeżemy, że sam plan, jakiby mógł być skonstruowany, podlega zawsze znacznie większym wątpliwościom, niż w armii regularnej. Armia ta ma zawsze znajomość i pewność terenu, na którym stoi, oraz dokładne wiadomości co do swoich własnych sił i co do swoich pierwszych zamiarów. W rewolucji nawet ta podstawa podlega znakom zapytania.

Już sama mobilizacja, jako podlegająca obserwacji nieprzyjaciela, jako podlegająca działaniu jego złej woli, sama koncentracja staje się niepewną, chwiejną we wszelkich obliczeniach. Dlatego też wszystkie plany rewolucyjne zwykle są dla spokojnego i rozważnego oka szalonymi, zuchwałymi planami, które rozważny umysł uważa za niemożliwe do wykonania.

Rewolucja planować również może tylko swój początek, ten początek, który nazywam bojem wstępnym, jaki trzeba stoczyć, aby mieć możność prowadzenia rewolucji. Planowanie tego boju jest obowiązkiem sztabu rewolucyjnego. Jest on koniecznością psychologiczną, jest to, że tak powiem, wrzód, który pęknąć musi, jest to narastanie psychiczne; konieczność psychiczna, do której zmierza tak jedna, jak i druga strona.

[1]) Franz L. Erlach. «Die Kriegsführung der Polen im Jahre 1863 nach eigenen Beobachtungen von März bis August an Ort und Stelle gesammelt von...», Lipsk 1866. (Przekład polski Jana Gagatka i Wacława Tokarza. Warszawa 1919).

Rządy rozumne usiłują sprowokować rewolucję do przedwczesnego wybuchu, kiedy siły rządowe nie są zupełnie zdemoralizowane przez owo żywiołowe przejawienie się ducha rewolucji. Do tego dążą również najczęściej rewolucjoniści pod wpływem parcia z dołu: decyduje dół, który nie rozumuje, nie rachuje, nie myśli.

Rewolucja, która do wybuchu jawnej walki fizycznej nie doszła, nie jest rewolucją. I tu jest wszystko jedno, czy ten wybuch nastąpi w jednym tylko miejscu, jak się to bardzo często zdarzało; czy to będzie walka, toczona w głównym siedlisku wroga, czy w innym jakim miejscu; czy też to będzie «rozlana» rewolucja, wybuchająca jawnie w różnych miejscach, jak to bywa zwykle w rewolucjach narodowych; czy daje ona natychmiastowe rezultaty, czy też potem znowu będzie przez długi okres czasu zmagać się z przemocą; jest to wszystko jedno. W każdym razie istnieje konieczność zrobienia wstępnego boju, który musi być rozplanowany.

Bój ten jest zawsze niespodzianką nie tylko dla rządu, przeciw któremu wybucha, ale i dla otoczenia, dla wszystkich tych, którzy bezpośrednio w spisku udziału nie biorą. Otóż jest to jednym ze zwykłych błędów, że rewolucjoniści nie liczą się z niespodzianką, jaką wybuch stanowi dla ogółu. Jest to znowu ten daltonizm psychiczny u rewolucjonistów, którzy czasu, koniecznego dla oswojenia się z bojem, szerszym masom dać nie chcą.

Od sposobu prowadzenia tej pierwszej bitwy i jej rezultatów, od wrażenia, jakie ona wywrze, najczęściej zależą dalsze losy rewolucji. Gdy ten pierwszy bój jest przegranym, wówczas najczęściej rewolucja przegrywa i odwrotnie, gdy on jest wygrany, wtedy daje rozpęd wielkiej rewolucji, prowadzący do zwycięstwa. Dlatego obowiązkiem kierowników rewolucji jest przed wybuchem wstępny bój możliwie opracować, możliwie do niego się przygotować; ten wstępny bój zrobić możliwie zwycięskim. A pod tym względem ogólne prawa strategiczne i taktyczne są obowiązujące. Trzeba rzucić wszystko na szalę wypadków, aby ten bój wywalczył podstawy istnienia rewolucji, żeby umożliwił on mobilizację i koncentrację sił rewolucyjnych.

Specjalnie ten wstępny bój w warunkach Królestwa Polskiego jest prawie obowiązkiem z tego względu, że Królestwo, jako kraj podbity, nie ma własnego rządu, który rewolucja względnie łatwo obala, a jest rządzone przez władzę obcą, nie wyrastającą z łona społeczeństwa. Dlatego wszelkie starania rewolucji są w Królestwie znacznie trudniejsze, niż gdzie in-

dziej. To też wstępny bój musi być tu szeroko planowany. Uderzenie w jeden punkt nie da rezultatu.

Jeżeli przejdziemy do planów, jakie układali dowódcy powstania, to z nich znam dwa. Pierwszy plan — Jarosława Dąbrowskiego — był przedstawiony jeszcze przed utworzeniem Komitetu Centralnego na początku 1862 r., kiedy najrozmaitsze grupy rewolucyjne nie zlały się jeszcze w jedną organizację, kiedy były one złączone węzłami jakby federacyjnymi, kiedy Centralny Komitet jeszcze się nie wyłonił. Wówczas Dąbrowski, jako przedstawiciel miejskiej organizacji i wojskowego spisku w wojsku rosyjskim, wystąpił z projektem następującym: spiskowi, których miało być 7.000 (w Warszawie 2.500), zbiorą się wokoło cytadeli (26 czerwca), uzbrojeni w byle co. Wtajemniczeni oficerowie otwierają im bramę cytadeli i przez nią powstańcy wchodzą do wnętrza twierdzy, rozbrajają załogę, opanowując magazyny itp. Pewna część spiskowych rozbiega się w tym czasie po mieście w celu aresztowania lub zabicia wyższych dowódców i oficerów. Biją w dzwony, starają się opanować arsenał. Tym czasem wojsko, stojące w obozie powązkowskim, ma się zachować możliwie neutralnie. Oficerowie spiskowi mają otoczyć namioty dowodzących. W ostatecznym wypadku mają udać, że ze sztabu przyszedł rozkaz odprowadzenia wojska kilka mil za Warszawę. Mniej więcej to samo miało się odbyć pod Modlinem, w którym leżało 70.000 karabinów. Oficerowie i junkrzy mieli tam wpuścić przez otwartą bramę spiskowych. Na prowincji, w miastach gubernialnych i powiatowych, dokonywa się napadów na garnizony i stara się te punkty opanować. Dąbrowski nalegał, aby termin ustalić na 26 czerwca z tego względu, że późniejszy termin pozbawi powstanie wielkiej pomocy ze strony oficerów spiskowych, gdyż rząd, przewidując wybuch, miał przystąpić do masowych przenosin oficerów Polaków z Królestwa w głąb Rosji. Przy tym twierdził on, że nie tylko oficerowie, lecz i żołnierze są związani ze sprawą rewolucji i że żądają, aby im po wybuchu pozwolono sformować legion rewolucyjny przeciw carskiej Rosji.

Plan ten nie wszedł w wykonanie dla bardzo wielu powodów, a głównie dlatego, że się okazało, iż wojsko rosyjskie nie znajduje się w takim świetnym dla rewolucji nastroju, jak Dąbrowski myślał. Abstrahując od tego, musimy go rozpatrzeć. Plan Dąbrowskiego przewiduje bój przedwstępny bardzo ryzykowny, ale dający w ręce, w razie powodzenia, szeroką podstawę dla dalszej rewolucji. Po drugie, opiera się on na spiskowych tam, gdzie oni istnieją. Nie wymaga skompli-

kowanych koncentracyjnych marszów etc. Jedynym wypadkiem dyslokat spiskowych byłby napad na Modlin. To są dobre strony tego planu. Nie ma tu niepotrzebnych manewrów, do których ludzie nowi nie będą najczęściej zdolni. Trzecią dobrą stroną jest to, że stawia się od razu wszystko na kartę, że jest w tym rozpęd, który stanowi cechę i siłę rewolucji. I gdyby ten plan mógł być wykonanym, to niechybnie powstanie albo by stanęło od razu silnie na własnych nogach, albo odrazu byłoby zamarło.

Złą stroną w tym planie, jak zresztą we wszystkich planach rewolucyj, stanowi opieranie się na «sztuczkach». To nie jest otwarta siła, lecz dowcipny sposób. Poleganie na możliwościach, na sprycie, na szybkim zorientowaniu się, działanie bez rezerwy — oto są słabe strony, jakie zawsze we wszelkich tego rodzaju planach być muszą. Gorszą słabą stroną jest to, że opiera się on nie na rzeczywistej sile, a na iluzorycznej, jaką ludzie obcy daćby dopiero mogli. Opiera się on na pomocy ze strony oficerów i żołnierzy rosyjskich. To też nic dziwnego, że cała ta pomoc wydała się reszcie Komitetu niemożliwą. I pomimo, że Dąbrowski usilnie nalegał, by plan jego przyjęto, zażądano, aby przedtem zwołał on przedstawicieli wojskowych organizacyj dla rozmówienia się z nimi. Na tym zebraniu okazało się, że Dąbrowskiego uniósł fanatyzm. Nie było ani tak wielu oficerów, ani nie byli oni pewni własnych podwładnych. Zaledwie jeden był pewny swej kompanii, inni byli nawet przekonani, że żołnierze staną przeciw rewolucji.

Jarosław Dąbrowski był jednak znakomitym rewolucjonistą. Pewne dane upoważniały do takiego wnioskowania. Na dowód, jak szerokim był ten prąd w wojsku, opowiem państwu, zda się, brzmiącą anegdotycznie, historię, którą miał jeden z organizatorów wojskowych na prowincji w województwie kaliskim — Oxiński [1]). Kiedy wyjeżdżał «na powstanie» 16 stycznia, wówczas widział się z oficerem, kierującym sprzysiężeniem, który, nie mając pod ręką adresów oficerów-spiskowców w Kaliskim, wskazał mu tylko ludzi, do których ma się udać po informacje. Powiedział mu tylko, że najwięcej spiskowych jest w artylerii. Oxiński przyjeżdża do Warty, w cukierni dowiaduje się o komendanta artylerii, idzie do niego, okazuje znak, jaki był odznaką sprzysiężonych. Oficer zdetonował się, wyjął taką samą kartkę z kieszeni i podał ją Oxińskiemu. Widocznie stan umysłów upoważniał do takich sposobów.

[1]) Józef Oxiński, «Od 16 do 21 stycznia 1863 roku». Urywek z pamiętnika w księdze zbiorowej «W 40-ą rocznicę powstania styczniowego». Lwów 1903.

Wreszcie najgorszą stroną projektu Dąbrowskiego było to, że, ulegając sugestii siły ruchu rewolucyjnego w Rosji, przypuszczał, iż sprawy rewolucji w Polsce za sprawą rewolucji w Rosji dadzą się złączyć w jedno i że sprawa polska w ten sposób może stać się sprawą wewnętrznej rewolucji dla całego państwa rosyjskiego. Dlatego też cały plan w swojej istocie ma cechy planu rewolucji wewnętrznej, który wojny nawet nie przewiduje.

Drugi plan wybuchu przedłożony został przez Zygmunta Padlewskiego. Plan jego jest całkiem inny: jest on mglisty, osnuty w stylu wielkiej wojny. Padlewski bierze pod uwagę przede wszystkim komunikacje Warszawy z resztą państwa. Plan ten wymagał, aby powstanie z największą siłą wybuchło na wschodzie; aby w ten sposób rewolucja opanowała komunikacje Warszawy i Królestwa z resztą Rosji; żeby wreszcie, w razie niepowodzenia pierwszych napadów, nacisk szedł na wschód i północ ku Litwie, aby rozszerzyć pod tym względem obszar, objęty powstaniem, i aby dalsze komunikacje zrobić dla wojska niepewnymi. Natomiast na południu Langiewicz, niejako pod osłoną tej walki na wschodzie i północy, miał formować armię, która miała iść na Warszawę.

Wstępny bój jest w tym projekcie na planie drugim, właściwie brak go zupełnie; jest tylko ogólny rys kampanii, któraby mogła trwać lata w przyszłości. Nie ma w nim wywalczenia warunków dla kampanii. Jest tu pewna fikcja. Pokutuje w nim również myśl owładnięcia Modlinem i Zamościem dzięki stosunkom z armią rosyjską, nad czym, jak wspomniałem, stał znak zapytania. Wreszcie napady na garnizony zostały tu uwzględnione tylko jako rzecz dodatkowa, która nie jest specjalnie rozplanowywana.

Oto są dwa plany, które przed wybuchem rewolucji istniały. Pierwszy — plan rewolucyjny, drugi natomiast to plan wojny bez danych dla jej prowadzenia. Jedną z najpoważniejszych luk, osobliwie w planie drugim, jest zupełne niezwracanie uwagi na granice. Granice są zostawione zamknięte. I jeżeli Dąbrowskiego usprawiedliwić można, że o tym zapomina, gdyż bierze pod uwagę jedynie rewolucję wewnętrzną, to Padlewskiego uniewinnić pod tym względem nie sposób.

Wreszcie pozostaje zagadnienie, które do końca rozstrzygniętym nie zostało, — to sprawa naczelnego dowództwa. Na wojnie odgrywa ona bardzo wielką rolę. Pod tym względem kwestia ta wywoływała nieraz silne tarcia i spory i bodaj, że będę zupełnie ściśle trzymał się prawdy, jeżeli powiem, iż

kwestia dyktatury była uważana za jedyny sposób rozstrzygnięcia tej sprawy.

Otóż chciałbym zwrócić uwagę na ten szczegół, gdyż on w historii militarnej powstania odegrał bardzo poważną rolę i bodaj w wielkim stopniu przyczynił się do zwiększenia słabych stron wybuchu 1863 r. Z historii wiemy, że dyktatura wojenna w tych warunkach, jakie mieliśmy wtedy, była fikcją. Było dwóch wodzów, którzy nosili ten tytuł, to Mierosławski, potem Langiewicz. W obu wypadkach dyktator, panujący nad Polską, mógł kierować tylko setkami ludzi, którzy znajdowali się w jego obozie. I do takiej roli chciano zmuszać zarówno Mierosławskiego [1]), jak i Langiewicza! Jedyna realna dyktatura, jakaby mogła istnieć, była połączona z Warszawą. Tam się zbiegały nici z całego kraju; tam wiodły linie komunikacyjne, szły wiadomości, nieraz może późne, ale tam się schodziły. Stamtąd nowe rozkazy płynąć mogły. I tam jedynie było miejsce dla dyktatora. Spostrzeżono to zbyt późno.

Tym czasem wówczas rewolucja była tylko wojną dla wodzów. Zapominali oni o tym, że aby wojnę toczyć, przedtem rewolucji dokonać trzeba, że wojna jedynie po wywalczeniu warunków dla niej toczoną być mogła. Oni natomiast nawet w ujęciu kwestii dyktatury dawali świadectwo, jak fałszywie sprawę rewolucji sobie przedstawiali.

WYKŁAD CZWARTY
16 lutego 1912 r.

Poprzednio scharakteryzowałem dwa plany przed wybuchem powstania. Wspomniałem, że pojęcie o wielkiej wojnie istniało powszechnie; że tym tłumaczy się plan dyktatury wojennej, jak gdyby ona bez wywalczenia możliwości jej była możliwa. Taką magiczną laseczką, która rozwiązywała wszystkie trudności liczbowe, techniczne etc., miało być pospolite ruszenie włościan.

Jest cechą charakterystyczną wszystkich ruchów rewolucyjnych, iż takie laseczki w wyobraźni ich przewódców istnieją. W 1905 r. była nią żywiołowa potęga mas ludowych, które miały rozwiązać różne trudności techniczne walki re-

[1]) Ludwik Mierosławski (1814—1878), pisarz wojskowy. Inicjator nieudanego powstania w 1846 r. w Poznańskim. Organizator i kierownik szkoły wojskowej w Cuneo. Po wybuchu powstania 1863 r. mianowany dyktatorem, wrócił do kraju. Ranny w bitwie pod Nową Wsią, wyjechał za granicę.

wolucyjnej. Tak samo w 1863 r. wszelkie techniczne trudności miały być usunięte przez pospolite ruszenie.

Nie moją rzeczą obalać takie czy inne pod tym względem poglądy polityczne i społeczne, jakie istniały w głowach ówczesnych przywódców. Moją rzeczą jest wskazać na przeoczenie faktu, że taka siła magiczna, ażeby móc urzeczywistnić to, czego się po niej spodziewa, musi być przedtem przepracowana przez świadomą swych celów i świadomą swych środków grupę. Pospolite ruszenie polega na użyciu, na poruszeniu ludzi, nie należących do żadnej organizacji. Dlatego też było obowiązkiem pomyśleć o tym, jak świadoma swych celów i środków organizacja rewolucyjna ma przygotować rewolucję, ażeby tą magiczną laseczką, niezorganizowaną i na razie nierealną masą, wywalczyć urzeczywistnienie celów rewolucji.

Przejdę teraz do planu trzeciego, który został urzeczywistniony, który stał się wyrazem realnym w noc styczniową. Aby zrozumieć i ocenić go należycie, trzeba wejść w położenie ludzi, którzy go wytworzyli. Działo się to podczas niespodziewanej branki w Warszawie. Brankę tę rząd ogłosił, lecz termin jej nie był znany. I oto, dzięki podnieceniu dołu, termin wybuchu łączył się w umysłach z terminem branki. Wszechpotęga Centralnego Komitetu i organizacji pozwoliła spiskowym mieć nadzieję, że Centralny Komitet obroni od branki i na brankę odpowie powstaniem. Już przed samą branką Centralny Komitet, wiedząc o aresztowaniu agentów, wysłanych po broń, rozpoczął w swoim łonie debaty, jak zachować się, jeżeli branka przyjdzie przedwcześnie. Postanowiono urządzić masową dyslokację spiskowych; przypuszczano, że można będzie dowiedzieć się o brance wcześniej i w ten sposób uchronić przed nią ludzi.

Branka jednak wypadła nie tak, jak Centralny Komitet się spodziewał; spadła niespodzianie. O ostatecznej decyzji dowiedziano się na parę godzin przed jej rozpoczęciem. Zdążono tylko porobić pewne zarządzenia, a więc wyznaczono naprędce punkty zborne, tak, że branka w samej Warszawie ciosu organizacji nie zadała. Na 2.000 proskrybowanych w mieście, wzięto tylko pięciuset kilkunastu. Reszta wyszła z Warszawy do lasów okolicznych.

Fakt branki wywołał tak silną presję z dołu, że Komitet Centralny musiał powziąć szybkie postanowienie wybuchu powstania. Trzeba było śpieszyć, gdyż branka na prowincji miała się odbyć dn. 26 stycznia. Miano zatem od branki w Warszawie 10 dni czasu.

Mamy tutaj ten wypadek, kiedy rząd, przeciwko któremu rewolucja idzie, w poczuciu siły bierze inicjatywę, ruchu rewolucyjnego się nie boi. Inicjatywa wzięta została przez rząd, trzeba było na nią odpowiedzieć inicjatywą rewolucji. Lecz, jeżeli weźmiemy pod uwagę stan głów i serc ówczesnego Komitetu, a specjalnie Padlewskiego, to stan ten nie upoważniał do oczekiwania od nich tej mocnej, pewnej siebie inicjatywy. Wszyscy pamiętnikarze, którzy zajmują się tą chwilą, piszą o utracie wszelkiej nadziei, o rozpaczy. Ludzie potracili głowy. Różne rozpaczliwe projekty snuły się w mózgach i bodaj jedyną realną myślą było ratowanie honoru rewolucji. Tu nie było mocnego umysłu, mocnego charakteru, Padlewski, mimo bardzo wielu świetnych cech i osobistego męstwa, mocą charakteru się nie odznaczał; brak mu było wytrwałości, przy tym był to człowiek chwiejny, poddający się łatwo nastrojowi chwili. Takim go charakteryzują wszystkie późniejsze wypadki.

I oto przed takim człowiekiem leży konieczność decyzji. Na niego skierowały się oczy wszystkich, był to bowiem jedyny autorytet wśród tego elementu cywilnego, do niego więc się zwracają, oczekują rozkazu, instrukcji. I jak chcecie, by człowiek, który jest w stanie rozpaczy, mógł myśleć? Dla myśli trzeba spokoju, trzeba opanowania się. Tego u Padlewskiego w tej chwili nie było.

Dlatego plan ten jest nieprzemyślany, nie stanowi on jakiejś całości, lecz raczej fantazję, jakieś fragmenty nieskoordynowane. Stąd przede wszystkim płyną najboleśniejsze zawody późniejsze.

Najpierw zaszła konieczność stoczenia wstępnego boju; w tym celu decyduje się napaści na poszczególne garnizony. Gdzie i jak? O tym czasu nie ma pomyśleć. Ową paniczną bez mała sytuację ratuje ta powszechność nastrojów, owa magiczna laseczka, która właściwie powinna była nastąpić potem, zamiast tutaj na samym początku akcji ratować sytuację. Napadać mają wszędzie, gdzie się tylko da. Jednym słowem, zwala się z siebie odpowiedzialność konieczności myślenia; odpowiedzialność rozkłada się na barki zbyt szerokie, skutkiem czego powstaje faktycznie brak wszelkiej odpowiedzialności.

I oto sam Padlewski z tej rozpaczy opuszcza Warszawę i jedzie do tych «dzieci warszawskich», obozujących w pobliskiej puszczy kampinoskiej, stanowiących niezorganizowany tłum, aby ich ratować od obławy, już wysłanej z Warszawy.

Dla reszty spiskowych rozsyła się rozkazy. Dzień 22 stycznia wybrano na moment ogólnego wybuchu, a dopiero 16-go idą rozkazy. Podlasie, najbliższe części Augustowskiego, wo-

jewództwo płockie, jako sąsiadujące z Warszawą, otrzymują rozkaz 17 stycznia, dalsze województwa otrzymują go 18-go, Langiewicz i Kurowski w Kielcach 18 stycznia wieczorem. Oxiński 17-go rano wyjeżdża w Kaliskie, Jeziorański 18-go rano w Rawskie. Ludzie ci mają pozostawione 4 do 5 dni dla wykonania planów Centralnego Komitetu.

Jako skutek tej niespodzianki, z prowincji sypią się zapytania, czy to prawda? Takie zapytanie idzie z Lubelskiego, gdzie przywieziono rozkaz 18 stycznia. Takie same zapytania szły z Kaliskiego. Gdzie indziej rozkazy doszły na 12 godzin przed terminem, wyznaczonym dla powstania.

Tak wyglądał ten trzeci plan w życiu. Jest w nim realną rzeczą walka z załogami, wyznaczona na 22 stycznia, mająca być możliwie powszechną. Ma on dla rewolucji wywalczyć swobodę ruchu i organizacji, przy czym bezwiednie polega na powszechnym ruszeniu, wcale nieprzygotowanym.

Przejdziemy do szczegółów donioślejszej wagi.

Z mapy, przedstawiającej dyslokację wojsk rosyjskich 22 stycznia, widać sieć załóg; wojska tego było wówczas w Królestwie 110.000. Po odliczeniu chorych etc., jedni obliczają stan bojowy na 99.000, inni na 92.000. Nie będziemy się upierali przy tej lub innej cyfrze.

Każda rewolucja ma to do siebie, że w czasie przedrewolucyjnym zmusza rząd do rozrzucenia wojska z tego powodu, że najrozmaitsze wypadki, najróżniejsze wystąpienia tej czy innej części ludności wymagają udziału wojska. Jest ono ostatnim atutem i ten ostatni atut rzuca się wszędzie tam, gdzie zachodzi potrzeba. W ten sposób wojsko, normalnie skupione, rozchodzi się po całym kraju. Takie zjawisko miało miejsce i wtedy, gdy władze znalazły się w konieczności wysyłania wojsk z normalnych kwater do różnych zagrożonych punktów. Wreszcie samo przygotowanie branki zawczasu zmuszało do dalszego rozrzucenia wojska.

Punktów, zajętych w ten sposób przez wojsko, jest sto sześćdziesiąt kilka; nie jest to cyfra zupełnie ścisła, gdyż nie da się dokładnie ująć stanu rozlokowania straży pogranicznej. Głównym siedliskiem siły wojennej przeciwnika jest przede wszystkim Warszawa, jako centrum, dalej fortece Modlin, Dęblin i Zamość. Poza tym komendy główne w poszczególnych ośrodkach spoczywały w rękach generałów dywizyj w Płocku, Kaliszu, Radomiu, Lublinie i Warszawie. Sama Warszawa liczyła załogi 22.000. W porównaniu z obecną Warszawą jest to takie nasycenie wojskiem, do którego nawet teraz Rosja u nas nie doszła. W ośrodkach gubernialnych woj-

sko skoncentrowane było silniej. Poza tym rozlało się ono po całym kraju, tak, że jeżeli weźmiemy przeciętną ilość na każdy punkt po odrzuceniu Warszawy, to otrzymamy załogi po 400 mniej więcej ludzi. O ile odrzucimy i główne ośrodki, to na każdy punkt wypadnie 200 do 300 ludzi; zwrócić przy tym należy uwagę na fakt, że działały jeszcze wpływy niewojenne, wskutek czego najrozmaitsze bronie w rodzaju artylerii, parków, które bezpośrednio nie są potrzebne, pozostawione były bez dostatecznej osłony. Tak wyglądała ogólna charakterystyka dyslokacji rosyjskiej.

Co się tyczy jej gęstości, to można powiedzieć, że poza północną częścią, względnie mało obsadzoną, miało miejsce dość równomierne rozrzucenie, z nieznaczną może przewagą zachodu, gdzie załogi były rzadsze.

Jeżeli przejdziemy do samej nocy styczniowej, to na wstępie zaznaczam, że nie wchodzę najzupełniej w to, w jaki sposób wykonane były poszczególne napady, albowiem rzeczy taktyki z mego wykładu świadomie usuwam. Na załączonej mapie wyznaczone są miejscowości, gdzie były dokonane napady. Widzimy, jak mało owa, podkreślona przeze mnie, «powszechność» zrobiła. W cyfrach wyrażają się napady następująco: starć, według mego obliczenia, było 19, z nich jedno poza granicami Królestwa — w Surażu; na Królestwo przypada 18. Z nich dwa urządzono na Podlasiu, trzy w Płockim i Augustowskim, dwa w Sandomierskim, dwa w Krakowskim, jedno w Lubelskim, jedno, którego można nawet nie liczyć, w Kaliskim, żadne w Mazowieckim. Oprócz tego, zbierając najrozmaitsze dane o tej nocy, wynotowałem 14 miejsc, gdzie tej nocy powstańcy się zbierali, nie dokonawszy napadu. Prawdopodobnie miejsc tych było więcej, tylko brak o nich wiadomości w pamiętnikach.

Z tych wszystkich napadów ośm było udanych, to znaczy, że cel został osiągnięty. Cztery były zupełnie nieudane. Do nich należy doliczyć i te 14, gdzie powstańcy się zebrali i przed zadaniem się cofnęli. Wreszcie siedm uważać można, jako na wpół tylko udane. Za chwilę to wyjaśnię.

W paru miejscach np. w Radzyniu i Lubartowie, powstańcy, napadając w nocy na armaty, stojące osobno w szopach, zdołali nimi owładnąć, lecz utrzymać ich w swoich rękach nie potrafili, gdyż piechota zdążyła do tych armat dopaść i powstańcom odebrać. Armat nawet nie popsuto. Zdobyto w tej walce paręset karabinów. Specjalnie udanym był pod tym względem napad w Kodniu pod Brześciem, gdzie znajdował się magazyn, którym powstańcy pod dowództwem

Nenckiego owładnęli, biorąc około 80 żołnierzy do niewoli, resztę rozpędziwszy. W niektórych miejscach zdołano pozbierać część broni po zabitych.

Jeżeli idzie o liczbę powstańców, którzy brali tej nocy udział w bitwach, którzy stanęli do apelu, to tak jest trudno zorientować się przy sprzecznych cyfrach u różnych autorów, że doprawdy każdą cyfrę musiałbym zaopatrzyć znakiem zapytania. Aby jednak mieć podstawę rachunku, starałem się do niej dojść. Według moich obliczeń suma ludzi wynosiła około 6.000. Przypuszczam jednak, że jest to cyfra za duża.

O ile weźmiemy kwestię uzbrojenia, to było ono wszędzie bardzo liche. W niektórych miejscach walczono między sobą o kosy, albowiem brakło ich. Często wycinano drągi w lesie, jako jedyną broń. Od tego czasu pochodzi nazwa drągalierów.

Jeżeli idzie o organizację, to wszędzie ona zawiodła. Nigdzie nie stanęło tylu, ilu się spodziewano, wszędzie liczba była o trzy czwarte zmniejszona. Obok tego wszędzie powstańcy wykazali dużo płochliwości. Przy najmniejszym oporze masa ta okazywała się bardzo bojaźliwą.

Największym, najpoważniejszym i najdonioślejsze znaczenie polityczne mającym był zupełnie nieudany napad na Płock. Jest to jedyny znaczniejszy punkt, jaki przy napadach był wybrany. Mimo że powstańców zebrało się z górą tysiąc, a załoga wynosiła 200 do 400 ludzi, jednak napad najzupełniej się nie powiódł.

Z pomiędzy udanych napadów wymienię napad Zameczka-Cichorskiego na Suraż w województwie białostockim. W województwie podlaskim, które najenergiczniej wystąpiło i najwięcej dokonało, wymienić trzeba wspomniany już napad na Kodeń pod dowództwem Nenckiego, na Łomazy pod dowództwem Szaniawskiego, gdzie ułanów w puch rozbito; z bardziej nieszczęśliwych, tam, gdzie armaty wzięto i stracono, wspomnieć trzeba napad na Radzyń, prowadzony przez Deskura. W województwie sandomierskim pod dowództwem Langiewicza dokonano trzech napadów: dwa z nich udane na Bodzentyn i Jedlnię pod dowództwem Figetiego, trzeci pod dowództwem samego Langiewicza na Szydłowiec. W województwie krakowskim udanym był napad w Michałowicach na straż pograniczną. Wreszcie jako udane nazwać trzeba starcie w Ciołkowie pod Płockiem pod dowództwem Rogalińskiego, w którym 100 powstańców spotkało się z silniejszym oddziałem rosyjskim; skutkiem naiwnego humanitaryzmu dowodzącego pułkownika oddział jego został prawie zupełnie zniszczony.

Komunikacje telegraficzne prawie wszędzie zostały przerwane.

Dla charakterystyki stanu ówczesnych umysłów, przeniknięty brakiem wiary w powodzenie, wspomnę o tak dla mnie zrozumiałym opowiadaniu Daniłowskiego [1]), który wówczas był w grupie rządowej, jaka pozostała w Warszawie. Powiada on, że 22 stycznia rano poszedł do drugiego członka Komitetu, inżyniera Marczewskiego, z pewnym strachem, aby dowiedzieć się, co się stało. Czy może nic się nie stało? I dopiero westchnienie ulgi, kiedy dowiedział się, że komunikacja przerwana [2]).

Jeżeli teraz zwrócimy się do na pół udanych przedsięwzięć, to z pewnego punktu widzenia są one raczej zupełnie nieudałymi. Takiego punktu widzenia trzymają się Gesket i Przyborowski, którzy uważają, że czego się nie dokonało i nie osiągnęło bezpośrednio, należy zaliczyć do niepowodzeń. Jest to czysto taktyczny punkt widzenia, który nie uwzględnia moralnego wpływu, jaki dane przedsięwzięcie wywiera na wypadki i sytuację. Zaliczyłem tu te wszystkie, które, wywierając swój wpływ na wroga i na otoczenie, pozostawiły swoje dobre dla powstania ślady, pozwoliły odetchnąć głębiej, organizacji powstania dały pewną ilość czasu i wreszcie w umyśle wroga zostawiły pojęcie o szerokości ruchu.

Chciałbym w końcu zwrócić uwagę na to, jak pierwotny plan Padlewskiego wywarł jednak swój wpływ na przebieg nocy styczniowej. Napady są najbardziej skoncentrowane na wschodzie; w pierwszym planie Padlewski kładł na to nacisk i tu poprzednie prace przygotowawcze wywierały swój nacisk. Widać tu potężny wpływ myśli ludzkiej w dziedzinie wojny, widać, jak myśl ta znajduje swój wyraz w realnych przejawach wojny. Zauważmy, że Lubelskie, mające najwięcej spiskowych, ale bez wojennego naczelnika, ma tylko jeden napad. W województwach mazowieckim i kieleckim, gdzie brakło naczelników, nie było też napadów. Poprzednie przygotowania dają jednak odpowiednie rezultaty, a brak ich doprowadza do takich właśnie ujemnych wyników, jak wyżej przytoczone.

---

[1]) Daniłowski Władysław (1841—1878), członek Centralnego Komitetu Narodowego, wybitna postać powstania styczniowego.

[2]) Władysław Daniłowski, «Notatki do pamiętników». Wydał Jan Czubek. Kraków 1908, str. 200.

WYKŁAD PIĄTY
3 maja 1912 r.

W poprzednim wykładzie przedstawiłem owo bardzo słabe uderzenie ze strony powstania. Chciałbym jednak nad paru kwestiami, tyczącymi się nocy styczniowej, zatrzymać jeszcze nieco uwagi; przede wszystkim chcę podnieść pewną nadzwyczaj cenną cechę u powstańców, która, daj Boże, aby istniała u wszystkich rewolucjonistów polskich.

Kiedy się mówi o niespodziance, jest rzeczą bardzo ważną, aby tajemnica była zachowana. Otóż pod tym względem napięcie moralne było nadzwyczajne. Mimo, że dziesiątki tysięcy ludzi wiedziało o nocy 22 stycznia, wiadomość ta nie doszła do wroga i we wszystkich wypadkach wybuch był dlań niespodzianką. Ta umiejętność dotrzymania tajemnicy świadczy o wysokim poziomie moralnym, jakim było ożywione powstanie 1863 r.

Druga rzecz, którą podnieść trzeba w związku z omówionymi przedtem planami, to najzupełniejsze nieudanie się obliczeń co do oficerów i żołnierzy rosyjskich. Przeważnie próbowano wejść z nimi w porozumienie, aby wspólnie akcję tej nocy przeprowadzić. W niektórych wypadkach doprowadziło to do zdrady, w innych pomoc ich była zupełnie nieokreślona. W jednym tylko wypadku przeszli kanonierzy Polacy na stronę rewolucji. Oficerowie zaś, nawet Polacy, w ogromnej większości zawahali się; dopiero po pewnym czasie ci ostatni przechodzili na stronę powstania.

Poprzedni swój wykład zakończyłem twierdzeniem, że jeżeli idzie o zwycięstwa taktyczne, to w nocy styczniowej było ich bardzo mało. Natomiast zwycięstwo zostało odniesione w dziedzinie moralnej. Do przedstawienia wpływu nocy styczniowej w tej dziedzinie przejdę obecnie.

Trzeba sobie przedstawić położenie głównodowodzącego armią rosyjską, stacjonowaną w Królestwie, po nocy styczniowej, kiedy zaczęły go dobiegać sztafety konne z różnymi przesadnymi wieściami z kraju. Wojsko, którego położenie opisałem, znajdowało się w stanie prawie bezbronnym; było ono wysyłane do różnych miejsc nie dla celów wojny, a po to, by podtrzymać władze cywilne przy uspakajaniu wrzenia rewolucyjnego. Dlatego w poszczególnych oddziałach dawał się odczuwać brak odpowiedniej ilości nabojów, dzięki czemu do dłuższej walki były one niezdatne. Same kwatery, wobec rozesłania całego mnóstwa wojska ze stałych miejsc postoju, wydawać się musiały niedostatecznie ochronione. To samo się

działo z artylerią, która w noc styczniową była łatwym łupem i która w oczach i w wyobraźni dowódców mogła stać się łupem prędzej czy później. Magazyny, tabory, artyleria — wszystko to wydawało się w stanie niedość osłoniętym. Same zaś wojska, rozrzucone po kraju, wydały się również w położeniu niezbyt bezpiecznym, gdyż mogły stać się łatwą ofiarą silnego uderzenia. I mimo tego, że we wszystkich prawie miejscowościach powstańców odparto, wojsko jednak wydawało się dowódcom niezdatnym do prowadzenia wojny, zwłaszcza zaczepnej, na którą zdobyć się musiało. Wydawał się im koniecznym pewien niezbędny okres czasu dla nowego urządzenia wojska i przygotowania go do ruchów zaczepnych przeciw powstaniu. Oto jest położenie, które zmuszało do pewnego rodzaju skoncentrowania się wojska i jego zorganizowania się dla celów wojny.

I oto idą rozkazy od generała Ramsaya, zarządzające koncentrację podległego mu wojska. Cele te są bardzo wyraźnie podkreślone. Rozkaz został rozesłany już 23 stycznia. Generał Ramsay był usposobiony o tyle gorączkowo, że wobec protestów z prowincji od różnych podległych mu dowódców 27 stycznia potwierdza raz jeszcze ten rozkaz koncentracyjny w sposób bardziej jeszcze bezwzględny. W planie koncentracyjnym przebija staranie Ramsaya, aby armię uczynić możliwie silną i pewną, tak, aby każde jej uderzenie miało silną podstawę, aby biło silnie w wyobraźnię ludzką.

Ten śpieszny i bezwzględny rozkaz koncentracji wywołał u późniejszych krytyków 1863 r. dość ostre zarzuty, jak ze strony polskiej, tak i rosyjskiej. Przyborowski twierdzi, że cała koncentracja była czarną intrygą przeciw Konstantemu [1]) i Wielopolskiemu [2]). Że w ten sposób chciał on dać rozrosnąć się powstaniu, aby wykazać, że tylko siła zbrojna może doprowadzić do uspokojenia. Hipotezę powyższą opiera na tym, że kiedy pewne lojalne koła szlacheckie zwracały się do w. ks. Konstantego, aby wojsko zostawił na prowincji dla osłony dworów, wówczas Konstanty zwrócił się z tym do Ramsaya. Na to Ramsay odpowiedział, że im więcej buntowników zginie, «tym lepiej dla nas będzie». Na tej dość mętnej polityce, która nic dla sprawy wojny nie stanowi, jest oparta czarna

[1]) Konstanty Mikołajewicz, w. ks. ros. (1827—1892), namiestnik Królestwa Kongresowego w latach 1862—1863. Jako namiestnik otrzymał zadanie przeprowadzenia reform w Królestwie, mających zapobiec powstaniu.

[2]) Aleksander Wielopolski (1803—1877), naczelnik rządu cywilnego dla Królestwa w 1862 r., inicjator «branki» w 1863 r.

intryga tego generała, zmierzająca do obalenia Wielopolskiego. Jest to hipoteza, której genezę tłumaczę sobie późniejszą tendencją polityczną; sądzę, że zrodziła się ona w czasie, kiedy powstanie 1863 r. chciano wymazać z pamięci i serc ludzkich, kiedy chciano je przedstawić, jako czyn zbrodniczy wobec narodu. A najpewniejszymi argumentami tej teorii stało się «łaskawe» usposobienie miarodajnych wysokich czynników rosyjskich.

W istocie z punktu widzenia wojskowego generał Ramsay znacznie większą miał rację, niż w. ks. Konstanty, który chciał zarządzoną przezeń dyslokację zatrzymać. Ze stanowiska wojennego nie miał on prawa zostawiać armii w stanie na wpół bezbronnym, nie miał prawa przypuszczać, że noc styczniowa nie powtórzy się w najbliższych dniach; z punktu widzenia wojny musiał on dbać o swoje wojsko. Że pod tym względem liczenie się z późniejszą wojną było słuszne i miało rację bytu, świadczą następne wypadki.

Krytyka Gesketa, jako wojskowego, jest inna. Twierdzi on mianowicie, że koncentracja była konieczna; sądzi jednak, że generał Ramsay działał zbyt pośpiesznie, że nie liczył się z warunkami wojskowymi i stąd zbyt schematycznie ją zarządził. Gesket przypuszcza, że generał Ramsay w decyzjach swoich przeceniał siłę powstania, zanadto się go bojąc, że powinien był okazać więcej zimnej krwi i koncentrować nie tak silnie, mógł pozostawić luźniejszą dyslokację i w ten sposób pozostawić mniej pola dla swobodnego działania powstania. Ta krytyka, ujęta z punktu widzenia wojskowego i historyka, który znał całość późniejszych wypadków i mógł ocenić wartość militarną powstania na podstawie faktów już dokonanych, jest tylko w pewnej mierze do przyjęcia. Całkowicie zgodzić się na nią niesposób. Niewątpliwie było błędem Ramsaya, że koncentracja była przeprowadzona zbyt nerwowo, tak, że w wielu wypadkach wyglądała, jak gdyby była robiona pod wpływem strachu, robiła wrażenie ucieczki.

Jeżeli przejdziemy do faktów, to najlepiej ilustruje nową sytuację mapa, przedstawiająca ugrupowanie wojska po koncentracji. Oto zamiast 180 punktów mamy ich czterdzieści parę; resztę kraju pozostawiono zupełnie bez osłony. Zachodzi przy tym jeszcze jedna ciekawa omyłka ze strony rosyjskiej, mianowicie zupełne zapomnienie o straży pogranicznej. Jest to wynik systemu urzędniczego, w jakim znajdowała się Rosja, bo niczym innym nie można sobie wytłumaczyć faktu, żeby wojsko innego rodzaju wypadło z pamięci. I ta straż pograniczna, rozsypana po całej granicy, została pozbawiona

pomocy liniowego wojska, gdyż cofnęło się ono w głąb kraju. Dopiero po dłuższym czasie władze rosyjskie spostrzegły się i zaczęły robić wysiłki, aby straż pograniczną ocalić, lecz wtedy już większość jej legła pod razami powstania.

Dla charakterystyki tej koncentracji wspomnę, że z 40 miast powiatowych opuszczono aż 14. Zatem koncentracja wielkie szmaty kraju uwalniała od wojska. Najsilniej przeprowadzono ją w województwie sandomierskim i krakowskim. Wynikało to ze względnie małej ilości wojska, jakie tam znajdowało się przed powstaniem. Drugą charakterystyczną cechą jest pozostawienie koncentracji w znacznie gęstszym stanie na zachodzie w porównaniu z południem i wschodem. Warto zastanowić się nad przyczynami tego stanu rzeczy, dlaczego na zachodzie generał Brunner, który w powstaniu odznaczył się niezwykłym tchórzostwem, przeprowadza koncentrację typowo tak, jak gdyby był najodważniejszym ze wszystkich dowódców w Królestwie. Pisze on parę razy do Ramsaya, prosząc, aby dał spokój zbyt ostrej koncentracji, że i bez tego da sobie radę. Inni generałowie chętnie wykonywują koncentrację, chociaż są mniej tchórzliwi. Otóż tłumaczy to fakt, że cały zachód, dzięki nieprzygotowaniu tam powstania, został przez akcję styczniową pominięty; zachód nie drgnął, nie dał znaku życia. Nie wytworzył bicza, któryby Brunnera zmusił do lęku, któryby w wyobraźni jego wywołał grozę położenia. Zachód milczał i oto mamy skutek tego milczenia.

Lecz mamy i inne wytłumaczenie przytoczonej wyżej krytyki Gesketa, krytyki, bardzo krzywdzącej działania generała Ramsaya, która posądza go po prostu o tchórzostwo wobec rewolucji. Jest ona mianowicie oparta już na doskonałej znajomości całej historii powstania. Istotnie, gdy się zastanowimy nad materialnym naciskiem, zrobionym przez powstanie, i porównamy go ze skutkiem, jaki wywarł, to mimowoli przychodzi do głowy pytanie, po co był ten pośpiech? Przecież wszystkie prawie napady były odparte, wojsko rosyjskie zostało zwycięskim, więc po cóż było właściwie tak śpieszyć? Oto na podstawie tego porównania powstały zarówno te plotki i gawędy, jakie streścił Przyborowski, jak i owa krytyka Gesketa. Jednak zdaje mi się, że krytyka ta nie jest dostatecznie usprawiedliwioną. Gesket bowiem przechodzi do porządku dziennego nad czynnikiem moralnym, jaki wytworzyła ówczesna sytuacja, bierze natomiast pod uwagę tylko czynniki czysto materialne. Jeżeli jednak wnikniemy w stan moralny Ramsaya, a jeszcze bardziej jego wszystkich podkomendnych, to łatwo spostrzeżemy, iż oni, którzy dotąd przed rewolucją

się cofali, nie mogli nie wyobrażać sobie, że ta rewolucja jest znacznie silniejszą, niż była w rzeczywistości. Jest przecież rzeczą niemożliwą nie popełniać błędów.

Aby jasno przedstawić ogrom owej siły moralnej, przytoczę jeden obrazek z nocy styczniowej, mianowicie napad Rogińskiego na Białą, napad nieudany skutkiem zdrady dwóch oficerów Polaków, którzy poszli do komendanta, generała Mamajewa, i uprzedzili go w porę. Generał Mamajew zbiera o dziewiątej wieczorem całe swoje wojsko: dwie kompanie piechoty, baterię artylerii, sotnię kozaków. O niespodzianym napadzie mowy nie ma. Rogiński zbiera 80 ludzi, których broń palną stanowi jedenaście strzelb myśliwskich, reszta ma kosy. I oto naprzeciw siebie stają dwie potęgi, które pod względem materialnym wyglądają rzeczywiście zabawnie. Lecz Mamajew nie śmiał uderzyć na tych 80 ludzi i pozwala nawet, by przemaszerowali oni na kilka kroków od jego frontu. Dopiero po ich przejściu generał puszcza na nich kozaków [1]). Oto, co czyni potęga moralna, która uderzenia słabe robi uderzeniami olbrzyma. To nie jest ta siła materialna słaba i nikła; to jest owa potęga moralna rewolucji, która działa, potęgując słabiznę fizyczną. I w nocy styczniowej potęga moralna, potęga ducha sprawiła to, że mapa koncentracji rosyjskiej tak wygląda świetnie.

Jednak technika i siła fizyczna ma swoje działanie i swój wpływ. Wpływ braku techniki widzimy na przykładzie gen. Brunnera. Nawet w tej fazie wojny, kiedy jeszcze siła moralna jest siłą dużą, jest ona konieczna.

Tak czy inaczej, koncentracja została nakazana. W czasie jej trwania wojsko nie jest zdatne do boju. Przejść musi pewien okres czasu, nim ta koncentracja się zakończy i nim wojsko stanie się znów zdolnym do zadawania powstaniu ciosów silnych, szybkich i skutecznych. Pewien czas zatem został wygrany.

Widzimy po stronie rosyjskiej wyraźny cel. Możemy uważać, że mogła ona postąpić omyłkowo, ale cel jest jasny i jednolity dla całej armii; cała armia ma na pewien okres czasu postawione wyraźne, jasne zadanie. Jak zobaczymy, po stronie polskiej było akurat odwrotnie. Polacy ani czasu nie wykorzystali, ani też nie mieli w tym czasie żadnej wyraźnej myśli wojennej, nie mieli jej też w postaci jednolitego prowadzenia sprawy na całym terenie.

---

[1]) Roman Rogiński, «Zaczątki powstania na Podlasiu i na Litwie». Poznań 1896; przedruk «Z pamiętnika Romana...», Warszawa 1898.

Zobaczmy przede wszystkim, jaki był stan tej armii polskiej po nocy 22 stycznia. Oddziały, w różnych miejscach odrzucone przez przeciwnika, nie zatrzymując się na punktach napadu, zdezorganizowane nawet zwycięstwem, nie tylko przegraną, rozepchnięte w różne strony, znajdują się w stanie najzupełniejszej dezorientacji i nieświadomości, co z sobą mają czynić. Przede wszystkim biegną gońcy ze wszystkich okolic do Warszawy. Stamtąd żadnej odpowiedzi nie ma. Rząd Narodowy wyniósł się do Płocka, a raczej chciał się tam wynieść, i w Warszawie zostało trzech ludzi: dwóch studentów, Bobrowski i Daniłowski, i jeden inżynier — Marczewski, jako przedstawiciele Rządu.

Jeżeli natychmiast kuriera nie odesłano, to za nim przyjeżdżał nowy. Co ci nieszczęśliwi ludzie mieli dawać za wskazówki? Komu, jak? Kiedy oni sami chcieliby od kogo otrzymać jakąkolwiek radę czy dyrektywę. Żadnej myśli wojennej z tego centrum spisku! Zadawalniano się załatwieniem najpilniejszych interesów. Posłano kilka kożuchów, trochę broni.

Kierownictwo? — do tego ich nikt nie przygotowywał; kierownika rzeczywistego nie było. I oto widzimy zupełny brak myśli kierowniczej, łączącej te wszystkie ruchy w owej chwili w jakąś jedność. Tego nie ma. Rząd Narodowy złożył dyktaturę na barki Mierosławskiego, który był jeszcze w Paryżu, i stamtąd czekał odeń rozkazów i wskazówek. Od tego czasu kierownictwo akcją nie spoczywało na barkach władz centralnych. Spadło ono z konieczności na niższe organizacje. Tam mamy dowódców, jak: Padlewski, Lewandowski, Langiewicz, Jeziorański, Kurowski, Oxiński. Oto przed nimi stanęły kwestie, niech oni je rozstrzygają! Jeżeli idzie o jednolitość, to już ta myśl zepchnięcia decyzyj na podwładnych jest zgubna. Tutaj mamy początek tego kardynalnego błędu powstania 1863 r.: brak myśli wojennej, obejmującej cały kraj.

Te pretensje możemy postawić i wtedy, kiedy będziemy mówili o znacznie mniejszych częściach kraju. Weźmy, np., Podlasie, gdzie ruch był najsilniejszy. Tam też każdy oddział szuka odpowiedzialnego za województwo dowódcy, Lewandowskiego; nikt jednak znaleźć go nie może, bo oddział, jakim on dowodził, rozsypał się w boju, a on sam jeden błądził, szukając również swoich oddziałów.

Na powstańców ten brak decyzji działał fatalnie; jest to rzeczą zupełnie naturalną, zwłaszcza dla ludzi, nieobeznanych z rzemiosłem wojennym, mających zupełnie świeżo z wojną do czynienia. Trzeba dawać albo zawczasu pewne przygotowanie, albo bardzo jasne i ścisłe rozkazy. W tym wypadku

ich zabrakło. I stąd chwiejność i niepewność najbardziej charakteryzują stan moralny powstania po nocy styczniowej.

WYKŁAD SZÓSTY
7 maja 1912 r.

Mówiłem poprzednio o stanie oddziałów powstańczych po nocy styczniowej. Charakteryzowałem go, jako stan pewnej dezorientacji, którego główną cechą był brak zorganizowanego kierownictwa wojną z polskiej strony. Aby dać przykład, wystarczy wskazać na brak naczelnego kierownictwa w Warszawie. Poza Warszawą, w województwach, było absolutnie to samo. Na Podlasiu pułkownik Lewandowski, po nieudanym zamiarze napadu na Siedlce, błąkał się po swym województwie, tak, że go znaleziono dopiero po dłuższym czasie. Każdy dowódca był pozostawiony sam sobie. W Lubelskim znajdziemy całkiem to samo. Tam nawet nie wyznaczono wcześniej naczelnego dowódcy; i tam również widzimy poszczególne oddziały, niezłączone żadnymi węzłami. W województwie sandomierskim Langiewicz chciał mieć ingerencję we wszystkich sprawach. Pomiędzy innymi nakazał on, aby wszystkie oddziały, bez względu na powodzenie w pierwszej akcji, skoncentrowały się w Szydłowcu, na który on sam prowadził napad. Wobec nieudania się napadu na Szydłowiec punkt ten jako koncentracyjny przestał istnieć, — nieopanowany przez Polaków, został w ręku Rosjan. Z chwilą więc, kiedy Langiewicz poszedł z pod Szydłowca w stronę Wąchocka, już w jego województwie znalazły się oddziały, zupełnie z nim niepołączone.

W województwie krakowskim Kurowski, który w nocy styczniowej prawie nic nie zrobił, stara się koncentrować swe siły w pobliżu granicy, prowadzi tam nawet z powodzeniem walkę ze strażą pograniczną, poza tym jednak kierownictwo jego rozciąga się jedynie na jeden drobny południowo-zachodni kąt województwa, na powiat olkuski, w którym on panuje.

Na zachodzie mamy absolutnie to samo. Tam również, jak w Lubelskim, kierownik nie został wyznaczony, kierownictwa wojennego nie było i poszczególne oddziały zbierały się zupełnie samorzutnie. Najzręczniej prowadził swoją akcję dotychczasowy wódz naczelny, a obecnie wojewoda płocki, Padlewski. Sprawnie obejmował on poszczególne tereny i miejscowości swego województwa, mimo, że i jemu w nocy styczniowej się nie powiodło. Niestety, materiał historyczny do jego działalności w tym czasie jest tak mały, że trudno z zupełną

ścisłością przedstawić tę jedyną robotę naprawdę wojenną. O ile sądzić można z tych źródeł, jakie posiadamy, myśl jego polegała na tem, że — wobec niemożliwości skoncentrowania w jednym miejscu wszystkich sił wojskowych — zajmował się przygotowaniem lokalnym ludzi w różnych powiatach, ćwicząc ich tak, aby ten materiał ludzki opanować na miejscu i mieć przygotowanym do walki w odpowiedniej chwili. Bardzo być może, iż dzięki temu właśnie, że Padlewski wykazał więcej umiejętności organizatorskiej, zdołał on wytrzymać dłużej w walce początkowej.

Jednak, powtarzam raz jeszcze, jakiegoś planu kierowniczego ze strony polskiej dla całości nie było. Dano w ten sposób początek brakowi kierowniczej myśli wojennej, brakowi organizacji wojennej, ujętej w ramy hierarchii, któraby bezładne wojsko trzymała w karbach posłuszeństwa. Dano początek tej chorobie, która rozsadzała wszelkie próby działania jakichkolwiek oddziałów. Nie szło o to, aby wojewoda miał pełen autorytet władzy. Dano początek zawiści, nieorganizacyjnemu zachowywaniu się w sprawach wojennych. Odtąd będziemy mieli stale, przy każdym połączeniu się dwóch oddziałów walkę wewnętrzną w obozach między dwoma dowódcami. Tych paru dowódców zawistnych, którzy w ten sposób podrywali wszelką możność skoordynowania działań, będziemy mieli całe mnóstwo. W Kaliskim widzimy Mierosławskiego, który w swoim obozie miał wroga Mielęckiego. Na południu mamy Langiewicza, który w swoim oddziale miał wroga Jeziorańskiego, z którym ciągle staczał walki, oraz Czachowskiego, który się kłócił z Kononowiczem. Będziemy mieli na północy Padlewskiego, walczącego z Cichorskim itd. Stale mamy te tarcia wewnętrzne, które robiły niemożliwymi działania skoordynowane.

Jeżeli wejrzymy do teorii wojennej, traktującej o organizacji armij nieregularnych, znajdziemy w niej wszędzie jedno twierdzenie: najsłabszą jej stroną jest brak ustalonej hierarchii wojskowej. Przeciw temu należało zawczasu zapobiec. Tym czasem ze strony kierownictwa nie widzimy wcale starania, aby wcześniej ułożyć te sprawy tak, żeby nie uderzyły one w najsłabszą stronę: niezorganizowanie armii. A przecież w czasie przygotowawczej pracy przed powstaniem był czas do wytworzenia tego, co było najłatwiejszym, to jest kierownictwa.

Tego powstanie w poprzedzającym wybuch okresie nie uczyniło, natomiast w czasie samego wybuchu uczyniło jakby wszystko, aby zniszczyć już wytworzoną organizację. Mamy Padlewskiego, który, zamiast kierować wojną, zrzuca z siebie

odpowiedzialność za jej losy, za całość sprawy. Mamy potem wszystkich dowódców, którzy stają się dowódcami tylko drobnego kawałka swego województwa, tego, w którym w danym momencie naczelnik województwa stoi ze swoimi oddziałami. W jaki sposób nawet chcieć, aby ten naczelnik kierował działaniami wojennymi, jeżeli w każdej chwili los będzie go przerzucał z jednego miejsca na drugie.

I oto powoli wszczepia się w ludziach przekonanie, że każdy z dowódców nie jest tym kołem w mechanizmie wojennym, lecz jest on zupełnie nieodpowiedzialnym przed jakimkolwiek kierownikiem swego oddziału i jest pewnym tego tylko, co koło niego się skupia. Odtąd myśl wojenna zaczyna z konieczności wyrabiać się niejednolicie i bez żadnego wpływu centralnego. Myśl wojenna ciąży na względnie jednolitych elementach, które każdej chwili ulegają wpływowi, jakiemu muszą poddać się w danej chwili. Nie ma żadnego organu, któryby to wszystko jednoczył.

Jednak jakąś myślą, jakimś celem kierować się trzeba. I oto natychmiast po wybuchu myśl ta kierownicza w głowach poszczególnych dowódców zaczyna się wyrabiać. Nie jest ona świadoma; jest to pewne instynktowne szukanie większej siły. Każdy czuje się słabym, czuje się niezdatnym do walki. Każdy oddział czuje się niepewnym, a jego dowódca nie wie, co ma przedsięwziąć. Zjawia się instynktowne połączenie się z sobą dla wytworzenia większych oddziałów na przestrzeni całego kraju, bezwiedne tworzenie zawiązków armii polskiej.

U niektórych dowódców ta myśl była nawet zupełnie świadoma. Do takich niewątpliwie należał Langiewicz, który we wszystkich swoich działaniach szukał możliwie większej siły. Lecz jeżeli zanalizujemy pojęcie jego w tym względzie, to zauważymy, że nie ma tu myśli tworzenia armii, lecz tworzenia większego oddziału dla przedsięwzięcia czegoś, co zdarzyć się może. Myśl świadoma o armii musiałaby doprowadzić do myśli, czego trzeba do jej stworzenia.

Tej świadomości ja, przynajmniej w działaniach ówczesnych dowódców, nie znajduję. Albowiem chociaż zewnętrznie działania ich wydają się zupełnie świadomymi i rozumnymi, zwłaszcza tych, którzy łączyli się w większe grupy, to jednak nie znajdziemy niczego, żadnych działań, któreby mówiły, że są one zupełnie skrystalizowane. Przeciwnie, sądzę, że był to wynik instynktu szukania oparcia w liczbie. Albowiem gdyby dowódcy ci zastanowili się tylko nad tem, jak się armie tworzą, to niechybnie każdy z nich przyszedłby do przekonania zupełnie wyraźnego, że do tego trzeba mieć przede wszyst-

kim czas, a następnie, że trzeba osłaniać czemkolwiek tworzenie się armii; armia bowiem w chwili organizowania się nie jest zdatną do walki.

Dla armii potrzebni są ludzie, potrzebna jest broń i potrzebne jest zorganizowanie się. W warunkach, w jakich powstanie 1863 r. walczyło, wszystkie te czynniki sprowadzają się do kwestii czasu. Ludzie, materiał ludzki istnieje, było go poddostatkiem. Ale i tu chciałbym wskazać na jeden specjalny błąd ogromnej większości umysłów rewolucyjnych, mianowicie, że one z kwestią czasu bardzo mało się liczą i, wierząc w rewolucyjne usposobienie ludności, przypuszczają, że ludność ta jakimś cudem stanie się zdolna do przeprowadzenia rewolucji.

Tym czasem wybuch rewolucji robi niespodziankę nie tylko rządowi, ale i całemu narodowi. Cały naród w jednej chwili przejść nie może ze stanu poddańczego do stanu otwartej walki. Musi przejść pewien czas przygotowania psychicznego, dla zyskania wiary i nadziei, musi przejść pewien czas, potrzebny dla wytworzenia ram organizacyjnych. Do tego, by ten materiał ludzki był materiałem wojennym, trzeba czasu i ten czas wygrać musi to wszystko, co już poprzednio zorganizowaniem rewolucyjnym było. Jeżeli weźmiemy tylko sprawę uzbrojenia, to nawet przypuściwszy, że ta broń była złożona, zakopana etc. w kraju i nad granicami, nie możemy negować czynnika czasu, jaki jest nam potrzebny, by owa broń doszła do tych, którzy chcą się zbroić i walczyć. A cóż dopiero wtedy, gdy broń nawet nie jest przygotowana?

Wreszcie broń przychodzi. Są ludzie. Ale trzeba czasu, aby ich wojennie zorganizować, żeby nie byli zbiorowiskiem, które przy pierwszym zetknięciu z nieprzyjacielem rozprasza się, gdzie ludzie jedni drugich nie znają, gdzie nie ma tej spoistej całości, jaką przedstawia każda armia.

Jeżeli przejdziemy teraz do kwestii czasu, jak ona wyglądała w 1863 r., to widzimy, że powstanie po wybuchu miało 9 do 10 dni swobodnych. Nastąpiła koncentracja rosyjska, która zajęła pewną ilość czasu; w Radomskim pierwsze działania wojenne ze strony Rosjan nastąpiły 1 lutego, ma więc Langiewicz 9 dni. W Lubelskim 6 lutego, zatem Zdanowicz ma 14 dni. W Miechowie załoga rosyjska występuje na pierwszy rekonesans w ostatnich dniach stycznia starego stylu, Kurowski ma więc do 20 dni. Pierwszy ruch nie daje żadnych rezultatów i poruszenia wojska w kierunku Ojcowa zaczynają się dopiero 16 lutego, zatem nawet 24 dni. Na Podlasiu przeciw Rogińskiemu 31 stycznia — zatem 8 dni czasu; wyprawa na

Węgrów 2 lutego, zatem 11 dni. Z Kalisza Brunner robi pierwsze rekonesanse 31 stycznia, nie dające żadnych rezultatów, mają więc powstańcy 8 dni, a następny rekonesans ma miejsce dopiero 15 lutego, zatem właściwie 23 dni przed jakimkolwiek starciem. Jeziorański miał 13 dni czasu. W Płockim pierwsze większe starcie nastąpiło 28 stycznia, więc znowu 5 dni itd., itd.

Jeżeli z powyższych cyfr i następnych, których już tu nie wymieniam, weźmiemy przeciętną, to otrzymamy 10, 9, 12 dni czasu, jakie miało powstanie przed powzięciem inicjatywy ze strony Rosjan. I ten czas okazał się niewystarczającym. Powstanie nie zdążyło zebrać ani dostatecznej siły wojskowej, ani nie wytworzyło dostatecznej spoistości wewnętrznej, albowiem jej zawiązki prysły już z końcem marca. Tych 12 dni czasu było zatem za mało dla powstania, aby się dostatecznie silnie przeciwstawić wojsku rosyjskiemu. I oto, naturalnie, powstaje kwestia, czy można było wygrać czasu więcej, czy w działaniach powstańców nie było jakiegoś błędu, czegoś takiego, co wpłynęło na jego ograniczenie? Jeżeli w tym wypadku stawiam powyższe pytanie, to również należy się zastanowić, czy nie wymagam od powstania rzeczy niemożliwych, czy nie wymagam rzeczy, których powstańcy w żaden sposób wykonać nie mogli, i w ten sposób staję wobec faktów, jako krytyk nieobjektywny?

Te dwa pytania musimy rozstrzygnąć.

Przy pierwszym namyśle nad tem, co się działo w nocy styczniowej, rzuca mi się w oczy to wielkie zapomnienie o centrach życia ówczesnego. Cały kraj staje do walki; padły pierwsze strzały, a główne centrum życia, w którym rewolucja wrzała i gdzie została przygotowana, to główne centrum pod względem wojennym milczy. W Warszawie nie ma nic, tam nie ma wojny.

Kiedym analizował koncentrację wojska rosyjskiego, starałem się uzasadnić, że była ona wynikiem wpływu na wyobraźnię wodzów rosyjskich, który wywołało u nich pewne uczucie strachu za wojsko, im powierzone. Czy sądzicie, że gdyby stolica nie milczała, to ten wpływ byłby mniejszym? Gdyby w stolicy rewolucja wrzała, czy sądzicie, że wyobraźnia wodza nie byłaby bardziej skuta? Tym czasem mamy w całym ruchu powstańczym emigrację z centrów: z Warszawy wychodzą do lasów okolicznych, z Radomia po to, aby napaść na Jedlnię. Jedynie Płock uczuł na sobie szpony rewolucji. Wszystkie inne centra, wszyscy inni generałowie są z dala od wpływu jakichkolwiek działań rewolucyjnych; oni czują tchnienie rewolucji tylko przez odbicie. To milczenie centrum

jest jednym z wielkich błędów, który niechybnie musiał powiększyć siły moralne wroga.

Jeżeli przypomnimy sobie plany Dąbrowskiego, to zauważymy, że nie opuszczały one centrów, a przeciwnie: były ściśle z nimi związane. W planach Padlewskiego już to wszystko minęło, mamy w nich emigrację rewolucji z centrów na prowincję. Co prawda — natychmiast po wybuchu — Bobrowski i Daniłowski przypomnieli sobie coś z planów Dąbrowskiego i snuli szalone pomysły dla potrzymania rewolucji w samej Warszawie, jak łapanie Konstantego na ulicy i wywożenie do lasu, rzucanie się w mieście i robienie rozruchów. Jednak na nich zwalił się zaraz cały nacisk interesów i kłopotów bieżących, związanych z podtrzymaniem ognisk walki na zewnątrz. Oni sami byli w stanie pewnej rozterki duchowej. I oto, jako skutek tego stanu rzeczy, Warszawa stała się rezerwą dla działań wojennych rosyjskich. Z Warszawy wychodziły oddziały dla zawalczania ognisk rewolucji tam, gdzie tego było trzeba Przez cały czas powstania była ona rezerwą dla wroga.

Pod tym względem mimowoli nasuwa się porównanie z r. 1905, gdy Warszawa odwrotną rolę odgrywała, gdy Warszawa ściągała wojska do siebie; gdy musiano z prowincji zbierać siły dla uśmierzenia rewolucji w stolicy. W 1863 r. to zapomnienie centrów było jednym z tych błędów, które niechybnie odbić się musiały na dalszym biegu wypadków.

WYKŁAD SIÓDMY
10 maja 1912 r.

Jak Warszawa została zapomniana, przez co nie odegrała w wojnie większej roli, tak było i z wszystkimi innymi centrami wojennymi w Królestwie, z wyjątkiem Płocka. Pozwoliło to rządowi rosyjskiemu i wojsku w tych głównych punktach wojskowych skupić swoją rezerwę, która w każdej chwili była używaną do odpowiednich czynności. Niewątpliwie w początkach powstania centra te mogłyby odegrać rolę powstrzymywania na sobie sił wojennych, tak, aby wygrana czasu na popoczątku mogła być możliwie wielka.

Drugim takim środkiem bardzo silnym i, zdawałoby się, nadzwyczaj zgodnym z tem, co teoria wojny mówi o partyzantce, a jednak w powstaniu zapomnianym i nierozplanowanym, było działanie na komunikacje wroga. Wojsko, aby planować jakieś manewry, musi być za sobą w łączności. Z chwilą, kiedy jej nie ma, manewry jego stają się niepewne, często są

chybione. Dlatego też komunikacje odgrywały na wojnie zawsze nadzwyczaj poważną rolę. Partyzantka między innymi ma za zadanie oddziaływanie na komunikacje wroga, psucie komunikacyj i wywoływanie możliwie wielkiego w nich tarcia, tak, by nieprzyjaciel musiał na utrzymanie ich i zabezpieczenie możliwie dużo sił poświęcić. W wypadkach wojny rewolucyjnej komunikacje te są zarazem najłatwiejszym obiektem działania. Wojsko bowiem poświęca na nie bardzo mało sił, dzięki czemu działania te są względnie łatwe.

Przede wszystkim zasługiwały na uwagę komunikacje z Warszawy, skąd rozchodziły się we wszystkich kierunkach szosy. Obok tego uwagę należało zwrócić na linie kolejowe, a szczególnie na petersburską, łączącą Warszawę z resztą państwa. Chociaż w tym czasie kolej nie odgrywała takiej roli, jak dziś, jednak w życiu wojennym 1863 r. zaważyła bardzo poważnie. Skutkiem nieopanowania linii petersburskiej mamy zaraz w pierwszym miesiącu przypływ wojsk z zewnątrz Królestwa przy jej pomocy. Dwa pułki jazdy przybyły tą właśnie drogą do Warszawy.

Linie telegraficzne wprawdzie zostały na razie przerwane, jednak w bardzo prędkim czasie zostały one naprawione; i chociaż potem nieraz je przerywano, jednak telegraf stale był w rękach rosyjskich i służył do koordynowania zarządzeń przeciw powstaniu. Tym czasem łatwo możemy sobie wyobrazić, że psucie telegrafu nie sprawiało żadnej trudności; wystarczało zwrócić na to baczniejszą uwagę, aby telegraf w ogóle przestał działać.

To samo się tyczy konnych posłańców pomiędzy poszczególnymi oddziałami. Czytając opis wszelkich działań wojennych w tym pierwszym roku powstania, widzimy, jak to psucie komunikacyj między oddziałami odbywało się najzupełniej wypadkowo. Jedyna szosa brzeska, najbardziej opanowana przez powstańców, sprawiała Rosjanom najwięcej kłopotu, bowiem wszelkie komunikacje na niej nadzwyczaj długo nie dochodziły do tej normy, aby działać sprawnie. To też największe zamieszanie po stronie rosyjskiej było na Podlasiu. We wszystkich innych miejscowościach spotykamy ciągłe umowy i porozumienia między różnymi oddziałami, którym powstanie nie stawiało przeszkód. I jeżeli niekiedy te złożone nieraz manewry wojenne Rosjan, zmierzające do otoczenia poszczególnych oddziałów powstańczych, chybiały, to nie jest to wynikiem braku porozumienia, gdyż jednak do tego manewru dochodziło. Tym czasem zwracanie większej uwagi na komunikację i otoczenie wiankiem przeszkód każdego centrum

rosyjskiego byłoby zwiększeniem tarcia, któreby niechybnie musiało przedłużyć okres czasu, wolny od działań wojennych.

Przerwanie komunikacji ma zasadniczy wpływ moralny; powoduje brak wiadomości, który działa zawsze demoralizująco na stan głównych kierowników i na wojsko. Gdyby zawczasu było uplanowane działanie przeciw komunikacjom wroga, możnaby było oczekiwać tego, że pierwszy zwrot nieprzyjaciela poszedłby w kierunku zapewnienia sobie łączności wewnętrznej, koniecznej do skoordynowanych działań wojennych. Na to trzebaby było przeznaczyć większe oddziały, a przede wszystkim musianoby zużytkować kawalerię, musianoby sztafety wysyłać całymi oddziałami i można stanowczo stwierdzić, że czas w tym wypadku — rzecz najdroższa dla powstania — byłby tymi walkami, systematycznie prowadzonymi, wygrany. Należało tylko dla tej pracy wojennej wyznaczyć zawczasu pewne oddziały, które otoczyłyby dookoła wszelkie rosyjskie centra wojskowe. Oto czytamy, np., w jednym z pamiętników, że przez dziedziniec pewnego dworu przejeżdżali rosyjscy posłańcy wojskowi z Janowa do Lublina. Takich posłańców było bardzo wielu i nietrudno było ich wyłapać, tym czasem tylko wypadkowo te sztafety wpadały w ręce powstańców.

W zarządzeniach powstaniowych jakiegoś planu w tym kierunku nie widać wcale. I bodaj jedyny z wodzów powstania, wojewoda kaliski, Bronisław Rudzki, już po wybuchu powstania, przy pierwszym swym planie działania w województwie kaliskim, ułożył rodzaj planu izolowania od siebie poszczególnych garnizonów, tak, by im komunikację możliwie utrudnić. Ale plan ten powstał wtedy, gdy już inicjatywa była w rękach wroga, gdy wszelkie kombinacje mogły być przez wroga zniesione, a nie wówczas, kiedy inicjatywa cała spoczywała w rękach polskich i gdy szło przede wszystkim o przedłużenie czasu utrzymania inicjatywy w swoich rękach. Plan ten pękł najzupełniej z tego powodu, że oddziały rosyjskie rozbijały wszelkie tego rodzaju próby.

Punkt ten uważam osobiście za rzecz bardzo ważną i dlatego chciałbym przedstawić trochę wyraźniej tę akcję, którąby w tym wypadku ze strony powstania mogła być prowadzona, i skutki, jakieby ona za sobą pociągnęła.

Gdy na jakimkolwiek trakcie komunikacja staje się niepewną, wtedy okoliczność zmusza do zabezpieczenia tej łączności. Prowadzi do tego albo zwiększenie ochrony, eskortującej daną sztafetę, a więc zwiększenie ilości wojska, zużytego na czynności nie bezpośrednio bojowe, albo też lepsze zabez-

pieczenie punktów, najbardziej zagrożonych. Kiedy wojsko, przeznaczone do bezpośredniej akcji wojennej, jest w ten sposób uszczuplone, łączność będzie mniej szybka, chociaż pewniejsza; w drugim wypadku rozporządzalne siły będą większe, ale bezpieczeństwo komunikacji nie jest w dostatecznej mierze zapewnione. Zmusiłoby to do takiego tarcia wewnętrznego, któreby moment inicjatywy rosyjskiej mogło usunąć na jakiś czas. Uzyskane dni w każdym razie byłyby wygrane.

Wreszcie jedno jeszcze działanie wojenne nadzwyczaj łatwe, nie wymagające większych sił, którego powstańcy powinni byli używać. Tym działaniem są alarmy. O alarmach w pierwszych początkach nie czytamy zupełnie. Później były one, chociaż nieplanowo, czynione. Nastrój zaś nerwowy wojska rosyjskiego po napadach styczniowych był dość silny i alarmy mogły wywołać odpowiednie zmęczenie wojska i niezdolność do orientowania się w sytuacji; odsuwałyby zatem moment inicjatywy na pewien okres czasu. Jako dowód służyć mogą raporty komendanta fortecy brzeskiej, generała Stadena, posłane 17 lutego do Warszawy, z których wynika, iż nie czuł on się dobrze, że czuł się nieco chwiejnie; żałuje on swego ruchu zaczepnego przeciw Białej, musi specjalnie ubezpieczyć się od urojonych napaści powstańców na twierdzę. Naturalnie, że jeżeli ten stan chwiejności i niepewności jest u komendanta, to tem silniejszy będzie wśród żołnierzy. I ten stan właśnie uniemożliwiał na razie przedsięwzięcie jakichkolwiek ruchów zaczepnych.

W samej Warszawie zarządzenia wojskowe były takie, że część garnizonu ustawicznie stała w pogotowiu. Były specjalne zarządzenia alarmowe, któreby wojsko uczyniły zdolnym do odparcia jakiegoś nagłego napadu.

W stanie nerwowym ówczesnego wojska fałszywe alarmy musiały wywołać te skutki, co napady rzeczywiste. Musiałyby one opóźnić chwilę inicjatywy ze strony Rosjan.

Z pierwszych działań powstańczych przypominam sobie jeszcze obraz Kielc, kiedy Czengieremu również wydało się, że go mają zamiar atakować. I oto wojsko całą dobę czeka na napad w ostrym pogotowiu. Nazajutrz po takiej nocy zmęczeni żołnierze nie są zdolni do jakichkolwiek czynności zaczepnych.

Nieco obszerniej zatrzymałem się nad tymi trzema rzeczami, które, zdaniem moim, gdyby były rozplanowane zawczasu, mogły niechybnie opóźnić moment przejścia Rosjan do działań zaczepnych, a jednocześnie, dając wygraną czasu, mogły zmęczyć wojsko rosyjskie.

Co prawda, mimowoli przychodzi mi na myśl zła strona

takiego postępowania, zwłaszcza w miastach, mianowicie wywoływanie drapieżnego wilka z lasu, prowokowanie załóg miejskich, które zdenerwowane mogłyby wywołać rzezie na ulicach miast. Przecież potem, już w czasie walk planowych, w miasteczkach grabieże były na porządku dziennym, a mieścina, z której padły strzały, bywała potem niszczona. Ale z punktu widzenia wojennego takich skrupułów nie ma. Na bezwzględność odpowiedzią musi być tylko bezwzględność. Kto jej nie ma, ten musi przegrać.

Inną stroną ówczesnej sytuacji, zapomnianą przez pierwsze zawiązki armii powstańczej, była ich ochrona. Ochrona jest to jeden z pierwszorzędnych działów pracy wojennej. Żołnierz musi być w chwilach, kiedy nie jest zdatny do boju, ochroniony przez części wojska, gotowe w tej chwili do walki. Czy żołnierz spoczywa, czy zajęty jest czymś nie wojennym, co absorbuje jego siły i uwagę, musi być chroniony przed możliwym zawsze napadem przez oddziały, zdatne natychmiast do boju. Wojsko improwizujące się, które dopiero się organizuje, wymaga ochrony takiej, jaką powinno mieć w czasie snu. W chwili organizacji nie jest ono zdatnym do natychmiastowego boju i w takich chwilach o jego ochronie zapominać nie wolno. Niewątpliwie nie zapomnieliby o niej ludzie wojskowi, jakimi byli Padlewski, Langiewicz i Lewandowski; u wszystkich tych dowódców musiałaby ona wypłynąć, jako prosta i naturalna konieczność, gdyby oni świadomie przystąpili do formowania zawiązków armii. Zapomnienie o ochronie, chociażby z poświęceniem oddziałów ubezpieczających, i to u wszystkich wodzów, świadczy o nieświadomości u nich myśli formowania armii, do czego zostali oni popchnięci jedynie przez instynktowne i przypadkowe szukanie większej siły bojowej.

Wszystkie te, analizowane przeze mnie a zapomniane wówczas, czynności mogłyby dostatecznie spełniać rolę ochrony organizujących się oddziałów, trzebaby tylko pomyśleć o stałej komunikacji pomiędzy poszczególnymi ich częściami, o stałej wymianie rozkazów i raportów, aby ludzie, zajęci organizacją, byli powiadomieni o tem, co się dzieje dookoła nich.

I jeżeli zastanawiam się, gdzie jest właściwe zródło błędu ze strony powstania, skąd pochodzi, że ludzie, skądinąd dzielni, rozsądni i niechybnie znający się na wojnie, zapominali nieraz o tych elementarnych, podstawowych wiadomościach wojennych, to muszę stwierdzić, że jedynym źródłem jest najzupełniejsze niewżycie się w te warunki, w jakich powstanie znaj-

dzie się po wybuchu, najzupełniejsze nieprzedstawienie sobie, czem będzie powstanie po 22 stycznia, najzupełniejsze niezdawanie sobie sprawy z tych warunków, w których wojna będzie toczona. Ta wielka łatwość, z jaką wówczas przechodzono od zera do armii, z jaką przeskakiwano przez ogrom przeszkód, stojących na drodze do wytworzenia armii, oto jest błąd zasadniczy ówczesnego pokolenia i jego przewódców.

Bo że tak lekko przez te trudności przeskakiwano, świadczy najwymowniej łatwość, z jaką rozwiązywano kwestię naczelnego dowództwa za pomocą dyktatury. Mamy już w samym początku wyznaczoną z góry dyktaturę Mierosławskiego, który z Paryża ma dopiero przyjechać; prawdopodobnie przypuszczano, że, zebrawszy wielką armię, będzie mógł sprawować dyktaturę rzeczywistą, a nie operetkową. Mamy potem znów tę łatwość w przyjęciu dyktatury przez Langiewicza; druga dyktatura, gdzie dyktator panuje nad kilkoma morgami lasu, gdzie co najwyżej przenosi się on z jednego lasu do drugiego i panuje na długość swoich kos. Ta dyktatura operetkowa, która tak łatwo w głowach ówczesnych ludzi powstawała, świadczy o tem, że warunki wojny całkiem inaczej sobie wyobrażano, że nie przewidywano tych ciężkich okoliczności, w jakich powstanie znalazło się zaraz po wybuchu.

Na tej kwestii, dość zasadniczej, dość poważnej dla zrozumienia wojny 1863 r., zatrzymam się jeszcze wtedy, gdy przejdziemy do ostatecznych wyników, kiedy postaram się zespolić wszystkie te myśli, jakie wywołują we mnie ówczesne działania. Wskazuję tu tylko na nie, jako na główne źródło tych błędów.

Przejdźmy jednak do faktów, ilustrujących wyżej omówione sprawy.

W dziesięć dni po wybuchu rozpoczyna się inicjatywa ze strony Rosjan. Ze wszystkich centrów wyrusza wojsko, na razie w celu zrobienia poszukiwań, sprawdzenia wiadomości. Są to właściwie oddziały wywiadowcze, które nawet były formowane jako takie. A więc są to oddziały o niewielkiej sile, nieodpowiadającej stanowi garnizonów, jakie istnieją w tym czy innym miejscu; są to oddziały, liczące najwyżej parę kompanij, pół szwadronu jazdy, niekiedy jedną lub dwie armaty.

Niektóre z tych oddziałów spotykają przeciwnika w stanie takiej słabości, że z nim te niewielkie siły mierzyć się mogą, ale nie tylko mierzyć, lecz nawet go zwyciężyć. Oto pierwsze wrażenie, jakie wróg otrzymuje o tej dość przesadnej sile powstania, o której dotąd dochodziły do niego tylko pogłoski. Wszędzie te małe oddziały zmuszają powstańców do odwrotu, gdzie indziej nawet ich zwyciężają.

WYKŁAD ÓSMY
14 maja 1912 r.

Pierwszą czynnością bojową ze strony rosyjskiej, było — jak powiedziałem — wysłanie oddziałów wywiadowczych bardzo nielicznych. Oddział niewielki, liczący 2 do 3 kompanij piechoty, ½ szwadronu kawalerii, kilka armat — oto jakie siły wychodziły zrazu na spotkanie powstania. Wszystkie te pierwsze zetknięcia dały zwycięstwo Rosjanom; plac boju zostawał stale w ich ręku. Jedynie w obozie ojcowskim odniesiono sukces, lecz tam do starcia nawet nie doszło i Rosjanie cofnęli się z powrotem do Miechowa.

Ten zgoła niespodziewany skutek wywiadów nie mógł nie dać Rosjanom przekonania o ich własnej sile; z jednej strony musiał on wpłynąć demoralizująco na stan moralny powstania, z drugiej — podnieść stan moralny wojska moskiewskiego. Odtąd próba inicjatywy rosyjskiej, niedostatecznie odparta przez Polaków, pozostaje najzupełniej niepodzielnie w ręku Rosjan. Ostatnie resztki inicjatywy polskiej są to napady, wykonywane jeszcze przez niektórych dowódców. Te napady są wielką rzadkością, a dowodzą one, że u tych właśnie dowódców idea walki i nadzieja zwycięstwa nie wygasła, że oni moralnie poczuwali się do pewnej siły; to też z wielką przyjemnością je wymienię, tym bardziej, że historia dotychczas je lekceważyła. Taką właśnie akcją zaczepną polską były: Jeziorańskiego napad na Rawę, napad udany, w którym Rawa zostaje zdobyta; napad Kurowskiego na Miechów, choć nieudany, lecz świadczący o tym, że Kurowski miał w sobie rozpęd i chęć utrzymania inicjatywy w swym ręku. Tutaj zwrócę uwagę, że obaj oni w noc styczniową nie brali najzupełniej udziału, że ich duch pewności siebie nie przebył próby ogniowej w noc styczniową. Tym większa zatem zasługa musi być tych, którzy, przeszedłszy próbę, mieli dość siły, by wojnę zaczepną prowadzić.

Do takich wyjątków należą Rogiński i Lewandowski. Po zebraniu wojska w Siemiatyczach Rogiński zdobywa Prużany, idzie dalej w głąb Litwy, zagraża Pińskowi i do końca istnienia swego oddziału na Litwie działa zaczepnie, jako świetny partyzant. Lewandowski, cofając się na Podlasie, również zachowuje się ofenzywnie i wykonywa napad na szańce przedmostowe pod Woskrzenicami, bijąc Rosjan i napędzając strachu dowódcy twierdzy brzeskiej, generałowi Stadenowi.

Pominąwszy jednak te cztery wypadki chęci utrzymania inicjatywy w swym ręku, już nie znajdujemy u Polaków siły

ducha, zdolnego do postawienia na kartę zwycięstwa. Stale widzimy poddawanie się temu, co wróg przedsięweźmie, uleganie jego inicjatywie.

Jak widzimy zatem, owe dziesięć dni, a dla niektórych więcej, ta cała ilość czasu okazała się zupełnie niedostateczną, by wytworzyć odpowiednie siły nie tylko dla zwyciężenia wroga, ale nawet często i dla jego odparcia. Czas ten nie wystarczył również, aby w sobie wytworzyć dosyć pewności siebie, by dalej prowadzić wojnę zaczepną. Już było w tym poczucie słabości, które nie pozwala na zaczepienie nieprzyjaciela; już był brak nadziei w zwycięstwo, który nie pozwala iść naprzód.

Okres tworzenia armii na Podlasiu, w Płockim i na południu pod Langiewiczem, to słabe próby, wyglądające w istocie tak, że nie dawały dowódcom prawa podejmowania inicjatywy. Bo jeżeli przyjrzymy się tym oddziałom pod różnymi względami, to niechybnie przyjdziemy do wniosku, że trzeba było nadzwyczajnej siły woli, by zdobyć się w tych warunkach na inicjatywę.

Największe skupienie było u Langiewicza, który w najwyższym okresie rozwoju liczył nie więcej nad 3.000 ludzi. Lewandowski na Podlasiu w chwili największego skupienia miał dwa tysiące kilkaset. Padlewskiego siły na północy nie dadzą się ściśle określić, gdyż trzymał się on innego systemu: nie skupiał armii w jednym miejscu, lecz organizował oddziały w różnych powiatach. Jednak, o ile przeliczymy całość sił Padlewskiego, to dojdziemy do cyfry trochę większej, niż 3.000. Jeżeli na całej przestrzeni reszty kraju siły polskie określimy na 3.000, to będzie bardzo dużo. Wobec tego ze strony powstania mamy maximum 15.000 ludzi. Jest to siła zbrojna, którą kraj mógł wystawić. Gdyby wiara w ruch zbrojny była większa, to niechybnie i ta siła byłaby znacznie liczebniejsza. Cyfra powyższa świadczy o bardzo niskim poziomie pewności siebie po stronie polskiej.

Jeżeli przejdziemy do uzbrojenia, to wyglądało ono jeszcze gorzej. Skutkiem braku przygotowań ze strony Centralnego Komitetu broń dopiero była w drodze z krajów dalekich. Brakło też amunicji. Wobec tego powstańcy w pierwszym okresie byli uzbrojeni bardzo licho, przeważnie w kosy. Broń palna była bardzo marna, przeważnie myśliwska, i zaledwie do Langiewicza doszły pierwsze transporty sztucerów zagranicznych, nieustępujących broni rosyjskiej.

Temu stanowi uzbrojenia oraz stanowi liczebnemu odpowiadał również stan organizacyjny nadzwyczaj słaby, który

z oddziałów nie wytworzył spoistego, jednolitego organizmu. Mówiłem już o intrygach wewnętrznych. Obok tego w samej organizacji zaufanie wzajemne było bardzo nikłe. Jeżeli weźmiemy pewne jej przejawy, to znajdziemy, np., fakt, że po bitwie grochowiskiej oddział, z powodu braku spoistości, rozsypuje się. Każda praca wojenna w takich warunkach dezorganizowała.

Przejdźmy teraz do analizy liczby sił rosyjskich, wystawionych dla stłumienia powstania. Z liczb, jakimi rozporządzamy, można również wnioskować o względnie słabej potędze strony polskiej. Najwięcej wojska wystawiono dla zwalczenia Langiewicza. Brało ono udział w bitwie grochowiskiej. Są to trzy bataliony, pięć szwadronów i sześć dział. Razem trzy tysiące kilkaset ludzi. W porównaniu do stanu liczebnego wojsk, stojących w Królestwie, mamy na południu największe ich skupienie, które absorbuje jedynie trzydziestą część całej armii. I ta znikoma część armii daje sobie radę z największym skupieniem powstańczym. Co prawda, bitwa grochowiska skończyła się dla Rosjan niepomyślnie, gdyż mimo, że Polacy nie mieli armat, zostali oni, dzięki niedołężności wodzów swych, pobici. Ale jeżeli spojrzymy na to, co się dzieje po bitwie, to znajdziemy z jednej strony armię pobitą, która się skupia i gotuje do nowej akcji zaczepnej, z drugiej zaś strony armię zwycięską, która nazajutrz nie jest zdatna do boju. Nic zatem dziwnego, że nazajutrz pobici Rosjanie doprowadzają do ostatecznego rozproszenia cały zwycięski oddział powstańczy.

Wspomniane tu przeze mnie trzy główne skupienia polskie odpowiadają również poprzedniemu planowi. Większych skupień gdzie indziej, gdzie nie było przygotowań wojennych, i teraz w całym tym okresie nie posiadamy. Próba pewnego rodzaju, wobec przyjazdu Mierosławskiego, była uczyniona na północnym zachodzie Królestwa; wspominam o niej jedynie dlatego, że sam Mierosławski nie może być pominiętym w historii militarnej powstania, bo siła tego skupienia, jak i kilkudniowy okres pobytu Mierosławskiego na terenie Królestwa, nie zasługują najzupełniej na porównanie z tamtymi oddziałami. Jest to raczej jeden z epizodów, których dość było i na innych terenach; jeden z tych epizodów, które nie tylko nie powodują systemów w sytuacji na terenie okolicznym, ale w ogóle nie zostawiają na nim śladu widoczniejszego.

W drugiej połowie marca wszystkie pierwsze przygotowania powstańcze zostają ostatecznie rozbite. Znika Langiewicz ze swoim oddziałem, ginie Lewandowski z oddziałem i giną siły Padlewskiego. Myśl tworzenia większych związków,

która dotąd bezwiednie rodziła się u ludzi, a w której jeszcze tkwiła nadzieja zwycięstwa, myśl ta, w której widzimy jeszcze dalszy rozpęd pierwszego rzutu, zostaje od połowy marca złożona w archiwum. Myśli wojennej dalej w powstaniu nie ma; powstanie przeradza się w manifestację i demonstrację zbrojną, której dzieje są bardzo ciekawe, ale której właściwie wojną nazwać już nie można.

O losach tej demonstracji, o pewnych charakterystycznych jej cechach powiem w następnym wykładzie. Tutaj chcę wyjaśnić, że jeżeli zatrzymałem się tak długo na pierwszym okresie i dążyłem do przykucia uwagi do tych pierwszych prób, to zrobiłem to dlatego, że one jedynie są czemś w rodzaju wojny, one jedynie są nacechowane jakąś nadzieją zwycięstwa, one jedynie są rzeczywistym przeciwstawieniem się sile rządowej; wreszcie dlatego, że wszystkie złe strony, wszystkie wady i słabości w tym właśnie pierwszym okresie mają swój początek i w nim dają się jasno określić. Cała podstawa słabości powstańczej już nie ustąpi i sytuacja powstania nie poprawi się w przyszłości, mimo, że nadeszła większa ilość broni, pomimo, że w dalszych walkach ludzie nabierają doświadczenia, stają się istotnie żołnierzami. Już tej słabości, idącej z pierwszych błędów, powstanie z siebie nie zrzuci.

Dlatego też ten pierwszy okres jest właściwie dla powstania decydujący; można było w nim albo wywalczyć w sobie możliwość prowadzenia dalszej wojny, albo też zginąć. Niewątpliwie można było zdobyć podstawy dla dalszych działań wojennych. Z chwilą, gdy powstanie tego nie uczyniło, sprawa jego pod względem wojennym została przegraną.

To samo się dzieje i dziać będzie z każdą rewolucją. Pierwsze początki jej są decydujące, albowiem podstawą rewolucji jest tylko wiara. Gdzie wiara jest poderwana, tam nie może być mowy o zwycięstwie. Wiara była w początkach powstania; mógł jej nie mieć Padlewski, kiedy szedł ginąć; mogli jej nie mieć poszczególni dowódcy, ale mieli ją wszyscy spiskowi, ona trwała, dając spiskowym możność prowadzenia wojny z nadzieją i myślą zwycięstwa. Z chwilą, kiedy wiara została podcięta, kiedy pierwszy krok wykazał słabość, kiedy wszystkie pierwsze próby dają przewagę nieprzyjacielowi, wyjątkowe tylko wypadki i siła moralna dać mogły podniesienie moralne rewolucji.

Jeżeli zatrzymałem się na tym pierwszym okresie tak długo, zrobiłem to najzupełniej rozmyślnie, gdyż tu była kuźnia tej myśli wojennej, która ma nadal trwać w Polsce. Tu ważyły się losy powstania.

Streszczając pierwszy okres, przypomnieć muszę, co się złożyło na ten nieszczęsny stan powstania, na owo poderwanie wiary i nadziei na zwycięstwo, z powodu wadliwych przygotowań i wadliwego prowadzenia sprawy w jej początkach.

Przede wszystkim więc znajdujemy powstanie militarnie nieprzygotowane. Widzimy dbanie bardzo usilne o rozwój ducha, moralu, nadzwyczaj zaś małą dbałość o to, co jest techniką. Mamy bardzo małe przygotowania pod względem przerabiania materiału ludzkiego, mamy bardzo niewielkie przygotowanie pod względem broni, mamy wreszcie plany, nieoparte na rzeczywistych warunkach. Skutkiem tego stanu z chwilą sprowokowania ruchu zbrojnego przez rząd, do czego każda rewolucja musi być przygotowana, mamy uderzenie polskie nader słabe, nader mało podrywające moralną siłę nieprzyjaciela, a raczej zostawiające ją prawie nietkniętą, mamy uderzenie, niedające wyników, któreby nazwać można było zwycięstwem. Wobec zaś tego, że ówcześni powstańcy wyobrażali sobie wojnę i warunki wojenne całkiem inaczej, niż okazały się one w rzeczywistości, mamy natychmiast po tym słabym uderzeniu powszechną dezorientację, mamy rozchwiane i zepsute nawet te początki organizacji wojennej, które zostały założone w okresie przygotowawczym.

Powstanie zastaje brak myśli kierowniczej nie tylko w Warszawie, jako głównym centrum kraju, lecz i w ośrodkach władzy prowincjonalnej; skutkiem tego myśl wojenna idzie na łaskę losu, rozpryskuje się na tyle kierunków, ilu jest dowódców, przez co do szeregów polskich wkrada się dezorganizacja, która najbardziej osłabia już i tak najsłabszą stronę każdej armii ochotniczej, mianowicie jej spoistość organizacyjną i pewność siebie, zaufanie do dowódców i odwrotnie.

Powstanie ówczesne nie wyobrażało sobie realnie tych warunków wojny rewolucyjnej, w których z konieczności znaleźć się musiało, nie obrachowało ono należycie niezmiernie doniosłego czynnika wojennego, jakim jest rozgospodarowanie się nieprzyjaciela w kraju, przez co nie wzięło w rachubę faktu, że nawet najbardziej powstańcze usposobienie ludności potrzebuje czasu, by wyjść ze stanu niewoli do stanu walki; dzięki tym błędom nie zostały ze strony powstania przygotowane wszelkie sposoby do wygrania możliwie wielkiej ilości czasu w pierwszym okresie. Skutkiem tego zaś, że powstanie po pierwszym uderzeniu miało zbyt mało czasu, wytwarzają się w początkowym okresie tak małe siły, że w walce z równie małymi siłami rosyjskimi uległy one rozdarciu; przez to wiara i nadzieja na możliwość odniesienia zwycięstwa swoimi wła-

snymi siłami znikła, a tym samym rewolucja została w korzeniu swoim poderwana.

Następuje więc drugi okres wojny, który właściwie wojną już nie był. Jest to wojna tylko pod względem technicznym, trudno jednak nazwać wojną działanie, które jedna ze stron prowadzi nie dla zwycięstwa. W tych warunkach, w jakich powstanie istniało, wojna przeradza się w manifestację zbrojną, idzie tu bowiem jedynie o wywarcie wrażenia, o cele postronne, — nie o samą wojnę, lecz o pewną politykę. Więc dla stronnictwa «białych» będzie to manifestacja zbrojna, robiona dlatego, by wywrzeć wrażenie na gabinety zachodniej Europy, by wywołać w ten sposób interwencję zbrojną mocarstw. Jeżeli weźmiemy stronnictwo demokratyczne, tzw. czerwonych, to i w tym stronnictwie powstanie stało się manifestacją, robioną dla tłumów włościańskich, by przygotować je moralnie do walki zbrojnej, zbliżyć i doczekać się owoców tej przemiany w postaci powszechnego poruszenia ludowego.

Mamy więc wojnę, której celem jest trwanie i to trwanie możliwie bez strat. Oto do czego doprowadził system wojny, w którym inicjatywa najzupełniej spoczywa w rękach Rosjan, nigdy nie przechodzi do rąk polskich (jeżeli pominiemy parę zaledwie wypadków ruchu zaczepnego ze strony polskiej); w którym za zwycięstwo uważane będzie jedynie odparcie wroga i szczęśliwe wycofanie oddziału bez rozsypki; w którym bitwy przybiorą charakter bojów ariergardy, kiedy z jednej strony będzie pościg, z drugiej ucieczka.

Oto jest ten nowy okres walki, jako zbrojnej manifestacji, walki, zrodzonej w niewierze, której już zwycięstwo własne nie przyświeca.

O ile zastanowimy się nad taktyką i sposobem walki ze strony Rosjan, to przede wszystkim zwracają uwagę skargi i narzekania na bezwzględność prowadzonej wojny, na okrucieństwa wojenne, popełniane na ludziach bezbronnych. Jest to jednak system wojny, sposób wojowania, którym zawsze muszą się odznaczać wszelkie wojny domowe. Bezwzględność nieprzyjaciela, chęć szybkiego zakończenia wojny, steroryzowanie ludności — oto jest jego racjonalna taktyka. Z punktu widzenia wojennego nie wolno na to narzekać, gdyż zawsze tego spodziewać się należy. To jest sposób wojenny, którym każdy, czy to będzie Rosjanin, czy Anglik, wszędzie i zawsze będzie dusić rewolucję. Sentymentalizm, który gwałtuje o te rabunki, nie jest na miejscu, gdy rozważa się sprawy wojny. Jest to bowiem sposób, za pomocą którego oddziaływa się na stan moralny ludności. Każda rewolucja otoczona jest najroz-

maitszymi przejawami moralnej siły, która stanowi właściwą jej podstawę. I czyż można wymagać od przeciwnika, by on na tę właśnie siłę nie zwrócił uwagi? Bezwzględność stanowi wojenny sposób, skuteczny dla zwalczania rewolucji, i brak jej mógłby zawsze być postawiony jako zarzut złego sposobu wojowania.

WYKŁAD DZIEWIĄTY
15 maja 1912 r.

W zeszłym wykładzie mówiłem o systemie bezwzględności wojennej, jaki był zastosowany przez Rosjan. Ze strony polskiej nie umiano przeciwstawić odpowiedniej bezwzględności. Polacy cofali się przed tą koniecznością wojenną i stąd nawet celowość tej metody musieli Rosjanie rozumieć. Wkrótce po pierwszych wypadkach niszczenia wiosek i miasteczek wyszedł rozkaz Rządu Narodowego, aby dowódcy starali się unikać wszelkich bojów przy miastach i wsiach. Z tego powodu dowódcy nieraz musieli przyjmować bitwy w miejscach nieodpowiednich, często musieli się wycofywać z zajętych już pozycyj, pomimo, że te wsie i miasteczka dawały dogodniejsze pozycje dla silnej obrony. Ta bezwzględność Rosjan byłaby niechybnie słabsza, gdyby Polacy przedstawiali odpowiednio wielką siłę i gdyby swoim cofaniem się nie dawali świadectwa swej słabości. Na wojnie na bezwzględność jedynie odpowiadać można bezwzględnością. Strona wahająca się okaże się zawsze słabszą w działaniach.

Przy analizie taktyki wojennej Rosjan uderza, że przeważnie starali się oni skoncentrować ruch różnych kolumn wojska do pewnego punktu środkowego, w którym przypuszczano istnienie siły polskiej. Ruchy te przedsiębrano na podstawie porozumienia, które świadczy o tym, że komunikacje rosyjskie nie były odpowiednio zagrożone przez siły powstańcze, nie było odpowiedniego przeciwdziałania skombinowanym ruchom rosyjskim. System powyższy należy również do tych, jakie stosować można tylko przeciw słabszemu przeciwnikowi, albowiem każda kolumna z osobna jest słabszą od nieprzyjaciela; siłę znacznie większą dają dopiero wtedy, kiedy są zebrane razem. Wobec tego oddział, poczuwający się do pewnej siły, ma możność wyjścia z takiej pozycji za pomocą bicia poszczególnych kolumn. System ten był w swoim czasie zasadą działania Napoleona, który nim świat cały przeszedł.

Lecz na to zdobyć się można jedynie w poczuciu siły. W poczuciu słabości, jak to bywało u Polaków, ratowano się wymknięciem się z tej sieci. Nie było to znowu tak trudnym i zwykle się udawało.

Ze strony rosyjskiej innego systemu chwytać się nie można było z tego względu, że ludność odmawiała pomocy w służbie wywiadowczej; wprost przeciwnie, nieraz naprowadzała na fałszywe tory oddziały rosyjskie lub odmawiała wyjaśnień. Stąd wojsko musiało chwytać się tych środków. W wojnie angielsko-burskiej np. mamy także kolumny, idące dośrodkowo ku pewnym centrom. Tak samo Burowie, jak w 1863 r. Polacy, względnie łatwo wyślizgiwali się z tych sieci nieprzyjacielskich.

Po tym pierwszym okresie, którego analizie poświęciłem więcej czasu, następuje to, czego, jakby się zdawało, powstanie oczekiwało. Następuje wzrost sił, wzmocnienie stanu ilościowego jakością materiału żołnierskiego, następuje jakby zwiększenie potęgi, którą przedstawia powstanie. Jeszcze zatem trzy tygodnie przetrwania okresu bez rozbicia tych wszystkich usiłowań i próba tworzenia armii dałaby niechybnie wzrost potęgi jej zawiązków w porównaniu z tym, co się stało w początkach marca; tu właśnie widzimy, jak ważną była kwestia czasu, o której poprzednio mówiłem.

Co prawda, przybytek sił nie idzie z tej strony, z której spodziewali się go kierownicy. Zwiększenie to powstaje wskutek przystąpienia do rewolucji stronnictwa umiarkowanego, które, dzięki nadziejom na interwencję mocarstw, schodzi z chwiejnego stanowiska, stając otwarcie po stronie rewolucji. Dzięki temu, że była to warstwa majętniejsza i inteligentna, wzrasta potęga rządu cywilnego, który swoją siecią obejmuje cały kraj, który wszędzie ma swoich przedstawicieli, umiejących nakazać sobie posłuszeństwo, który wreszcie staje się tym rządem, którego ani złapać, ani uchwycić nie można.

Z drugiej strony pomoc przychodzi z Galicji i Poznańskiego, gdzie nadzieje polityczne na interwencję są jeszcze żywsze i gdzie łatwiejszym jest przygotowanie się do walki, niż na terenie Królestwa. Stąd nadchodzi pomoc w ludziach i broni. Odtąd oddziały powstańcze są znacznie lepiej uzbrojone, niż w pierwszym okresie. Już teraz nie będziemy widzieli ogromnej przewagi ludzi nieuzbrojonych, uzbrojenie większości powstańców dorównywa jakością nieprzyjacielowi. Oddziały zaczynają liczyć do połowy uzbrojonych w sztucery i karabiny. W ustawicznej akcji wytwarza się prawdziwe rze-

miosło żołnierskie; ludzie zyskują doświadczenie. Wreszcie zaczyna się dopływ sił fachowych, oficerów armij rosyjskiej, austriackiej i pruskiej; nadto dość znaczny jest przypływ emigracji z zagranicy. Mamy więc warunki, w których powstanie znacznie lepiej czuć się mogło i przedstawiało znacznie większą potęgę.

Lecz powstanie, jak skorupka w młodości nasiąkła, przeniknięte dezorganizacją, kiedy w samych początkach wiara i nadzieja zostały w nim poderwane, nie zdołało się już z konsekwencyj pierwszych swych kroków wyzwolić. Przede wszystkim ogromny brak kierownictwa wojennego pozostaje w całej sile, a nawet jeszcze bardziej daje się odczuć. Warszawa i ośrodki wojewódzkie tego kierownictwa w ręce swoje nie biorą. Istnieje, co prawda, Wydział Wojny, lecz zajmuje się on bardziej załatwianiem spraw bieżących administracyjnych, nominacjami, dostarczaniem broni, amunicji, mundurów etc.; Wydział ten zajmuje się całą kancelarią wojenną, a nie kierownictwem wojny w ścisłym jego znaczeniu.

Kierownictwo to próbują wziąć w swe ręce poszczególni wojewodowie. Jedni chcą zebrać całe siły zbrojne województwa w jednym miejscu, jak np. w Sandomierskim czy Lubelskim. Nie doprowadza to do niczego. Zebranie w jednym miejscu większej siły ściąga natychmiast uwagę wroga, który zmusza zebrane już oddziały do ponownego rozproszenia.

Z drugiej strony nawyczki do anarchii, uważanie oddziału za własność dowódcy, biorą górę, wytwarzając tarcia tak silne, że oddziały, raz zebrane, rozpryskiwały się na tyle części, ile ich było poprzednio.

Wojewoda mazowiecki, pułkownik Callier, organizując swoje województwo, sam na czele oddziału konnego przebiegał województwo, biorąc władzę nad poszczególnymi partiami na pewien czas i wkrótce rzucając je, aby iść gdzie indziej, a jednocześnie osłaniając w ten sposób rozdrobnione swoje siły ruchomymi oddziałami jazdy.

Lecz teraz wszystkie wysiłki pryskają dlatego, że wróg ma inicjatywę i każdy plan rozbija swoim działaniem, któremu przeciwstawić się strona polska nie jest w stanie. Widzimy zatem, jak myśl wojenna zostaje znowu bez kierownictwa, jak wyrabia się w kilkudziesięciu głowach dowódców, pozostawionych samym sobie. I oto myśl ta, jak mówiłem poprzednio, w ogólnym zarysie brzmi: trwać. Jedni będą mówili o przyszłej interwencji zbrojnej mocarstw, inni będą oczekiwać powszechnego powstania ludu. W owym trwaniu system wojny jest narzucony przez tych, którzy mają inicjatywę, któ-

rzy są, że tak powiem, na ręku, mając pierwsze wyjście, — przez Rosję. Do tego systemu walki przystosowują się w różny sposób Polacy. A wobec tego, że każdy oddział czuje się słabym, przeważnie jest to system marszów, system uciekinierstwa, który nuży wojsko, doprowadzając do tego, że każdy oddział w marszach traci od dezercji więcej, niżby stracił w najokrutniejszej walce. Oddziały po miesiącu takiego działania zostają zniszczone nie bojem, lecz nadmiernym trudem.

Mistrzem w tym wypadku niedoścignionym był stary Czachowski, który wytrzymywał w najcięższych warunkach w województwie sandomierskim. Stanowił on ze swoim oddziałem długo jedyną siłę na przestrzeni dwóch województw i na tej przestrzeni odgrywał rolę wilka, pędzonego przez lasy i knieje. Był to bowiem jedyny może wódz, który walczył naprawdę ze znajomością terenu [1]).

Rzadko więc będziemy w tym okresie spotykali boje, przyjęte z premedytacją, z postanowieniem zwycięstwa, boje przygotowane. Wszystkie one noszą cechę przypadkowości, bezmyślności. Nad wszystkim króluje nie siła, lecz ślepy traf. Rzadkie są walki, przyjęte z rozmysłem, i te doprowadzają zawsze do najdłuższych, najkrwawszych starć, które przynoszą zaszczyt młodemu wojsku. Takim np. jest bój pod Ignacewem, przyjęty po długich marszach przez gen. Taczanowskiego. Był to jeden z bojów najkrwawszych w 1863 r. Drugim jest dwukrotny bój, stoczony przez gen. Jeziorańskiego pod Kobylanką, gdzie, dzięki dobrze wybranej pozycji i umiejętnemu zastosowaniu fortyfikacji, dwa razy odparto Rosjan, przy czym raz wzięto nawet ich artylerię. Trzecim jest bój, toczony pod wodzą Józefa Trąmpczyńskiego w Płockim dwa dni przez małą garstkę 200 ludzi przeciw 1500 z czterema armatami, którymi przez dwa dni bombardują stanowiska powstańcze, by potem odejść ze wstydem. Te boje, przyjęte z postanowieniem walczenia, również pozwoliły wprowadzić system fortyfikacji.

Jeżeli rzadkimi były wypadki przyjęcia boju z rozmysłem, to jeszcze rzadszą była decyzja walki zaczepnej, rzucanie się do walki agresywnej. Na tę siłę, na tę odwagę wobec poczucia własnej słabości zdobywali się bardzo nieliczni. Tym przyjemniej mi tutaj oddać cześć ich imieniu. Do takich należeli Ignacy Mystkowski w województwie płockim, który śmiało rzucał się na najsilniejszego wroga, i Zygmunt Chmie-

[1]) O działaniach jego por. studium Stanisława Długosza «Czachowski», Poznań 1914.

liński w województwie sandomierskim, który z zasady szedł naprzód wstępnym bojem; do takich należał i Kruk-Heydenreich, który stoczył słynny bój pod Żyżynem, odnosząc najpełniejsze zwycięstwo w ciągu powstania, zwycięstwo zupełne, zadające oddziałowi rosyjskiemu absolutną klęskę. Inni próbowali niekiedy zaczepnych bojów, napadając na poczty, na magazyny, na patrole, nie prowadzą wszakże bojów w większym stylu.

Najrzadszymi jednak były te walki, które mogłyby dać największe powodzenie, walki, połączone z manewrem oddziałów, złączonych ze sobą jedną myślą, według jednego planu. Do tego poziomu wojny powstańcy z powodu dezorganizacji nie dorośli zupełnie. Nie było komu nakazać tych skomplikowanych manewrów, nie było autorytetu, któryby zmusił oddziały do tego. W każdej chwili wypowiadano posłuszeństwo. Był to zbiór oddziałów, nie mających ufności do siebie. A jednak te rzadkie wypadki koordynacji dawały zawsze piękne rezultaty. Takim np. działaniem są działania wspólne Younga i Ludwika Oborskiego, którzy wspólną akcją, wspólnym manewrem nie tylko rozbili, lecz wyrzucili za granicę państwa dość silny oddział rosyjski. Działo się to na polach Nowej Wsi. Lecz już nazajutrz po tym zwycięstwie oddziały te się rozpryskują z powodu niechęci poddania się pod ogólne kierownictwo, gdyż wodzowie pogodzić się nie byli w stanie. Tak samo bitwa drążdżewska została wygrana przez Trąmpczyńskiego nie jego własnymi siłami, lecz dlatego, że nadeszły na tyły przeciwnika inne oddziały powstańcze.

Jeżeli przebiegniemy historię powstania, to z wyjątkiem tych dwóch bitew oraz pewnych prób bezskutecznych, podejmowanych przez Heydenreicha i Czachowskiego, nie znajdziemy innych tego rodzaju wypadków. Można stąd wnosić, jak daleko sięgała dezorganizacja i jak mocno utrwalił się brak kierownictwa w powstaniu.

Jeżeli idzie o cyfry, to dają one siłę oddziałów już znacznie mniejszych, niż w pierwszym okresie. Zbiorowiska większego zaczątków armii już nie znajdziemy. Siły nawet zlanych oddziałów rzadko dojdą do 2.000, najczęściej są mniejsze niż 1.000.

Uzbrojenie jest znacznie wyższym. Sztucerami i karabinami, zdobytymi na powstańcach, zbrojono w broń palną kozaków. Jeżeli broni nie było pod dostatkiem, to jednak jej nie brakowało w ten sposób, jak w pierwszym okresie. Jeżeli było czego brak, to tylko amunicji i to było nieszczęściem tego

okresu. Trudność dostarczenia dostatecznej ilości amunicji, zabezpieczenia składów, trudność obciążania się taborami zaciążyła bardzo na losach powstania w tym okresie. To też bardzo często spotykamy się z faktem, że oddziały, mając nawet dobrą broń, stawały się bezbronne, zostawały właściwie z pałką w ręku.

A teraz cyfry ogólne: obliczam, że w sierpniu, kiedy siła liczebna powstania stała najwyżej, wynosiła ona 30.000. Na to Rosjanie, zwiększając cyfrę wojska, wystawili mniej więcej 180.000. Mamy więc w porównaniu z niewielką armią polską sześciokrotną przewagę dobrze uzbrojonego wojska, któremu nigdy nic nie brak. I jeżeli się zapytamy, skąd pochodzi to zjawisko, że z tak znikomą siłą ta wielka armia tak długo rady sobie dać nie mogła, to jedynym wytłumaczeniem jest niesłychana moc, jaką wytworzyło powstanie w swojej organizacji cywilnej. Bez osłony, bez opieki tej organizacji, która, jak czuła matka, otaczała każdy oddział ciągłą troską, która poświęcała swoje siły na to, by nad nim czuwać, gdy oddział spoczywa, by mu dostarczyć wiadomości, jedzenia itp., bez tej pomocy powstanie by nie wytrzymało dwóch miesięcy. Tylko ta sprężystość rządu niewidzialnego, nie dającego się pochwycić, mającego tak ogromną powagę moralną wśród wszystkich [1]), ratowała trudną sytuację powstania. Tylko dzięki tej organizacji mogło ono trwać tak długo.

W końcu 1863 r. przychodzi do władzy centralnej — niestety, zbyt późno — człowiek, który swoją potęgą woli, swoją umiejętnością rządzenia potrafił utrzymać powstanie i to przez najtrudniejsze, bo zimowe miesiące. Był to jedyny w powstaniu dyktator faktyczny, która na swoich barkach zdołał je jeszcze przeciągnąć ku wiośnie. Był nim gen. Romuald Traugutt [2]). O jego ostatnich próbach reformy wojennej powiem w następnym wykładzie.

---

[1]) Temu, zgoła wyjątkowemu autorytetowi Rządu Narodowego wśród ogółu ludności, poświęcił Marszałek Piłsudski jeden z piękniejszych swych odczytów publicznych, wygłoszony 20 stycznia 1924 r. w Warszawie, który następnie wydany został p. t. «Rok 1863», Warszawa 1924. (Patrz t. VI).

[2]) Romuald Traugutt (1826—1864), naczelnik Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym. Najwybitniejsza postać powstania, stracony na stokach warszawskiej cytadeli 5. VIII. 1864 r.

WYKŁAD DZIESIĄTY
17 maja 1912 r.

Już z chwilą nastania zimy 1863 r. warunki klimatyczne zmuszały do zmniejszenia rozpędu wojennego, tym więcej, że rozpęd ten stanowczo coraz bardziej z natury swej malał. W październiku przybywa do Warszawy Traugutt, który wziął władzę w swe ręce i swoją nadzwyczajną energią zdołał podtrzymać powstanie aż do wiosny 1864 r. Jego rządy była to jedyna dyktatura realna. On jeden faktycznie panował, stojąc na czele rządu cywilnego w Polsce. Był to zarazem po Padlewskim pierwszy wojskowy, który stał na czele rządu, — wojskowy, który doświadczenie swe zyskał w kilku wojnach, jakie Rosja od 1849 r. wiodła [1]). Nic dziwnego, że musiał on zwrócić uwagę na dezorganizację, jaka się wkradła do całego kierownictwa wojny. To też zaraz po objęciu rządów próbuje reformować stan rzeczy, wprowadzając ład i porządek, z drugiej strony próbuje nadać pewne ogólne kierownictwo wojnie.

W kwestii organizacji stara się on zbudować istniejące oddziały na podstawach armii regularnej. Więc dzieli oddziały na bataliony, szwadrony etc., które oddaje pod komendę oficerom, dzieli całość na korpusy, których tworzy cztery i w ten sposób stara się nadać wojnie trwałą hierarchię, któraby uniemożliwiała oddziaływanie zgubnych czynników dezorganizacji.

Jego próba ożywienia ruchu polegała na tym, że surowo w imieniu Rządu zabraniał rozpuszczać oddziały, zabraniał tzw. uciekinierstwa za granicę, które weszło w krew i życie powstania. Specjalnym dekretem Rządu skazywał na infamię i wyrzucenie oficerów, którzyby tym prawom poddać się nie chcieli.

Wreszcie wprowadził sanację w galicyjskich i poznańskich oddziałach. Oddziały te organizowały się szalenie długo i zostawały stale nad granicą. Skutkiem zbyt długiego okresu organizacji oddziałów samo organizowanie rozkonspirowywało je, tajemnica przechodziła przez kordony, dzięki czemu wojsko rosyjskie mogło być stale w pogotowiu. Traugutt zabronił formowania oddziałów w Galicji i Poznańskim, natomiast nakazał ochotników bezzwłocznie wyprawiać do oddziałów, już konsystujących w Królestwie.

Ta próba utworzenia armii na podstawach już zorgani-

---

[1]) O tym por. Stefana Pomarańskiego «Wojskowa służba Traugutta» w zbiorowej księdze dla uczczenia 25-letniej działalności naukowej prof. Marcelego Handelsmana. Warszawa 1929.

zowanych przyszła stanowczo za późno, kiedy mowy już nie było o tym, aby powstanie mogło odżyć do tego poziomu, jaki niedawno w lecie lub na wiosnę posiadało. Siła moralna narodu została w wielkim stopniu poderwana i nadzieja, optymizm rewolucyjny już zdążył się zmienić w skrajny pesymizm. Dlatego też zaczęło brakować ludzi na wszelkich posterunkach. Rząd cywilny zaczynał odczuwać coraz większe luki, które wciąż wzrastały. Rząd Narodowy zmuszony był brać siły podrzędniejsze, mniej wprawne, aby jako tako na powierzchni się utrzymywać. Jednak niezłomna wola Traugutta nie dawała upaść powstaniu. Ostatnie jego zarządzenia dotyczyły pospolitego ruszenia. Opracowana przezeń instrukcja o powszechnym ruszeniu ludowym odznaczała się bezwzględnością rewolucyjną. Zdecydował się brać rekruta bez względu na to, czy on chciał, czy nie chciał.

Powtarzam, że ta siła woli Traugutta, jego energia i wiedza fachowa nie dały tych rezultatów, jakieby dały w początkach rewolucji. Powstanie chyliło się już nieodzownie ku upadkowi. Znikła siła moralna i cała siła materialna rewolucji zawisła najzupełniej w powietrzu. Widzimy postępujący szybko upadek rządu cywilnego i upadek zaczątków wojny polskiej, jaką toczono w 1863 r. W ten sposób powoli gaśnie i sama demonstracja zbrojna. Jednak dzięki pewnej tężyźnie żołnierskiej, dzięki temu, że walki 1863 r. przeżyli najsilniejsi, najtęższi, najbardziej do sprawy przywiązani, dzięki temu nawet w ostatnich chwilach powstania są boje tęgie, boje silne. Kampania zimowa gen. Bosaka-Haukego przy czynnym udziale pułkownika Chmielińskiego należy do najlepszych w tej wojnie. Daje ona bitwy, które odznaczają się większą wartością militarną, niż poprzednie boje powstania. Jeszcze w lutym 1864 r. jeden z oddziałów Haukego szturmem bierze Opatów; wojsko rosyjskie ponosi duże ofiary, aby ponownie odzyskać to miasto, przy czym zażarta bitwa trwa kilkanaście godzin. Jednak z chwilą upadku bazy rewolucyjnej, jaką była siła moralna, nie ma żadnej nadziei na odżycie powstania z wiosną 1864 r.

Ostatecznym ciosem było aresztowanie 11 kwietnia Traugutta, przez co ostatni Rząd Narodowy zostaje zdezorganizowany. Powstanie w ten sposób upadło.

Jeżeli chciałbym streścić główny błąd myśli wojennej powstania, to powiedziałbym, że błędem tym jest niezdanie sobie sprawy z roli spisku w rewolucji. Mówiłem już o podziale ludzi na zorganizowanych i niezorganizowanych, o tym, że zorganizowanym jest tylko właściwy spisek. W powstaniu

1863 r. mieliśmy zorganizowanych dwadzieścia parę tysięcy, wobec czterech i pół miliona ludności niezorganizowanej. Tym czasem siła ruchu rewolucyjnego nie odpowiada najzupełniej tej nielicznej garstce zorganizowanych ludzi. I oto powstaje iluzja, że istniejąca siła moralna jest znacznie większa od siły, reprezentowanej przez zorganizowanych, że ta siła moralna, rozsiana w otoczeniu, daje się zużytkować materialnie dla celów wojny; że daje się zorganizować jakimś cudownym sposobem dla celów walki, jakby to była już gotowa materialnie siła.

Tę iluzję, ten mylny rachunek bardzo często spotykamy u rewolucjonistów. Rok 1863 pod tym względem nie jest wyjątkiem. Jednak rok ten również dowodzi, że dla celów wojny nie można liczyć na siłę moralną, jako na konkretną wartość materialną. Dla celów wojny należy liczyć na to, co się ma w ręku i odpowiednio do tej siły planować swoje ruchy. Stąd wynikało tak jaskrawe przeliczenie się powstańców co do swoich sił, tak jaskrawa nieumiejętność zdania sobie sprawy z tego, w jakim położeniu znajdzie się powstanie nazajutrz po wybuchu; stąd wynika niechęć do szczegółowego rozplanowania swoich zamierzeń. Jest to poczucie, że się rośnie; czy warto planować coś z tym, co się ma w ręku dziś, kiedy to, co będzie jutro, będzie znacznie większe?

Dlatego też siła zorganizowana, czyli spisek, nie dał tego rezultatu, jaki dać był powinien. Dać zaś powinien był kilka koniecznych elementów: rozplanowanie wybuchu rewolucji, który mógłby być niespodzianką zarówno dla wrogów, jak dla przyjaciół, i w ten sposób dać wygraną w czasie dla przejścia niezorganizowanych ludzi od stanu w sensie wojennym biernego do stanu czynnego. Wreszcie musiał dać ramy, chociażby nieliczne, lecz gęsto w kraju rozsypane, dlatego, by niezorganizowany element miał oparcie dla organizacji.

Bez tego powstanie wybuchło, jak proch rozsypany, nie jak proch nabity; wybuchło bez celu, jak ten proch, eksplodujący w nieokreślonej sile w tym czy innym miejscu, zależnie od przypadkowego rozsypania.

To jest zasadniczy błąd rewolucji, który przyczynił się w wielkim stopniu do tak słabego rozwoju wojennego powstania.

Jeżelibyście państwo zwrócili do mnie pytanie, czy przy wszelkich poprawkach powstanie byłoby zwycięskim, to, sumiennie powiedziawszy, nie mógłbym na pytanie takie odpowiedzieć twierdząco, bowiem warunki polityczne nie upoważniały do optymistycznych pod tym względem przypuszczeń.

Główna podstawa demokratów — rewolucja rosyjska — zupełnie zawiodła; główna podstawa umiarkowanych — interwencja Zachodu — zawiodła również. Siły zaś polskie były tak dysproporcjonalne do rosyjskich, że trudno było nimi doprowadzić do zwycięstwa.

Jeżeli jednak szło mi o tę krytyczną ocenę wypadków i sytuacyj wojennych, to dlatego, że, jak przypuszczam, przy lepszym prowadzeniu wojny, niż w 1863 r., powstanie umarłoby z innymi tradycjami, niż te, jakie synom zostawiło; umarłoby nie tak prawie bezpotomnie, jak skończyło.

Wreszcie pozwólcie na dygresję. Cały czas w swoich wykładach trzymałem wszystko, co jest uczuciem, na uwięzi. Starałem się możliwie obiektywnie przedstawić błędy; starałem się usunąć na bok wszelką sympatię dla tych, którzy walczyli. Lecz w każdym wypadku, gdy z ust moich padało słowo krytyki, stale się obawiałem, że mogę być zaliczony do rzędu tych, którzy tak haniebnie krytykowali to powstanie, a którym poświęciłem słów kilka na wstępie, którzy r. 1863 z pamięci, z serc chcieliby wymazać, a nad całym tym okresem wyryć słowo: zbrodnia.

Wyznaję otwarcie, że rola moja była bardzo trudna. Pocieszałem się tym, iż panowie zechcecie zrozumieć moją intencję, że zechcecie zrozumieć, jak szczerze pragnę zbudować most między teraźniejszym pokoleniem a pokoleniem 1863 r. I sądzę, że gdybym miał przed sobą ludzi z tamtych czasów, to powiedzieliby mi tak, jak ja to sobie nieraz sam mówię: «Zginęliśmy niedarmo i nauka dla was ze śmierci naszej płynąć może».

W PRZEDDZIEŃ REWOLUCJI R. 1905

W dniu 2 lutego 1912 r. Józef Piłsudski wygłosił odczyt w stowarzyszeniu młodzieży akademickiej «Promień», w którym zanalizował ogólne położenie i stan umysłów przed wybuchem rewolucji 1905 r. z pierwszego jej okresu. Streszczenie powyższego odczytu opublikował po raz pierwszy Tadeusz Szpotański w «Kurjerze Porannym» z dn. 19. IV. 1936 r. na podstawie notatek, poczynionych przez Antoninę Szpotańską i zaopatrzył je dłuższym wstępem, w którym pisze:

«Notatki te są bardzo dokładne i wierne. Gdy je przeczytałem, odrazu przypomniałem sobie nie tylko treść odczytu, ale nawet wypowiedziane w nim poszczególne zwroty i wyrażenia.

Józef Piłsudski w odczytach swych i przemówieniach często zabierał głos w ten sposób, że skupiał się koło jednej myśli i co chwila rzucał ją przed słuchacza, powtarzając wielokrotnie te same zdania, zwroty i słowa. To też wrażały się one dobitnie w pamięć i pozostawały w niej trwale. Notatki, o których mowa, mógłbym uzupełnić, niemniej jednak ostrożność w traktowaniu tej sprawy nakazuje mi nie odbiegać od nich, lecz ściśle się ich trzymać. Pozwoliłem sobie jednak na przytoczenie niektórych zwrotów, uwypuklających myśli zawarte w odczycie, o ile jestem pewien, że zwroty te zostały wypowiedziane mniej więcej w sposób, jaki je podaję».

Myśliciele, zastanawiając się nad ruchami rewolucyjnymi, biorą pod uwagę nie tylko okres od chwili samego wybuchu, ale również to wszystko, co wybuch ten poprzedziło. W ten sposób rewolucja w ich ujęciu jest wypadkową stosunków panujących przez długie, długie lata. W takim «uważaniu rzeczy» zahaczają się w dziejach winy i zasługi różnych ludzi; z tego punktu widzenia przedstawia się ona jak «fenomen natury». I ja, mówiąc o rewolucji 1905 r., sięgnę do epoki przedrewolucyjnej. Czynię to jednak tylko po to, aby w niej szukać ziaren, z jakich wyrastała psychologia ludzi rewolucji r. 1905 i wykazać, że psychologia ta w samym zarodku nosiła w sobie późniejszą przegraną.

Znamienną cechą końca XIX stulecia jest przede wszystkim szalenie szybki rozwój techniki oraz konsolidowanie się

państw europejskich w niewzruszone jakoby kolosy, oparte o tę właśnie technikę, o militaryzm. Kolos taki — państwo — wydawał się dla jakichkolwiek grup ludzkich nie do obalenia i sądzono, że tak trwać będzie «po wieki».

W nauce na pierwsze miejsce wysunęła się przyroda, w przyrodzie teoria, którą określę, jako «teorię drobnoustrojów». My, cośmy tę epokę już przeżyli, wiemy, jakim ewenementem dla wszystkich było każde nowe odkrycie, wiemy, jak w mózgi tłoczyła się bezustannie świadomość, że procesy, trwające tysiące lat, wytwarzają pokłady węgla, kruszą kamień, układają nowe formacje, że procesy te nawet z naszych dumnych, ku niebu strzelających turni tatrzańskich uczynią tylko kopulaste wzniesienie. Zapanowała wiara w ewolucję, wiara w długie i stopniowe zmiany w organizmach, wiara w przeciwieństwo rewolucji, — wybuchów, zmieniających wszystko nagle i od razu.

W dziedzinie myśli poza tym wycisnęły swe piętno na myśli europejskiej Niemcy. Wpływ ich pod tym względem był odpowiednikiem potęgi państwowej. Dokonały tego przez socjalizm, którego teoria i taktyka doszła u nich do ostatecznego sformułowania. Wobec ogromu i doskonałości organizmu państwowego zwyciężyła w socjalizmie niemieckim myśl, że jedynie drogą ewolucji, powoli, można dojść do zmiany rzeczy. Odniesione zaś już korzyści przypisywano liczebnej wielkości mas zorganizowanych. W konsekwencji za wyłączny cel usiłowań uznano «uświadamianie i agitację».

Teoria ta, zdrowa do pewnego stopnia w stosunkach niemieckich, nie nadawała się zupełnie do stosunków w państwie rosyjskim, gdzie wszystko wołało o zmianę i to rychłą, gdzie wszystko tej zmiany potrzebowało do życia. A jednak teoria ta najciężej zawisła nad krajami leżącymi na wschód od Niemiec. Socjalizm zachodni w ostatnich czasach odparł ją nawet od siebie. U nas króluje ona dotychczas. Tym czasem zaś agitacja w państwie rosyjskim wymagała sto razy więcej trudu, niż gdzie indziej, nieraz nie było widać rezultatów długoletniej pracy. Do przeświadczenia, że te rezultaty istnieją, dochodziło się tylko drogą myślowej spekulacji. Ten stan rzeczy zrodził specjalne przywiązanie do różnych sposobów i sposobików w działalności rewolucyjnej, do których doszło się z wielkim trudem, które z wielkim wysiłkiem stosowano, i od których wobec tego odejść się nie chciało nawet wówczas, gdy w dobie rewolucyjnej okoliczności uległy zupełnej zmianie.

U nas ten duch czasu, przekonanie o niepokonanej potędze państwa, ewolucyjne pojmowanie dziejów, jako nieomal

mechaniczny rozwój, niewiara w czyn bezpośredni i silny, nieufność w siebie, wzmocnione zostały jeszcze przez tę specjalną niewiarę, jaka zapanowała po r. 1863. W cieniu wychowały się nasze dusze, w cieniu, jaki zawsze rzuca klęska i o zorzy nie marzyły one nawet. Nie umieliśmy odczuwać życia bezpośrednio. Nie przychodziło nam na myśl, że przyjdzie taka chwila, że przyjdą takie wypadki, w których trzeba będzie coś zrobić, czegoś dokonać. W wojnę nie wierzył żaden rozsądny człowiek! Jeszcze wojna kolonialna, gdzieś w Afryce, wojna celna... być może. Lecz wojna w Europie, między europejskimi państwami, wojna, która może na bycie tych państw zaważyć!... O tym nikt nie myślał. Nikt też więc nie myślał o przygotowaniu się do tej chwili.

Jeżeli mam być szczery i odpowiedzieć na postawione sobie pytania, czy kto z nas kiedykolwiek wyobrażał sobie, czy i co poza uświadamianiem i agitacją przyjdzie nam kiedyś zrobić, to muszę powiedzieć, że kwestia ta dla nas nie istniała, że o tym nie myśleliśmy wcale. Jeżeli zaś nawet ktoś zadał niewczesne pytanie, jakimi środkami dojdziemy do swych celów, to wszyscy odczuwali niestosowność takiego postawienia sprawy, wymigiwali się od odpowiedzi lub zadawalniali się przerzucaniem rozwiązania zagadnienia na najróżnorodniejsze czynniki. Mówiliśmy więc, że oświecona Europa nie zniesie wśród siebie takiego potwora reakcji, jakim jest Rosja: jednocześnie zaś znowu składaliśmy wszystko na barki ruchu ludowego w Rosji; czasem mówiliśmy o możliwości jakichś wypadków i wojen, w które zresztą nikt z nas ani trochę nie wierzył.

Tym czasem rzeczywistość zapukała do drzwi naszych. Przyszła wojna japońska. Cóż wtedy czynimy, co czyni partia nasza? Redaktor jednego z pism partyjnych umieścił «zasadniczy» artykuł, w którym dowodził, że wojna dotyka tylko burżuazję, że «lud roboczy» nie ma z niej żadnej korzyści, że wojna ta nic ją nie obchodzi. Nie było w Polsce człowieka, któryby nie modlił się, aby ci Japończycy, choćby od diabła zesłani, odnieśli zwycięstwo. Niech piorą, niech piorą Moskali przeklętych! — było powszechnym życzeniem. Nadeszła chwila upragnionego wyzwolenia. Wiary nam jednak brakło, że pragnienie to może się ziścić. Aż tu przychodzą wieści o zwycięstwach Japończyków, o klęskach rosyjskich. Coś słychać, coś tam w głębi Rosji rusza się i budzi, coś się tam dzieje. Cóż my wtedy? My drżymy, obawiając się mobilizacji w Królestwie. Na myśl nam jednak nie przyjdzie, aby coś robić, aby się przygotowywać do wystąpienia, do czynu. Ma się lać krew

naszych braci, lać się za sprawę nie naszą, na korzyść naszego wroga, my w tej sytuacji robimy tylko groźne miny i gesty.

— Nie śmiejcie nas mobilizować, gdyż może się stać nie wiadomo co! Jednocześnie byliśmy głęboko przekonani, że nic, nic się nie stanie. Na konferencji partyjnej tylko dwóch ludzi było za tym, aby mobilizacja zafarbowała się krwią, aby jej opór stawić![1]) Reszta była temu przeciwna.

Wypadki idą dalej. Rewolucja stuka do drzwi naszych. Oto jestem — woła. Wali w bramy naszego więzienia. Na rzucone wezwania stanęło tysiące ludzi, stwierdzając swą chęć do walki. Ziściło się dawne pragnienie demokracji. Przyszła chwila, w przyjście której nikt naprawdę nie wierzył, o której tylko marzono. Spełniło się hasło, dotychczas nigdy nie traktowane realnie. Wybuchł strajk powszechny[2]). Masa, o przygotowaniu której do walki w rzeczywistości nikt poważnie nie myślał, której nikt do czynu nie przygotowywał, stanęła w gotowości bojowej. Z mas wyrasta żądanie: dajcie nam broń w rękę! Wszystkich myśli zwrócone są ku partii, która w powszechnym przekonaniu ma potęgę, na której wezwanie stają tysiące. Wszyscy się o nią dopytują, wszyscy jej szukają. Cóż partia ta czyni w takiej chwili?

Tu w Krakowie, w czerwcu r. 1905, odbył się «sejm partyjny»[3]). Brała w nim udział nie tylko «lewica», ale wszyscy działacze z P. P. S. zarówno z «lewicy», jak i z «prawicy» późniejszej. I nad czym radzili w takiej chwili mężowie, którym potęga gwałtem pchała się w ręce? Oto rozmyślano nad tym, że do takiej a takiej miejscowości nie przesłano dostatecznej ilości broszurek, zastanawiano się nad tym, czy tam a tam nie warto osadzić agitatora. Zaprawdę — tak było. W czyn bezpośredni, w czyn siły nikt nie wierzył. Radowano się i cieszono, że powstały lepsze warunki dla agitacji.

Nie jestem za terorem. Teror to broń słabych. Widzę w nim niewiarę. Wówczas jednak nie chciano nawet teroru. Nie wierzono, by teror mógł być stosowany systematycznie, jako broń stała. Gdy zaś nareszcie powstała funkcja siły fizycznej, usiłowano zakreślić dla niej jak najciaśniejsze granice. Akcję bojową mierzono wymiarami swej duszy. Zabi-

[1]) Mowa o mobilizacji zapasowych roczników, zarządzonej przez Rosję na obszarze południowej i północno-zachodniej części Królestwa Polskiego w październiku 1904 r.

[2]) Mowa o strajku powszechnym, zorganizowanym przez Polską Partię Socjalistyczną w ostatnich dniach stycznia 1905 r.

[3]) Konferencja partyjna zwołana przez P. P. S. w Krakowie i Zakopanem.

cie szpicla oceniane było, jako czyn heroiczny; wystąpienie jakiejś małej grupki bojowej wzbudzało niesłychany efekt, przyśpieszało bicie serca. Na ogół zaś żal było ludziom odchodzić od dawnej agitacji, w której się czuli pewni siebie.

To też bez wiary, z poczucia obowiązku wydano w grudniu r. 1905 odezwę, wzywającą do powstania zbrojnego [1]). Wydano ją tylko dlatego, że w tym samym dniu taka sama odezwa wydana została w Rosji. Odpowiedzią na ten apel było głuche milczenie. Odezwę przyjęto jako żart niesmaczny. W społeczeństwie powszechnie panowała ta sama co w naszej partii niewiara w czyn siły, panowała pośredniość w stosunku do życia.

Chociaż więc jestem, panowie, zwolennikiem określonej partii politycznej, jednak właśnie tej partii przypisuję winę upadku rewolucji. Na nią składam tę winę, jeśli być może mowa o winie. Bo w gruncie rzeczy czyż mogli być winni ci ludzie, których rewolucja wyniosła? Czyż może być mowa o winie chorągiewki, że obraca się tak, jak wiatr nią miota? O winie ludzi pozorów, którzy byli, jak piana na powierzchni morza. — *W tym miejscu Piłsudski, jak zaznaczają notatki, wspominając z «szaloną pogardą» o tzw. lewicy, mówi dalej z ironią:*

— Ich winą być mogło chyba to tylko, że mimo wszystko zbyt gwałtownie zbagatelizowali słabość i niewiarę społeczeństwa i że zaszli w tym, trochę nieostrożnie, za daleko.

Często myślą sięgam w te czasy rewolucji, w chwile wówczas przeżyte. Wówczas cisną mi się do głowy porównania. Nasuwa mi się porównanie pomiędzy partią a człowiekiem, który się znalazł na szczycie wysokiej góry. Nie wie on, co tam z sobą począć. I morskiej choroby trochę się boi i chciałby już znaleźć się wśród nizin, wśród których wyrósł, a tym czasem nie wie, jak zejść, i wstyd mu, że nie wie, jak nogą stąpnąć. A także nasuwa mi się porównanie z człowiekiem, który przestał wierzyć w egzamin. W głębi duszy zdaje sobie sprawę, że egzamin go nie minie, że trzeba coś dla niego zrobić, że trzeba się z niego wyplątać. Przypomnienie o egzaminie go dręczy i zdaje sobie z tego sprawę, że go nie zda, że nic z tego nie będzie.

Myśmy egzaminu nie zdali. Wy, młodzi, własnymi oczyma oglądaliście zorzę. Wierzycie więc w Świt. Może kiedyś za nas egzamin ten zdacie, czynu się nie ustraszycie.

---

[1]) Rezultatem ogłoszenia grudniowej odezwy P. P. S. było tylko ogłoszenie «republiki ostrowieckiej».

LIST DO STANISŁAWA WITKIEWICZA

List poniższy, zamieszczony w książce Marii Witkiewiczówny, nie został przez Piłsudskiego zaopatrzony w datę roku. Że jest on pisany w r. 1912, wynika z treści, zwłaszcza ze zdania, w którym Piłsudski pisze, iż pracuje obecnie nad r. 1863, co potrzebne mu jest do wykładów, które prowadzi. Ponieważ od lutego do 17. V. Piłsudski wykłada «Zarys historii militarnej powstania styczniowego» — datę listu należy odnieść do tego czasu.

Kraków, 7/V. Szlak 25. I p.

Kochany Wujaszku!

Jest dużo egoizmu w każdym człowieku, a więc i we mnie. Wobec tego, żem od czasu do czasu to od Bronisia, to od innych o Kochanym Panu, Panie Stanisławie, wiedział, nie starałem się przezwyciężyć mego piórowstrętu i bezpośrednio z Wujaszkiem korespondencji nie zawiązywałem. Wiedziałem o Panu, nie miałem powodu do niepokoju, no i jakoś szło. Nieraz przychodziło mi do głowy, że jednak postępuję nie zanadto pięknie, gdy tym swoim postępowaniem pozwalam być może zagościć choć na chwilę w umyśle Drogiego Pana przykrej prawdopodobnie myśli, że w tym rozgwarze zajęć i interesów, który mię otacza, nie ma miejsca na myśl o Panu, który mi tyle serca, współczucia i serdeczności okazał.

Tak nie jest, drogi panie Stanisławie, i jedynym powodem, dla którego tak rzadko daję znak życia, jest moje horendalne lenistwo do pióra, lenistwo, które mi przeszkadza ogromnie we wszystkich moich pracach, a którego jednak zwalczyć nie jestem w stanie.

Proszę przyjąć, drogi Wujaszku, powinszowanie w dzień Jego Imienin i najserdeczniejsze życzenia przede wszystkim zdrowia, bo ze zdrowiem musi przyjść i to, co niespożyta energia Wujaszka i jego talent dać może i da ludziom.

Co do mnie, to poza pracami zwykłymi, siedzę obecnie w roku 1863 po same uszy. Potrzebne mi do wykładów, które prowadzę, a i do wypracowywanej przeze mnie teorii rewolucji rozumianej praktycznie, daje mi materiał i dane...

Ale to takie nieznośne — mieć kilka różnych, niejednolitych interesów na głowie i ten proces przechodzenia od jednej pracy do drugiej jest dla mnie niesłychanie męczący.

Nie mam w tym wprawy i brak mi do tego systematyczności, której w swym charakterze nie mam.

Osobliwie gdy się zdarza, że w tym samym okresie czasu zejdą się spieszne prace w różnych kierunkach, jestem tak

wściekły, że potem muszę odpocząć kilka dni, nie ruszając żadnej z nich. Ze zdrowiem jest mi jako tako. Ten rok jakoś przetrzymałem bez żadnych chorób bardziej serio. Lecz z domu choroba nie wyłazi. Teraz żona mi ustawicznie kwęka. Miała ropne zapalenie gruczołów, przeszła ciężką operację i dotąd w zupełności nie przyszła do siebie.

Zostawiam miejsce dla niej [1]) i prosząc Wujaszka, by zechciał złożyć pani Dembowskiej wyrazy głębokiego szacunku i ucałowanie rączek, proszę raz jeszcze, by wujaszek w swym sercu zostawił dla marnotrawnego, ale szczerze przywiązanego siostrzeńca trochę miejsca i pamięci.

Serdeczne uściśnienie proszę przyjąć

J. Piłsudski.

O REWOLUCJI 1905 ROKU

Odczyt «O rewolucji 1905 roku» wygłosił Józef Piłsudski w «Promieniu» w dniu 11. V. 1912, prawdopodobnie jako dalszy ciąg odczytu z dnia 2. II. tegoż roku, w którym zanalizował położenie w przeddzień rewolucji. Odczyt poniżej zamieszczony po raz pierwszy został ogłoszony przez Wł. Pobóg-Malinowskiego w «Wiadomościach Literackich» z dnia 13. IX. 1931 r. według stenograficznych notatek, dokonanych przez Juliana Stachiewicza.

Zajmę się rewolucją 1905 r. dlatego, że zjawiska jej są dla nas bardzo bliskie i że dotąd wywołują w umysłach różne poglądy i ich starcia. Do tych starć chcę dodać i swój pogląd.

Zjawiska rewolucyjne rozpatruję jako wojnę najzupełniej swoistą; podlegają one pewnym najogólniejszym prawom wojny. Jest to wojna o władzę. W wojnie działają dwa czynniki: czynnik moralny i techniczny. Co do każdego z nich muszę zrobić zastrzeżenie. Czynniki moralne — to przekonanie o słuszności swojej sprawy, przekonanie o przewadze nad przeciwnikiem itp. Nazwę to czynnikami psychicznymi.

Czynniki techniczne — to nie tylko technika broni, lecz i cała administracja, cały zarząd, który siły zbrojne uposaża.

Napoleon twierdził, że powodzenie przede wszystkim zależy od czynników moralnych.

---

[1]) W liście.

Jeżeli te ogólne pojęcia przerzucimy do rewolucji, przekonamy się, że czynnikami moralnymi oprócz zaufania do sił własnych są przede wszystkim namiętności ludzkie.

Technika w rewolucji, osobliwie w jej początkach, odgrywa bardzo nieznaczną rolę. Do techniki tej należy przede wszystkim sprawność organizacji rewolucyjnej. Jedynym przedstawicielem techniki jest to, co jest zorganizowane.

Jeżeli wnikniemy w warunki zaboru rosyjskiego, łatwo spostrzeżemy, że technika ta musi być z konieczności bardzo mała, albowiem sama organizacja jest nadzwyczaj utrudniona, a przewaga elementu niezorganizowanego jest tak ogromna, że nie pozwala nawet na jakiekolwiek porównanie z innymi narodami.

W r. 1905 przedstawicielem początkowym ruchu rewolucyjnego była Polska Partia Socjalistyczna. Całe społeczeństwo do ruchu rewolucyjnego nie było skłonne. Przed r. 1905 organizacja ta była najsilniejsza z wszystkich istniejących organizacyj w społeczeństwie polskim. Siła ta jednak była znikomo mała. Zorganizowanych ludzi było w partii nie więcej jak tysiąc. Ponadto ta przedstawicielka ruchu rewolucyjnego o rewolucji nie myślała, i to z konieczności oddziałać musiało na ten charakter zjawiska, że czynnik techniczny stale szedł w tyle poza zjawiskami natury moralnej, że czynniki moralne zawsze go wyprzedzały.

Jeżeli zanalizujemy same czynniki organizacyj rewolucyjnych w okresie przedrewolucyjnym, zobaczymy jeszcze większe zmniejszenie jej potęgi technicznej. Czym się w tym okresie zajmowały organizacje? Zajmowały się agitacją. wmocnieniem czynnika psychicznego, i do tej pracy były przystosowane. Aby zatem odpowiednio oddziaływać na umysły, musiały być w dole możliwie nieokreślone. W dole znikała organizacja, zatem i zdatność do jakichkolwiek czynności faktycznych. Z tego tysiąca zatem należałoby odrzucić więcej niż trzy czwarte na rzeczy nieważkie. Zostaje więc na ogromny naród dla czynnika technicznego kilkuset ludzi. Oto stan organizacji, z którym mieliśmy do czynienia, gdy zaczynały się warunki rewolucyjne. Dodać trzeba, iż wyczuwało się, że pewne moralne panowanie istnieje dla organizacji rewolucyjnej nad znacznie szerszą sferą, niż miała w ręku, ale już panowanie nad tym czynnikiem przechodziło wszelkie możliwości techniczne, jakie partia posiadała.

Z chwilą, kiedy wybuchła wojna [1]), która otwiera okres

[1]) Mowa o wojnie rosyjsko-japońskiej 1904—1905 r.

rewolucyjny, następuje stosunkowo szybki narost czynnika moralnego. Pierwsze starania ze strony przedstawicielki ruchu rewolucyjnego dążyły w kierunku zwiększenia działu technicznego. Zastrzegam przy tym raz jeszcze, że nie mam tu na myśli jedynie broni. Mam na myśli wszystko to, co jest organiczne, co stanowi o rządzie, o możliwości przeprowadzenia pewnych materialnych rzeczy. W tym kierunku poszły pierwsze usiłowania Polskiej Partii Socjalistycznej — w kierunku wzmocnienia aparatu technicznego. Te próby jednak dały zjawisko, którego należało się spodziewać, gdyby współcześni kierownicy nie byli na tyle naiwni, by nie wiedzieć, że trzeba materiał przerobić. Ten element, którym partia rozporządza, nie jest nigdy rozporządzalny i obliczalny. I oto te próby musiały postawić zagadnienie, jak dalej postępować; zaczynają się ścierać dwa prądy w partii, które możnaby było nazwać prądami patriotów z jednej strony — technicznego, z drugiej duchowego kierunku. Jeden z nich twierdził, że trzeba iść w kierunku wzmocnienia obliczalności sił, w kierunku zwiększenia możliwości technicznych dla pracy organizowania. Kierunek drugi twierdził, że dotąd podstawa moralna jest zanadto słaba, i dlatego przede wszystkim w tym kierunku należy oddziaływać na te sfery, na które ruch rewolucyjny jest w stanie oddziaływać. Te pierwsze starcia nie dały rezultatu. Dały jedynie pewien zarys sporów, które później się rozwinęły. Rzeczy poszły drogą utartą, drogą wzmocnienia lub przerobienia czynnika psychicznego rewolucji. Następne próby w tym kierunku zostały poczynione wtedy, kiedy już element moralny narastał w bardzo szybkim tempie, kiedy ten element moralny w wielu wypadkach wydawał się doprowadzony do punktu wrzenia. Wówczas zwracali się do mnie ludzie z różnymi szalonymi planami. Ale sprawność techniczna była w organizacji tak słaba i tak niewielka, że niesposób było ośmielić się podejmować jakiekolwiek techniczne zadania.

W tych warunkach następuje mobilizacja [1]). Wielkimi wysiłkami wywalczono próby demonstracyj przeciw mobilizacji. Dotąd czynnik psychiczny był w tak zwartej większości, że wszelkie próby technicznego opanowywania zjawisk rewolucyjnych zdawały się nie do ujęcia. Następuje strajk powszechny w styczniu [2]). Wypadek ten był również niespodziany i dał niespodziewane zjawisko. Nigdy nikt nie przy-

[1]) Mowa o zarządzeniu mobilizacji w Król. Polskim. Por. przypis na str. 145.

[2]) 1905 r.

puszczał, nawet najwięksi optymiści, aby na jedno wezwanie partii mogły stanąć setki tysięcy ludzi. Ta siła moralna partii wykazała się w tak nadzwyczajny sposób, ogół wykazał takie zaufanie do kierownictwa rewolucji, że zdawało się, iż mowy być nie może o tym, aby partia nie poszła w kierunku wzmocnienia czynnika technicznego. Zdawało się, że to, co stanowi bazę namiętnościową, zostało już osiągnięte i zdawało się, że nad tą bazą uczuciową nie ma po co pracować, albowiem jest już ona dana. Jednak prąd wzmacniania bazy uczuciowej był tak potężny i silny, że w tym wypadku doprowadził do ostrego starcia między przedstawicielami czynnika technicznego a czynnika uczuciowego. W tej samej chwili ogromne braki techniczne natychmiast obniżają polot ideologii.

Od tego wielkiego triumfu datuje się okres rewolucji, w którym czynnik moralny zaczyna opadać. W tym właśnie okresie zachodzą dość dziwne zjawiska. Wszystkie organizacje polityczne w Polsce obcinają swoje dążenia polityczne. Wszystkie one zmniejszają żądania, wszystkie stają się mniej rewolucyjne. Spostrzegamy to zjawisko nie tylko w P. P. S., lecz i we wszystkich innych partiach. Być może, że jedyna najbardziej wsteczna organizacja — ugodowa — podniosła swoje żądania. Wszystkie inne organizacje, dzięki niesprawności techniki, oddziaływały tak, że czynnik moralny wszędzie opada. Mamy jednak dalszy wzrost liczbowy ruchu rewolucyjnego. Mamy dalsze podniesienie się fali, chociaż ten wzrost nie jest już wzrostem jakościowym. Już jakość od końca 1905 r. zaczyna się obniżać.

Następnym zjawiskiem jest strajk powszechny przed konstytucją, który ogarnął całe państwo rosyjskie [1]). I tu spostrzegamy znowu jedną, stale powtarzającą się, cechę charakterystyczną, to, co nazywamy «współżyciem władz». Władze organizacyjne nie ośmielają się powiedzieć swego ostatniego słowa, nie ośmielają się powalić przeciwnika, kontentują się najzupełniej współżyciem. U nas bodaj najsilniej objawia się to tam, gdzie władze rewolucyjne najwięcej mogły: takim zakątkiem kraju było Zagłębie. Tutaj to współżycie dochodziło do umów między jedną a drugą władzą; władze rewolucyjne nie ośmielają się i tu powiedzieć swego ostatniego słowa i przeciwnika zrzucić. Nie ośmieliły się wystawić tego, co jest jedynym celem rewolucji: — nowej władzy. W Rosji to współży-

[1]) Mowa o strajku powszechnym w październiku 1905 r., wywołanym przez manifest rządu rosyjskiego z dnia 30. X. 1905, zapowiadającym wprowadzenie w Rosji ustroju konstytucyjnego.

cie władz dochodziło do tego, że władze wojskowe wchodziły w umowy z rewolucją co do sposobu przewożenia rezerwistów. W niektórych punktach doprowadzono do starcia w postaci zaczepnego ruchu ze strony rządu. Na zaczepny ruch ze strony rewolucji nigdzie się nie zdobyto. Świadczy to o niesprawności i nieumiejętności technicznej.

Są to ostatnie, najwyższe wzloty rewolucji, najwyższe liczbowo: bo jakościowo pod wpływem braków technicznych rewolucja już poprzednio zaczynała upadać. Teraz te szalone braki techniczne, szaloną niesprawność zaczynają rozumieć najbardziej zapamiętali przeciwnicy czynnika technicznego; zaczynają oni wołać o sprawniejszą technikę. I od tego okresu zaczyna technika wzrastać — już po doprowadzeniu do pewnego obniżenia elementu moralnego.

I oto przechodzimy do następnego objawu braku sił faktycznych, do grudniowego strajku powszechnego [1]) i do ogłoszenia rewolucji. Zobaczymy, jak się to odbywa w Polsce. Tutaj cały kraj od początku do końca na to wezwanie nie odpowiedział; cały kraj wykazał nieufność do sprawności i umiejętności technicznej tej organizacji, która dotąd ruch prowadziła. Jedyny zakątek kraju, który na to odpowiedział, była republika ostrowiecka, zakątek, składający się z trzech powiatów: sandomierskiego, opatowskiego i iłżeckiego. Tutaj w istocie zrzucają istniejące władze i ustanawiają władze nowe, rozstrząsające najróżniejsze sprawy, urządzające się tak, jakby tu miały zostać. I tutaj następuje pierwsze starcie z tą stroną czynnika technicznego, który jest najtrudniejszy, — czynnikiem wojska. To też wystarczyło jednego pułku gwardii, aby tę rewolucję zgnieść.

Rewolucja moskiewska zostaje zgnieciona, rewolucja na południu Rosji też — w całym państwie następuje okres ostrego starcia. To, co czynnik moralny miał do zrobienia — już zrobił; wszelkie zachwianie władzy, wszelkie zmiany w składzie duszy rządzącej sfery przez czynnik moralny zostały dokonane. Czynnik moralny nie miał już nic do czynienia; czynnik techniczny wystąpił na jaw z obu stron.

W tym okresie czynnik techniczny — rzeczywiście — we wszystkich organizacjach bardzo szybko wzrasta; wzrasta czy to w postaci większej sprawności, większej umiejętności zarządzania różnymi sprawami, czy to w postaci zadowalania różnych potrzeb ludności, czy wreszcie w postaci zbrojnej walki z rządem. Wszędzie ta technika narasta. Lecz dzieje

[1]) 1905 r.

się to wtedy, gdy rząd przestał się już obawiać czynnika moralnego i przestał się przed nim cofać, kiedy czynnika technicznego nie może już zastąpić czynnik moralny. Przeklęte opóźnienie nie daje już teraz spokoju rewolucji. Rząd stara się dać sobie radę z obu czynnikami, bierze inicjatywę w swoje ręce.

Jeżeli przejdziemy do samej myśli, którą kierowano się przy budowie czynnika technicznego, zobaczymy tu dwa prądy: jeden, który dąży do tego, aby czynnik techniczny organizacji rozwinąć tak, by mógł wchłonąć wszystko, co w kraju jest zdatne do walki; jest to dążenie w kierunku wytworzenia kadrów rewolucyjnych. Drugi kierunek dąży jedynie do zadowalania podniecenia rewolucyjnego, jakie istnieje; nie ogarnia on dalszych prospektów rewolucji, zadowala jedynie natychmiastowe jej pożądania, do których ruch rewolucyjny dorósł, które wydawały się ruchowi rewolucyjnemu wielkimi: takim poziomem były drobne, utarczkowe walki. Na rzeczy większe, graniczące z walką o zwycięstwo, ruch rewolucyjny w całym państwie, z wyjątkiem jednej chwili w Moskwie, nie dorósł.

Kierunek drugi zostaje zwycięski — i oto w całym państwie mamy mnóstwo utarczek, do zwycięstw nie prowadzących, nie dających rewolucji ani żyć, ani umierać. Cyfrowo utarczki — według urzędowych sprawozdań — przedstawiają się jak następuje: w Zagłębiu i Częstochowie w trzech powiatach w ciągu 1905—1907 r. dokonano trzystu czterdziestu kilku najrozmaitszych działań zbrojnych. Zatem jeden wypadek na trzy dni. Można sobie wyobrazić, jak taki stan musiał wpływać deprymująco na rząd i jak zarazem — podtrzymywał stan rewolucyjny.

Pod osłoną bronków [1]) i bomb konstytucja była uznana. Działo się to w całym państwie rosyjskim. W całym państwie konstytucja mogła istnieć jedynie pod osłoną tych działań. Niesposób tu mówić o różnych drobnych objawach tej konstytucji, polegających na tym, że np. w Zagłębiu policja doskonale znała przedstawicieli rewolucji, albo że w Radomskim przedstawiciele rządu zupełnie byli zdemoralizowani, żandarmi bali się wychodzić na ulicę, a czynności rządu były wykonywane jedynie za pomocą bagnetów. Są to wszystko fakty, świadczące o utrzymaniu stanu rewolucyjnego, mimo, że właściwie dawno już przegrano, i według których możnaby ocenić dostatecznie siłę i potęgę sprawnego czynnika technicznego

[1]) Browningów — pistoletów systemu Browning.

i osądzić, jak wielkim błędem było, że rewolucja nad aparatem technicznym nie pracowała i jak najprawdopodobniej to właśnie stało się powodem przegranej rewolucji.

Tu widzimy jednakowy poziom czynnika technicznego i moralnego. Tu dochodzą one do równowagi. Czynnik moralny zadowalał się niewielkimi zdobyczami, tak samo w czynniku technicznym widzimy zadowalanie się małą sprawnością i potęgą. W najszczęśliwszych czasach siła zbrojna wynosiła dwa do dwóch i pół tysięcy zbrojnych ludzi. Jeżeli chodzi o cyfry w bojach, to największym skupieniem ludzi do boju było trzydzieści sześć osób [1]). Te cyfry, tak skromne, świadczą o dwóch rzeczach: o niskim poziomie sprawności technicznej i już bardzo niskim poziomie czynnika moralnego, który nie jest w stanie wydobyć z siebie większych cyfr. Ten stan równowagi powoli doprowadza do odpowiedniego opadania sprawności technicznej, zanim nie doprowadził do najzupełniejszego upadku rewolucji.

Jeżeli się nad tym wszystkim zostanowimy, dojdziemy do jednej niechybnej prawdy — że czynnik moralny każdego ruchu rewolucyjnego narasta nadzwyczaj szybko, będąc zawczasu przygotowany przez głębokie oddziaływanie najróżniejszych przyczyn natury społecznej, politycznej i przez poprzednią stałą pracę stronnictw i kierunków rewolucyjnych. Natomiast czynnik techniczny w czasach przedrewolucyjnych sprowadzony jest do zera i nie ma tej elastyczności, jaką posiada czynnik moralny. Zatem w zwykłych warunkach należy oczekiwać opóźnienia się czynnika organizacyjnego w porównaniu z szybkim narostem czynnika moralnego. Stąd wniosek: należy myśleć zawczasu o czynniku technicznym.

---

[1]) Mowa o akcji pod Rogowem, w której brało udział pod dowództwem Montwiłła-Mireckiego 36 ludzi.

LISTY DO HIPOLITA ŚLIWIŃSKIEGO

Trzy listy poniżej zamieszczone, pisane do Hipolita Śliwińskiego, budowniczego we Lwowie, posła do parlamentu wiedeńskiego i wybitnego działacza niepodległościowego, wydrukowane zostały po raz pierwszy w książce Michała Janika, wydanej w Krakowie w 1934 r. p. t. «W służbie idei niepodległości. Pamięci Hipolita Śliwińskiego».

I

Kraków, 17 lipca 1912 r.
Szlak 25.

Kochany i Szanowny Panie Pośle!

Mam pecha. Ignacy [1]) zachodził do mnie parę razy podczas mego pobytu we Lwowie i w dzień mego przyjazdu tutaj wyjechał gdzieś na odpoczynek parotygodniowy. Obiecał, co prawda, być u mnie w Zakopanem po dwóch tygodniach, lecz nie mam gwarancji, że się to tak stanie. Będę więc miał z nim rozmowę, nie wcześniej jak za dwa tygodnie.

Od Kukiela [2]) z Wiednia miałem list, pisze mi, że wyśle mi swój memoriał [3]).

Wreszcie jeszcze słów parę w kwestii specjalnej. Przed samym wyjazdem widziałem się z p. Trojanowskim [4]). Pytał mię o radę, jak ma postąpić, czy tak, jak poprzedniośmy się umawiali, to jest wyjechać do Sikorskiego [5]) na posadę letnią, czy też zostać we Lwowie i pracować w przygotowaniu do wyborów, jak to Pan proponował. Poleciłem mu to ostatnie,

---

[1]) Ignacy Daszyński (1867—1936), poseł do parlamentu wiedeńskiego, przywódca socjalistów polskich w Galicji.

[2]) Marian Kukiel, oficer Związku Walki Czynnej, jeden z bliskich współpracowników Piłsudskiego z tego okresu; historyk wojskowości i generał w wojsku polskim.

[3]) Mowa o memoriale, napisanym z polecenia Piłsudskiego przez Kukiela p. t. «Bedeutung des Russisch-Polen vom Standpunkt der militärischen Interessen Österreichs» i złożony do kancelarii wojskowej arcyks. Ferdynanda.

[4]) Mieczysław Trojanowski, pseudonim Ryszard, jeden z bliskich współpracowników Piłsudskiego z tego okresu.

[5]) Inż. Władysław Sikorski, ówczesny prezes wydziału Związku Strzeleckiego we Lwowie. W Polsce niepodległej generał, premier i minister spraw wojskowych.

ale chciałbym zwrócić uwagę, że dla niego jest «periculum in mora», nie może czekać na brzęczący sukurs; było to pomiędzy innemi przyczyną, dlaczego wyprawiałem go poprzednio na letnie zajęcia. Przy wszelkich zajęciach organizatorskich dalszych pan T. byłby niezbędny jako człowiek, mający posłuch u ludzi, i energiczny organizator. Niech pan będzie łaskaw weźmie to pod uwagę i, gdyby okoliczności tak się składały, że finanse by nie wytrzymywały tego ciężaru, postąpi pan tak, jak ja i od razu go puści na zieloną trawę na lato. Byłaby szkoda, bo letnia praca, przygotowująca kampanię jesienną, dużoby straciła na tym, ale byłoby nie tak ciężko monetarnie.

Proszę przyjąć, Kochany Panie Pośle, zapewnienia szczerego szacunku

J. Piłsudski.

Do Zakopanego wyjeżdżam w sobotę [1]).

II

13/VIII. 1912.
Zakopane. Droga do Poronina,
dom Hyca Olesiaka.

Szanowny i Kochany Panie Pośle!

Dzisiaj otrzymałem list od Kukiela z projektem memoriału. Otrzymałem go tak późno, bo list przeleżał u listonosza kilka dni. Kukiel pisze, abym po przejrzeniu i zrobieniu adnotacyj odesłał go Panu, któremu posyła drugi egzemplarz. Ponieważ nie mam żadnych uwag do zrobienia, więc samego memoriału nie posyłam, a wprost tylko komunikuję o tym Panu.

Jedyna uwaga mi się nastręczyła — to konieczność silniejszego podkreślenia polskiej awersji do Prusaków i pruskiej inwazji, co primo jest zgodne z prawdą, a secundo dobrze jest powtarzać tym Panom zawsze, aby się z tym rachowali i liczyli. Ale to jest drobnostka i, wobec możliwości i dalszych romansów, zawsze jest czas o tym mówić i podkreślać i dlatego nie chcę robić żadnego opóźnienia w tej sprawie.

Ryś [2]) założył szczęśliwie dwa gniazda — Rzeszów i Sambor — przypuszczam, że do początku roku szkolnego nabierze się tego więcej. Powstanie wtedy z konieczności kwestia utrzymywania stałego kontaktu z nowymi związkami, gdyż jestem

[1]) W sobotę, tj. 20 lipca 1912 r.
[2]) «Ryszard» — Mieczysław Trojanowski.

przekonany, że bez stałego kontaktu i kierownictwa w początkach pracy ludzie na miejscu prędko się wytchną i zatrzymają się przed różnymi murami wątpliwości i kwestyj, które się wyłonią przy robocie. Zresztą jest to już sprawa Federacji [1]), która to Federacja mieć winna sprężystego sekretarza czy instruktora wędrownego. O tym wszystkim mam nadzieję porozumiemy się jeszcze przy spotkaniu, chociażby 25-go, gdy Pan zapewne jakich parę dni w Zakopanem zabawi.

Zatem proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania. Gotowy do usług

J. Piłsudski.

P. S. Aha, jeszcze jedno. Przy ostatniej rozmowie naszej wspomniał Pan, że za parę tygodni może przyjść dalszy sukurs monetarny, z listu zaś Pańskiego do Kukiela (Kukiel list ten mnie przesłał) widzę, że nadzieje te mogą się ziścić. Prosiłbym więc bardzo Pana, aby po załatwieniu sprawy z Rysiem — jego robotą bezpośrednią — na pierwszy plan w Pańskich wydatkach był wysunięty sukurs dla mnie, tj. moich celów. Gdyby więc co było u Pana zbywającego, możeby Pan wysłał do mnie, byłbym Panu bardzo i bardzo wdzięczny. Muszę teraz przygotować ten 25-ty i inne prace dla roku szkolnego, co wymaga pracy nie tylko mojej, lecz i innych, których ściągać nie mogę, nie mając floty do przetrzymania ich i pracy przy mnie. Mówię tu przede wszystkim o Sosnkowskim [2]), z którym muszę przed rozpoczęciem roku szkolnego przepracować programy itd., a którego puściłem na zieloną trawę, bom nie miał dla niego floty.

III

Zakopane, 29. IX. 1912.

Kochany i Szanowny Pośle!

Rozstaliśmy się z sobą w niezbyt świetnych humorach i dlatego, gdy sam usłyszałem jakąś pocieszającą wiadomość, chcę się nią podzielić. Starałem się dowiedzieć również swoimi drogami o tym, co w trawie piszczy. Otóż piszczy nieźle. Zapewniono mnie, że memoriały zrobiły bardzo dobrze

[1]) Mowa o Tow. Pol. Federacji Strzeleckiej, organizacji, której projekt założenia nie został zrealizowany na skutek sprzeciwu władz austriackich.

[2]) Kazimierz Sosnkowski, szef sztabu Komendy Głównej Związku Walki Czynnej, najbliższy w tym okresie współpracownik Piłsudskiego. W Polsce niepodległej minister spraw wojskowych i inspektor armii.

u bardzo wpływowych i wysoko postawionych osób, że nie należy się zrażać tym pierwszym potknięciem się, a po pewnym czasie próbować znowu. Mam nadzieję, że do czasu, gdy się zobaczymy, będę miał może szczegółowe dane i rady. Prosiłbym jednak te moje dane zachować w zupełnym sekrecie i n i k o m u o tym nie mówić.

Wreszcie ośmielę się przypomnieć Panu, że 1 października moim zastępcą w otrzymaniu pieniędzy jest p. Sosnkowski, któremu dzisiaj właśnie piszę instrukcję co do tego, jak ma się z tym zachować.

Zatem proszę przyjąć, Kochany Pośle, zapewnienie szczerego i głębokiego szacunku. Pani rączki całuję

Józef Piłsudski.

ROZKAZ OKÓLNY DO ORGANIZACYJ ZWIĄZKU WALKI CZYNNEJ (5. X. 1912)

Rozkaz poniższy został wydrukowany po raz pierwszy przez Wacława Lipińskiego w «Polsce Zbrojnej» z dn. 19. III. 1931 w artykule p. t. «Rozkazy Józefa Piłsudskiego z lat 1912—1914». Tekst niniejszy oparty został na pierwodruku, znajdującym się w Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego.

Wypadki obecne, będące w ścisłym związku z zadaniami naszej organizacji, znajdują niezawodnie żywy oddźwięk w waszych szeregach. Podnoszą one nadzieje nasze, że chwila czynu jest bliska. Każą zastanawiać się nad tym, jaką będzie odpowiedź nasza na ów głos wydarzeń.

I. Przekonany jestem, że w razie jawnej potrzeby wystąpienia Związku Walki Czynnej, jako całości na polu bitwy, liczyć mogę na was wszystkich i na każdego z osobna. Tej potrzeby nie ma na razie. Ale potrzeba nam pogotowia wojennego. Potrzeba zwłaszcza przygotowań na właściwym teatrze przyszłych działań — w zaborze rosyjskim.

Nie posiadam formalnego prawa, aby w drodze zwykłego rozkazu powoływać mych podkomendnych do żmudnej i ofiarnej pracy przygotowawczej na tamtym terenie. Odwołuję się przeto do sumienia rewolucyjnego każdego z was z osobna. Niech każdy zważy w sobie wszystkie uczucia, niech tak lub inaczej pogodzi rzecz publiczną ze względami osobistymi i niech sam co do siebie decyzję powezmie.

Powołuję was tedy do obsadzenia trudnych posterunków zwyczajem wojennym — na ochotnika.

Zgłoszenia ochotników wprost do Komendy; we Lwowie osobiście; w innych miejscach poleconym listem pod adresem Maria Wiśniewska, Lwów, Nabielaka 20; na wewnętrznej kopercie: «do Komendy Gł.» w zgłoszeniach podać: pseudonim, czas pobytu w Związku, stan finansowy, stosunki osobiste. Zgłoszenie takie oznaczać będzie oddanie się na przeciąg najmniej pół roku pod moje rozkazy bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń.

II. Dla całego Związku polecam, co następuje:

1. Krew zimną, odporność wobec alarmów, baczność na to, aby organizacja wojenna nie stała się podnieconym tłumem. Pomimo słabości naszych sił w zestawieniu ich z ogromem działań, które podjąć nam może przyjdzie, trzeba ufać, że powinność swą wypełnimy, jeśli obok energii zdobędziemy się na ład i spokój.

2. Wykorzystać nastrój chwili dla zwiększenia siły liczebnej Związku i jego materialnych środków.

3. Zdwoić energię w pracy wewnętrznej i pracach szkolnych, pomnąc na to, że nauka, pobierana w szkołach Związku, rychło znaleźć może zastosowanie.

4. Komunikować do komendy wszelkie, drobne nawet, wiadomości o przygotowaniach wojennych Rosji. Będą one tym cenniejsze, jeśli wymienionym będzie źródło ich pochodzenia.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE NIEMIECKIEJ SOCJALDEMOKRACJI AUSTRII W WIEDNIU

Przemówienie poniższe wygłosił Józef Piłsudski w dniu 31 października 1912 r. na Kongresie Niemieckiej Socjalnej Demokracji w Austrii, występując jako delegat Centr. Komitetu Robotniczego P. P. S. zaboru rosyjskiego. Przemówienie Piłsudskiego, wygłoszone po polsku i przetłumaczone na jęz. niemiecki przez posła Hermana Diamanda, ogłoszone zostało po raz pierwszy w krakowskim «Naprzodzie» z dnia 5. XI. 1912 r.

Szanowni Towarzysze! W imieniu P. P. S. zaboru rosyjskiego mam zaszczyt i wielką radość powitania Waszego Kongresu Partyjnego. Nie władam, niestety, językiem niemieckim tak dobrze, abym wszystko, co mam do powiedzenia, mógł wyrazić w Waszym języku ojczystym. Pozwólcie więc, że będę mówił po polsku.

P. P. S. jest bliższą niemieckiej socjalnej demokracji w Austrii, niż innych partyj. Jesteśmy związani z Wami walką o wolność. Poczuwamy się względem Was do szczególnej wdzięczności, gdyż gościnnie przyjęliście nas, kiedy, prześladowani przez policjantów całej Europy, nie mogliśmy znaleźć spokojnego miejsca. Za tę gościnność, za te trudy imieniem P. P. S. serdecznie dziękuję. Obie nasze partie są w analogicznej sytuacji, gdyż przypadło nam zadanie rozwiązywać nadzwyczajnie skomplikowaną kwestię narodowościową. Wy odnosicie tryumfy w tej dziedzinie, Wy ostro przeciwstawiacie się obłudzie szowinizmu kapitalistycznego. Wyście potrafili uporządkować skomplikowaną kwestię narodowościową w Austrii. Będziemy z Was brali przykład.

Przemawiam w chwili, gdy rozlega się w Europie grzmot dział [1]). Wasz kraj, tak samo, jak nasz, jest zagrożony przez straszną wojnę. Polska jest wycieńczona walkami rewolucyjnymi. Trudno teraz znieść nędzę wojny. Nie jesteśmy wolni od obaw, gdy myślimy o niebezpieczeństwach, które nas czekają. Lecz nic nie odstraszy nas od spełnienia naszego obowiązku. Z Waszą pomocą rozciągniemy potęgę wolności na nasze ziemie. Jeśli wojna wybuchnie, będziemy, naturalnie, się starali, aby doszło do urzeczywistnienia naszych ideałów, którego odmówiła nam rewolucja, i wówczas w murach Warszawy wolnej będziemy mogli przygotować przyjęcie dla drogich gości Kongresu Międzynarodowego. Wasze obrady niech będą krokiem naprzód w zwycięskim pochodzie niemieckiej partii Austrii.

LIST DO HIPOLITA ŚLIWIŃSKIEGO

Przedruk z książki Michała Janika: «W służbie idei niepodległości. Pamięci Hipolita Śliwińskiego».

6. XI. 1912 Kraków
Szlak 25.

Szanowny i Kochany Pośle! Dzisiaj Sławek [2]) mi mówił, że ma Pan zamiar we czwartek dopełnić sumę mi daną, a zgodnie z wskazówką Sławka wysłać mi ją do Krakowa.

---

[1]) Aluzja do rozpoczętej w dniu 19. X. wojny bałkańskiej, w której przeciwko Turcji wystąpiła koalicja, złożona z Bułgarii, Serbii, Grecji i Czarnogórza.

[2]) Walery Sławek, jeden z najbliższych współpracowników Piłsudskiego z lat 1901—1935. W Polsce niepodległej prezes Rady Ministrów.

Otóż wobec tego, że ogromna większość wypłat moich musi być odbyta we Lwowie, sądzę, że będzie lepiej, gdy unikniemy przesyłki pieniędzy do mnie, a ode mnie z powrotem do Lwowa. Zatem najprościej będzie, gdy Pan wręczy pieniądze Sosnkowskiemu, do którego o tym interesie teraz piszę i któremu posyłam rozporządzenie, związane z finansami.

Dzisiaj Jodko [1]) depeszował do Pana o naszym stanowisku na konwentyklu u Rutowskiego [2]). Sądzę, że na razie to jest jedyne stanowisko, jakie zająć możemy i musimy, i pomimo łudzących obietnic, rezerwa jest wskazaną. Jodko pisał w tej kwestii i do Diamanda, i do Hudeca [3]). Daszyński nie przyjedzie na pewno, bo go nie ma w Krakowie, gdzieś hula w przestworzach tak, że go znaleźć niesposób.

Jestem przekonany, że w niedzielę zobaczymy się w Wiedniu, tam się jeszcze raz ułożymy co do dalszego postępowania.

Zatem proszę przyjąć zapewnienie szczerego szacunku. Paniom rączki całuję.

J. Piłsudski.

MOBILIZACJA POWSTANIA

Odczyt p. t. «Mobilizacja powstania» wygłoszony został przez Józefa Piłsudskiego we Lwowie w dniu 8. XII. 1912 r. na obchodzie, zorganizowanym przez Towarzystwo «Życie» ku uczczeniu rocznicy listopadowego powstania. Po raz pierwszy odczyt ten wydrukowany został w «Przedświcie» w styczniu 1914 r. na podstawie stenogramu dokonanego przez Leona Barysza.

Zajmiemy się tu przedstawieniem jednej technicznej strony ruchów rewolucyjnych, mianowicie — sprawą powstawania i przejawienia się sił zbrojnych w kraju, będącym pod panowaniem nieprzyjaciela.

To zagadnienie techniczne, które w chwilach dziejowych staje się Polską, musi zajmować umysły wszystkich rewolucjonistów, myślących o rewolucji realnie. Nie ma bowiem państwa, chociażby było najbardziej liberalne, któreby mogło pozwolić na to, by jawnie przeciw niemu organizowała się siła zbrojna, mająca obalić prawny porządek rzeczy.

[1]) Witold Jodko-Narkiewicz (1864—1924), jeden z wybitnych działaczy P. P. S.

[2]) Tadeusz Rutowski (1850—1918), wybitny polityk poseł do Sejmu galicyjskiego.

[3]) Józef Hudec (1863—1915), działacz socjalistyczny, poseł do wiedeńskiego parlamentu.

Przede wszystkim parę słów o mobilizacji państwowej. Siły zbrojne wszystkich państw znajdują się w czasie pokoju w stanie embrionalnym. Nie są one tymi siłami, które państwo rzuca do boju, lecz trwają w zaczątkach organizacyjnych, mniej lub więcej rozwiniętych, nigdy — nie wykończonych zupełnie.

W chwili, gdy państwa, zorganizowane nowocześnie, wykonywują mobilizację, wyzyskują one do tego celu wszystkie siły techniczne, administracyjne i kulturalne, które w czasach pokojowych istnieją nie dla celów wojennych. A więc olbrzymi aparat techniczny w postaci kolei, telegrafów, telefonów w momencie ogłoszenia mobilizacji przerywa swą pokojową służbę i staje się na chwilę monopolem armii; olbrzymi aparat administracyjny i kulturalny, wytworzony przez życie pokojowe; szkoły, fabryki, wszelkie większe gmachy wyzyskuje wtedy państwo dla celów wojskowych; policja zarzuca wszelkie inne funkcje, ażeby się przejąć zadaniem wojny. Słowem, państwo zatrzymuje cały ruch pokojowy na pewien okres czasu, nim armia nie stanie na granicach. Bo tylko w ten sposób, wyzyskując maszynę techniczną, wyzyskując przymus prawny, jaki istnieje w stosunku do obywateli, da się zmobilizować nowoczesna siła zbrojna. Jeśli w tym względzie istnieją jakie przeszkody, to siła państwa jest tak dużą, że przełamuje je bezwzględnym przymusem.

Otóż cały ten olbrzymi aparat, stojący na usługach armii państwowej, nie będzie nigdy służył jakiejkolwiek rewolucji i dlatego mobilizacja siły rewolucyjnej musi wyglądać inaczej i musi działać mniej sprawnie i mniej skutecznie.

Weźmy dla przykładu miasto, w Polsce najbardziej rewolucyjne, serce dotychczasowych ruchów, miasto, liczące 800.000 ludzi, Warszawę. Weźmy jako przeciętną 10%, jako tę część ludności, którą państwa do wojny zabierają; otrzymamy wówczas z Warszawy 80.000 ludzi gotowych do walki. Otóż, gdyby nawet nastrój rewolucyjny, jakiby istniał w Warszawie, był bardzo duży i te tysiące ludzi były skłonne do wzięcia udziału w rewolucji, to jednak dzień mobilizacji zastanie je bezradnymi, bez aparatu, któryby mógł je zorganizować. Nietrudno państwu wykonać mobilizację, gdy żołnierz ma przygotowany pociąg, stajnie dla koni, magazyny, pełne broni, gdy mu dobiorą ubranie odpowiednie do jego wzrostu, dadzą jedzenie i picie, dadzą mieszkanie. Cały aparat jest tam przygotowany, aby wchłonąć ludzi, którzy są powołani. Aparat techniczny rewolucji nigdy nie może być tak duży, by mógł wchłonąć w ciągu jednego dnia lub tygodnia całe mnóstwo ludzi. Re-

wolucja i rewolucjoniści nie mają nawet spisów i adresów tych ludzi, którzy z nimi sympatyzują, nie są w stanie ogłosić, gdzie mają się zgromadzić ci, którzy zechcą poddać się mobilizacji rewolucyjnej. Słowem, przede wszystkim dzięki brakowi aparatu technicznego już od razu odrzucona jest od udziału w mobilizacji rewolucyjnej ogromna ilość ludzi, skłonnych do współdziałania z rewolucją.

Po wtóre rewolucja opiera się jedynie na ochotniku. Nie zna ona przymusu i nie zna możności stosowania go do swoich szeregowców. Wszystko opiera się tu na własnej woli powołanych. O ile to daje niewątpliwie w wojsku ochotniczym materiał ludzki o ogromnej wartości moralnej, jakiego nie posiada żadna armia regularna, o tyle z drugiej strony ochotnik jest zawsze rzeczą niepewną. Nigdy się nie ma pewności, czy dany osobnik w chwili, gdy nakaz przychodzi, jest w tym napięciu moralnym, które go do przyjęcia udziału w ruchu rewolucyjnym usposabia. Pozostawione to jest zupełnie jego własnej woli i chęci i tylko one są dlań nakazem rozstrzygającym. Nawet ludzie, którzy zgadzają się co do zasad postępowania i konieczności jakichś wystąpień, prowadzić będą spór co do czasu wystąpienia: nie dla każdego dzisiaj jest dzisiaj, dla wielu jest to jutro, pojutrze, za miesiąc itd. W ten sposób mamy do czynienia z materiałem o charakterze mocno «cywilnym», mało rozporządzalnym.

Jeżeli w danej chwili używam tego porównania, to nie dlatego, bym chciał «cywilizm» poniżyć przed militaryzmem, lecz jedynie dla wykazania tego, że zajęcia cywilne nakładają pewne piętno na tych, którzy się im poświęcają. Weźmy taki przykład z życia codziennego. Przypuśćmy, że umiera żona wojskowemu, który otrzymuje w tej chwili rozkaz stawienia się do służby. Wojskowy nie ma prawa się cofnąć; musi porzucić umierającą żonę i iść tam, gdzie go nakaz wzywa. Nikt żołnierza, stojącego na warcie, nie pyta, czy mu ta warta jest odpowiednia, czy co w danej chwili go boli, czy w tej chwili nie jest zmuszony myśleć o rzeczach bardzo ciężkich, które go od jego służby wartowniczej odciągają. Weźmy z życia cywilnego przykład odpowiedni. Profesorowi uniwersytetu umiera żona. Kto z jego władz czy jego kolegów mieć będzie doń pretensję, że on dla umierającej żony opuścił wykład? Ta względność, jaka istnieje w życiu cywilnym, nadzwyczajna zaś bezwzględność, jaką widzimy w życiu wojskowym, oto są charakterystyczne cechy, które nakładają swe piętno na stosunki cywilne i wojskowe.

Rewolucja rzadko rozporządza elementem wojskowym,

a są przykłady, np., z powstania w r. 1830, kiedy się rewolucja na wojsku opierała, świadczące o tym, że i w tym wypadku musi ona zachować dużo względności, tak w stosunku do powołanych, jak w stosunku do działań własnych, co czyni owo «dziś» rewolucyjne bardzo zagadkowym i niepewnym. Rewolucja więc, opierając się na ochotniku, na elemencie, do którego wpływają rozmaite względy lub indywidualny pogląd na daną chwilę polityczną, nie ma w swym rozporządzeniu nawet tych wszystkich, którzy jej pozostali wiernymi mimo braków techniki administracyjnej. Druga to kategoria ludzi, która w chwili mobilizacji rewolucyjnej odpada dla owych względów ochotniczych, względów cywilnych.

Trzecim czynnikiem niezmiernej wagi przy wszelkim ruchu rewolucyjnym jest t a j e m n i c a. Wojna, osobliwie w pierwszych jej początkach, i tajemnica są najzupełniej nieodłączne od siebie. Jeszcze ważniejsza jest ona dla ruchu rewolucyjnego, który wobec swej technicznej słabości tylko dzięki czynnikowi niespodzianki jest w stanie potężnie się przejawić. Wyobraźmy sobie, że młodoturcy, którzy dokonali rewolucji, przygotowali ją tak niezręcznie, że sułtan Abdul Hamid [1]) dowiedział się, iż w Salonikach tego a tego dnia to a to się stanie. Nie ma mowy w tym wypadku, żeby rewolucja się udała. Udałaby się może w innym terminie, lecz ten moment wybuchu byłby dla niej wykluczony. Tak samo w r. 1863. Coby było, gdyby nieprzyjaciel się dowiedział o terminie 22 stycznia, o punktach, na które skierowany ma być atak. Niechybnie wybuch 22 stycznia nawet w tej małej mierze, jak to się stało, nie byłby wykonany przez powstańców. Tylko tajemnica jest tym czynnikiem, który w pierwszych początkach rewolucji, dopóki nie ma jawnego i publicznego odwołania się do ogółu, daje gwarancję powodzenia. Lecz z chwilą, gdy mowa o tajemnicy, liczba ludzi, których się dopuszcza do niej, już się zmniejsza. Wchodzą w grę najrozmaitsze zastrzeżenia i ostrożności, które nieubłaganie tę resztkę sił, po odpadnięciu pierwszych kategoryj, zmniejszają w bardzo znacznej mierze.

Wszystkie powyżej wymienione czynnik wpływają, choć w zmniejszonym stopniu, także na zarządzenia mobilizacyjne państw zorganizowanych, lecz czynnik ostatni, mianowicie z ł a w o l a n i e p r z y j a c i e l a, na państwo w chwili mobilizacji nie działa. Państwa opierają się na terenie, na którym są bez-

[1]) Abdul-Hamid II, sułtan turecki, przeciwko któremu w r. 1908 wybuchła bezkrwawa rewolucja, kierowana przez tzw. młodoturków. W następnym r. 1909 Abdul-Hamid został zdetronizowany.

względnymi panami. Rewolucja prowadzona jest na terenie, opanowanym przez nieprzyjaciela, a w chwili rewolucji zawsze specjalnie strzeżonym, więc zła wola nieprzyjaciela jeszcze w chwili mobilizacji działa i wszelkie rachunki plącze. Jest to czynnik ogromnego znaczenia, bo w każdej chwili rachunek cały przez nieprzyjaciela, przez rewizje, aresztowania, może być w niwecz obrócony.

Jeśli człowiek przejrzy te wszystkie przeszkody, dochodzi do przekonania, że liczba ludzi, mogących być zmobilizowanymi przez rewolucję w pierwszych początkach ruchu, tak szalenie się zmniejsza, że o czymś podobnym do mobilizacji państwowej mowy być tu nie może, a więc zorganizowanie mobilizacji rewolucyjnej należy chyba do najtrudniejszych zadań wojennych. Ma się tu bowiem do czynienia z luźnymi atomami, które w żaden system się nie układają, a tylko misternym pomyśleniem, sztuczkami w jedność połączyć się dadzą. Dlatego wszystkie obliczenia rewolucyjne w początkach odznaczały się zawsze niesłychaną misternością, sprzeczną z zasadami pracy wojennej, które nakazują jak największą prostotę planu.

Powiedzieć można, że o ile mobilizacja armii regularnej jest to przystosowanie warunków do siebie i swoich celów, przy możności przełamania ich chociażby otwartą siłą, to mobilizacja siły rewolucyjnej jest przystosowaniem siebie do tych warunków, które okazują się silniejszymi od potęgi, którą ruch rewolucyjny technicznie w początkach rozporządza. Tylko zasada mimikry, rozpłynięcia się w otoczeniu, ratuje technicznie początki rewolucji, czy to w Polsce, czy gdziekolwiek indziej.

* * *

Pozwolę sobie z historii naszych powstań wziąć parę przykładów, którymi te założenia oświetlę.

Weźmy najpierw r. 1830 — moment przejawienia się siły zbrojnej w nocy listopadowej. Spiskowi są w dobrym położeniu, bo mają do czynienia z wojskiem, z tym elementem rozporządzalnym, który mimo wszystko zawsze, jako wojsko, działać będzie. A jednak rewolucyjny charakter działania zmuszał do posługiwania się metodami zgoła nie wojskowymi. Przytoczę kilka misternych sztuczek dla charakterystyki tego, jak działano 29 listopada.

Do wystąpienia wojska nie wystarczy karabin, trzeba naboi. Naboje zaś znajdowały się w posiadaniu organizacji wojskowej, do spisku niewciągniętej. W ostatnich chwilach

przed terminem wybuchu do parku amunicyjnego jadą spiskowi oficerowie. Oszukują straż, oszukują komendanta, tłumacząc mu się, dlaczego nie przedkładają odpowiedniego rozkazu i wyłudzają od niego naboje. Lecz nie na tem koniec, bo ten taborek maleńki z nabojami dla powstania musi przekroczyć rogatki, gdzie stoją straże i znowu przed nimi musi się wykrętnie tłumaczyć, dlaczego nie posiada odpowiedniej legitymacji. Wszystko powiodło się szczęśliwie, ale czyż tak działa zazwyczaj wojsko, otwarta siła, która wie, co robi? To wszystko była spekulacja na złe działanie machiny rządowej, misterna sztuczka, sprytny «kawałek», który każdej chwili mógł zawieść.

Oto mamy przykład drugi. Najstarszy rangą wciągnięty do spisku to był głuchawy kapitan Nieszokoć, którego starano się pozyskać, ponieważ trzeba było armat. Był to stary żołnierz napoleoński, ogłuchły od huku armat pod Austerlitz. Gdy do niego młodzież spiskowa przystąpiła, nie chciał dać wiary, ażeby on mógł wziąć udział w akcji, o ile odpowiednio wysoka szarża tego mu nie nakaże. Owszem, on jest Polakiem, jest rewolucjonistą, lecz kto mu dowiedzie, kto mu nakaże wystąpienie, tym bardziej, że jak się wyraża, artyleria i jej «indywiduje» muszą mieć styczność z wodzem dla otrzymania asekuracji i umowy co do działania. I cóż mają robić ci spiskowcy? Przedstawić się, jako naczelnicy, nie mogą, bo on ich wyśmieje i każe iść do szkoły. Jemu trzeba powagi i autorytetu, a wszystkie powagi są poza granicami spisku. Muszą mu więc szeptać do głuchawego ucha o tem, że na czele spisku stoi generał, który nie może się wyjawić zawczasu, bo się boi, a dopiero potem, w dzień przeznaczony dla wybuchu, wyjdzie na jaw. Szepcą mu jedno i drugie nazwisko do ucha, że wreszcie biedny kapitan, oplątany intrygą, nie wie sam, kogo ma słuchać w dzień wybuchu.

Widzimy, jak niepewnym jest cały ten misterny splot oszukaństw. Nieszokoć dał się obałamucić, chciał razem ze swymi armatami do powstania stanąć, ale dzięki temu, że nie wiedział, kogo ma słuchać, że miał głowę, pełną generałów, — posłuchał pierwszego spotkanego generała, który i jego, i armaty do Konstantego [1]) zaprowadził.

Inny przykład. Podchorążowie, te laleczki, wycackane przez Konstantego, ludzie przyzwyczajeni słuchać już nie głosu komendanta, lecz mrugnięcia jego oka, po napadzie nieuda-

[1]) Konstanty Pawłowicz (1779—1831), w. ks. ros., naczelny wódz wojska polskiego Królestwa Kongresowego.

nym na Belweder i koszary, zmieszani razem z belwederczykami, chowają się w Łazienkowskim parku. Idzie o zachowanie ciszy, ordynku wojskowego, gdyż lada chwila wpadnie szarża kawalerii. — Lecz oni wyglądają, jak «masówka» rewolucyjna, a nie jak wojsko, zdolne do walki. Hałas, rozmowy, szepty, dowiadywanie się, co się stało?! Wysocki [1]) biega, prosi, ale nadaremnie. Głos komendanta ginie w falach krzyku. Dopiero dowcipny pomysł oficera, który kazał zabębnić, jak do ataku, przywiódł ludzi do opamiętania. Wszyscy stanęli do szeregu, jak wojsku należy. Oto ten rozkładający pod względem porządku wpływ rewolucji, który nawet na tak doborową część wojska, jakimi byli podchorążowie, wpływał i działał.

Mamy w nocy listopadowej rozmaite przykłady tych zawodów, jakie rewolucja przeżywać musi. Tacy szaserzy, którzy byli uważani za najbardziej rewolucyjne wojsko w Warszawie, stają po stronie Konstantego; Czwartaki, ulubiony pułk Konstantego, stają po stronie rewolucji. Jakież obliczenie mogło to przewidzieć? Niezbadane drogi plączą nawet ten rachunek z ostatniej chwili, nawet wtedy, gdy się ma do czynienia z wojskiem, jak było w r. 1830.

Gorsze było położenie później, w r. 1863.

Opowiem jedną ze scen, która mi staje w oczach, gdy myślę o przejawianiu się siły zbrojnej w rewolucji. Jest to opis p. Deskura, naczelnika powiatu radzyńskiego, który szczerze wyznaje kłopoty, jakie miał na dwa dni przed powstaniem. Był to świeżo upieczony major wojsk polskich, który jednak bardzo mało o wojsku wiedział i myślał. Znakomicie znał regulamin kawalerii, ale czuł, że te wiadomości do przygotowania powstania nadzwyczaj mało mu się przydadzą. Dwa dni przed terminem dostał rozkaz urządzenia napadu na Radzyń, w chwili, gdy jeszcze broni dla oddziału nie przygotował, — tej broni nędzy polskiej, jaką były kosy, — bo bał się zwracać uwagę rządu takimi przygotowaniami. Musiał więc w przeciągu ostatnich dwu dni przygotować wszystko. Najtrudniej mu było rozstrzygnąć, jakie wyznaczyć miejsce na zbiórkę przed samym napadem. Regulamin kawalerii nie dawał mu żadnych wskazówek do rozstrzygnięcia licznych wątpliwości; rozstrzygać je musiał zdrowym rozsądkiem człowieka, znającego doskonale stosunki miejscowe. Zdrowy rozsądek poradził, że najlepiej się zebrać w Horostycie, w domu samego p. majora. Jest to wprawdzie do Radzynia 7 mil, ale nie będzie

[1]) Piotr Wysocki (1797—1875), podporucznik i instruktor musztry w szkole podchorążych, przywódca sprzysiężenia listopadowego.

tu niepotrzebnych kłopotów: sam major jest zdecydowany na wszystko, a tam u sąsiada żona mdleć będzie i będą alarmy próżne ludzi niezdecydowanych dla lada drobnostki.

Ale ta decyzja majora zachwiana została w sposób nieoczekiwany: zła wola wroga postawiła wszystko pod znakiem zapytania. Na kilkanaście godzin przed zbiórką nadchodzą od mieszczan z Radzynia wieści hiobowe: dziś jeszcze w Horostycie we dworze ma być rewizja, p. major ma być aresztowany. Sam wódz jutrzejszej walki jest niepewny swego istnienia, nie ma żadnej osłony, któraby go obroniła przed nieprzyjacielem. Co robić? Zmieniać dyspozycyj już niepodobna. Trzeba samemu się usunąć, zniknąć na tę chwilę, tak bardzo decydującą, na posterunku zostawić zastępcę. To też ostatnia chwila przed napadem na Radzyń to jest prawdziwy obraz tej nędzy rewolucji polskiej, tej biedy w ostatnich chwilach stawania się siły zbrojnej.

Major siedzi w deszczu pod krzakami, okręcony w burkę, i czeka, czy ludzie się zejdą, czy nie, a opodal pomocnik jego, Jerzmanowski, stoi na rozstajnych drogach, by schodzących się ludzi do majora odsyłać. Wtem pędzi z łoskotem kibitka, słychać rosyjskie okrzyki: kto to?! — W tych dwu ludziach, rzuconych na pustkowiu, bezbronnych, a jednak tak ważny posterunek zajmujących, że bez nich wybuch odbyć się nie może, teraz strach się budzi. Oto macie ludzi, stawiających sobie teraz znaki zapytania: czy to nie jaki zamach wroga, czy to nie nowa wieść hiobowa, która wszelkie próby od razu w niwecz obróci?

Oto są te ciągłe zagadki, które stającą się rewolucję zewsząd ścigają, — oto te krzaki, w które komendanci wojsk włazić muszą, — oto jest obrazek: czem jest, jaką być może mobilizacja sił rewolucyjnych.

* * *

Przedstawienie tych wszystkich technicznych trudności, z którymi zmaga się powstająca rewolucja, dowodzi, że w pierwszych początkach rewolucja rozporządzać może tylko małymi siłami. Jest to według mojej terminologii a w a n g a r d a; główne siły znajdą się dopiero jutro, pojutrze, a o ile się nie znają, tzn., że awangarda zły czas wybrała: postawiła zapytanie, na które otrzymała odpowiedź: n i e! Takim zapytaniem był napad Potockiego na Siedlce w r. 1848, które z brawurą awangardy zdobył i w ręku trzymał, a na to jego zapytanie na-

ród odpowiedział słowem «nie!», naród się nie ruszył. W tym położeniu rewolucjoniści wszyscy stać muszą, że wysyłając naprzód awangardę, muszą zaryzykować i zapytać się społeczeństwa: «tak czy nie?». Siły główne rozstrzygają, lecz bez rzucenia tej awangardy i tego zapytania na ryzyko nie ma rewolucji w pełnym tego słowa znaczeniu. Awangardy takie zawsze muszą być w rewolucji, o ile ma być ona wielką i zwycięską.

Jeżeli się jednak myśli o tym, ażeby te wielkie trudności techniczne przy tworzeniu nawet tej nielicznej awangardy mogły być złamane, to wskazówki, jakich możnaby udzielić, są, niestety, ogólnikowej i niespecjalnej, technicznej natury. Polegają one na wychowaniu w sobie i wychowaniu w ludziach pewnych cech charakteru, które są nieodłączne od działań rewolucyjnych, od działań tej awangardy, od której siły i losy całej rewolucji zależą. Przede wszystkim powinno istnieć z a u f a n i e; bez tego zaufania do tych, którzy w rozmaitych szczegółach rozstrzygają, liczba i siła awangardy niechybnie zmniejszyć się musi ogromnie. Drugą jest smutna konieczność b e z w z g l ę d n o ś c i. Bezwzględność wojskowa, a nie względność cywilna powinnaby w takich wypadkach brać górę. Po trzecie, i to jest najważniejszym, umiejętność życia w t a j e m n i c y. Umiejętność ta nie tylko polega na tem, że ludzie umieją dochowywać tajemnic, lecz i na tem, że umieją nie wdzierać się do tajemnic. Jest to umiejętność bardzo rzadka, osobliwie w społeczeństwie polskim, gdzie kwestię zaufania stawia się zwykle na gruncie obrazy osobistej. Dalej koniecznym jest umieć być r o z p o r z ą d z a l n y m. Podnieść pod tym względem stopień ludzi, czujących rewolucyjnie, tj. wielkie zadanie, które społeczeństwa, chcące przeprowadzić rewolucję, wziąć na się muszą. Wreszcie ostatnią rzeczą jest s u m i e n n o ś ć w d r o b i a z g a c h; tego w społeczeństwie polskim potrzeba więcej, niż czego innego. Ludzie lecą na wielkie rzeczy i te tylko dają im wrażenie; małe rzeczy nie imponują, nie czynią z człowieka rewolucjonisty.

W ogólnych zarysach powiedziałem o wielkich trudnościach, jakie spotykane są w mobilizacjach rewolucyjnych. Jednak te trudności muszą być przełamywane, o ile się chce być zwycięzcą. Trzeba, o ile się takie żądanie stawia, mieć tę otwartość i szczerość, ażeby od siebie i wszystkich innych wymagać u l e p s z e n i a d u s z y l u d z k i e j, tak, ażeby była zdatną, jako materiał do zwycięskiej rewolucji.

LIST DO HIPOLITA ŚLIWIŃSKIEGO

Przedruk z książki Michała Janika, op. cit. Na podstawie tekstu datę poniższego listu należy ustalić na koniec grudnia 1912 r.

Kochany Panie Hipolicie!

Przepraszam najmocniej za zawód, którym popełnił nie z mojej winy. Otrzymałem dane, które mię zmusiły wyjechać natychmiast do Krakowa. Niechże Pan przyjmie moje najserdeczniejsze życzenia noworoczne, abyśmy je w przyszłym roku składali sobie w innym miejscu jako triumfatorzy, a zawsze i wtedy podniosę kielich w górę za zdrowie Wasze, Panie Hipolicie, jako człowieka, który umiał być jednym, gdy wszystko było przeciw. Zresztą uczucia moje w stosunku do Pana są chyba Panu dostateczne znane, abym je miał w banalne układać frazesy. Paniom proszę ucałować rączki, przeprosić i złożyć me powinszowanie, życzenia i serdeczną wdzięczność za łaskawą opiekę, tak serdecznie mi przez Panią udzielaną.

Sosnkowski ma moje polecenie co do wydatkowania pieniędzy jak Waszych, tak zarówno i owych angielskich, o ile przyjdą. Więc wręczcie mu obie sumy.

Zatem proszę przyjąć serdeczne uściśnienie dłoni i zapewnienie szczerego szacunku.

J. Piłsudski.

WYWIAD JÓZEFA HŁASKI

W początkach r. 1913 Józef Hlasko, publicysta i polityk narodowo-demokratyczny, przebywał w Galicji, orientując się w poglądach politycznych tamtejszego społeczeństwa. Wrażenia swoje Hlasko wydrukował w wileńskim «Kurjerze Litewskim» pod tytułem «Z wycieczki za kordon», podpisując je pseudonimem J. Kniazyc. Po rozmowach z przedstawicielami obozu konserwatywnego, Hlasko złożył wizytę Józefowi Piłsudskiemu, którego znał z Wilna. Wywiad, jaki przeprowadził, ogłosił w nrze 33 «Kurjera Litewskiego» z dnia 25. II. 1913 r., nazywając w nim Piłsudskiego ze względów konspiracyjnych «panem Marianem». Po raz drugi tekst wywiadu redaktorzy «Pism — Mów — Rozkazów» ogłosili w «Tomie Dodatkowym».

Tekst, poniżej zamieszczony, uzupełniony został w przypisie relacją, jaką złożył obecny przy rozmowie Piłsudskiego z Hlaską, Walery Sławek.

Pan Marian, człowiek średniego wieku o energicznym wyrazie twarzy, robi wrażenie szczerego, w rozumowaniach zaś swoich, co wydać się może wprost nieprawdopodobnym, umie zachować pozory zupełnej trzeźwości. W skromnym studenckim mieszkanku dostrzegłem dużo map i dzieł wojskowych, w których pan Marian się lubuje.

— *Studiuje pan nauki wojskowe, widocznie zajmują bardzo pana? — zagadnąłem.*

— O tak, jest to właściwie jedyna nauka naprawdę zajmująca. Przestudiowałem kilka wojen, a już boerską i rosyjsko-japońską znam tak dokładnie, jak zapewne niewiele kto w Europie.

— *Ale jest pan samoukiem jedynie?*

— Tak, w wojsku nigdy nie byłem. Ma to zapewne swoje złe strony, ale też i dobre. Jako człowiek świeży, nie mam przesądów zawodu, widzę wiele rzeczy jaśniej.

W dalszej rozmowie niejednokrotnie mnie, zupełnemu laikowi w rzeczach wojskowych, bardzo swą wiedzą imponował. Trudno mi było jednak skierować rozmowę na tory polityczne. Widocznie nie lubi rozmawiać o tych rzeczach z ludźmi «postronnymi». Wyraźnie mi to nawet oświadczył, gdym o planach jego rozpytywać zaczął.

— Należymy do różnych obozów, wielu rzeczy nie mogę panu mówić. Zresztą — przyszłość to równanie z wielu niewiadomymi, którego zatem rozwiązać niepodobna.

— *Rozumiem pana — odrzekłem — nie proszę też o odkrywanie mi tajemnic swoich. Ale skoro pan ma określone plany działania, przygotowuje się do wystąpienia czynnego, musi więc pan jakoś owo równanie przyszłości rozwiązywać, jeśli nie zupełnie ściśle, to jednak w jakimś dla pana osobiście przekonywującym przybliżeniu. Następnie zaś niewątpliwie plany pańskie liczyć mogą na powodzenie jedynie przy szerszym poparciu społeczeństwa, sądzę więc, że musi pan rozmawiać o nich nie tylko z ludźmi, którzy podzielają jego argumenty, ale i z takimi, którzy je przyjmują sceptycznie.*

Pan Marian uznał widocznie słowa za w pełnej mierze trafne, bo nie odmawiał już wręcz wyjaśnień i — choć niezbyt chętnie — pozwolił mi nieco zajrzeć w swoje plany. Ponieważ wiedział, iż Komisji Tymczasowej [1]) robię zarzut, że jest

[1]) Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych utworzona została w dn. 10. XI. 1912 w Wiedniu, na zjeździe przedstawicieli stronnictw niepodległościowych. W skład jej weszły następujące stronnictwa: z Królestwa Polskiego: Polska Partia Socjalistyczna, Narodowy Związek Robotniczy, Organizacja Niepodległo-

narzędziem w ręku Austrii i że jej robota jest wysługiwaniem się ostatniej i stojącym za nią Prusom, pan Marian starał się widocznie przekonać mnie, że Komisja Tymczasowa jest w celach i zadaniach swych zupełnie samodzielną. Nie zaprzeczał, że wchodzi ona w porozumienie z pewnymi sferami wojskowymi, że ma jakieś ich obietnice, ale wyraźnie zaznaczał, że działa w tych rzeczach jako sprzymierzeniec, połączony wspólnością interesów, nie zaś jako zależny pomocnik. Dalej, oddając wielkie pochwały armii austriackiej i ludziom, którzy dziś stoją na jej czele, bynajmniej się nie zachwycał polityką monarchii, przeciwnie — surowo potępiał zgubną dla państwa jej chwiejność. Uznawał zależność Austrii od Niemiec i zdecydowanie wrogie stanowisko ostatnich. Przyznawał całkowicie, że Austria nie myśli o poruszeniu sprawy polskiej, że obecny zatarg austriacko-rosyjski nie ma z tą sprawą nic wspólnego, że może być więc załagodzony jakimiś kombinacjami na Bałkanach, bez najmniejszego względu na interesy nasze.

Z tych przesłanek pan Marian wyprowadzał jednak ten wniosek jedynie, że nie należy rozpoczynać ruchu zbrojnego w Królestwie przed wybuchem wojny. Z chwilą jednak jej rozpoczęcia na ziemiach polskich naród nasz, zdaniem jego, nie może pozostać bezczynnym widzem, musi wystąpić, no i wówczas z konieczności działać będzie zmuszony jako sprzymierzeniec Austrii.

— A więc wysługiwać się Austrii z perspektywą, że cała korzyść przypadnie Niemcom, które, jak sam pan przyznawał, są naszymi zdecydowanymi wrogami i oczywiście na jakieś korzystne dla nas uregulowanie granic nie pozwolą?

— Niekoniecznie. Wystąpimy jako siła samodzielna, która przy likwidowaniu wojny, w czasie, kiedy strony wojujące będą znużone i wyczerpane, zaważyć będzie mogła na szali.

— Ale gdzież te siły samodzielne, czy za takie uważa pan te drużyny i związki strzeleckie w Galicji? Przecież to bądź co bądź garść tylko!

— Drużyny[1]) dadzą nam kilka tysięcy instruktorów,

ściowa Ludowców, Organizacja Niepodległościowa Inteligencji. Z Galicji: Polska Partia Socjal-Demokratyczna, Polskie Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Postępowe, Niezawiśli Ludowcy. W Ameryce: Komitet Obrony Narodowej (St. Zjednoczone) i Polska Komisja Wojskowa (Parana). Tymczasowa Komisja Skonf. Stronnictw Niepodległ. miała za zadanie stworzyć oparcie polityczne dla ruchu wojskowego, kierowanego przez Piłsudskiego.

[1]) Winno być «Związki i Drużyny Strzeleckie».

którzy mogą sformować liczną armię, jeśli społeczeństwo polskie tego zechce.

— *Ależ dla formowania armii potrzebne jest terytorium, na którym się może ona organizować, no i broń!...*

— Rosja w czasie wojny ma zamiar wycofania swych wojsk z Królestwa, Austria nie ma zaś ani potrzeby, ani możności obsadzenia całego Królestwa wojskiem. Będzie więc terytorium, przez nikogo niezajęte, i tam nasi instruktorowie rozpocząć będą mogli swoją robotę. O broń trudno nie będzie — to pewna.

— *I sądzi pan, że Prusy będą na to wszystko patrzały obojętnie?*

— Wojna będzie europejska, albo jej wcale nie będzie. Otóż Prusy będą miały dość roboty na froncie zachodnim i na obsadzenie Królestwa lub wojowania z Rosją nie starczy im sił. Przypuszczam, że co najwyżej zajmą gubernię Płocką dla postawienia oddziału obserwującego przed Modlinem i dla zabezpieczenia swych komunikacyj.

— *Gazety galicyjskie pisały podobno o silnym wrzeniu w Królestwie. Musi pan chyba jednak wiedzieć, że tak nie jest. Ludzie, zajmujący się polityką w Królestwie, wojny bynajmniej nie pragną, przewidując, że może ona wydać jedynie szkodliwe wyniki, nowe rozćwiartowanie ziem polskich, bynajmniej dla sprawy narodowej niekorzystne. Ogół zaś w Królestwie daleko bardziej zajęty jest sprawą żydowską, niż wojną.*

— Przyznaję, że Królestwo nie jest przygotowane ani organizacyjnie, ani psychicznie. Osobiście wolałbym też, by wojna wybuchła nie teraz, ale to od nas nie zależy. Dalej zaś, warunki, w których żyje Królestwo, są tak ciężkie, że w razie wybuchu wojny nie wątpię, po której stronie znajdzie się ogół. Żadne polityczne rachuby tu nic nie poradzą.

— *Jest pan stanowczo przekonany o zwycięstwie Austrii i o pomyślnych dla nas wynikach z tego?*

— Każdy czyn jest ryzykiem. Szanse są, wszystko jednak ostatecznie od samych Polaków zależeć będzie; zapewnić mogę tylko, że my spełnimy to, co za swój uważamy obowiązek.

— *Skierowujecie całą młodzież, pozostającą pod waszymi wpływami, wyłącznie na drogę militarną. Cóż z niej będzie, jeśli do wojny nie dojdzie?*

— Wiele z niej istotnie zmarnuje się zupełnie... szkoda będzie wielka... ale trudno!...

Dalsza rozmowa stawała się bezcelowa. Plany pana Ma-

riana i towarzyszy zarysowały się w głównych zarysach wyraźnie. W żadne polemiki wdawać się nie chciał. Po parogodzinnej rozmowie z wielkim ciężarem w duszy pożegnałem pana Mariana... [1])

LIST DO HIPOLITA ŚLIWIŃSKIEGO

List poniższy wydrukował po raz pierwszy Michał Janik, op. cit. Jakkolwiek daty dnia list ten nie posiada, z treści wynika, że napisany został 2. III. 1913, gdyż w tym dniu odbywały się pod Lwowem na terenie wsi Stawczany-Basiówka pierwsze, wspólne ćwiczenia Związków i Drużyn Strzeleckich, kierowane przez Piłsudskiego.

Kochany Panie Hipolicie!

Z powodu rozlewu rzek na terenie ćwiczeń musiałem cofnąć zarządzenia wydane. Obecnie ćwiczenia będą miały miejsce koło wsi B a s i ó w k a (droga na Skniłów). Wobec tego prawdopodobnie, jadąc powozem, wyprzedzicie kolumnę, idącą do ataku, i potem będziecie przejeżdżali linię forpoczt przeciwnika, proszę Was i jadących z Wami, aby nie dzielić się z forpocztami swymi wrażeniami co do przeciwnika. Serdeczne pozdrowienie. Paniom rączki całuję.

sługa J. Piłsudski.

---

[1]) W dniu 9. IX. 1936, obecny przy rozmowie Piłsudskiego z Hłaską Walery Sławek złożył do archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego relację następującej treści:

«Przy tej rozmowie byłem obecny. Józef Hłasko streścił ją mniej więcej dobrze. Charakter jej był jednak może bardziej szczery, niż to z relacji wynika. Rozmawiali jak dawni znajomi z Wilna.

Hłasko opuścił końcowy fragment rozmowy, którego sens był następujący:

Hłasko: A co pan myśli o szansach stron przyszłej wojny europejskiej?

Piłsudski: Wydaje mi się, że przewaga techniki niemieckiej pokona Rosję, że jednak bogactwo i zasoby materialne Anglii i Francji wezmą górę nad siłami Niemiec. To, rzecz prosta, byłoby najkorzystniejsze dla nas, ale trudno jest bawić się w zgadywanie wyników wojny».

SPRAWOZDANIE WYGŁOSZONE WOBEC OFICERÓW STRZELECKICH

Sprawozdanie Józefa Piłsudskiego, złożone 1. VI. 1913 w Krakowie zostało zanotowane przez oficera Z. W. C. Juliana Stachiewicza i zatytułowane: «Sprawozdanie Obywatela Komendanta Głównego Mieczysława[1]*) wobec oficerów Związków i Drużyn Strzeleckich w Krakowie dnia 1. VI. 1913 z okresu jego komendy głównej nad polskiem polskim». Notatki swoje Stachiewicz zaopatrzył w uwagi: «Sprawozdanie to zostało spisane z pamięci — dlatego w nim mnóstwo niedokładności i niedopatrzeń». Po raz pierwszy ogłosił je w dłuższych fragmentach Julian Stachiewicz w pracy p. t. «Polskie plany mobilizacyjne przed wojną światową», zamieszczonej w t. VIII «Niepodległości». całość zaś, według tegoż notatek, po raz pierwszy wydrukowana została w tomie Dodatkowym «Pism — Mów — Rozkazów», skąd została obecnie przedrukowana.*

W chwili wybuchu wojny bałkańskiej [2]) i utworzenia się Komisji Tymczasowej nastrój na ziemiach polskich był nastrój na ziemiach polskich był następujący: zabór pruski, jak zwykle, zachowywał się biernie. Względnie silnie, później zaś nadspodziewanie silnie objawiał się nastrój rewolucyjny w zaborze austriackim. Natomiast w zaborze rosyjskim — w Królestwie, które miało być terenem naszej wojny, gdzie nastrój powinien był być najsilniejszy, panował zupełny spokój, spokój bodajże większy, niż w zaborze pruskim. Był to największy brak, błąd zasadniczy, który był rzeczą rozstrzygającą we we wszystkich naszych pracach. I dlatego sam plan rozpoczęcia, zamiast form najnaturalniejszych, jakie wojna rewolucyjna przybierać powinna, tj. powszechna rewolucja, musiał mieć formy zupełnie inne. Należało się zdecydować na agitację post factum, agitację wojną, tj. przekroczenia granicy z pewnym stosunkowo znacznym oddziałem i prowadzenie czegoś w rodzaju wojny regularnej i tą wojną rozagitować i roznamiętnić ludność Królestwa i wzniecić wojnę partyzancką.

Co do jakości materiału ludzkiego: najlepszym materiałem są wojskowi. Pod tym względem dosyć źle przedstawiał się zabór austriacki. Ze względu bowiem na to, że nie moglibyśmy masowo zabierać czy zachęcać do szeregu ludzi, służących w szeregach austriackich, procent tych wojskowych w na-

---

[1]) Mieczysław — ps. Józefa Piłsudskiego w Związku Strzeleckim.

[2]) Mowa o wojnie 1912 r. między Turcją a koalicją państw bałkańskich.

szych szeregach byłby bardzo mały. Najlepiej pod tym względem przedstawiał się zabór rosyjski, gdzie jest najmniejszy procent ludzi zdolnych do noszenia broni, gdzie również — ze względu na ciężkość maszyny mobilizacyjnej — największy procent zaciężnych może zbiec.

Stosując się do powziętego z góry planu, należało w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę na Galicję. I tu praca dawała nadspodziewane wyniki. Związki i Drużyny Strzeleckie dały większą znacznie ilość ludzi, niż przypuszczano w najlepszych nawet myślach. Ogromna ta cyfra, możność zupełnego zakonspirowania ruchu, dawała jednak poważne niebezpieczeństwo: prowadziła do wytworzenia iluzji armii regularnej, kiedy faktycznie był to materiał, mimo zorganizowania go, wielce niepewny. Najpewniejszym był tu materiał stolic Lwowa i Krakowa, inne organizacje na pewno nie dałyby w momencie mobilizacji tej cyfry, jaką wykazywały na papierze. Przy tym nasza mobilizacja była wielkim znakiem zapytania; byliśmy zależni w tym wypadku od zarządzeń mobilizacyjnych austriackich i bardzo być może, że nie moglibyśmy w momencie naszej mobilizacji korzystać z całego aparatu technicznego — kolei, telefonów, telegrafów itd., zajętych przez wojskowość austriacką.

To wszystko nie pozwalało na zabawkę w iluzję armij regularnych, a zmuszało do zdania się na zasadniczą cechę wojen rewolucyjnych: improwizację organizacji, skoro nie było wiadomo, z jaką ilością ludzi i jakim materiałem spotkamy się na punkcie zbornym.

Podstawową cechą organizacji miały być kadry kompanijne po 150 ludzi, któreby później, na placu walki, rozszerzały się i rozwijały w większe jednostki. Później jednakże, po zrewidowaniu możliwości stawienia się ludzi, zmodyfikowano to postanowienie, i następny plan obejmował już kadry kadrów kompanijnych, gdzie kompania kadrowa miała liczyć 60—64 ludzi.

Te kompanie miały być w początkowych fazach naszej wojny podstawową jednostką naszej organizacji.

Co się tyczy czasu wyruszenia, to niewątpliwie w interesie przypadkowych naszych sprzymierzeńców — Austrii i Prus — leżało, aby nasz ruch rozpoczął się jak najpóźniej. Taka jest bowiem strategia wszelkich wojen regularnych, aby naprzód rzucić rzeczy najpoważniejsze, a później dopiero wszystkie dodatki. W naszym jednakże interesie nie leżało to najzupełniej: gdybyśmy bowiem — jak to proponowali niektórzy, nawet sympatyzujący z nami polscy politycy — wycze-

kiwali, która też strona z walczących armij zaborczych zwycięży, narazilibyśmy się na to, że ruszalibyśmy w pole wtedy, kiedy państwa zaborcze byłyby po wojnie i kiedy Rosja miałaby rozwiązane ręce i mogła na nas rzucać znaczne siły.

Co do miejsca, w którym przekraczalibyśmy granicę, to trudno jest z tego miejsca o tym mówić. W każdym razie dążeniem naszym być powinno, ażeby wybrać tę linię poruszeń, która przede wszystkim daje gwarancję, że dostarczy największej ilości ochotników. W tym względzie jednak bylibyśmy niestety z konieczności zależni od ruchów naszych sprzymierzeńców.

Organizacja i rozdział ról kierowniczych we wszelkich planach ogromnych nastręczała trudności. Przede wszystkim sztab: przy organizowaniu sztabu nie mogliśmy opierać się na wzorach armij regularnych, które pod tym względem dalekie są od ideału. Ideałem sztabu jest to sztab taki, któryby potrafił wprowadzać w czyn i konkretyzować myśli i plany wodza. Wódz bowiem tylko wtedy może brać odpowiedzialność i dawać gwarancję, jeżeli jest mu zostawiona pełnia woli indywidualnej i absolutny brak wchodzenia w jego funkcje kogokolwiek bądź. Ale też z tego powodu sztab musi się składać z ludzi, których wódz zna doskonale, ażeby mógł dobrze wiedzieć, co komu może dać. W tym też względzie i wskutek tego Drużyny były ogromnie w porównaniu ze Związkiem poszkodowane.

I z tych, dobrze mi znanych, ludzi mogłem z ogromną trudnością dobierać odpowiednie siły. Najmniej stosunkowo trudności nastręczał wybór ludzi do jego działu operacyjnego i kwatermistrzostwa generalnego.

Natomiast już drugi dział, dział wywiadowczy, niesłychanie był trudny. Rolę kawalerii wywiadowczej spełniałyby u nas oddziały partyzanckie, walczące przed naszym frontem, oddziały, których kierownictwo wymaga nie tylko wiedzy wojskowej, lecz również doskonałej znajomości terenu i ludzi, świetnych zdolności organizatorskich. A ludzi, którzyby jednoczyli w sobie wszystkie te zalety, u nas brakło.

Dział trzeci — służby łączności, musiałby u nas inaczej zupełnie wyglądać, niż w armiach regularnych. W armiach regularnych oficerowie, przyzwyczajeni do wprost mechanicznego spełniania wszystkiego, co jest obowiązkiem, mogą też myśleć i starać się o rzeczy, nie obowiązujące bezwzględnie. U nas natomiast cały wysiłek kierowników skupiłby się na spełnianiu rzeczy koniecznych. Dlatego też pod tym jedynym względem naśladowałby Langiewicza: stworzyłby specjalnych

ludzi, których zadaniem nic innegoby nie było — jak służba łączności.

Na niezwykłe trudności natrafiał również dział intendentury. W dziale tym mogliby pracować ludzie, najzupełniej nie znający się na rzeczach wojskowych, za to poważni, dający gwarancję ścisłości i punktualności. Tych zaś ludzi znaleźć było bardzo trudno.

Co do oficerów liniowych, to najzupełniej nie krępowałbym się tymi stopniami, które dziś w organizacjach dzierżą różni ludzie. Sambym miał zdać egzamin i przy tym egzaminie, gdybym spostrzegł, że nie dam sobie rady, bez wahania ustąpiłbym ze swego stanowiska. Takiej samej surowości jednak wymagałbym również od podwładnych mi oficerów. I bez wahania degradowałbym pułkownika, gdyby się okazał niezdolnym, na szeregowca i przeciwnie, z szeregowca zrobiłbym pułkownika; tylko w ten sposób bowiem można wyzyskać, przy naszym, słabym stosunkowo wykształceniu wojskowym, zdolność wszystkich naszych ludzi.

Finanse przedstawiają się fatalnie. Początkowym dążeniem było wystawić oddział zupełnie umundurowany i wyekwipowany kosztem społeczeństwa. Społeczeństwo to jednak było tak skąpe, że musiano zaprowadzać ekwipowanie najgorszą metodą, jaka w takich wypadkach istnieć może, tj. drogą prywatnego nakładu poszczególnych członków.

Średnio dysponował Komendant 3000 koron miesięcznie. Z wydatków wynosiły: robota wywiadowcza plus minus 6000 koron, przygotowania w Królestwie plus minus 8000 koron itd.

Pod tym względem istotnie byliśmy w położeniu bez wyjścia.

Kwestia broni: fabryki styryjskie odmawiały dostawy ze względu na zapotrzebowanie armii. Możliwość zamówienia broni była jedynie w fabrykach belgijskich, ale znowu dostawa tej broni stawała się rzeczą problematyczną. Przy tym nie było pieniędzy, nie można się było krępować żadnym terminem. Wobec tego postanowiłem broń tę otrzymać od Austrii — albo dobrowolnie, albo siłą.

S t a n d z i s i e j s z y. Nie ma w armii nic fatalniejszego, jak kierownictwo kollektywne. Z drugiej zaś strony dowódca nad dwiema organizacjami, z których każda ma swego dowódcę z pełnią władzy wykonawczej, jest iluzją dowódcy, a nie wodzem faktycznym [1]). Dlatego Mieczysław zrzekł się ko-

[1]) 15. XII. 1912 w następstwie utworzenia Kom. Tymcz. Skonf. Str. Niepodl. Drużyny Strzeleckie poddały się pod komendę Józefa Pił-

mendantury i przy Komisji Tymczasowej został utworzony Wydział Wojskowy, składający się z 3 członków Związku i 3 Drużyn.

LIST DO HIPOLITA ŚLIWIŃSKIEGO

Przedruk z książki Michała Janika, op. cit.

Lwów, 11. VII. 1913.

Wielmożny Panie Pośle!

Żałuję, żem się z Panem przed jego wyjazdem nie widział, gdyż zawsze rozmowa, powtórzona chociażby przez tak pewne usta, jak mego pomocnika, nie zastąpi osobistego porozumienia się.

W tym wypadku byłoby to tym bardziej pożądane, że te informacje, których mi Pan udzielił, stoją w silnej sprzeczności z tym wszystkim, co do mnie dochodzi z różnych stron, a co, zamiast zwiastować nam erę pomyślności, odwrotnie — zwiastuje różne mniejsze czy większe burze, a w każdym razie niepogodę.

Więc przede wszystkim już w całym korpusie przemyskim odebrano wszystkim bez wyjątku stowarzyszeniom — nawet ze szkół rządowych — karabiny i kazano z koszar wydawać je jedynie dla strzelania na strzelnicach, więc w żadnym razie na ćwiczenia z nimi w polu. Teraz kursują uporczywe pogłoski, że będzie zarządzona nagła rewizja w lokalach stowarzyszeń z poszukiwaniem broni, dla której nie ma upoważnienia czy to ze strony wojska, czy też ze strony policji w postaci «Waffenpassów», które, jak wiecie, mogą mieć tylko osoby prywatne, nie stowarzyszenia. Już obecnie «Sokół» [1]) prawdopodobnie w czas ostrzeżony, wydał polecenie chowania wszelkich rekwizytów wojskowych, aby przy tej rewizji nie uległy konfiskacie, a towarzystwa — rozwiązaniu. Wiadomości tej samej treści dochodzą do mnie ze wszystkich stron, gdyż żandarmeria ma po temu jakieś tajne okólniki, z powodu których chodzą i rozpytują o sprawy z bronią związane. Stąd wynika, że pierwszą i główną sprawą dla mnie jest stwierdzenie, czy te wszystkie groźby mają podstawę i czy muszę za-

---

sudskiego, którego Tymcz. Kom. Skonf. Stron. Niep. wyznaczyła na komendanta sił wojskowych przy K. T.

[1]) «Sokół» — stowarzyszenie, mające na celu rozwój fizyczny społeczeństwa. «Sokół» pozostawał pod znacznymi wpływami Nar. Demokracji.

rządzać jakiekolwiek środki zaradcze i ostrożności na podobieństwo Sokołów.

Jeżeli w obecnym czasie będziecie mieli, Panie Pośle, jakąkolwiek gawędę z ludźmi miarodajnymi, to sądzę za wskazane zrobić ich uważnymi na sprawy następujące:

a) Nie ma wątpliwości, że w szerokich kołach całego świata w ogóle i u nas w szczególności wypadki ostatnich dwóch lat wywołały pewną depresję w sprawach wszelkich, związanych z austrofilstwem. Pewien brak siły w polityce, zawody polityki austriackiej nie mogły nie wzmocnić wszystkich tych, którzy dla Austrii byli wrogami lub niechętnymi. Specjalnie w Polsce, gdzie opinia wciąż się wahała pomiędzy antirosyjską a antipruską polityką i nastrojem, j e d y n ą ostoją antirosyjskości była wzmocniona przez protekcję ruchu militarnego nadzieja, że jednak, pomimo wszystko, siły polskie mogą znaleźć swój wyraz właśnie z powodu oparcia się o Austrię, chociaż ta jest związana z Prusami. Była to jedyna, powtarzam, ostoja i oparcie dla obliczeń, która powstrzymywała i powstrzymuje dotąd żywiołowy narost prądów przeciwnych, skierowujących nadzieje polskie na wschód do Rosji, czy też na zachód do Francji — istnienie jakoby nacisku francuskiego dla wywołania zmian w polskiej polityce rosyjskiej.

b) Wobec tego zmiana w tej sprawie i prześladowanie — a za takie przez opinię przyjęte będzie wszelkie zmniejszenie praw i przywilejów ruchu wojskowego — wywołać musi rozgoryczenie wśród stronników, tryumf wśród przeciwników, którzy zawsze powoływać się będą na «mala fides austriaca» [1]).

c) Już obecnie w zasadzie te przywileje zostały zmniejszone — broń prawie przestali wydawać, raz po raz robią ograniczenia co do ćwiczeń w polu, niechęć władzy i jej przedstawicieli do stowarzyszeń wojskowych jest dla każdego widoczną — lecz jeszcze, dzięki inercji z poprzedniego, kryzysowego roku, dzięki taktowi, z którym się interpretuje te sprawy, jako wynik wewnętrznej walki stronnictw w łonie samego społeczeństwa polskiego, jeszcze teraz jako tako daje się utrzymać — chociaż już z wielką trudnością — legenda o możliwości współdziałania ruchu polskiego z Austrią podczas wojny.

d) Wobec tego byłoby pożądane, żeby zmieniono osławiony okólnik ministra spraw wewnętrznych, który tyle szkody zrobił, lub co najmniej, żeby nakazano stosować go

---

[1]) Zła wola austriacka.

możliwie łagodnie, gdyż i do tego się nadaje z powodu sprzeczności i niejasności, które go charakteryzują.

e) Zaniechano wszelkich widocznych dla każdego szykan, jako to rewizyj w lokalach, czepiania się na ulicach oddziałów maszerujących, odbierania im broni, szukania «Waffenpassów», nakazu chodzenia z karabinami bez zamków itd., tych drobnych ukłuć, które stanowią codzienne życie zeszłego roku i które wprowadzają obie strony — władze i strzelców — w stan zdenerwowania i rozdrażnienia, co naturalnie przy dłuższym trwaniu nie inne daje skutki, jak przeświadczenie, że jest pomiędzy nimi stan wojny, dyskredytujący głęboko wyżej wzmiankowany autorytet oparcia nadziei na lepszą przyszłość na współdziałaniu z Austrią.

f) Natomiast, jeśli to potrzebne, zobowiązuję się na czas wyborów [1]) — wrzesień — wycofać ze wsi i drobnych miasteczek, gdzie kontrola władzy strzeleckiej jest mniejsza, a roznamiętnienie łatwiejsze, wycofać wszelką broń, nawet zdefektowaną, aby i pozorów nie było, że w tym czasie mogłaby być użyta broń. Dodam, że sam absolutnie nie wierzę w te idiotyczne strachy, rozpuszczane przez wrogów ruchu wojskowego.

Jak widzicie, Panie Pośle, nie żądam niczego, coby było dalszym rozwojem naszej sprawy, żadnych pozytywnych rzeczy nie stawiam, tylko same negatywne — niech to będzie dla Pana świadectwem, w jakim jestem nastroju.

Gdybym go szczerze chciał określić, to powiedziałbym, że tak jestem zmęczony rokiem ubiegłym z drobnymi i głupimi szykanami ze strony władzy, z niepewnością każdego jutra, z niepewnością, czy mi danym będzie skończyć najmniejsze ćwiczenie, które rozpoczynam — dosyć powiedzieć, że we Lwowie przez parę miesięcy musiałem zakazać wszelkich ćwiczeń — że nieraz sobie myślę, niech się to raz skończy, niech wyraźnie Austria sprowokuje opinię naszą i zmusi nas do porzucenia mrzonek o możliwości przygotowań prowadzonych serio pod opieką tego państwa. Wówczas z konieczności pójdzie wszystko gorzej pod względem technicznym, wzrośnie niechybnie sojusz z żywiołami opozycyjnymi i rewolucyjnymi w Rosji i naturalnie nadzieje polskie może bezpowrotnie, może na długi czas wrócą do stanu z 1904—1908, gdy nikt pod uwagę nie brał niezgody Austrii z Rosją, a szukał wyjścia w reformowaniu i przebudowie państwa rosyjskiego.

---

[1]) Mowa o wyborach do Sejmu galicyjskiego i o wyborach uzupełniających do parlamentu austriackiego w Wiedniu.

Na razie przede wszystkim idzie mi o szkołę letnią [1]), gdzie ściągam do 200 ludzi, przeważnie z zaboru rosyjskiego, dla ugruntowania sprawy strzeleckiej po tamtej stronie kordonu i która, gdy przechodzi bez szykan, pozostawia u wszystkich wrażenie, że dzieje się to za zgodą Austrii, zatem wzmacnia prąd opierania się o nią, odwrotnie wszelka szykana doprowadza łatwą do zmiany opinię do wręcz odwrotnych rzeczy. W przeszłym roku uważano za stosowne taką szykanę zastosować w Zakopanem — i z pewnym trudem dało mi się w umysłach zatuszować tę sprawę, w tym roku, po roku szykan i ukłuć, będzie to zupełnym niepodobieństwem.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania

sługa J. Piłsudski.

ORIENTACJA PANA BALICKIEGO

«Przegląd Narodowy» ogłosił w maju i czerwcu 1913 r. cykl artykułów p. t. «Dezorientacja austriacka» pióra Zygmunta Balickiego, czołowego przedstawiciela Narodowej Demokracji. W artykułach tych Balicki występował b. gwałtownie przeciwko niepodległościowemu i wojskowemu ruchowi, kierowanemu w Galicji przez Piłsudskiego, przedstawiając ruch ten jako dzieło prowokacji płk. austr. Redla, zdemaskowanego jako szpiega rosyjskiego. W odpowiedzi na artykuły Balickiego, Piłsudski zamieścił w krakowskim «Naprzodzie» z dn. 30. VII. 1913 r. odpowiedź pod tytułem «Orientacja pana Balickiego».

Jeden z przewódców Narodowej Demokracji i zarazem teoretyk jej myśli politycznej wystąpił w «Przeglądzie Narodowym» z artykułami o «dezorientacji austriackiej», w których to artykułach skrytykowane jest wszystko: Austria i jej polityka, społeczeństwo polskie, Komisja Tymczasowa, Związki Strzeleckie itd. Naturalnie, zdrowym, rozsądnym i mądrym okazał się przy tym tylko p. Balicki i najbliższe koło jego przyjaciół, którzy są «ośrodkiem kierowniczym, stanowiącym istotny rdzeń życia narodowego».

Dopóki p. Balicki przedstawiał jedynie swe mądre lub niemądre — jak kto sobie życzy — rozważania o własnej orientacji, a cudzej dezorientacji, wszystko było w porządku. Wolno każdemu za pomocą artykułów ratować skołataną nawę ojczyzny, ile się komu podoba. Sposób w jaki to robi p. Balicki,

---

[1]) Mowa o letniej szkole Związku Strzeleckiego, otworzonej w dn. 1. VIII. 1913 w Stróży w Galicji Zachodniej.

jest, co prawda, równie mało skuteczny, jak praca w Dumie petersburskiej [1]), ale to rzecz smaku i gustu. Osobiście nie uważałbym nawet za potrzebne prowadzić z nim w tej materii polemiki i przeciwstawiać mu swoje rozważania orientacyjne. Od czasu upadku Rzeczypospolitej zawsze był niekiedy silny, niekiedy słaby prąd, chrzczony obecnie nazwą moskalofilstwa, prąd, który zawsze siebie uważał za czynnik odpowiedzialny, «ośrodek kierowniczy, stanowiący istotny rdzeń życia narodowego», gdyż inny «ośrodek kierowniczy», przez rząd moskiewski nigdy tolerowanym nie był. I praca p. Balickiego pozostałaby dla mnie jeszcze jedną mniej czy więcej udatną lub nieudolną próbą rozkrzewienia tego prądu w naszym społeczeństwie.

Lecz p. Balicki w czerwcowym numerze swego pisma wystąpił w całkiem już innej roli. Oto przez poświęcenie dla ojczyzny przedzierżgnął się w skórę genialnego detektywa i jako polski Sherlok Holmes wykrył w ruchu powstańczym «grę zakulisową, odwracającą często na nice ocenę zjawisk życia politycznego, a zarazem wyjaśniającą niektóre zagadki w ich przebiegu, trudne do zrozumienia, o ile się nie posiada odpowiedniego klucza do ich rozwiązania». Niechybnie p. Balicki nie we wszystkim w tej sprawie jest oryginalnym, różne rzeczy podpowiedziały mu «wróble na dachach galicyjskich», dwugroszówka warszawska [2]), pewne wiadomości o strategicznych planach austriackich zaczerpnął, jak skromnie twierdzi, «skąd inąd», wreszcie wszystko uzupełnił swą genialną metodą dedukcyjną, stanowiącą chlubę wszystkich Sherlok Holmes'ów.

Kluczem, rozwiązującym wszystkie zagadki ruchu niepodległościowego i organizacyj strzeleckich, jest nie co innego, jak znana afera szpiegowska osławionego Redla [3]). W Polsce bowiem, gdzie istnieje taki śliczny okaz «rdzenia życia narodowego», jakim jest p. Balicki i Dmowski [4]), nie może być mowy o ruchu powstańczym i niepodległościowym i, naturalnie, dla wyjaśnienia tak potwornego zjawiska w życiu ujarzmionego narodu polskiego trzeba sięgnąć przede wszyst-

[1]) Duma — rosyjski parlament, zaprowadzony w Rosji w rezultacie przegranej wojny rosyjsko-japońskiej i rewolucji 1905 r.

[2]) «Gazeta Poranna, 2 grosze», dziennik narodowo-demokratyczny, wychodzący przed wojną światową w Warszawie.

[3]) Płk. austriackiego szt. gen. Redl pracował na rzecz wywiadu rosyjskiego. Po zdemaskowaniu odebrał sobie życie. «Afera Redla» była głośna na cały świat.

[4]) Roman Dmowski, teoretyk i przywódca obozu narodowo-demokratycznego.

kim do obcych narodów, a jeszcze lepiej — brudnych i wstrętnych źródeł. Tylko bowiem z takiego źródła płynąć może tak ohydny prąd, jak dążenie do wywalczenia niepodległości Polski...

Nie hipoteza już, lecz dedukcyjne twierdzenie Sherloka Holmes'a-Balickiego, jest następujące: Redl przede wszystkim był Żydem i poprzednio nazywał się Redlichem. Oprócz tego był pułkownikiem i szefem biura ewidencyjnego, czyli, według twierdzenia p. Balickiego, szpiegowskiego w austriackim sztabie generalnym. Będąc zarazem na usługach rządu rosyjskiego — więc podwójnym szpiegiem — zajął się zorganizowaniem ruchu strzeleckiego w Galicji: «był faktycznym, chociaż ukrytym, organizatorem Związków i Drużyn strzeleckich w Galicji». Z chwilą zawiązania Komisji Tymczasowej Redl, naturalnie, stał się jej inspiratorem. «Nie ulega wątpliwości, że utrzymywał nader ożywione stosunki z «Komisją Tymczasową» zarówno w Wiedniu, jak i podczas swych wycieczek samochodowych do Krakowa». Redl robił wycieczki i do Warszawy, gdzie «widywał się zapewne z tymi, którzy przez swą naiwność i głupotę mieli mu ułatwić sprzedanie polskiej skóry na austriacki bęben».

Niedość tego, p. Balicki, «znając skąd inąd stanowisko, jakie zajmował właściwie sztab generalny austriacki w sprawie uzbrojonych oddziałów powstańczych», wykrył za pomocą swej genialnej metody, à la Sherlok Holmes, że Redl, stojąc na czele biura ewidencyjnego, plany te zmienił w swej istocie i nadał im cechy, jeszcze bardziej zgubne dla Polski.

Wyznam, że wiedza strategiczna w tym wypadku p. Balickiemu nie dopisała. Pomimo, że widocznie jest niesłychanie blisko i dokładnie zaznajomiony ze wszystkimi szczegółami zbrodniczej działalności Redla, pewniejszym się jednak czuje w zrozumieniu jego wspólnej pracy z «Komisją Tymczasową», niż jego działalności jako oficera sztabowego. W tym wypadku wyjaśnienia jego są mętne i dosyć trudno zrozumiałe. Zresztą to niezrozumienie moje, być może, jest wynikiem mojej, znacznie mniej dokładnej, w porównaniu z p. Balickim, znajomości danych o strategii sztabu austriackiego i intrygach w tej dziedzinie pułkownika Redla. P. Balicki tymi danymi rozporządza, więc trudno mu nie wierzyć! Ba! wie on nawet o dacie, gdy sztab austriacki zaniechał «wywołania powstania w Królestwie, niezależnie od wojny». Stało się to latem 1912 r.!

Wreszcie Redl popełnił jeszcze jedną zbrodnię w stosunku do narodu polskiego. Będąc sam Żydem, wciągnął do akcji powstańczej innych Żydów, jak to posłów: Aschkena-

zego [1]), Diamanda, Löwensteina [2]) i literata Feldmana [3]) Po takich odkryciach p. Balicki dochodzi do niezbitego wniosku, że «akcja powstańcza w ścisłym tego słowa znaczeniu była inspirowana i patronowana przez Redla, a więc była dziełem prowokacji».

Przede wszystkim jedna uwaga. Nie ma chyba na świecie prasy, tak źle obsłużonej i tak tandetnej, jak polska. Jednym z przykładów tego twierdzenia jest właśnie afera Redla. Ileż to potwornych baśni wysypano na stół w tej aferze bez żadnego zdania sobie sprawy ze zwyczajnych zasad organizacji wojsk w ogóle, a austriackich w szczególe! Przeszukałem umyślnie schematyzm wojskowy—źródło dostępne dla wszystkich, nie rozporządzam bowiem wyjątkowymi źródłami informacyj, jak świergotanie wróbli na dachach lub wieściami «skąd inąd». Znalazłem, po pierwsze, że szefem biura ewidencyjnego przez cały czas, inkryminowany przez publicystów pokroju p. Balickiego, był wcale nie Redl, lecz podpułkownik, później pułkownik Ritter von Ostrymiecz Urbański, nazwisko, o ile mi się zdaje, nie żydowskiego pochodzenia. Następnie Redl był w centralnym sztabie austriackim jednym z oficerów, którego specjalna praca, niestety, w schematyzmie nie jest wyszczególniona, a nie mając talentów Sherlok Holmes'a, nie ośmielę się w tej sprawie postawić jakiejkolwiek hipotezy. Służba Redla w sztabie generalnym kończy się w początku 1911 r., gdzie zgodnie z prawami, regulującymi służbę oficerów sztabu, Redl przechodzi, jako podpułkownik, do 99 pułku piechoty. Stamtąd dopiero, jako pułkownik, już w 1912 r. posunięty jest na stanowisko szefa sztabu jednego z 16 korpusów armii austriackiej, mianowicie VIII korpusu w Pradze, gdzie wreszcie zostaje zdemaskowany.

Powtarzam, biorę te dane ze źródeł, dostępnych dla każdego i łatwych do sprawdzenia. Powierzchowna zaś nawet znajomość z systemem pracy sztabów wojskowych w ogóle, a tak scentralizowanej armii, jaką jest austriacka, w szczególe, nie pozwoli nikomu na zabawne twierdzenie, by podpułkownik któregoś pułku piechoty mógł odgrywać jakąkolwiek rolę przy układaniu strategicznych planów wojny, albo by oficerowi w Pradze pozwalano na mieszanie się do stosunków czy prac

[1]) Aszkenaze Tobiasz (1863—1920), działacz polityczny, poseł do Sejmu galicyjskiego.

[2]) Loewenstein Natan, poseł do parlamentu wiedeńskiego, działacz polityczny.

[3]) Feldman Wilhelm (1868—1919), wybitny krytyk literacki i publicysta.

na terenie innych korpusów lub odwrotnie. Śmiem twierdzić, że nawet, gdy taki oficer jest Żydem, a działalność jego stoi otworem dla świergoczących wróbli i publicystów narodowo-demokratycznych, nawet wtedy wpływy jego nie mogą być tak wszechpotężne i szerokie.

Nie piszę tego dla p. Balickiego. Nie sądzę bowiem, by ludzi, świadomie «odwracających na nice» prawdę i fakty, mogło cokolwiek przekonać. Konstatuję te fakty dla tych, którzy czytują różne brednie tandetnie obsługiwanej prasy polskiej. Dla nich zrobię jeszcze jedno zestawienie.

Pierwszy Związek Strzelecki w Galicji rozpoczął swe istnienie we Lwowie w końcu 1910 r., akurat prawie przy końcu służby Redla w sztabie generalnym wiedeńskim. Rozpoczął zaś swe istnienie w tak skromnych rozmiarach, że — doprawdy nie zasługiwał wcale nawet na alarm wróbli na dachach domu naftowego na Chorążczyźnie we Lwowie [1]), a cóż dopiero na machiawelską intrygę Żydów czy szpiegów rosyjskich. Po prostu nie zajmowano się nim wcale. Cały zaś rozwój organizacyj strzeleckich, rozwój, bardzo mało popierany przez wojskowość austriacką, jak to słusznie wykazał poseł Daszyński w jednej ze swych mów parlamentarnych, następuje dopiero w roku ostatnim, w roku kryzysowym. Wtedy zaś Redl jest służbowo zajętym zdala od Galicji i jej stosunków.

Papierów, zabranych w mieszkaniu Redla, i jego przedśmiertnego zeznania nie czytałem, więc twierdzić nie jestem w stanie, czy i ile miejsca poświęcił on w nich Komisji Tymczasowej czy ruchowi strzeleckiemu.

Świergotały o tych sprawach w istocie wszystkie wróble na dachach galicyjskich, mógł o tym zbierać informacje każdy płatny czy niepłatny przyjaciel rządu rosyjskiego i, jeżeli to Petersburg czy warszawską ochranę interesowało mocno, mógł to niewątpliwie czynić i Redl, naturalnie, przy stosunkach, jakie miał, z większym znacznie powodzeniem, niż inne Sherlok Holmes'y. Lecz jakże to związać z twierdzeniem o kierownictwie szefa sztabu korpusu praskiego ruchem irredentystycznym w Polsce? Wyznać trzeba, że brednie podobne są w istocie śmieszne i przede wszystkim ubliżające wiernej aliantce p. Balickiego — Rosji. Jakto? Wojna ciężka, wojna z ogromną potęgą militarną austro-pruską wisi na włosku, Rosja ma w swym ręku człowieka, jeśli nie posiadającego, to zbliżonego do tajników poruszeń milionowych armij, tajniki

[1]) Tak zw. «Dom naftowy» na Chorążczyźnie — siedziba kierowniczych władz Narodowej Demokracji.

te nawet dla Redla niełatwe są do zdobycia, trzeba mozolnych nieraz i drobiazgowych dociekań w tych głównych i decydujących sprawach, a nagle mają go używać do tak względnie nikłych rzeczy, jak prowokatorskie organizowanie Związków i Drużyn strzeleckich i komunikowanie się z posłami polskimi w Wiedniu. Nie! To trzeba — jak to mówią w Galicji — na głowę upaść, aby dać wiarę tak naiwnej i śmiesznej bajce.

Sam Sherlok Holmes, pomimo swej genialności detektywa, nieco się zawahał nad ostatecznym wyjaśnieniem zagadki, po co ostatecznie Rosja miała w chwili wiszącej nad nią wojny, bardzo wątpliwej co do swego wyniku, starać się jeszcze o wywołanie ruchu zbrojnego w Polsce przeciw sobie! Zdawałoby się — i każdy zdrowo myślący człowiek to potwierdzi — daleko logiczniej byłoby Redla czy danego agenta postawić w stosunek z «rdzeniem myśli narodowej w Polsce» i starać się zgasić wszelkie iskierki dążeń niepodległościowych, chociażby dlatego, by nie mieć z tym kłopotu. Ba! Pomimo chwilowego zawahania się p. Balicki znajduje wyjście. Pisze on stroniczkę o psychologii zdrajców różnych ruchów wolnościowych, zaplątujących się we własnych sieciach, nie wiedzących nawet sami, kogo i co właściwie zdradzają i komu właściwie służą — sprawie wolności czy też jej wrogom i katom. Tak, p. Balicki, tę właśnie jedyną stronicę w swym artykule skreśliłeś pan z istotnym znawstwem i koneserstwem przedmiotu!

Tak postępował, zdaniem p. Balickiego, i Redl, służąc i jednocześnie zdradzając zarówno Austrię, jak i Rosję. I to jest jedyne wytłumaczenie tego najdziwaczniejszego kłamstwa.

Czy przy rozpatrzeniu poszczególnych cegiełek, czy rozważając logiczną konstrukcję budowy twierdzeń p. Balickiego, zawsze dojdziemy niechybnie do przekonania o nadzwyczaj lichym i kruchym materiale, użytym do niej. I cała ta Sherlok Holmes'iada p. Balickiego byłaby ogromnie zabawną w swojej naiwności, gdyby nie była przy tym i potwornie wstrętną. Niepodobna nie zapytać siebie «cui bono» skonstruował p. Balicki niecne oszczerstwo, dodając do różnych plotek i gawęd gazeciarskich w sprawie Redla swoje własne łgarstwa. Oto jeden z drobnych przykładów tej roboty.

W gazetach dużo pisano o częstych automobilowych wycieczkach Redla. Wspominano Drezno i Wiedeń. W żadnym świergotaniu wróbli galicyjskich nie wymieniano Krakowa. P. Balicki doświergotał sobie Kraków. Jego nos Sherlok Holmes'a, wietrzący ślady Redla w Polsce, doprowadził go do Krakowa, który jest u wróbli galicyjskich i warszawskich zwią-

zany z Komisją Tymczasową. Wyłazi w ten sposób szydło z worka! Za wszelką cenę Redl ma być związany z ruchem niepodległościowym, ma w nim odgrywać rolę Azefa [1]).

Powtarzam raz jeszcze, p. Balicki w niektórych tylko szczegółach potwarzy był twórcą, on jeden, zdaje się, nie czytając papierów redlowskich, na nich się opiera. Wyprzedzili go na tym polu dwugroszowi pismacy z «Gazety Porannej», «Kurjera Porannego» i «Słowa Polskiego» [2]). Jeżeli specjalnie się nim zająłem, to dlatego, że p. Balicki w tym towarzystwie usystematyzował kalumnie, podpisał je i wreszcie, że miał zaszczyt niegdyś, ten zresztą, jak wielu innych gadzinowców moskiewskich, jak Tichomirow, Zubatow [3]) itd., — walczyć w szeregach rewolucyjnych pod tym samym hasłem, na które obecnie tak haniebnie i oszczerczo brudne błoto rzuca.

ROZKAZ OKÓLNY DO ORGANIZACYJ ZWIĄZKU STRZELECKIEGO (31. X. 1913)

Zamieszczone poniżej dwa rozkazy do organizacyj Związku Strzeleckiego i do organizacyj ludowych zostały opublikowane po raz pierwszy przez Wacława Lipińskiego w «Polsce Zbrojnej» z dn. 19. III. 1931 r. w artykule p. t. «Rozkazy Józefa Piłsudskiego z lat 1912—1914». Tekst niniejszy oparty został na pierwodruku, znajdującym się w Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego.

N. 995. Komenda Główna

Ruch wojskowy, wszczęty lat temu pięć na gruncie zaboru austriackiego przez organizację naszą, stał się dziś jednym z najdonioślejszych czynników polskich. Wśród przesilenia ostatniego, gdy groza wojny europejskiej nad ziemiami naszymi zawisła, praca nasza wojskowa była jedyną ostoją dla rozpaczy i dla nadziei rodaków. Wśród zmagania się codziennego klas społecznych, partyj politycznych, nasza praca wojskowa wskazała drogę do utworzenia się solidarnego obozu niepodległości.

Dzisiaj, chociaż przesilenie minęło, na was zwrócone są

[1]) Azef Eugeniusz (1869—1918), od r. 1903 kierownik organizacji bojowej ros. socjal-rewolucjonistycznej partii i jednoczesny agent ochrany rosyjskiej.

[2]) Organa prasowe Narodowej Demokracji.

[3]) Tichomirow, Zubatow — dziennikarze rosyjscy.

oczy ogółu, oczy przyjaciół i przeciwników naszych, nawet oczy wroga. Wzięliśmy na siebie wobec narodu odpowiedzialność za przyszłą jego gotowość wojenną. Stąd większy ciężar obowiązku spoczywa na nas dziś, jak wtedy, gdyście stanowili szczupłą tylko szkołę instruktorów wojskowych. Pracujemy dziś jawnie, w warunkach zmienionych, wymagających rozwagi, przezorności, taktu. Pamiętać musimy o tym, aby utrzymać zdobyte miejsce w sympatiach społeczeństwa, aby budzić szacunek u obcych, u przeciwników naszych, nawet u przyszłego wroga.

Z powyższych względów rozkazuję:

1. Ludzie w mundurach są reprezentantami ruchu, odpowiedzialnymi jako tacy za swe zachowanie się wśród publiczności. Zachowanie się umundurowanych strzelców poddaje się łącznemu dozorowi przełożonych; postępowanie, z honorem munduru niezgodne, będzie ścigane i karane. Szczegółowe normy będą zawarte w osobnej instrukcji.

2. Ludziom umundurowanym zabrania się udziału w pracy wyraźnie politycznej. Nie oznacza to krępowania ich w politycznej działalności. Owszem, polityka wiąże się ściśle z pracą nad odrodzeniem ojczyzny; zachęcać tylko mogę do tego, aby każdy z mych podkomendnych według swego zrozumienia przyczynił się do tej pracy. Ale służba obywatelska musi być ściśle oddzieloną od wojskowej, łączącej ludzi różnych przekonań w jeden zastęp, a mundur jest właśnie godłem tej jedności wojskowej.

3. Wobec wielkiego rozrostu liczebnego organizacji naszej w czasie ostatniego przesilenia baczyć należy pilnie na utrzymanie wartości wewnętrznej naszej pracy i wystrzegać się, aby praca nie zeszła na tory złe łatwych popisów publicznych i zewnętrznych czysto efektów. Niebezpieczeństwem tym grożą obchody patriotyczne, do których kraj przywykł, tanim sposobem szerząc w społeczeństwie złudzenia co do jego gotowości i siły. Wobec tego wystąpienia uroczyste i manifestacyjne dopuszczone są tylko za moim osobnym zezwoleniem; podwładne mi oddziały oddawać się mają całkowicie intensywnej pracy wychowawczo-wojskowej, od której nie należy odrywać żołnierzy dla ubocznych celów.

4. Kilka miesięcy temu spodziewaliśmy się wojny; byliście gotowi umierać za ojczyznę. Teraz pokażecie pracą wytrwałą i gorliwą, żeście zdolni nie tylko do chwilowego porywu, że posiadacie tę siłę woli i tężyznę moralną, która jedynie zapewnić może świętej naszej sprawie niedalekie zwycięstwo!

5. Rozkaz niniejszy odczytać we wszystkich organizacjach przed frontem.

Lwów, 31 października 1913.

Komendant Główny: Mieczysław [1]),
Szef Sztabu Głównego: Józef [2]).

ROZKAZ OKÓLNY DO ORGANIZACYJ LUDOWYCH (22. XII. 1913)

Nr. 74.

1. W czasach ostatnich do Komendy Głównej wpłynął cały szereg podań, wystosowanych przez ludowe organizacje strzeleckie i zawierających prośbę o pozwolenie na własny sztandar dla poszczególnych miejscowych oddziałów Związku. Biorąc pod uwagę, iż nadesłane petycje dotyczą kwestii o charakterze ogólnym, mogącej obchodzić całość organizacyj Związków Strzeleckich, widzę się zniewolonym do ogłoszenia niniejszego okólnika, którego celem jest definitywne przesądzenie poruszonej sprawy.

2. Sztandar wojskowy winien być świętością najwyższą, punktem zbornym dla walecznych, symbolem skupienia i wytężenia sił, męstwa i poświęcenia, bodźcem i podnieceniem do największego wysiłku dla żołnierza w boju, gdy mu ramię zemdleje, oczy mgła znużenia przesłoni i duch osłabły się ugnie.

3. Sztandar nasz jest sztandarem wojny i nie może być pospolitowanym w codziennym, bieżącym życiu, obnoszonym w czasie marszów i ćwiczeń szkolnych, włóczonym po obchodach i uroczystościach. Powieje on i załopocze nad naszymi głowami dopiero w otwartym polu, gdzie szeregi Związkowe wymaszerują na bój śmiertelny o Wolną Ojczyznę.

4. Nawet w regularnych armiach sztandar własny pułk dopiero posiadać może. Nie zdołamy zaś zapewnić naszemu sztandarowi dostatecznego szacunku i poważania, otaczając go kilkunastu lub kilkudziesięcioma ludźmi, osobliwie gdy zważymy, że siłą bronić jego honoru i nietykalności w obecnym czasie nie jesteśmy w stanie.

5. W obecnym na wskroś pokojowym i przygotowawczym życiu naszym niech nas krzepią nie emblematy i godła,

---

[1]) Mieczysław — Józef Piłsudski.
[2]) Józef — Kazimierz Sosnkowski.

lecz ustawiczna i nieznużona praca, podnosząca każdą organizację na coraz to wyższe szczeble wykształcenia i wyćwiczenia wojskowego. Sztandarem na dziś niech będzie dla nas hasło wytrwałości, niezrażania się trudnościami, uporu, uporu i jeszcze raz uporu w osiąganiu zamierzonych celów. Jedynie wtedy spotkamy się pod sztandarem wojennym z żołnierzami, umiejącymi utrzymać w dłoni jego drzewce.

6. Odnośny punkt w statucie Związków Strzeleckich, na którym zapewne w przeważającej ilości wypadków opierają się petenci, nie stoi w żadnej łączności z istotnym życiem naszej Organizacji i został umieszczony jedynie dla względów prawnej natury.

7. W myśl wywodów powyższych zabraniam stanowczo oddziałom miejscowym zarówno, jak i organizacjom obwodowym lub okręgowym sprawiania sobie sztandarów.

Lwów dnia 22. XII. 1913.

Komendant Główny:
Szef Sztabu Głównego:

DO KATORŻAN W WIĘZIENIU W ALEKSANDROWSKU POD IRKUCKIEM

List Józefa Piłsudskiego do katorżan, napisany został w r. 1913 w odpowiedzi na przesłany Piłsudskiemu upominek w postaci obrazu, przedstawiającego Prometeusza, rozrywającego kajdany. Obraz ten został wypalony w drzewie przez b. członka Organizacji Bojowej P. P. S. Wiktora Stępniewskiego.

Po raz pierwszy list poniższy opublikowany został w «Polsce Zbrojnej» z dn. 19. III. 1929 przez Antoniego Anusza w artykule p. t. «Wyjątkowy człowiek o niezwykłej potędze duchowej».

...Mocnoście mnie wzruszyli wszyscy, przesyłając mi prezent tak ładny, a zarazem tak symboliczny.

Niezmiernie jestem wdzięczny za pamięć o mnie, zachowaną w tak ciężkich warunkach, w jakich się znajduje katorżanin. Jest to dla mnie jedna z najbardziej cennych nagród za to, co kiedykolwiek czyniłem. Jeszcze raz dzięki i do miłego zobaczenia, gdy osobiście, a nie listownie wdzięczność bym mógł wyrazić. Uściśnienia

M.[ieczysław].

---

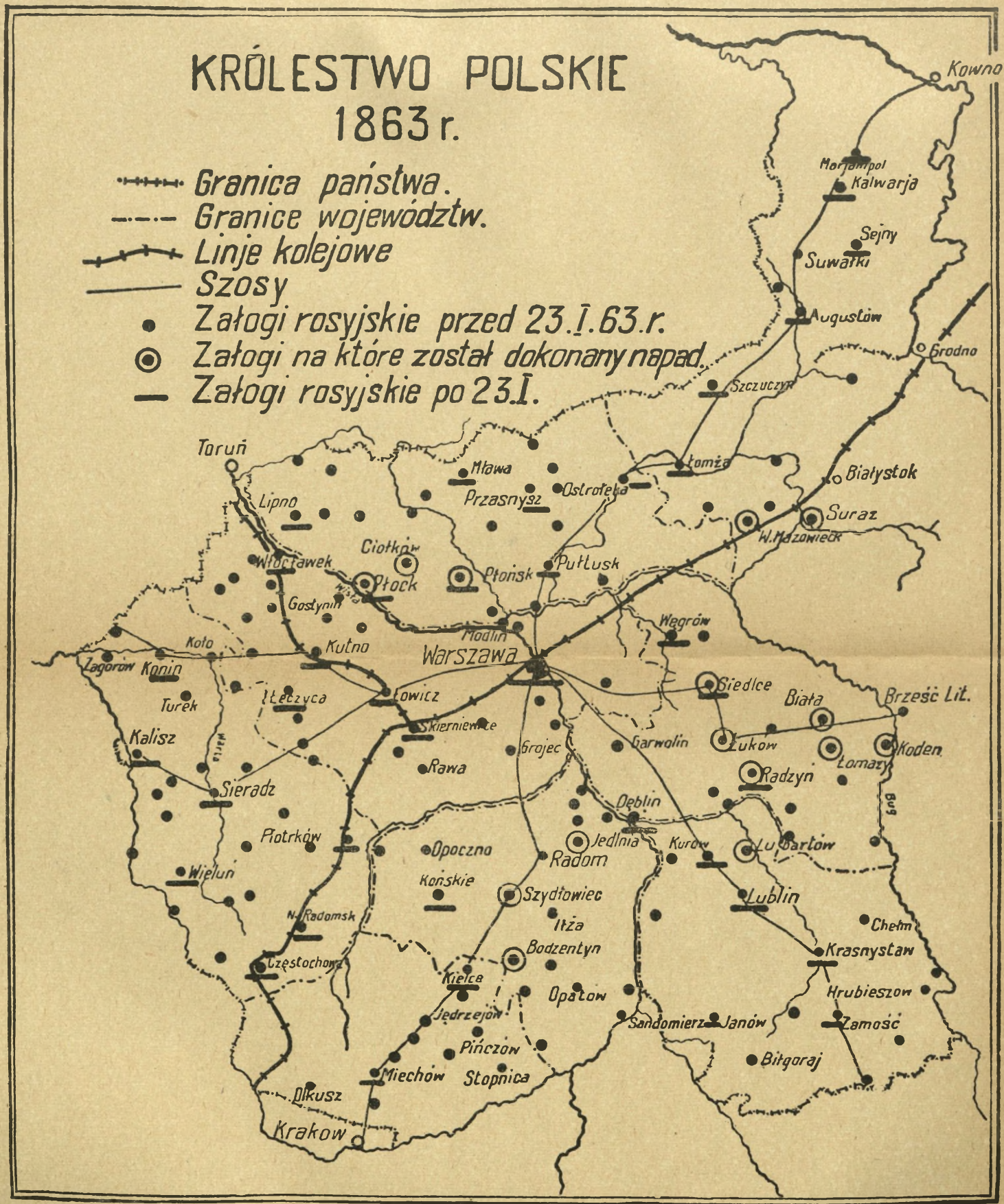
22 STYCZNIA 1863

Praca Józefa Piłsudskiego p. t. «22 stycznia 1863» wydana została jako tom I wydawnictwa «Boje Polskie», rozpoczętego w początkach r. 1914 przez księgarnię nakładową Karola Rzepeckiego w Poznaniu. Wydawnictwo to p. t. «Boje Polskie — ilustrowane epizody, obrazy, portrety historyczne z dziejów naszych wojen narodowych pod redakcją dra Mariana Kukiela» miało na celu zaznajomienie społeczeństwa z historią wojskowości polskiej, do czego Piłsudski przykładał dużą wagę. Z tych też powodów, mimo przeciążenia pracą organizacyjno-wojskową i polityczną podjął się napisania I tomu do powyższego wydawnictwa, w oryginalny sposób łącząc historyczną fakturę zdarzeń nocy 22 stycznia z literackim opisem. W liście do Aleksandry Szczerbińskiej z dnia 18. IX. 1913 r. pisze o tym w słowach następujących: «Nie mogę się zdobyć na plan, jak samą noc 22 stycznia opisywać, od czego zacząć, jak temat brać? Czy poszczególne sceny obrazować, czy dawać cyfry i dane z krytyką, a dopóki na planie i metodzie pisania nie zatrzymałem się — dopóty i pisać trudno...»

Książkę Piłsudskiego zilustrowali 12 rysunkami w tekście Henryk Minkiewicz i Edward Rydz.

Dnia 17 stycznia w polskiej kwaterze głównej dawano ostatnie, nieodwołalne rozkazy do boju. Rozkazy aż na 22 stycznia. Nieodwołalny rozkaz na całych pięć dni przed bojem! Już w tym jednym odczuć się daje ogromna osobliwość warunków wojny i boju. Stokilkadziesiąt godzin ma dzielić rozkaz od wykonania i to w położeniu, w którym każda z tych setek godzin przynieść może zmiany zasadnicze, zmiany, uniemożliwiające wypełnienie rozkazu. Bo też osobliwą była ta główna kwatera!

Nic w niej nie przypominało zwykłego obrazu wojennego miejsc, gdzie się ważą i rozstrzygają w ostatniej instancji losy bitew i wojen. Ani błyszczących mundurów, ani dźwięku ostróg, ani tętentu koni adiutantów, pędzących z rozkazami lub raportami, żadnej wreszcie osłony siłą zbrojną, żadnej, najkonieczniejszej bodaj, warty, strzegącej spokoju wodzów. Kwatera wyglądała, jak najzwyczajniejsze mieszkanie prywatne najbardziej cywilnych ludzi. Jeżeli co różniło ją od


KRÓLESTWO POLSKIE
1863 r.
Granica państwa.
Granice województw.
Linje kolejowe
Szosy
Załogi rosyjskie przed 23.I.63.r.
Załogi na które został dokonany napad.
Załogi rosyjskie po 23.I.
Kowno
Marjampol
Kalwarja
Sejny
Suwałki
Augustów
Grodno
Szczuczyn
Łomża
Białystok
Suraz
W. Mazowiecka
Ostrołęka
Przasnysz
Mława
Toruń
Lipno
Włocławek
Ciołków
Płock
Płońsk
Pułtusk
Gostynin
Modlin
Węgrów
Warszawa
Koło
Kutno
Łęczyca
Łowicz
Skierniewice
Grojec
Garwolin
Siedlce
Biała
Brześć Lit.
Łuków
Kodeń
Łomazy
Radzyn
Leszno
Konin
Turek
Kalisz
Sieradz
Rawa
Piotrków
Wieluń
Opoczno
Końskie
Radom
Jedlnia
Kurów
Puławy
Dęblin
Lublin
Szydłowiec
Iłża
Bodzentyn
Kielce
Opatów
Jędrzejów
Pińczów
Miechów
Stopnica
Sandomierz
Janów
Zamość
Biłgoraj
Chełm
Krasnystaw
Hrubieszów
N. Radomsk
Częstochowa
Olkusz
Kraków
Wisła
Bug

mieszkania jakiegoś urzędnika lub kupca, to chyba nieokreślony niepokój, który wiał z twarzy i ruchów obecnych, to zarazem nieco przyciszony sposób obcowania — szepty zamiast głośnych rozmów, wsłuchiwanie się w odgłosy ulicy, jakby ciche, lecz niespokojne zmaganie się z otaczającym niebezpieczeństwem. Od czasu do czasu z kwatery wymykali się adiutanci-kurierzy. Najczęściej były to — całkiem niewojenny obraz — kobiety, unoszące nieraz w najtajniejszych skrytkach damskiej garderoby rozkazy, pisane na cienkim świstku papieru. Od czasu do czasu błysnął mundur wojskowy, lecz — o, dziwo! — mundur wrogiego wojska; byli to oficerowie rosyjscy, należący do spisku.

Dziwna wojna, dziwna kwatera główna, której najważniejszym zadaniem zdawało się być utrzymanie tajemnicy i ukrywanie się przed okiem otoczenia. Nie było tam nic z tej buty i pewności siebie, jaką daje oparcie się o gotową i posłuszną na każde skinienie siłę zbrojną, zdolną do nagięcia otoczenia odpowiednio do planów i myśli wodza. Owszem, widoczną była chęć przystosowania się do otoczenia i rozpłynięcia się w nim.

Bo też główna kwatera polska pracowała w sferze działania wroga. Ba, nawet oddalona była od głównej kwatery jego zaledwie o kilkaset kroków — o zwykły strzał karabinowy. Gdy jedna w każdej chwili mogła mieć na usługi tysiące tych karabinów, druga działać była w stanie tylko nie będąc dostrzeżoną, a nie mając nic dla swej osłony, w każdej chwili stawiała na kartę samo swe istnienie. Nic więc dziwnego, że twarze sztabu były niespokojne. Wódz ówczesnej Polski — Zygmunt Padlewski — nerwowo chodził po pokoju. Wahał się: jechać do puszczy kampinowskiej, czy też zostać w Warszawie? Po raz dziesiąty wracał do obliczeń, spisanych na skrawku papieru.

— Do Lewandowskiego na Podlasie rozkaz wysłany. Rozkaz trzymania się na szosie brzeskiej, przerwanie komunikacji z głębią Rosji, z Moskwą. — Czy rozkaz doszedł? Kto zaręczy? — przemknęło mu przez głowę.

— Ma w rozporządzeniu swym 3—4 tysiące ludzi. Jakie tam rozporządzenie? — Znowu wyrastała w głowie wątpliwość. Ludzie w chatach, po dworach, rozsypani, czy staną na wezwanie, by kłaść, ot tak, zdrową głowę pod ewangelię? Kto ich zmusi? A gdy musu nie ma, to ilu z tych niby liczonych da się policzyć już na placu boju?

— A wreszcie, co najgorsza, z czym ludzie pójdą do walki? Śmieszne! Z kijami, kosami, w dobrym wypadku

z marną dubeltówką na karabiny i armaty! W ostatnim raporcie Lewandowski wymieniał nawet liczbę tej najlepszej broni — strzelb myśliwskich. Całych 300! To w najlepiej uzbrojonym województwie! A tych karabinów rosyjskich, nie licząc jazdy i artylerii, w województwie jest nie mniej, niż 5 tysięcy. Zresztą nawet ta marna broń, czy jest pewna? Może już dzisiaj, albo w jednej z tych setek godzin, dzielących nas od boju, wróg położy swą rękę na wszystko, albo na dużą jej część, zostawiwszy do boju dziesiątki, zamiast setek sztuk broni palnej? Może przez ten czas wyaresztują wybitniejszych spiskowych i reszta, zostawszy bez głowy, wcale do apelu nie stanie?

— Wszystko w tym przedsięwzięciu takie niepewne, takie chwiejne!... — mruknął z rozpaczą. Takie niepodobne do tego, czegom sam uczył innych! Czy to nawet wojna? Rzeź niewiniątek, klęska pewna!

Myślą przebiegał wszystkie województwa, cały kraj. Langiewicz w Sandomierskim, Kurowski w Krakowskim, Bończa w Płockim. Te same niepewne tysiące spiskowych, te same wątpliwości, gorsze, bo broni mniej jeszcze, niż na Podlasiu! Zaledwie 300 sztuk broni palnej w całym kraju, tyle, co w jednym województwie podlaskim. A cały zachód, niezorganizowany wcale wojennie, pewnie się nie ruszy bez wodzów i naczelników; to samo w Lubelskim.

— Czemuśmy o tym wcześniej nie pomyśleli? — myślał z goryczą. — Odkładaliśmy zawsze na potem przygotowania ściśle wojenne, baliśmy się, że dolejemy tym oliwy do ognia, gorejącego już w duszach ludzkich.

— A teraz...

Znowu czarna rozpacz osiadła mu w duszy; dręczyły go wyrzuty sumienia; przecież sam dawał rozkazy do powstania, przecież sam wysyłał na śmierć te setki i tysiące ludzi. A za tydzień, po niechybnie nieudanej operacji, jakimiż oczyma będzie spotykał pytania i wyrzuty? Jakie da rozkazy, jakie polecenia 23 czy 24 stycznia, gdy do Warszawy zbiegną się zwiastuny klęski? Nie, lepiej śmierć, śmierć razem z nimi! Raczej śmierć, niż ta odpowiedzialność i stąpanie po chwiejnym, niepewnym gruncie!

Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że jednak ktoś na miejscu zostać musi; że na kogoś przecież spadną wszystkie pytania i wątpliwości dni, następujących po bitwie, dni ciężkich i trudnych, a tym trudniejszych, im bitwa będzie mniej szczęśliwą. Lecz górę brała rozpacz, zwyciężało zniechęcenie.

— Więc jechać! — pomyślał z westchnieniem ulgi.

Koledzy z Komitetu Centralnego proponowali mu, aby objął dowództwo nad zebranymi już w lasach okolicznych spiskowymi, którzy, uniknąwszy branki, koczowali teraz w puszczy kampinoskiej na lewym brzegu Wisły i w serockiej na prawym w oczekiwaniu wodza i... broni.

Z tą gotową już decyzją przyjął najbliższego swego przyjaciela i kolegę z Komitetu — młodego Stefana Bobrowskiego. Bobrowski przyszedł pożegnać się z wodzem i przyniósł mu dokumenty podróżne, mające go osłonić przed aresztowaniem podczas drogi.

— Śpieszyć trzeba, — dodał, — Potjebnia *) mi mówił, że jutro rano wyrusza wyprawa dla wyłapania w lasach uciekinierów od branki. Bądź dobrej myśli! Ludzie są ożywieni dobrym duchem, a gdy dostaną wodza tej miary, co ty, dadzą sobie rady z wrogiem. A jedno zwycięstwo poruszy tysiące chłopów, wtedy pewnikiem górą nasza! Trudno nam tu będzie dać sobie rady bez ciebie, zostajemy przecież sami nie wojskowi, ale jakoś to będzie. Zresztą po opanowaniu Płocka tam przeniesiemy rząd i ty go osłonisz, wodzu! Ty lud wolny poprowadzisz do boju!

Mówił z zapałem i gorącą wiarą, nie przekonał jednak przyjaciela.

— Lud prowadzić do boju! — twierdził ze zniechęceniem, — cóż temu ludowi damy do ręki? Kije, marne kosy? Nie, mój drogi, z tym nie zwyciężymy. Nic nam nie pozostało, jak umrzeć z honorem i po to jadę. Jedna, druga bitwa, krwią własną i wroga zlejemy obficie pole, oto wszystko, co zrobić mogę, co zrobić obiecuję.

Bobrowski pozostał przy swoim.

— Nieprawda, Zygmuncie, nieprawda! Niechybnie położenie nasze ciężkie, ale nie wszystko stracone. Nie może być wszystko stracone, gdy z jednej strony do walki stanie człowiek wolny, o wolność walczący, z drugiej niewolnik, pędzony batem, a do wolności wzdychający skrycie. Zapominasz o naszych przyjaciołach w obozie wroga.

Padlewskiemu twarz się nieco rozjaśniła. Przypomniał sobie zebranie spiskowych oficerów, wśród których sam, były oficer, czuł się pewniej, niż gdzie indziej. Wszystko tam wydawało się pewniejszym, stalszym, silniejszym wreszcie. Charaktery, opanowane przez wychowanie i dyscyplinę wojskową, nawet przy rozgorączkowaniu spiskowym, dawały grupom

*) Oficer Rosjanin, stojący na czele spisku wojskowego w Królestwie.

oficerów pozory spokojnej siły. Nieraz zmęczony krzykliwymi i burzliwymi zebraniami spiskowych cywilnych, gdzie nerwy szarpał mu gorący powiew podnieconego tłumu, gdzie tak łatwo było o niesłuszne oskarżenie, o zwycięstwo pustego słowa czy górnolotnego frazesu — nieraz Padlewski odpoczywał na spokojnych zebraniach kolegów wojskowych. Tam każde słowo zdawało się być opoką nienaruszalną, a szable przy boku zebranych dawały poczucie gotowej już siły zbrojnej, którą gdzie indziej budować dopiero wypadało, budować, przełamując ogromne trudności i olbrzymie przeszkody.

Jako wódz powstania — jedyny fachowiec wojskowy pośród członków Rządu rewolucyjnego — liczył na wojskowe grupy rewolucyjne, jako na niezawodną siłę, jako na wielki atut w polityce powstańczej. Główna, co prawda, nadzieja powstania — spisek oficerski w Modlinie, fortecy i składzie broni, — rozwiała się niedawno przez aresztowania i translokacje podejrzanych, lecz pozostało jeszcze całe mnóstwo oficerów, wciągniętych do spisku, szczególniej wśród artylerii, broni najgroźniejszej dla Polaków, chociażby dlatego, że sami jej nie posiadali i niełatwo mogli ją stworzyć.

I teraz więc, gdy myślał o tych swych sojusznikach, może przyszłych towarzyszach broni, — uspakajał się powoli. Zresztą oddziaływało nań zawsze towarzystwo młodszego kolegi z Komitetu, Bobrowskiego, rozkochanego w wodzu bez zastrzeżeń, a stanowiącego dlań oparcie moralne wobec siły charakteru i woli, którą się odznaczał.

— Śpiesz, śpiesz! — powtarzał Bobrowski — nie poddawaj się rozpaczy! Nam cofać się nie wolno! Przedwcześnieśmy powstali do boju, ale lepiej tak, niż nigdy. Wierz w potęgę moralną powstającego ludu. Jedź do obozu, odzyskasz siły i energię. Zamówiłem już konie dla ciebie. Za chwilę ruszysz w drogę. Czy masz jeszcze jakie zlecenia?

— Żadnych, — odpowiedział Zygmunt — pamiętaj tylko o tym, że w fortecach Brześciu i Zamościu mamy przyjaciół oficerów. Lewandowskiego o tym zawiadomiłem i dałem mu odpowiednie wskazówki. Gdy do Lubelskiego wyznaczony będzie wojewoda, prześlij mu dane o Zamościu. Nie udaje się nam z Modlinem, może się udać z inną fortecą. To bardzo ważne!

Do pokoju wpadł, jak bomba, młodzieniec w czamarce. Był to Rogiński. Przyjechał z Białej, gdzie go rano zastał rozkaz powstania. Nie wierzył swym oczom, wydawało mu się to niemożliwym. Pędził ekstrapocztą, by sprawdzić rozkaz **u źródła.**

— Co czynicie? — zawołał. — Przecież nas rozbiją w puch! Nie mamy sił, ani oręża. Czyż nie wykładałeś nam w szkole, Zygmuncie, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

— Stało się! — odpowiedział spokojny już Padlewski. — Śpiesz z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. Niepodobna zresztą, by Europa dała nam zginąć. Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgali, iż się nie cofniemy. Ja jadę natychmiast!

Przykrą mu była ta rozmowa. Z goryczą myślał, że jeszcze przed paru tygodniami ten sam Rogiński wspólnie z drugimi spiskowymi oskarżał go i jego kolegów z Komitetu o brak energii, o rozmyślne odwlekanie powstania, niedołęstwo, ledwie nie zdradę. I wówczas te same argumenty przeciw natychmiastowemu wybuchowi padały z jego ust, by się odbić o rozgorączkowane, nie rozważające głowy, jak groch o ścianę. Teraz, gdy fakt był dokonanym, gdy się stało podług myśli najgorętszych, własne jego argumenty wracały, ale już jako zarzut przeciw niemu.

— Tłum jest zawsze niesprawiedliwym i zna tylko dzisiaj, dzień wczorajszy dla niego nie istnieje... — myślał.

* * *

Po szerokim gościńcu, idącym wzdłuż lewego brzegu Wisły od Warszawy do Modlina, pędziła pocztowa bryczka z dwoma podróżnymi. W dali czerniała ściana dużego boru. Pomimo widocznego zmęczenia koni woźnica raz po raz zacinał je batem, nagląc do pośpiechu. Wreszcie bryczka zagłębiła się w las, konie po błotnistej drodze zwolniły biegu; westchnienie ulgi wyrwało się z piersi wszystkich. Woźnica uśmiechnięty odwrócił się do swych panów.

— Udało się! — mówił — można szkapiskom dać trochę wytchnąć; przed nocą staniemy w obozie.

Był to Padlewski ze swym adiutantem Seyfriedem, których do obozu w puszczy kampinoskiej odstawiał pocztylion, należący do organizacji. Dopóki podróżni nie dostali się do lasu, byli wciąż zdani na łaskę i niełaskę patroli kozackich, włóczących się po okolicy. Przed wyjazdem z Warszawy kilkakrotnie zatrzymywały ich patrole; badano ich, rozpytywano: po co, na co jadą, jakie mają dokumenty? Ciągle byli o włos od aresztowania, jechali cały czas z perspektywą spędzenia nocy nie w obozie powstańczym, dokąd zmierzali, lecz w wię-

zieniu, którego unikanie stanowiło sztukę życia rewolucyjnego.

Znowu Padlewski czuł pod sobą ten dziwny, chwiejny i niepewny, grunt, na którym niesposób czynić zimnych obrachowań i spokojnych planów. Znów na każdym kroku czuł niejako oddech wroga, z którym miał wojować, znów był w zupełności w sferze jego działania. Przypominał sobie dowódców wojsk na manewrach — tych próbach wojny. Pamiętał ich, otoczonych licznym sztabem, osłoniętych oddziałem jazdy, pomimo, że byli od nieprzyjaciela oddzieleni jeszcze murem bagnetów własnych, tysiącami piersi żołnierskich, idących do boju. Tu on, wódz, nie miał nic podobnego, tu wróg zewsząd go otaczał, nieledwie dotykał go fizycznie.

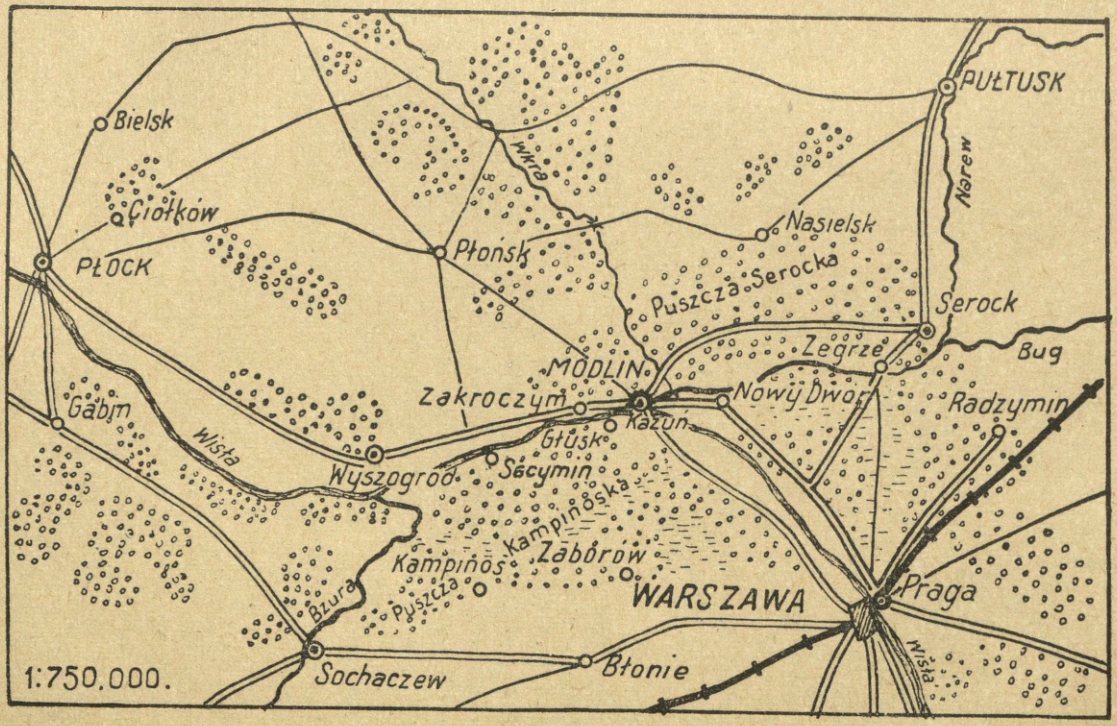
A zarazem, gdy jechał ulicami Warszawy i polami Mazowsza, spotykając człowieka, nieodzianego w mundur wroga, myślał o nim, jako jutrzejszym towarzyszu broni, który go, jak swego wodza, będzie bronił i osłaniał. Tylko dzisiaj jeszcze brak ujawnionej zbrojnej siły stawiał początki działań ciągle pod znakiem zapytania, przewracając całkowicie wszystkie znane pojęcia o wojnie. Więc prędzej do obozu! Prędzej tam, gdzie pod sobą ma się trwały, niezdradliwy grunt siły zbrojnej pod nogami. Niech ta siła będzie mała, niech będzie źle uzbrojona, z nią jednak jawnie się walczy, choćby umierać przyszło!...

Z daleka poprzez drzewa błyskały rozpalone suto ogniska. Na polanie do pięciuset ludzi skupiało się koło ognia, przygotowując się do noclegu pod chmurnym niebem styczniowym. Ludzie gwarzyli. Koło niejednego ogniska panowało zniechęcenie. Zmęczeni, zziębnięci wylewali swą gorycz i niezadowolenie na władzę rewolucyjną, szukając w niej winy.

— Obiecywano broń, obiecywano wodzów, zwycięstwa — gdzie to jest wszystko? Sami tam wygrzewają się w ciepłych pokojach, śpią na puchach, a ty, człecze, tułaj się, jak wilk, po lesie, śpij na gołej, zimnej ziemi, ba, nie miej często kawałka chleba marnego...

Szeptano o zdradzie władzy, zmawiano się do ucieczki, bąkano o oddaniu się w ręce wrogom, byle móc się wywczasować i najeść do syta.

Gdzie indziej młodzież wesoło się bawiła, zapominając przy żartach i dowcipach o wszelkich niewygodach i bawiąc się nawet tą zimową majówką w wiecznie zielonym lesie. Humor podtrzymywał wiarę i snuto przy trzasku palącego się drzewa rojenia równie fantastyczne, jak te płomyki, przeskakujące w ognisku wesoło od trzaski do trzaski.



Mapa puszcz Kampinoskiej i Serockiej

O nieprzyjacielu nie myślał nikt, ani ci, którym było wesoło, ani ci, których dręczył smutek. Nie było to wojsko, co, znając zdradliwe prawa wojny, czujnymi się otacza czatami, co mechanicznie, jak zegarek, spełnia swą powinność. Nie było tam oficerów i podoficerów, przełamujących zmęczenie żołnierza, zmuszających do pracy rycerskiej, nieraz uciążliwej i niemiłej. Nie było tam ładu i porządku, wciskającego każdego na swoje miejsce, jak niewielki trybik czy sztyfcik do sprawnej maszyny. Każdy robił, co chciał i jak chciał, nie dbając o innych. Nie było żadnej myśli kierowniczej, spajającej to zbiorowisko kilkuset ludzi w jedną całość, zdolną do jednolitego ruchu i życia.

To też, gdy Padlewski niespodziewanie zjawił się wśród tego towarzystwa — wojskiem tego nazwać nie można było — musiał podjąć ciężką i trudną pracę, by nadać tej zbieraninie chociażby pozory wojska i nauczyć ją najelementarniejszych form bytowania wojennego. Musiał wraz ze swym adiutantem być naraz i wodzem, i sztabowym oficerem, i podoficerem nawet.

Zapowiedział wymarsz na dzień następny. Wiedział, że z różnych stron dążyć będą jutro oddziały nieprzyjacielskie, by wyłapać poborowych, zebranych w lesie. Wiedział też, że nie mógłby stawiać oporu natarciu z tym wojskiem zaimprowizowanym, w dodatku licho uzbrojonym: na pięciuset zebranych było zaledwie kilka sztuk broni palnej marnego gatunku, reszta była uzbrojona w kosy lub — gorzki śmiech zbiera — pałki i drągi. Postanowił więc szybkim marszem przerzucić się za Wisłę, dążąc do złączenia swego oddziału z innymi w województwie płockim, które obrano za główną podstawę dalszych działań wojennych.

Gdy nazajutrz kolumna oddziału wymaszerowała wylotem na północny zachód ku Secyminowi nad Wisłą, z różnych stron dążyło już wojsko nieprzyjacielskie obławą na lasy kampinoskie. Więc z Warszawy wyszedł podpułkownik Bremsen z kilku kompaniami piechoty i sotniami kozaków, więc z Płocka wyruszył major Sławin na czele paruset kozaków, a wreszcie po drugim brzegu Wisły maszerował, rozsypując wszędzie patrole, oddział jazdy pod pułkownikiem Riedieczkinem.

Nie była to właściwie wyprawa wojenna; jako taka nie miała prawie sensu. Chcieć bowiem, aby tysiąc kilkaset ludzi, z których połowa piesza, zamknęło szczelnie oczka olbrzymiej sieci, ogarniającej 300 kilometrów kwadratowych, i jeszcze dostarczyło dostatecznie silnej kolumny na bój przy spotka-

niu z nieprzyjacielem — było to żądać od wojska roboty, graniczącej z niepodobieństwem. Tym bardziej, że konnica, służyć mająca do szybkiej posługi wywiadowczej, mało była przydatna wobec lesisto-błotnistego terenu, który przeszukać należało. Zresztą nie było jeszcze wojny. Było drobne zamieszanie i wojsko miało tu wyręczyć właściwie nieliczną i niesprawną policję — nic więcej.

To też oficerowie, którym zadanie poruczono, nie przyjęli go z zadowoleniem. Pomimo woli przychodziła im do głowy możność oporu, a na wypadek walki byli za słabi i ta włóczęga po lasach, w przypuszczeniu, że zwierz osaczony nie ruszy się z miejsca, że będzie czekał, nim go z bliska osaczą, nie uśmiechała im się wcale. Przy jakiej takiej ruchliwości osaczonego uderzenie paść mogło w próżnię i wynik obławy nie rokował powodzenia.

Lecz pan każe, sługa musi. Nie wojskowe, ale cywilne władze, na których czele stał sam brat cesarza, tak były pewne swego, tak liczyły na łatwy i pewny tryumf, że nawet, dla uniknięcia rozlewy krwi i związanego z tym rozgłosu, nakazały wojsku iść na te łowy bez nabitej broni, chwytać osaczonego zwierza gołymi rękami, by tym bardziej go upokorzyć, tym większy wznieść w nim szacunek dla siły władzy prawowitej. Pan każe, sługa musi! I po błotnistych leśnych drogach powoli wlokły się kolumny wojska, rozsyłając leniwie patrole, gdy zwierz, na którego polowano, wiedząc o obławie, już się zbliżał do Wisły, za którą zaczynała się przestrzeń, wolna od założonej sieci. Jeżeli co było przeszkodą, to nie pomyślana niedołężnie i nieśpiesznie wykonana obława, lecz przeszkody fizyczne w postaci Wisły samej.

Wisła jeszcze nie puściła, lecz lód wobec ciepłej pogody był słaby i trzeszczał pod nogami. Pierwsi, którzy na rzekę weszli, cofnęli się z przestrachem. Lecz Padlewski w obozie odzyskał już swą energię i zdołał zapanować nad oddziałem. Dzięki niemu przeprawa pod Secyminem odbyła się bez wypadku. Szła wolno, drobnymi grupami, trwała całą noc nieledwie, lecz została dokonaną i gdy wreszcie obława, idąc śladami, doszła do Secymina, Padlewskiego i jego oddziału już dawno nie było tutaj; zdążył już bowiem ujść dobry kawał drogi, z każdą chwilą oddalając się od niezręcznych łowców. W sieciach pozostali tylko ci, co tego chcieli; ci, których zniechęcenie i zmęczenie nie minęło pod wpływem zjawienia się Padlewskiego. Takich było niewielu — zaledwie dziewiętnastu na 500, którzy byli w składzie oddziału.

Tak samo wypadły łowy, zorganizowane przez władzę cywilną w innej puszczy — serockiej koło Zegrza.

Popisowi z Warszawy, którzy się tam zgromadzali, przeszli przez Narew i Wkrę, a uniknąwszy niezręcznie zastawionej sieci, dążyli, jak i Padlewski, do województwa płockiego. Jeżeli zaś dodamy, że i z samego Płocka wyszło kilkuset ludzi, słusznie czy niesłusznie podejrzywających, że są na liście konskrypcyjnej rządu, zobaczymy, że w okolicach Płocka nagromadziła się w ten sposób większa ilość materiału palnego, zdatnego i przysposobianego do wstępnych kroków, wstępnego boju powstania.

Materiał ten, co prawda, znajdował się w strasznym chaosie; grupy bez organizacji wojennej, bez administracji, przygotowanego prowiantu, odzienia i, co główna, broni. Najpilniejszą więc pracą władzy powstańczej, a w pierwszym rzędzie Padlewskiego, było jakie takie zorganizowanie grup i rozmieszczenie ich w okolicy do wyznaczonego terminu wybuchu — do 22 stycznia.

Włóczęga jednak tysiąca ludzi po wsiach i dworach, nieoswojonych z takim ruchem, nie mogła być utrzymana w zupełnej tajemnicy i niejasne, mętne opowiadania o tych zbiorowiskach dochodziły do Płocka, siedliska głównej władzy w tej stronie kraju. Wysłano więc stamtąd rekonesanse — nie w celu wojny, bo tej jeszcze nie było — lecz tak samo, jak nieudane łowy kampinoskie i zegrzańskie, w celach policyjnych, z tym samym rozkazem nienabijania broni, ale brania opornych popisowych żywcem.

Ten półśrodek — grzeczna surowość — jak zwykle półśrodki w czasie wojny, dał rezultaty nie nikłe nawet, ale wręcz ujemne. Wszystkie rekonesanse męczyły się bezcelowym łażeniem po drogach, dworach, wszystkim grzecznie usuwano zawczasu z oka ludzi obcych, by natychmiast po odejściu wojska tym swobodniej gości i ukrywać popisowych w okolicy, zbadanej już przez wroga. Na czele tych bezpłodnych rekonesansów stał pułkownik Kozlaninow, człowiek, bolejący nad nieszczęściem kraju, nie chcący zadawać ran zbytecznych, jednym słowem, człowiek zasad humanitarnych. Nieszczęśliwy, znając brutalną szorstkość swych kolegów, sam prosił o dowództwo i szedł w burzę z gałązką oliwną pokoju. I trzeba było tej ironii losu, by właśnie jemu z godłem pokoju w ręku przyszło doprowadzić do pierwszego rozlewu krwi.

Przebiegając z drobnym, kilkaset ludzi liczącym oddziałem pola i wsie płockiego województwa, natrafił przy wsi Ciołkowie na setkę popisowych, rozlokowanych we dworze ta-

mecznym, a spożywających w tej chwili obiad. Oddział polski, przewodzony przez Rogalińskiego, oficera z armii Garibaldi'ego, nie zdążył zgodnie z ogólną instrukcją usunąć się niepostrzeżenie z oczu Rosjan. Wycofał się do lasu, lecz tuż za nim podążał Kozlaninow.

I oto wreszcie oddziały stanęły naprzeciw siebie. Rosjanie z nienabitą bronią, rozsypani szerokim łańcuchem dla obławy — łapania według rozkazu żywcem; żołnierze, nie znajdujący się jeszcze w stanie wojny, a pełniący jedynie posługi policyjne. Polacy, skupieni w kolumnę, licho uzbrojeni — zaledwie w dwie strzelby myśliwskie na cały oddział, reszta w kosy lub nawet kije. Kozlaninow zgodnie z pokojową misją, którą miał w sercu, zbliżył się do Polaków i zwrócił się do nich z sentymentalną przemową. Przekonywał o konieczności oddania się w ręce prawowitej władzy, obiecywał nieledwie bezkarność. Losy zależały zupełnie od tego, czy oddział polski uczuje się stroną wojującą, zdecydowaną na wojnę i świadomą jej wymagań, czy też przemoże w nim pokojowe przyzwyczajenie do posłuchu dla władz urzędowych. Każdy z tej setki ludzi Rogalińskiego jeszcze przed chwilą był nie żołnierzem i sama żołnierka zależała od jego własnej nieprzymuszonej woli, trzeba więc było, aby w duszy każdego z nich nastąpił nakaz «stań się!»; wówczas dopiero możliwymi będą jakiekolwiek zjawiska wojny.

Nastąpiła więc krótka chwila wahania i wreszcie Rogaliński, jak gdyby wyczuwając wzmaganie się ducha wojny u swych podkomendnych, z okrzykiem rzucił się naprzód. Potyczka trwała tylko chwilę. Niewielka przestrzeń dzieliła przeciwników, a w starciu na białą broń zwyciężył, jak zwykle, atakujący zbitą masą, tym bardziej, że nieprzyjaciel, psychicznie do boju niegotowy, rozciągnięty w szyk, niezdatny do boju, stracił od razu dowódcę, który padł z rozpłataną głową. Do 50 żołnierzy zostało na placu; reszta w popłochu uciekła, roznosząc wieść o porażce. Apostoł pokoju w czasie wojny padł ofiarą fałszywego zrozumienia rzeczy zarówno przez siebie, jak przez swych przełożonych.

Polacy mieli zaledwie kilku rannych, lecz pomiędzy nimi był ich dowódca, Rogaliński, który, straciwszy w starciu oko, musiał opuścić swe stanowisko. Jeśli oddział rosyjski, doznawszy porażki, rozprzęgł się zupełnie, to jednak żołnierze, przyłączywszy się już tego samego dnia do innych drobnych oddziałów, w okolicy rozsianych, zdatni byli nazajutrz do boju. Inaczej było z Polakami. Ich hufiec wyczerpał się moralnie nawet zwycięstwem. Ludzie, niespojeni w jedno długim wpól-

nym życiem żołnierskim, nie mający zaufania do siebie, musieli nawet nawet dla krótkotrwałego boju zdobyć się na taki wysiłek energii i woli, że natychmiast po fakcie nastąpiła reakcja — zmęczenie i upadek na duchu, osobliwie, gdy zabrakło oficera, który zwycięskiej walce przewodził. Wojna, w zasadzie już pełna niespodzianek, staje się nimi przesycona, gdy samo wojsko jest niespodzianką, a nie organizacją, zawczasu przez długi czas przygotowywaną do wojny.

* * *

Był to pierwszy bój, pierwszy podmuch wichury, zwiastującej nadchodzącą burzę. Była to zarazem jakby ilustracja ogólnego położenia stron walczących. Rosjanie, nie znajdujący się jeszcze w stanie wojny i łudzący się nadzieją zażegnania niebezpieczeństwa środkami, będącymi mieszaniną łagodnej ustępliwości z terorem i surowością postępowania wojennego. Wykonawcą tej dziwacznej dyplomacji miało być wojsko, jako ostatni najpoważniejszy argument władzy chwiejącej się i chwiejnej. Szło więc wojsko wszędzie, gdzie ten argument niejako naocznie musiał być przedstawiony, szło w celu nastraszenia nieposłusznych, mając zarazem rozkaz postępowania grzecznego i możliwie zgodnego, nie jątrzącego stosunków wzajemnych z otoczeniem.

A że nieposłusznych było wielu, a jeszcze więcej takich, których o chęć nieposłuszeństwa posądzano, więc wojsko posyłać trzeba było nieledwie wszędzie. I oto powoli, stopniowo większe skupienia wojskowe topniały: drobne oddziałki wychodziły na czasowe postoje do tego lub owego miasteczka, czasowy pobyt się przedłużał i wreszcie cała duża armia, rozdrobniona na małe garnizony czasowe, stanowić zaczęła niewielkie wysepki wojskowe wśród morza obcego, najczęściej wrogiego otoczenia. Dyplomatami zaś z hasłem surowej łagodności stawali się najczęściej młodzi, nie znający życia subalterni-oficerowie, dowódcy kompanii, szwadronu lub baterii, nieprzyzwyczajeni do brania większej odpowiedzialności na swe barki.

Nie na wojnę szły te drobne oddziały, odrywając się, jak sądzono, tylko na czas krótki od macierzystych garnizonów, składów i magazynów. Nie na wojnę, lecz dla prowadzenia polityki państwowej! Więc nie zaopatrywano ich na wojnę — ani w dostateczną ilość naboi, ani w należyty tabor, ani w zapas odzieży lub instrumentów; wszystko to zostawało pod raz po raz malejącą opieką dawnych garnizonów z czasów spo-

koju. Pułki leżały bez osłony, artyleria stała często bez należytej asekuracji. Generałowie przestali właściwie dowodzić swymi dywizjami i brygadami, pułkownicy — pułkami, najczęściej nawet majorowie swymi batalionami. Kompanie, szwadrony lub baterie stały każda osobno, żyjąc życiem prawie samodzielnym, osobliwie wobec braku nowoczesnej komunikacji w kraju. Oficerowie-subalterni i żołnierze chwalili sobie taki stan rzeczy, był on dla nich dogodnym. Zdaleka od oka i kontroli wyższej władzy, bez możliwości odbywania ciężkiej musztry, tonęli w słodkiej drzemce, do której zresztą ciągnął ich także charakter rasowy. Obok tego całe mnóstwo oficerów, Polaków lub Rosjan, wciągniętych do spisku, świadomie przymykało oczy na wszystko, co się działo dokoła, wybierając z nakazanej im łagodnej surowości pierwszą połowę formuły, jako najlepszy sposób wybrnięcia ze sprzeczności, zawartej w rozkazie.

Takich drobnych garnizonów, rozsypanych po Królestwie, było 180. A że cała armia liczyła 101.880 ludzi, więc przeciętnie wypadało na garnizon ludzi 566. Lecz główne miasta kraju, siedliska władz centralnych, nie mogły przecież pozostać bez silniejszej obsady. Sama Warszawa pochłaniała 21.503 garnizonu. Miasta Lublin, Radom, Kalisz i Płock, w których znajdowały się komendy dywizyjne, oraz fortece Modlin, Dęblin i Zamość miały też większą załogę, w sumie wynoszącą 13.370 głów. A wobec tego przeciętna załoga w innych miejscach spadała w przecięciu zaledwie do 390 ludzi.

I te drobne załogi w najbliższych czasach miały się rozdrobnić jeszcze bardziej. Wyznaczono pobór wojskowy i dla poparcia władz cywilnych od tych «dyplomatycznych» kompanij i szwadronów miały odejść «policyjne» plutony i sekcje dla asysty przy poborze, dla konwojowania rekruta i wszelkich czynności policyjnych, chociażby np. łapania po lasach uciekinierów, jak to robił nieszczęsny Kozlaninow ze swym oddziałem. Pobór był wyznaczony na 26 stycznia, na dziesięć dni po nieudanym poborze w stolicy — Warszawie.

I właśnie te dyplomatyczno-policyjne oddziałki, nieprzygotowane do wojny ani psychicznie, ani technicznie, miały zgodnie z planem powstania być pierwszym obiektem ataku rewolucji. Przedmiotowo była może i dobrze wybrana, lecz jakież były środki i możliwości ataku?

Jeśli armia rosyjska była rozdrobnioną, to siły polskie były wprost w stanie luźnych atomów wojskowych, niespojonych w żadną organizację wojenną, związanych jedynie spiskowym, tajnym dla całego otoczenia, łącznikiem systemu dzie-

siątkowego. Każdy z tych dziesiątków pozostawał pod wszelkimi względami w zupełnej zależności od sumienia i umiejętności swego dziesiętnika, czy to pod względem napięcia rewolucyjnego i moralnej gotowości do boju, czy to pod względem szybkości mobilizacyjnej, czy też nawet pod względem samego istnienia, niekontrolowanego najczęściej przez nikogo dla przyczyn natury konspiracyjnej. Wszystkie więc obliczenia co do liczby i czasu wisiały niejako w powietrzu bez trwałego, widocznego dla wszystkich gruntu i podstawy.

Każdy, wróg czy przyjaciel, mógł siły rewolucji taksować, jak chciał, jak mu usposobienie i wyobraźnia nakazywały. Więc taksowano je rozmaicie, przeważnie jednak in plus, nie in minus. I jak zresztą mogło być inaczej, gdy na świecie działy się rzeczy i wypadki, które tylko siłą rewolucji wytłumaczyć można było? Nie co innego, jak ta tajna siła wymuszała raz po raz ustępstwa polityczne, pobudzała do pobłażliwego traktowania postępków, które jeszcze niedawno nie mogły nawet być pomyślane przez najodważniejszych. Ta siła jednak nie na wiele się zdała do boju, gdzie uczucie, namiętność i zapał tylko wspierają ramię, lecz samo ramię i broń przy nim jest nieodbicie koniecznym.

Jeśli armia rosyjska nie była dla wojny przygotowana i łatwo stać się mogła łupem umiejętnego i energicznego napastnika, to przygotowania wojenne polskie wyglądać raczej mogły na przygotowania do obławy na dzikiego zwierza w jakim leśnym ostępie, niż na zamiar wojny. Dubeltówki, kosy, drągi — to broń; żadnych składów i magazynów, żadnego zapasu odzieży i obuwia, żadnych środków do wyekwipowania żołnierza. Zdawało się, że ludzie wybierają się na kilkodniowe polowanie, po którym zdrowo i szczęśliwie wrócą do domu.

Lecz rozkaz był dany, termin boju wyznaczony. Pobór na całej prowincji miał nastąpić 26 stycznia, chciano go uprzedzić i jako pierwszy dzień wojny wybrano dzień 22 stycznia. Nie dzień, raczej noc, gdyż dla ukrycia swej słabości organizacyjnej i technicznej i dla wyzyskania w zupełności czynnika niespodzianki, nakazano nocne napady na garnizony rosyjskie. Szło więc przede wszystkim o utrzymanie tajemnicy, co niechybnie zmniejszyć musiało zarówno liczbę powstańców, jak i stopień ich przygotowania wojennego.

Zaczęły się więc w całym kraju ciche szepty, częste rozjazdy kurierów i kurierek, gorączkowe przygotowania. Czasu było mało, a noc 22 stycznia szybko się zbliżała!

*

* *

Pułkownik Lewandowski w Siedlcach otrzymał rozkaz z Komitetu Centralnego dnia 17 stycznia. Pomimo umówionych znaków na piśmie, pomimo, że był pewien kurierki, która rozkaz przywiozła, nie dał wiary poleceniom. Jeszcze niespełna dwa tygodnie temu — 5 stycznia — gdy wyjeżdżał z Warszawy dla objęcia stanowiska dowódcy sił zbrojnych Podlasia i Lubelskiego, zapewniano go, że wybuch nastąpi nieprędko. Padlewski rozmówił się z nim tylko ogólnikowo, licząc, że do czasu działań nieraz przyjdzie do szczegółowego omówienia planu. A teraz nagle ten rozkaz równie ogólnikowy, nie wchodzący w żadne szczegóły, jak gdyby Lewandowski miał był już czas i możność poznać i zbadać szczegóły tak rozległego terenu. Dziwny rozkaz!

— I jeszcze — myślał, — gdybym przy tym przelotnym obznajmieniu się z częścią podległych mi sił znalazł był dostateczne siły, dostateczne przygotowania! Ale, przeciwnie, wszystko jest raczej niegotowe do wybuchu!

Przypomniał sobie swą tygodniową podróż. Był w Siedlcach — organizacja nieliczna, możliwa pomoc od oficerów spiskowych. W Białej — okolica zrewolucjonizowana, oficer artylerii Zarzycki obiecywał rozdać ślepe ładunki żołnierzom i twierdził, że w 500 ludzi, nawet źle uzbrojonych, zdobyć można armaty. W Brześciu to samo — tam trzeba 5.000 ludzi. W Węgrowie i Sokołowie silne wpływy przeciwników powstania — białych. Przelotne rozejrzenie się w sytuacji pozwala przypuszczać, że nie jest tak źle, że dużo dałoby się zrobić, ale na to trzeba czasu, czasu, jeszcze raz czasu.

— Teraz dopiero mógłbym — myślał dalej — przystąpić do szczegółów, ułożyć je w system, dostosować go do okoliczności terenu i warunków lokalnych, i to tylko w tych miejscach, gdzie byłem. Nie znam jeszcze dwóch trzecich swego terenu, ani zajrzałem na południe i nie wiem, co się tam dzieje.

Szeptał z wściekłością:

— Jak — u pioruna! — mam działać?!

Przeczytał raz jeszcze rozkaz:

— Napadać na garnizony w nocy 22 stycznia, starać się utrzymać w swoim posiadaniu szosę moskiewską, przy niemożliwości dowiedzionej przenosić teatr małej wojny na wschód, na Litwę.

Przypomniało mu to rozmowę z Padlewskim:

— Wschód cały prowadzi ostrą demonstracyjną i partyzancką walkę, przecinając komunikację Warszawy z Rosją, a pod osłoną tej walki na południu, w Sandomierskim, i na

północy, w Płockim zbierają się i organizują armie polskie do marszu na Warszawę.

Taki w ogólnych zarysach plan był mu przedstawiony w tych rozmowach, te same też ogólnikowe wskazówki zawierał rozkaz.

Opadały go coraz bardziej zwątpienie i niepewność.

— Przecież — myślał dalej — muszą tam w Warszawie wiedzieć, żem świeżo tu przybył, że nie mogłem w dwa tygodnie poznać i obmyśleć wszystkiego dokładnie. Powinni byli wziąć to pod rozwagę i dać mi lepsze i szczegółowsze rozkazy, dane, wskazówki. Niechbym miał za sobą miesiąc lub dwa pracy przygotowawczej, już wiele dałoby się zrobić!

Głęboko zamyślił się pułkownik i wreszcie po namyśle zasiadł do pisania. Pisał prośbę o odwołanie rozkazu, motywując ją niedostatecznym przygotowaniem województwa do walki, powołując się na rozmowy z Komitetem z przed dziesięciu dni, obrady, w których odkładano wybuch na czas późniejszy.

Jeszcze tegoż dnia wieczorem nadszedł powtórny rozkaz z zawiadomieniem, że Komitet opuszcza Warszawę i że cały kraj ma taki sam rozkaz, a zatem Podlasie nie może pozostać w tyle.

Pułkownik wzruszył ramionami: «Nieodwołalne — trzeba rozkaz spełnić, trzeba śpieszyć, bo czasu mało!»

— Być może — pomyślał, chcąc usprawiedliwić polecenie, — iż inne województwa zachodnie są lepiej przygotowane, niż moje. Ja mam demonstrować tylko, niechże będzie możliwie dobra demonstracja! Na szczęście spadło z mojej głowy Lubelskie, Warszawa sama się nim zajęła; nie wiedziałbym, co z tym zrobić, jak nadążyć w tym krótkim czasie z robotą na takich przestrzeniach! I z tym, co mam, daj Boże wydołać!

Tejże nocy z Siedlec popędzili kurierzy i kurierki z zawiadomieniem o terminie o rozkazie Komitetu do dowódców powiatowych, wyznaczonych zawczasu. Od nich wieść szła już wolniejszą drogą, drogą nieledwie ustną od człowieka do człowieka, omijając tych, których podejrzewano o gadulstwo, a których zostawiono na ostatnią chwilę. Droga powolna, droga zawodna! Niektórzy otrzymali zawiadomienie o punkcie zbornym zaledwie na kilka godzin przed terminem wyruszenia, a przecież trzeba było każdemu jakoś się opatrzyć na wojenkę, urządzić swe domowe interesy i sprawy przed wyprawą, z której często już się nie wraca.

Do niektórych rozkaz dochodził już po czasie; bywało tak nawet z naczelnikami, jak np. z Krysińskim, wyznaczo-

nym do napadu na Międzyrzecz. Każdy przyjmował rozkaz tak, jak w danej chwili nakazywał mu nastrój jego: gdy była chętka — szedł na wskazane miejsce, gdy tchórz obleciał lub wprost ostrożność przeważyła — zostawał spokojnie w domu, wiedząc, że nikt go do wojaczki nie zmusi i że za dezercję żadna kara nań nie spadnie.

Nazajutrz pułkownik Lewandowski ze swymi podwładnymi z powiatów siedział nad rozłożoną mapą. Wszyscy biadali, wszyscy źle tuszyli o sprawie. Zaczęto obliczenia.

Na szosie, wiodącej z Warszawy do Brześcia Litewskiego, cztery główne punkty były zajęte przez Rosjan: Siedlce z załogą jednego batalionu piechoty i setki kozaków, — Łuków, obsadzony dwoma kompaniami piechoty, Międzyrzecz ze szwadronem ułanów i wreszcie Biała z baterią artylerii konnej, setką kozaków i jedną kompanią piechoty. Wszędzie istniało porozumienie z oficerami, należącymi do spisku, więc wiadomym było nieledwie każde poruszenie w garnizonie i liczyć można było na pomoc w obozie wroga. W Łukowie i Białej po kilkunastu żołnierzy Polaków było w zmowie z rewolucją i miało natychmiast przejść do szeregów powstańczych.

Pomimo tych słabych stron u nieprzyjaciela przedstawiał tenże siłę 2 tysięcy kilkuset bagnetów i szabel z dodatkiem ośmiu dział. Siła potężna w porównaniu z tym, co powstanie przeciw niej wystawić mogło.

Przeciwko Siedlcom postanowiono użyć organizacji z Siedlec, Sokołowa i Węgrowa z dodatkiem ludzi spod Łosic. Siły te każdy liczył inaczej; gorętsi spodziewali się 3-ch tysięcy, chłodniejsi doliczali się tysiąca. Dowodzić miał sam pułkownik Lewandowski. Łuków z okolicą, dobrze zorganizowaną, miał opanować ksiądz Brzózka [1]); liczył, że zbierze 3.000 ludzi, co aż nadto wystarczało na słabą załogę łukowską, tym bardziej, że w spisku było sporo żołnierzy Polaków. Międzyrzecz oddano Krysińskiemu, którego na naradzie nie było; liczono tam na kilkuset ludzi; zadanie tu wyglądało tym łatwiej, że piechoty nie było wcale. Wreszcie Białą z artylerią poruczono młodemu Rogińskiemu, który najgorętszy ze wszystkich — był teraz pewien swego: cały powiat był zorganizowany — jego zdaniem — i na każde skinienie wszyscy gotowi tam byli stanąć!

Lecz piętą achillesową było uzbrojenie. Broń była w tak śmiesznie małej ilości i w dodatku tak licha, że na myśl o gwintowanych karabinach i armatach nawet odważniejszym ręce

[1]) Brzóska Stanisław (1832—1865), ksiądz i dowódca powstańczy, wybitna postać powstania styczniowego.

opadały. Trzeba wykorzystać zatem słabę stronę przeciwnika; kazać działać swoim sojusznikom w jego własnym obozie. Więc oficerowie, należący do spisku, wszędzie otrzymają nakaz, aby w naznaczony dzień urządzić jaką ucztę, tak, by wszyscy dowódcy, nawet pomniejsi, osobno od swych żołnierzy stać się mogli łatwym łupem napastników. Liczono na to, że żołnierze, pozbawieni kierowników i zaskoczeni nagłym napadem, nie będą w stanie wykorzystać w dostatecznej mierze ani siły swej organizacji, ani potęgi swej broni. W najgorszym razie mogło to zrównoważyć szanse nierównego boju. Nawet najchwiejniejsi sądzili, że przy takiej pomocy sprawa beznadziejną nie jest.

Resztę załóg, rozsypanych w województwie, leżących z boku głównej linii komunikacyjnej, przydzielono innym. Więc Deskur, obywatel ziemski, otrzymał Radzyń, punkt ważny, bo obsadzony artylerią i piechotą. Więc Nencki miał prowadzić napad na Kodeń, gdzie, na trzy mile od fortecy brzeskiej, stał prawie bez osłony pułk artyleryjski z magazynem broni i amunicji. Wreszcie na Łomazy z załogą kawaleryjską miał napaść Szaniawski. W każdym z tych miejsc liczono na kilkuset powstańców. Kilka wreszcie pomniejszych punktów, zaopatrzonych w drobniejsze załogi, jak Węgrów, Sokołów, Mroczki, Serokomla, Kock, Ostrów i Łaskarzew, postanowiono zostawić w spokoju: zabrakło na to wodzów i sił spisku. Zresztą w razie powodzenia, choćby tylko częściowego, w głównych siedliskach władzy wojennej te drobne oddziałki muszą stracić orientację i w każdym wypadku w trudnym znajdą się położeniu, jeśli nawet nie przepadną zupełnie.

Jako dalszy, wspaniały już etap rozwoju rewolucji, rysował się Brześć Litewski. Przyświecał on wyobraźni Lewandowskiego, jak gwiazda przewodnia. Po udanych napadach złączonymi siłami ruszyć pod fortecę, gdzie spiskowi oficerowie ułatwią jej zdobycie! Dałoby to od razu szeroką i pewną podstawą powstaniu nie tylko już na Podlasiu, ale w całym kraju i postawiłoby wojsko rosyjskie w Polsce w położenie groźne i trudne.

Na wypadek nieudania się napadów, zgodnie z poleceniem Komitetu, miano się przenieść na Litwę, rozszerzając ideę buntu i teatr wojny.

Role zostały rozdane, plan osnuty.

Do pracy! A pracy było jeszcze wiele!

Każdy z poszczególnych dowódców musiał obmyśleć szczegóły swego postępowania. Ba, gdyby tylko obmyśleć! Każdy miał na głowie też i przygotowanie wszystkiego do wy-

buchu nieledwie własnoręcznie. Wobec konieczności zachowania ścisłej tajemnicy, liczba ludzi, zajętych przygotowaniami, musiała być bardzo ograniczoną, by żadna liczniejsza grupa ludzi, nawet nieuzbrojonych, żadna furmanka z bronią czy amunicją nie spotkały na swej drodze czujnego oka wroga, nie wydały sekretu przedwcześnie. Koncentracja sił i środków tak łatwa, gdy siła zbrojna kroczy jawnie do swego celu, naginając całe otoczenie do swojej woli i potrzeby, napotykała tutaj liczne, nieraz zupełnie nie dające się przewidzieć przeszkody i wywoływała tarcie tak silne, jakiego nie zna armia regularna. Hasłem tu było nie przystosowywanie otoczenia do swej wygody, lecz wbrew swej wygodzie, a zatem ze stratą czasu i wysiłków, przystosowanie siebie samego do otoczenia, zniknięcie w nim, rozpłynięcie się aż do niewidzialności. Tylko ta czapka-niewidka dawała gwarancję sekretu, tylko ona jakimś niewinnym pozorem osłaniała groźne przygotowania.

A ileż w takiej pracy niespodziewanych zagadek losu i ślepego wypadku? Zagadek, wypadków, których zgubnego wpływu niczym parować niesposób! Zdradliwymi są prawa wojny, zdradliwymi niechybnie, lecz przesiąkniętym zdradą staje się powietrze, gdy sama wojna inaczej nie może się przejawić, jeno podstępem i zdradą.

* * *

Nadzwyczajny ruch panował w Horostycie, cichym zwykle dworku podlaskim. Pani domu wraz z fraucymerem przez cały dzień gotowała, smażyła i piekła, wieczorami zaś szyto jakieś woreczki, darto i szarpano bieliznę i płótna. Niezbyt wesołe widocznie były przygotowania, bo pani nieraz ukradkiem łzy ocierała i tuliła drobne dzieci do siebie. W całym dworze rozmawiano szeptem, oglądając się, by nikt nie słyszał, nawet swawolne dzieci przyciszonym głosem komunikowały sobie spostrzeżenia nad tą dziwną, nieznaną im dotąd krętaniną i nerwową, pośpieszną pracą starszych. Nie miały to być ani imieniny, ani częste dawniej przyjęcia sąsiedzkie. W kuchni nie robiono zwykłych w tych wypadkach smakołyków, lecz gotowano proste, chłopskie jedzenie i w takiej ilości, jak gdyby miano przyjmować wszystkie wsie okoliczne.

Pan domu, znany na Podlasiu obywatel ziemski, Bronisław Deskur, chodził z miną zakłopotaną po dworze, przynaglał wszystkich do pośpiechu, raz po raz zamykał się w swym gabinecie na cichą rozmowę z przyjacielem i dalekim sąsiadem, Teodorem Jasińskim. Po takiej rozmowie zwykle wy-

chodził do izby folwarcznej i po chwili na drodze rozlegał się tętent cwałującego konia, wiozącego chłopca z posyłką do sąsiada, do miasta, czy okolicznej wioski lub plebanii.

Pan Deskur przygotowywał się do napadu na Radzyń. Dom jego stał się główną kwaterą, dla ułatwienia zaś sprawy i zarazem punktem koncentracji dla broni, amunicji, zapasów wojennych i żywności.

— Zawcześnie, zawcześnie — mówił do swego przyjaciela przy krótkim wypoczynku — nie myślałem nigdy, bym teraz właśnie miał taką niespodziankę. Trzy dni tylko czasu zostało. Swoje osobiste sprawy jużem zakończył. Ale z tą bronią, czy damy sobie radę? Dotąd nie kazałem nawet kos na sztorc przekuwać, by Rosjan nie alarmować, a teraz boję się, czy aby nadążą. I jak ja sam poradzę? Mianowali mnie majorem, ale co z tego majorstwa, gdy nie bardzo wiem, co robić? Umiem «ekspedite» regulamin kawalerii, czytało się coś niecoś o taktyce i strategii, ale niech mnie kule biją, jeśli wiem, co z tego wszystkiego wziąć do ataku na Radzyń. Widocznie czegoś nie doczytałem, czegoś się nie douczyłem. Tu byłby potrzebny jakiś podporucznik, ale rzeczywisty, nie taki malowany major. Pamiętaj, Teodorze, musisz być ciągle przy mnie, bym się mógł kogo poradzić.

— Nie, za nic! — odrzekł Jasiński — jesteś majorem i musisz dowodzić. Pójdę na oślep, gdzie zechcesz, lecz nie zajmę się niczym samodzielnie, bo wyobrażenia nie mam, jak sobie radzić w tym położeniu. Mogę odpowiadać tylko za siebie! Zresztą i regulaminu żadnego nie umiem i żadnej książki wojskowej nie czytałem. Ty musisz to umieć!

Biedny pan Deskur choć musiał, jednak czuł, że nie umie. Podejrzewał jakąś lukę w swym wykształceniu militarnym i prawdopodobnie by nie uwierzył, że dla napadu z garstką «kosynierów» i «drągalierów» na armaty i karabiny żadna książka wojskowa nie jest napisana i że każdy porucznik lub kapitan niemalowany, równie jak on, byłby zdany w tym wypadku na łaskę i niełaskę swoich zdolności i energii bez żadnego oparcia na nauce i regulaminach. Ba, czułby się gorzej, bo nie miałby tego oparcia, jakie miał pan Deskur w dokładnej znajomości otaczającego go radzyńskiego światka.

Lecz pan Deskur musiał, więc słał rozkazy, jak major rzeczywisty. Do Horostyty na 21-go rano niejaki Michałowski, kotlarz z profesji, szczery patriota i dzielny człowiek, mający wpływ duży w różankowskich dobrach hrabiego Zamoyskiego, miał przybyć z organizacją tameczną i bronią, ukrytą na wozach. Bronią tą były kosy, przez tegoż Michałowskiego

przygotowane, i kilkanaście strzelb myśliwskich, będących w posiadaniu zorganizowanej straży leśnej. Do tejże Horostyty miano ściągnąć i resztę broni z okolicy, gdyż stąd część jej trzeba było oddać i panu Krajewskiemu, wyznaczonemu do zaalarmowania załogi w Ostrowie. W Horostycie też oddział zabierał żywność na dni kilka, woreczki do kul i prochu, uszyte rękami kobiecej połowy zaludnienia dworu.

Lecz dzień jeden cały ta gromada przebyć musiała na miejscu, następnie dzień cały maszerować siedm mil drogi pod Radzyń. Okoliczność ta niepokoiła głęboko p. Deskura. — Czy też to ujdzie niepostrzeżenie, czy też przedwcześnie zamiar nie będzie odkryty i udaremniony?

Ale jak postąpić inaczej? Wyznaczyć od razu miejsce spotkania dla wszystkich pod Radzyniem? Niemożliwe; trzebaby wyznaczyć termin wcześniejszy, licząc na opóźnienie i powolne ściąganie się ludzi. Gotowi będą ludzie — broń się opóźni, gotowa broń — ludzie przyjdą później. I potem ten jarmark na drodze pod samym miastem może zaalarmować, zaniepokoić załogę, a tego właśnie za wszelką cenę uniknąć trzeba. Wyznaczyć punkt zborny gdzie bliżej Radzynia, u innego obywatela? Lecz nie ma takiego, któryby się nie wystraszył, nie robił wielkiej rzeczy z każdej drobnostki, kto wie, czyby nie zepsuł wszystkich przygotowań jakimś niepotrzebnym niepokojem lub alarmem. Niech już będzie Horostyta! Przynajmniej tu się nie rozgada, tu się zna każdego dokoła i wie się dokładnie, czego i od kogo wymagać można. Tu zresztą przygotowują się wszystkie zapasy na drogę, tu nikt narzekać nie będzie na uciążliwe kłopoty, wydatki i strachy.

— Oficerowie, należący do spisku, już są zawiadomieni o terminie, mają ściągnąć wszystkich oficerów na wspólną hulatykę, tak, że armaty zostaną bez poważniejszej osłony, a żołnierze bez dowódców. Organizacja miejska w Radzyniu ze swym naczelnikiem, Pyrkoszem, ma do ostatniej chwili mieć na uwadze wojsko i jego czynności, a na godzinę dziesiątą wieczór przyjść w umówione miejsce w okolicy miasta po broń i ostateczne rozkazy.

Tak, rozkazy wydane, wszystko już umówione, a jednak jakiś niepokój gryzie p. Bronisława, świeżego majora wojsk polskich. To nie tylko brak zaufania do własnych sił i umiejętności i strach przed umiejętnością fachową wroga. Owszem, to działa swoją drogą denerwująco i przypominanie wszystkich mądrości regulaminu kawalerii wraz z urywkami taktyki i strategii nie uspakaja wcale. Lecz poza tym ten ogólny niepokój o to, czy wszystkie te szczegóły dopasują

się dobrze nawzajem w ostatniej chwili? Wszystkie atomy — broń i ludzie — z których przed samym napadem złoży się siła zbrojna p. Deskura, dziedzica Horostyty, wszystkie te atomy są dotąd i do ostatniego momentu nie w jego bezpośrednim rozporządzeniu, lecz mają życie samodzielne, niekontrolowane czujnym okiem dowódcy. Każdy atom z osobna chodzi luzem, a tych chwil luźnego życia jeszcze takie mnóstwo! Toż to chaos jakiś, niepodobny do uchwycenia przez żadną, choćby najżywszą, wyobraźnię! Każda chwila jest niepewna, w każdej chwili nieprzewidziany postępek, wprost nawet kaprys wroga wprowadzić może plątaninę i zamieszanie do misternych obliczeń.

I, jakby dla potwierdzenia tych niepokojów p. Deskura, spada nań grom nieoczekiwany. Oto w nocy z 20-go na 21-szy, akurat przed terminem zbiórki przynajmniej części sił zbrojnych, przybiega ze stolicy miejscowej, z Radzynia, goniec. Jest nim p. Prądzyński, pomocnik naczelnika miasta. Przywozi on przykrą wiadomość, zasięgniętą od oficerów spiskowych, że żandarmeria miejscowa wybiera się z wizytą do Horostysty, że mają rozkaz aresztowania p. majora we własnej osobie. Grunt zaczynał palić się pod nogami!

W oczach biednego p. Deskura wszystko zawirowało; całe obliczenie stawało do góry nogami. Horostyta — punkt koncentracyjny — był już niepewnym, chwiejnym, jak i wszystko dokoła.

— Wysyłać kontrrozkazy, odwołania? — niesposób! Przy tych przestrzeniach i całym systemie luzaków byłoby to ryzykowne; do jednych trafi się w porę, do innych, prawdopodobnie większości, za późno, gdy poprzedni rozkaz już będzie wykonywany. A zresztą nawet tam, gdzie jeszcze na czas się nadąży, muszą też nastąpić odwołania dalsze, nowe rozkazy, które ten bezmierny już chaos zawikłają w tak niesłychany sposób, że o rozplątaniu go i ułożeniu w porządku chybaby mowy być nie mogło.

Nie pozostało więc nic innego, jak «delożować» tylko samego siebie, usuwając się spod ręki władzy. Reszta pozostanie po staremu, zdwojone będą tylko ostrożności, aby koncentracja nie wpadła w oko żandarmom.

P. Bronisław prawdopodobnie miał w tej chwili jedną pociechę. Przyjaciel jego — p. Jasiński — choć umiał mniej jeszcze od niego, lecz tym razem musiał zastąpić wodza. Prawdopodobnie p. Jasińskiemu w jego naiwności ani przez głowę nie przeszło, że biorąc w tym wypadku w swe ręce ostateczne przygotowania do wyprawy, wypełnia czynność wojenną naj-

bardziej odpowiedzialną, najbardziej delikatną, czynność sztabowych oficerów, swą administracyjną pracą torujących drogę do zwycięstwa. Niechybnie złośliwa myśl o przyjacielu, bojącym się odpowiedzialności, a zmuszonym do niej, mogła być pociechą, lecz za to wątpliwość, niepewność, znaki zapytania co do samego przedsięwzięcia musiały wzrosnąć w myśli p. Deskura w trójnasób. Z ciężkim sercem wsiadał on o świcie na brykę, wyznaczywszy miejsce spotkania w lasku podmiejskim, na drodze z Wohynia do Radzynia. Na ganku dworku rzewnymi łzami płakała dziedziczka i czworo dzieci z wystraszonymi twarzyczkami tuliło się do jej sukni.

* * *

Ksiądz Nawrocki, proboszcz w Huszczy, śpieszył, drepcąc po błotnistej drodze zaścianka. Na twarzy miał rumieńce, oczy mu błyszczały, a chociaż zmuszał się do uważnego odmawiania modlitwy i myślenia o wzniosłych rzeczach niebieskich, jednak dnia tego nie mógł wymóc na sobie uwagi i skupienia. Pacierze mu się plątały, a oglądając znane sobie od dawna zabudowania zaścianka, mruczał pod nosem: «Pojutrze! Pojutrze!»

Szedł do starego Macieja, kolegi z drugiego pułku ułanów z r. 1831, którego ongi był kapelanem. Teraz miał mu zwiastować nową pobudkę, nową wojenkę.

— Hej, nie tak szło się ongiś na wroga! Jawnie, buńczucznie, ze śpiewem wesołym, brzękiem ostróg, furkaniem chorągiewek, w jaskrawych mundurach, na koniach, parskających wesoło. Hej! Macieju, teraz na wojenkę wykradać się będziesz, jak złodziej, — jak zbój jaki, razić będziesz wroga z za węgła, z ukrycia. Pójdziesz, jak stoisz przy swej chacie, w siermiędze, a zamiast lancy i pałasza weźmiesz z sobą pracowitą kosę. Nie zagra ci do boju skoczna a dziarska muzyka, nie będziesz miał tego gwaru wojskowego dokoła, co cię za młodu cieszył i radował. Przekradać się teraz będziesz po lasach i błotach rodzimych, jak włóczęga bezdomny, a pieśnią twą będzie smutna, ponura, grobowa nuta tych pień żałobnych, co od lat paru w kościołach twej ziemi się rozlega.

Lecz bój jest bojem i serce prawego żołnierza rwie się doń, jak młodemu do miłej. Więc i Maciej, gdy od swego proboszcza i kapelana usłyszał, że już czas się gotować, nie myślał o dawnych rozkoszach bojowania, tylko wraz z księdzem jął deliberować o przygotowaniu rodzimego zaścianka do walki.

Mieli napaść na załogę w Łomazach; tam kwaterował drugi szwadron ułanów smoleńskich Jego Cesarskiej Wysokości następcy tronu.

— Na ułanów! — westchnął proboszcz, wspominając dawne ułańskie czasy.

— Psia mać, za przeproszeniem księdza jegomości, — obruszył się Maciej — takie i ułany! Nieboszczyk nasz rotmistrz na cztery wiatry rozpędziłby taki szwadron. Już to im się przyglądam ustawicznie. Pójdzie nam, jak z płatka, księże dobrodzieju, ani to się pilnować umie, a wieczorem połowa pijana. Wyrżniemy, jak świnie, za przeproszeniem dobrodzieja, a tam taki szwadron sformujemy, że nieboszczyk pan rotmistrz w niebie się uraduje.

— Zanadtoś na krew łapczywy, — mitygował ksiądz — śpiących wyrzynać, nie żołnierza rzecz! Broń odebrać, konie, siodła pozabierać, a tych biedaków puszczać wolno, taki nakaz z Warszawy. Jakoby i oni będą się buntować przeciw rządowi. Słyszę, wśród Rosjan wielu jest takich, co nam sprzyjają.

Maciej z argumentami tymi nie zgadzał się i z zaciętej mazurskiej twarzy widać było, że krwi ani swojej, ani wroga nie będzie szczędził pomimo łagodnej perswazji księdza. Nie był on zdatny do stosowania sprzecznej w swej zasadzie formuły łagodnej surowości, jaką ze swej strony rewolucja chciała się kierować w stosunku do wojska.

Zaczęła się długa narada o sposobach podejścia wroga, ukrycia pierwszych kroków przygotowawczych. Brano w rachubę każdy krzaczek, każdy domek po drodze lub w miasteczku. Maciej się gorączkował, chciał iść wprost, jak ongiś na szarżę, impetem; ksiądz mitygował, doradzał ostrożność, dorzucał uwagi, świadczące zarówno o doskonałym znawstwie terenu, jak i rozumieniu życia żołnierskiego i działań wojennych.

We wszystkim szybka następowała zgoda; Maciej przeważnie poddawał się argumentom księdza. Jedna tylko kwestia wzbudziła dłuższy spór. Szło o to, czy zaraz w zaścianku rozpocząć przygotowania, czy czekać jeszcze dnia następnego. Maciej dowodził, że zaraz trzeba skrzyknąć ludzi — od dawna przecie są już spisani — przysięgli i są gotowi. Kazać przekuwać kosy, sposobić odzież i obuwie, gotować zapas żywności. Twierdził ze słusznością, że zwłoka odbije się na gotowości, że się nie nadąży potem, że ludzie muszą przecie i pozałatwiać swe sprawy domowe, i pożegnać się z rodziną, i pogodzić się z Bogiem, odbyć spowiedź świętą. Na to wszystko dnia nie

wystarczy. Ksiądz upierał się, by na razie zachować w tajemnicy termin wybuchu, spuścić się z sekretu tylko najzaufańszym, a nazajutrz otoczyć zaścianek strażą z młodszych, by nikt z obcych i niepowołanych nie zastał szlachty przy dziwnej, niepokojącej robocie. Specjalnie obawiał się paru pijanic zaściankowych, którzy w karczmie rozgadać mogą przed Żydem, a ten mógłby o tym donieść władzy. Maciej na te argumenty doradzał wprowadzenie od razu nieledwie stanu wojennego, chciał Żyda z rodziną i ludzi niepewnych zamknąć pod straż i gospodarzyć w zaścianku śmiało.

Długo trwał spór, lecz wreszcie Maciej i w tej sprawie ustąpił. Ustąpił nie dla słuszności argumentów proboszcza, lecz dla jego powagi kapelana ułańskiego. Narady się skończyły.

Nazajutrz w zaścianku, otoczonym czujnymi strażami, wrzała praca. W kuźni na gwałt spajano kosy, w chatach baby, ocierając łzy fartuchem, piekły, gotowały i szyły, w kościele przy konfesjonałach tłumy młodych chłopców odbywały krótką, żołnierską spowiedź, po wsi całej urządzano uroczyste żegnania i błogosławieństwa. A w samych Łosicach aż do wieczora kręcili się starzy Huszczowie, wysłani przez Macieja i proboszcza na przeszpiegi, na pilnowanie wszelkich ruchów ułanów i ich dowódcy, którzy ani się spodziewali, jaka burza spadnie na nich tej nocy. Wieczorem zaległa w zaścianku niezwykła cisza. Tylko po chatach cicho i skrycie płakały młode i stare kobiety, tylko starzy dziadusie — wojscy nowocześni — próbowali łagodzić smutek zrzędzeniem; wszystko, co było silnym, zdrowym, wziąwszy w tęgie, spracowane garście kosy i zatknąwszy za pas na siermiędze siekiery, wymknęło się cichaczem ze wsi pod wodzą Macieja. Proboszcz, już teraz kapelan i doradca techniczny wodza, ruszył też w pole. Zaścianek Huszcza ruszył na wojnę. Z sąsiednich zaścianków — Wiski i Tuczna — tak samo wyprowadził młodzież na Kodeń stary Nencki, wysłany ongiś w sołdaty na Kaukaz i obdarzony tam szewronami podoficerskimi.

* * *

Na plebanii w Białej u proboszcza księdza Mleczki w bocznym pokoiku od paru miesięcy rozgospodarował się młody, nieznany dotąd nikomu młodzieniec. Proboszcz przedstawiał go, jako swego siostrzeńca, lecz dziwny był stosunek pomiędzy wujem a siostrzeńcem. Jeżeli szło o szacunek i poważanie, to korzystał z nich właśnie siostrzeniec, który w rozmo-

wach używał tonu nakazującego i mówił do otoczenia, jak przełożony do podwładnych. Od czasu jego zamieszkania do niepoznania zmienił się tryb życia na plebanii. Drzwi się nie zamykały prawie; w pokoju siostrzeńca odbywały się ciche narady i szepty, do których niezawsze był dopuszczany sam gospodarz domu. Młodzieniec często uciekał na całe tygodnie, do proboszcza zaś zgłaszali się coraz częściej ludzie z odległych okolic. Była to główna kwatera rewolucyjna, z początku na całe województwo Podlasia, a potem na obszerny powiat bialski. Młodzieńcem zaś był młody Roman Rogiński, dawny komisarz pełnomocny Komitetu Centralnego na województwo, a teraz naczelnik powiatu.

Od czasu ostatniego powrotu z Warszawy i Siedlec, od 19 stycznia, nerwowy Rogiński nie miał odpoczynku. Wszędzie go było pełno, podwoił, potroił swe usiłowania, by jego duma, Biała z okolicą, wysunęła się na jedno z pierwszych miejsc w Polsce podczas napadów w nocy 22 stycznia. Był prawie pewien powodzenia. Wojsko pod komendą gen. Mamajewa nie spodziewało się niczego; i ślepy by to spostrzegł. Przed chwilą właśnie umówił się Rogiński z komendantem baterii, Suchodolskim, i jego subalternem, Zalewskim, co do szczegółów napadu. Na alarm nie wyjdą wcale z mieszkania, pozwalając spiskowym kanonierom gospodarzyć, jak chcą, w baterii, ci zaś strzałami mają nastraszyć konie, tak, by nie zdołano dział zaprząc i by zamieszanie, w ten sposób wywołane, ułatwiło zdobycie armat. W okolicę już gońce rozesłani. Od Janowa podlaskiego ma przybyć 400, tych przyprowadzi ksiądz Rozwadowski, proboszcz z Niemirowa; z Zalesia pod Bogusławskim stanie stu ludzi, spod Łosic, z jednego z zaścianków nauczyciel ludowy, Wolanin, ściągnie z 300 szlachty. To wszystko zaś jest tylko pomocą, rezerwą. Grunt to mieszczanie bialscy, spiskowi, zaprzysiężeni każdy osobno, nie tłum nieobliczalny. Dwustu ich stanie, dzielnych zuchów rzemieślników, chłopów na schwał, zdolnych i do tańca, i do różańca, jak to mówią; rzemieślnicy, to dusza spisku w Polsce. Dwudziestu razem z Rogińskim wpadnie do kwatery wodza sił wrogich, reszta, podzielona odpowiednio, uderzy na koszary baterii za miastem, na sotnię kozaków, wreszcie na kompanię piechoty. Wszystko obliczone, wszystko ułożone. Nie! Chyba nie może się nie udać!

Rogiński w duszy nawet się cieszył, że nie zastał Mroczka, oficera od saperów, wyznaczonego do komendy w tym napadzie. Wysłano go nagle do Kazania, hen, daleko nad Wołgę. Komitet Centralny liczył, że tam powstanie bunt chłopów ro-

syjskich, jak ongi za dawnych czasów Katarzyny wybuchł bunt Pugaczewa. Komitet tym łacniej temu dawał wiarę, że go w tym kierunku zachęcano gorąco ze strony najbardziej kompetentnej: ze strony wodzów duchowych rewolucji rosyjskiej, Hercena i Bakunina, którzy potężny wpływ wywierali na spiskowych oficerów rosyjskich w Polsce. Bez tego fachowca, któremu z konieczności komendy ustąpićby trzeba, cały talent wojenny Rogińskiego — a weń z pewną słusznością wierzył święcie p. naczelnik powiatu — zajaśnieć może w pełni. Uczeń szkoły wojskowej polskiej, szkoły rewolucyjnej, pokaże, co umie!

I nagle w maszynie, nakręconej tak dowcipnie przez młodego wodza, coś się psuć zaczęło. Właśnie, odpoczywając chwilkę, marzył on o dalszym rozwoju działań po zwycięstwie w Białej, gdy do drzwi ktoś cicho zapukał w umówiony sposób.

— Proszę! — obudził się z marzeń Rogiński.

Do pokoju wsunął się młody, dwudziestoparoletni rzemieślnik z przekrzywioną od zgrozy twarzą i, nie zapomniawszy przyjąć wobec naczelnika postawy odpowiedniej, jednym tchem zaraportował:

— Panie naczelniku! Nieszczęście! Księża reformaci rozgrzeszenia nie dają!

— Co pleciesz?! — zerwał się Rogiński. — Jakiego rozgrzeszenia?

Rzecz się wyjaśniła szybko. Stu kilkudziesięciu ludzi przed wyjściem do boju poszło do spowiedzi księży reformatów. Lecz tu nie poszło tak gładko, jak u kapelana drugiego pułku ułanów polskich w Huszczy. Zakonnicy przestraszyli się, że ich posądzą o współudział w napadzie i przy konfesjonałach jęli odmawiać swych penitentów od ryzykownego kroku, nie dając nawet rozgrzeszenia pod pozorem znajdowania się w stanie grzechu przeciw przykazaniu: nie zabijaj. Tłum skupiał się w kościele, zmieszany, zdemoralizowany, niepewny przedsięwzięcia. Więc zapaleńsi posłali po naczelnika.

Rogińskiemu, raptusowi z natury, zaiskrzyły się oczy. Narzucił kożuszek, schwycił czapkę i pędem ruszył do kościoła. Ręce mu dygotały, w kieszeni zaciskał nerwowo rewolwer.

— Zabiję, zamorduję, z dymem puszczę! — przelatywało mu przez głowę.

Wreszcie dopadł do kościoła. Tłum ochotników powstańczych z uszanowaniem się rozstępował, dając przejście naczelnikowi. Już nie przy konfesjonałach, lecz w środku kościoła odbywała się dysputa. Z jednej strony zakonnicy z obu-

rzeniem odpychali penitentów, z drugiej młodzież, jedni zapalczywie, inni na klęczkach, błagali lub nastawali gwałtownie, żądając spowiedzi i rozgrzeszenia. Na to właśnie wpadł Rogiński. Ogniście, chociaż niezbyt wymownie, zaczął zarzucać ojcom, że popełniają zbrodnię narodową, że gdyby szło o spowiedź żołnierza w służbie rosyjskiej, żołnierza, idącego wyrzynać własnych braci, toby mu rozgrzeszenie dali, a tutaj nie czynią tego jedynie z nędznego tchórzostwa. Wreszcie, coraz bardziej się rozgrzewając własnymi słowami, krzyknął:

— Żywcem tu was spalę! Z dymem puszczę klasztor, jeśli nie ustąpicie i nie wypełnicie obowiązku!

Musiała być w tej groźbie siła i jakaś prawda, bo księża cofnęli się i spowiadanie rozpoczęli.

Rozdrażniony Rogiński po chwili wrócił do domu. Nie miał już poprzedniego spokoju i pewności siebie, czuł, że część, może i znaczna część mieszczan ulegnie nastrojowi, wywołanemu przez księży reformatów, a naprawiać szkody już nie miał czasu, za kilka bowiem godzin należało stanąć do boju. Nie wiedział jednak, że już spadło nań nowe, kto wie, czy nie większe nieszczęście, które już w niwecz obróciło wszystkie jego rachuby.

Kapitan Suchodolski, dowódca konnej baterii nr 3, od kilku godzin siedział w swym mieszkaniu w ciężkiej zadumie. Należał on do kółek oficerskich rewolucyjnych, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, ot tak, dla mody, która opanowała inteligencję owego czasu, gdy być ugodowcem było to samo, co nosić żaboty, pończochy lub trzewiki ze sprzączkami. Rewolucja była hen, gdzieś daleko, jakaś nierealna, nie wkładająca żadnych obowiązków, a tym czasem przy spotkaniach z kolegami było tak miło drwiąco odezwać się o władzy, skrzywić się na wzmiankę o cesarzu, gorąco krytykować możnych tego świata, przed którymi było się takim maluczkim w życiu.

A oto przyszły realne obowiązki rewolucyjne. Jeżeli dotąd przymykał tylko oczy na szerzenie się spisku wśród żołnierzy swej baterii, to przecie widział to wszędzie naokoło. Czynił to cały rząd w swej łagodnej surowości, w swej ustępliwości przed rewolucją.

Ale teraz trzeba było przejść przez Rubikon[1]). Trzeba było zamknąć oczy na opanowanie przez powstańców baterii, za

[1]) Rubikon — mała rzeczka, wpadająca do Adriatyku, na granicy starożytnej Galii Cisalpińskiej. Cezar, przekraczając Rubikon, rozpoczął decydującą wojnę z Pompejuszem i senatem rzymskim. Stąd «przejść Rubikon» — powziąć decyzję.

którą jest odpowiedzialny, trzeba było zamknąć oczy na rzeź swoich żołnierzy.

— A co będzie, gdy wojsko napad odeprze, a on jutro będzie musiał stanąć przed oczami komendanta, generała Mamajewa, i odpowiadać za niestawienie się podczas alarmu, za niespełnienie najkardynalniejszego obowiązku żołnierza?

Sąd wojenny, scena rozstrzelania mignęły mu w oczach.

— Brr!... Więc co? Czy można temu przeszkodzić? Przekonać Rogińskiego o niedorzeczności napadu?

— Ależ to niepodobieństwo, ten zapaleniec gotów go zabić, usunąć z drogi! Zresztą przekonać się nie da!

— Uprzedzić Mamajewa?

Wzdrygnął się narazie. Czarna to zdrada, wydanie na rzeź już nie swych żołnierzy, lecz kolegów ze spisku!

Rumieńcem wstydu spłonął narazie.

Lecz jest to właściwie jego obowiązkiem żołnierskim, tak mu nakazuje przysięga, którą składał po przyjęciu szlif oficerskich. Zresztą nikt o tym wiedzieć nie będzie. Pójdzie do Mamajewa, uprzedzi go o napadzie, wojsko stanie w pogotowiu, powstańcy nie ośmielą się napaść. Mamajewa zaś samego przekona o konieczności możliwie pokojowego załatwienia sprawy. Przecież znaną jest rzeczą, że namiestnik, wielki książę, mający duży wpływ na cesarza, jest stronnikiem łagodności rządów, stronnikiem reform liberalnych, główną podporą partii reformy i opiekunem urzędników, skompromitowanych za swe zbyt radykalne poglądy. Tak będzie i wilk syt, i koza cała. Jeżeli rewolucja ma w istocie siłę, to brak powodzenia w jakimś jednym miasteczku nie wpłynie na wypadki, a jutro, pojutrze najdalej będzie to widoczne.

Jeszcze chwilka wahania — wreszcie pan kapitan drżącymi rękami przypasał szablę i, korzystając z wczesnego styczniowego zmierzchu, by nie być dostrzeżonym, wymknął się chyłkiem na ulicę. Za chwilę Mamajew przestrzeżony kazał uderzyć na alarm. Wszelkie plany Rogińskiego prysły, jak bańka mydlana!

* * *

Takich dworów, jak dwór pana Deskura, takich chat, jak chata Macieja w Huszczy, plebanij, jak dom księdza Nawrockiego, miasteczek, jak Biała, i ciężkich tragedyj, jak los kapitana Suchodolskiego — było mnóstwo w dni owe w naszym kraju. Te same kłopoty, te same rozkazy i przeciwroz-

kazy, te same wahania i wątpliwości. Wszędzie to samo zmaganie się z okropnymi trudnościami wytworzenia z chaosu, a więc z niczego, jawnej, zorganizowanej siły zbrojnej. Przygotowania techniczne były zaniedbane już to dla braku środków, już to dla względów konspiracyjnych, dla uniknięcia rozgłosu i przedwczesnego wystawiania tych przygotowań na ciosy wroga, już to z przyczyn politycznych. Nie chciano dolewać oliwy do ognia i doprowadzić do wybuchów lokalnych, niezwiązanych z sobą w jakiś system. I teraz brak tej pracy, poprzedzającej wojnę, mścił się na każdym kroku, w każdej drobnostce. Tarcie przygotowań wojennych olbrzymiało, wywołane pośpiechem w sposób nieoczekiwany, zmniejszając niechybnie zarówno liczebność sił, jak i wartość ich techniczną. Tysiące malały do setek, setki topniały w dziesiątki, dziesiątki znikały, rozwiewały się w mgłę nieuchwytną. A brak czasu — gdzie niegdzie rozkaz chwytania za broń przychodził na 12 godzin przed terminem wybuchu — potęgował grozę położenia, powodował rozpaczliwe szamotanie się w sieciach niemożliwości, wywoływał gorycz, brak wiary w powodzenie. W takich chwilach ludzie szukają oparcia moralnego. Jedynym tym oparciem była Warszawa, był Komitet Centralny, widoma głowa ruchu.

To też jeden goniec za drugim pędził do stolicy z zapytaniami, wątpliwościami, z żądaniami. Pierwsi gońcy byli zwiastunami zdziwienia i przerażenia, które sam rozkaz wywołał. Zewsząd — z Podlasia, z Lubelskiego, z Kaliskiego, z północy i południa, ze wschodu i zachodu — słano zapytania: czy być może? Z czym pójdziemy? Nieledwie: czyście oszaleli?!

W Warszawie, jako zastępcy Rządu Tymczasowego, zostali trzej ludzie: Stefan Bobrowski, Władysław Daniłowski i Witold Marczewski: pierwsi dwaj młodzi, dwudziestokilkoletni akademicy, ostatni trochę starszy, inżynier kolejowy. Bobrowski, który rozumem, wolą i energią trójcy tej przewodził, odprawiał tych pierwszych gońców na razie łagodnym, lecz stanowczym słowem, potem ze złością i wzruszeniem ramion. Pamiętał, że ci sami ludzie, którzy teraz niepokoili się i okazywali brak stanowczości, niedawno jeszcze argumentowali inaczej. Nie tylko zachęcali, lecz wprost wymagali, groźnie żądali wybuchu. Pamiętał, że wtedy w rozpaczy, rozgoryczony brakiem zaufania, a przeświadczony o niemożliwości żądań, zdobył się na propozycję, by gremialnie z całym składem Komitetu Centralnego oddać się w ręce wroga. A teraz c[illegible]

sami, ludzie tłumu bez pamięci, nastrojowcy, gdy wybiła godzina, ślą mu słowa mądrości, przezorności i... lęku. Wzruszył ramionami.

Lecz później przyszli gońce ze sprawami technicznymi, z zapytaniami, które czuć było prochem, w których dojrzeć było można organizację wojenną, manewr bitewny. Tu bezradnie opuszczały się ręce wodzów narodu; żaden z nich najmniejszego o tym nie miał pojęcia; żaden nawet nie miał takiego odczucia luk w swym wykształceniu wojennym, jakie miał pan dziedzic z Horostyty.

Jeszcze gdy szło o pomoc materialną — parę groszy, kilka kożuchów, trochę prochu czy ołowiu — jeszcze w tych wypadkach energia i stosunki Rządu wystarczały. Lecz gdy miała być dana rada wojenna, wskazówka techniczna, gdy trzeba było uspokoić sumienia świeżych majorów i kapitanów, dodać im pewności siebie, gdy, słowem, szło o kierownictwo wojenne, o myśl przewodnią działań, brakło nie sił i energii, nie woli i serca, lecz głowy i zrozumienia rzeczy. W poczuciu więc własnej niemocy, w bezpłodnym wysiłku mózgów i nerwów malała wola, znikała stanowczość i decyzja. Impulsy z centrum życia rewolucyjnego były coraz słabsze i bledsze. Wkońcu w głównej kwaterze zwątpiono, czy w ogóle cokolwiek będzie, czy w ogóle rozkazy w jakikolwiek sposób będą wykonane i czy noc 22 stycznia, zamiast być Polski momentem dziejowym, nie będzie śmiesznością, przedmiotem dowcipów i drwin pokoleń następnych.

W posępnej trwodze oczekiwano wyniku, w trwodze tem większej, że tu na miejscu, w stolicy i sercu ruchu rewolucyjnego, wyglądało wszystko po dawnemu, bo w ogóle przygotowań nie poczyniono. Warszawa, promotor wojny, Warszawa, która dała do niej hasło, która wymusiła na Komitecie Centralnym ogłoszenie powstania, Warszawa wreszcie, najdotkliwszy, najbardziej cenny dla wroga punkt w całym kraju, — Warszawa zepchnęła cały ciężar wojny na drobne miasta, miasteczka, wsie nawet; sama niczem nie miała zadokumentować swej siły rewolucyjnej.

Tu, gdzie pracował mózg organizmu wojennego wroga, sztaby wojenne i kierownicy polityki nieprzyjaciela, gorący oddech walki bezpośredniej nie miał mu zamącić spokoju pracy, nie miał osłabić decyzji i woli. Błąd ten, błąd fatalny dla ogółu operacyj, nie był jednak w ten właśnie sposób odczuwany przez młodych przedstawicieli Rządu. Gnębiła ich bardziej bezczynność wojenna, czuli się upokorzeni, że nie są w szeregach walczących, tam, w drobnych miastach i mia-

steczkach. Po głowach snuły im się plany równie ryzykowne, jak sama rewolucja.

Więc Bobrowski rzucał się, by porwać brata cesarskiego, wielkorządcę Polski, Konstantego. Kilkunastu śmiałków, upatrzywszy odpowiednią chwilę, rozpędzi konwojujących kozaków i wielkiego księcia szybko wywiezie do lasów okolicznych. Bobrowskiemu, rozkochanemu w swym wodzu, wydawało się, że posiadanie w obozie tak cennego zakładnika od razu wyniesie Zygmunta Padlewskiego na czoło powstania, od razu uczyni go ogniskiem, koło którego skupią się wypadki rewolucyjne.

Daniłowski znowu przypomniał dawne plany Jarosława Dąbrowskiego, wówczas zamkniętego już w murach cytadeli. Twierdził, że trzeba rozbiec się po mieście niewielkimi grupami, wpadać do mieszkań dygnitarzy wojskowych i cywilnych, zabijać ich, wprowadzać dezorganizację. Wszystko to było ogólnikowe, mgliste, nieprzemyślane. Wszystko nie stało w żadnym związku, zrozumiałym choćby tylko dla autorów tego czy innego planu, z ogółem rozwijających się wypadków. Wreszcie ta trójca rządowa tak była zarzucona szczegółami i szczególikami rozpoczynającego się już gdzie indziej życia wojennego, że mowy być nie mogło, aby się jeszcze na coś samodzielnego zdobyła. Warszawie sądzonem było milczeć tym razem, poprzestając na niesieniu pomocy powstającej prowincji.

W rosyjskiej kwaterze głównej nie oczekiwano wcale nadchodzących wypadków. Władze cywilne łudziły się nadzieją, żywiły nawet pewność, że po wyłapaniu najgorętszych i usunięciu najbardziej zapalnej młodzieży do szeregów wojskowych w głębi Rosji wszystko się uspokoi. Liczono na bezsilność ruchu rewolucyjnego, groźnego, co prawda, w słowach, lecz skrępowanego warunkami tajnej organizacji. Władze wojskowe szemrały, sądząc, że wojsko jest niezabezpieczone, a używane raz po raz do robót policyjnych, rozprasza się coraz bardziej po kraju. Lecz szemrania były ciche, nie odważono się na żaden śmielszy krok w sporze z władzą cywilną, ta bowiem miała poparcie u wielkiego księcia Konstantego. Jeżeli noc 22 stycznia zastała Polaków nieprzygotowanych do niej technicznie i organizacyjnie, jeśli wypadki postawiły przed Polakami nadzwyczaj trudne zadanie nagłego zaimprowizowania siły zbrojnej bez jakiegokolwiek przyzwoitego przygotowania do niej, to Rosjan zaskoczyła ona psychicznie. Organizacja i technika były u nich gotowe, jak w każdej regularnej armii, co prawda, osłabione rozproszeniem

armii po kraju, lecz duchowo wojsko do wojny się nie gotowało, w stanie wojny się nie znajdowało i wszystkie korzyści inicjatywy działań i niespodzianki przypadały Polakom, jakby dla częściowego przynajmniej wyrównania szans boju.

* * *

Na olbrzymim placu bitwy — a takim placem nocy 22 stycznia miała być cała Kongresówka — stali naprzeciw siebie dwaj przeciwnicy. Jednym była rozproszona na drobne oddziały i jeszcze dyplomatyzująca armia rosyjska, silna swą techniką i organizacją. Drugim były koncentrujące się w ostatniej chwili z luźnych atomów oddziały polskie, licho uzbrojone, a liczące na niespodziany nocny napad w połączeniu z pomocą, której spiskowi sojusznicy mieli udzielić od wewnątrz obozu nieprzyjacielskiego.

Największe natężenie ruchu powstańczego istniało w Płockim, na Podlasiu i Sandomierskim. Reszta kraju albo, jak Lubelskie, nie miała wodzów, albo też brakło jej dostatecznej ilości dostatecznie podnieconych żołnierzy, jak było na całym zachodzie: w Kaliskim, Krakowskim, a w wielkim stopniu i na Mazowszu. W tej części placu boju co najwyżej liczyć było można na drobne, nieznaczne i nie mogące wpłynąć na losy boju utarczki. Główne uderzenie musiało nastąpić tam, gdzie się ześrodkowały główne, chociaż jeszcze rozproszone, siły spisku, to jest na całym wschodzie.

W Płockim, na Podlasiu, w Sandomierskim wreszcie, półkolem otaczając serce ruchu i stolicę kraju, miał wybuchnąć bój — walka zdradliwa i rozpaczna, jaką zawsze jest starcie powstającego ludu z «prawnie» istniejącą władzą, opartą o całą potęgę techniki wojskowej, jaką posiada każde państwo. Kosy miały się zderzyć z bagnetami i karabinami, myśliwskie strzelby miały sprostać armatom. Pomocą zaś w nierównej walce miała być noc ciemna, niespodzianka, wreszcie zdrada w obozie nieprzyjacielskim — ułatwienie napadu przez spiskowych oficerów w armii rosyjskiej.

Czy dlatego, że energiczniej szła przygotowawcza praca na Podlasiu, czy że silniejszymi okazały się tam charaktery, właśnie w tej części kraju bój wypadł najkrwawszy. Brak czasu i broni, przeciwdziałanie przeciwników powstania wśród Polaków i tu, jak wszędzie, przeszkodziły w wielu miejscach części spiskowych wyruszyć w pole. Niektóre więc planowane napady zawiodły najzupełniej, czy to z braku dowódców lub żołnierzy, którzy zgodnie z prawami wojska ochotni-

czego zostali w domu. Zamiast sześciu tysięcy, które miano wystawić przeciw sile wroga, wyższej liczebnie, zaopatrzonej w artylerię, zaledwie 1500 ludzi stanęło do rzeczywistego boju.

Tysiąc pięćset ludzi, zebranych w ostatniej chwili, więc niespojonych organizacją wojskową, ludzi, którzy najczęściej broni w ręku nigdy nie mieli! Trzeba było szaleństwa decyzji rewolucyjnej, by w tych warunkach bój rozpoczynać. Trzeba było naiwnej w duszach wiary, rozwijanej i potęgowanej przez długotrwały okres wrzenia rewolucyjnego, podczas którego wszystko, co jest władzą, powoli w proch się rozkładało, przestając otoczenie zmuszać do posłuszeństwa już to swą powagą, już to postrachem kary. Trzeba było tej ogromnej przemocy moralnej, z jaką każdy ruch rewolucyjny występuje w stosunku do swych zwolenników, a nawet do przeciwników swych dążeń. W chwili wybuchu, gdy technika i sprawność wojenna nie wypowiedziały swego słowa, wyraźnego aż do brutalności, powstającemu ludowi w całej rozciągłości sekunduje jeszcze ta siła, która w okresie przedwybuchowym w ścieraniu się ze stroną przeciwną święciła same prawie triumfy, zmuszając wroga do cofania się przed nią — sekunduje mu siła moralna. Jeszcze w chwili samego wybuchu odnosi ona dziwaczne nieraz zwycięstwa!

Oto na skrajnym wschodzie placu boju nastąpiło spotkanie dwóch przeciwników. Jeden z nich to generał Mamajew, komendant garnizonu w Białej. Uprzedzony, jak widzieliśmy, przez zdradę jednego ze spiskowych oficerów, kazał uderzyć na alarm i zaraz po dziewiątej wieczór wytoczył na rynek miasta wszystkie swe siły. Więc ośm dział odprzodkowanych, gotowych do strzału, stanęło pośrodku. Osłoniła je ze skrzydeł kompania piechoty, a dokoła, jako flankierzy i wywiadowcy, rozsypali się kozacy. W ciemnościach wilgotnej, dżdżystej nocy styczniowej zabłysły ognie, suto wpośród rynku rozpalone. O nagłym, niespodziewanym zawładnięciu armatami, o zniesieniu siły rosyjskiej podstępnym napadem nocnym mowy być nie mogło. Wstępny bój toczonym być musiał otwarcie — jawnie trzeba było pokazać, czy kosy, drągi, siekiery, a w najlepszym razie śrutem nabite rusznice są zdolne do pojedynku z działami i gwintowanymi karabinami, z całą techniką wojska, w swym przepychu i dumie ześrodkowaną na rynku małego miasteczka.

Naprzeciw, u wylotu jednej z ulic na rynek, zaczęła się zbierać gromadka powstańców pod dowództwem młodego Rogińskiego, którego śmiałe zamiary wniwecz się obróciły. Spiskowi bialscy ściągali się powoli i leniwie. Zdemoralizowani

przez kontragitację księży reformatów, przestraszeni widoczną przemocą wroga, przygotowanego do odparcia napaści, rzemieślnicy bialscy haniebnie dezerterowali z szeregów spiskowych. Do godziny jedenastej wieczór zebrało się zaledwie sześćdziesiąt kilku ludzi, którym rozdano kosy, siedm dubeltówek i cztery pojedynki myśliwskie. Kilkunastu żołnierzy Polaków z baterii nieprzyjacielskiej otwarcie wyszło z szeregów, by stanąć z bronią — pałaszami — po stronie powstania. I ta drobna garstka, wyglądająca na wyprawę myśliwską, wracającą z obławy na leśnego zwierza, przez parę godzin w trwożnym napięciu nerwów stała o paręset kroków naprzeciw oddziału z trzech rodzajów broni, gotowego do boju. Jedno poruszenie, jedno nieznaczne pokręcenie korby u gotowej maszyny wojskowej wystarczało do zgniecenia śmiałków! A jednak tylko ponure milczenie zalegało na rynku, milczenie, które zalegać musi duszę małego zwierzaka, zahipnotyzowanego przemocnym spojrzeniem boa-dusiciela.

Jednak zdolnym do ruchu w tym wypadku okazał się nie boa-dusiciel! Rogiński z samego rynku pchnął posłańców-pocztarków, którzy z odgłosem trąbki pocztowej rozbiegli się w różne strony, jako adiutanci, pędzący do sąsiednich oddziałów z prośbą o pomoc. I znowu minuty za minutami, kwadranse za kwadransami mijały w śmiertelnym oczekiwaniu. Wreszcie o pierwszej w nocy Rogiński znowu na ruch się zdobywa.

Tym razem postanawia ustąpić z placu, lecz ze śmiałością ostatecznej determinacji kazał swej garstce niejako defilować przed siłą nieprzyjacielską — przejść na ukos rynek, by zniknąć w innej ulicy, prowadzącej w stronę Janowa, skąd najszybciej nadciągnąć mogła pomoc. Więc naprzód poszli dezerterzy-kanonierzy z kosą w ręku, w końcu, przykrywając marsz, jedenastu strzelców z Rogińskim, uzbrojonym w rewolwer, na czele. «Była taka cisza — pisze Rogiński, — że słychać było tylko szmer równo posuwających się kroków i nieomal bicie serca każdego».

Rynek przebyli szczęśliwie i wówczas dopiero Mamajew puścił w pogoń kozaków, których odstraszono paru strzałami.

Któż więc w tym bezkrwawym zmaganiu się sił był hipnotyzerem? Czy bezczynna i bezwładna w swej masie zbrojnej siła rosyjska, jako wojsko — zdemoralizowana zdradą oficerów i żołnierzy, czy garstka prawie bezbronnych straceńców, spokojnie defilujących przed najeżonym bagnetami frontem wroga?

Dopiero o milę od Białej Rogiński spotkał nadciągające

opóźnione oddziały księdza Rozwadowskiego i Wolanina, liczące razem trzystu ludzi.

Mamajew zaś wystraszony tą bezkrwawą bitwą, słał gońców jednego za drugim, by ściągnąć do Białej większe siły, jakgdyby mu nie wystarczyły dotychczasowe. W kilka dni potem Rosjanie opuścili Białą, wycofując wojsko do Siedlec i sąsiedniej fortecy — Brześcia.

Nie wszędzie jednak na Podlasiu bój był tylko zmaganiem sił moralnych. Gdzie tylko czynnik niespodzianki mógł być wyzyskanym należycie, bój był przeprowadzony nieraz z rozpaczną energią.

Więc w Kodniu Nencki z furią wpadł na paruset żołnierzy, stanowiących załogę miasteczka i będących obsługą parku artyleryjskiego. W jednej chwili rozprzężone i rozproszone siły rosyjskie w bezładnym popłochu opuściły miasteczko, oddając na łup zwycięzcom niewielki skład broni i naboi. Kilkunastu żołnierzy z oficerem, wziętych do niewoli, świadczyło o zupełnym zwycięstwie.

Więc w Łomazach znany nam zaścianek szlachecki Huszcza tak samo znienacka wpadł na szwadron ułanów, rozbił go w puch, zabrawszy rynsztunek i wielką ilość koni.

Wreszcie w Łukowie ksiądz Brzózka, który z czasem miał się wsławić, jako ostatni partyzant Polski, nie schodzący z pola walki jeszcze na wiosnę 1865 r., nagłym napadem wyrugował z miasta dwie kompanie piechoty, zabrawszy sporą ilość broni.

Gorzej poszło w samych Siedlcach i Radzyniu, gdzie bitwy były najkrwawsze i gdzie po krótkim starciu plac boju został przy Rosjanach.

W Siedlcach przewodził Polakom wódz Podlasia, pułkownik Lewandowski. Jak wszędzie, tak i tutaj, poprzednie obliczenia zawiodły. Większość ochotników nie stanęła do apelu, już to z przyczyn usprawiedliwionych, jak najrozmaitszych przeszkód technicznych, już to ulegając moralnej depresji w ostatniej chwili. Przy najpesymistyczniejszym obliczeniu sądzono, że stawi się najmniej tysiąc ludzi; w rzeczywistości stawiło się koło trzystu, zaledwie trzecia część tego, na co liczyli pesymiści. Świeży żołnierz, licho uzbrojony, niepewny w swych poruszeniach, po raz pierwszy zobaczył swego naczelnika w nocy przed samym bojem. Nawet zewnętrzna jego postać nie mogła być dokładnie rozeznana, a Lewandowski sam, spostrzegłszy wahanie się ludzi, nie zdecydował się uderzyć na silną załogę siedlecką. Cofnął się więc o pół mili, by znieść kompanię, osobno stojącą w Stoku Lackim, tym bar-

dziej, że tu właśnie ześrodkowane były składy 19-go pułku kostromskiego, podówczas rozsypanego drobnymi załogami po kraju.

Pierwszym nagłym uderzeniem Polacy opanowali składy i odrzucili kompanię do wsi, gdzie żołnierze, instynktem samym prowadzeni, roztarasowali się po chałupach, odstrzeliwując się napastnikom. Ciemna noc, obok niedostatecznej organizacji wewnętrznej i spoistości świeżego wojska polskiego, nie dały możności przeprowadzenia z powodzeniem trudnego względnie zadania stopniowego wyparowania żołnierzy rosyjskich z osiedli. Powstańcy stanowili bezładną kupę ludzi, z którą złożonego manewru niesposób było wykonać. Poprzestano więc na utrzymywaniu gęstego ognia ze strzelb i zdobytych karabinów i z najbliższej tylko podpalonej chałupy zdołano wyrzucić obrońców wioski. Oczekiwano świtu, ażeby z większą łatwością móc zorganizować oddział i użyć go jako siły zorganizowanej do skończenia zaczętego dzieła.

Lecz nad ranem z Siedlec i niedalekiej Białki nadbiegła odsiecz w postaci trzech kompanij piechoty i sotni kozaków. Niezorganizowane wojsko polskie okazało się niezdatnym do dłuższego oporu. Oddział zaczął się rozprzęgać, cofać grupami do pobliskiego lasu, wreszcie o samym świcie bój ustał. Polacy, nieścigani przez Rosjan, lecz zdezorganizowani długim bojem, prawie w zupełnej rozsypce rozeszli się w różne strony. Sam zaś Lewandowski z niewielką garstką ludzi uszedł, by szukać innych podwładnych mu oddziałów.

Dziedzic z Horostyty — pan Deskur — miał prowadzić atak na Radzyń. Rozstaliśmy się z nim w chwili, gdy zrozpaczony musiał porzucić sklecone z takim mozołem atomy podwładnej mu siły zbrojnej. Zgodnie z planem, ułożonym jeszcze w spokojnej Horostycie, miał on stanąć pod lasem o dwa kilometry od Radzynia wieczorem 22 stycznia, by tam oczekiwać na przymarsz zebranych ludzi. Po drodze, dla pewności, bo był sam jeden, jak palec, zabrał z sobą Jerzmanowskiego, człowieka starszego, kiedyś, w 1848 r., za spiski zesłanego na Syberię. Jerzmanowski od stóp do głowy zbroił się na wyprawę. Wreszcie pan major stanął u celu — na skrzyżowaniu kilku dróg, którymi nadciągnąć mogli jego ludzie. Mrok zapadał, mokry śnieg począł sypać. Jerzmanowski został na skrzyżowaniu dróg. Deskur zaś sam udał się na skraj lasu, skąd mógł zdala obserwować Radzyń i spotkać spiskowych mieszczan radzyńskich.

Chwila za chwilą mijały w przykrym oczekiwaniu. Niepewność gryzła pana majora: — Czy też uda się misterny plan

skoncentrowania wszystkich atomów — ludzi i broni — pomimo wszelkich przeszkód w jednym punkcie? A tu nagle nowe nieszczęście! Zdala zbliżał się turkot szybko jadącego wozu, rozlegały się dźwięki trąbki, po chwili padły dwa strzały, a koło zdumionego majora w pełnym cwale przemknął wóz z dwoma żołnierzami rosyjskimi. Na skrzyżowaniu dróg Deskur Jerzmanowskiego nie zastał.

— Wszystko stracone! — oto pierwsza myśl, która przemknęła przez głowę nieszczęśliwego majora. Kłopoty organizacyjne, niepewność oczekiwania samotnego, mokry śnieg, wreszcie alarm niespodziewany, wszystko to razem z równowagi duchowej wyprowadziło Deskura. Włosy mu dębem stanęły na głowie, a język kołkiem w ustach — jak to sam znacznie później opisze w swym pamiętniku. Miał jednak tyle odwagi i hartu, by straconego, jak mu się zdawało, posterunku przecież nie opuścić.

— Nie wydawać przynajmniej na łup nieuprzedzonych powstańców! — myślał; i znowu naczelnik siły zbrojnej parę godzin spędził pod krzakiem w oczekiwaniu swych ludzi.

Był szczęśliwszym od innych, na przykład, od Oxińskiego w Kaliskiem, który tej samej nocy w takiej samej samotności doczekał się w ciągu nocy jednego — wyraźnie jednego tylko — ochotnika. Pan Deskur już o jedenastej wieczór doczekał się swego przyjaciela Jasińskiego, który z Horostyty przyprowadził na punkt zborny stukilkudziesięciu ludzi i trochę broni: 40 dubeltówek i 100 kos. Broni, nawet tej lichej, było tak mało, że mając na uwadze konieczny udział mieszczan radzyńskich w boju, nowych przybywających ochotników pan major odprawiał z kwitkiem, jako zbyteczny balast dla swego oddziału.

O dwunastej nareszcie zjawili się dawno oczekiwani mieszczanie z Pyrkoszem i Prądzyńskim na czele, z gołymi rękoma, nawet bez siekier. Niektórzy otrzymali kosy, reszta poszła z drągami. Nowiny z miasta były uspakajające. Oficerowie, w dwóch miejscach zebrani, grali w karty i hulali, żołnierze spali snem sprawiedliwych. Co prawda, wobec braku broni w oddziele panowało przygnębienie, lecz pan major opanował ludzi i wydał rozkazy.

— Przede wszystkim wziąć w swoje ręce naczelników! — brzmiało polecenie.

Pyrkosz miał prowadzić mieszczan na jedno z mieszkań, gdzie byli zebrani oficerowie. Otoczyć ich, ubezwładnić i postąpić z nimi, jak nakażą oficerowie spiskowi, — oto było jego zadanie. Drugiej części oddziału Michałowski miał użyć

dla ujęcia głównego komendanta wroga — generała Kannabicha, który u Chwoszczyńskiego, oficera żandarmów, grał w karty. Wreszcie na główną wartę i koszary artylerii sam pan Deskur prowadził resztę oddziału: 14 strzelców i 40 kosynierów. Rozpoczyna Pyrkosz, który dla dania sygnału innym zapali słomę, złożoną dla artylerii w rynku.

W rozkazach nie było tej ścisłości i pewności siebie, jaka była pożądana. Pyrkosz czynności swe miał uzależnić od nieobecnych w tej chwili oficerów spiskowych, którzy mogli się zachwiać w postanowieniach. Zapalenie zaś słomy, jako sygnału, świadczyło, że ludzie, nie wyłączając samego dowódcy, majora Deskura, żądali jeszcze jakiegoś zewnętrznego znaku na dowód, że wojna w istocie się zaczyna. W głębi bowiem duszy jeszcze nurtowały wątpliwości, czy w ogóle to jest możliwem, czy przypadkiem którykolwiek z zebranych nie cofnie się w ostatniej chwili. Bo poza tym uzewnętrznieniem niejako rozkazu rozpoczęcia robienie alarmu w mieście, na które niespodzianie się napada, oświetlenie placu boju, gdy się chce własną ukryć niemoc — najmniej było wskazanym.

Bądź co bądź jednak ułożono plan cały i wyprawa ruszyła na miasteczko, migocące w mglistej dali paru świetlnymi punktami, oświeconymi oknami czuwających jeszcze, a nie spodziewających się nadchodzącej burzy mieszkańców. Pyrkosz, który dla dodania animuszu trochę sobie podchmielił, zapalił słomę w rynku, otoczył mieszkanie z oficerami i sam, wszedłszy do środka, zwrócił się do zebranych z długą i zawiłą przemową. Jak pod Ciołkowem nieszczęsny pułkownik Kozlaninow, tak w Radzyniu biedny łyk miejski szedł w burzę z gałązką oliwną pokoju, szukając u swych wrogów odczucia i zrozumienia. Podzielił też los swego rosyjskiego poprzednika. Major Borozdin — najstarszy oficer wśród zebranych — odrazu wyraził zgodę na propozycję apostoła pokoju, a uśpiwszy jego czujność, wysłał ordynansa po żołnierzy. Po krótkiej chwili pozornego zbratania się wybuchnęła nagle ostra, bezwzględna walka. Sprowadzeni żołnierze wcale nie pokojowo wpadli na Polaków. Zakłóty bagnetami padł Pyrkosz wraz z większością swych podkomendnych.

Michałowski szybciej sobie poradził z Kannabichem. Ciężko ranny generał i steroryzowani oficerowie, przy nim obecni, zostali usunięci z pola walki.

Warta główna i straż przy armatach jednym gwałtownym uderzeniem Deskura została rozproszona. Część legła pod uderzeniami kos, reszta rozbiegła się w panicznym strachu. Działa i jaszcze bezbronne stanęły do dyspozycji zwycięzców.

Lecz jak ruszyć je z miejsca? — Koni! koni! Pół królestwa za konie! — mógłby był zawołać pan Deskur słowami Ryszarda Trzeciego [1]).

Konie były tuż obok w stajni. Lecz żołnierze, widząc, co się święci, już zamknęli drzwi i z różnych otworów rozpoczęli bezładny, lecz huczny ogień na powstańców, oświetlonych blaskiem płonących w rynku stert słomy.

Jeszcze chwila oporu i rozpaczliwego wysiłku, by zwycięstwo, które już się Polakom uśmiechało, przechylić na swoją stronę. Lecz już z innej strony szła odsiecz oblężonym Rosjanom. Część piechoty po załatwieniu się z Pyrkoszem i jego ludźmi, oswobodziwszy oficerów, ruszyła na jedyną teraz siłę polską, walczącą koło stajni artyleryjskich. Zabici i ranni padali gęsto. Wreszcie siła moralna wyczerpała się i wszystko rozprysło się w różne strony.

Deskur z wiernym przyjacielem Jasińskim, zrozpaczeni, pełni zwątpienia w siły powstania i możliwość powodzenia, sami zostali pod miasteczkiem. Na punkcie zbornym, wyznaczonym zawczasu w razie niepowodzenia, nie było nikogo. Biedny pan major postanowił szukać oparcia u swej bezpośredniej władzy — u pułkownika Lewandowskiego. Ruszył samotrzeć pod Siedlce.

Na Podlasiu, w środku olbrzymiego półkola, na którym w nocy 22 stycznia bój wydano, stanęło ze strony polskiej 1500 licho uzbrojonych, naprędce zebranych, organizowanych dopiero w ostatniej chwili bojowników. Przeciwko sobie powstanie podlaskie miało samej piechoty do 5000; 32 działa z odpowiednią obsługą gotowe były rozpocząć dzieło zniszczenia. Ku pomocy zaś swojej wojska te posiadały tysiąc kilkuset kawalerzystów, zdatnych do szybkiego pościgu czy osłony miejsc zagrożonych. W boju 22 stycznia nie wszyscy żołnierze rosyjscy udział wzięli. Zaledwie 3000 ludzi nocy tej odczuło na sobie oddech otwartej walki — i tak podwójna przemoc w samej liczbie w stosunku do Polaków, nie licząc już przewagi w broni, a przede wszystkim w tężyźnie organizacji, opartej na silnej, bezwzględnej dyscyplinie.

A jednak, gdy na szarym, zimowym niebie rozbłysnął świt poranny, zwiastując krajowi pierwszy dzień długiej wojny, nie tylko Polacy, odparci od obiektów ataku, a nawet cofający się z miejsc, przez siebie zdobytych, jak w Kodniu, Łukowie i Łomazach — nie tylko Polacy znajdowali się w rozterce duchowej i niepewności jutra. Rosyjskie wojsko, nawet

[1]) Ryszard III (1452—1485), król angielski.

zwycięskie, nigdzie nie zdobyło się nawet na cień pościgu. Przerwane komunikacje pomiędzy drobnymi, rozsypanymi po kraju oddziałami rodziły chwiejność decyzji, bojaźń o los swój jutrzejszy, przenikającą wojsko rosyjskie od góry do dołu, od dowódców kompanij, szwadronów, batalionów do ostatniego żołnierza. Bezwiednie oglądano się dokoła, czy w jakim kącie nie czyha zdrada, bezwiednie, wobec własnej nieświadomości, szukano oparcia w przypuszczalnej wszechwiedzy władz centralnych.

* * *

Podlasie, stanowiąc centrum w boju 22-go stycznia, przez powstanie w Augustowskim na północy łączyło się ze skrzydłowym uderzeniem w Płockim, a na południu wiązało się przez Lubelskie z siłą sandomierską. Tam, na skrzydłach, według planu skupione być miały główne siły, tam dzielna szlachta zagonowa z pod Siedlec, Łukowa i Białej miała prawo spodziewać się rozstrzygających, silnych uderzeń, dla których jej drobne, bohaterskie podjazdy i szarpanie wroga miały być tylko pomocą demonstracyjną. W sąsiednich województwach, augustowskim i lubelskim, organizacja spiskowa albo była słaba (Augustowskie), albo też osłabiona aresztowaniami i zdezorganizowana brakiem technicznego kierownictwa.

To też w obu połaciach kraju, będących wiązadłami centrum Podlasia ze skrzydłami, ruch nie przybrał większych rozmiarów. W Augustowskim Zameczek (Cichorski) zebrał kilkuset ludzi sprzysiężonych i z nimi wyruszył z Łap pod Suraż, gdzie niespodzianym napadem rozproszył stojącą tam załogę — kompanię piechoty. Czyn, który odegrać żadnej poważnej roli nie mógł, zostawiał zaś bez naruszenia główną arterię ruchu — świeżo zbudowaną kolej z Warszawy do Petersburga. Już w tydzień potem tą drogą będą szły transporty gwardii, przesłanej do Warszawy. W samych zaś Łapach, skąd wychodził oddział, złożony właśnie ze służby kolejowej, znajdowało się duże «dépôt» [1]) kolejowe i, co ważniejsze, duży most kolejowy przez Narew. Zresztą to przepomnienie wynikało prawdopodobnie z ogólnego naówczas nieoswojenia się z tym potężnym środkiem komunikacyjnym. Ludność bardziej ciążyła ku szosom, drogom bitym, ułatwiającym ruch wozowy, niż ku nieznanej jeszcze nowince z Zachodu — kolei żelaznej. Drugi napad, na Wysokie Mazowieckie, prowadzony następnej nocy, i leśny bój pod Mężeninem, wstrzymujący

[1]) Dépôt — skład, magazyn.

kolumnę rosyjską w jej przemarszu do Łomży, były dopełnieniem ruchu w Augustowskim, w pobliżu kolei petersburskiej.

W Lubelskim jedyny napad na Lubartów był bliźniaczo podobny do opisanego wyżej napadu Deskura na Radzyń. I tu pierwszym impetem nagłego napadu zdobyto 8 dział — całą baterię. I tu opór żołnierzy rosyjskich, z własnej inicjatywy biegnących z odsieczą, nie pozwolił skorzystać z pierwszego sukcesu. I tu wreszcie krótka bitwa rozprzęgła w zupełności niespojone dłuższą organizacją szeregi polskie, tak, że wodzowie polscy, tak, jak Deskur, o świcie znaleźli się bez żołnierzy, sami, z rozpaczą i zniechęceniem w sercu. Gdzie indziej w tym województwie wobec braku sprężystej i jednolitej władzy wojskowej nie doszło nawet do boju. W różnych miejscach zebrały się mniejsze lub większe grupy, które nie ośmieliły się zajrzeć nieprzyjacielowi w oczy, a nawet niekiedy po prostu rozeszły się (pod Krasnystawem) zaraz po zbiórce.

* * *

W Płockim, na północnym skrzydle, powstanie miało według planu wydobyć możliwie wielkie siły, by odrazu zdobyć podstawę dla dalszej walki. Podstawa, co prawda, słaba wobec wielkiej bliskości nieatakowanej Warszawy i Modlina, nietrzymanych na wodzy żadną inną siłą. Lecz możliwość szybkiego ściągnięcia właśnie z Warszawy wielkiej ilości spiskowych przemawiała za tym, by tu najtęższy cios zadać. To też tu jedynie, czyniąc wyjątek w ogólnej taktyce, kuszono się o zdobycie jednej ze stolic administracyjnych i wojskowych ówczesnej Polski — Płocka, siedziby komendanta 6-ej dywizji piechoty wraz z jego sztabem i zarządem wojennym olbrzymiego kawału kraju, obejmującego dwa województwa — płockie i augustowskie.

Do Płocka, po jego zdobyciu przez powstanie miał się przenieść Rząd Narodowy, by jawnym, dla wszystkich widocznym ukazaniem się wesprzeć sprawę powstania. Tam też spieszył główny dowódca wojenny ruchu, Zygmunt Padlewski. Tym czasem jednak koncentrował siły powstania w tej okolicy i przygotowywał napad Bończa, inaczej Błaszczyński, były kapitan artylerii rosyjskiej.

Siły, zbierane do napadu na Płock, były względnie liczne, przynajmniej tak wyglądały przy rachunku na papierze:

— Pięć, sześć tysięcy! co najmniej tyle! — z pewną niechęcią myślał Błaszczyński przed napadem. — Czy nie za wiele? Trudno będzie opanować tak dużą gromadę świeżych żołnierzy! A zabraknie gdzie indziej! Kto zaatakuje Pułtusk,

Maków i inne załogi, gdy wszystko, co żyje, pociągnie pod Płock?

— A zresztą — myślał dalej — organizacja miejska z Płocka samego też coś warta i ostatnie jej doniesienia świadczą, że załoga się zmniejszyła. Prawie połowę jej wysłano na te głupie rekonesanse...

W istocie, z załogi płockiej wymaszerowały w różne strony drobne oddziały dla «łapania żywcem» dezerterów warszawskich i płockich. Rekonesanse wszystkie, z wyjątkiem nieszczęsnego Kozlaninowa, uderzyły w próżnię, osłabiwszy zato znacznie garnizon miasta.

Generał Mengden, który zastępował nieobecnego naczelnika dywizji, generała Lemcke, dnia tego miał pod swoją komendą zaledwie 400 piechoty i garstkę kozaków. Siły nieliczne, tym słabsze, że prawie połowę piechoty stanowili inwalidzi, żołnierze starsi, trochę zdemoralizowani na pół cywilną służbą, którą pełnili. Akurat dnia tego nadbiegła wiadomość o śmierci Kozlaninowa i rozbiciu przez Rogalińskiego jego oddziału pod Ciołkowem. Jakieś przygnębienie zawisło nad wojskiem. Lecz było to zarazem ostrzeżenie, — ostrzeżenie, dane w porę, gdy burza, której nikt się nie spodziewał, już wisiała nad głową.

Drugim ostrzeżeniem było zerwanie połączenia telegraficznego z Warszawą, a raz po raz do miasta dochodzić zaczęły głuche, trudne do skonstatowania dla tak słabej siły pogłoski o jakichś podejrzanych ruchach grup ludzkich w okolicy. Baron Mengden postanowił mieć się na ostrożności. Z energią, nieznaną gdzie indziej wśród dowódców rosyjskich, od razu zawiesił nad miastem stan oblężenia.

O piątej wieczorem ognie miały być zgaszone wszędzie, bramy domów i sklepy pozamykane, a na miasto poszły gęste patrole dla przeszukania ulic i zaułków, dla usunięcia najniebezpieczniejszego, bo wewnętrznego wroga.

Cios był wymierzony dobrze, uderzał w najsłabszą stronę planu polskiego. Błaszczyński bowiem nie komu innemu, jak właśnie owemu wrogowi wewnętrznemu — organizacji miejskiej w Płocku — oddał rozpoczęcie ataku, chcąc z siłą zewnętrzną, zebraną poza miastem, nadejść jakby z rezerwą, dla rozstrzygnięcia zwycięstwa. Błąd ciężki i w skutki brzemienny.

Więc nie wojsko, chociażby nie wiem jak liche, ale zawsze już wojsko, które przezwyciężyło niesłychane przeszkody budownictwa wojskowego z luźnych, rozproszonych atomów — nie ta siła, zebrana już i znajdująca się w ręku wodza, miała wziąć na siebie najtrudniejsze zadanie. Bo zadanie trud-

nym było w istocie. Przezwyciężyć trzeba było przede wszystkim naturalną nieufność do sił własnych i naturalną bojaźń przed siłą, widocznie dla każdego przeważającą pod względem technicznym i organizacyjnym. Wreszcie zdobyć się trzeba było na szaleństwo decyzji działania, podobnego do rzucania się z motyką na słońce, działania, wymagającego jednak pewnej organizacji sił własnych. A czyż ta organizacja nie była stokroć trudniejszą na terenie miejskim, będącym w zupełnym do ostatniej chwili posiadaniu nieprzyjaciela, niż na terenie poza miastem, gdzie już udało się skleić luźne atomy siły brojnej w jaką taką organizację?

Błąd to był ciężki, powiększony jeszcze przez nakaz bicia w dzwony, alarmowania nie tylko swoich, lecz i nieprzyjaciela, który najsłabszym był właśnie wtedy, gdy niczego się nie spodziewał, silnym zaś się stawał, gdy był ostrzeżony i w zupełnym pogotowiu mógł wytoczyć całą swą przewagę techniczną.

Jednak organizacja miejska czyniła rozpaczliwe wysiłki, aby podołać zadaniu. Pomimo stanu oblężenia grupy i pojedynczy ludzie ściągać zaczęli na umówione miejsce. Broń, ukryta na sobie, staranność w zachowaniu pozorów — to była metoda zbierania siły zbrojnej. Lecz patrole Mengdena robiły swoje, wnosząc dezorganizację do operacji organizacyjnej, i bez nich nadzwyczaj zawiłej i trudnej. Ludzie, śpieszący na zbiórkę, zamiast trafić na wyznaczone miejsce, trafiali często do aresztów, zbici i sponiewierani przez patrolujących żołnierzy. Wojsko wykryło nawet parę punktów zbornych, gdzie od razu wyrwano z szeregów całe grupy, przygotowujące się do boju.

Pierwszy krok okazał się fałszywym. Alarmował coraz bardziej nieprzyjaciela, wprowadzając do własnych szeregów najgorszą dla świeżego wojska chorobę — dezorganizację i zamęt. Hasło napadu opóźniało się coraz bardziej, a gen. Mengden grupami wojska obsadzał najważniejsze punkty miasta, powoływał pod broń ludzi z poza frontu: rzemieślników, służbę oficerską, słowem, stawiał w pogotowiu bojowym wszystko, co miał na swe rozporządzenie.

Poza miastem tym czasem na oznaczone punkty ściągała się rezerwa Błaszczyńskiego. Na odbytej poprzedniego dnia naradzie poszczególnych dowódców punkty te zostały wybrane dokoła miasta. Znowu dziwne nieporozumienie. Jeżeli rozpoczynać miało już miasto, jako wróg wewnętrzny, to rezerwa, skupiona w jednym miejscu, byłaby najodpowiedniejszą. Byłby ułatwiony przegląd sił, ich celowe i odpowiednie zorga-

nizowanie dla walki, wreszcie, co najgłówniejsze, użycie ich zgodne ze zmiennymi losami boju, rozpoczętego w mieście. Było to tym konieczniejsze, że trudno było liczyć na to, aby liczby powstańców, zestawione na papierze, odpowiadać mogły smutnej nieraz rzeczywistości armii ochotniczej, organizowanej dopiero tuż przed bojem.

W istocie też obliczenia zawiodły. Gdzie liczono na tysiące, stawiły się setki, gdzie chciano mieć setki, stawały do dyspozycji dziesiątki zaledwie. Drobne te grupy ze zmniejszoną wiarą w swe siły już z powodu swej niewielkiej liczby w wahaniu i niepewności, czy nie należy jeszcze czekać na nadejście większej ilości ochotników, wyczekujące na chwilę działania w ulewnym deszczu, nie mając pomiędzy sobą komunikacji i łączności, stawały się w swej męce oczekiwania coraz mniej zdatne do wyrównania szans boju w mieście.

Wreszcie w przepojonym wilgocią powietrzu jękliwie zabrzmiały dźwięki dzwonu. Było około godziny pierwszej w nocy. Pomimo strat, poniesionych przy zbiórce, część odważniejszych z organizacji miejskiej biegła na miasto, nawołując mieszkańców do broni i walki. Była to raczej demonstracja, mogąca nieco rozproszyć siły nieprzyjaciela, niż zamierzone zapoczątkowanie boju, wiążące wroga, zużywające jego siły tak, aby zmęczony i słaby stał się łatwym łupem nadchodzącej rezerwy. Ludność, steroryzowana wrażeniami ubiegłego wieczora, ze zwiększoną ostrożnością, a zatem nadzwyczaj powoli, zbierała się w oddziały, ulegając w części zupełnemu rozproszeniu przez ściągające się na alarm patrole gen. Mengdena.

Lecz wreszcie naczelnikowi miasta, Zegrzdzie, udało się zebrać garść ludzi, z którą wpadł na plac przed główną wartę. Zabity wartownik zdążył jednak uprzedzić wartę, która pod wodzą komendanta placu, pułkownika Poźniaka, wyskoczyła z budynku i gęstym ogniem ostrzeliwała zbliżające się szeregi powstańców. Dla zaalarmowania całej załogi pułkownik Poźniak wypuścił parę rakiet, które, spadając, obsypały skrami nadciągającą rezerwę.

Krótkim był bój w tym miejscu. Jak zwykle tej nocy, świeży żołnierz, nie mający wewnętrznej spoistości organizacyjnej, był dobrym tylko wówczas, gdy pierwszy krok jego na wojence uwieńczony był powodzeniem. Przełamanie uporczywego oporu, gdy trzeba było dla zwycięstwa manewru i dłuższego wytrwania w ogniu, było zbyt trudnym i pod względem moralnym, i organizacyjnym. Wojsko rozprzęgało się na oczach grupy i poszczególni ludzie bez rozkazu, na własną

rękę, cofali się najprzód za najbliższe osłony, by potem ratować się bezładną ucieczką.

Tak stało się i w Płocku. Ludzie, cofający się z placu przed odwachem, zmieszali szeregi zbliżającej się rezerwy, by z nią razem w bezładnej kupie wycofać się z miasta. Rozpaczliwe wysiłki Bończy, który z bezczelną odwagą uwijał się na białym koniu po mieście, pozwoliły na podjęcie bitwy raz jeszcze. W oczekiwaniu oddziałów od zewnątrz, które jeszcze nie wszystkie nadeszły, Bończa zorganizował atak na koszary, już nie z wewnątrz miasta, lecz od pola.

Znowu zagrzmiały wystrzały. Rosjanie z okien i dachów sypnęli ołowiem na Polaków, jak zwykle zresztą przy nocnych atakach, niewielkie wyrządzając szkody. Ze strony polskiej rzadziej, lecz prawie równie bezskutecznie padały strzały z odległości zbyt wielkiej na strzelby myśliwskie. Wkrótce stało się widocznym, że bez zewnętrznej pomocy i wlania przez to nowej energii w szeregi polskie, atak nie posunie się naprzód, że przeciwnie nawet, znowu nastąpi kryzys bojowy w duszy żołnierza, niezdolnego do dłuższej walki. A rezerwa nie nadchodziła!

Część jej, jakeśmy już widzieli, wspólnie z awangardą miejską uległa demoralizacji i, z trudem utrzymana na placu, już potrzebowała nowego moralnego oparcia. Reszta tym czasem w ciemnej błądziła nocy po polach, topniejąc zwolna przez samowolną dezercję. W jednym z tych oddziałów zostało zaledwie czterech ludzi. Oddział z za Wisły zastał most rozebrany i bezsilnie przysłuchiwał się odgłosom boju, przychodzącym doń z za rzeki. Wreszcie oddział Kowalewskiego, który już był wkraczał na pole bitwy, obsypany skrami z rakiet, wyrzucanych przez pułkownika Poźniaka, cofnął się w bezładzie pod wpływem tej niewinnej broni, sądząc, że ma do czynienia z odłamkami pocisków armatnich. Rezerwa w ten sposób zawiodła.

Jeszcze przed ranem, pod przykryciem ciemnej, dżdżystej nocy, świeży żołnierz polski, zmęczony wrażeniami przeżytej walki, rozsypał się w różne strony. Dowódca Błaszczyński, mając wszystko za stracone, gdy każde jego obliczenie zawodziło, umknął, by przechować się w jakiejś kryjówce na czas dłuższy.

Plac boju, Płock, został przy zwycięzcach. Przez parę godzin chwiało się ich panowanie w mieście, przez parę godzin każdemu, nawet najniższemu w randze żołnierzowi, zdawało się, że zwycięstwo musi się przechylić na stronę napastników. Noc, rozrzucony po różnych kątach miasta bój, którego wy-

nik do końca nie był pewnym, wreszcie widoczny dla wszystkich udział spokojnych dotychczas mieszkańców — wszystko to razem zupełnie z równowagi wyprowadziło załogę. Nieszczęsne miasto przeżyć musiało jeszcze najdzikse gwałty i rabunki rozbestwionego niepewnym bojem żołdactwa. A chwila ta była najlepszą może do ataku rezerwy polskiej, gdyby taka gdziekolwiek istniała.

W tym miejscu, jedynym bodaj w Polsce, była ze strony Polaków przewaga liczebna tej nocy. Ogółem w różnych oddziałach, które poszczególnie w różnym czasie brały udział w boju, naliczyćby się dało do ośmiuset ludzi, prawie podwójna przemoc wobec słabych sił rosyjskich.

Wobec rozmiarów bitwy płockiej znacznie mniejsze starcie w Płońsku nie miało, naturalnie, tego znaczenia, co tamta walka; gromady ludzi, zebranych tutaj dla napadu, nie miały nawet jednolitego kierownictwa, a składały się z kilku grup pod osobnym dowództwem, grup jak gdyby skonfederowanych, a nie zlanych w jeden organizm wojenny. Jak gdyby niejasny jeszcze i niewyraźny początek późniejszej zakały tej wojny — braku wspólnej organizacji i hierarchii wśród wojska — brak ten doprowadzi z czasem do tego, że każda prawie wspólna operacja kilku, a choćby dwóch tylko oddziałów stanie się niemożliwą. Tym razem jednak trzystu kilkudziesięciu ludzi, zebranych pod Płońskiem, dosyć zgodnie ruszyło do ataku na miasto.

I tu znowu, jak w Płocku, sygnał rozpoczęcia był zarazem alarmem dla Rosjan. Jeśli dźwięk dzwonów mógł być podnietą dla Polaków, to zarazem dźwięczał pobudką alarmową dla załogi. Tym bardziej, że już dnia poprzedniego kapitan Artamonow, dowódca kompanii płońskiej, miał wiadomości o ściągających się i wałęsających dokoła miasteczka grupach ludzi, a klęska, którą poniósł Kozlaninow pod Ciołkowem, nie była w Płońsku nieznana. Więc, jak wszędzie, gdzie Rosjanie nie dali się zaskoczyć nagłym napadem, przeciw żołnierzowi, sformowanemu od wczoraj, a niekiedy od godziny, stanęła organizacja karna, zdolna do przenoszenia dużych strat. A z chwilą, gdy pierwszy impet nic nie zdziałał i bój się przeciągał, musiały prędzej czy później nastąpić kryzysy psychiczne, którym ulegał silniej żołnierz polski.

W boju płońskim, względnie długotrwałym, kompania rosyjska straciła dziesiątą część ludzi i trwała w oporze. Polacy ponieśli straty znacznie mniejsze, z ukrycia strzelając do zbitych w zwartą kolumnę Rosjan. Zaledwie pięćdziesiąta część ubyła z szeregów, a już się wyczerpały siły moralne. Na-

stąpił odwrót. Kapitan Artamonow ruszył pomimo strat z pościgiem, a przeszedłszy z obrony do ataku, rozproszył zebrane grupy, zabierając kilka dziesiątków ludzi do niewoli.

Województwo płockie wysiliło się na główny napad na swoją stolicę i dla innych już miejsc zabrakło sił i energii. Cały ruch tej nocy ograniczył się do powyższych dwóch napadów. Zbierano się gdzie indziej, jak pod Makowem, Przasnyszem i Lipnem. Lecz wewnętrznego rozpędu nie starczyło dla stoczenia bitwy, chociażby nieudanej.

Padlewski — wódz powstania — noc tę spędził, śpiesząc pod Płock, po spotkaniu zwycięskiej, lecz zdezorganizowanej samym bojem grupy Rogalińskiego, tryumfatora spod Ciołkowa. Jak gdyby za karę za cofnięcie się przed odpowiedzialnością, za uchylenie się od najpoważniejszego stanowiska naczelnego wodza w Warszawie, nie sądzonym mu było, żeby energią własną, którą w boju w wysokim stopniu posiadał, naprawić sprawy pod Płockiem. Końmi i pieszo — jak się udało — pędził on na zagrożone miejsce, lecz po drodze wpadł w ręce patrolu kozackiego. Tylko spotkaniu z partią powstańczą, opóźnioną w pochodzie pod Płock, zawdzięczał na ten raz ocalenie.

* * *

Skrzydło północne — Płockie — w głównym ataku zawiodło. Cel najważniejszy — zdobycie Płocka — nie został osiągnięty, a Rząd Narodowy pozostał bez stolicy i możności ujawnienia się pod osłoną posłusznej mu siły zbrojnej. Na skrzydle południowym — w Sandomierskim — miały według planu również nastąpić poważniejsze wypadki, któreby po nocy styczniowej umożliwiły w górach Świętokrzyskich zebranie większej armii, przeznaczonej do operowania od południa przeciw Warszawie. Dowodził tu Marian Langiewicz, wsławiony swą późniejszą dziesięciodniową dyktaturą. Jak Lewandowski na Podlasiu, tak Langiewicz w Sandomierskim był zupełnie świeżym, nowym człowiekiem. Przybył tam zaledwie w początku stycznia i przez parę tygodni mógł tylko co najwyżej przelotnie poznać otoczenie, zwłaszcza, gdy zważymy ówczesne środki komunikacyjne i warunki konspiracji, ograniczające znacznie swobodę ruchów naczelnika.

Nic więc dziwnego, że tak samo, jak Lewandowski, z przerażeniem dowiedział się on o obowiązku stoczenia w nocy 22 stycznia boju z przeważnymi siłami rosyjskimi. Od chwili otrzymania rozkazu, 18-go wieczorem, — miał do roz-

porządzenia zaledwie dni cztery, a znajdował się wówczas w Kielcach, poza granicami swego województwa.

Najważniejszą zdobyczą dla powstania byłby niechybnie Radom. Jak Płock na północy, tak Radom na południu był stolicą administracyjną i wojskową dla całych dwóch województw: sandomierskiego i krakowskiego. Lecz nawet pomimo tego, że ogromna większość spiskowych, którzy użyćby się dali do przedsiębranych ataków 22 stycznia, składała się nie z kogo innego, jak z mieszkańców tegoż Radomia, mimo to Langiewicz nie chciał postawić tak ryzykownego kroku. Siły wroga w Radomiu wydawały mu się zbyt wielkie. Tysiąc dwieście żołnierza pieszego, ośm dział gwintowanych i setka kozaków stanowiły załogę Radomia i osłonę sztabu dywizyjnego gen. Uszakowa i sztabu pułkowego. Langiewicz więc zdecydował się na przeprowadzenie delikatnej operacji: translokacji tajnej swych ludzi na prowincję w celu napadu na drobne, niewielkie załogi w miasteczkach, rozrzuconych wśród leśnej, pagórkowatej okolicy. Radom miał zostać celem operacji późniejszej, prowadzonej przez skoncentrowane siły powstańcze po oczyszczeniu prowincji z wojska.

Ośrodkiem koncentracji po nocy 22 stycznia miał się stać Szydłowiec, na który napaść i który objąć w posiadanie miał sam naczelnik województwa — Langiewicz. Stamtąd dopiero, zdaniem Langiewicza, rozpocząć należało szersze operacje wojenne.

Ze wszystkich jednak planowanych napadów do skutku przyszły tylko trzy — na Jedlnię, Szydłowiec i Bodzentyn. Ostatni, choć leżał poza obrębem województwa Langiewicza i podpadał pod władzę jego sąsiada, Kurowskiego, wojewody w Krakowskim, dokonany został jednak przez siły sandomierskie.

Sił powstaniu dostarczył przede wszystkim Radom, a poza tym liczne drobne huty i kuźnice, rozsypane w okolicy Suchedniowa. Więc pod Jedlnię poszedł Figeti, prowadząc ze sobą 150 ludzi. Napaść miał na kompanię saperów, kwaterującą w tym miasteczku pod komendą kapitana Witkowskiego. Pomimo dużej przewagi liczebnej ze strony wroga — Rosjanie liczyli 280 ludzi — atak był może najudatniejszym ze wszystkich potyczek tej nocy. Przeprowadzono go z całą precyzją spiskową, wyzyskując w zupełności potężny czynnik niespodzianki. Żadnych alarmów, żadnych dzwonów ani ogni! Sojusznikiem — ciemna, bezgwiezdna noc i przerażenie nagle ze snu zbudzonych nieprzyjaciół. Nie było tam nawet bitwy, bo czynności powstańcze, ułatwione rozsypaniem żołnie-

rzy niewielkimi grupami po chatach, polegały na szybkim rozbrojeniu wroga. Oporni łatwo szli nieledwie pod nóż zwycięzcy. I gdy po paru godzinach zaalarmowane sąsiednie załogi przybiegły z pomocą, z kompanii saperskiej zostały zaledwie szczątki, sześćdziesięciu kilku ludzi, na pół bez broni, którą zostawili w rękach zwycięzców.

Pod Szydłowcem Langiewicz zdołał zebrać do trzystu ludzi. Tu znowu odrzucono pomoc najwierniejszego sojusznika słabych — tajemnicę. W sąsiednim Jastrzębiu, punkcie zbornym oddziału, odprawiono uroczyste modły. Na widoku otoczenia przeprowadzano organizację. W zewnętrznej ostentacji szukano jak gdyby wzmocnienia i lekarstwa na wewnętrzne poczucie słabości. Pomimo czat, rozstawionych dokoła, zdrada znalazła sposób, by zawiadomić i ostrzec nieprzyjaciela. Jego przewaga techniczna i organizacyjna z konieczności wychodziła na jaw, więc napad zmienić się musiał w bój uporczywy, gdzie wszystkie szanse po swej stronie miał dobrze uzbrojony i karny żołnierz.

Tym razem jednak dowódcy rosyjscy, kapitanowie Ridigier i Olędzki, nie zdążyli w zupełności poczynić zarządzeń ostrożności. Tuż za wiadomościami z Jastrzębia szedł atak, prowadzony w dwóch miejscach: w miasteczku na kompanię Ridigiera, za miastem na kompanię Władysława Olędzkiego. Na Ridigiera szedł Jasiński z setką ludzi, na Olędzkiego sam Langiewicz z dwoma setkami. Znowu przewaga liczby była po stronie nieprzyjaciela.

Rosjanie, nieco wcześniej ostrzeżeni, pomimo nagłego napadu zdążyli, choć ze stratami, sformować szyk bojowy w kolumnach. Polacy, ukryci za domami lub w rowach, gęstym ogniem wyrywali ludzi z szeregów, sami małe ponosząc straty. Ridigier, walcząc w ciasnym rynku z niewidocznym wrogiem, nakazał odwrót. Olędzki z mniejszymi stratami ruszył na połączenie się z kolegą. Miasteczko, przyszły punkt koncentracji powstańczej, zostało w rękach Polaków.

Lecz bój nocny ze swymi silnymi wrażeniami nie pozostał bez wpływu na świeżego żołnierza. Oddziały polskie, choć zwycięskie, zaczęły się rozprzęgać. Ludzie rozchodzili się po domach i chałupach. Bezładnie przeszukiwano niektóre z domów, gdzie jakoby jeszcze ukryci być mieli żołnierze rosyjscy. Wodzowie polscy zaczęli tracić panowanie nad oddziałem. Więc gdy Ridigier, złączywszy się z Olędzkim, ochłonął nieco z przerażenia i ruszył do kontrataku, zastał w Szydłowcu bezładne kupy, które oporu stawiać nie mogły. Nastąpił bój krótki i Szydłowiec, opuszczony przez niedawnych zwycięz-

ców, przeszedł znowu w posiadanie swych dotychczasowych panów.

Straty stron obu były względnie znaczne. Dwie kompanie rosyjskie straciły do 30 ludzi, Polacy dwa razy tyle i jednego ze swych wodzów, Jasińskiego.

Wreszcie w Bodzentynie napad polski doprowadził do najkrwawszego w tej nocy starcia. Atak był całkiem niespodziewany, więc wszystko przemawiało za tym, że Polacy staną się panami placu boju. Żołnierze zostali od razu odcięci od swych oficerów i pozostawieni bez głowy. Bój toczył się w izbach, gdzie śpiących żołnierzy zastano. To też straty, które poniosła kompania bodzentyńska, przenosiły piątą część jej składu. Lecz żołnierze bronili się dzielnie i uparcie. Siłą fizyczną, kułakami i gołą pięścią wyrzucili napastników z izb, aby potem z własnej inicjatywy iść z pomocą zagrożonym oficerom i magazynowi. Po dłuższej strzelaninie wyparto atakujących z miasteczka. Polacy, którzy pod wodzą Dawidowicza i księdza Umińskiego zebrali się w ilości 300 ludzi, straciwszy w boju dziesiątą część sił swoich, zaniechali dobrze rozpoczętej walki.

W innych stronach województwa, jak w całej reszcie kraju, napady nie doszły do skutku ze zwykłych w nocy tej powodów. Gdy w jednym miejscu nie zebrali się ochotnicy, na których czekał dowódca, w innych wódz wyznaczony nie stawił się w oznaczonym punkcie i czasie, co oddział zebrany doprowadzało do bezczynności i najczęściej do rozejścia się po okolicy. Gdzie niegdzie fałszywe pogłoski, rozpuszczane przez przeciwników powstania, o odłożeniu terminu wybuchu wystarczyły, by zaniechano wszelkich zamiarów wojennych.

* * *

W boju nocnym 22 stycznia ze strony polskiej wzięło udział razem 4500 żołnierzy przeciwko prawie 6 tysiącom żołnierza rosyjskiego. Prawie wszędzie bój wypadł na korzyść Rosjan. Napastnicy nawet tam, gdzie chwilowo byli panami placu boju i zwycięzcami, już o świcie opuścić musieli zajęte stanowiska, by cofnąć się do miejsc mniej dostępnych, a bardziej ukrytych, niż miasta i miasteczka.

Straty obustronne nie były znaczne. Do dwóch setek ludzi zabitych i rannych z każdej strony zaległo place boju, stanowiąc zaledwie dwudziestą u Polaków, a trzydziestą tylko część walczących u Rosjan. Straty, przypominające raczej jakieś drobne potyczki forpocztowe, niż stanowcze, rozstrzygające

o zwycięstwie boje, gdzie złamanie woli przewnika kosztuje nieraz około połowy całego wojska, najczęściej nie mniej, niż czwartą, najmniej już zaś piątą część armii.

Obok tego nietkniętych bojem zostało po jednej i po drugiej stronie całe mnóstwo żołnierzy. Stotysięczna armia rosyjska zaledwie w swej siedmnastej części stanęła pod bronią tej nocy. Reszta spokojnie ją przespała, nie wiedząc nawet, że wojna już wybuchła i że część towarzyszów broni staczać musi nieraz rozpaczliwe boje o honor swego oręża.

Po polskiej stronie, nie mówiąc już o teoretycznej rezerwie, którą, jak w każdej wojnie rewolucyjnej, miał być cały naród czy lud polski, nie stanął do boju nawet cały spisek, liczący w owe czasy nie mniej, niż 20 tysięcy ludzi. Zaledwie piąta część jego przyszła do bitwy. Reszta albo nie zebrała się wcale, albo też nawet po zebraniu się nie znalazła w sobie dosyć woli i hartu ducha, by w danych ciężkich warunkach przełamać się i z wczorajszego uległego poddanego wyrość na żołnierza, stającego do otwartej walki przeciw wczorajszej władzy.

Bitwa więc dla Polaków była przegrana. Nawet chwilowe powodzenia nie mogły być utrwalone. Sam plan boju był przeprowadzony niedość stanowczo; powstają poważne wątpliwości, czy w istocie ktokolwiek weń wierzył. Na skrzydłach boju — północnym i południowym — gdzie w zasadzie miano poważnym zwycięstwem umożliwić wytworzenie się większej armii, bój był o wiele słabszym i niedołężniejszym, niż w demonstracyjnej jego części, w centrum, na Podlasiu. Na północy jeszcze kuszono się o coś większego; stawiano sobie za cel Płock, siedlisko głównej władzy wojskowej i cywilnej na całej północy Królestwa, próbowano, choć nieudolnie, jednym uderzeniem szanse wojny przechylić na swoją korzyść. Lecz na południu bez uwagi pozostawiono Radom, który był tym dla południa, czym Płock dla północy, i gdzieś w zapadłych kątach, wśród lasów i gór, szukano celów dla boju, celów, nie mogących w żadnym wypadku wpłynąć poważnie i rozstrzygająco na dalszy przebieg wojny.

Najbardziej powiodła się właśnie demonstracja podlaska, ześrodkowująca swe wysiłki naokoło głównej arterii ruchu — szosy brzeskiej. Tu w istocie zaabsorbowano połowę wszystkich sił przeciwnika w tej części kraju; tu zmuszono go do zaciekłego, nieraz rozpacznego boju, tu najpoważniejsze zadano mu straty, tu wreszcie wniesiono największy zamęt do władzy i panowania nieprzyjaciela w kraju.

Właściwie mówiąc, skrzydłowe boje na północy i połud-

niu olbrzymiego placu boju były jak gdyby tylko echem, słabym dalszym ciągiem walki, toczonej najczęściej w centrum, na Podlasiu. Cały więc bój wypadł jako demonstracja, silniejsza w centrum, słabsza na skrzydłach, krwią i wrzawą bitwy nadającą wartość istotną wypowiedzeniu wojny, zawartemu w wydanym tej nocy manifeście nowopowstałego Rządu Narodowego Polski.

Demonstracja! — Więc chęć wywarcia wpływu na wolę i wyobraźnię przeciwnika?

Demonstracja! — Więc myśl o wywołaniu zmian w użyciu sił nieprzyjacielskich, zmian korzystnych dla siebie, niewygodnych dla niego?

Niechybnie, myśl ta, zdaje się, przez głowę nie przeszła wodzom powstania polskiego. Nie tego szukali oni w pierwszym wstępnym boju rewolucji polskiej; widzieli w nim rozpaczny środek obrony honoru, albo, w lepszym razie, choć łudząc się gorzej, szybkie, decydujące kroki ku zbudowaniu olbrzymiej, nieledwie milionowej armii ludowej. A jednak bój ich był tylko demonstracją i, co najdziwniejsza, demonstracją udaną, która najwidoczniej przegraną taktycznie bitwę zmieniała w duże strategiczne zwycięstwo.

Nazajutrz, wraz z mrocznym, chmurnym i dżdżystym świtem, do centrum kraju, siedliska mózgu rządowego, biegli z różnych stron kurierzy i posłańcy. Druty telegraficzne, zerwane wszędzie, zawiodły. Trzeba było wracać do pierwotnych, powolnych środków komunikacji, którymi posługiwali się ojcowie i dziadowie jeszcze w bojach napoleońskich, — do konnych sztafet. W Warszawie wiedziano już o wybuchu wojny — manifest Rządu Narodowego był już znanym, teraz w oczy biły dowody, dowody krwawe, że Rząd ten siłę nie tylko moralną, lecz i materialną miał na swe usługi.

Siłę moralną — tę znano. Od kilku lat wprowadziła ona do kraju, do rządu samego tyle zmian widocznych, że nie doceniać jej nie było można. Przecie dla zaspokojenia jej wiecznie wzrastającego głodu zmian i reform zarzucono stary, wypróbowany system rządzenia, odnowiono całą administrację, powołując do niej siły miejscowe, paktowano nieraz z tymi, dla których niedawno jeszcze miano tylko więzienie i kłódkę na gębę. Ba, jako ustępstwo dla niej ściągnięto do kraju brata cesarskiego, dając mu za doradcę jednego z tych, których dotąd trzymano z dala od rządów.

Siła moralna ruchu — ta wprowadziła już tyle chwiejności i wahania, tyle zatem elementu słabości we własne siły rządowe, że nieraz wydawać się musiała znacznie większą,

znacznie potężniejszą, niż była w istocie. Teraz szły odpowiedniki materialne.

Orientacja w tych wieściach była trudna. Obok dokumentowych danych dolatywały wiadomości postronne, jak zwykle — przesadne co do rozmiarów, sprzeczne, wreszcie wręcz fałszywe, lecz wszystkie trudne do sprawdzenia, wobec przerwania komunikacji zwykłej, szybkiej, do której też dostosowaną była i konieczność szybkiej decyzji centrum w każdym wypadku. Tam i tam wojska zwycięsko napad odparły, słyszano o zajściach w danym miejscu, stamtąd jednak żadna wiadomość nie nadeszła. Czy nie dlatego, że nie mogła być pomyślną? Rodziła się wątpliwość w duszy, tym bardziej, że skąd inąd przyszedł raport o wielkich względnie stratach w boju. Czekać, nim zewsząd zbiegną się dane, które wytworzą całość obrazu — niesposób! Tam w tych zarzuconych kompaniach i szwadronach, posłanych na pół wojenną, pół dyplomatyczno-policyjną służbę do wrogiego otoczenia, czekano rozkazu, czekano znaku, czy ma być wojna, czy też napaść ma być puszczona mimo uszu i panowie kapitanowie i porucznicy mają nadal być łagodno-surowymi przedstawicielami, czy nawet zastępcami władzy cywilnej.

Wojna! Lecz do wojny nieco dłuższej większość armii nie była zdatną. Po jednej, dwóch nie bitwach już, lecz potyczkach, zabraknie kompaniom naboi, złożonych nieraz daleko po magazynach, które znowu za małą mają osłonę dla długiej i teraz z konieczności nadzwyczaj bacznej służby ochronnej. A i same te osobno stojące kompanie i szwadrony, czyż nie wyczerpią się w długim, kosztownym u małych oddziałów co do wysiłków i ludzi strzeżeniu się od nagłych, niespodziewanych napadów otaczającego wroga? Wojna w tym szyku luźnym, z polityki przyjętym przez całą prawie armię, prowadzić się nie da. Trzeba go ścieśnić, zgęścić w ważniejszych punktach, dając zarazem siłę i oparcie lotnym, ruchomym kolumnom, wyznaczonym do bezpośredniego boju.

Pokój! Dalsza służba w dyplomacji i policji! Lecz czyż nie jest to zmarnowanie dwóch trzecich armii? Po pierwsze, dla nikogo nie było tajnym, że wśród wojska, osobliwie wśród oficerów, szerzy się zaraza rewolucyjna, szerzy się zaś tym łatwiej, gdy i sam rząd jest chwiejny, a dzięki rozsypaniu armii całej nie ma dostatecznej kontroli władzy wyższej, gdy każdy niejako pozostawiony jest sam sobie. Pod tym względem zaciśnięcie więzów dyscypliny wewnętrznej przez skupienie wojska byłoby bardzo pożądane. Po drugie zaś, te napady, o których przybiegły raporty... Wydaje się, że wojska, chociaż

ucierpiały, jednak poza paru miejscami wyszły zwycięsko z tej próby. Przypuściwszy nawet, że do jutra nie będzie więcej hiobowych wieści, co przecież nie jest także wykluczonym, któż zaręczy, że pozostawienie armii w tym stanie, jaki zastała noc 22 stycznia, nie ośmieli jeszcze bardziej ukrytego wroga? Napady mogą się stać natarczywsze, umiejętniej prowadzone, a ogromna część tych rozrzuconych kompanij i szwadronów stać się może łatwym łupem dla przeciwnika.

A zatem czy pokój ma być, czy wojna, — o tym już rozstrzygnie władza wyższa, — należy jednak przede wszystkim wyprowadzić armię z niewygodnego dla niej położenia i zabezpieczyć ją lepiej czy to na wypadek wojny, czy na wypadek pokoju.

I oto tegoż dnia jeszcze ze sztabu głównego sztafety konne do komendantów dywizyj rozniosły rozkaz przerwania branki na prowincji, wymagającej wysyłania drobnych oddziałów policyjnych; rozkaz koncentracji wojsk w większe grupy ze wszystkich rodzajów broni; było to racjonalne wyjście z położenia.

— Ściągać wojsko w oddziały nie mniejsze, jak dwa, trzy bataliony z odpowiednią ilością jazdy! — brzmiał rozkaz okólny 23 stycznia. W kilka dni później rozkaz nie tylko potwierdzono, lecz dodano, że nie należy się wahać w ogołoceniu z wojska całych powiatów, byle zabezpieczyć armii zupełną swobodę działania, bez przeciążania jej zbytnimi ciężarami służby ochronnej.

Armia rosyjska w istocie odzyskiwała swobodę działań, lecz jakim kosztem? Ogromne połacie kraju, będące dotąd pod stałą i bezustanną kontrolą władzy państwowej, stawały się bezpańskimi. Ludność, zamieszkująca te części Polski, w ten sposób na równi z armią rosyjską odzyskiwała swobodę działania i rozstrzygnięcia dla siebie kwestii swego udziału w wojnie. Samo zaś powstanie — spisek, przetworzony w wojsko — zyskiwał jeszcze więcej. W ogromnej części kraju nie potrzebował już, jak przed wybuchem, przystosowywać się do zmiennych i wypadkowych warunków życia pod kontrolą nieprzyjaciela, lecz, jak każde wojsko, mógł naginać nawet siłą otoczenie do swoich wymagań i potrzeb. I jeżeli przed 21 stycznia powstanie przystępowało do wojny bez podstawy, bez bazy wojennej dla swych operacyj, teraz mogło ją wytworzyć i należycie wyzyskać wojennie części kraju, opuszczone przez nieprzyjaciela.

Niechybnie wymagało to szybkiego działania, gdyż żmudna i długotrwała z natury rzeczy praca organizatorska była

w tym wypadku główną częścią operacji, istotą nawet zadania wojennego, które stanęło teraz przed powstaniem. Ale i pod tym względem Polacy wygrali sporo. Nakazana koncentracja wymagałaby czasu pewnego nawet w porze zupełnego spokoju. Teraz, gdy przy przerwaniu telegrafu posługiwano się konnymi posłańcami, już sam sposób komunikacji przedłużał czas wolny od działań wojennych. Ale w dodatku sami posłańcy nie byli pewni. Raz po raz sztafeta nie dochodziła do miejsca przeznaczenia, raz po raz rozkaz czy raport trafiał w ręce powstańców. Noc w tych warunkach w kraju lesistym i mało zaludnionym odpadała zupełnie dla służby łączności. I oto czas, rzecz bardzo droga w każdej wojnie, najdroższa jednak w tym wypadku dla powstania — czas, tak dla strony polskiej potrzebny, został przez nią wygrany. Zaledwie po dziesięciu, w niektórych miejscach czternastu, nawet dziewiętnastu dniach, skoncentrowane już oddziały armii rosyjskiej, wziąwszy inicjatywę w swe ręce, rozpoczęły zaczepną z powstaniem walkę.

Niestety, po stronie polskiej niedość jasno rozumiano swe położenie. Jedni śnili o bohaterskich bojach, prowadzonych dla obrony honoru wojennego powstania, bojach krwawych, wrażających się w serca ludzkie ogromem hekatomby, złożonej na ołtarzu ojczyzny. Inni marzyli o szybkich sukcesach organizacyjnych wśród ludu, masowo, tysiącami przypływającego do szeregów ochotniczych. Przygotowań do żmudnej, powolnej pracy dla zorganizowania podstawy wojennej nie czyniono w ogóle wcale. I oto na proste zorientowanie się w sytuacji stracono ogromną część tak ciężko wygranego czasu.

Gdy oddziały polskie, odparte od szturmowanych miasteczek, albo nawet na pół rozproszone po porażce, znalazły się w zacisznych ustroniach na odpoczynku chwilowym, panował wśród nich od góry do dołu powszechny zamęt i niepewność, co czynić dalej należy. Zewsząd więc słano gońców do wodzów z tym męczącym pytaniem.

Lecz gdzie było ich szukać? O Lewandowskim na Podlasiu nie wiedziano nic w przeciągu kilku dni. Błaszczyński (Bończa) w Płockim zniknął, Padlewski zaś nieprędko zdążył ująć w swe ręce ster sprawy. Langiewicz, wyparty z Szydłowca, wyznaczonego przezeń jako punkt koncentracji po nocy 22 stycznia, musiał znowu szukać łączności ze swymi rozsypanymi oddziałami. Każdy był pozostawiony swemu losowi, swej myśli samotnej, najczęściej smutnej, nieledwie rozpacznej.

Pędziły więc gońce do Warszawy, do Rządu Centralnego. Lecz tam tym mniej znaleźć można było otuchy, rady i wskazówki. Starsi wyemigrowali pod Płock w oczekiwaniu tryumfalnego wejścia do czasowej stolicy Polski, odzyskanej po krwawym boju. Młodsi, nie mając wśród siebie fachowej siły, służyć mogli jedynie jaką taką pomocą materialną, o kierownictwo zaś sprawami wojny nawet nie kusili się wcale. A czas, drogi czas uchodził bezpowrotnie! Marnowano go nieproduktywnie, dając zarazem początek późniejszemu przekleństwu wojny: autonomii, a raczej zupełnej niezależności operacyjnej każdego z poszczególnych dowódców mniejszego czy większego oddziału. Bitwa, wydana przez powstanie w nocy 22 stycznia, dała rezultat, przez samych powstańców nieoczekiwany; okazała się bowiem niezwykle skuteczną demonstracją wojenną. Nie demonstracja taka była jednak celem stoczonej walki, tylko bój stanowczy i zwycięstwo. Rozbieżność zaś między celem zamierzonym a rezultatem, który osiągnięto, sprawiła właśnie, że przy braku jednej woli i myśli kierowniczej nie skorzystano z osiągniętych wyników w całej pełni i nie oparto na nich dalszej celowej walki o inicjatywę wojenną i przewagę strategiczną powstania.

O POLSKIM RUCHU STRZELECKIM

W drugiej połowie lutego 1914 r. Józef Piłsudski wyjechał na tygodniowy pobyt do Paryża, celem dokonania inspekcji tamtejszego oddziału Zw. Strzeleckiego. W dniu 21. II. w sali Tow. Geograficznego na bulwarze St. Germain 184, wygłosił odczyt p. t. «O polskim ruchu strzeleckim». Pierwszą wzmiankę o powyższym odczycie zamieścił miesięcznik paryski «Bulletin polonais — littéraire, scientifique et artistique» w nrze z dn. 15. III. 1914 r., poczem w nrze następnym z dn. 15. IV. tegoż roku zamieścił sprawozdanie, które przetłumaczone z jęz. francuskiego na polski po raz pierwszy wydrukowane zostało w t. III «Pism — Mów — Rozkazów».

Rok 1863 znamionuje zwrot w naszej historii, głęboką zmianę w stanie umysłów polskiego narodu. Do tego momentu pokolenie za pokoleniem od czasów rozbioru kraju przekazywało sobie wiernie tradycję ruchu zbrojnego celem odzyskania utraconej niepodległości. Powstanie r. 1863, utopione w strumieniach krwi, otwiera nowy okres, — okres panowania ostrożności i rozsądku. Odtąd nie będzie wolno iść za podszeptami uczucia, mogącymi doprowadzić do ponownego powstania, któreby przecież zakończyło się nową klęską. To przekształcenie się jest tak głębokie, że ten sam Wielopolski, który dla walczących z r. 1863 był człowiekiem niecnym, napiętnowanym pogardą, uchodzi w oczach wielkiego odłamu społeczeństwa polskiego za wcielenie myśli narodowej. Ci nawet, którzy przelali krew dla ojczyzny, dochodzą prawie do tego, że udział swój w powstaniu usprawiedliwiają jako pomyłkę. Wspomnienie naszej bojowej przeszłości zaciera się coraz bardziej, powoli rozpływa się w nicość.

W tym smutnym okresie idea niepodległościowa tli jednakże pod popiołami. Nie może ona zginąć z tego prostego względu, że istnienie narodu przeszło dwudziestomilionowego, pozbawionego prawa decyzji o swych losach, jest absurdem,

absolutnie jedynym w historii nowożytnej. To też dwa najważniejsze w okresie popowstaniowym stronnictwa polityczne — partia narodowa i socjalistyczna — wpisują obie do swych programów odzyskanie niepodległości narodowej. Było to jednak tylko życzenie, koncepcja wyłącznie teoretyczna, która nie opiera się na żadnym planie realizacji mniej czy więcej konkretnym i odsuwa w zupełności ideę walki zbrojnej.

I oto właśnie to pokolenie, które nie marzy już o możliwości zmiany dotychczasowego stanu rzeczy własnym wysiłkiem, stanie w obliczu wypadków r. 1904. A jednak rozumie ono konieczność działania i stawia przed nieprzyjacielem, osłabionym i zdezorientowanym, tysiące ludzi, gotowych podtrzymać walkę, lecz nie mających energii, determinacji i wiary, decydujących o zwycięstwie. Zamiast tego, by narzucić swą wolę, walczący ograniczają się do żądania ustępstw. Niezdolni przyjąć postawy mocnej i zdecydowanej, nie umieją wykorzystać trudności, z jakimi w tym krytycznym momencie walczyło państwo carów. To też mimo wielkich ofiar, złożonych na ołtarzu sprawy narodowej, ten ruch rewolucyjny przeciwko ciemiężcy daje rezultaty równie skromne, jak i nieokreślone, których znikomość wypełnia dusze uczuciem zawodu i upokorzenia. W atmosferze rozważań, spowodowanych tą ostatnią porażką, zaczyna kiełkować w umysłach idea wojskowego przygotowania społeczeństwa polskiego.

Inicjatywę tego ruchu dała Polska Partia Socjalistyczna, która w r. 1908 tworzy pierwszą organizację strzelecką [1]). W tym samym czasie narodowi demokraci ze swej strony powołują do życia organizację analogiczną [2]). I tu, i tam przychodzi się powoli do przekonania, że jedynie przygotowanie wojskowe, systematycznie prowadzone, pozwoli nam w godzinie walki stawić czoło temu czy innemu państwu zaborczemu. Jednakże w opinii publicznej idea ta nie znajduje jeszcze oddźwięku, — stronnicy ruchu napotykają w początku na opozycję, często niezwykle żywą, w łonie swych własnych partyj. To też organizacje wojskowe pozostają tajnymi i rozwijają się bardzo powoli. W momencie wybuchu kryzysu bałkańskiego liczą nie więcej, jak 600—700 członków.

[1]) Mowa o Związku Walki Czynnej, założonym w czerwcu r. 1908.

[2]) Sprawozdawca musiał niedokładnie zrozumieć myśl Piłsudskiego, bowiem Narodowa-Demokracja nie tylko że nie powoływała do życia analogicznej do Z. W. C. organizacji, ale ruch wojskowy zwalczała wszystkimi środkami. Piłsudski zapewne mówił o «Polskich Drużynach Strzeleckich», założonych przez młodzież tzw. zarzewiacką, będącą niepodległościowym odłamem młodzieży narodowej.

Lecz kryzys ten wywarł wreszcie wpływ zbawienny. Naród polski widzi w całej rozciągłości swą bezsilność wobec perspektywy wojny, która miała być stoczoną na jego ziemi i która wydać go miała na łup Austrii i Rosji. Tragedia jego przeznaczeń, skazująca go na pokaźne zwiększenie szeregów wojskowych trzech zaborców, może także postawić jego synów naprzeciw siebie we wrogich szeregach. Okropność tej wizji w sposób o wiele drastyczniejszy, niż wszelkie argumenty logiczne, rozstrzyga o rozwoju organizacyj wojskowych. Liczba ich szybko wzrasta, a znaczenie uwydatnia się coraz bardziej. Jeśli z początku opierały się one przeważnie na młodzieży inteligenckiej, to obecnie znajdują zwolenników we wszystkich odłamach społeczeństwa, zwłaszcza wśród ludności robotniczej i wiejskiej. Zyskując dla swej sprawy te elementy, stanowiące 7/8 członków, zdobyły podstawy mocne i pewne i stają się siłą, z którą odtąd trzeba się będzie liczyć.

Byłoby rzeczą prawie zbyteczną dodawać, że rozwinęły się one szczególnie w Galicji, gdzie mogą działać swobodnie, korzystać z pewnych uprawnień, wspólnych dla wszystkich stowarzyszeń strzeleckich państwa austriackiego, i nadanych przez państwo celem ułatwienia przygotowania wojskowego poszczególnych prowincyj. Nie wynika z tego jednak wcale, że muszą one służyć interesom Austrii, i wypada przypomnieć tym, którzy podnoszą ten zarzut, że pierwsze organizacje wojskowe utworzone zostały na długo przed tym, nim zarysowała się możliwość konfliktu austriacko-rosyjskiego. Ruch wojskowy ma na celu «stworzyć w naszym społeczeństwie funkcję siły». Lecz wypadki same zadecydują o użyciu tej siły, jak również o sposobie wprowadzenia jej w grę.

Drugi zarzut przeciwko temu ruchowi wychodzi z obozu tych, którzy boją się, by obudzenie zdolności wojskowych narodu nie wywołało wybuchu, zgubnego w swych następstwach. Trudno znaleźć pogląd mniej uzasadniony od tych obaw, a wykazywanie ich bezpodstawności jest rzeczą zbyteczną.

Przeciwnie, rozwój przygotowań wojskowych dał już efekty pozytywne, nie ulegające wątpliwości: stanowi dla naszego kraju pewną wartość na rynku politycznym Europy, z którego kwestię polską po upadku powstania 1863 r. bezlitośnie wykreślono. Weszło w zwyczaj nie brać nas w rachubę w kalkulacjach i kombinacjach międzynarodowych. Ruch wojskowy wprowadza ponownie kwestię polską na szachownicę europejską. Znaczenie jego wydaje się nam tym większym, że począwszy od r. 1904 jesteśmy świadkami szeregu przewrotów i konfliktów, w których rola decydująca przypada sile

zbrojnej. Jedynie miecz waży dziś coś na szali losu narodów. Naród, który chciałby przymknąć oczy na tę oczywistość, przekreśliłby bezpowrotnie swą przyszłość. Nie wolno nam być takim właśnie narodem. Inicjatorowie ruchu wojskowego wskazali krajowi drogę, którą należy kroczyć. Lecz ostateczny rezultat zależy całkowicie od intensywności zbiorowego wysiłku, od czynnego i uporczywego współdziałania całego narodu.

LIST DO HIPOLITA ŚLIWIŃSKIEGO

Przedruk z książki Michała Janika, op. cit.

Kraków 23. III. 1914.
Szlak 31.

Szanowny Panie Pośle!

List Pański otrzymałem przed chwilą z rąk Jodki i natychmiast śpieszę nań odpisać.

W tej właśnie chwili trudno mi zdecydować ostatecznie kwestię udziału w premiowym strzelaniu w Wiedniu [1]). Zasadniczo wolałbym — nie, faktycznie jednak mógłbym do tego być zmuszonym przez inne okoliczności, które nie jestem pewien, czy nastąpią lub nawet czy w ogóle nastąpić mogą. Najlepiej będzie zatem, gdy w istocie, jak Pan proponuje, rozmówimy się osobiście w tej sprawie.

We Lwowie będę — nie mogę być wcześniej — we czwartek lub nawet piątek. Przedtem jestem prawie cały czas na lustracjach na prowincji, lustracje już zdecydowane i uprzedzone tak, że cofnąć nic nie jestem w stanie.

Może więc Pan Poseł byłby łaskaw zawiadomić mnie we Lwowie na czwartek (adres Chodkiewicza 6, Sekretariat Główny Związków Strzeleckich), jak i gdzie moglibyśmy się spotkać w piątek, licząc się z tym, jeśli można, że dla mnie najdogodniejsza pora jest czas przedobiadowy (10—12).

Zatem proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania

J. Piłsudski.

---

[1]) Mowa o udziale plutonu Strzelca z Krakowa w strzelaniu «Jungschützenkonkurrenz und Kaiserhüldigung» w Wiedniu w dn. 30. V. 1914 r.

DO KOMENDY NACZELNEJ POLSKICH DRUŻYN STRZELECKICH

Pismo J. Piłsudskiego z dnia 13. VI. 1914 skierowane do Komendy Naczelnej Polskich Drużyn Strzeleckich, opublikowane zostało po raz pierwszy w książce Henryka Bagińskiego p. t. «U podstaw organizacji wojska polskiego, 1908—1914» na str. 432.

W odpowiedzi na pismo Wasze z dn. 9 b. m. komunikujemy, co następuje:

1. W sprawie przykrego dla nas nieporozumienia, skutkiem którego nie odbyło się zebranie Komisji oficerskiej, Komenda Okręgu Lwowskiego wystosowała już odnośne wyjaśnienie do Komendy Naczelnej Polskich Drużyn Strzeleckich. Na następne zebranie wspólnej Komisji oficerskiej proponuję dzień 21 czerwca (niedziela) w lokalu Związku Strzeleckiego (ulica Ziemiałkowskiego l. 14) i proszę o odpowiedź w tej sprawie oraz wyznaczenie dogodnej dla Was godziny na posiedzenie.

2. W sprawie zaznaczenia w nrze 3-im «Strzelca», iż «Ustawa Strzelecka» została opracowana w sztabie głównym Związku Strzeleckiego, udzielę Wam odpowiedzi po uprzednim porozumieniu się z obywatelem Tymkowiczem [1]), oficerem Związku.

3. Za artykuły, umieszczane w «Wieku Nowym», bądź też innych dziennikach, odpowiedzialności brać nie mogę. Zaznaczam jednak, że w protokułach posiedzeń Wydziału Wojskowego [2]) znajduje się ustęp, który wyraźnie określa sprawę wspólnych wydawnictw. Proszę Komendę Naczelną Polskich Drużyn Strzeleckich o przysłanie protokułów posiedzeń Wydziału Wojskowego.

Lwów, dnia 13/VI — 1914.

Komendant Główny Związku Strzeleckiego
J. Piłsudski.

---

[1]) Tymkowicz — pseudonim Stanisława Krynickiego. Krynicki, jeden z najwybitniejszych oficerów Zw. Strzeleckiego, utonął w Wiśle w czasie walk pod Nowym Korczynem w dn. 18. IX. 1914 r.

[2]) Wydział Wojskowy — instytucja powołana przez Kom. Tymcz. Skonf. Stronnictw Niep. W skład Wydziału Wojskowego wchodzili: Komendant Główny Związku Strzeleckiego i Komendant Naczelny Polskich Drużyn Strzeleckich wraz ze swymi zastępcami i sekretarzami.

PRZEMÓWIENIE NAD GROBEM JÓZEFA KAJETANA STRZEMIEŃCZYK-JANOWSKIEGO

W dniu 26. VI. 1914 r. w pogrzebie członka Rządu Narodowego z r. 1863 Józefa Kajetana Strzemieńczyk-Janowskiego wzięły udział oddziały Związku Strzeleckiego i Drużyn Strzeleckich, a Józef Piłsudski nad grobem wygłosił przemówienie. Przemówienie to opublikował Józef Grabiec w «Kurjerze Lwowskim» z dn. 1 i 2. VII. 1914 w artykule p. t. «Ostatni».

Chowamy członka Rządu Narodowego — Rządu — a nie Rady Narodowej. Rząd bowiem tylko własny — szanowany, a posłuszeństwa wymagający — przystoi narodowi.

Po pół wieku tułaczki życiowej, po pół wieku pracy serdecznej, a krwawej widziałeś, ostatni z Rządu Narodowego, co naród do walki o wolność i lud prowadził, nowe zastępy, gotowe walczyć za to, za co walczyłeś ty i twoi — widziałeś odrodzonego żołnierza polskiego, któremu jutrzenka wolności i szczęścia zaświta.

Nie myśl, przyszły żołnierzu polski, że Twoja jutrzenka ma być pięknym i różowym zaraniem szczęścia i chwały, że ciebie będą chowali z tymi honorami, jak dziś, po latach pięćdziesięciu — chowamy wodza naszych dziadów.

Twoja jutrzenka to błysk pioruna na czarnej chmurce... Twój grób bezimiennym być może. Ty znajdziesz w lesie nieznanym lub na śmietnisku więziennym — tak jak przed pół wiekiem «oni» znajdowali.

Oni — ci nasi dziadowie, którym ten, kogo dziś chowamy, przewodził.

Lecz, żołnierzu polski, ty nie zadrżysz przed walką, na którą cię twój Rząd Narodowy wyśle, bo rząd to twój wódz, co krwi żołnierskiej nie powinien, nie może żałować.

Stoimy przed Rządem Narodowym, chłopcy, — pożegnać go nam po żołniersku przystoi.

Baczność! Szarże salutują! Spocznij!

ARTYKUŁY ZE «STRZELCA»

W kwietniu 1914 r. Komenda Główna Związku Strzeleckiego rozpoczęła wydawanie czasopisma wojskowego p. t. «Strzelec, miesięcznik, Pismo Polskich Związków Strzeleckich». «Strzelec», zapowiedziany rozkazem okólnym nr 79 z 4. III. 1914, rozpoczął wychodzić w kwietniu tegoż roku. Redakcję objął dr Marian Kukiel, jako wydawca i redaktor odpowiedzialny podpisywał czasopismo Edward Rydz. Pisma ukazały się cztery zeszyty, trzy za kwiecień, maj, czerwiec i czwarty za lipiec-sierpień. Dalsze wydawanie «Strzelca» przerwał wybuch wojny światowej.

Józef Piłsudski w każdym zeszycie «Strzelca» zamieszczał swoje prace. Artykuły zatytułowane «Z wojny bałkańskiej» stanowią pod względem konstrukcyjnym jednolitą całość. Ponadto Piłsudski zamieścił w zesz. 1 «Orzeczenie» oraz w zeszycie 4/5 artykuł p. t. «Zużywanie amunicji».

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ

I. Bułgarzy

Jak zwykle po wojnach bywa, pierwsze dane o nich nie dają dostatecznego przeglądu szczegółów stoczonych bojów, oświetlenie więc taktycznej strony ostatniej wojny europejskiej dotąd, niestety, pozostawionym być musi przyszłości. Z tych jednak ogólnikowych danych, jakie w literaturze znaleźć już można, nie wydaje mi się, aby wojna bałkańska była tak pouczającą i tyle wniosła nowego do dziedziny taktyki, co poprzednia wojna japońska.

Dużo mówiono i cuda głoszono o wściekłych i szybkich atakach frontowych Bułgarów na pozycje tureckie. Sądząc z tych danych, jakie są — a są one bardzo nie wystarczające, powtarzam raz jeszcze — powodzenie ich raczej przypisać należy ujemnym cechom wojska tureckiego, niż odpowiedniości użytego przez Bułgarów środka dla zwyciężenia wroga. Nawet przy tak nieumiejętnie prowadzonej obronie, jak u Turków, nawet przy takim upadku ducha w wojsku tureckim, że całe dywizje po kilka razy w ciągu dnia po prostu zmykały najhaniebniej z pozycyj — nawet przy tych warunkach ogromne straty bułgarskie przy każdym ataku uniemożliwiały zwycięzcom jakie takie wyzyskanie tryumfu. Za każdym razem,

czy w pierwszej bitwie pod Petra i Kirk-Kilisse [1]), czy w drugiej pod Lülie-Burgas [2]), pobite, nawet rozproszone wojsko sułtana uchodziło spokojnie od pościgu bułgarskiego, ba! nawet, gdzie się znajdowali energiczniejsi ludzie na czele, zdołało ratować nieraz duże części pozostawionego na razie przy panicznej ucieczce materiału wojennego: armat, wozów, amunicji itd.

Wyznam otwarcie, że przy czytaniu przeraźliwych opisów paniki, ogarniającej całe dywizje i korpusy tureckie, przy rozejrzeniu się w szczegółach bezładnego cofania się, a raczej wprost ucieczki Turków po każdej bitwie, przy zastanowieniu się nad niesłychaną dezorganizacją w wojsku tureckim, gdzie prawem była trzy- lub czterodniowa głodówka żołnierzy w czasie boju, gdzie nawet głównodowodzący przez dzień cały był bez pożywienia — przy tym wszystkim nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że «bracia Słowianie» źle się bili i źle byli prowadzeni. Odwrotnie zaś dowództwo tureckie dało dowód niezwykłej energii i umiejętności, zatrzymując takie wojsko, po tak haniebnych klęskach i ucieczkach, już nieledwie nazajutrz po bitwie gdzieś w 40—60 kilometrach od opuszczonych pozycyj i zmuszając je do ponownego oporu i przyjęcia boju *). Nie mogę sobie wyobrazić, by przy nieco lepszej organizacji po stronie tureckiej i przy wyższym stanie moralnym wojska sułtańskiego możliwymi były nawet w ogóle zwycięstwa bułgarskie, tak niesłychanie wyczerpywały Bułgarów ich namiętne — innego słowa nie znajduję — ataki frontowe «na nóż» (na bagnety), bez dostatecznego ogniowego przygotowania prowadzone. Jeden z obserwatorów, Włoch Zoli czy Wagner z «Reichspost», bodaj że słusznie zauważył, iż przedwczesne ataki bułgarskie były skutkiem nie nieumiejętności oficerów, lecz nie dającego się powstrzymać parcia żołnierzy, chcą-

*) Od Petry do Vizy i Lülie-Burgas — 40 kilometrów, od tych do Czataldży — 60 kilometrów — więc $1^1/_2$ do 3 dni marszu. Dla porównania: Kuropatkin po Liaojanie, prawie niepobity, cofa się do Mukdenu (ca 80 kilometrów), po Mukdenie (przegrana tej samej wartości, co Lülie-Burgas) do Sipinghaju (ca 130 kilometrów).

[1]) Bitwa pod Kirk-Kilisse stoczona została w czasie pierwszej wojny bałkańskiej w dniach 22.—23. X. 1912 r. W bitwie tej o charakterze wybitnie spotkaniowym (bataille de rencontre) armia turecka, dowodzona przez Abdullaha-Paszę, poniosła ciężką klęskę. Zwycięską armią bułgarską nominalnie dowodził król Ferdynand I, faktycznie gen. Sawow.

[2]) Bitwa pod Lülie-Burgas stoczona została w dniach 28. X.—1. XI. 1912 r. i zakończona została porażką oraz dalszym odwrotem wojsk tureckich na linię Czataldży, pod samym Konstantynopolem.

cych jak najprędzej dopaść do znienawidzonego od tylu wieków wroga.

Jeżeli jednak doświadczenia wojny bułgarskiej nie wzbogacą prawdopodobnie wiedzy taktycznej w tym stopniu, co japońska, to natomiast dla psychologicznej, szerzej mówiąc — socjologicznej strony wojny, znaleźć można w bałkańskiej tragedii mnóstwo ciekawego materiału. Więc z jednej strony — zwycięzcy. Mówię o Bułgarach, bo dotąd, niestety, o Serbach i Grekach nie posiadam żadnych danych.

Przede wszystkim rzuca się tu w oczy nawet przy powierzchownym przejrzeniu gazeciarskich wiadomości ogromny zapał narodowy dla sprawy wojny. Na wojnę ciągną wszyscy — starzy i młodzi. Bułgarzy prześcignęli pod względem wyzyskania materiału ludzkiego dla celów wojny nawet Francuzów, którzy w tej sprawie trzymają prym w Europie, wciskając w swe ramy wojenne 14% ludności. Bułgarzy dali 16%. Kraj cały zostaje bez robotników we wszystkich dziedzinach codziennego życia i... i żadnej skargi, żadnej depresji moralnej. Dla osiągnięcia celów narodowych, znacznie mniej poważnych, niż np. u nas, Polaków, rzuca się bez wahania na szalę wypadków literalnie całą ludność męską. Gdy sobie uprzytomnimy, że w powstaniu 1863 r. w marcu na całej przestrzeni województw krakowskiego i sandomierskiego z ludnością 800.000 mieszkańców stał pod bronią niewielki 3-tysięczny oddziałek Langiewicza, gdy przypomnimy, że na całą 4-milionową ludność Królestwa w 1863 r. liczba walczących nigdy nie przenosiła 1%, a najczęściej była mniejszą, gdy sobie przypomnimy naszą specyficzną polską histerię strachu przed użyciem broni w stosunku do wroga, nie zazdrość już, ale głębokie upokorzenie odczuć trzeba, myśląc o tych szczęśliwych, co o niczym nie zapomnieli.

To samo powiedzieć trzeba o starannym przygotowaniu umysłów i serc bułgarskich do zadań operacyjnych wojny. Wszystkie te, obco nam brzmiące, nazwy Koprüli, Koszana, Struncica, Marica, czy jak się tam rzeki i miasteczka macedońskie nazywają, stały się bliskimi i drogimi sercu Bułgara przez długoletnią, poprzedzającą wojnę, walkę partyzancką w Macedonii i... przez odpowiednio prowadzoną naukę w szkole ludowej. Teatr wojny był dla każdego żołnierza nie bezduszną i nie mającą przystępu do jego myśli zbieraniną obcych nazw geograficznych, lecz krajem, napełnionym żywą treścią odczutych walk i przemyślanych bojów. I tu te same porównania z nami cisną się do głowy. Kto z Galicjan o Królestwie wie więcej, niż coś nie coś o Warszawie lub paru jeszcze innych

miastach tej głównej części Polski? Kto zżył się z życiem zaboru rosyjskiego o tyle, by w razie potrzeby być tam świadomym strategiem — w znaczeniu żołnierskim, nie generalskim — a nie człowiekiem, prowadzonym na ślepo?

To stałe współżycie Piemontu [1]) bułgarskiego — państwa Bułgarii — z Wielką Bułgarią, będącą jeszcze pod panowaniem tureckim, dało znakomite owoce podczas wojny. Oto np. słaba dywizja gen. Kowaczewa w parę tygodni zajmuje i obsadza przestrzeń 20.000 kilometrów kwadratowych, usuwając stąd nieprzyjaciela w podwójnej w stosunku do siebie ilości. Dzieje się to, naturalnie, jedynie dlatego, że ludność cała nie tylko wita wojsko bułgarskie, jako swoich, lecz daje mu wszelką pomoc: zastępuje je w męczącej służbie ochronnej, zapewnia mu tyły, naprawia drogi, opiekuje się nim w ogóle najstaranniej. Niestety, ta właśnie, niezwykle dla nas ciekawa, część pracy wojennej Bułgarów, jak zwykle zresztą, słabo jest wyświetlona przez źródła, które miałem w swym rozporządzeniu.

Tak samo po macoszemu obchodzą się autorzy wojskowi z inną częścią wojennej roboty — z pracą partyzanckich oddziałów macedońskich. Wojna była poprzedzona przez długie lata podjazdowej walki, prowadzonej uparcie przez Bułgarów w Macedonii na sposób, zbliżony do metod rewolucyjnych w r. 1904—1908 w zaborze rosyjskim. Bandy te — jak je technicznie nazywano — były też użyte, jako pomocnicze narzędzie wojny i podczas starcia regularnych armij. O technicznej stronie tej pracy dotąd nie znalazłem nic a nic. Jak pisze jeden z autorów (Wagner), w sprawozdaniach pomijano systematycznie działanie band ze względów dyplomatycznych, wobec wrogości lojalnej Europy do tak nielegalnych środków działania. Jedyną charakterystyczną wzmiankę przytoczyć tu mogę, że oficerowie bułgarscy w wielkiej ilości byli urodzonymi Macedończykami, ludźmi, którzy jeszcze podczas pokoju brali udział w pracach i bojach band na terenie macedońskim. Obecnie wiele okrucieństw bułgarskich, popełnionych na ludności muzułmańskiej, starają się sprawozdawcy zwalić właśnie na bandy. Czy to jest prawdą, trudno dociec. Przypuszczać trzeba, że przy wiekowej nienawiści do prześladowców, która cechowała Bułgarów w tej wojnie, wykroczenia przeciwko humanitarnym prawom były dosyć powszechne.

Dla dopełnienia charakterystyki Bułgarów dodam, że procent analfabetów w wojsku wynosił zaledwie 8.

Józef Piłsudski.

[1]) Piemont — księstwo włoskie, skąd w połowie XIX w. rozpoczęła się przeciwko Austrii walka Włochów o zjednoczenie.

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ

II. Turcy

Każdy, kto czytał «Beniowskiego», pamięta pewno cudownie piękne strofy, zwrócone do mahometańskiego Wschodu, z którym poeta zaznajomił się bliżej podczas swej podróży. Kraina ta, jak wyznaje Słowacki, «przez podobieństwo śmierci» tak mu ojczyznę postawiła przed oczy, że «serce mu wzięła i łzy mu wydarła». Ten bezwiedny sentyment i mną owładnął, gdym przerzucał tragiczne karty dziejów tureckiej armii podczas ostatniej wojny, i wciąż mi w uszach dźwięczał, jak stały refren, wiersz poety:

«...Próżno, ach próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało!
Twoje mi, śmiercią już blade, oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało...»

Wybaczą mi czytelnicy «Strzelca» ten nieco sentymentalny i liryczny wstęp do suchej i sprawozdawczej notatki o działaniach armii tureckiej. Są one skądinąd niezwykle pouczające i to specjalnie dla nas. Dla nas dlatego przede wszystkim, że od początku prawie tureccy wodzowie i kierownicy mieli do czynienia z koniecznością improwizacji organizacyjnej.

Surowa, bezlitosna i... «disons le mot», niemiecka nauka osądziła bezpowrotnie wszystko to, co trąci choć cokolwiek improwizacją armii, występującej do wojny. Na poparcie swych tez przytoczyć może także i kampanię turecką. Armia turecka w chwili wybuchu wojny znajdowała się w stanie znacznie gorszym pod względem organizacyjnym, niż armia Napoleona III w 1870 r.

Dla charakterystyki stanu rzeczy dosyć przytoczyć historię III korpusu tureckiego. Dowódca korpusu Machmud-Muchtar-pasza przyjeżdża 17 października (pierwsza bitwa 22 października) dla objęcia komendy nad wojskami, które go widzą po raz pierwszy. Z trzech dywizjonerów jeden tylko — naczelnik 7-ej dywizji — jest dawnym dowódcą, inni dwaj są świeżo mianowani. W kasie korpusu Muchtar-pasza znajduje 14 tureckich funtów, mniej więcej 320 koron!! 8-ma dywizja występuje do boju w składzie aż... dwóch batalionów!! Wiele z pomiędzy batalionów liczy w swym składzie nie więcej, niż 200—300 ludzi, stanowiąc w ten sposób raczej kompanię, nie batalion; pułk 8-my kawalerii występuje do boju w składzie 200 ludzi, a niezależna dywizja kawalerii, osłaniająca koncentrację i mobilizację armii, liczy raptem aż... 1300 szabel!

Wreszcie do korpusu dodają jeszcze jedną dywizję rezerwową z Afiun-Karahissar i korpus idzie do boju z 38 tysiącami ludzi, zebranych i zorganizowanych naprędce za pomocą złej czy dobrej — lecz improwizacji. Po pierwszym boju pod Petra i Kirk-Kilisse korpus 23 października w zupełnym nieładzie cofa się do Vizy. Wszystko staje się «perakende», jak technicznie nazywają Turcy rozprószonych i błądzących bez związku organizacyjnego żołnierzy. Z tych «perakende» z nowymi na połowę dowódcami Machmud-Muchtar-pasza improwizuje nową organizację korpusu, z którym staje do boju już 29-go — w p i ę ć z a l e d w i e dni po sproszkowaniu korpusu na poszczególne atomy aż do pojedynczego żołnierza. Szybkość w istocie zdumiewająca, godna zaiste zazdrości!

Z tym, już najzupełniej zaimprowizowanym, oddziałem — zwanym chyba dla tradycji III korpusem — Muchtar-pasza prowadzi ciężką trzydniową walkę na prawym skrzydle armii tureckiej podczas bitwy, znanej z gazet pod nazwą bitwy pod Lülie—Burgas. Pierwsze dni boju dają orężowi tureckiemu w «III korpusie» powodzenie, słabe, co prawda, lecz zawsze powodzenie. A gdy wreszcie lewe skrzydło i centrum cofa się w bezładzie, korpus wytrzymuje jeszcze dwudniowy bój, mając z lewego skrzydła poparcie takiegoż zaimprowizowanego oddziału, nie wiadomo dlaczego noszącego szumną nazwę XVII korpusu.

Wreszcie oba «korpusy» cofają się. Odwrót pociąga za sobą zupełny rozstrój wszystkich oddziałów. Turecka armia cofa się pod mury Konstantynopola na linię obronną Czataldży. Następuje nowa improwizacja z wojsk wszystkich korpusów, które się zmieniły wszystkie w bandy «perakende». Jeszcze jednak przed dojściem do Czataldży Muchtar-pasza podczas odwrotu improwizuje organizację swego korpusu i z 9 «dywizyj» formuje, już na s z ó s t y d z i e ń po rozpoczęciu odwrotu, ośmnastotysięczny korpus trzydywizyjny. Nowa improwizacja, już w całej armii przeprowadzona, pod Czataldżą wnosi bardzo mało nowego do pracy, przeprowadzonej podczas odwrotu przez Muchtara-paszę.

Gdy się przegląda detaliczny «ordre de bataille»[1]) korpusu w różnych okresach kampanii i zestawia numery jednostek i nazwiska dowódców, niepodobna znaleźć jakiegokolwiek podobieństwa jednego obrazu do drugiego. Oprócz uporczywie powtarzanych numeracyj korpusu — III — i dywizyj — 7-ej, 8-ej i 9-ej — wszystko inne jest w każdym świeżym «ordre de

[1]) Ordre de bataille — schemat składu jednostek wojskowych.

bataille» zupełnie nowe. W ostatnim — na linii Czataldży — dano już spokój numerowaniu pułków i po prostu nazywano je: «skombinowany pułk nizamów [1]) takiego a takiego majora czy pułkownika».

Improwizacja organizacyjna była taką koniecznością dla armii tureckiej, że nawet podczas boju samego znajdujemy objawy tej pracy. Oto np. ustęp z raportu podpułkownika Mechmed Ai-beja, wysłanego w trzeci dzień boju pod Lülie—Burgas do jego naczelnika:

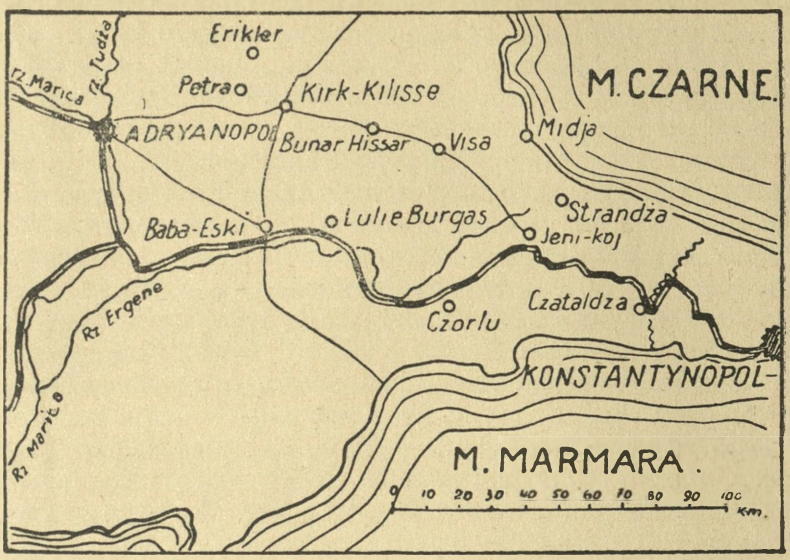
«Wobec tego, że po ostatnim boju wczorajszego wieczoru jednostki wojskowe ogromnie się pomieszały, sformowałem, jako komendant lewego skrzydła, dwa bataliony z pomiędzy wojsk, które trafiły do moich rąk. Jeden z nich — złożony z 270 ludzi i postawiony pod dowództwo majora Dżemal beja — z ludzi, należących do różnych pułków nizamu; drugi— 208 ludzi, dowodzonych przez wicemajora Sia Effendiego z 23-go pułku. Oba bataliony oddałem do prowadzenia podpułkownikowi Fenzi-bejowi. Niepodobna mi było określić miejsca, dokąd one właściwie należą, a że bój już się rozpoczął zostawiłem bataliony wymienione do dyspozycji Ekscelencji».

Machmud-Muchtar-pasza podczas boju improwizuje sobie sztab z chwilą, gdy został wyznaczony komendantem «II wschodniej armii», złożonej z trzech «korpusów» — III, XVII i XVIII. Materiałem do tego służą mu różni «perakende» oficerowie. Że tacy «perakende» nie byli rzadkością, niech świadczy następujący ustęp z raportu dywizjonera Dżemal-beja:

«Sądzę, że byłoby bardzo pożytecznym, żeby dla zabezpieczenia mego prawego skrzydła do trzech batalionów dodać jeszcze dwa i wszystko pozostawić pod dowództwem naczelnika dywizji rezerwowej z Angory, który objeżdża pozycje, nie mając żadnego wyznaczonego sobie zadania».

Intendentura, dostarczenie amunicji — cała, jednym słowem, służba tyłu armii i korpusów musiała być w ten sam sposób improwizowana. Ten sam Muchtar-pasza dwa razy usiłuje zorganizować dla swego korpusu te pomocnicze a konieczne narzędzia wojenne. Za każdym razem dzieje się to za pomocą wyznaczenia oficerów «perakende» takich, co wypadkowo trafili do rąk paszy. Jednym słowem, co krok to improwizacja, nie licząca się wcale albo bardzo mało z tym wszystkim, czym było pokojowe życie armii tureckiej.

[1]) Nizam — regularny oddział tureckich wojsk, przeszkolony na sposób europejski.



To samo działo się w całej armii sułtana, we wszystkich innych korpusach i dywizjach. Trzeci korpus Machmuda-Muchtara-paszy nie był wcale pod tym względem wyjątkiem. Gdy się te wszystkie raporty o nieszczęsnych «perakende» przerzuca, doprawdy wydaje się, że się ma do czynienia nie z armią regularną państwa, mającego przygotowaną do wojny organizację wojskową, lecz z jakimś powstaniem czy rewolucją, wojną bez uregulowanej i będącej w niezaprzeczonym posiadaniu bazy. Bodaj jedynie Francja ze swymi przykładami z Wielkiej Francuskiej Rewolucji i z «défense nationale» [1]) 1870 r. mogłaby być pod tym względem porównywana z Turcją podczas ostatniej bałkańskiej wojny. Jeśli mi wolno trawestować Słowackiego, to powiem, że przez to «podobieństwo», ale nie śmierci, lecz — życia i to życia wojennego, właśnie te obrazy z wojny bałkańskiej przykuły moją uwagę do strony tureckiej, a sądzę, że studia nad improwizacyjną pracą wodzów muzułmańskich dać nam mogą i muszą niezwykle dużo pouczającego.

Przede wszystkim słów parę ogólnych o samej improwizacji. Jak powiedziałem wyżej, bezlitosna nauka z pogardliwym uśmiechem wzrusza ramionami na ciężkie, w krwawym pocie czynione próby improwizowania organizacji wojskowej, z złośliwym triumfem wskazując na następstwa takiej im-

[1]) Défense nationale — obrona narodowa.

prezy — we Francji w 1870 r., w kuropatkinowskich improwizacjach w wojnie japońskiej, wreszcie przypisze klęski tureckie właśnie tej okoliczności. A jednak... jednak nowoczesna nauka o wojnie zaczyna się właściwie od improwizacji republikańskich i napoleońskich armii, od czasów, gdy mniej się namyślano nad stworzeniem prawie bez kadrów stutysięcznej armii, niż obecnie nad dodaniem do mozolnie stworzonej organizacji jednego jakiegoś batalionu. I wtedy improwizacja dała Francji absolutne zwycięstwo nad wrogami, jeszcze przedtem, nim geniusz Napoleona zajaśniał w całej pełni, przedtem, nim została wytworzona Wielka Armia Jeny, Austerlitzu, Wagramu i Friedlandu [1]).

Bez względu jednak na słuszność czy niesłuszność poglądów na improwizację organizacyjną wojska — prawdą bezwzględną pozostanie: wiele ten może, kto musi. I dla tych, co muszą, niezwykle pouczającym będzie przyjrzeć się, jak dawali sobie radę inni, również będący w przymusowym położeniu, w danym wypadku Turcy.

Pierwsza improwizacja przed bitwą pod Petra i Erikler ma do czynienia z materiałem ludzkim w stanie zorganizowanym: z batalionami, brygadami i dywizjami takimi, jakimi je wytworzyło pokojowe życie armii tureckiej, jakimi je dała źle obmyślana mobilizacja, nie licząca się z brakiem komunikacji porządnej na tyłach armii. Praca organizatorska wodzów tureckich, zmuszonych do stoczenia boju z armią, nierozwiniętą do stopy wojennej, musiała polegać na usunięciu szkodliwych fikcyj w postaci dywizyj dwubatalionowych, pułków o sile paru kompanij, wreszcie na usunięciu od razu materiału ludzkiego, niedostatecznie lub wcale niećwiczonego, z szeregów, przeznaczonych do boju. Generałowie tureccy nie uczynili tego. Działała w nich jeszcze bezwiednie wiara w słuszność zarządzeń mobilizacyjnych, przekonanie o wartości niezmiernej całej maszyny organizatorskiej państwa i armii. Wyniki jednak tej niechęci do improwizowania organizacji większych oddziałów, gdy maszyna już zawiodła, ciężko dały się we znaki Turkom.

F i k c y j n e bataliony, pułki, brygady, dywizje, korpusy i armie zajmowały zupełnie r e a l n ą przestrzeń, nie odpowiadającą najzupełniej r e a l n e j sile, którą posiadano. Tak w pierwszej bitwie na froncie czterdziesto kilko kilometrowym wystawiono jakie 60 tysięcy ludzi. W drugiej, pod Lülie-Burgas, front pięćdziesięciokilometrowy obsadzony był 70 tysią-

[1]) Zwycięskie bitwy odniesione przez Napoleona.

cami ludzi. Dopiero na pozycjach pod Czataldżą długość frontu dochodzi do nieco normalniejszego stosunku z ilością kombatantów.

Stosunek różnych rodzajów broni stawał się również zupełnie nienaturalnym. Dla przykładu przytoczę 7-ą dywizję, słabą w swoim składzie, liczącą nie więcej, niż 6—7 tysięcy ludzi, a obciążoną 12 bateriami (72 działa) artylerii, idącą po ciężkim, rozmokłym gruncie dla osłony prawego skrzydła armii. O zdolności do manewru bitewnego, koniecznego przy ochronie skrzydłowej, chyba mowy być nie mogło, — piechota po prostu stawała się zwykłą asekuracją dla swej ledwo poruszającej się artylerii. To też 7-a dywizja zadania swego nie wypełniła, a przy odwrocie wielką część artylerii pozostawiła w błocie na łup nieprzyjaciela. Wynikało to zupełnie naturalnie z faktu, że artyleria — ilość dział, nie parków amunicyjnych — przy wadliwej mobilizacji stała w rażącej sprzeczności z gotowością innych rodzajów broni, a nikt z dowodzących w pierwszych dniach wojny nie ośmielił się targnąć na «nieimprowizowane» schematy mobilizacyjne, z całą rzemieślniczą precyzją obdarzające Turcję aż 24-ma korpusami trzydywizyjnymi — naturalnie, o papierowej jedynie wartości.

Oprócz fikcyjnych batalionów i korpusów w szeregach tureckich znaleźli się również i fikcyjni żołnierze, to jest tacy, których poprzednie życie w czasie pokoju nie przygotowało pod żadnym względem do roli żołnierza na wojnie, tacy, którzy, jak świadczy jeden z oficerów tureckich w swym raporcie, «przykładali kolbę karabinu podczas strzelania do czoła (sic!) albo brzucha». Wiara w papierową mobilizację i bojaźń improwizowania i w tym wypadku powstrzymała wodzów tureckich od wnoszenia jakichkolwiek zmian do schematu mobilizacyjnego. Wciskano takich fikcyjnych żołnierzy, jak i wrogich sobie Greków i Bułgarów, do szeregów, prowadzonych do linii tyralierskiej, okopów strzeleckich itd. Liczba takich żołnierzy była względnie duża dlatego, że wyzyskano już poprzednio lepszy materiał ludzki w walce z powstaniem albańskim i w wojnie trypolitańskiej, a zgodnie ze sprawiedliwością bezduszną prawa nie chciano powoływać po raz drugi w ciągu roku tych samych rezerwistów. Na tę więc najpoważniejszą potrzebę w ogromnej ilości wystarczać musiały wybiórki, wciągnięte na listę rezerwy jedynie wobec «konstytucyjnej» równości wszystkich wobec prawa.

W organizowaniu więc wojska zabrakło w pierwszych dniach ducha inicjatywy i improwizacji. Pewne rzeczy czyniono z musu, lecz w ogóle widoczną była uległość przepisom

i normom, wypracowanym podczas pokoju, normom, które swą niedostateczność i niedomaganie do warunków wykazały w całej pełni. Najwięcej być może improwizacyjnej pracy organizatorskiej włożono w te kilka pierwszych dni wojny w musową organizację pomocniczych narzędzi wojny — intendanturę i w ogóle administrację wojskową, w sprawy najtrudniejsze do zaimprowizowania i stanowiące zawsze piętę achillesową każdej improwizacji wojskowej. Brakło wszystkiego — odzienia i obuwia dla spędzanych rezerwistów, wozów i koni dla kolumn prowiantowych i amunicyjnych, chleba dla ludzi, owsa dla koni, a dla wszystkiego tego zdolnych i umiejętnych administratorów.

Z taką «niedoimprowizowaną» armią wodzowie tureccy stoczyli pierwszą bitwę na froncie Timurhauli-Erikler dnia 22 i 23 października, bitwę, która zakończyła się zupełną porażką Turków. Ogromna większość wojska uciekła najhaniebniej z pola bitwy, nie będąc często nawet ścigana przez nieprzyjaciela. Nieznaczne straty — dziesięciu, piętnastu ludzi — wystarczały, aby całe bataliony i pułki w panicznym strachu i popłochu, strzelając do siebie wzajemnie, szukały ratunku w ucieczce. Prawie połowa artylerii została na polu w błocie. Fortyfikacje Kirk-Kilisse zostały opuszczone bez wystrzału, gdyż na posterunku w nocy pozostał tylko komendant korpusu ze swym sztabem i 150 «perakende» z różnych pułków. W takim III korpusie nie mogło być nawet mowy o sformowaniu jakiejkolwiek ariergardy, bo generał, któremu to poruczono, jeden, jak palec, nawet bez adiutanta, musiał sprawować tę odpowiedzialną służbę, naturalnie, bez żadnego pożytku dla niej.

Nocny odwrót — raczej ucieczka — w nocy z 22 na 23 dla jednych i z 23 na 24 dla drugich — zmienił nieledwie całą armię turecką w proszek ludzki, w którym nie było mowy o organizacyjnym związku pomiędzy żołnierzami. Na szczęście dla Turków nieprzyjaciel nie ścigał i zadowolił się zajęciem opuszczonych przez pobitą armię stanowisk. Dało to czas — bardzo krótki zresztą — dla zaimprowizowania nowej organizacji wojskowej. Tym razem konieczność improwizacji była tak widoczną, że największy niewolnik papierowych urządzeń i instytucyj musiał do niej przystąpić. Sięgnęła ona też głębiej w istotę rzeczy.

Przede wszystkim materiał ludzki, z którego można było wykroić armię, był tym razem całkiem inny. Nie był to przeważnie, jak poprzednio, żołnierz, dostarczony przez administrację cywilną i wojskową z kraju na podstawie istniejących

praw, — owszem, byli i tacy w szeregach nowych rezerwistów, złączonych w dywizje i bataliony, o ile ogólna panika i popłoch nie rozbiły w puch tych związków organizacyjnych, lecz była to mniejszość. Większość miała w sobie coś z charakteru ochotniczego. W istocie — przy sproszkowaniu armii podczas ucieczki ustała wszelka kontrola władz nad ludźmi, każdy zatrzymywał się tam, gdzie chciał, i każdy mógł uniknąć, jeśli tego sobie życzył, dalszej służby w wojsku, chociażby wciskając się do ogromnego tłumu niewalczących tureckich włościan, uciekających przed okropnościami wojny do stolicy państwa — Konstantynopola. Zostawali więc ci, co mieli w sobie więcej hartu, chęci do obrony ojczyzny, wreszcie ci, co nie zatracili w tym potopie resztek wychowania wojskowego — dyscypliny wewnętrznej. Improwizacja miała trudniejsze zadanie, co prawda, gdyż operowała nieledwie jednostkami ludzkimi, niezorganizowanymi uprzednio grupami, lecz materiał był za to stanowczo lepszym i odpowiedzialniejszym dla celów wojny. Znikł np. z wojska zupełnie chrześcijański element, z natury rzeczy ciążący do nieprzyjaciela, znikli też słabsi duchowo i fizycznie.

Jak daleko sięgał ten, że się tak wyrażę, naturalny dobór, można sądzić z cyfr następujących. III korpus stanął do boju pod Erikler-Petra w składzie 4 dywizyj, liczących w sumie 38 tysięcy ludzi. Wieczorem zaś 27 października, na czwarty dzień po ukończeniu bitwy, Machmud-Muchtar-pasza raportował ministrowi wojny, że ma pod swymi rozkazami w Vizie 10 tysięcy ludzi, dwóch — z pomiędzy czterech — dywizjonerów i... żadnego urzędnika z intendantury. Straty w bitwie nie były duże — najwyżej tysiąc ludzi — reszta, to jest strata z ucieczki, strata gorszego materiału ludzkiego na podstawie naturalnego doboru. W innych korpusach działo się, naturalnie, tak samo, jak w III.

Poza tym zaczęto segregować materiał według jego zdatności dla tych czy innych celów. Jak wspomniałem wyżej, w szeregach tureckich znajdowało się całe mnóstwo ludzi, którzy w czasie pokoju nie otrzymali żadnego wyszkolenia wojskowego; byli to właśnie ci, co strzelali z kolbą, przyłożoną do czoła, co nie mieli najmniejszego wyobrażenia o celu noszonych przez się łopatek i innych podobnych rzeczach. Tym razem, wszędzie, gdzie to się udało uczynić, formowano przy batalionach kompanie z niećwiczonych uprzednio ludzi, kompanie, przeznaczone dla służby transportowej i wszelkich prac pomocniczych. Zmniejszało to stan liczebny wprowadzanych do boju karabinów — bataliony często liczyły już tylko

dwie słabe kompanie — lecz zyskiwało się na tym, że karabiny nie były fikcyjne.

Jeżeli dodamy konieczne starania o zaimprowizowanie za pomocą oficerów «perakende» intendentury i etapów — pracy nieco ułatwionej wobec skrócenia linii komunikacyjnej o 2—3 marsze dzienne — znajdziemy pracę organizatorską wodzów tureckich niezmiernie trudną i ciekawą, tym trudniejszą, że czynioną prawie pod kulami nieprzyjaciela. Zaiste — elastyczność natury tureckiej jest przedziwną, gdy po sproszkowaniu armii w pięć dni potem można było wykonać rozkaz głównodowodzącego powszechnej ofenzywy na całym froncie. Naturalnie, że w tym terminie praca organizatorska zakończoną nie była.

Następnie bitwa pod Lülie-Burgas. — Turcy walczą trzy dni na całym froncie, pięć na wschodnim, prawym skrzydle. Walka to najkrwawsza w całej wojnie, niczym nie przypominająca pierwszej bitwy na północy od Adrianopola i Kirk-Kilisse. Improwizacja wytrzymała próbę — Turcy bitwę, coprawda, przegrali, lecz zadali tak ciężkie straty Bułgarom, że o pościgu mowy być nie może i odwrót odbywa się w większym porządku i z bardzo małą stratą materiału wojennego — artylerii, amunicji i wozów.

Trzecia improwizacja — podczas odwrotu po bitwie pod Lülie-Burgas i na pozycjach obronnych Czataldży — zasadniczo nie różni się od poprzedniej w stosunku do materiału ludzkiego. Natomiast wprowadzoną zostaje zasadnicza zmiana w organizacji armii w ogóle. Znikają nareszcie fikcyjne, papierowe korpusy i dywizje z niepotrzebną i szkodliwą egzystencją oficerów i generałów, «nie mających dla siebie żadnych zadań». Cała armia podzieloną została na trzy realne tym razem korpusy z istotnymi dywizjami, pułkami i batalionami. Improwizacja zaś administracyjna jest znakomicie ułatwiona przez bliskość głównej bazy — Konstantynopola — z ogromnymi środkami przewozowymi i możliwościami administracyjnymi. Na tej linii armia turecka daje wreszcie skuteczny odpór wrogowi i z niej z chwilą odpowiednią wychodzi dla odwojowania choć części tego, co straciła uprzednio.

Jak widzimy, w ciągu jednomiesięcznej kampanii budowa armii tureckiej uległa gruntownej przeróbce. Nieledwie kamienia na kamieniu nie pozostało z poprzedniej papierowej organizacji, a inicjatywa improwizacyjna wodzów tureckich bodaj zbawiła państwo od zupełnego i ostatecznego rozbicia. Nie improwizacja więc w klęskach Turcji zawiniła. O istotnych przyczynach porażek — innym razem.

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ

III. Przyczyny porażek tureckich.

Los, choć zwany ślepym, lecz dostatecznie rozumny, by okpić i oszukać najrozumniejszych nieraz ludzi, los ten nieraz dawał nam przykłady zetknięcia się wojennego narodów i państw, przy którym wszelkie obrachowania ludzkie zostały zawiedzione. Francuzi i skoalizowana Europa w czasach Wielkiej Rewolucji, ciż sami Francuzi i Niemcy w 1870 r. z piorunującymi zwycięstwami ostatnich, Rosjanie i Japończycy, wreszcie teraz Turcy i Bułgarzy — oto są przykłady działania tego, ślepego jakoby, losu. I gdy «post factum» przerzuca się tragiczne dzieje zwyciężonych, gdy analizuje się, co się złożyło na wieńce zwycięskie, włożone na czoła triumfatorów, — to zawsze badacza uderza jakaś musowa, żelazna konieczność, jakiś po prostu fatalizm, który wbrew nawet błędom zwycięzców, wbrew nieraz «hektorowemu męstwu» poszczególnych zwyciężonych, stale i zawsze wieńczył triumfem sztandary wybrańców losu. Po pewnym zaś czasie przychodzą analitycy t e c h n i c z n i, którzy pomijając ów fatalizm, zastanawiają się poważnie, czy Bazaine[1]) mógł wobec błędów niemieckich uratować Francję, czy Kuropatkin mógł zwyciężyć Kurokiego pod Liaojaniem, czy... przykładów takich mnożyć można bez końca. I jedyną słuszną odpowiedzią na to byłby wiersz poety, cytowany przeze mnie w poprzednim artykule:

Próżno, ach próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało!

Cóż to za «rana tajemnicza», której los przeciwstawia równie «tajemniczą cnotę»?! Jest nią nie co innego, jak niematerialna siła, zwana w języku wojskowym «morale» wojska.

Najistotniejszą częścią «moralności» wojska jest n a m i ę t n e d ą ż e n i e do zwycięstwa, do z g n i e c e n i a i ostatecznego pokonania nieprzyjaciela oraz w i a r a w powodzenie swego oręża i płynące stąd zaufanie do siebie, jako żołnierza. Uczucia te — bo są to uczucia — gdy są szeroko w masie żołnierzy rozpowszechnione, wytwarzają podłoże tak dogodne dla rozkwitu wszystkich cnót żołnierza, jak męstwo, wytrwałość, humor przy znoszeniu ciężarów bitwy i w ogóle wojny,

[1]) Bazaine Franciszek, marszałek Francji (1811—1888), w czasie wojny francusko-pruskiej 1870—1871 na stanowisku dowódcy armii Renu, został pobity przez Niemców i zawarł w Metzu haniebną kapitulację, oddając do niewoli 180.000 armię.

że dają siłę fatalną, prowadzącą do zwycięstwa, osobliwie, gdy u wroga napotykają «rany tajemnicze», to jest uczucia wręcz odwrotne. W naszym «technicznym» i zarazem «pokojowym» wieku daje się zauważyć usilne staranie, by te elementarne uczucia zastąpić wartościami technicznymi, więc dobrą organizacją, dyscypliną wojska, ładem i porządkiem. Śmiem twierdzić, że techniczne zalety lub wady są tylko surogatem powyższych elementarnych podstaw «morale» żołnierza i wojska, surogatem, najczęściej niewystarczającym w pracy wojennej.

Tak więc w zastosowaniu do Turków surogatywna krytyka z wielką przyjemnością podnosi fakty niezwykłej dezorganizacji wojsk sułtańskich, nadzwyczajny brak dyscypliny w marszach, bojach i wszelkich w ogóle czynnościach wojennych. Widzi w nich główną przyczynę porażek tureckich, chrzcąc to nazwą braku «moralności» w wojsku od góry do dołu. W istocie przyznać trzeba, że pod tym względem działy się w armii tureckiej rzeczy przerażające. Oto zresztą przykłady, wybrane na chybił trafił z materiału, którym rozporządzam.

1) Wszyscy ci ludzie — mowa o rezerwistach — powołani pod broń, zostali szybko ubrani i w kilka dni bez żadnego sprawdzenia, czy umieją władać bronią, poprowadzeni na dworzec dla wciśnięcia do szeregów. Niektórych wysyłano nawet nieubranych z wyrachowaniem, że na dalszych stacjach są składy mundurów. Potem 10000 takich nieubranych zostało odesłanych z powrotem dla umundurowania.

2) Przed każdym pułkiem stały wozy z ubraniem i bronią dla umundurowania i wyekwipowania przybywających do wojska. Przybyli zaledwie do swojej kompanii, ci biedni ludzie rozbierali się na słotnym i chłodnym powietrzu, wybierając dla siebie odzienie z wozów. Dawano im w ręce karabin, co do którego podoficerowie robili wskazówki, jak go mają nabijać. Wielu z tych dziwnych żołnierzy, nie znajdując odpowiedniego dla siebie ubrania, ruszyło tegoż wieczora tak, jak przyszło, a niejeden z nich nazajutrz już był zabity, nie mając nawet tej satysfakcji przed śmiercią, że nosił mundur wojskowy.

3) Największą troską dowódcy był brak prowiantu. Żołnierze głodni, zaopatrzeni jedynie w kawałek suchara, masami całymi schodzili co wieczór z pozycji, by szukać w tyle jakiegokolwiek pożywienia. Niepodobna było w tym stanie cokolwiek zrobić, by ludzi utrzymać na pozycji.

4) Żołnierze po 36 godzin nie miewali nic w ustach, prócz garstki suchego, niezgotowanego ryżu. Nie mieli też

wody, gdyż niewielkie manierki w samym początku zostały wypróżnione. Zabici i ranni w pośród nich nie byli sprzątnięci przez cały czas. To też żołnierze chwiali się na nogach i nie mieli sił sami sobie zgotować ciepłej strawy, trzeba było odkomenderować innych, by dla nich to uczynili.

5) Zaopatrzenie rannych znajdowało się w armii w jak najgorszym stanie, właściwie nie było go wcale. Wpływało to niezwykle ujemnie na stan ducha żołnierzy. Setki tych nieszczęśliwych, nie znajdując nigdzie przytułku, kładło się w zupełnym wyczerpaniu wprost do błota na drodze lub u progu domostw w miasteczkach, jękiem swym zapełniając powietrze.

6) O rannych dbano mało. «Wiem, że o mnie nikt nie myśli — mówił jeden z rannych żołnierzy — nie służę już do niczego, my, ranni, jesteśmy tylko kłopotem, woleliby, byśmy umarli». Jeden doktór chwalił się, że zrobił fałszywy alarm, żeby lekko ranni — było ich tysiąc kilkuset — pouciekali. «Nie znam lepszego sekretu — powiedział — dla uwolnienia przeciążonego ambulansu!»

7) Widok masy cofających się żołnierzy był tak tragiczny, że trzeba pióra jakiegoś Zoli [1]), by dać pojęcie o nim. Żadnej nie było w tym organizacji. Ranni pomieszani ze zdrowymi: każdy zatrzymywał się, jak chciał i gdzie chciał, omijał stojące na drodze wozy czy armaty bez zaprzęgów i obsługi. Nie była to armia zorganizowana, ale jakaś głodna, rozpaczliwa masa rozbitków, bez żadnego porządku i ładu.

8) «Szliśmy wciąż, na lewo, na prawo, naprzód, niekiedy w tył, często nie rozumieliśmy już ani dokąd, ani po co idziemy. Ktoś z boku zapalił ogień, niektórzy zatrzymują się przy nim, inni znowu ich odpychają, by zostać odepchniętymi przez następnych. Jakaś ogromna mieszanina ludzi na drodze i na sąsiednich polach». Nie ma mowy o pułkach czy batalionach, o uregulowanych postojach czy odpoczynkach, nawet o jakiejkolwiek ochronie. Wszystko to się żywi niewiadomo czym. Korpus topnieje w drodze tak, że wkońcu liczy zaledwie trzy tysiące kilkuset ludzi.

9) Przy pierwszych poruszeniach wojska na pozycji następował bezład i nieporządek nie do opisania. Po najmniejszym boju trzeba było go przerywać dla uporządkowania jednostek: batalionów i kompanij.

10) Pułk, otrzymawszy za późno rozkaz, wyruszył bez jedzenia. Ludzie, głodni, bardzo szybko zaczęli opadać z sił

[1]) Emil Zola (1840—1902), znakomity powieściopisarz francuski, który w powieści «Débâcle» (Pogrom) opisał klęskę wojsk francuskich w r. 1870.

i okazywać zdenerwowanie. Zaledwie po przejściu kilkuset metrów w ciemności wszystkie jednostki — kompanie — tak się pomieszały, że trzeba było się zatrzymać, by zaprowadzić porządek. Bezład powtórzył się znowu w jeszcze większym stopniu przy przejściu rzeczki i wioski za nią. Padły strzały, pułkownik i jego zastępca zostali ranni, bezład powiększył się jeszcze bardziej...

Chyba dosyć tych wypisów, świadczących o dezorganizacji i jakimś dziwnym bezrządzie. Nieprawdaż? Tu przyznam się od razu, żem tymi wypisami rozmyślnie w błąd czytelnika wprowadził. Odnoszą się bowiem nie wszystkie do armii tureckiej w ostatniej kampanii. Umieściłem je jednak obok siebie ze względu na bliźniacze podobieństwo opisów i jestem przekonany, że żaden najbystrzejszy krytyk nie odgadnie, który z nich ma związek ze zwyciężonymi, który zaś ze zwycięzcami. Tak, ze z w y c i ę z c a m i. I to z nie byle jakimi!

Wszystkie nieparzyste przykłady są wzięte z armii tureckiej podczas ostatniej wojny. Lecz przyjrzyjmy się przykładom, opatrzonym cyfrą parzystą. Więc zaczynam.

Nr. 2-gi to obraz organizowania armii przez Napoleona przed zwycięską bitwą pod Ligny w 1814 r.

Nr. 4-ty to bohaterska brygada generała Okasaki, gdy po trzydziestosześcio-godzinnym boju o Mandżu-jamę, boju, prowadzonym z dwoma korpusami rosyjskimi, po wytrzymaniu 6 ataków na bagnety i odparciu zwycięskiem przemocy wroga, schodzi z pozycji, zluzowana przez inną brygadę.

Nr. 6-ty to obrazki ze zwycięskiej armii Napoleona po bitwie pod Friedlandem.

W nr. 8-mym przedstawiony jest marsz groźnego marszałka Davout [1]), gdy wezwany przez Napoleona śpieszy z Wiednia na sławne pobojowisko pod Austerlitz, by tam stanąć na najniebezpieczniejszym stanowisku — osłaniania linii komunikacyjnej armii francuskiej, na którą waliła się ogromna przemoc austriacko-rosyjska.

Wreszcie nr. 10-ty to nie «perakende» nieszczęsny jakiś pułk turecki! To dzielny 10-ty pułk japoński przed świetnym zwycięstwem w nocnym ataku na Sankej-seki-sau w bitwie nad Sza-ho.

Naturalnie, podając te zestawione przykłady życia wojennego, nie mam wcale zamiaru twierdzić, że zwycięstwo musi być połączone z takimi dowodami bezładu, braku przygotowań i tak dalej, jak to się widzi przy porażkach i klę-

[1]) Davout Ludwik (1770—1823), marszałek Francji, jeden z najświetniejszych oficerów i dowódców Napoleona.

skach. Ani marsz marszałka Davout, ani bezład w 10-tym pułku japońskim przy ataku, ani cyniczne słowa napoleońskiego doktora przy ambulansach nie są moim ideałem i, sądzę, nie sprzyjają wcale zwycięstwu. Zestawiłem te wypisy z moich studiów nad historią wojenną jedynie po to, by uwypuklić i podkreślić istotne podstawy «morale» wojskowej, słuszniej wojennej, i wykazać, — że ład i porządek, ścisła organizacja, dobrze zawczasu przygotowana w szczegółach, dobre zaprowiantowanie wojska itd. tymi podstawowymi czynnikami fatalnej «morale» nie są.

Różnica zaś zasadnicza pomiędzy przykładami o numerach parzystych i nieparzystych polega właśnie na tej «moralności». Gdy w nieparzystych wywołuje ona według dowcipnego wyrażenia jednego z francuskich pisarzy wojskowych rozkład organizacji w tył *(une déroute en arrière)*, w parzystych daje takiż rozkład naprzód *(une déroute en avant)*.

To samo mógłbym udowodnić i co do dyscypliny wojskowej i, co prawdopodobnie najbardziejby zaciekawiło czytelników, na armii pruskiej podczas wojny francuskiej, dając zarazem przykłady odwrotne z najbardziej dyscyplinowanej armii w swoim czasie — rosyjskiej podczas wojny japońskiej. Zaprowadziłoby mnie to jednak za daleko w artykule, już i tak mającym za wiele dygresyj. Chcę sądzić, że czytelnik uwierzy mi i tak, iż fatalną siłą, sprowadzającą w czasie wojny klęski na jednych a zwycięstwo na drugich, jest «morale» wojska. Moralność zaś ta jest namiętnością i wiarą, chociażby jedna nic wspólnego z etyką, druga z rozumem i rozsądkiem nie miała.

Gdy kto chce zrozumieć wojnę, radziłbym zawsze studiować te epizody, gdy zwycięzcy w wojnie są zwyciężonymi w danej bitwie czy utarczce, i odwrotnie — zwyciężeni w wojnie są triumfatorami chwilowymi. Najjaskrawiej bodaj wówczas się uwypukla jakościowa różnica pomiędzy walczącymi stronami; najsilniej w oczy się rzuca ogromne tarcie maszyny wojennej u jednych, nawet przy powodzeniu, odwrotnie — łatwość wyjścia z porażek u drugich *).

Dla uwidocznienia więc stanu moralnego wojska tureckiego wybieram momenty, gdy było ono zwycięskim, zatem

*) Pomimo własnej skargi na dygresję ze zrozumiałego uczucia «Schadenfreude», pozwolę sobie przytoczyć przykład wzięcia przez Rosjan wioski Hi-kan-tai. Proszę się wmyśleć w stan rzeczy, że cały korpus armii ze swą artylerią — i to najlepszy korpus — przez cały dzień zdobywa wioseczkę, bronioną przez 3 szwadrony jazdy i pół batalionu rezerwowej piechoty, które to wojsko wreszcie

mogło i musiało mieć najwięcej zaufania do siebie, widząc, że wróg przed nim cofa się pobity.

Pierwszy przykład biorę z wielkiej «bataille de rencontre» — pierwszej bitwy podczas tej kampanii, która się rozegrała 22 października. Na ogromnym froncie niezależnie od siebie, a z powodu złych z obu stron wywiadów i zupełnie prawie niespodziewanie, zetknęły się awangardy obu armij. Wbrew trudnościom, jakie tego rodzaju bój wojsku nastręcza, przewaga na całej linii pozostała wieczorem po stronie gorzej zorganizowanego przeciwnika — po stronie Turków. Dla zilustrowania «morale» wojska nie będę zatrzymywał się na całej linii, wybieram część jej, gdzie «rankontra» — mówiąc po polsku — najbardziej mi przypomniała nasze drobne rankontry na Zamarstynowskich polach, gdy strzelcy, spotkawszy się znienacka o kilkadziesiąt kroków, z niesłychaną brawurą rzucają się z obu stron do ataku lub czynią «taktyczne» oskrzydlenie na 30—50-krokowej przestrzeni.

W okolicy Geczenkli awangarda bułgarska — I batalion 1 pułku i 6-ty pułk z wielkimi stratami przy rankontrze zdobyły dwie baterie tureckie. Turcy ze słabą rezerwową dywizją z Ismidu szli do kontrataku. Boczna osłona Bułgarów — 3 bataliony 1-go pułku — w tym czasie trafiła na zbliżającą się awangardę 3-ej dywizji tureckiej, mniej więcej równie licznej, jak i Bułgarzy. Teren, pokryty wysokimi krzakami, przy niedostatecznych wywiadach, stworzył dla stron obu zupełnie niespodziewane spotkanie. Obie baterie awangardy, od razu ostrzelane ogniem karabinowym, poniosły duże straty. Bułgarzy, szybko rozwinąwszy swe bataliony, z głośnym okrzykiem w szerokiej linii rzucili się na bagnety... i w jednej chwili do tysiąca ludzi padło pod morderczym na tak bliską metę ogniem Turków. Bułgarzy w nieładzie cofnęli się o kilka kilometrów. To samo zaszło i koło Geczenkli. Dywizja Ismid z brawurą poprowadziła atak na osłabionego stratami nieprzyjaciela i, odebrawszy zabrane baterie, odrzuciła go też o kilka kilometrów.

Każdy więc z tureckich żołnierzy widział na tym odcinku pobitego, cofającego się w nieładzie wroga, każdy musiał dostrzec ogromne straty, które pułki bułgarskie w poprzednich atakach poniosły. Setki zabitych nieprzyjaciół zalegały pole,

ustępuje, gdyż, jak raportował major japoński o tym nieszczęściu, «jazda japońska, nie mając bagnetów, nie mogła przyjąć ostatecznej walki». Proszę się wmyśleć w to zwycięstwo rosyjskie, a niechybnie powtórzyć trzeba przy tym tryumfie:

«Próżno, ach próżno! Rany tajemnicze!...»

a posuwanie się naprzód całej linii tureckiej było zupełnie widoczne. Więc zwycięstwo w pierwszym spotkaniu z nieprzyjacielem! Więc ufność do siebie, jako żołnierza lepszego, bitniejszego od wroga! Nie! Nic a nic z tego! «Rany tajemnicze robią swoje!

Tejże nocy, po odniesionym pod wieczór zwycięstwie, dywizja Ismid w dzikim nieładzie i popłochu rzuca się do ucieczki, nie będąc przez nikogo napastowaną. Żołnierze w ciemności strzelają wzajemnie do siebie. Ach! «technicy» mi powiedzą — to rezerwowa dywizja! Nie, sąsiednia 2-ga, czynna dywizja postępuje akurat tak samo. Po dzielnym odparciu nieprzyjaciela w rankontrze pod Süliolu cofa się, a raczej ucieka, w takim samym panicznym nieładzie, jak i ich bracia rezerwiści! Za tym pięknym przykładem idąc, cała armia czyni «déroute en arrière», zmieniając pyszne «korpusy» i «dywizje» w bandy «perakende», błądzące w nocy, opuszczające swych generałów, armaty i sztandary, używające swych karabinów, by strzelać do swoich, bo nieprzyjaciel, otrzymawszy porządne cięgi wieczorem, cofnął się o parę kilometrów i w wielkiej ostrożności okopywał się w tym czasie dla obrony od spodziewanego... ataku Turków!

Czyż można znaleźć jaskrawszy przykład przegranej z powodu niskiego stanu «moralności» wojennej. Bój, zwycięstwo i klęska odbyły się nie na materialnym terenie, nie za pomocą materialnych kul i bagnetów, czy najnowszych wynalazków technicznych — wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia. Jedynie w niematerialnym duchu ludzkim miała miejsce walka, tam starły się pomiędzy sobą słabe «tajemnicze cnoty» żołnierza tureckiego z potężnymi «tajemniczymi ranami» jego «moralności», by dać w rezultacie w jednej chwili bajeczną klęskę pierwszych. Dalsze, materialne już skutki są tylko zwykłym następstwem żywej emocji duchowej, przeżytej przy tym niematerialnym boju.

Weźmy inny przykład, znowu z chwili, gdy Turcy byli zwycięzcami Bułgarów. Jak wywodziłem w poprzednim artykule, po pierwszej przegranej tureccy wodzowie poprowadzili do nowego boju armię o lepszym składzie. Lepszym pod względem moralnym, bo przy ogólnej «déroute en arrière» przy sztandarach pozostali ludzie silniejsi duchem. Zwycięstwo, zwycięstwo chwilowe i nieznaczne, uśmiechało się Turkom tym razem w III korpusie, dowodzonym przez Machmud-Muchtara-paszę. Z jego więc szczerego w tonie dziełka wyjmuję opisy jego »zwycięstw«.

Już pierwszego dnia — 29 października — dywizjoner

Dżemal-bej raportował pomiędzy innymi: «Piechota pod wpływem ognia artylerii nieprzyjacielskiej sama bez rozkazu zaczęła się cofać. Zdążyłem zaskoczyć drogę uciekającym na przedzie i, grożąc rewolwerem, zdołałem znowu ruszyć ludzi naprzód».

Tegoż dnia jeden z pułków podczas boju zaczął się cofać w nieładzie, lecz postawiona przezornie w tyle kawaleria takimiż groźbami zmusiła pułk do zatrzymania się.

Wspólnymi siłami, pomimo tych przykrych incydentów, Bułgarzy zostali nie tylko odparci, lecz, zagrożeni obejściem lewego skrzydła, cofnęli się trochę. Machmud-Muchtar-pasza objechał pułki, winszując im zwycięstwa.

Nazajutrz, 30 października, bój trwa dalej. Turcy atakują. W czasie ataku dywizja Dżemal-beja 4 razy cofa się z boju w «wielkim nieporządku» i dwaj dywizjonerzy za każdym razem gwałtownymi środkami (mit Gewaltmassregeln) prowadzą słabnących żołnierzy naprzód. Jeden z nich raportuje, że z powodu tej pracy «nie ma już siły, by się trzymać na siodle». I tym jednak razem Bułgarzy są zmuszeni do cofnięcia się na nową obronną pozycję.

Nazajutrz, 31 października, trwał słaby bój, z którego daje się wyciągnąć tylko podsumowanie wrażeń przez jednego z generałów:

«Jeżeli z Bożą pomocą III korpus w ciężkich trzydniowych bojach miał powodzenie, to jednak dywizjonerzy i cała komenda korpusu musiała stać w najniebezpieczniejszych miejscach, by przeszkodzić ucieczce żołnierzy. Ale tak trwać nie może! Jest niemożliwym nieprzerwanie grozić ludziom szablą i rewolwerem albo zmuszać dowódców korpusu i wyższych komendantów do znajdowania się stale w pierwszych szeregach dla podniecenia żołnierza».

Następnego dnia — 1 listopada — dwaj komendanci korpusu mieli następującą pracę. Kilka batalionów w kolumnie wchodziło na pagórek, gdy niedaleko pękło kilka granatów. Bataliony przestraszone natychmiast rzuciły się do ucieczki.

«Skoczyliśmy zaraz z całym sztabem na koń i wszyscy z obnażonymi pałaszami wpadliśmy na uciekających, krzykiem i groźbami zmuszając ich do zatrzymania się» — opowiada Machmud-Muchtar-pasza.

Tejże nocy wyczerpała się już cała siła moralna tureckiego żołnierza, a siła fizyczna generałów i pułkowników miała się ku końcowi od ciągłego machania pałaszem i grożenia rewolwerem własnym podkomendnych.

Nastąpiło to, co nastąpić musiało, czego nadludzkim je-

dynie wysiłkiem uniknięto przez 5 poprzednich dni, — nastąpiła generalna, bezładna ucieczka pułków, dywizyj i korpusów, znowu bez pościgu wroga, który po pięciu dniach drobnych przegranych miał też zupełnie dosyć walki i boju.

Czyż te wszystkie przykłady nie mówią dostatecznie silnie, że żołnierz turecki n a m i ę t n i e nie szukał zwycięstwa? Czyż nie dowodzą one, że nawet podczas widocznych powodzeń swego oręża nie w i e r z y ł w jego triumf? Ot, tak odnieść zwycięstwo, jak tego nieraz pragną nasi polscy politycy, debatujący o możliwych i niemożliwych wojnach, z przelaniem p a r u — broń Boże, nie więcej — k r o p e l e k k r w i — o! na toby poszedł turecki żołnierz! Ot, tak, gdyby mu ktoś z a g w a r a n t o w a ł c z y d o w i ó d ł, że zwycięży, ba, możeby się i bił przyzwoicie. Lecz sam z siebie ani chciał się bić, ani w skutek swych usiłowań nie wierzył. I to jest podstawową przyczyną klęsk tureckich.

Głębszy, socjologiczno-historyczny podkład tego zjawiska wymagałby innego rodzaju dociekań, niż te, które znaleźć mogą swe miejsce na szpaltach «Strzelca». Wypowiem jedynie moje pod tym względem wrażenie. Wydaje mi się, że u Turków dzisiejszych pod wpływem wiekowych porażek na każdym polu ich teokratycznego państwa zanikła doktryna m o r a l n a, uczuciowa, która ich ongi pchała do n a m i ę t n y c h bojów o przewagę ekonomiczną i polityczną nad niewiernymi giaurami. Zetknięcie się zaś z Europą, w zamian doktryny moralnej, dawało im jedynie doktrynę rozumową, importowaną, nieprzeżytą, a zatem nie dającą nic dla uczucia. O szkodach, jakie właśnie to europejskie d o k t r y n e r s t w o na polu wojennym Turkom wyrządziło, — innym razem.

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ

IV. Przyczyny porażek tureckich.

W poprzednim artykule starałem się przedstawić podstawową przyczynę klęsk wojska muzułmańskiego. Jest nią dla mnie niski stopień «morale» wojennej, to jest brak namiętnego dążenia do zwycięstwa i słusznej czy niesłusznej wiary w powodzenie swego oręża. Wobec akurat odwrotnych cech żołnierza bułgarskiego porażki były niezmienione. Stawiało to od razu armię sułtana w ciężkie położenie, które mogłoby do pewnego stopnia być złagodzone przez surogaty zasadniczej »moralności« wojennej — przez ład, porządek, wewnętrzną

dyscyplinę wojskową, przez dobre wyposażenie techniczne, wreszcie przez liczbę wystawionego wojska. Historia wojenna zna mnóstwo przykładów, gdy te surogaty wystarczały dla odniesienia ostatecznego zwycięstwa. Dosyć przypomnieć z najświeższych dziejów wojnę anglo-burską, by mieć sprawdzian takiej supozycji.

Nieszczęście jednak tureckie chciało, że wojna zastała armię podczas jej reorganizacji, gdy nowe, importowane zasady nie zdążyły wnieść do wojska to, co było w nich dobrego, a już potrafiły zniszczyć istotną wartość tego, co było przed reformami. Więcej nawet, reformatorski zapał był tak wielki — we wszystkich zresztą dziedzinach życia — że wytworzył w umysłach doktrynerstwo, idące zwykle w parze z fikcyjnymi, nierealnymi wyobrażeniami o rzeczach i stosunkach. Prawdopodobnie doktrynerstwo zostało wzmocnione jeszcze i przez to, że nauczycielami u Turków byli Niemcy, którzy w każdej dziedzinie mają na eksport doktryny i doktrynki wszelkiego gatunku. Sądzę, że doświadczenie tureckie jest pod tym względem dosyć pouczającym dla nas, początkujących militarystów, którym ciągle grozi niewolnicze naśladownictwo wzorów gotowych, a najzupełniej niedopasowanych do warunków naszej wojny. Przede wszystkim tyczy się to systemu organizacyjnego.

W Turcji zaaplikowano żywcem system niemiecki, powiedzmy europejski, tak, jak u nas są stałe tendencje do małpowania armii regularnej, chociaż sama zasada tworzenia wojska — ochotniczego — nic nie ma wspólnego z przymusem prawnym, istniejącym dla armii regularnej. I w jednym, i w drugim wypadku w rezultacie muszą wypadać fikcje zamiast rzeczywistości i biada tym, którzy, jak Turcy, zaufają swym papierowym armiom, mobilizacjom, korpusom czy nawet kompaniom.

Więc przede wszystkim zgodnie z zasadami europejskimi wprowadzono do Turcji powszechną służbę wojskową i całe państwo pokrajano na terytorialne odcinki, odpowiadające ilości tworzonych korpusów. Wypadło tego aż 24, chociaż, jak dowcipnie wyraził się jeden z pisarzy, w całym wojsku tureckim nie było, być może, i 4 generałów, zdatnych do dowodzenia korpusami. Nie wzięto przy tym pod uwagę braku odpowiedniej sieci dróg i komunikacyj, nie rachowano wcale, iż część europejska państwa posiada mnóstwo ludności chrześcijańskiej, niepewnej pod względem usposobienia, a dotychczas niepociąganej do służby w wojsku. System ten potrzebował długich lat pracy i życia spokojnego, by zaczął da-

wać rezultaty (vide Japonia), by wykształcić i przygotować, jak to jest w Europie, tysiące i tysiące rezerwistów, zapełniających kadry przy mobilizacji. Odpowiednio do takiej organizacji całą ilość żołnierzy na służbie czynnej podzielono na kadrowe bataliony, pułki i dywizje, które z natury rzeczy, osobliwie wobec kłopotów finansowych, nie były liczne. Słabe kadry, liczna rezerwa nie są warunkami dobrymi do prowadzenia wojny i nie dają stałości jednostkom organizacyjnym. Cóż dopiero, gdy wojna nadeszła w chwili, gdy ta rezerwa była bardzo mało, a często wcale nieszkolona i kształcona. Tym czasem zaś zdezorganizowano, co prawda, wcale nieeuropejskie wojsko o charakterze dawnych armij z długoletnią służbą wojskową, prawie zawsze koncentrowaną w punktach najbardziej zagrożonych.

Jeżeli dodamy do tego ogromną powolność mobilizacji, wynikającą z braku komunikacji w kraju i przysłowiowo niesprawnej administracji cywilnej w Turcji, to z konieczności otrzymamy najzupełniej papierową organizację wojenną. Przy poruszeniu tej maszyny, zamiast oczekiwanych korpusów, dywizyj i batalionów wypadały całkiem fikcyjne jednostki — korpusy o sile dywizji, dywizje o sile pułku, bataliony o znaczeniu kompanii. Wszystko zaś o niezmiernie słabych kadrach, rozwodnionych często bezwartościową zbieraniną, przykładającą przy strzelaniu kolbę karabinu do czoła lub nie rozumiejącą, po co ludziom do boku przyczepiono łopatkę, gdy nie są ogrodnikami, a szczerymi żołnierzami.

Jeszcze gdyby w tym liczbowym dyskwalifikowaniu jednostek wojskowych była jakaś prawidłowość, byłoby pół biedy. Niechby sobie kompania przybierała szumne miano, chociażby «armii», jeśli to jej dodaje otuchy; lecz korpusy, dywizje i pułki tureckie były o tak rozmaitym stanie liczbowym, że z konieczności zatracać się musiała wszelka pod tym względem orientacja. Bezwiednie też, albo z naiwną wiarą, wkładano na te jednostki wojskowe obowiązki, odpowiadające ich nazwie, lecz zupełnie niezgodne z ich stanem istotnym. W całej korespondecji wojskowej nie znalazłem ani śladu, by się starano oddzielić fikcję od rzeczywistości. Dywizję po prostu nazywano dywizją, chociaż liczyła mniej żołnierzy, niż pułk. W jednym tylko wypadku komendant II korpusu, widocznie ostrożniejszy od innych, komunikując koledze z III korpusu o ruchach jednej ze swych dywizyj, stawia w nawiasie i liczbę żołnierzy — 2 tysiące.

Fikcyjność wyobrażeń była tak silną, że zarażała nawet zdolniejszych z pomiędzy wodzów tureckich. Do nich bez-

sprzecznie należał komendant III korpusu, Machmud-Muchtar-pasza. Pułk kawalerii, przyłączony do jego korpusu po odkomenderowaniu jeźdźców do sztabu, liczył raptem aż 80 ludzi. Na «pułk» ten włożono obowiązek ochrony prawego skrzydła i wywiadu na tył nieprzyjaciela. W ciągu zaś bitwy, gdy się sformowała luka parukilometrowa pomiędzy dywizjami w środku pozycyj tureckich, temuż «pułkowi» posłano dodatkowy rozkaz utrzymania łączności pomiędzy dywizjami. Tenże Machmud-Muchtar-pasza po odniesionym, nie powiem zwycięstwie, lecz korzyściach nad Bułgarami, w bitwie pod Lülie-Burgas został mianowany komendantem «wschodniej armii» z trzech korpusów — III, XVII i XVIII — liczących razem w tej chwili najwyżej 20 kilka tysięcy ludzi. Pasza natychmiast myśli o sformowaniu sobie nowego sztabu «armii», nie chcąc pozbawiać takiegoż sztabu swego poprzedniego III «korpusu».

Znowu przez «podobieństwo» życia zjawiska te przypomniały mi i «umarłych ojców» i «żywych braci». Ta sama chęć przykrycia słabości szumnymi nazwami, zabawy w «korpusy» i «armie», połączona z fikcyjnym życiem bez umiejętności patrzenia jasno i twardo w oczy ciężkiej rzeczywistości, nagiej, nieubranej w barwne szaty prawdzie.

Taka sama doktrynerska organizacja, raczej dezorganizacja, została zastosowana i do korpusu oficerskiego. Niepodobna było znaleźć dostatecznej ilości po europejsku wykształconych oficerów nawet dla zapełnienia sztabów owych 24 korpusów z odpowiednią ilością dywizyj, cóż dopiero mówić o samym wojsku. Lecz oprócz tego zaczęto usuwać z wojska mnóstwo słabo wykształconych oficerów — często prawie niepiśmiennych — którzy jednak z armią się zżyli i stanowili w niej swoisty żywioł, stanowiący o wspólnocie pojęć i życia oficerów i żołnierzy. Niechybnie do dezorganizacji i braku dyscypliny wewnętrznej w wojsku przyczyniły się ogromnie ustawiczne rewolucje i kontrrewolucje tureckie, które raz po raz wyrzucały na bruk lub za granicę kraju wojskowych stronników tego czy innego rządu. Przede wszystkim jednak, zdaniem moim, zaszkodziło armii w tej wojnie usunięcie z niej tego, co stanowiło o spoistości wojska, o jego jednolitości, o związku i współżyciu pomiędzy oficerem a żołnierzem.

A pod tym względem najbardziej obcymi ludowi, z którego składała się armia, byli bez wątpienia zeuropeizowani doktrynerzy liberalizmu — młodo-turcy. Gdyby ich doktryna, zamiast być myślową jedynie, dała znacznej części ludu doktrynę moralną — uczucie, namiętność, jak to było np. w wielkiej francuskiej rewolucji, byłoby co innego. Lecz w tym wy-

padku europeizacja armii mogłaby była dać rezultaty tylko po dłuższym czasie, przy przyzwyczajeniu żołnierza — syna ciemnego ludu — do współpracy z oficerem — inteligentem europejskim. Wobec tego zaś, że wojna wybuchła w samym początku reformowania starej Turcji, żołnierz pozostać musiał bez wszelkiej orientacji uczuciowej w stosunkach z oficerami. Nie rozumiejąc i nie odczuwając ustawicznych zmian, dokonywanych dokoła, stracił naturalną podstawę myślenia, która dotąd mu wystarczała w postaci nadanego fatalizmu synów proroka Wschodu. Nie wiem, czy armia turecka byłaby zwyciężyła w poprzednim swoim składzie, jestem jednak pewien, że okazałaby daleko więcej spoistości i wytrzymałości w nieszczęściu, gdyby jej nie tknęła ręka Europy, niosąc jej w darze doktrynerskie fikcje, w które wierzono z podziwu godną naiwnością.

Takie same nie wżycie się reform i niedostosowanie do specyficznych warunków życia tureckiego okazały się i przy zorganizowaniu wszelkich pomocniczych funkcyj wojennych. Więc artyleria — zrobiono, co najłatwiejsze: uposażono owe 24 korpusów w odpowiednią ilość dział. Nie urządzono tego, co trudniejsze — parków amunicyjnych i dobrej dostawy ładunków. Skutek jasny: ogromna masa bateryj prowadzić mogła bój tylko przez czas pewien, potem zaś stawała się raczej zawadą, niż pomocą i, naturalnie, przy odwrocie wyzbywano się jej, rzucając na pastwę nieprzyjaciela. Więc najtrudniejsza do sformowania organizacja administracyjna — intendantura, etapy, cały tył operującej armii. Polegano na kolei, którą rządzić umiejętnie nie umiano, zaniedbano zaś bardziej prymitywne środki, zgodne z pojęciami i życiem Azjatyków. Więc np. Bułgarzy zmobilizowali dla potrzeb armii wszystkie pociągowe woły, wprzęgając je zarówno do ciężkich, oblężniczych dział, jak do wozów z nabojami czy prowiantem. Turcy zaś, oparłszy dostawy na «europejskiej» kolei żelaznej, doczekali się tego, że gdy działa i karabiny wielkim głosem wołały o naboje, dziesiątki wagonów z ładunkami stały zatracone gdzieś o kilkanaście kilometrów na szynach; gdy żołnierze ginęli od głodu, «europejskie» konserwy również ginęły gdzieś w bezładzie kolejowym, wpadając potem w ręce Bułgarów lub ulegając zniszczeniu przy odwrocie.

W dziedzinie taktycznej spostrzeżemy u Turków takie same naiwne doktrynerstwo, połączone z fikcyjnością pojęć o pracy wojennej. Któż z najbardziej nawet początkujących militarystów nie zna doktryny o przewadze napadu nad obroną, ofensywy nad defensywą. I oto głównodowodzący Na-

zim-pasza pędzi niedoorganizowane hordy tureckie, nie posiadające żadnej pewnej bazy za sobą, do napadu. Turcy wychodzą z fortyfikowanych pozycyj, aby mozolnie i bezładnie zrobić jednodniowy marsz naprzód jedynie po to, żeby się nie dać uprzedzić w ofensywie Bułgarom, żeby, broń Boże, nie zostać na fortyfikowanej linii Kirk-Kilisse—Adrianopol w defensywie. Dwa dni pracy organizatorskiej, najpotrzebniejszej w tej chwili dla armii tureckiej, stracone; wojsko zdezorganizowane już samym marszem bojowym; dostawa wszelkich potrzebnych przedmiotów utrudniona, pogorszone samopoczucie żołnierzy, którzy może dzielniej by się bili w okopach, — oto wszystko skutek doktrynerstwa. A gdy się czyta o raportach poszczególnych generałów i pułkowników, o ustawicznym rozstrzyganiu zadań w duchu ofensywy przy stałym cofaniu się i ucieczce przed nieprzyjacielem, doprawdy i żal mi było, i śmiech mię brał z tych nieszczęsnych dowódców «perakende» armij, wierzących naiwnie w puste słowa, którymi uporczywie zasłaniano sobie oczy od smutnej rzeczywistości.

I gdyby mi kazano w krótkich słowach sformułować nauki, dla nas płynące z klęsk tureckich, odpowiedziałbym: precz z wszelką fikcją organizacyjną, — precz z wszelką doktryną wojenną! Bić się i zwyciężać można w najtrudniejszych warunkach, wyjść udaje się nieraz z najcięższego położenia, lecz dla tego trzeba namiętnie tego pożądać i jasno patrzeć, choćby w najczarniejszą prawdę, nie upiększając jej żadną fikcją i fantazją.

ORZECZENIE

W zeszycie 1 «Strzelca» ogłoszony został przez redakcję konkurs na rozwiązanie zadania aplikacyjnego nr 1. O wydanie orzeczenia poproszony został Józef Piłsudski, który opublikował je w zesz. 3 «Strzelca» z czerwca 1914 r.

Byłem zaproszony przez redakcję «Strzelca» do rozstrzygnięcia konkursu na rozwiązanie zadania aplikacyjnego, pomieszczonego w nrze 1 pisma. Podając niżej sąd mój i ocenę, uważam za swój obowiązek przedstawić czytelnikom sposób mego postępowania, jako sędziego, i motywy orzeczenia. Uważam to za potrzebne, gdyż ogromna część autorów przez sam sposób rozwiązywania zadania usuwała swoje prace spod poważnej oceny. Mianowicie, wielu z nich odniosło się do rze-

czy, jak do rozwiązania szarady czy zagadki, wysilając się na odgadnięcie jedynej jakoby możliwej decyzji podpułkownika B., która w supozycji istnieć musi w głowie czy to autora zadania, czy sędziego konkursu.

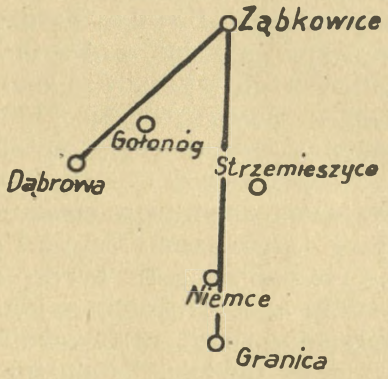
Rzadko zdarza się na wojnie, aby istniała wyraźna konieczność jedynego jakiegoś rozstrzygnięcia, a i w tym wypadku szczegóły mogą być rozmaite. W wypadku zaś szczególnym, jaki nam został dany przez założenie zadania aplikacyjnego nr 1, podpułkownik B. miał bardzo szerokie pole dla wyboru swej decyzji, nie będąc w niczym związanym przez swym przełożonych, a względnie bardzo mało przez nieprzyjaciela. Tym czasem autorzy rozwiązań, którzy przystąpili do pracy według systemu szaradowego, wysilając się na o d g a d n i ę c i e jedynego jakiegoś ukrytego rozwiązania, najczęściej nie zmusili siebie do przepracowania w szczegółach wyników swej decyzji i poza samą decyzją i mniej lub więcej szeroką motywacją nie dali nic, albo bardzo mało.

Przede wszystkim więc usunąłem z konkursu wszystkie prace, które nie dały odpowiedzi na którekolwiek z pytań, postawionych przez autora zadania. Usunąłem je jako nie odpowiadające wymogom konkursu.

Następnie zostały usunięte i te prace, które dawały w i ę c e j, niż tego wymagało zadanie. U autorów takich rozwiązań decyzje podpułkownika B. nie ograniczają się jedynie decyzją i zarządzeniami o godzinie 10.30 wieczorem, czy w najbliższych po tej chwili minutach. Idą oni dalej w przyszłość i nieraz drobiazgowo opisują działania oddziału w ciągu całej nocy, a nawet nazajutrz rano. Wyznam, że osądzenie takich rozwiązań wymyka się najzupełniej spod mojej skromnej kompetencji, ograniczonej ramami danych o działaniach nieprzyjaciela do godziny 10.30; nie mogłem iść za autorami, którzy nie wiadomo dlaczego, nie krępując siebie, krępowali w swych myślach działania nieprzyjaciela. Naturalnie, że autorowie takich rozwiązań stwarzać musieli założenia nowe, przez zadanie nr 1 nie dane, i w tej «historii przyszłości», tak zgubnej dla każdego wodza w ogóle, a wodza małych oddziałów w szczególności, mogli postępować źle czy dobrze, ale na własną odpowiedzialność, wymykającą się spod mego sądu i opinii. Dodam, że niektóre z takich rozwiązań usuwałem z konkursu z żalem, gdyż skąd inąd miały one wiele cennych i dobrych stron i szczegółów.

Resztę prac przedstawionych oceniałem w sposób następujący. Do czterech pytań, danych przez zadanie, dodałem jeszcze punkt dodatkowy: formę rozstrzygnięcia zadania.

W pracy wojennej każdego naczelnika zarządzenia, wynikające z decyzji powziętej, muszą wylewać się w formę wyraźnego rozkazu dla podwładnych. Każde więc z pięciu pytań kwalifikowałem notą cyfrową, oznaczającą ilość punktów, otrzymanych przez rozwiązującego zadanie.



Przy tym brałem pod uwagę w pytaniu 1-szym (decyzja i motywy) przede wszystkim jedność motywacji — ogromna np. większość rozwiązujących zadanie pomijała w motywacji wszystkie albo niektóre ciemne strony swego położenia, jak to: brak kontaktu z siłą główną, niepewność rezultatów boju pod Dąbrową i możliwość działań ze strony odpartych ku wschodowi kompanij czerwonych. W pytaniach 2, 3 i 4 szło mi o logiczny związek decyzji z zarządzeniami, brak opuszczeń w stosunku do poszczególnych jednostek podwładnych, rozrzucanie sił własnych, względnie małych, wreszcie błędy taktyczne wykonania. Co do formy wreszcie, bezlitośnie dyskwalifikowałem wszelkie «zrobiłbym», «powiedziałbym», wszelkie opisy, zamiast wyraźnych rozkazów.

Decyzje wszystkie — z wyjątkiem jednej, o której niżej — wypadły zgodne z sytuacją i zamiarami autora: przerwanie komunikacji telegraficznej i kolejowej w okolicy Ząbkowic i atak nocny lub o świcie na Ząbkowice lub Gołonóg. Chociaż osobiście wolałbym Gołonóg, nie brałem pod uwagę mego osobistego rozwiązania przy kwalifikacji, uważając, że atakowanie Ząbkowic jest rozstrzygnięciem, dopuszczalnym w zupełności.

Przy takiej ocenie najwięcej punktów otrzymały prace, podpisane jak następuje:

1) ob. Herwin (Kraków) [1]),
2) ob. Ferdynand (Kraków) [2]),
3) ob. Brzoza (Stanisławów) [3]),
4) ob. Iskra (Lwów) [4]).

Pracę jednak ob. Herwina, najpełniejszą i najlepiej ułożoną, zdyskwalifikowałem w zupełności, dla powodów następujących.

Ob. Herwin, rozgniewany na autora zadania, że nie nawiązał w ciągu całego dnia kontaktu z siłami głównymi pod Dąbrową i stracił czucie z nieprzyjacielem, odpartym na wschód, prawdopodobnie pod Sławków, oraz za to, że «sugerował» atak na Ząbkowice, na przekorę mu rozwiązał zadanie w ten sposób, że nakazał oddziałowi podpułkownika B. iść rano na pomoc głównym siłom pod Dąbrowę. Decyzję tę rozwiązał konsekwentnie w dobrze ułożonych rozkazach dla oddziału. Zarazem jednak motywacja zamiaru podpułkownika B. dopuszcza i atak nocny, nawet podaje, nierozwinięte zresztą w rozkazach, sposoby jego wykonania.

Wobec polemiczności zatem samej pracy i dwoistości rozwiązania (chociaż nierozwiniętej w szczegółach) nie mogłem się zdecydować na przysądzenie jej nagrody. Pozostała mi zatem ostateczna kwalifikacja:

1) ob. Ferdynand (Kraków),
2) ob. Brzoza (Stanisławów),
2) ob. Iskra (Lwów).

Dodam, że projektu rozwiązania, przedstawionego poza konkursem przez autora założenia, nie brałem najzupełniej w rachubę.

---

[1]) Herwin — Kazimierz Piątek, oficer Związku Strzeleckiego. Zginął pod Żernikami w czerwcu 1915 r. jako porucznik I brygady L. P. Po śmierci mianowany przez Piłsudskiego kapitanem.

[2]) Ferdynand — Ksawery Stefański, uczeń Szkoły Oficerskiej Zw. Strzeleckiego.

[3]) Brzoza — Ottokar Brzezina, oficer Zw. Strzel., późniejszy komendant 1 pułku artyl. Legionów.

[4]) Iskra — Zygmunt Molenda, uczeń szkoły podof. Zw. Strzel. Zginął jako sierżant I brygady L. P. pod Wysokiem-Litewskiem w 1915 r.

ROZKAZ OKÓLNY
W SPRAWIE ĆWICZEŃ WIOSENNYCH

Rozkaz ten został wydrukowany w zeszycie 3 «Strzelca".

Z wiosną rozpoczyna się okres ćwiczeń taktycznych w polu, wobec czego uważam za potrzebne wskazać najczęściej spotykane błędy, które nieraz czynią ćwiczenia mało instruktywnymi.

1. Rozciągłość frontu: Zwykła choroba naszych ćwiczeń, osobliwie zgubna dla jednostek małych, w których niestety grupują się nasze ćwiczące oddziały. Raz nareszcie zniknąć powinny z naszej praktyki wypadki zajmowania przez setkę ludzi przestrzeni, którą zająć mogą jedynie bataliony, pułki czy brygady. Wszelkie błędy pod tym względem odzwyczajają żołnierza od realnego stosunku człowieka i zorganizowanych grup do przestrzeni, co stanowi bodaj najistotniejszą część sztuki wojowania. Przy konieczności zajmowania większej przestrzeni, lepiej używać markowania sąsiednich oddziałów, niż zmuszać ludzi do pracy w nieodpowiednich warunkach co do przestrzeni, gdyż z musu zatraca się wszelką łączność i niknie harmonijne współdziałanie poszczególnych członków danej formacji wojskowej.

2. Patrole wywiadowcze: Dotąd rzadko widziałem ćwiczenia, gdzie decyzja naczelnika bojującej strony opierała się na skutecznej pracy patroli wywiadowczych, pracy najpoważniejszej, jaka istnieje dla podoficerów. Również często spostrzegałem patrole piesze, wysyłane tak daleko, jak gdyby miały skrzydła, lub co najmniej konie, dla realnej obsługi oddziału, który je wysłał. Pamiętać trzeba, że najlepsza wiadomość nic nie jest warta, gdy nie jest w porę dostarczona. Na pracę patroli przy ćwiczeniach polecam zwracać baczną uwagę.

3. Przystosowanie się do terenu: Jeżeli zauważyć się daje duży postęp w taktycznym wykształceniu żołnierza, to niestety ze zrozumiałych powodów — braku dostatecznej ilości ćwiczeń w polu — wykształcenie to jest dotąd zanadto formalnym, za mało ma związku z terenem i umiejętnością dostosowania swych czynności do żywej rozmaitości szczegółów terenowych. Widziałem nawet w stołecznych oddziałach sekcje i plutony, rozpoczynające ogień jedynie dlatego, że sąsiednie oddziały ogień rozpoczęły, chociaż przed sobą miały pagórek, zasłaniający im wszelki widok na nieprzyjaciela. Niekorzystanie zaś z załamów gruntu, podstawia-

nie flanków na ogień nieprzyjacielski itp. rzeczy spotyka się wielekroć przy każdym ćwiczeniu. Przy omawianiu ćwiczeń błędy takie powinny być wytknięte i wytłumaczone żołnierzom.

4. Marsze. Marsz stanowi zawsze nieodłączną część każdego ćwiczenia, tak jak będzie na wojnie stanowił jeden z najpoważniejszych działów pracy każdego oficera i szeregowca. Wobec tego zwracać należy baczną uwagę na sposób, w jaki się marsz odbywa i nie traktować go lekceważąco. Kierownicy ćwiczeń muszą umieć zainteresować ćwiczących marszem, jako ćwiczeniem, głównym zaś ku temu sposobem jest zwracanie nań uwagi wszystkich, od oficera począwszy, a kończąc na rekrucie. Polecam więc, by przy omawianiu ćwiczenia kierownicy i referenci przed omawianiem manewru i boju zawsze omawiali sam marsz bez względu na to czy był ubezpieczony, czy tylko podróżny.

5. Szeregowcy i rekruci podczas ćwiczeń. Niejednokrotnie zauważyłem, że ćwiczenia, zamiast być szkołą dla szeregowców, są dla nich przyjemną czy nieprzyjemną wycieczką, z której korzystają bardzo mało. Dzieje się to głównie ze względu na to, że oficerowie za mało poświęcają uwagi sprawie wytłumaczenia żołnierzom zadania, które mają spełniać, przejmując się więcej własną osobą i swymi czynnościami. Nie mogę pozwolić na to, by żołnierze stawali się jedynie mięsem manewrowym, a oficerowie usuwali się od pierwszego i głównego swego obowiązku uczenia żołnierza w polu. Pamiętać trzeba, że w naszych warunkach dobrym oficerem będzie ten jedynie, który potrafi szybko i zarazem dokładnie wytłumaczyć zupełnie nieraz świeżemu żołnierzowi pracę wojenną w polu. W tym usilnie ćwiczyć się należy. Polecam więc: przy omówieniu ćwiczeń, przed zabraniem głosu przez dowódców oddziałów mają być wywoływani najświeższi szeregowcy i ci mają odpowiadać na pytania: a) jakim było zadanie całości oddziału, do którego należeli i na jakie części oddział był podzielony, b) jaką była rola sekcji, plutonu czy kompanii, do której należeli, c) co spostrzegli w czasie manewru z działań sąsiednich oddziałów i przeciwnej strony. Dopiero po oświetleniu pracy ćwiczeniowej przez rekrutów, przystępować do omówienia jej przez dowodzących i referentów.

Lwów, 16 maja 1914. J. Piłsudski mp.

ZUŻYWANIE AMUNICJI

Artykuł p. t. «Zużywanie amunicji» opublikował Józef Piłsudski w zeszycie 4/5 «Strzelca» podpisując go inicjałami J. P.

Rozwój nowoczesny broni palnej wytworzył dwie główne sprzeczności, z których wyjście jest nadzwyczaj trudnym. Pierwsza z nich to wymaganie, że się tak wyrażę, precyzyjności człowieka dla obsługi, a raczej kierowania precyzyjnym narzędziem, jakim się stał nowoczesny karabin czy armata. Brak tej precyzyjności człowieka bodaj jest główną przyczyną zjawiska, z którym różni pacyfiści à la Bloch [1]) rady sobie dać nie mogą — mianowicie, że wraz z rozwojem broni palnej straty w ludziach zamiast się zwiększać, zmniejszają się stale. Zgodnie z naukami «technicznego» wieku chciano i w pracy wojennej widzieć maszyny — ostatnie słowo techniki — przemawiające same, z niewielkim dodatkiem do nich człowieka, działającego jedynie, jako «sługa» maszyny, nie zaś jej rozumny i świadomy kierownik. W skutku też doczekano się, że precyzyjne i przemyślne maszyny dały znacznie niższe «żniwo śmierci», niż dawne, że tak powiem, «chamskie» narzędzia.

Nie chcę tym razem zastanawiać się dłużej nad tą kontrowersją, pomimo, że jest ona jednym z najbardziej istotnych zagadnień wojen nowoczesnych. Ograniczę się w tej sprawie jedynie spostrzeżeniem, uczynionym przeze mnie przy inspekcjach różnych oddziałów strzeleckich. Jednym z najczęstszych moich pytań po mustrze taktycznej jest: — «po co się odbywają takie dziwaczne ewolucje, jak rozbieganie się po polu w luźnym szeregu z pozostawieniem przestrzeni wolnej pomiędzy ludźmi?» Najczęstszą odpowiedzią, którą słyszałem od naszych żołnierzy, była: «po to, aby choć część kul nieprzyjacielskich przechodziła pomiędzy nimi i aby w ten sposób zmniejszyć straty przy podsuwaniu się pod nieprzyjaciela».

Odpowiedź ta jest nadzwyczaj charakterystyczna. Jest to bezwiedny hołd, oddany «mechanicznym» teoriom ubóstwiania «wszechpotężnej maszyny», nie człowieka, jej skromnego sługi i niewolnika. Pomimowoli przypominają mi się wówczas różne «pola absolutnej śmierci», matematycznie «ściśle obliczone» działanie kul karabinowych i szrapnelowych na

[1]) Jan Bloch, autor głośnej książki p. t. «Przyszła wojna», w której uzasadniał niemożliwość wojny europejskiej ze względu na gwałtowny rozwój techniki wojennej i możliwość zupełnego, wojennego wytępienia się narodów.

polu bitwy itp., «disons le mot», bzdury z czasów Blocha i «technicznych» pacyfistów. Zarazem jednak przypominają mi się słowa dowcipnego i już istotnie «technicznego» obserwatora wojny japońskiej, generała Hamiltona [1]).

Opisując atak brygady generała Okasaki na wzgórze «Tera-yama» w bitwie nad Sza-ho, generał Hamilton czyni obserwację, że zdziwiło go niezmiernie, gdy zobaczył gęstą linię tyralierską Japończyków, biegnącą do pozycyj rosyjskich wśród kurzu, podjętego przez ogromną masę kul rosyjskich i gdy nie mógł dostrzec większej ilości ludzi, padających na polu bez powstania. «Zdawało się, — pisze Hamilton, — że większość kul, jakby umyślnie, wybierała wolną przestrzeń pomiędzy żołnierzami, by ich nie zaczepić i nie zranić». I po daniu tej uwagi, zgodnie z «mechanicznym» pojmowaniem wojny, dodaje ironiczną, lecz całkiem «techniczną» obserwację: «Tak bywa zawsze, gdy wojsko ź l e s t r z e l a».

Drugą sprzecznością, tkwiącą w nowoczesnej broni, jest wzrost jej szybkostrzelności, wzrastający «głód» nabojów podczas bitwy. Precyzyjne narzędzie śmierci — karabin — spotrzebowuje w porównaniu z przeszłym «chamskim» karabinem takie mnóstwo ładunków, a bez nich staje się takim niewinnym i wcale nieprecyzyjnym drągiem, że kwestia dostarczenia pożywienia — ładunków — tej wiecznie głodnej bestii staje się w obecnych czasach pierwszorzędną dla każdego, kto o sprawach wojny myśli. To też z musu obciąża się armie wozami z ładunkami, które zmniejszają znacznie zdolność wojska do ruchu i manewru; to też obciąża się nabojami żołnierza z ryzykiem zrobienia go cięższym do manewru, lub pozbawiając go innych, nieraz bardzo mu potrzebnych do życia, przedmiotów.

Najciężej sprawa ta się przedstawia dla wojska przy ofensywie, gdzie od żołnierza i oddziału wymaganym jest właśnie ruch i manewr. Przy obronie — defensywie — względnie łatwym jest obsłużyć żołnierza, nie obciążając go wcale, chociażby kładąc przy nim całe fury nabojów; przy ataku zaś żołnierz przez długi czas pozostawiony jest z tym, co ma przy sobie, a wszelkie dostarczenie mu czegokolwiek do linii ognia jest bardzo niepewnym, wobec ogromnych technicznych przeszkód. Bardzo często dopiero wieczór, pokrywający wszystko mrokiem, pozwoli linii tyralierskiej uzupełnić amunicję.

---

[1]) Jan Hamilton, gen. ang. ur. w 1853. W czasie wojny ros.-jap. był w Mandżurii obserwatorem wojskowym i pozostawił w tego okresu cenne i interesujące pamiętniki.

Dlatego też oszczędzanie amunicji jest dla strony atakującej nieledwie prawem.

Niezwykle ciekawymi są w tej sprawie dane z historii wojennej. W francusko-niemieckiej wojnie 1870 r. Francuzi wyzyskiwali zawsze w ogromnym stopniu dalekonośność i szybkostrzelność swych karabinów, zadając nieraz ciężkie straty Niemcom jeszcze wówczas, gdy ci, nie posiadając równie dobrej broni, nie potrafili dać ani jednego strzału do nieprzyjaciela. To przymusowe często sknerstwo ognia łączyło się jak najdokładniej ze stałą ofensywą — i dodajmy — zwycięstwem Niemców. W wojnie japońskiej liczby wystrzelonych naboi w obu walczących armiach były całkiem niewspółmierne. Gdy Rosjanie nieraz w przeciągu jednego dnia dawali po 300, 400, nawet 500 strzałów na karabin, Japończycy w swej ofensywie potrafili się ograniczyć do takiejże liczby w przeciągu 6—8 dni długich bojów pod Mukdenem czy nad Sza-ho. W ostatniej wojnie bałkańskiej w armii tureckiej były stałe skargi na brak nabojów, które z błyskawiczną szybkością znikały, gdy zostały dostarczone na linię ognia. I tu również nie były rzadkimi wypadki, gdy w ciągu dnia na karabin wypadało nie mniej, niż 500 ładunków.

Przytoczone przykłady z pewną złośliwością stwierdzają niesłuszność «mechanicznych» teoryj wojny, dając zawsze zwycięstwo nie tym, którzy abnegacko zaufali potędze «maszyny», ilości i wadze wyrzuconego przez nich ołowiu. Co do mnie, nie wchodząc wcale w ocenę tej teorii, śmiem twierdzić jedynie, że dla wojska takiego, jak Francuzi, Rosjanie i Turcy w ubiegłych wojnach — ofensywa jest niemożliwa już z powodu absolutnego niepodobieństwa połączenia ruchu naprzód pod ogniem nieprzyjacielskim z dostawą wielkiej ilości przedmiotów i ciężarów do linii ognia. Bez niej zaś żołnierz, wystrzelawszy swe naboje i zostawszy z całkiem nieprecyzyjnym drągiem w ręku, zatrzyma ofensywę z pobudek czysto moralnych.

Dla zilustrowania zużywania amunicji przytoczę tu przykład z wojny japońskiej. Armia Oku [1]) w bitwie nad Sza-ho miała zadanie na wskroś ofensywne, tj. była ciągle w ruchu i manewrze. Przez sześć dni boju żołnierze wystrzelali na karabin po 127 ładunków. To znaczy, że przez sześć dni armia ta mogła się obyć nawet bez dodatkowego zapasu naboi z pułkowych i batalionowych wózków ładunkowych. Wystarczy-

[1]) Oku Jasukata, gen. japoński (1849—1930), dowódca 2 armii w Mandżurii w czasie wojny ros.-jap.

łoby jej dla odniesienia zwycięstwa to, co żołnierz nosi na sobie podczas marszu «podróżnego» — 120 naboi. Z działań armii Oku pozwolę sobie przedstawić szczegółowe dane dla jednego epizodu z tej bitwy, które szczęśliwym a rzadkim w historii wojennej trafem są zebrane przez jednego z attachés angielskich. Cyfry, podane przez niego, są nadzwyczaj wymowne i z zupełną słusznością da się o nich powiedzieć, że «cum tacent clamant».

Idzie mi o atak dwóch batalionów 34-go pułku i 6 p. p. (3-cia dywizja), atak, dokonany 12 października na ufortyfikowaną wieś Szi-li-ho. W nocy każdy z batalionów wysłał po 2 kompanie, które okopały się w odległości 1250 kroków od pozycji rosyjskiej. Nazajutrz — 12 października skrajne prawe skrzydło rosyjskie zostało złamane przez 6-tą i część 4-tej dywizji. Gdy zaś Rosjanie na zwycięską linię japońską skierowali silny kontratak VI sybirskiego korpusu, nastąpiło o godzinie 3 po południu wyjście oddziałów japońskich ze swych okopów dla ataku Szi-li-ho. Wobec tego, że wioska ta i okopy rosyjskie były silnie ostrzeliwane przez artylerię japońską, linia tyralierska zdążyła przebiec około 150 kroków, nim została dostrzeżoną i ostrzelaną przez Rosjan. Po przebiegnięciu dalszych 30 kroków linia tyralierska rozpoczęła ogień. Dalszą historię przedstawiają następujące cyfry, które wyjmuję z raportu oficerów sztabu generalnego angielskiego, podpułkownika A. L. Haldane, attaché brytyjskiego przy drugiej armii japońskiej *):

Długość skoków linii tyralierskiej	Ilość wystrzelonych naboi na karabin
180 ×	30
78 »	15
84 »	15
81 »	15
102 »	15
200 »	5
525 »	—
1250 ×	95

Cyfry te obliczono dla jednego z atakujących batalionów — I z 34-go pułku. Dla innych dwóch, zgodnie z obserwacją kilku oficerów, liczba wystrzelonych nabojów może nawet była mniejsza. Ostatni przeskok linii tyralierskiej, anor-

*) «Reports from British Officers attached to the Japanese and Russian forces in the field». Vol. 1, str. 526.

malnie długi, tłumaczy się tym, że Rosjanie wtedy cofali się pośpiesznie i Japończycy, chcąc dosięgnąć nieprzyjaciela, musieli go doganiać. Wzięto przy tym 4 działa rosyjskie i 5 jaszczyków do nich.

Przytoczone cyfry jasno przedstawiają przebieg bitwy. Pierwszy przeskok nie ma w sobie nic anormalnego — łańcuch tyralierski posuwa się naprzód tak długo, nim straty nie zmuszą go do zatrzymania się. Rozpoczyna się walka ogniowa, bój, niesłusznie zwany — o przewagę ognia — gdyż słuszniej by go trzeba nazywać bojem o przewagę moralną. Do tej kategorii należą oprócz pierwszych 30 naboi jeszcze następne trzy grupy po 15 ładunków, wystrzelonych po trzech dalszych skokach, przy których wlano do otaczającego łańcucha rezerwy, i które doprowadziły linię japońską na mniej więcej 850 kroków do nieprzyjaciela. Przewaga moralna już teraz jest uzyskana, nie przewaga mechanicznego ognia, bo Rosjanie w tym samym czasie wystrzelili po 200, a może i 300 ładunków na karabin, wytwarzając mechanicznie blochowskie «pole absolutnej śmierci».

Przewaga moralna daje możność zrobienia dłuższych przeskoków i wreszcie następuje zwycięstwo. Przewaga więc «ognia» została uzyskana kosztem 75 wystrzelonych naboi. Dla usunięcia przypuszczenia, że Japończycy nie spotkali silniejszego oporu, przytaczam i statystykę strat japońskich przy tym ataku:

I batalion 34-go pułku — 100 ludzi,
III batalion 34-go pułku — 90 ludzi,
III batalion 6-go pułku — 78 ludzi.

Straty więc wyniosły 9—12%, cyfry dosyć normalne, stwierdzające istnienie skutecznego ognia obrońców pozycji, którzy zmusili atakujących krwawo opłacić uzyskanie moralnej nad sobą przewagi.

Teraz wyobraźmy sobie na chwilę, że Japończycy wyznają mechaniczną teorię i wyzyskują szybkostrzelność swych karabinów w sposób taki, jak to robili Rosjanie, Turcy, no i wszyscy defensywiści. Przy porównaniu przytoczonych wyżej cyfr wypadałoby, nie biorąc już cyfr wyższych, że musieliby wystrzelić minimum trzy razy więcej naboi. Cyfry więc dla przeskoków wyglądałyby: 1 — 90, 2 — 45, 3 — 45, 4 — 45 — tu została uzyskana przewaga ognia. Koszt wynosiłby 225 ładunków, czyli więcej, niż żołnierz zabrać z sobą jest w stanie, nawet przy słusznym zresztą zwyczaju rozdawania dodatkowych ładunków przed bojem. Już więc przed uzyskaniem

przewagi moralnej, prawdopodobnie po drugim, a już z całą pewnością po trzecim przeskoku, rozpocząłby się gwałt o naboje. Łańcuch tyralierski zostałby wstrzymany w ruchu i wraz ze stratą naboi straciłby i na pewności siebie, — kto wie, może nawet przewaga moralna byłaby została przy przeciwniku.

W przytoczonym zaś wypadku Japończycy po zajęciu Szi-li-ho posiadali jeszcze po 100 mniej więcej ładunków. Byli więc zdolni nie tylko odeprzeć kontratak rosyjski, lecz i zdobyć się na jeden jeszcze podobny atak, gdyby taki był w tej chwili potrzebny.

Z powyższych przykładów widocznym chyba jest, że kto chce ofensywy, to znaczy ruchu naprzód i manewru, ten nie może zbytniej uwagi poświęcać na obciążenie czy to żołnierza, czy to kolumn większym ciężarem, a zatem musi oszczędzać naboje, by w najkrytyczniejszej chwili nie pozostać z nieszkodliwym drągiem zamiast karabinem w garści.

Niechybnie w naszych warunkach nadzwyczaj jest trudnym wychowywać żołnierza w duchu tej zbawiennej reguły. Proszę wychować człowieka w zrozumieniu broni, gdy uczeń uważa, jako uroczyste święto, gdy się dorwie do karabinu, gdy nawet i wtedy są starania, by ten karabin po wyjęciu zeń zamku wyglądał jak najbardziej niewinny drąg, broń Boże niegroźny oręż, mogący komukolwiek szkodzić! Proszę nauczyć kogokolwiek racjonalnie używać karabinu, gdy się go nie posiada, lub gdy ćwiczenia z nim są uważane za zdrożne, a jeden wystrzelony ostry ładunek wypada na rok czy dwa dla jednego strzelca!

Przełamywaliśmy jednak tyle trudności, że nie powinniśmy się zatrzymywać przed żadnymi, a każdy mi przyzna, że jeżeli robimy postępy w wielu dziedzinach pracy wojskowej, to może najmniejszymi są one w dziedzinie dyscypliny ognia, tej podstawowej potrzebie każdego boju nowoczesnego, ofensywnego zaś w szczególności.

Nie zatrzymując się na różnych, mniej lub więcej dowcipnych, środkach wychowywania w tym kierunku naszych strzelców, zaznaczę, że zasadą w tej sprawie musi być przede wszystkim, że każdy ogień powinien być nie mechaniczny, lecz celowany. Jest to najradykalniejszy środek do ekonomii ładunków. Pomimo, że takie żądanie wygląda dosyć śmiesznie, gdyż, zdawałoby się, po co strzelać, gdy się nie celuje i nie mierzy do czegoś, jednak tak jest w istocie. Mechaniczny ogień nie na czym innym polega, jak na bezcelowym strzelaniu, które u żołnierzy w boju wynika z nerwowego napięcia, szukającego ujścia w czymkolwiek. Francuzi, Rosjanie i Turcy —

z pewnością to można twierdzić — tymi setkami ładunków, wystrzelonych w dnie boju z każdego karabinu, raczej uspokajali swe wzburzone nerwy, niż wytwarzali rzekome «pole absolutnej śmierci» dla ostrzeliwanego nieprzyjaciela.

Dla ilustracji przytoczę przykład niezwykle pouczający. W czasie ostatniego ruchu rewolucyjnego w Polsce, w 1904—1906 r., bojowcy używali pistoletów Mausera, automatycznej broni z 10 strzałowymi paczkami. Przy każdej prawie akcji wystrzeliwano po 60—80 ładunków w kilka sekund, zadając względnie niewielkie straty — zwykle zabitych i rannych w takich akcjach nie było więcej nad kilku ludzi. Otóż jeden z moich znajomych raz postanowił zrobić próbę, by po akcji móc powiedzieć, do jakiego celu za każdym strzałem mierzył. Będąc człowiekiem silnej woli, wykonał, co zamierzał. Okazało się, że zdążył wystrzelić tylko 6 razy, gdy koledzy jego wystrzelali swe zwykłe kilka paczek dziesięcioładunkowych. Takim jest skutek w gospodarce nabojami ognia celowego. Chciałbym bardzo, aby nasi strzelcy przy ćwiczeniach, a tym bardziej w przyszłości podczas boju, naśladowali tego bojowca.

JESZCZE O DELEGATACH AMERYKAŃSKICH

Artykuł Józefa Piłsudskiego p. t. «Jeszcze o delegatach amerykańskich» opublikowany został w sierpniu 1914 r. w czasopiśmie «Wici», organie Komitetu Obrony Narodowej, wychodzącym w Chicago. Artykuł ten wywołany został sprawozdaniem o Komisji Tymcz. Skonf. Stron. Niep., opublikowanym przez delegatów Związku Narod. Polskiego cenzora Antoniego Karabasza i wicecenzora Adolfa Rakoczego. Wymienieni delegaci, po zbadaniu działalności organizacyj wojskowo-niepodległościowych w maju podpisali protokół, podkreślający pozytywny charakter pracy tych organizacyj, natomiast po powrocie do Ameryki opublikowali sprawozdanie z protokołem sprzeczne.

Podróż «inspekcyjna» czy «orientacyjna» cenzora i wicecenzora Amerykańskiego Związku ma już bogatą swoją historię i wiele ze spraw, przez nich poruszonych, już jest dostatecznie wyświetlonych. Pozostają jednak pewne punkty, wymagające sprostowania; specjalnie zaś tyczy się to spraw, związanych z naszym ruchem wojskowym. Będąc jednym z tych, którzy mieli wątpliwy zaszczyt konferowania z zamor-

skimi gośćmi, poczuwałem się w pierwszej chwili do obowiązku wyświetlenia tych spraw. Pierwsze jednak wiadomości czy też «oskarżenia» były tak niejasne i dwuznaczne, a pomieszczone w pismach galicyjskich w rodzaju «Słowa Polskiego», których wiarogodność dla mnie zawsze pozostaje pod dużym znakiem zapytania, że wolałbym czekać pism z Ameryki, by mieć do czynienia z bardziej autentycznymi danymi i faktami.

Idzie mi o fakt następujący. Panowie Karabasz i Rakoczy podczas swego pobytu w Krakowie podpisali protokół kontroli funduszów i rachunków Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych oraz Polskiego Skarbu Wojskowego, później zaś ogłosili, że «gdyby byli przedtem odwiedzili Komendę Główną we Lwowie, toby tego nie zrobili, bo rachunki były sfałszowane». Z tego wynikało, że albo znalazły się sprzeczności pomiędzy rachunkami Komendy a podpisanymi przez delegatów rachunkami Polskiego Skarbu Wojskowego, albo też w Komendzie dostarczono danych o fałszach w rachunkach Komisji Tymczasowej i Polskiego Skarbu Wojskowego. Odpowiadając jedynie za jedną z komend organizacji, związanych z Polskim Skarbem Wojskowym, Drużyny Strzeleckie były wówczas jeszcze w związku z Polskim Skarbem Wojskowym, muszę stwierdzić, że oba przypuszczenia nie są słuszne i na dowód przytaczam jedyną rozmowę, jaką miałem we Lwowie z pp. Karabaszem i Rakoczym.

P. Karabasz na wstępie oświadczył mi, że właściwie «mają cały interes skończony w Krakowie» i że zaszli do mnie jedynie w celu poznajomienia się ze mną, że wreszcie śpieszą do marszałka krajowego na konferencję. Następnie rozmowa trwała jakie pół godziny. Przede wszystkim nastąpiło oryginalne badanie mnie co do różnych osobistości we Lwowie. Więc np. co do p. Śliwińskiego [1]) musiałem stwierdzić, że: a) jest posłem do Rady państwa, b) posiada kamienicę, c) adres — Kadecka l. 6. W tym guście interesująca rozmowa, tycząca się co najmniej 20 osób, z dodatkiem stereotypowego pytania: «czy dobry Polak?» — trwała mniej więcej kwadrans. Sypały się pytania: «Taki a taki? czy mieszka tam a tam? czy pan go zna? czy dobry Polak?» W dwóch jedynie wypadkach nastąpiła pewna ulga czy rozmaitość. Jedna z nich tyczyła się marszałka krajowego, co do którego nie nastąpiło pytanie, czy dobrym jest Polakiem. Zdaje się, że delegaci amerykańscy pod tym względem głębokie mają zaufanie do wszystkich obec-

[1]) Hipolita Śliwińskiego.

nych czy przeszłych ekscelencyj. Urozmaiconym nieco było badanie co do biletu wizytowego, który leżał u mnie na biurku i wpadł w oko p. Karabaszowi. Nazwisko na bilecie miało to szczęście — tym razem nieszczęście — że poprzedzało je słowo «hrabia». Posypały się pytania: «Hrabia D., czy pan go zna? czym się zajmuje? gdzie mieszka? czy dobry Polak?» Po namyśle zaś p. Karabasz dorzucił pytanie: «czy nie szpieg?» I zaraz z właściwą mu bystrością wyjaśnił, że w r. 1863 był jakiś hrabia, całkiem zresztą innego nazwiska, który wydawał zaborcom powstańców.

Wyznam, że byłem po tym kwadransie zdumiony i niezwykle zbudowany powagą mych gości.

Wreszcie na stół przyszły rozmowy realniejszego znaczenia. Pp. delegaci poruszyli ze mną trzy — wyraźnie trzy — kwestie.

Pierwsza z nich była — czy w istocie nie pobieram żadnej pensji ze Skarbu Wojskowego. Potwierdziłem, że nie — i to była jedyna sprawa finansowej natury.

Inne dwie były: jak się zapatruję na sprawę jedności organizacyj wojskowych w Polsce i czy Austria nas popiera? Odpowiedziałem, że zgodnie ze znanym programem Związków Strzeleckich jestem za najdalej idącą jednością organizacyjną wojskową w Polsce, dodając do tego, że byłaby to dobra szkoła dla rozwoju poszanowania przekonań i tolerancji wśród rozwydrzonych stronnictw politycznych. Co się zaś tyczy popierania nas przez Austrię, to stwierdzam, że zauważyć tego nie zdołałem, gdyż w dziedzinie nauki strzelania więcej się robi w innych krajach Austrii, w porównaniu z Galicją, która, jak zwykle, jest pokrzywdzona i w tym wypadku, a zarazem stosunek władz miejscowych do ruchu strzeleckiego nie należy do najlepszych. Dodałem, że zresztą tutaj w Galicji władze są polskie i być może stosunek ten jest uwarunkowany walką wewnętrzną stronnictw politycznych Polski.

Rozmowa zakończyła się utyskiwaniem pp. delegatów na sposób zabezpieczenia funduszów Skarbu Wojskowego, który byłby bezpieczniejszy w Ameryce. Na to odpowiedziałem, że się do spraw Skarbu nie mieszam, lecz sądzę, znając dobrą wolę ludzi, stojących u steru Skarbu, że jeśli delegaci dadzą jakieś praktyczne wskazówki, to na pewno będą one wzięte pod rozwagę.

W całej więc rozmowie nie było wcale mowy o rachunkach i zatem twierdzenie pp. Karabasza i Rakoczego o otrzymaniu w Komendzie we Lwowie danych o fałszach rachunkowych jest rzeczą wyssaną z palca lub stwierdzoną z ust ja-

kiegoś «dobrego Polaka», który z łatwością znalazł fałsze w rachunkach, nigdy przez siebie nie oglądanych.

Z innych wyjaśnień pp. Karabasza i Rakoczego zdawaćby się mogło, że te fałsze inkryminowane tyczą się zakupna różnych rekwizytów wojskowych, których w składach panowie od «orientacji» nie znaleźli, przy czym wielką, zdaje się, rolę w tym odgrywają «buty». Przede wszystkim o składach. Jedyny skład rekwizytów: tornistrów, pasów, ładownic etc., skład bardzo zresztą nieduży, był przeze mnie urządzony w czasie kryzysu wojennego wspólnie dla Związku i Drużyn Strzeleckich. Gdy do nas goście zamorscy zawitali, skład ten dawno już był zwinięty i wszystkie rekwizyta zostały podzielone pomiędzy organizacje do stałego szkolnego użytku. Innych składów czy magazynów w organizacjach nie było i nie ma, chyba gdzieś na parę dni zatrzyma się zakupiony i nie wyprawiony do którejś organizacji, zwykle bardzo mały, transport takich rekwizytów.

Co się zaś tyczy butów, to one istotnie figurują w rachunkach Polskiego Skarbu Wojskowego, lecz w żadnym wypadku kłaść ich na odpowiedzialność ani Komisji Tymczasowej, ani Polskiego Skarbu Wojskowego nie można. Historia ich bowiem jest następująca: przy wydaniu sprawozdania skarbowego zarząd Skarbu zażądał od obu organizacyj Związków i Drużyn podania rachunku z wydatków na cele militarne poza pieniędzmi, otrzymanymi ze Skarbu. Co do mnie, na podstawie przedstawionych mi rachunków z poszczególnych organizacyj, zestawiłem ogólny rachunek dla Związków Strzeleckich, z którego nawet rozmyślnie wykreśliłem sumy, związane z zakupem przez miejscowe «intendantury» trwałego, sportowego obuwia. Uczyniłem to dlatego, że pomimo wielkiego znaczenia doborowego obuwia dla żołnierza nie stanowi ono charakterystycznej cechy jego i mogłoby być umieszczone, zdaniem moim, w żołnierskich rachunkach, gdyby je istotnie magazynowano, lub gdyby zakupy dawały jeden ustanowiony i wypróbowany typ obuwia. W przeciwnym wypadku każda para trzewików, kupiona przez kogokolwiek, należącego do organizacji, musiałaby być rejestrowana, jako nabytek wojskowy. Komenda Drużyn Strzeleckich rzecz tę rozpatrywała prawdopodobnie z innego stanowiska i w swoich rachunkach pomieściła i obuwie. W każdym jednak razie odpowiedzialna za to jest jedynie Komenda Drużyn Strzeleckich, nie Polski Skarb Wojskowy lub Komisja Tymczasowa, które lojalnie, bez zmian, przejęły rachunki obu organizacyj, nie mając ani możności, ani prawa do wchodzenia w sposób wydawania pie-

niędzy, które samodzielnie, bez pomocy tych instytucyj zostały zebrane. Cała sprawa ta zresztą była wyjaśniona przy rozmowach delegatów amerykańskich z przedstawicielami Komisji Tymczasowej i Polskiego Skarbu Wojskowego i stanowi, zdaje się, jeden z punktów protokółu, podpisanego wspólnie.

Wreszcie pozostaje ostatnia sprawa, mająca związek z ruchem wojskowym, a wytoczona, jako zarzut — jeden z najgroźniejszych — przeciw Komisji Tymczasowej. Brzmi on: Komisja Tymczasowa wydaje większe sumy pieniędzy na dosyć wysokie pensje i wyjazdy, niż na karabiny i amunicję. Nie wchodząc w to, czy Komisja Tymczasowa wydaje «dosyć», czy nie «dosyć» wysokie pensje i diety swym urzędnikom, rachunków tej instancji nie przeglądałem i nie kontrolowałem nigdy, idzie mi o drugą połowę zarzutu, o karabiny i amunicję. Przede wszystkim w rachunkach Komisji Tymczasowej ani karabiny, ani amunicja znajdować się nie mogły wcale z tego względu, że wydatki tej natury są czynione jedynie przez komendy odpowiednich organizacyj. Prawdopodobnie więc rozumieć zarzut należy w ten sposób, że Komisja Tymczasowa nie robiła odpowiedniego nacisku na te organizacje w kierunku zakupna tego w istocie niezbędnego dla prowadzenia wojny materiału. Wyznam otwarcie, że przy wszelkich dyskusjach w Komisji Tymczasowej, w tej właśnie materii byłem zawsze gorącym przeciwnikiem jakichkolwiek większych zakupów broni i starałem się zawsze utrącić wszelkie daleko idące projekty w tej sprawie. Powiem więcej, że spotykałem niekiedy nawet opór ze strony Komisji Tymczasowej, wobec czego przede wszystkim na mnie leży odpowiedzialność za zbyt słabą i niewydatną działalność Komisji w tym kierunku.

Racje zaś moje są następujące: dopóki Polska, czy część Polski, chcąca wojny, nie zdecydowała się na prowadzenie samodzielnie i niezależnie od kogokolwiek wojny — jakiejbądź, to wszystko jedno, chociażby na trzy fronty, jak tego chcą różni najtchórzliwsi krzykacze, — dopóty dziecińśtwem byłoby zatrzymywać się na jednym określonym typie karabinu i amunicji, co znowu jest koniecznym, gdy się serio o tych rzeczach mówi. Do tego samego rezultatu doprowadzić musi rozważanie sprawy z innej strony — strony finansowej. Przy tej nędzy pieniężnej, jaka charakteryzuje budżet militarny Polski, nie może na razie być mowy o systematycznym i rozumnym zakupie broni, który to zakup z konieczności musi mieć charakter dorywczy i przypadkowy. Wobec tego zaś broń i amunicja mają charakter jedynie szkolny, gdzie uwzględ-

niać trzeba rozmaite typy broni, przede wszystkim gatunki, które są lub były w użyciu w armiach austriackiej, rosyjskiej i pruskiej. Przy zakupie zaś nawet pojedynczej sztuki broni istnieje jeszcze dotąd ryzyko, że dla samej wojny, pomijając szkolny użytek, jest to wydatek nieprodukcyjny, gdyż nie można mieć pewności, że właśnie ten typ broni będzie przyjęty, a zatem będzie do niego i dostateczna ilość ładunków, bez których znowu nawet najlepsza broń jest zwyczajnym drągiem.

Wszelki inny sposób zapatrywania się w obecnych czasach na broń i amunicję, wszelkie «magazynowanie» jej uważam w danym wypadku za naszą kochaną polską naiwność, połączoną z nieznajomością techniki wojennej, w złym zaś za demagogiczny wykręt z istotnie ciężkich obowiązków w tej właśnie dziedzinie.

SKOROWIDZ NAZWISK[1])

Abdul Hamid 164
Abdullah-pasza **257**
Aleksander I **93**
Aleksander II 83, 87
Anusz Antoni **191**
Arciszewski Tomasz **36**
Artamonow 239, 240
Aszkenaze Tobiasz **185**
Awejda Oskar 84, 88
Azef Eugeniusz 188

Bagiński Henryk **254**
Bakunin 219
Balicki Zygmunt 182—188
Barysz Leon **161**
Bazaine Franciszek **269**
Belina Stanisław zob. Jaworski Wiktor
Berg Mikołaj **84**
Bloch Jan **288**
Bobrowski Stefan 114, 120, 195, 196, 222, 224
Bobrowski **28**
Boerner Ignacy **12**
Bogusławski 218
Bończa-Błaszczyński 194, 234—236, 238, 248
Borozdin 231
Botha Ludwik **78**, 79
Bremsen 200
Browning **153**
Brunner 112, 113, 119
Brzezina Ottokar **285**
Brzoza zob. Brzezina Ottokar
Brzóska Stanisław 209, 228
Burzyński Karol 50—55
Buller Redwers **78**

Callier **134**
Cejtlin 67, 68, 72
Cezar **220**
Chmieliński Zygmunt **135**, **139**
Chodkiewicz 253
Chwoszczyński 231
Czachowski Karol **116**, **135**, **136**
Czengiery **123**
Czubek **108**

Ćwierciakiewicz J. **89**

Daniłow 68, 73
Daniłowski Władysław 108, 114, 120, 222, 223
Daszyński Ignacy **155**, 161
Dawidowicz 243
Davout Ludwik 272, 273
Dąbrowski Jarosław 88, 90, 98—101, 120, 224
Dembowska Maria **77**, 148
Deskur Bronisław 107, 167, 210—215, 221, 229—232, 234
Diamand Herman **159**, 161, 185
Długosz Stanisław **135**
Dmowski Roman **183**
Dżemal-bej 262, 276

Erlach L. Franz 96, **97**

Feldman Wilhelm 185
Fenzi-bej 262
Ferdynand I **257**
Ferdynand arcyks. **3**, **155**
Ferdynand zob. Stefański Ksawery
Figeti 107, 241

[1]) Stronice wydrukowane tłustymi czcionkami odnoszą się do części redakcyjnych.

Franciszek I **93**
Fryderyk Wilhelm III **93**

Gagatek Jan **97**
Garibaldi 203
Gąsiorowski Janusz **85**
Gesket Sergiusz **84**, 108, 111, 112
Giller Agaton **92**
Godlewski **89**
Grabiec Józef **255**
Grabski Stanisław **24**

Haldane A. L. 291
Hamilton Jan **289**
Handelsman Marceli **138**
Harasymowicz **28**
Hauke-Bosak 139
Hercen 219
Herwin zob. Piątek Kazimierz
Hłasko Józef **170—174**
Hudec Józef **161**
Hurko 39, 40
Hyc-Olesiak 156

Imeretyński 40
Iskra zob. Molenda Zygmunt

Janik Michał **155, 160, 170, 174, 179, 253**
Janowski Józef Kajetan **85, 254**
Jasiński Teodor 211, 212, 214, 230, 242, 243
Jaskłowski Karol **84**
Jaworski Wiktor **92**
Jerzmanowski 168, 229, 230
Jeziorański Antoni 90, 105, 114, 116, 119, 126, 135
Jędrzejowski B. A. **75**
Jodko-Narkiewicz Witold 24, **161**, 253
Joubert 78
Jowisz 32

Kannabich 231
Karabasz Antoni 294—297
Katarzyna II 219
Klemensiewicz Zygmunt **65**
Kniażyc J. zob. Hłasko Józef
Kononowicz 116
Konstanty Mikołajewicz **110**, 111, 120, 224
Konstanty Pawłowicz **166**, 167
Korsak 76
Kowaczew 259
Kowalewski 238
Kozlaninow 202, 203, 205, 231, 235, 239
Krajewski 213
Kruk-Heydenreich 136
Krynicki Stanisław **254**
Krysiński 208, 209
Kukiel Marian **3, 155**—157, **192, 256**
Kunicki Ryszard **5**
Kuroki Tamemoto **80**, 81, 269
Kuropatkin Aleksy **57, 60, 79**, 80, 257
Kurowski Apolinary 90, 105, 114, 118, 126, 194, **241**

Langiewicz Marian **20**, 85, 90, 94, 101, 102, 105, 107, 114—117, 124, 125, 127, 128, 177, 240—242, 248, 258
Lemcke 235
Lewandowski Walery 90, 114, 115, 124, 126—128, 193, 194, 207, 209, 210, 228, 229, 232, 240, 248
Limanowski Bolesław 85
Liniewicz Mikołaj **57**
Lipiński Wacław **4, 158, 188**
Loewenstein Natan 185

Machmud - Muchtar - pasza 260—263, 267, 276, 280
Majewski Karol 84
Malinowski-Pobóg Władysław **148**
Maliszewski Edward **86, 91**
Mamajew 113, 218, 221, 226, 227
Marconi **64**
Marczewski 108, 114, 222
Mauser 294
Mazumaga 81
Mazur zob. Grabski Stanisław
Mechmed Ai-bej 262
Mengden 235—237
Merwin Bertold **94**
Michałowski 212, 230, **231**
Mieczysławski Z. **5, 37**
Mielęcki 116
Mierosławski Ludwik 102, 114, 116, 125, 128
Mikołaj I 87
Milowicz **89**
Minkiewicz Henryk **192**
Mirecki-Montwiłł Józef **27**, 28, **32, 154**
Mleczko 217

Molenda Zygmunt **285**
Moltke Helmuth **10**
Mroczek 218
Mystkowski Ignacy 135

Nabielak 159
Napoleon I 10, 43, 132, 148, 264, 272
Nawrocki 215—217, 221
Nencki 107, 210, 217
Niekoszoć 166

Oborski Ludwik 136
Okasaki 79, 81, 272. 289
Okrzeja Stefan **26**
Oku Jasukata 290, 291
Olędzki Władysław 242
Oxiński Józef 90, 100, 105, 114, 230

Padlewski Zygmunt 88, 90, 108, 114—116, 124, 128, 129, 193—198, 200—202, 207, 234, 248
Pawliszczew Mikołaj **84**
Piątek Kazimierz **285**
Piłsudski Bronisław **76**, 147
Piotrowski W. zob. Wójtowicz Władysław
Pomarański Stefan **82, 83, 138**
Pompejusz **220**
Potjebnia 195
Potocki 168
Późniak 237, 238
Prądzyński 214, 230
Prometeusz **191**
Przyborowski Walery **85**, 108, 112
Przybyszewski Eugeniusz **88**
Pugaczew 219
Puzyrewskij **84**
Pyrkosz 213, 230, 231

Rakoczy Adolf 294—297
Ramsay 110—112
Redl 183—188
Redlich 184
Ridiger 242
Riedieczkin 200
Rogaliński 107, 203, 235, 240
Rogiński Roman 90, 113, 118, 196, 197, 209, 218—221, 226, 227
Rouba **28**
Rozwadowski 218, 228
Rudzki Bronisław 122
Rutowski Tadeusz 161
Rydz-Śmigły Edward **192, 256**
Ryszard III 232
Rzepecki Karol **82, 192**

Sawow **257**
Seyfried 197, 200
Sherlok Holmes 183, 186
Sia-effendi 262
Sieroszewski Wacław 75
Sikorski Władysław **155**
Sławek Walery **160, 170, 174**
Sławin 200
Słowacki Juliusz 260, 263
Sosnkowski Kazimierz **1, 2**, 156. 161, 170, **190**
Stachiewicz Julian **82, 83, 148, 175**
Staden 123, 126
Stefański Ksawery **285**
Stępniewski Wiktor **191**
Suchodolski 218, 220, 221
Szaniawski 107, 210
Szczerbińska Aleksandra **192**
Szpotańska Antonina **142**
Szpotański Tadeusz **142**
Szwarce Bronisław 88, **89**

Śledziński **28**
Śliwiński Hipolit 155—158, 160, **161**, 170, 179—182, 253, **295**

Taczanowski 135
Tettau 57
Tichomirow 188
Togo **56**
Tokarz Wacław **97**
Thornecraft 79
Traugutt Romuald 137—139
Trąmpczyński Józef 135, 136
Trojanowski Mieczysław 155—157
Tymkowicz zob. Krynicki Stanisław

Umiński 243
Urbańska 185
Uszakow 241

Wagner 257, 259
Wasilewski Leon **5, 37**
Wielopolski Aleksander **110**, 111, 250
Wiśniewska Maria 159
Witkiewicz Stanisław **4**, 74—77, 147, 148
Witkiewiczówna Maria **74, 147**
Witkowski 241
Wójtowicz Władysław **24**

Wolanin 218, 228
Wroński Al. zob. Jodko-Narkiewicz Witold
Wysocki Piotr 167

Young 136

Zalewski 218
Zameczek-Cichorski 107, 116, 233
Zamoyski 212
Zarzycki 207
Zdanowicz 118
Zegrzda 237
Ziemiałkowski 254
Zola Emil **271**
Zoli 257
Z. S. L. zob. Przyborowski Walery
Zubatow 188

Żeromski Stefan 75

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

Abazja **1**, 75
Adrianopol 268, 282
Afiun-Karahisar 261
Aleksandrowsk **191**
Angora 262
Austerlitz 166, 264, 272

Basiówka **3**, **174**
Berlin 87
Bezdany **1**, **34**
Biała 113, 123, 196, 207, 209, 217—219, 221, 226—228, 233
Białka 229
Bodzentyn 107, 241, 243
Bogołoje 40
Brańsk 42
Brześć Litewski 40—42, 106, 196, 207, 210, 228

Chabarowsk 64
Chełm 40
Chicago **294**
Ciechanów 42
Ciołków 107, 202, 231, 235, 239, 240
Cuneo 91, **102**
Cuszima 56
Czataldża 257, 261, 262, 264, 268
Częstochowa 13, 24, 26, 30, 153

Dawidów **3**
Dąbrowa Górnicza 13, 24, 32, 45, 48, 153, 284, 285
Dęblin **40**, 41, 48, 105, 205
Drezno 187

Erikler 264, 266, 267

Friedland 264, 272

Garwolin 87
Geczenkla 274
Genua 90
Gołonóg 284
Grajewo 40
Grochowiska 20, **85**
Grodno 47

Hi-kan-tai **273**
Horostyta 167, 168, 211—214, 223, 229, 230
Huszcza 215, 217, 219, 221, 228

Ignacewo 135
Irkuck 65—74, **191**
Iwangród zob. Dęblin

Jalu 61
Janów 122
Jastrzębie 242
Jedlnia 107, 119, 241
Jena 264
Józefów **27**

Kalisz 87, 105, 119, 205
Kazań 218
Kielce 87, 105, 123, 241
Kijów **1**, 42, 64
Kireńsk 66, 74
Kirk-Kilisse 257, 261, 266, 268, 282
Kobylanka 135
Kock 210
Kodeń 106, 107, 210, 217, 228, 232
Konstantynopol 257, 261, 267, 268
Koprüli 258
Kowel 40, 42
Kowno 47, 62
Kraków **1**, **2**, **5**, **23**, 37, 38, 47, **65**, 75, 76, **82**, **84—86**, **108**, 145, 147, 155, 160, 161, 184, 187, 253, 285, 295
Krasnystaw 234

Ladysmith 78
Laojan 57, **79—81**, 257, 269
Leodium 89
Ligny 272
Lipsk 97
Londyn 89, 93
Lovrana 75
Lubartów 28, 48, 106, 234
Lublin 40, 42, 87, 122, 205
Lülie-Burgas 257, 261, 262, 268, 280
Lwów **1—3, 77, 85, 89, 94**, 100, 155, 159, 161, **174**, 179, 181, 186 190, 191, 253, 254, 285, 295, 296

Łapy 40, 233
Łaskarzew 210
Łęczyca 44
Łomazy 107, 210, 216, 228, 232
Łomża 41, 234
Łosice 209, 217, 218
Łowicz 44
Łódź 12, 19, 33, 34, 45, 48
Łuków 40, 209, 228, 232, 233

Maków 235, 240
Małkinia 40
Metz **269**
Mężenin 233
Miechów 118, 126
Międzyrzec 209
Mińsk Litewski 64
Modlin 40, 41, 43, 48, 62, 99, 101, 105, 196, 197, 205
Moskwa **35**, 42, 64, 153, 193
Mroczki 210
Mukden 18, 57, **79**, 257, 290

Nervi **2**, 74
Niemirów 218
Nowa Wieś **102**, 136
Nowy Korczyn **254**

Odesa 42
Ojców 118
Olita 47
Opatów 28, 48, 139
Osowiec 40, 41
Ostrołęka 40, 41
Ostrowiec 11, **12**, 28, 146
Ostrów 210, 213

Paryż 89, 91—93, 114, 125, 250
Petersburg 61, 64, 186, 233
Petra 257, 261, 264, 267

Pińsk 126
Płońsk 239
Płock 87, 105, 107, 114, 119, 120, 195, 200, 202, 205, 234, 235, 238—241, 244, 249
Poronin 156
Port Artura 56
Portsmouth **25**
Poznań **82, 113, 135**
Praga 185
Prużana 126
Przasnysz 42, 240
Pułtusk 14, 234

Radom 26, 87, 105, 119, 205, 241, 244
Radzyń 106, 107, 167, 168, 210, 212—215, 228, 229, 231, 234
Raperswill **3**
Rawa 126
Rogów **27**, 32, 34, **154**
Równe 64
Różana 41
Ryga 64
Rzeszów 156

Saloniki 164
Sambor 156
Sandepu **56**, 57
Sankej-seki-sau 272
San Stefano **23**
Secymin 200, 201
Serokomla 210
Siedlce 32, 40, 115, 168, 207—209, 218, 228, 229, 232, 233
Siemiatycze 126
Sipinghaj 257
Skierniewice 42
Skniłów **174**
Sławków 285
Smoleńsk 64
Sokołów 207, 209, 210
Sosnowiec 11, **12**
Spionskopp 78
Stanisławów 285
Stawczany **3, 174**
Stok Lacki 228
Stróża **182**
Suchedniów 241
Suraż 106, 107, 233
Sza-ho **80**, 272, 289, 290
Szi-li-ho 291, 293
Szlüsselburg **88**
Szydłowiec 107, 115, 241, 242, 248

Timurhauli 266
Tłuszcz 40
Tuczna 217

Wagram 264
Warszawa 24, 26, **27,** 30, 32, **36,** 40—43, 45, 48, 61—64, **74, 84—88, 91, 97,** 99, 101—106, 108, 113—115, 119—121, 123, 130, 134, 137, 138, 160, 162, 184, 194, 197, 198, 200, 202, 205, 207, 208, 216, 218, 222, 223, 233, 235, 240, 244, 245, 249, 258
Warta **100**
Wąchock 115
Węgrów 28, 48, 119, 207, 210
Wiedeń **2, 3, 33,** 155, **159, 181,** 184, 187, 253, 272
Wilno 46, 61, **170**
Winnica 64
Wiski 217
Władywostok 64
Wohyń 215
Woskrzenice 126
Wysokie Litewskie 285
Wysokie Mazowieckie 233

Viza 257, 261, 267

Zakopane **2, 3, 145,** 155—157, 182
Zalesie 218
Zamość 101, 105, 196, 205
Zawiercie 48
Ząbkowice 284, 285
Zegrze 41, 43, 202

Żerniki **285**
Żyżyn 136

SPIS RZECZY TOMU III

Str.

Wstęp 1
Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim 5
Historia Organizacji Bojowej P. P. S. 23
Geografia militarna Królestwa Polskiego 37
Nowa książka polska z dziedziny wojskowości 50
Reformy armii rosyjskiej 55
Bunt więzienny w Irkucku 65
List do Stanisława Witkiewicza 74
Kryzysy bojów 77
Zarys historii militarnej powstania styczniowego 82
W przeddzień rewolucji r. 1905 142
List do Stanisława Witkiewicza 147
O rewolucji 1905 roku 148
Listy do Hipolita Śliwińskiego 155
Rozkaz okólny do organizacyj Związku Walki Czynnej 158
Przemówienie na zjeździe Niemieckiej Socjaldemokracji Austrii w Wiedniu 159
List do Hipolita Śliwińskiego 160
Mobilizacja powstania 161
List do Hipolita Śliwińskiego 170
Wywiad Józefa Hłaski 170
List do Hipolita Śliwińskiego 174
Sprawozdanie wygłoszone wobec oficerów strzeleckich 175
List do Hipolita Śliwińskiego 179
Orientacja pana Balickiego 182
Rozkaz okólny do organizacyj Związku Strzeleckiego 188
Rozkaz okólny do organizacyj ludowych 190
Do katorżan w więzieniu w Aleksandrowsku pod Irkuckiem . . 191
22 stycznia 1863 192
O polskim ruchu strzeleckim 250
List do Hipolita Śliwińskiego 253
Do komendy Naczelnej Polskich Drużyn Strzeleckich 254
Przemówienie nad grobem Józefa Kajetana Strzemieńczyk-Janowskiego 255

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ:
I. Bułgarzy 256
II. Turcy 260
III. Przyczyny porażek tureckich 269
IV. Przyczyny porażek tureckich 277
Orzeczenie 282
Rozkaz okólny w sprawie ćwiczeń wiosennych 286
Zużywanie amunicji 288
Jeszcze o delegatach amerykańskich 294
Skorowidz nazwisk I
Skorowidz miejscowości V

23-37
Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
35219/2 t.3
12-035219-003-0